

Tadeusz Mąkosa

Karszyn we wspomnieniach i źródłach historycznych



Gminna Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej

Kargowa 2013

Projekt okładki:

Małgorzata Mąkosa

Rysunek na stronie tytułowej:

Małgorzata Mąkosa

Posłowie:

prof. zw. dr hab. Wojciech Pasterniak

Przekład streszczenia na język niemiecki:

Rudolf Bocheński, Erich Busse

Fotografie na wewnętrznych stronach okładek:

1. Karszyn z lotu ptaka, 2. Widok na Karszyn z wieży kościoła

Zdjęcia użyte w książce pochodzą z: Kroniki Parafii Klenica, Urzędu Miejskiego w Kargowej oraz ze zbiorów prywatnych: K. Bocheńskiej, S. Cieślikowskiej, B. Chmiela, K. Danielkiewicz (Pinecka), K. Drzymały (Pałamarczuk), A. Kaczmarek, G. Kolesińskiej (Kostyra), P. i Z. Kubickich, T. Mąkosy, A. Michałowskiej, A. Pinetzkiego, J. Pineckiej (Zepke), T. Suwały (Wycisk), U. Szeniawskiej (Wycisk), M. Vogta, B. Wróblewskiej, K. Zagdańskiej (Śmiałek)

ISBN 978-83-935002-1-5

Copyright © Gminna Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej. Kargowa 2013

Copyright © Tadeusz Mąkosa

Redakcja techniczna:

Zbigniew Wąsik, Wiesław Matysik

Skład i przygotowanie do druku:

Wiesław Matysik

Druk:

Ligatura

ul. Sulechowska 4a

65-119 Zielona Góra

tel. 68 455 69 31

*Mieszkańcom Karszyna, tym dawnym
i obecnym, niniejsze opracowanie poświęcam*

Autor

Spis treści:

Spis treści:	5
Przedmowa	7
Wstęp	9
Położenie	10
Geneza osady	13
Nazwa wsi	16
Mieszkańcy dawnego Karszyna	18
Infrastruktura	37
Życie religijne w okresie przedwojennym	41
Szkoła, leśnictwo i inne ważne dla wsi instytucje i organizacje	55
Wielka wojna	70
Czas między wojnami	74
W cieniu II wojny światowej	82
Nowi mieszkańcy	111
Budowanie nowej społeczności	128
Wspomnienia osób przybyłych do Karszyna	138
Władze wiejskie, kolejni sołtysi	150
Trzeba z czegoś żyć	155
Kościół w Karszynie	169
Wiejska edukacja	192
Życie kulturalne	212
Czas wolny dzieci i młodzieży	221
Studnie Karszyna	229
Nazwy nadane miejscom w okolicy wsi	232
Przyroda	236
O niektórych karszyniakach słów kilka	244
Co pozostało z dawnego Karszyna?	248
Zakończenie	251
Posłowie	254
Zusammenfassung	257
Bibliografia	258
Indeks nazwisk	260
Rozwinięcie skrótów i znaczenie niektórych wyrazów	269
Załączniki:	270

Przedmowa

To już kolejna bardzo ważna publikacja historyczna wydana przez lokalny samorząd na przestrzeni dwóch ostatnich lat i jemu poświęcona. W tym roku to trzecia tego typu pozycja sfinansowana ze środków zewnętrznych pozyskanych przez Gminę Kargowa. Każda z nich miała swój odmienny charakter i przesłanie oraz źródła powstania i inspiracje.

Podobnie jest z historią Karszyna. Różni ją jednak to, że w przeciwieństwie do publikacji wcześniejszych, które poświęcone były całej gminie, ta odnosi się tylko i wyłącznie do jednej z jej wsi. Miejscowości charakterystycznej i bardzo ciekawej, o czym można przekonać się już po kilku stronach książki. Dotyczy realnie istniejących przestrzeni – kiedyś i obecnie, ale przede wszystkim odnosi się do tworzących te przestrzenie mieszkańców osady utworzonej na historycznym pograniczu śląsko – wielkopolsko – brandenburskim.

Niewiele jest książek poświęconych historii jednej, niedużej przecież miejscowości. Gmina Kargowa czekała na swoją „uniwersytecką” monografię od jej zarania, a doczekała się jej dopiero w 2013 roku. Karszyn swoją historię „otrzymuje” już kilka miesięcy później i pod tym względem jest pierwszą wsią w naszej gminie i jedną z nielicznych w Polsce.

To przede wszystkim zasługa autora książki pana Tadeusza Mąkosy. I choć ten zasłużony karszynianin nie mieszka dziś w swej wsi, to często angażuje się w ciekawe i ważne przedsięwzięcia tu realizowane, a w wielu przypadkach jest ich głównym inicjatorem. Tak było i tym razem. Napisanie tego rodzaju publikacji przez „niezawodowego” historyka wymagało ogromu pracy, licznych rozmów, przeglądu trudnego do zdobycia materiału źródłowego i mozolnej pracy pisarsko-edytorskiej. Twórcy należy się właściwy szacunek i słowa podziękowania.

Czasami spotykam się z pytaniem po co nam historia i tego rodzaju publikacje, nawet jeżeli na ich wydanie gmina zdobywa środki zewnętrzne, kosztami nie obciąża mieszkańców, a najczęściej przekazuje wydawane książki bezpłatnie. Niektórzy twierdzą wręcz, że historia jest nudna. Mawiają, że „dyskusje o przeszłości to najczęściej rozprawa ze współczesnością, przystrojona w szaty rozważań o czasach minionych”. Podkreślają, że jest właśnie po to, aby pomagać „leczyć” przeszłość, a nie rozwiązuje żadnych ważnych spraw teraźniejszości.

Jeszcze inni cytując Orwell’a stawiają dalej idące tezy, tzn.: „kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość”; „kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość”, przypisując twórcom książek i ich wydawcom cele związane z indoktrynacją. Inni jeszcze żądają od niej, by dążyła do ideału. Pragną, aby „powstała płaszczyzna, na której historycy tworzyliby jeden obraz przeszłości niezależnie od narodowości, opcji politycznej, wyznawanej religii, czy innych różnic, taki obraz, który pozwoliłby ludziom pojednać się, zaznać ukojenia – taka prawda, która wyzwala od bólu, resentmentów, żali, upokorzeń i tego wszystkiego, co niszczy stosunki międzyludzkie”.

Czasami myślę, że rację miał jednak pewien młody człowiek, który napisał, że „historia to przede wszystkim wspaniały powrót do przeszłości, do tego co było dawniej, a czego już nie można przywrócić. Do tego co daje nam dużo do myślenia i niekiedy zmusza nas do działania. Pomaga rozwiązywać problemy i zrozumieć dawny świat, uczy, ukulturalnia, upamiętnia i dokumentuje wielkie czyny i różnych ludzi, a także nas interesuje i fascynuje”.

I taką historię Karszyna napisał pan Tadeusz Mąkosa. Nikogo nie poucza, nie indoktrynuje, nie gani i nie ocenia. Przytacza opowieści z życia wsi i jej mieszkańców różnych narodowości na przestrzeni dziejów. Często smutne i tragiczne, ale każde z nich ważne i dające właśnie do myślenia. Przeplata to anegdotami i relacjami byłych i obecnych obywateli tej ważnej dla gminy miejscowości w bardzo różnych i trudnych okresach jej współczesnego istnienia, w okresie niszczącej wszystko wokół siebie zawieruchy wojennej i bardzo ciężkich czasów powojennych.

Nie warto jednak streszczać tak pięknej książki. Takie opowieści powstają, by trochę lepiej żyć, trochę więcej wiedzieć i czasami znaleźć czas, aby zadać sobie pytanie skąd się wzięliśmy, dlaczego mieszkamy tam gdzie mieszkamy i dlaczego nasze najbliższe otoczenie wygląda tak jak wygląda. A jeżeli przy okazji lektura ta zainspiruje kogoś do podobnych inicjatyw jakie wykazują ludzie pokroju autora książki, to i dobrze. Tego życzę przede wszystkim mieszkańcom Karszyna. Wydanie takiej publikacji to była czysta przyjemność.

Sebastian Ciemnoczołowski
burmistrz Kargowej



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich
Europa inwestująca w obszary wiejskie
Publikacja opracowana przez...

Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej
w ramach Osi 4 LEADER

Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013
Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata
2007-2013 – Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Wstęp

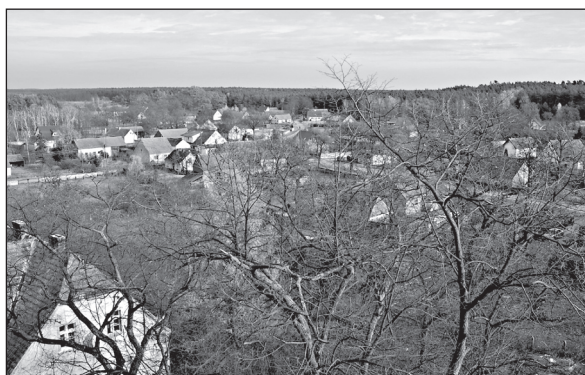
Karszyn to miejsce, gdzie się urodziłem. Wieś poznawana od momentu, w którym nauczyłem się chodzić. W jednej ręce trzymając pajdę chleba z cukrem, a drugą chowając w dłoni starszej o dwa lata siostry Teresy, „wyruszałem w świat”. Świat ten był dobry i bezpieczny, mimo że rodzice zajęci ciężką pracą na roli lub w lesie niejednokrotnie byli daleko. Poczucie bezpieczeństwa zapewniały nam przyszywane ciotki i babki: Chmielowa, Przybyłowa i Drzymałowa. Otaczając nas opieką, opowiadały. Opowiadały też Kowalikowa, Kostyrowa, Murziczowa i Pasterniakowa, kiedy już nieco starszy pasąłem z nimi krowy. I tak rosłem w tej mojej wsi, a ich opowieści wrastały we mnie. Dziś jako dojrzały człowiek próbuję przenieść na papier fragmenty życia bliskich mi ludzi – mieszkańców Karszyna, bo wiem, że słowo jest ulotne i tylko zapisane, ma szansę na przetrwanie.

Położenie

Moją wieś porównać można do kapelusza zawadiacko przekrzywionego na głowie, w którym funkcję ronda pełnią pola i łąki, zaś rolę denka - niemal centralnie położony pagórek z XVIII - wiecznym kościółkiem pw. św. Jadwigi Śląskiej otoczonym nie mniej starym cmentarzem.



Kościół i plebania, wiosna 2012 r.



Karszyn. Widok z wieży kościoła.



Widok na wieś z gór.

Z tego pagórka, jeśli jest akurat bezlistna pora roku, spoglądać można na wschód, gdzie za nieprzesłaniającymi widoku starymi akacjami i lipami usytuowane są budynki mieszkalne oraz inne towarzyszące im, zwykle niezbyt duże, zabudowania gospodarcze. Za nimi jest lekkie wzniesienie, które porasta sosnowy las, ciągnący się aż do oddalonego o kilka kilometrów Uścia. Patrząc w przeciwną stronę, zauważa się szeroką panoramę łąk, zwykle buro – brązową od koloru późnojesiennej barwy traw.

Jeszcze dalej, na horyzoncie widać sosnowy bór. Spoglądając na południe, tuż za zabudowaniami oraz za zielonymi o tej porze roku oziminami nie sposób nie dostrzec starej, letnią porą mrocznej dąbrowy. Pewnie dlatego przylegające do niej od południowego zachodu pola nazywa się w *dąbkach*. Przez ową dąbrowę wiodła niegdyś żużlowa a obecnie „asfaltowa” droga do Siadczy i Klenicy.

Tę dzisiejszą nazwę drogi całkiem rozmyślnie piszę w cudzysłowie, bowiem stanem nawierzchni nie umywa się nawet do tej dawnej, żużlowej.

W upalne lato przyjemnie było jechać tamtędy rowerem w cieniu lipowej alei. Zaraz za rzędami lip rosną z jednej strony wysokie dęby a z drugiej buki, które ponad drogą stykają się gałęziami.

Udając się z Karszyna na północ w kierunku Kargowej, dziś przemierzamy się prostym asfaltowym traktem. Kiedyś jego przebieg wyglądał zupełnie inaczej. Droga wiała się malowniczo niczym wąż od jednego pagórka ku drugiemu, omijając podmokłe zaniżenia terenu. Znacznie później, to jest gdy była już utwardzona tłuczniem, tuż za pierwszym zakrętem, czyli jak mówiono



Aleja lipowa w kierunku Siadczy.

za drugim mostkiem, rozpoczynała się aleja wiśniowa, ciągnąca się aż do samego lasu. Na karszyńskie pola tam położone mówiono, że są pod Kargową.

Z Karszyna można dojechać do jeszcze dwóch innych sąsiednich wiosek, to jest do Susłowa, jadąc w kierunku południowo-wschodnim oraz do Dąbrówki, zmierzając na południowy zachód. Do obu tych miejscowości wiodą drogi gruntowe.

Pod względem przynależności administracyjnej obecnie Karszyn i jego mieszkańcy znajdują się w gminie Kargowa, która wchodzi w skład powiatu zielonogórskiego w województwie lubuskim. Piszę o tym, gdyż w przeszłości było różnie. Faktem jednak jest, że od 1975 roku, to jest od czasu, kiedy najmniejszą jednostką administracyjną państwa nazwano gminą, a w tej okolicy siedzibę władz zlokalizowano w Kargowej, miasteczko stało się rodzajem centrum. Tutaj bowiem do dziś załatwia się większość spraw urzędowych w ratuszu.

W mieście jest sporo sklepów, więc w nich robi się zakupy towarów, których sprzedaży nie prowadzą właściciele punktów handlowych we wsiach. Tutaj także szuka się pomocy lekarskiej – wcześniej w ośrodku zdrowia, obecnie u lekarzy prowadzących prywatne praktyki. Miasteczko jest także siedzibą parafii Kościoła rzymskokatolickiego.

Przyjrzyjmy się teraz przynależności administracyjnej Karszyna w minionym czasie.

1 stycznia 1874 roku w powiecie zielonogórskim (*Kreis Grünberg*), podobnie jak w wielu innych powiatach prowincji śląskiej (*Prowinz Schlesien*) państwa niemieckiego, zaczęło obowiązywać prawo wprowadzające istotne zmiany w administracyjnym podziale terytorialnym na poziomie gmin. Do tej pory Karszyn był jedną ze 107 gmin wchodzących w skład powiatu zielonogórskiego, ten zaś był jednym z 21 powiatów tworzących okręg legnicki (*Regierungsbezirk Liegnitz*), a ten z kolei wraz z dwoma innymi, to jest opolskim i wrocławskim

tworzyły prowincję śląską (*Prowinz Schlesien*).¹ Najważniejsza zmiana dotyczyła reorganizacji okręgów gminnych. We wspomnianym wyżej roku w ówczesnym powiecie zielonogórskim powstał okręg urzędowy Klenica (*Kleinitz*), w skład którego wchodziły gminy wiejskie, wśród których był Karszyn. Zatem okręgi tworzyły: Karszyn (*Karschin*), Klenica (*Kleinitz*), Swarzynice (*Schwarmitz*), Siadca (*Sedschin*), Mieszkowo (*Mühdorf*) oraz dobra prywatne (*Gutsbezirke*), będące częściami wsi: *Karschin, Kleinitz i Schwarmitz*, to jest razem 8 gmin.

Pewna zmiana dotycząca liczby gmin wiejskich w obrębie klenickiego okręgu zaszła z dniem 1. 01. 1908 roku. Wtedy okręg tworzyły: Klenica, Karszyn i Swarzynice oraz *Gutsbezirke* - dobra prywatne (majątki) w Klenicy, Karszynie i Swarzynicach (razem 6 gmin wiejskich).

W dniu 30. 09. 1928 roku wspomniane wyżej dobra prywatne włączone zostały w skład owych trzech wsi i w ten sposób powstały jednolite gminy wiejskie. Z dniem 1 lutego 1933 roku centrum okręgu gminnego nadal jest Klenica, a w jego skład wchodzi jeszcze Karszyn i Siadca.

W 1936 roku nazwa wiejskiej gminy *Karschin* zastąpiona zostaje inną, odtąd oficjalną i urzędową nazwą – *Großheiden*. Ostatnia innowacja administracyjnego okręgu gminnego Klenica dokonała się 1. 01. 1945 roku i oznaczała współgzystowanie 3 gmin wiejskich, to jest: Karszyna, Klenicy i Swarzynic. Stan taki trwał do początku 1946 roku, to jest do próby dostosowania dotychczasowego „związku 3 wsi” do formy funkcjonującej w polskiej administracji.²

Od początku 1946 do końca 1953 roku Karszyn należał do gminy Bojadła. Ta natomiast do końca 1950 roku znajdowała się w powiecie zielonogórskim, w ramach województwa poznańskiego. Od początku 1951 roku Karszyn nadal był w gminie Bojadła, ale już w powiecie sulechowskim i województwie zielonogórskim. Natomiast od początku 1954 roku do dziś omawiana wieś należy do gminy Kargowa. Do roku 1975 znajdowała się w powiecie sulechowskim w ramach województwa zielonogórskiego. Od roku 1976 do końca 1998 nie istniały powiaty jako jednostki administracyjne, lecz rejony. Wtedy Karszyn wraz z gminą Kargowa należały do rejonu wolsztyńskiego w ramach województwa zielonogórskiego. Od początku 1999 do dziś Karszyn nadal jest w gminie Kargowa, ale już w powiecie zielonogórskim i w województwie lubuskim.

Losy Karszyna i jego mieszkańców pod względem przynależności administracyjnej wydają się interesujące. Odzwierciedlają to przytaczane dane, dotyczące wsi sprzed 1945 roku oraz jej administracyjne związki po tym czasie. Chcę jednak wyraźnie zaznaczyć, że od momentu powstania osady Karszyn leżał na Śląsku i jest tak do dzisiaj, mimo różnych okoliczności dotyczących tej ziemi w ciągu minionych wieków.

1 www.gemeindeverzeichnis.de, odczyt: 30.01.2013 r.

2 www.tarritorial.de/ndsches/gruenbg/kleinitz, odczyt: 29.01.2013 r.

Geneza osady

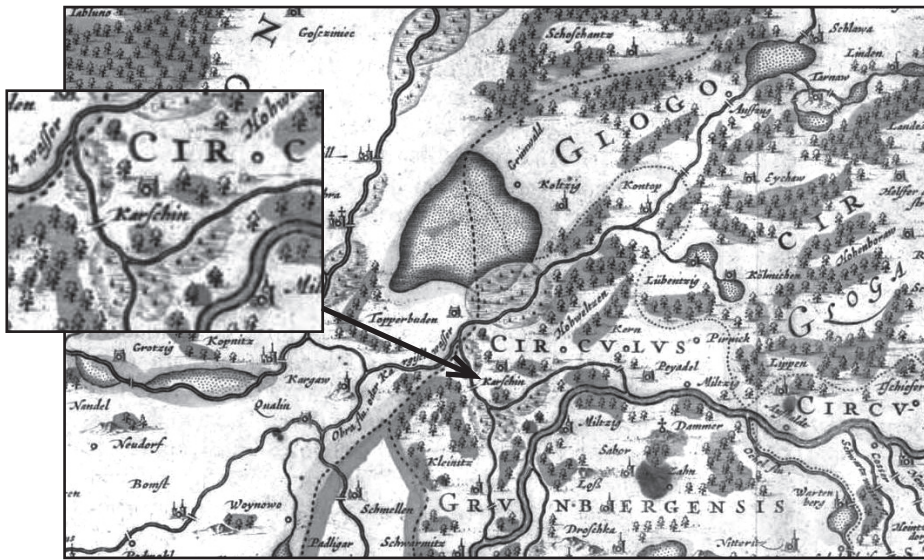
W publikacji „Plan odnowy miejscowości Karszyn na lata 2008 - 2015” opracowanej przez Urząd Miejski w Kargowej w kwietniu 2008 roku czytamy między innymi, że: „Losy Karszyna są nierozzerwalnie związane z pobliskim miastem Kargowa i jego lokację możemy określać na lata zbliżone. Pierwsze wzmianki o Kargowej pochodzą z roku 1360, a o Karszynie dopiero z 1637 (udokumentowane), gdy Kargowa dostała przywilej organizacji czterech jarmarków rocznie. Wtedy ludność Karszyna wykorzystując tę okazję zaczęła prężnie uprawiać rolę.”¹ Powyższy fragment zawiera co najmniej dwie istotne informacje. Pierwsza, że Karszyn był być może lokowany w średniowieczu, a druga, że losy wsi „nierozzerwalnie” związane były z Kargową. I tu powstaje pewna wątpliwość. Czy rzeczywiście musiało tak być? Związki wsi z blisko położonym miasteczkiem są oczywiste. Zadaję sobie jednak pytanie, czy Kargowa istotnie w tych dawnych czasach była szczególnie ważna dla Karszyna. W pierwszych wiekach czasów nowożytnych dla mieszkańca wsi przebieg granicy czy bliskość miasta mogły być sprawą drugorzędną. Najistotniejsze było, kto jest właścicielem ziemi i czego wymaga. Z później podanych źródeł wynika, że Karszyn przypisany był do właścicieli mających swe dobra na Śląsku. Wątpliwość tę wywodzę też z faktu, że Kargowa i Karszyn, choć tak blisko położone, znajdowały i nadal się znajdują po dwóch stronach granicy oddzielającej krainy geograficzne. Kargowa to miasteczko leżące w Wielkopolsce, zaś Karszyn to wieś położona już na Śląsku. O zbiegu granic w tym miejscu mówi zapis pochodzący z kronik archidiecezji poznańskiej, dotyczący *Draszkowego Ostrowu* leżącego pod Wielkim Lasem.² Tam nie lokalizuje się dokładnie obiektu fizjograficznego, pełniącego w owych czasach, to jest w początkach XVI wieku, rolę znaku granicznego, ale wymienia się nazwy miejscowości, pomiędzy którymi on się znajduje – Uście, Jaromierz, Kargowę w Polsce oraz Klenicę na Śląsku. Wskazuje się też na nieprzemierzalne obiekty, obok których ów Ostrów leży. Jest to Wielki Las oraz rzeki Mościska i Obrzyca.

Porównując szesnastowieczną lokalizację *Draszkowego Ostrowu*, zwanego także *Kopcem Śląskim* z dzisiejszą fizjografią terenu, bez trudu można zauważyć owo porośnięte starodrzewem sosnowym wzgórze, leżące pod samym Uściem, po prawej stronie drogi wiodącej z Karszyna.

Dodatkową wskazówką jest zapis nazwy wzniesienia zaznaczonego na mapie z 1933 r. wzorowanej na innej, jeszcze pruskiej z roku 1892 r. Tam owo miejsce jest wymieniane jako *Trescave*. Nazwa Wielki Las jako określenie wsi pojawi się w historii Karszyna w 1936 roku. Od wtedy jako – Großheiden będzie występować w oficjalnym nazewnictwie do końca 1945 roku, to jest do ustanowienia polskiej administracji po drugiej wojnie światowej.

1 Plan odnowy wsi Karszyn na lata 2008-2015, Urząd Miejski w Kargowej, 2008, s. 13.

2 T. Jurek (red.), Słownik historyczno – geograficzny ziem polskich w średniowieczu, Instytut Historii PAN 2010, s. 128.



Fragment mapy Śląska z 1645 roku z nazwą *Karschin*.
 Źródło: www.biblioteka cyfrowa.pl: 37482, odczyt: 29.01.2013 r.

W latach 60. ubiegłego wieku przyjęto do ewidencji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Zielonej Górze obiekt prehistoryczny – cmentarz całopalny, zlokalizowany w lasach karszyńskiego leśnictwa, co wskazuje na prehistoryczne dzieje miejscowości.³

Z innych źródeł dowiadujemy się, że zachowały się przekazy ustne i legendy informujące, że w miejscu dzisiejszego Karszyna w odległych czasach krzyżowały się szlaki komunikacyjne pomiędzy Klenicą i Kopanicą oraz Konotopem i Kargową. Teren, przez który wiodły dawne trakty był niełatwy do przebycia przez większą część roku, dlatego na wzniesieniu powstał zajazd lub karczma, gdzie po trudach brnięcia przez podmokłe leśne knieje można było odpocząć. Tam ludzie mogli się posilić i przenocować, tam też mogły odpocząć zwierzęta pociągowe.⁴ Tę okolicę od dawna określano też mianem *Zabeltitze*, co w języku niemieckim oznacza *hinter den Sümpfen*, czyli *za błotami*. Bardziej prawdopodobne wydaje się kojarzenie wspomnianego *Zabeltitze* z konkretną osobą. Jak czytamy we wspomnianej publikacji A. Foerstera – od 1443 roku Klenica i inne okoliczne miejscowości należały do Zygmunta von Zabeltitz.⁵

Pierwsza pisana wzmianka o Karszynie jako czyjejs własności dotyczy Hansa von Rechenberg władającego także Sławą i Klenicą. Ów szlachcic „... był przyjacielem Martina Lutra i zagorzałym zwolennikiem reformacji.”⁶ Z tej samej publikacji wiemy, że Hans von Rechenberg zmarł w 1537 r.⁷ Druga

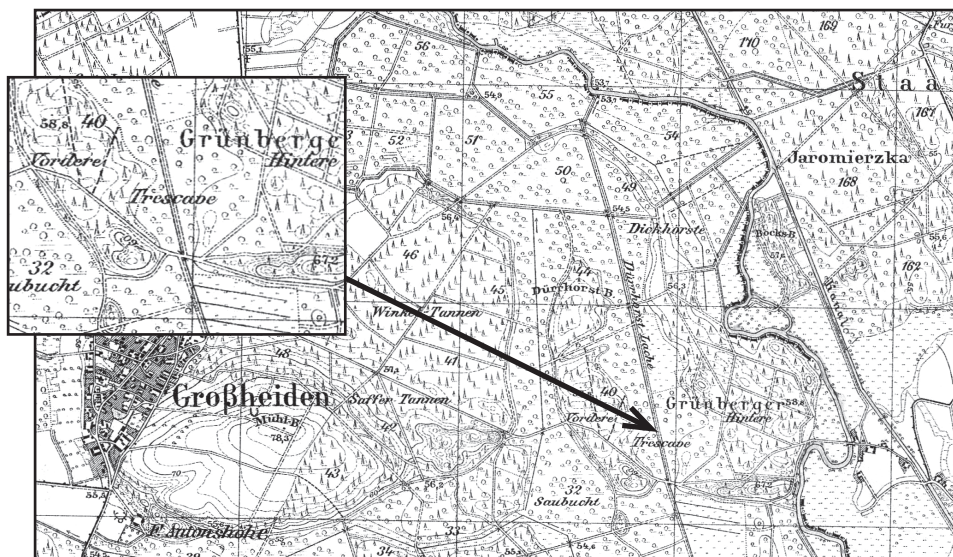
3 Plan urządzenia lasu Nadleśnictwa Sulechów na okres od stycznia 2010 r. do 31 grudnia 2019 r. Poznań 2010, s. 184.

4 A. Foerster, *Geschichtliches von den Dörfern des Grünberger Kreises*, Verlag von Eduard Weller, Grünberg 1905, s. 256.

5 A. Foerster, tamże, s. 225.

6 S. Petriuk, *Unruhstadt und Karge, Uście-Kargowa-Langballingholz* 2005, s. 198.

7 Tamże, s. 198.



Fragment mapy z 1938 r., z nazwą *Trescave* (*Draszkowy Ostrów*).
 Źródło : <http://amzpbig.com/maps/3961Unruhstadt1938>, odczyt: 29.01.2013 r.

pełna informacja, pozwalająca wiązać nazwę Karszyn z jego właścicielem, pojawia się dopiero w 1570 roku, kiedy Sebastian von Unruh z Klepska osiada na tutejszym majątku i reprezentuje okoliczną szlachtę w Zgromadzeniu Dziejców Powiatu Sulechowskiego.⁸ O owym szlachcicu wywodzącym się ze znanego rodu wiadomo, że ożenił się przed 1561 rokiem z Anną Knobelsdorf pochodzącą z innego podsulechowskiego znamienitego rodu.

Jak długo zarządzali karszyńskim folwarkiem - nie wiadomo, bowiem Sebastian umarł przed 16 czerwca 1585 r.



Zabudowania dawnego folwarku.

⁸ T. Dzwonkowski, Emancypacja szlachty weichbildu sulechowskiego w XVI w. [w:] M. Konopnicka-Szatarska, Kontreformacja w księstwie glogowskim (XVI-XVIII w.), s. 63 i 66.

Nazwa wsi

Jak widać, Karszyn to wieś o dość długim rodowodzie. Nazwa tej miejscowości nie jest do końca etymologicznie wyjaśniona.

Według A. Foerstera wywodzi się prawdopodobnie od czynności karczowania, jaką musieli wykonać pierwsi osadnicy. Karczowania, to jest usuwania drzew wraz z korzeniami (karczami). Czynność ta, choć pracochłonna i ciężka, dawała przestrzeń do wznoszenia siedzib ludzkich. Nowe pola można było uprawić i obsiać zbożem, a z niego mieć pożywienie – podstawę egzystencji. Dopiero wtedy wydarty lasowi kawałek terenu nadawał się do życia. Za takim źródłem nazwy wsi opowiada się wspomniany August Foerster, autor publikacji zawierającej historię miejscowości powiatu zielonogórskiego z przełomu XIX i XX wieku.¹ Niektóre źródła podają też, że słowo Karszyn może pochodzić od *Karsin* lub *Karschin* jako nazwa dzierżawcza *Karszyn* lub *Karszin* od imienia *Karsz*, *Kars*. Ps. **krъshъ* = "okaleczony", stąd pol. *Karśniawy* = „mańkut”, gw. *Karślak* = „niskie, sękowate, pokrzywione drzewo”². Tak, jak wywodzi się nazwę miasta Świebodzin od imienia jego założyciela lub właściciela – *Swieboda*, tak i określenie Karszyn mogłoby pochodzić od właściciela lub założyciela noszącego miano *Karsz*. Przyjąć jednak trzeba, że analizowane tutaj określenie nie jest nazwą dzierżawczą, gdyż gdyby pochodziło od nazwy właściciela, to musiałby on najpierw gdzieś zaistnieć i raczej nie dałoby się uniknąć odnotowania tego faktu w jakichś źródłach pisanych.

Karschin funkcjonuje jako nazwa do 1936 roku, kiedy ze względów ideologicznych wiele nazw miejscowości mających słowiański rodowód zostało zmienionych w trybie administracyjnym.³ Od tego roku w III Rzeszy, na terenie której znajdowała się omawiana wieś, aż do zakończenia II wojny światowej nazywał się *Großheiden*.

Kiedy w wyniku wielkiej zawieruchy wojennej Karschin – *Großheiden* w 1945 roku znalazł się w granicach państwa polskiego, decyzją Komisji Ustalania Nazw Miejscowości działającej głównie na tzw. Ziemiach Odzyskanych przywrócono mu pierwotne brzmienie, dodatkowo „polonizując” charakterystyczny dla wyrazów niemieckich człon *-sch-*, poprzez zastąpienie go typowo polską głoską /literą *-sz-*. Odtąd słowo Karszyn jest oficjalną nazwą miejscowości, figurującą w publikacji pt. „Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce”.⁴ Zanim jednak tak się stało, przybysze z różnych stron przedwojennej Polski nazywali swe nowe miejsce zamieszkania Kaszyn lub Kaszyno.⁵ W Księdze zmarłych Wikariatu Lokalnego Karszyn kapłan, który zarejestrował datę śmierci i pochówku księdza Franza

1 A. Foerster, tamże, s. 256.

2 S. Rospond, Słownik etymologiczny nazw miast i gmin PRL, Ossolineum, 1984, s. 136., Por. W. Pasterniak H. Szczegółą *Sprzed 1000 lat*, [w:] „*Gazeta Zielonogorska*” lata 1959 – 1963. W latach tych wymienieni autorzy przedstawili etymologię nazw większych miejscowości Ziemi Lubuskiej.

3 www.territorial.de/ndschs/gruenbg/kleinritz/, odczyt: 30.01.2013 r.

4 Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce, Wydawnictwo Ministerstwa Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, GUS 1982, s. 44.

5 W. Pasterniak H. Szczegółą, Słownik nazw geograficznych Ziemi Lubuskiej, LTK, Zielona Góra 1963, s. 8.

Weckera, (19 i 22 czerwca 1946 roku) miejscowość nazwał Karszyna.⁶ Podobnie omawianą miejscowość nazywa Alicja Michałowska, która w korespondencji z autorem opisuje swój przyjazd do Karszyny we wrześniu 1945 r.⁷ Przeglądając publikacje mogące zawierać informacje na temat naszej wsi, natknąłem się na łacińską nazwę Karszyna. Wieś tę wymienia się jako *Carschina* i pochodzi z monumentalnego dzieła, informującego o kościołach w diecezji wrocławskiej. W tej pisanej po łacinie publikacji znajdują się informacje o trzech wizytacjach parafii przeprowadzonych w XVI i XVII w. w archidiakonacie głogowskim diecezji wrocławskiej. Po pierwszej wizytacji parafii Milsko, do której wtedy należał Karszyn, przeprowadzonej w 1580 roku, w sprawozdaniu napisano: „Do niego (proboszcza w Miltzig) należy Carschina, wieś oddalona o pół mili, gdzie 10 ogrodników, w tym 5 katolików skąd uzyskuje wielkie utrzymanie, od wójta jedną kwartę czystej mąki i w pieniądzech 8 denarów, od owczarza 4 denary i od każdego ogrodnika i gospodarza tyleż samo denarów”.⁸

Podsumowując, można stwierdzić, że nazwa wsi zmieniała się w ciągu wieków, począwszy od XVI, kiedy to występuje Carschina, w XVII w. Charßin, w XIX w. Karschin, w latach 1936-1945 Großheiden, a od 1945 r. Karszyn.

6 Liber mortuorum (Księga zmarłych) od roku 1928 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie, s. 15.

7 List Alicji Michałowskiej z domu Szczemirska z dnia 19.01.2012 r. (W posiadaniu autora)

8 J. Jungwitz, Visitationsberichte der Diözese Breslau, Archidiakonats Glogau, erster teil, G.P. Aderholz Buchhandlung, Breslau 1907, s. 550-551.

Mieszkańcy dawnego Karszyna

Trudno ustalić dokładną datę powstania Karszyna. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że o założeniu tutaj osady, to jest miejsca, z którego można było zarządzać pierwszymi pracami związanymi z karczowaniem okolicznych lasów w celu pozyskania terenów pod uprawę roli, zdecydował ktoś z ówczesnej szlachty, władającej tą częścią Śląska. Taką hipotezę wysunął T. Andrzejewski, pisząc: „Prawdopodobnie w wyniku prowadzonej przez Rechenbergów akcji osadniczej powstały w XVI stuleciu nowe wsie – Karszyn, Siadcza i Stary Staw.”¹ Na inną przyczynę powstania osady wskazuje wspomniany wcześniej August Foerster. Powołuje się on na funkcjonujące jeszcze w XIX w. legendy mówiące o tym, że pierwsi tutejsi mieszkańcy byli rybakami (*Fischer*) i ptasznikami (*Vogelsteller*). Ten sam autor uważa, że początki wsi mają związek z ludnością polskojęzyczną. Nadmienia, że jeszcze 80 – 100 lat wcześniej, czyli od momentu powstania publikacji, mówiło się tutaj po polsku, ale współcześnie dla Foerstera, język ten był już w zaniku.² Podobnie uważa wspomniany wyżej T. Andrzejewski, który pisze: „W XVI – XVII w. terytorium księstwa głogowskiego było zróżnicowane etnicznie. Na początku XVI stulecia próbę określenia granicy językowej na Śląsku podjął się Bartłomiej Stein. Wg niego granicą językową była rzeka Odra – tereny położone na południu i zachodzie zamieszkiwali Niemcy, natomiast część północną i wschodnią Śląska – Polacy.”³ Wsie na prawym brzegu Odry były niemal całkowicie polskie, a osady niemieckie nieliczne. W księstwie głogowskim obszary zamieszkałe przez ludność polską to położone na północ od Głogowa okolice Nowej Soli, Otynia, Konotopu, Klenicy i Kolska.⁴ Osadnicy pojawili się tutaj pewnie jako poddani, których zadaniem było zbudowanie pomieszczeń dla siebie i zwierząt. Z czego wznoszono pierwsze budowle – nie bardzo wiadomo.



Gliniana stodoła Jadwigi Pineckiej.

Być może było to powszechnie dostępne drewno jako materiał ścienny oraz trzcina z pobliskich mokradeł jako pokrycie dachowe. W późniejszych czasach przybyszów czekały pewno ostrzejsze wymogi dotyczące wznoszenia obiektów budowlanych, które musiały być odporne na pożary. Zatem prawdopodobnie były to inne materiały jak choćby

1 T. Andrzejewski, Rechenbergowie w księstwie głogowskim w XVI-XVII wieku, Zielona Góra 2010, s. 85.

2 A. Foerster, tamże.

3 T. Andrzejewski, tamże, s. 22.

4 Tamże, s. 23.

występująca w okolicy glina, która zmieszana ze słomą nadawała się do wznoszenia ścian szachulcowych. Tak budowano jeszcze na początku XX w. Nieliczne tego typu obiekty, już niestety tylko inwentarskie, można do dziś oglądać w Karszynie. Starsi mieszkańcy nadal pewne miejsce *na górach* nazywają *gliniankami*. Obecnie rośnie tam las, który podobnie jak teren wspomnianych *glinianek* był własnością wiejskiej wspólnoty.

Przybysze oferowali gotowość do pracy, a pan zlecał geometrom wymierzenie działek przydzielanych poddanym. W czasach reformacji nawet decydował, jaką wiarę mają wyznawać jego chłopci. W średniowieczu było oczywiste, że to chrześcijaństwo w jego katolickiej odmianie. Później, po 1555 roku, ludność zamieszkująca należące do dziedzica ziemie nie miała wyboru. Musiała, przynajmniej oficjalnie, wyznawać taką wiarę, jaką akurat preferował pan. Obojętnie jednak jak ze sprawami wyznania było, zwykle większym skupiskom ludności zasiedlającej jakiś teren towarzyszył głosiciel słowa Bożego. Kto nim wtedy był i czy w Karszynie owego czasu istniał jakiś dom Boży – o tym będzie mowa nieco później.

W tym miejscu warto zauważyć, że u progu XVI w. szlachta tych okolic nie należała do bogatych. „Większość posiadała zaledwie jeden, rzadziej dwa folwarki. Na każdym folwarku pracowało kilka, rzadziej kilkanaście rodzin chłopskich o bardzo różnym statusie zależności i w związku z tym świadczących zróżnicowane powinności na rzecz właściciela. Najpowszechniejsza była pańszczyzna sprzężajna, do której byli zobowiązani prawie wszyscy posiadający woły.”⁵ Właściciele folwarków dochody uzyskiwali ze sprzedaży drewna jako materiału budowlanego, zboża oraz wełny z powszechnie hodowanych owiec, które wypasano na łąkach, wrzosowiskach i w lasach. Poddani w tych folwarkach mieli pewien zakres swobód, bo „...szlachta starała się zapewnić sobie kontrolę nad wsią, bez szkodenia chłopu. Zdawano sobie sprawę z wartości prac wykonywanych przez poddanych, a otwarty konflikt z nimi okazywał się nieopłacalny nawet jeśli grunta i pańszczyzny były to dwa stale powtarzające się przedmioty sporu dworu z wsią.”⁶ W XVI wieku dochodzi też do krwawych zatargów granicznych na tym terenie pomiędzy właścicielem Sławy, Klenicy i Karszyna położonych na Śląsku – Hansem von Rechenberg a Stanisławem Żychlińskim – właścicielem Karge i Chwalimia, leżących w Wielkopolsce.⁷ Ponadto zauważyć trzeba, że XVI wiek to czas wojen religijnych w Zachodniej Europie oraz towarzyszących im zjawisk zarazy, które pustoszyły całe połacie księstw. Nieumiejętne obchodzenie się z chłopstwem powodowało zjawiska zbiegostwa. Było ono wprawdzie karane, ale wobec braku rąk do pracy, właściciele majątków nie mieli interesu w konsekwentnym dochodzeniu, skąd i od których panów potencjalni pracownicy zbiegli. Owo zjawisko mogło uchodzić za bezkarne szczególnie tutaj, to jest u zbiegu trzech graniczących ze sobą krain – Śląska, Marchii i Wielkopolski. Czy dochodziło do jakichś nieporozumień pomiędzy właścicielem majątku a ludźmi mieszkającymi poza nim - tego nie

5 T. Dzwonkowski, tamże, s. 67.

6 J. Kuczer, *Szlachta w życiu społeczno-gospodarczym księstwa głogowskiego w epoce habsburskiej 1526 – 1740*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2007, s. 173-4.

7 S. Petriuk, tamże, s. 198.

wiemy, ale to na ów czas przypada słynne „przywiązanie chłopów do ziemi i obowiązku pełnienia określonych robocizn oraz świadczenia czynszów zależnych od areалу posiadanych gruntów.”⁸Również tutaj „...typowym zjawiskiem była praca najemna, dobrze zorganizowana, pozwalająca na przyjmowanie do pracy służby folwarcznej i ustalania jej wynagrodzenia”.⁹ Przybywający w te strony chłopci byli zobowiązani do wykonywania pracy na rzecz dworu, czyli świadczenia posługi pańszczyźnianej w polu, w folwarku, w pańskim lesie. Do ich powinności należało także świadczenie usług rzemieślniczych i budowlanych zarówno w obiektach folwarcznych, jak i wszędzie tam, gdzie nadzór ze strony dworu to zlecił. Wydaje się, że aby zarządzanie dobrami dworskimi było sprawne, a wszystkie wykonywane prace sensowne, potrzebna była dworska administracja dobrze znająca cały majątek i rozumiejąca potrzebę wykonywania określonych prac.

W początkach XVI wieku w księstwie głogowskim obserwuje się pewne przejawy samorządności chłopskiej, wprawdzie szczątkowej i mocno zależnej od właściciela wioski, ale istnieje instytucja wójta i ławników, których role, chociaż mocno symboliczne, pozostawały w związku z obrotem nieruchomości, różnymi obciążeniami, zatwierdzaniem wytyczonych granic, spisywaniem i egzekucją testamentów.¹⁰ Sołtys (*Schulze*) lub wójt (*Ammann*) zawiadywał wspólnotą, rozstrzygał drobne spory, reprezentował przybyszów przed miejscowym dziedzicem lub jego reprezentantem. On zwoływał przedstawicieli wspólnoty w celu naradzenia się w sprawach, o których nie musiał decydować pan. Kto takie funkcje sprawował wśród tamtejszej społeczności spoza folwarku - również nie wiemy.

Możemy natomiast zakładać, jak wyglądało obejmowanie w posiadanie przydzielonych obszarów przez przybyłych. Otrzymywali oni określony areal według zasad ustalanych we dworze, ale pewnie i przy udziale osób reprezentujących samorząd chłopski. Świadczą o tym do dziś zauważane fakty. Grunty dworskie, ale i chłopskie usytuowano na lekko podwyższonym terenie, tak by w czasie czy to większych opadów deszczu, czy też roztopów śniegu nie było z tego powodu problemów. Karczowanie powierzchni zalesionych przeprowadzano tam, gdzie przyszłe uprawy polowe mogły liczyć na sukces, to jest w zaniżeniach terenu, ale nie na tyle głębokich, by w wilgotnych porach roku nie ucierpiały zboża czy rośliny okopowe. Tam zaś, gdzie zwykle teren był wilgotny, zakładano łąki i pastwiska dla bydła. Początki urządzania się w Karszynie pewnie nie były łatwe i wymagały uważnej obserwacji tutejszej przyrody. Niewykluczone też, że to dopiero pewne niepowodzenia w zakresie zmagania się z naturą kazały, pod mądrym nadzorem ze strony dworu, przeprowadzić pierwsze niezbędne prace ziemno - hydrologiczne polegające na wykonaniu rowów odprowadzających nadmiar wody w określonych porach roku. „Gospodarka rolna na tych terenach rozwijała się już od średniowiecza, a intensyfikacja jej nastąpiła w XVIII i XIX wieku, kiedy to pozbawiono lasów okolice wsi Bojadła, Kalsk, Karszyn, Klenica, Klepsk, Kruszyna i Trzebiechów”.¹¹

8 Tamże, s. 174.

9 J. Kuczer, tamże, s. 176.

10 Tamże, s. 174.

11 Plan urządzania lasu... , s. 54.

Prawdziwą rewolucję w sprawach odwodnień i nawodnień pozyskanych terenów pod działalność rolniczą przeżył Karszyn i inne okoliczne wsie w XIX wieku, kiedy został uregulowany główny ciek wodny w okolicy – Obrzyca. Od jego możliwości odbiorczych zależały bowiem w zasadzie wszystkie prace melioracyjne.

Jak już wyżej była mowa, wspomniane elementy infrastruktury wiejskiej - rowy melioracyjne i drogi mogły powstać jedynie jako efekty zbiorowego wysiłku, ale oczywiście przy odpowiednim dozorze. Taki zaś mógł zapewnić jedynie miejscowy dziedzic i zatrudniony przez niego fachowiec. Wykonanie tego wszystkiego było możliwe, gdyż ówczesna ludność znała pojęcie „przymusu pracy”, to jest konieczności odrabiania pańszczyzny.

Trzeba także pamiętać, że od początku XVI wieku wspomina się o Karszynie jako własności szlacheckiej należącej najpierw do Hansa von Rechenberg a potem do Sebastiana von Unruh. Czy wtedy byli oni właścicielami całej osady, czy istotnej jej części - trudno dziś stwierdzić, ale z pewnością to za ich władzenia oraz kolejnych dziedziców karszyńskiego majątku powstały plany logicznego zagospodarowania okolicy.



Koleżanki autora na tle kuźni Alberta Dyby. Od lewej strony stoją: T. Zboralska, H. Wierzowiecka i T. Dziamska, 1968 r.

Większość prac w owych czasach wykonywana była ręcznie lub z wykorzystaniem siły pociągowej zwierząt. Niektóre narzędzia będące wtedy w użyciu mają zastosowanie również dzisiaj. Ale te dawne ktoś musiał wykonać. Najprostsze narzędzia, np. widły do siana, grabie czy cep do młócenia zboża robiono we własnym zakresie z powszechnie dostępnego drewna. Ale już narzędzia do obróbki drewna, takie jak: siekiery, piły, młotki czy gwoździe wytwarzał we wsi kowal. Na początku był on pewnie tylko w miejscowym folwarku, ale wraz

z rozwojem osady niezależnej od pana rzemieślnik taki musiał istnieć i tam. Był on przecież niezbędny, gdy trzeba było podkuć konia, wyklepać lemiesz do pługa, zrobić sierp albo kosę do sieczenia trawy lub zboża, albo też naprawić oś lub obręcz żelazną przy kole od wozu. W Karszynie kowal był więc potrzebny. Nie wiemy, od kiedy we wsi istniała kuźnia, ale wiadomo, kto przed ostatnią wojną był tutaj kowalem. Swój warsztat – kuźnię (*Schmide*) miał w centralnym miejscu Albert Dyba zaraz naprzeciwko piekarni oraz kościoła.

Wielu zajęć mieszkańców Karszyna można się domyślić, analizując opracowanie W. Strzyżewskiego „Rola szlachty w kształtowaniu oblicza społeczno-gospodarczego Nowej Marchii (XVI-XVIII w.)”.

Struktura społeczna wsi nowomarchijskich należących do szlachty, króla, Kościoła czy miast - jak podaje źródło – nie odbiegała od znanego stanu w Polsce i przedstawiała się następująco: sołtysi (*Schulze*), kmiecie (*Bauern*), zagrodnicy (*Kossäten*), zwani też w niektórych powiatach ogrodnikami (*Gärtner*), chałupnicy małorolni (*Büdner*, *Hausleute*), komornicy (*Insleute*), robotnicy na dniówkę (*Tagelöhner*), ludzie luźni oraz robotnicy wiejscy, jak młynarz (*Müller*), osoby opiekujące się zwierzętami – owcami (*Schäfer*), świniami (*Schweinehirt*), bydłem (*Kuhhirt*). We wsi ważną rolę odgrywali też karczmarz (*Krüger*), zakrystian (*Küster*) i bakałarz (*Schulmeister*)¹². Wśród tak ukształtowanego społeczeństwa osiadł w Karszynie właściciel tutejszego majątku – Sebastian von Unruh¹³, który w roku 1570 uczestniczył obok brata Heinricha z Klepska, Melchiora Jeris Löeben z Bukowa oraz Caspara von Knobelsdorf z Mozowa w Zgromadzeniu Dziedziców Powiatu Sulechowskiego.¹⁴ Pewnie też od tamtych czasów osada rozwija się jakby dwutorowo - jako wieś Karszyn (*Dorf Karschin*) oraz jako majątek ziemski Karszyn (*Gutsbezirk Karschin*). Interesująca wydaje się informacja, związana ze spisem ludności przeprowadzonym w 1900 roku. Według niej społeczności dwóch gmin wiejskich, to jest Karszyna i Siadczy liczy się łącznie i liczba ich mieszkańców wynosi 587. Zaś teren majątku zamieszkiwały 54 osoby.¹⁵

Połączenie obu wspólnot mieszkańców Karszyna nastąpiło dopiero 30.12.1928 r., bowiem rok wcześniej należące wówczas do Radziwiłłów dobra klenickie, w skład których wchodził także majątek w Karszynie, uległy parcelacji.¹⁶ Być może już wtedy, gdy część wsi wchodziła w skład klenickich dóbr należących do szlachty, na końcu do Radziwiłłów, próbowano zachęcić mieszkańców różnych niemieckich landów do osiedlania się Karszynie. Można sądzić, że także wówczas Pruskie Powiernictwo Ziemskie zleciło wytyczenie terenów siedliskowych i pobudowanie na nich domów mieszkalnych wraz z zapleczem gospodarczym w Siadczy i Dąbrówce. Zapewne tych czasów dotyczą opowieści pochodzące od urodzonego w 1901 r. Franciszka Golli. Jest to postać bardzo ciekawa ze względu

12 W. Strzyżewski (red.), Rola szlachty w kształtowaniu oblicza społeczno-gospodarczego Nowej Marchii (XVI-XVIII w.), [w:] Rocznik Lubuski LTN tom XXVII cz. I, Zielona Góra 2001, s. 114.

13 T. Dzwonkowski, Emancypacja szlachty weichbildu sulechowskiego w XVI w. [w:] Rocznik Lubuski, Tom XXVII, cz.I, LTN Z. Góra 2001, s. 63.

14 Tamże, s. 66.

15 A. Foerster, tamże, s. 255.

16 www.territorial.de/ndsches/gruenbg/kleinitz, odczyt: 29.01.2013 r.

na wydarzenia, w których przyszło mu uczestniczyć. Jego opowieści miał okazję słuchać mój ojciec, który po przybyciu w 1945 roku do Karszyna, jako drwal pracował w lesie oraz w melioracji razem z owym mężczyzną. Biografia Franciszka Golli jest na tyle interesująca, że mogłaby posłużyć za kanwę scenariusza filmowego. Dla Golli Karszyn był miejscowością, do której przybył z niedalekiej Dąbrówki, a tam z Łazisk koło Strzelec Opolskich. W te strony przyjechał w 1926 roku po plebiscycie, jako byty uczestnik III powstania śląskiego. Wyraźnie opowiedział się wówczas za polskością Śląska a to nie przysporzyło mu przyjaciół wśród dotychczasowych sąsiadów – Niemców. Przyjechawszy w te strony, otrzymał pracę i lokum w majątku znajdującym się *Dorothenau*, to jest dzisiejszej Dąbrówce, gdzie mieszkał i pracował do 1928 r. Majątek w tym czasie wchodził w skład dóbr klenickich Radziwiłłów. Tam poznał i w 1927 roku poślubił Józefę, z domu Bugaj, pochodzącą spod wolsztyńskiej Berzyny. Oboje od 1928 do 1935 roku mieszkali w Kargowej, skąd po kupieniu większego domu wyprowadzili się do Karszyna, gdzie na świat przyszły ich dzieci – Waleria, Adalbert, Werner, Lothar i Rudolf. Odtąd Karszyn stał się dla Gollów wsią, z którą byli emocjonalnie bardzo związani, dlatego relacje Franciszka o tej miejscowości były i barwne, i ze względu na sentyment pełne troski o „swoją małą ojczyznę”. Jego opowieści będą tutaj kilkakrotnie źródłem informacji o miejscowości i o wydarzeniach z nią związanych z lat międzywojennych.

Pierwsza z nich dotyczy motywacji, jaką mieliby się kierować przybysze zachęceni do osiedlenia w Karszynie i okolicy, w XIX i na początku XX wieku. Miały ją wzmacniać prezentowane przed potencjalnymi przybyszami okazy płodów rolnych tutaj uzyskiwanych. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że była



Jadwiga i Wilhelm Muche
(w ciemnych strojach).
Od lewej ich córka Marta i jej
kuzynka Maria Wuttke. Pocz. XX w.



Franciszek Golla przy żywicowaniu



Siedliska osadników w Dąbrówce, lata 30. XX w.

to swoista reklama, niekoniecznie oddająca stan faktyczny. Jak opowiadał Golla – pokazywano żdzbla żyta wysokiego na 2 m, buraki i ziemniaki osiągające ponadprzeciętne rozmiary, opowiadano o obfitości ryb w wodach nie całkiem uregulowanej jeszcze wówczas Obrzycy oraz o nieprzebranych ilościach pactwa wodnego. Tak więc przybywający

osadnicy nie mieliby problemów z aprowizacją, a dodatkowo mogli liczyć na pomoc ze strony możnych, do których w tym czasie owe ziemie należały w postaci ulg w podatkach dla osiedlających się „na wschodzie”.¹⁷ Przy okazji tej opowieści warto tu dodać, że właśnie z tych czasów pochodzą wytyczone działki siedliskowe wraz z pobudowanymi na nich obiektami mieszkalno – inwentarskimi dla osadników w Dąbrówce (*Dorothenau*) i Siadczy (*Sedczyn*). Zarówno działki jak i zabudowania miały wspólną cechę – były identyczne.

Z opowieści, tym razem pochodzącej od kolegi „ze szkolnej ławy” – Zygmunta Kubickiego - potomka rodziny mieszkającej od pokoleń w Karszynie – wiem, że przynajmniej część osadników przybyła aż z okolic Koblenz (Nadrenia), a dokładniej z Ochtendung. Podążając śladem tej informacji, zwróciłem się z prośbą do tamtejszej parafii ewangelickiej o pomoc w zidentyfikowaniu nawisk przybyłych w te strony mieszkańców. Po wielu miesiącach oczekiwania, kiedy straciłem nadzieję na jakąkolwiek odpowiedź, ta nadeszła. Pastor Jörg Schuh w wyczerpujący sposób napisał, jakie rodziny, kiedy i do jakich miejscowości w czasie prowadzonej po I wojnie światowej akcji osiedleńczej przybyły. Byli to:

Fritz i Magdalena Flöck, 1927, Eichenbaum, (Siadcza),
Peter i Katarina Gries, 1927, Eichenbaum,
Alois i Maria Kohnz, 1927, Eichenbaum,
Johann i Anna Krämar, 1926, Eichenbaum,
Joseph i Katarina Krämer, 1927, Eichenbaum,
Eugen i Alwina Müller, 1927, Eichenbaum,
Josef i Maria Krämer, 1927, Dorotheenau, (Dąbrówka),
Ernst i Gertrud Krämer, 1927, Dorotheenau,
Alois i Suzanna Schäfer, 1926, Karschin, (Karszyn),
Leonard i Anna Schopp, 1926, Karschin,
Josef i Elizabeth Klempt, 1926, Karschin.¹⁸

¹⁷ Opowieść pochodząca od Franciszka Gollia, a przekazana przez I. Mąkosę.

¹⁸ Pastor Jörg Schuh, oprócz przytoczonych w tekście informacji, dodał, jakie były późniejsze losy członków wymienionych rodzin. Pisał m. in. to, że pod koniec 1944 r. wyjechały w rodzinne strony do Ochtendung.

Inny przypadek z kolei sprawił, że dowiedziałem się, kto zarządzał karszyńskim folwarkiem w połowie XIX wieku. Był nim inspektor gospodarczy Wilhelm Robert Ludwig Kirschke. Mieszkał w Karszynie i kierował miejscowym gospodarstwem do jesieni 1863 roku. Wiosną roku następnego pracował już w folwarku Swarzynice.¹⁹

Wraz z upływem czasu ulegała zmianie struktura własności ziemi. Mocniejsi ekonomicznie chłopci stawali się właścicielami gruntów należących do tych biedniejszych. Ci z kolei, by wyżywić rodziny, podejmowali się pracy u tych zamożniejszych. W ten sposób w okresie międzywojennym w Karszynie gospodarzyło kilku liczących się rolników, a reszta to byli – by użyć tu dzisiejszego określenia – działkowcy, mający za inwentarz przysłowiową kozę, kilka gęsi, rzadko krowę, która często służyła również za siłę pociągową. Trzeba przy tym dodać, że tutejsze pola uprawne nigdy nie należały do obficie plonujących, gdyż były to na ogół słabe gleby piaszczyste, letnią porą łatwo tracące wilgoć. Z tego powodu uprawiający ziemię mieli ją co najmniej w dwóch kawałkach. Jeden to grunty słabsze, piaszczyste, drugi nieco lepsze. Nie sąsiadowały zwykle ze sobą. Jeśli jeden był w pobliżu wsi, to drugi znajdował się w dość dużym oddaleniu, np. *pod kanałem, pod Dąbrówką, w dąbkach*. Lokalna gazeta *Grünberger Wochenblatt* w 1935 roku donosiła, że powierzchnia gruntów Karszyna i Siadczy wynosiła łącznie 11496 mórg. Z tego 8416 mórg należało do dawnego majątku.²⁰ Wielu karszynian, dysponujących większą ilością wolnego czasu, szukało dodatkowego zajęcia, np. w nieodległej Kargowej, gdzie funkcjonowało rzemiosło, a w XIX wieku zaczął rozwijać się przemysł. Tam można było dorobić mając się murarki, pracując w browarze, młynie lub przy innych dorywczych pracach. Prawdziwy przełom w zakresie zapotrzebowania na siłę roboczą nastąpił dla małorolnych lub bezrolnych mieszkańców Karszyna, gdy w 1905 roku do Kargowej dotarła kolej żelazna. Odtąd pociągiem można było dojechać do Sulechowa, Zielonej Góry, Gubina, Berlina, Drezna a nawet odległego Hamburga. W tych miastach rozwijający się przemysł potrzebował coraz to nowych rąk do pracy albo chociaż różnego rodzaju pomocników przy pracach budowlanych.

Dzięki powszechnie dziś dostępnemu źródłu, jakim jest Wikipedia, dowiedziałem się, że w połowie XIX wieku znaleźli się karszyniacy, którzy w poszukiwaniu lepszego życia udali się na emigrację do Brazylii, gdzie osiedlili się w Santa Catarina.²¹

Czym w tym czasie, kiedy ojcowie wyjechali „na saksy”, trudnili się pozostali członkowie rodzin? Matki i żony zajmowały się wychowaniem dzieci, a także niewielkim gospodarstwem. Dysponując kawałkiem pola pilnowały, by urosły na nim ziemniaki – podstawa żywienia rodziny. Trzeba więc było wiosną je posadzić, później za pomocą motyki obsypać ziemią lub gdy to było możliwe obradlić. Natomiast latem co rusz wyrwać chwasty, by nie zdominowały ziemniaków, gdyż wówczas plon byłby mizerny. Gospodynie na polu urządziły najczęściej również

¹⁹ Informacji udzielił Helmut Kirschke, mieszkaniec niemieckiego Sassnitz, prawnuk wymienionego w tekście inspektora. (Korespondencja w posiadaniu autora)

²⁰ *Grünberger Wochenblatt*, nr 18, 2 maja 1935 r.

²¹ <http://pt.wikipedia.org/wiki/karszyn>, odczyt: 29.01.2013 r.

ogród warzywny, gdyż tam zwykle ziemia była lepsza niż w ogrodzie przy domu. Ponadto stosowany w polu płodozmian gwarantował lepsze plony. Sadziły tam kapustę, którą jesienią można było zakisic w beczkach lub glinianych dużych garnkach, cebulę, fasolę, marchew, pietruszkę, czosnek, dynię, buraki ćwikłowe oraz ogórki. Przydomowa spiżarnia zaopatrzona we własne warzywa pozwalała na przetrwanie długiej zimy. Jeśli jeszcze udało się dochować swoich kurcząt i gęsi, było co sprzedać w pobliskim miasteczku, a nawet jajecznicę przyrządzić, niedzielny rosół ugotować, i na św. Marcina miejscowym zwyczajem tłustej gęsi zakosztować. A co z przydomowymi ogródkami? Te również były wykorzystywane maksymalnie. Ich części usytuowane od strony ulicy, któredy wiodła droga do mieszkania, od wiosny po samą jesień tonęły w przeróżnych kwiatach. Im było ich więcej i bardziej rozmaitych, tym lepiej w opinii sąsiadek świadczyło to o gospodyni. W innej części ogrodu, zwykle gdzieś z tyłu, siane były przydatne w kuchni warzywa. Własne liście sałaty, zielony szczypiorek z cebuli siedmiolatki, natka pietruszki, ziele majeranku i koniecznie maggi a wszystko świeże, za darmo i na wyciągnięcie ręki znacznie ułatwiało przygotowywanie codziennych posiłków rodzinie, za wyżywienie której odpowiadały gospodynie. Przydomowy ogródek był także miejscem, w którym z pewnością rosły zioła takie jak rumianek, mięta i nagietek, który dodatkowo jako kwiat sadzony niby przypadkiem między warzywami powodował, że grządki wyglądały malowniczo. Wymienione wyżej rośliny po zebraniu w stosownym czasie listków, jak w przypadku mięty oraz w pełni rozkwitniętych kwiatków – nagietka i rumianku wysuszone i przechowywane w szczelnie zamkniętych słojach były podstawowymi lekami pochodzącymi z własnego ogródka. Herbatki zaparzone z suszonej mięty przyniosły ulgę niejednemu obolałemu dziecięcemu brzuszki. Natomiast te przygotowane z wysuszonych kwiatów lipy pomagały skutecznie pozbyć się przeziębienia, które przytrafiało się zwykle dzieciom i to w najmniej oczekiwanym przez nie momencie, to jest wtedy, kiedy spadł pierwszy śnieg lub mróz ściał kałuże wody. Jakże trudno było wytrzymać w łóżku, kiedy w tym czasie rówieśnicy rozkoszowali się pierwszymi urokami zimy. Dlatego babcine metody leczenia ziołami, wzmocnione wielką chęcią jak najszybszego wyzdrowienia potrafiły czynić cuda. W ogrodowej spiżarni nie mogło też zabraknąć rośliny o dużych zielonych liściach – rabarbaru. Różowe, czerwone lub zwyczajnie zielone łodygi wyrastających wprost z ziemi liści po obraniu ze skórki nadawały się do jedzenia. Były wprawdzie kwaśne, ale wczesną wiosną, kiedy nie było jeszcze innych własnych owoców, doskonale zastępowały jabłka. A jak smakował placek drożdżowy z kruszonką i z rabarbarem, o kompiecie ugotowanym z tej rośliny nie wspominając! Taki ogródek, jak ten opisany wyżej, znajdował się po sąsiedzku z naszym. Gospodarzyła w nim od wiosny do jesieni nasza „przyszywana” babcia Franciszka Chmiel. Wszystkie znajdujące się w nim rośliny – kwiaty, warzywa, krzewy i drzewa owocowe miała zawsze dorodne i bardzo zadbane, mimo iż posadzone były na niezbyt urodzajnej karszyńskiej ziemi. Z wyjątkiem gnojówki nie stosowała żadnych innych nawozów. Ciecz ta powstawała jako odciek z równo ułożonej przyzmy bydłęcego obornika gromadzonego w narożniku podwórza.

Pryzma była otoczona niewysokim płotkiem, wzdłuż którego biegł wykopany w ziemi rowek służący do gromadzenia gnojówki. Przefermentowana i w odpowiedniej proporcji zmieszana z wodą służyła jako płynny nawóz do podlewania wszystkich ogrodowych roślin.

Skoro mowa o jabłkach, to te również były uprawiane w ogrodach. Poczynając od tych najwcześniej dojrzewających i pysznie pachnących papierówek, poprzez nieco późniejsze zaróżowione malinówki, aż po przepyszne antonówki, z których wytwarzano mus idealnie nadający się do ciasta jabłkowego. Nie mogło oczywiście zabraknąć jabłek późno dojrzewających, które ostrożnie zerwane z drzewa, ułożone w spizarni nadawały się do spożycia niekiedy do Wielkanocy. Z takich odmian uprawiane były szare albo złote renety. Skórka tych owoców była dość twarda i trochę szorstka, dlatego często przed jedzeniem obierało się ją nożem. Za to żółtawy w środku owoc nieco mączysty miał niepowtarzalny smak. Z drzew owocowych spotykanych w ogródkach wymienić też trzeba wiśnię i śliwę węgierkę. Ta pierwsza co roku rodziła dużą ilość owoców, które nie były zbyt duże, za to gdy dojrzały, były ciemnobrązowe, niemal czarne i słodkie. Doskonale nadawały się na konfitury, kompoty a także na wyśmienite nalewki. Śliwki natomiast, oprócz wekowania w słoikach na kompot i suszenia, używane były do pieczenia przepysznych placków drożdżowych. W ogrodach nie mogło oczywiście zabraknąć drzew gruszy i zwykle jednego orzecha zwanego nie wiedzieć czemu włoskim. Orzechowe drzewo sadzono nie tylko dla owoców i przyjemnego letnią porą cienia, ale także po to, żeby – jak uważano – odstraszał muchy i inne owady, które nie przepadały za charakterystycznym zapachem wydzielanym przez liście tej rośliny. Stąd też do dziś stare okazy orzecha spotkać możemy w pobliżu wejść do obór, stajni czy mieszkań ludzi. Nietrudno sobie wyobrazić, jak musiały wyglądać wiosną tonące w kwiatkach owocowe drzewa karszyńskich przydomowych sadów.

Miejscową zaradną gospodynię poznawało się także po tym, jakie jeszcze owoce potrafiła wyhodować w ogródku. A spotkać tam można było krzewy porzeczki białej i czerwonej, agrest, maliny i oczywiście rozpiętą na południowych ścianach budynków winorośl. Owoce tej ostatniej, jeśli jesień była długa i ciepła, nadawały się nie tylko do jedzenia, ale także na przetwory, szczególnie soki i galaretki. Najczęściej jednak z winogron w Karszynie uprawianych robione było wino. Powszechnie znany tutaj krzew rieslinga dawał dobre plony, był bowiem odporny na choroby grzybowe i mroźne zimy, toteż dobrze zrobione w dużych szklanych gąsiorach białe wino rozweselało niejedną okazję do świętowania, jak urodziny, małżeński jubileusz czy jakieś inne rodzinne bądź sąsiedzkie spotkanie. Przedstawiam tu nieco idylliczny obraz życia Karszyna w pierwszych latach XX w. A przecież na pewno zdarzały się takie sytuacje, kiedy na chorobę nie pomogły zioła i trzeba było odprowadzić na cmentarz bliską osobę albo na przednówku nie było co dać jeść rodzinie i zwierzętom, bo plony zniszczyły zarazy, przymrozki lub grad.

Czytając o dawniejszych mieszkańcach Karszyna, można mieć wrażenie, że choć żyli niezbyt dostatnio, to jednak dzięki zaradności i innym pozytywnym cechom, radzili jakoś sobie z tym, co przynosiła rzeczywistość. By obraz mieszkańców tej wsi nie był tak jednostronny, wypada dodać, że mieli i wady. Potrafiliby się z sobą pokłócić, plotkować, „prowadzać po sądach”, a nawet – jak wspomina A. Foerster – zdolni byli do zbrodni.

O jednej z sąsiedzkich sprzeczek sprzed niemal stu lat opowiada Bernard Chmiel. Otóż jego babcia Jadwiga miała za sąsiadkę panią Monikę Brzózkę. I jak to sąsiadki, gdy pracowały akurat jednocześnie w swych ogródkach, rozmawiały o tym, co nowego we wsi słyhać, a może też i o jakichś pikantniejszych ploteczkach. Pewnego razu zwykła sąsiedzka rozmowa przerodziła się w sprzeczkę, a ta w coraz głośniejszą wymianę zdań. Dialog – jeśli można to tak nazwać – odbywał się oczywiście po niemiecku. Gdy jednak pani Brzózkowej zabrakło argumentów albo miała już dość dalszej „rozmowy” ze swą sąsiadką, powiedziała po polsku, a właściwie w gwarze karszyńskiej, będącej efektem wielowiekowego mieszania się języków dwu żyjących obok siebie nacji: *Zali mi dupi*, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało tyle, co: *Pocałuj mnie w d.....* Efekt był taki, że babcia Jadwiga straciła wszystkie argumenty, nie знаła bowiem aż tak dobrze gwarowej tutejszej polszczyzny. Odwróciła się więc tylko i zła na sąsiadkę poszła w inną część ogródka.²²

Przeglądając Księgę zgonów karszyńskiej parafii, zauważyłem, jak często w miejscowych rodzinach panował smutek z powodu przedwczesnej śmierci kogoś bliskiego.²³ Problem ten ilustruje poniższa tabela.

Rok	Miesiąc	Wiek zmarłego
1928	sierpień	3 dni
1929	czerwiec	9 lat
	lipiec	10 miesięcy
1930	marzec	4 lata
	marzec	2 miesiące
	czerwiec	2 lata
	sierpień	2 lata
	wrzesień	1 rok
1931	marzec	1 rok
	kwiecień	3 miesiące
	maj	1 miesiąc
1932	sierpień	2 miesiące
	grudzień	3 miesiące

22 Historię tę opowiedział Bernard Chmiel, 19.01.2012 r.

23 Liber mortuorum (Księga zmarłych) od roku 1928 – 1948 Wikariat Lokalny w Karszynie.

Rok	Miesiąc	Wiek zmarłego
1933	czerwiec	4 miesiące
1934	maj październik	8 miesięcy 4 lata
1935	czerwiec sierpień	3 miesiące 1 miesiąc
1937	luty	19 lat
1939	luty	4 dni
1940	styczeń	17 lat
	maj	19 lat
	lipiec	16 lat
	wrzesień	7 miesięcy
1941	styczeń	2 lata
	lipiec	8 miesięcy
1945	lipiec	8 lat
	sierpień	12 lat
1949	styczeń	12 lat
	kwiecień	4 miesiące
1950	lipiec	1 miesiąc
	październik	8 miesięcy

Co ciekawe, zjawisko to nie dotyczyło tylko karszynian sprzed II wojny światowej, ale występowało także po jej zakończeniu, kiedy w tej wsi zamieszkali przybysze z różnych stron dawnej Polski.

Skromnie żyli niezamożni małorolni karszynianie. Jeśli nie dorobili trochę grosza, pracując w miejscowym lub okolicznych majątkach ziemskich, albo wyjeżdżając niekiedy daleko za pracą, wówczas pozostawało jakoś sobie radzić na miejscu. Dobrze, że w pobliżu był las. O ile udało się przechytrzyć gajowego, który bardzo sumiennie pilnował leśnych kompleksów należących do właścicieli majątku, wówczas w zastawione wnyki wpadała sarna albo zając. Ryzykując kąpiel w szerokich rozlewiskach Obrzycy, można było podebrać jaja ptaków wodnych lub przynieść nieopierzone jeszcze pisklęta. Wtedy w domu była prawdziwa uczta. Łowiono ryby, których było całe mnóstwo. Najlepiej połowy udawały się zimą, kiedy dość gruby lód skuł rozlewiska. Wystarczyło wtedy wyrąbać przerebel, żeby niemal gołymi rękami wybierać z wody cisnące się do powietrza pokaźnych rozmiarów leszcze, szczupaki, okonie, liny oraz drobnicę – płotki i ukleje.

By uzupełnić mięsną dietę, w przydomowych klatkach hodowano króliki. Dostarczaniem pożywienia oraz wszystkimi czynnościami związanymi z dbaniem o owe zwierzęta zajmowali się chłopcy. Do ich obowiązków należało letnią porą narwanie trawy gdzieś na rowie lub na miedzy, czasem liści i drobnych gałązek akacji. Na czas zimy hodowlę ograniczano do niezbędnego minimum, gdyż wiązało się to z koniecznością zgromadzenia zapasu siana, słomy, marchwi i ziarna owsa.

Czas wyjazdu „na saksy” wiązał się ze sporym przeżyciem dla całej rodziny. Kiedy ojciec na kilka tygodni opuszczał swoich bliskich, wówczas na barkach żony spoczywała cała – chociaż niewielka – gospodarka, wychowanie dzieci i zadbanie o wszystko, czym w normalnych okolicznościach zajmowali się oboje małżonkowie. Ale jaka była radość, kiedy po długim rozstaniu wracał ojciec z Hamburga, Berlina czy Drezna. Opowiadaniom nie było końca. O tym, jak mieszkają tam ludzie, jak wysokie są domy, co można zobaczyć na wystawach i w witrynach sklepowych.

O jednej z takich wypraw „na saksy” opowiedział mojemu ojcu wspomniany Franciszek Golla. Było to już jakiś czas po I wojnie światowej. Akurat pracował w Hamburgu, kiedy wprowadzono tzw. angielskie soboty, czyli skrócony w tym dniu czas pracy z 8 do 6 godzin. Co miał począć z nadmiarem wolnego czasu człowiek od zawsze nawykły do pracy, także w soboty. Wybrał się więc „na miasto”, jednak nie tyle na zakupy, bo każdą markę i każdy fenig skrzętnie „szporał”, żeby je zawieźć do domu, lecz żeby pooglądać. Na budowie pracował ciężko i żeby podolać temu wysiłkowi powinien dobrze się odżywiać. Tymczasem wszystko było drogie, a poza tym chłopska natura kazała mu składać grosz do grosza i żywić się jak najtaniej. Jakież było zdziwienie opowiadającego, a zarazem oburzenie, kiedy wszedłszy do sklepu z wędlinami, by kupić kawałek najtańszej kaszanki, usłyszał, jak pewna damulka trzymając na ręku pudelka poprosiła pół funta (25 dag) resztek dla pieska. Sprzedawczyni uszykowała żądany towar, za który klientka zapłaciła mniej, jak nasz bohater za ów kawałek kaszanki. Nie zastanawiając się długo wykonał w myślach prosty rachunek i zwracając się do tej samej ekspedientki, wypalił: *Poproszę cztery funty (2 kg) resztek dla pieska*. Sprzedawczyni wprawdzie nieco się zdziwiła, ale uszykowała żądany towar. Klient za niego zapłacił, a później – jak mówił – miał prawdziwą ucztę. Po raz pierwszy od dawna najadł się do syta kawałkami kielbasy, szynki, polędwicy, itp. Odtąd co jakiś czas chodził do sklepu, by kupić resztki dla obdarzonego wyjątkowym apetytem pieska.²⁴

Ten sam bohater innym razem opowiadał, jak próbował godzić *saksy* w odległym mieście z pilnymi do wykonania pracami w gospodarstwie. Nadszedł wrzesień, a wraz z nim pora kopania ziemniaków. Zwykle te przeznaczone na zimę kopało się po 15 września. Wtedy były dojrzałe, wyrośnięte i dobrze się przechowywały w piwnicy lub kopcach. Tak się szczęśliwie złożyło, że po wcześniej zakończonej pracy - dzięki angielskiej sobocie - jeszcze za dnia udało się dojechać pociągiem do Kargowej. Stamtąd rowerem przechowywanym u życzliwych znajomych trzeba było pokonać jeszcze 5 kilometrów. Gdy przybył na miejsce i po przywitaniu z rodziną zjadł obiad, choć na dworze robiło się już szarawo, wraz z żoną Józefą i dziećmi, zaopatrzeni w „haczki” i koszyki udali się na pole. Było już mocno szaro i bulwy było coraz trudniej zobaczyć. Ale pracy nie można było przekładać na „za tydzień”, gdyż wtedy mogło być już po przymrozkach. Te zaś mogłyby przemrozić cienką warstwę gleby, pod którą znajdowały się ziemniaki. Wówczas nie tylko całoroczna praca poszłaby na marne, ale i zima bez zapasów jawiłaby się nieciekawie. Dlatego oboje z żoną pracowali haczkami, po omacku zbierając

24 Opowieść Franciszka Golliego za pośrednictwem I. Mąkosy.

bulwy, gdyż zmrok zapadł już zupełnie. W tym czasie dzieci – Albert i Wala odnosili ziemniaki na oczyszczony z łąków placyk. Na nim usypywali przymę z tego, co ukopali rodzice. Dobrze, że księżyc choć trochę przyświecał pracującym. Było już po północy, gdy zakończyli pracę na niewielkim zagonie ziemniaków. Usypany z nich pagórek wyglądał okazale. Należało jeszcze, przed powrotem do domu, przykryć go warstwą zgarniętych łątów, by przymrozki, nie wyrządziły szkody zebranemu plonowi. Nazajutrz, mimo iż była to niedziela, po nabożeństwie należało trud nocnej pracy zwieźć do zagrody i umieścić w piwnicy. Jakież było zdziwienie Franciszka i przybyłego wraz z nim syna, gdy po odgarnięciu łątów, na przymie zobaczyli oprócz ziemniaków większe i mniejsze grudy ziemi oraz mnóstwo kamieni przypominających kształtem kartofle. Skąd się wzięły? Były one efektem wykopek przy mdłym świetle księżyca.²⁵



Wykopki ziemniaków u Chmielów, lata 30. XX w.

Jak już wcześniej była mowa, mniej zamożni musieli imać się różnych zajęć, które przyniosłyby choć trochę grosza. Był on potrzebny, bo o ile najniezbędniejsze produkty spożywcze można było jakoś samemu wyhodować w polu, ogrodzie czy w chlewiku, o tyle buty, ubranie i sprzęty domowe należało kupić. Ponieważ okoliczne lasy letnią porą obfitowały w jagody i maliny, znaleźli się tacy, którzy skupowali świeżo zebrane owoce i dostarczali je jak najszybciej do większych miast – Berlina, Drezna, Gubina. Warto je było tam zawieźć, gdyż uzyskane ceny były dużo korzystniejsze jak ze sprzedaży na targu w Kargowej czy Sulechowie. Wracając, przywozili towary, które chętnie kupowały karszyńskie gospodynie. Były to na przykład przybory do szycia – igły, nici, przyprawy kuchenne – pieprz, sól, liście laurowe, gorczyca, materiały piśmiennicze – koperty, papier, ołówki i inne jeszcze produkty, które opłacało się kupić w większej ilości w mieście, gdzie się je produkowało, a potem z zyskiem sprzedać mieszkańcom Karszyna lub okolicznych wiosek, albo na targu. Podobnie było z grzybami, w które obfitowały tutejsze lasy. Jak tylko pojawiły się pierwsze kurki, a było to niekiedy już pod koniec czerwca, zaraz co bardziej zaradni organizowali skup i często jeszcze tego samego dnia a raczej nocy wieźli owe delikatesy do większych miast. Prawdziwe grzybowe żniwa nastawały wraz z nadejściem wczesnej jesieni. W tutejszych lasach można było nazbierać najwięcej podgrzybków, które rosły na ogół w starych borach sosnowych.

25 Opowieść F. Golliego za pośrednictwem I. Mąkosy.

Król w całej grzybowej rodzinie – prawdziwek – wymagał więcej zachodu. Trzeba było albo się dużo nachodzić i naszukać, albo znać miejsca, w których lubił rosnać. Wytrawni grzybiarze takie miejsca znali, ale próżno byłoby ich przekonywać, by zdradzili swoje tajemnice. Oprócz wymienionych wyżej grzybów, w karszyńskich lasach można było znaleźć śliskie maślaki, koźlaki – o kapeluszach ubarwionych na brązowo lub pomarańczowo. Nieco rzadziej i zwykle w tych samych miejscach, to jest na poboczach leśnych wilgotnych dróg – rydze, czasem kanie z kapeluszami przypominającymi małe otwarte parasolki na wysokich nogach, no i pod koniec jesieni, często po pierwszych przymrozkach, na piaszczystych polanach sosnowych borów przyprószone piaskiem gąski zwane też zielonkami. Oczywiście nie wszystkie dary lasu przeznaczone były na sprzedaż. Należało także samemu nacieszyć się smakiem zupy grzybowej, ziemniakami polanymi gęstym sosem z kurek uduszonych w śmietanie czy też prawdziwym rarytasem, to jest smażonym rydzem. By móc także zimą skosztować grzybowych delicji, suszono prawdziwki, koźlaki, sitarze i oczywiście podgrzybki. Innym sposobem przechowania tych smacznych darów jesiennego lasu było ich marynowanie w słoikach z dodatkiem octu, gorczycy, laurowego liścia, cebuli, ziaren czarnego pieprzu i soli.

Skupem runa leśnego a wiosną szparagów i handlu nimi w większych

miastach jak Gubin, Drezno czy Berlin zajmował się przed wojną dysponujący własnym samochodem w Karszynie Otto Rieger.



Sklep Wilhelma Lubiga.

Głowy do interesów mieli też inni mieszkańcy. W centralnym miejscu wsi powstał sklep kolonialny Wilhelma Lubiga. Można w nim było nabyć wszystko, co było potrzebne w domu, jeśli chodzi o wyposażenie. Także ubrania i produkty spożywcze. Zatem jak na wiejskie warunki sklep ów był niczym dom towarowy.



Sklep i piekarnia Hermanna Mätzschke.

Zaraz naprzeciwko znajdowała się ubojnia zwierząt gospodarskich – bydła i trzody chlewnej. Jej właściciel - Martin Kadach miał sklep, w którym można było kupić mięso, podroby oraz wytwarzane w zakładzie

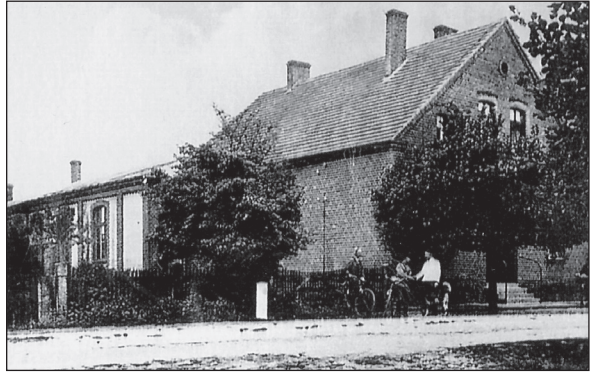
wędliny i inne wyroby masarnicze. Tuż obok niego znajdował się punkt pocztowy, gdzie można było nadać przesyłkę, a także odebrać paczki lub korespondencję.

Z kolei Hermann Mätzschke uruchomił piekarnię. Usytuowana była w najlepszym z możliwych miejsc – blisko kościoła i szkoły, przy głównej drodze przez wieś, tak by również przejezdni mogli dokonywać zakupów, u zbiegu dwóch odchodzących na boki ulic.

Właściciel piekł i sprzedawał nie tylko chleb i bułki, ale także pączki, szneki z glancem, placki na drożdżach i oczywiście przyjmował do upieczenia – skoro piec i tak cały czas był rozgrzany – pieczywo, a właściwie placki drożdżowe przyniesione przez gospodynie w sobotnie popołudnie. One wiedziały, że drożdżowy placek z piekarni Hermanna będzie na pewno dobrze wypieczony. I co istotne – nikomu nie przeszkadzało to, że piekarz był ewangelikiem.

W budynku, znajdującym się koło białej kapliczki, u Ludwiga można było kupić buty albo zamówić ich uszycie. Dwie mieszkanki Karszyna nazwiskiem Vogt wykonywały usługi krawieckie.

Jak wcześniej była mowa, we wsi można było od biedy - nie wyjeżdżając – nabyć wszystko, co najniezbędniejsze. Ale człowiek czasem oprócz potrzeb materialnych miewa i inne. Na takie oczekiwania jeszcze w XIX wieku – jak zauważa August Foerster - odpowiedzieli dwaj przedsiębiorczy karszynianie - mieszkający nieomal vis-à-vis - Adolf Winzler i Paul Minetzke, budując restaurację.²⁶



Restauracja Adolfa Winzlera, obecnie znajduje się tam świetlica wiejska..



Stare butelki w drewnianej skrzynce.



Restauracja Paula Minetzke, do niedawna własność rodziny Wycisk.

26 A. Foerster, tamże, s. 261.

Z obu gospodami, nazywanymi wtedy Gasthofami, wiąże się pewna historia. Otóż Winzler otworzył swój lokal jako pierwszy. Przy nim była także niewielka ubojnia zwierząt. Bardzo popierał go w tym przedsięwzięciu przyjeżdżający z niedalekiej Klenicy pastor, posługujący tutejszym ewangelikom. Zaraz naprzeciwko znajdowała się inna restauracja, należąca do Paula Minetzke. Z jakichś powodów ten ostatni postanowił sprzedać swoją gospodę. Ten moment wykorzystał miejscowy proboszcz Franz Wecker, który zaczął zabiegać, by i katolicy mieli także swój lokal i nie musieli korzystać z usług obiektu pozostającego pod wpływem ewangelików. To wówczas – w 1931 r. do Karszyna przywędrowali państwo Joachim i Paulina Wyciskowie, wcześniej mieszkający w Dzielawach koło Kędzierzyna Koźła, którzy nabyli ów Minetzkes Gasthof. Od tej pory miejscowi katolicy nie musieli udawać się do lokalu ewangelików, bo u Wycisków także znajdowały się miejsca do konsumpcji serwowanych posiłków i napojów, również alkoholowych.²⁷

Jak widać pojawienie się we wsi dwóch lokali gastronomicznych, zlokalizowanych niemal dokładnie naprzeciwko siebie, po dwóch stronach głównej drogi przez wieś było nie tylko przejawem handlowej konkurencji w branży gastronomiczno – kulturalnej, ale również zabiegania o „rządy nad duszami”. O ile łatwiej mogło się to udawać szczególnie wtedy, gdy ciała były już z lekka „zmiękczone” piwkiem, sznapsikiem, czy goloneczką z kapustą. Nie wiadomo dokładnie, na czym jeszcze polegała rywalizacja pomiędzy pastorem a proboszczem, ewangelikami a katolikami w Karszynie. Na pewno jednak była, tylko – jak pokazuje przykład restauracji – sami mieszkańcy chyba nieźle na niej wychodzili.



Waleria Golla (ma korale) i inne karszyńskie dziewczęta po spektaklu
„*Nasz orientalny wieczór*”, 1938 r.

27 Opowieść Teresy Suwały z domu Wycisk, 21.12.2011 r.



Paula Pinecka (pierwsza z lewej) wraz z koleżankami po spektaklu „*Nasz orientalny wieczór*”, 1938 r.

W obu budynkach zlokalizowane były także sale z powierzchnią parkietową do tańczenia. Obydwie dodatkowo wyposażone były w niewielkie sceny z kulisami. Można w nich było niekiedy – jak w z prawdziwego zdarzenia miejskich lokalach – obejrzeć przedstawienie, najczęściej jakiś zabawny skecz lub tym podobną scenkę, posłuchać muzyki zespołu lub występu chóru.

No i oczywiście było można się tam zabawić, to jest pobiesiadować, potańczyć i gdy nadeszła odpowiednia pora, wrócić do domu. Jak opowiada Jadwiga Pinecka, powtarzając za swoją nieżyjącą mamą - Elżbietą Zepke – w obu lokalach czasem jednocześnie odbywały się huczne zabawy, podczas których tańczono nawet na ulicy pomiędzy obu lokalami.²⁸ Raz po raz restauratorzy organizowali także atrakcje dla dzieci. Jak powtarza za rodzicami Teresa Suwała – przyjeżdżali robić pokazy iluzjoniści, czasem pojawiały się z występami trupy cyrkowe albo karuzela, innym razem jeszcze ktoś, kto urozmaicał zwykłe życie na prowincji.²⁹

A co ze świętami? Przecież mieszkańcy dawnego Karszyna to chrześcijanie, stanowiący jedną wiejską wspólnotę katolicy i ewangelicy. Dla jednych i drugich czas tradycyjnych świąt religijnych był dużym i ważnym wydarzeniem. Najbardziej jednak cieszyły się dzieci. Czas świąt Bożego Narodzenia to oczywiście pięknie ustrojona choinka, obwieszona własnoręcznie wykonanymi ozdobami, to prezenty od świętego mikołaja, to śpiew kolęd. Drugie z ważnych świąt – Wielkanoc – także wiązało się z szeregiem przygotowań, zarówno w domu, jak i sprawach związanych ze świątynią. Przecież to święto Zmartwychwstania Pańskiego. Z tym świętem w Karszynie związany był pewien zwyczaj, o którym – gdy ja i moja siostra

²⁸ Opowieść Jadwigi Pineckiej na podstawie relacji usłyszanej od swojej mamy Elżbiety Zepke, 6.01.2012 r.

²⁹ Opowieść T. Suwały, 21.12.2011 r.

byliśmy mali - opowiadała nasza sąsiadka, pani Chmielowa.³⁰ Otóż mówiła, że gdy sama była mała, to wcześniej rano, w Wielką Sobotę należało czym prędzej pobiec do znajdującego się w lesie źródelka, by wypływającą z niego wodą przemyć twarz i oczy. Tego bowiem dnia woda z owego źródelka miała mieć cudownie oczyszczającą moc. Wierzyły w to wszystkie karszyńskie dzieci i jeśli tylko nie były w tym czasie chore, wówczas na pewno tego szczególnego ranka biegły do źródelka. Historia ze źródelkiem opowiedziana przez babcie Chmielową działa się w jej dzieciństwie. Nam była opowiedziana w początkach lat 60. ubiegłego wieku. Zainspirowany niezwykłymi właściwościami źródlanej wody nieraz szukałem w okolicznych lasach owego miejsca, jednak bez pozytywnego skutku. Do dziś nie wiem, czy babcia Chmielowa wymyśliła historię ze źródelkiem, czy też może wraz z upływem czasu ono zwyczajnie wyschło.



Karuzela we wsi, lata 30. XX w.

30 Historia opowiedziana przez Franciszkę Chmiel.

Infrastruktura

Niewątpliwie dla każdego członka społeczności Karszyna ważna była możliwość niezawodnego i bezpiecznego dotarcia do miejsc, w których znajdowały się pola, łąki i lasy.

Prawdopodobnie większość prac związanych z infrastrukturą drogową i melioracyjną Karszyna i okolic przypadła na czas, kiedy wchodziły one w skład dóbr należących do Pauliny markizy de Castellane, córki Doroty de Talleyrand – księżnej żagańskiej oraz jej spadkobierców. W roku 1862 markiza Paulina „... objęła wydzielony z dóbr otyńskich majątek klenicki wraz ze Swarzynicami i Karszynem. Po jej śmierci w 1891 roku zarząd nad dobrami sprawował jej zięć Antoni Wilhelm książę Radziwiłł”.¹ Słowo wybudować w zasadzie nie jest najważniejsze w stosunku do takiego miejsca, które najczęściej za pomocą łopat było dostosowywane do możliwości przejeżdżania po nim wozem konnym. Dlatego ważne było, aby owe drogi, zarówno te ważniejsze śródleśne oraz wiodące wśród pól były o określonej szerokości umożliwiającej wyminięcie się dwóch zaprzęgów konnych. Jeśli wiodły przez teren podmokły, wówczas tzw. korona drogi była wywyższana piaskiem nawiezionym ze znajdujących się w okolicy pagórków. Często wzdłuż takiego miejsca dodatkowo po obu stronach drogi były wykopane rowy odwadniające.



Droga gruntowa obok *białej kapliczki*.

Jeśli wytyczony trakt miał przebiegać wzdłuż pochyłości, wykonywano prace ziemne polegające na wybraniu piasku tak, aby powstała powierzchnia była możliwie płaska i nieco nachylona w kierunku zbocza wzniesienia. W okresie międzywojennym na ważniejsze drogi śródleśne, którymi można było dotrzeć do sąsiednich wsi, nawieziony został żwir. Wysypany w odpowiedniej grubości i dobrze ubity lub ujeżdżony czynił taką drogę zupełnie przyzwoitą. Wilgoć z opadów atmosferycznych oraz odpowiednia eksploatacja sprawiły, że owe żwirowe powierzchnie przez dziesiątki lat były równe i ubite, wystawiając znakomite świadectwo ich budowniczym. Niestety, tak było do czasu pojawienia

1 www.lubuskie.regiopedia.pl/wiki/klenica, odczyt: 29.01.2013 r.

się ciężkich pojazdów mechanicznych stosowanych do zrywki i transportu drewna i innej niż dawna gospodarki leśnej. Owa inność polega na tym, że zręby całkowite powierzchni leśnych obecnie prowadzi się przez cały rok zarówno w lasach iglastych jak i liściastych. Również w wilgotnych porach roku, kiedy to wspomniane ciężkie pojazdy wprost rozjeżdżają drogi z takim trudem kiedyś zbudowane.

Równie ważną rolę przypisywali karszynianie właściwym stosunkom wodnym w użytkowanych gruntach. Rozumieli, że od odpowiedniej ilości wilgoci w glebie, tak w lesie jak i na polu, zależy sukces prac wykonywanych we wspomnianych miejscach. Dlatego niewykluczone, że budowlane prace drogowe, przynajmniej na niektórych terenach, prowadzone były jednocześnie. Jeśli bowiem droga miała przebiegać przez teren podmokły, z którego w zależności od warunków atmosferycznych następowało zjawisko odpływu wody, wówczas pod taką drogą umieszczano przepust.

We wszystkich kierunkach (oprócz pól na tzw. górach) w mniejszym lub większym zakresie w przeszłości wykonane zostały prace melioracyjne polegające na wykopaniu dwóch rodzajów rowów, które przy nadmiarze wody w gruncie, dzięki odpowiedniemu spadkowi, miały ją odprowadzić do Obrzycy. By to było możliwe, właściwe służby dbały o jej poziom w głównym cieku. Jeśli sytuacja była odwrotna – na terenach uprawowych zauważono niedobór wilgoci, wówczas wspomniany system rowów był wykorzystywany do przesłania wody z rzeki i zatrzymania jej w rowach za pomocą systemu zastawek. Ta inżynieria wodna doskonale zdawała egzamin wówczas, gdy nad całością obiektów hydrologicznych czuwali ludzie, którzy rozumieli ów prosty mechanizm. Niestety, podobnie jak to było ze śródlęsnymi drogami, na które wjechały ciężkie maszyny



i je zniszczyły, tak też się stało z systemem melioracyjnym okolic Karszyna. Przez ostatnie dziesiątki lat nie czyszczono rowów, pozwolono im zarosnąć trawą, a nawet drzewami. Nie konserwowano zastawek i przepustów, przez co przestały pełnić swoje funkcje.

To, co zostało z zastawki.

W ten sposób wysiłek dawnych budowniczych wymienionych obiektów i całego niegdyś sprawnie funkcjonującego systemu został zmarnowany. W obu przypadkach winni są ludzie, którym zabrakło wyobraźni, wiedzy i chyba zwyczajnie szacunku dla pracy poprzednich pokoleń.

W rozważaniach o elementach infrastrukturalnych nie sposób pominąć wiejskie lasy. Do jednego przytulony był Karszyn przez wiele dziesiątków lat od strony północno - zachodniej.

leż radości miały dzieci, mogąc w czasie wolnym od licznych zajęć o każdej porze roku przebywać wśród sosnowego starodrzewu. Jakie niezwykle musiały być zabawy w dużym sosnowym lesie położonym na obrzeżach wsi, z dala od wścibskich oczu dorosłych, a jednocześnie nie na tyle daleko, żeby nie słyszeć wołania rodziców wzywających na kolację. Właśnie na kolację, bo intensywność zabaw przedłużała się czasem do wieczora i była tak absorbująca, że właśnie owe zabawy były w danym momencie dużo ważniejsze niż burczący z głodu brzuch. Dorośli natomiast z pobłażliwością myśleli o swoich pociechach będących w nieodległym lesie, gdyż wiedzieli, że są tam bezpieczne, bo nie sposób tam się zgubić. Drugi, niewielki kawałek wiejskiego boru był w samym środku wsi (koło obejścia Cielebaków). Trzeci rósł *na górach*. Posadzony został na dawnych *gliniankach*. Po wschodniej stronie tego górującego nad okolicą lasu stała drewniana wieża, z której można było podziwiać okolicę.

Położony pod samym bokiem wsi las był miejscem lekcji poglądowych dla szkolnej dzieciarni, która pod okiem nauczyciela poznawała tajniki, którymi rządził się ten ważny fragment świata. To tutaj zbierano pierwsze grzyby – lipcowe żółte i pachnące kurki, a jesienią podgrzybki. Przed zimą zgrabione w lesie igliwie w wielu gospodarstwach służyło do uszczelnienia przed mrozem okienek do piwnic, w których przechowywano zapasy na zimę. Wiele mniej zamożnych rodzin w tym właśnie lesie mogło za darmo nazbierać chrustu do palenia w piecu. Ten będący własnością wiejskiej wspólnoty las, na co dzień zarządzany podobnie jak cała wieś przez sołtysa, był niekiedy źródłem materiału budowlanego, jeśli na przykład kogoś spotkało nieszczęście pożaru. Wtedy wiejska społeczność była w stanie realnie pomóc pogorzelncom w odbudowie spalonych obiektów, przeznaczając na ten cel nadające się do wycinki sztuki dorodnych sosen. Mając między innymi na uwadze tego rodzaju ewentualności, opisywany element wiejskiej infrastruktury otoczony był troską ze strony wszystkich mieszkańców.

Postępujący rozwój handlu płodami rolnymi spowodował potrzebę posiadania wagi o nośności większej niż te będące na wyposażeniu gospodarstw, a więc tylko do 100 kilogramów. Trudno powiedzieć, z czyjej inicjatywy, ale w kilkakroć przywoływanym centrum wsi, obok remizy i naprzeciwko piekarni krótko przed II wojną światową stanął niewielki, kryty czerwoną dachówką budynek wiejskiej, ogólnie dostępnej wagi (*Gewicht*). Teraz można było sprawdzać ciężar nie tylko pojedynczych sztuk bydła rzeźnego, ale również skrzyniowe wozy załadowane zbożem oraz zamawiane i sprowadzane z odległych składów towary masowe. Tak, waga wiejska to był dobry nabytek.²

Elektryczność zawitała do Karszyna po dociągnięciu linii energetycznej i wybudowaniu od wschodniej strony wsi budynku transformatora. Stało się to w roku 1925.

Dzięki prądowi w budynkach wieczorami było widno od światła elektrycznego. W zamożniejszych gospodarstwach rolnych można było wreszcie zrezygnować

² Jak twierdzi Z. Kubicki po wojnie waga trafiła do Kargowej, gdzie została zainstalowana na podwórzu tamtejszego PGR.



Transformator z lat 20. XX w.

z napędu niektórych maszyn za pomocą kieratu, zwanego też maneżem. Od tej pory to silnik elektryczny za pośrednictwem pasa transmisyjnego wprowadzał w ruch siewkarnię, śrutownik, młockarnię, piłę tarczową i inne jeszcze ułatwiające pracę na wsi maszyny. Niewykluczone, że energia elektryczna docierała do Karszyna i wielu innych miejscowości z elektrowni opalanej węglem brunatnym z Zielonej Góry. W początkowych kilku latach docelowi odbiorcy prądu niektórych okresach mieli rodzaj bonifikaty na jej zużycie. Jak opowiadała wiele lat temu sąsiadka, pani Franciszka Chmiel – mieszkańcy Karszyna przez 3 miesiące w roku mieli prąd za darmo. Musieli tylko spełnić

określone warunki: w pomieszczeniu mieszkalnym mogła się znajdować najwyżej jedna żarówka o mocy nie większej niż 40W oraz jedno gniazdko do pobierania prądu.³

Ostatnią wymienioną przeze mnie zdobyczą cywilizacji był telefon. Z książki S. Petriuka o Kargowej dowiadujemy się m. in. o mieszkańcach Karszyna (wówczas Großheiden) - abonentach usług telekomunikacyjnych w latach 1937/1938.⁴ Byli nimi zarówno mieszkańcy jak i instytucje:

Leśnictwo Schefferhöhe (Znajdowało się pod Uściami. Do 1945 r. urzędował w nim Franz Obieglo),

Leśnictwo Antonshöhe (Do 1945 r. urzędował w nim Friedrich Lehmann, pełniący jednocześnie funkcję sołtysa),

Plebanię Katolicką Karszyn (Urzędował w niej ks. Franz Wecker),

Lubig Wilhelm, kupiec handlujący towarami spożywczymi,

RAD – służba poprzez pracę dla młodzieży żeńskiej, obóz 13/50 Großheiden (Karszyn).

Kończąc rozdział, muszę stwierdzić, że budzi mój podziw ilość udogodnień służących mieszkańcom tej małej wsi przed wojną.

3 Relacja Franciszki Chmiel.

4 S. Petriuk, tamże, s. 302-304.

Życie religijne w okresie przedwojennym

Religijny świat wartości, własna świątynia wraz z otaczającym ją cmentarzem oraz obecność duszpasterza przy najważniejszych momentach w prywatnym, a pewno i publicznym życiu mieszkańców dodatkowo wpływały na trwałość tutejszej wspólnoty. Nie wiadomo, czy wielkie wydarzenia dokonujące się w łonie Kościoła jako instytucji, szczególnie w XVI w. ominęły Karszyn. W niedalekiej Kargowej, należącej już do diecezji poznańskiej, gdzie kościół sukursalny (pomocniczy) istniał od roku 1462, w dobie reformacji świątynię zajęli innowiercy (nowy parafialny katolicki wybudowany został dopiero w 1892, a erygowany był w 1923 roku).¹ W tym samym czasie wspomniana wyżej diecezja poznańska utraciła swe kościoły na rzecz luteran na Śląsku, to jest w: Smolnie, Podlegórzcu, Klenicy, Kolsku, Konotopie, Konradowie, Lubięcinie, Lipinach, Sławie, Strońsku i Niechłowie. „Część ich odzyskał Kościół katolicki w XVII wieku, przyłączono je jednak jednostronnym aktem uzurpacji jako położone poza granicami Królestwa Polskiego do diecezji wrocławskiej”.² Od tej pory przebiegająca tutaj granica obu diecezji pokrywała się mniej więcej z granicą polityczną pomiędzy Śląskiem i Wielkopolską.³ Reformatorski nurt widocznie nie poczynił jakichś istotnych zmian w tutejszej parafii, co mogło być zasługą wysiłków jezuitów z Otynia, bardzo zaangażowanych w tłumieniu „nowinek” zapoczątkowanych w 1517 r. przez Marcina Lutra⁴. Co ciekawe - wizytacje parafii dokonywane z ramienia administracji Kościoła katolickiego wykazały, że w wielu miejscowościach zamieszkiwała ludność polska. „Były to: Kotla, Bielawy, Nowa Sól, Klenica, Karszyn, Milsk i Niodoradz, gdzie parafianie domagali się duszpasterza mówiącego po polsku.”⁵ Stąd pewno wizytatorzy zalecali, aby proboszczowie znali ten język. Przy okazji wspomnianych wyżej otyńskich braci zakonnych warto zauważyć, że w 1656 r. przenieśli oni z Klenicy do Otynia - siedziby swego zakonu w tej okolicy – słynącą z cudów figurkę Matki Boskiej.

Figurka ta – jak czytamy w opracowaniu autorstwa Tadeusza Wojtera „Klenica – praca monograficzna”⁶ – po wybudowaniu klenickiego kościoła, to jest w 1450 roku, została przeniesiona z wzgórza cmentarnego do świątyni, odtąd nazywanej pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny.



Cudowna figurka Matki Boskiej Klenickiej.

Źródło: <http://lubuskie.regiopedia.pl/wiki/madonna-klenicka>, odczyt: 30.01.2013 r.

1 J. Nowacki, Dzieje Archidiecezji poznańskiej, t. II, Księgarnia św. Wojciecha 1964, s. 645.

2 Tamże, s. 558.

3 Tamże, s. 29.

4 M. Konopnicka-Szatarska, Kontrreformacja w księstwie głogowskim (XVI-XVIII w.), Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2002, s. 79-80.

5 Tamże, s. 89.

6 T. Wojter, Klenica – praca monograficzna, www.klenica.com.pl/artykuly/historia?start=5, odczyt: 29.01.2013 r.

O cudownej klenickiej figurce, znajdującej się od tamtej pory po dzień dzisiejszy w Otyniu, nadmienia się tutaj dlatego, że była ona z pewnością obiektem pielgrzymowania także mieszkańców niewielkiego Karszyna. Niewykluczone jednak, że przeniesienie jej do Otynia pewnie w jakimś stopniu spowodowało umniejszenie owego kultu. O tym, że mimo zmiany jej miejsca pobytu nadal istniał i popularny był nawet w Wielkopolsce, pisze Tomasz Andrzejewski: „Figurkę przeniesiono z Klenicy w 1656 r. i umieszczono w kaplicy zamkowej, którą z racji licznych pielgrzymek z terenu Wielkopolski z czasem nazwano kaplicą polską.”⁷

Dziś trudno powiedzieć, w jakim stopniu przypomniany tutaj kult świętej figury z Klenicy, jak również rola zakonu jezuitów z Otynia wpłynęły na religijne postawy wiernych. Nie można jednak wykluczyć, że pomogły w istotny sposób sprawić, że wytrwali przy katolicyzmie aż do 1945 roku. Chociaż – jak wynika z poniższego zestawienia – Karszyn i Klenica niezupełnie obroniły się przed modą na nowe w wierze chrześcijańskiej. Dotąd jednorodne wyznaniowo społeczeństwa wsi wchodzących w skład otyńskich dóbr jezuickich uległy podziałowi na katolików oraz protestantów. Chociaż przykłady Karszyna i Klenicy wskazują na wyraźną przewagę ilościową pierwszych nad drugimi, to jednak jakiś wylom w dotychczasowym monolicie już nastąpił. Jedyne w samym Otyniu cała zamieszkująca tę miejscowość populacja wierna była wyznaniu katolickiemu. I tylko nie wiadomo, czy była to zasługa wytrwałej duszpasterskiej pracy tamtejszych jezuitów, czy też jest to tylko efekt pracy nad sporządzanym przez nich i tutaj przytoczonym zestawieniem.⁸

Katolicy i protestanci w dobrach jezuitów otyńskich w 1700 r.

Miejscowości	Katolicy	Protestanci	Ogółem
Otyń	480	-	480
Klenica	279	98	377
Karszyn	64	38	102

Z informacji uzyskanych od Bernarda Chmiela, opierającego swą wiedzę na przekazach pochodzących od wspomnianej wyżej babci Jadwigi wiadomo, że obecna niegdyś w Karszynie wspólnota protestancka zamierzała wybudować zbór. Wprowadzie między obu wspólnotami wyznaniowymi istniała we wsi w miarę poprawna koegzystencja, bo protestanci mogli swoje nabożeństwa odprawiać w miejscowym kościele katolickim, to jednak woleli być niezależni. W tym celu wykupili teren – na placu tym dziś znajduje się sklep państwa Dębickich - ale plany przekreśliło dojście do władzy w 1933 r. Adolfa Hitlera.⁹ Co ciekawe, miejscowi ewangelicy zaliczali się do wiejskiej elity, przynajmniej pod względem finansowo - gospodarczym. Ewangelikami byli m. in.: Friedrich Lehmann (leśniczy i sołtys),

⁷ T. Andrzejewski, Miejscowości powiatu nowosolskiego, Muzeum Miejskie w Nowej Soli, Nowa Sól, 2004, s. 161.

⁸ M. Konopnicka – Szatarska, tamże, s. 99.

⁹ Relacja B. Chmiela, 18.12.2011 r.

Martin Kadach (rzeźnictwo i poczta), Wilhelm Lubig (sklep spożywczy), Hermann Mätzschke (piekarnia), Adolf Winzler (restauracja i rzeźnictwo), Otto Rieger (handel), Alfred Heinrich (wylegarnia drobiu).

Trudno powiedzieć, jak wyglądało życie religijne mieszkańców Karszyna jeszcze w XVIII w. Z całą pewnością był tutaj niewielki drewniany kościół, a właściwie *Begräbniskapelle* – jak pisze A. Foerster - to jest kaplica cmentarna, gdzie można było odprawiać nabożeństwa.¹⁰ Wspomniany

autor zauważa, że od 1790 roku posiadał Karszyn masywny katolicki *Kirchlein* (kościółek), administrowany z Klenicy. Ufundowany został przez ówczesnego generalnego dzierżawcę dóbr klenickich Scholza, który zapewnił *bauholz*, to jest drewno na budowę. W dniu 1 września 1793 roku obiekt był gotowy. Oprócz nawy składał się z drewnianej kruchty pokrytej gontem o wymiarach 6 x 5 m. Nad nią była wieżyczka pełniąca rolę dzwonnicy. Wewnątrz kościoła znajdował się będący na podwyższeniu biały ołtarz z umieszczonym w nim obrazem św. Jadwigi Śląskiej, a po jego



Kościół z prowizoryczną dzwonnicyą w miejscu dzisiejszego prezbiterium.

bokach były ozdabiające go święte obrazy.¹¹ W takim stanie kościół przetrwał do 1882 roku, kiedy wskutek uderzenia pioruna pożar strawił sześć pobliskich gospodarstw oraz część świątyni wraz z kruchtą, wieżą i obelkowaniem budowli. Po tym nieszczęściu postanowiono nie naprawiać zniszczonych pomieszczeń świątyni, tylko od strony wschodniej wznieść prowizoryczną dzwonnicyą, w której umieszczono ofiarowany przez mieszkańca wsi dzwon.¹²

Mieszkaniec Karszyna Bernard Chmiel wspomina o wielkim pożarze kościoła, który miał miejsce przed wieloma laty. Opowieść tę usłyszał w dzieciństwie od swojej babci Jadwigi, urodzonej w 1871 r.¹³

Podobno z płonącej budowli udało się uratować jedynie ołtarz. Wersję o wcześniej istniejącym drewnianym kościele potwierdza Sławomir Brzezicki

10 A. Foerster, tamże, s. 231.

11 A. Foerster, tamże, s. 257.

12 A. Foerster, tamże, s. 261.

13 Opowieść B. Chmiela o wielkim pożarze drewnianego kościoła, 18.12.2011 r.



Babcia Jadwiga Chmiel.

w publikacji „Zabytki sztuki w Polsce. Śląsk”, gdzie czytamy, że karszyński kościół św. Jadwigi „...wzniesli w 1792 dominikanie w miejscu pierwotnej drewnianej świątyni”.¹⁴ Historia uratowanego z pożogi ołtarza została opisana w Kronice Parafii Klenica, do której organizacyjnie należała karszyńska świątynia do lat trzydziestych XX wieku. Autor powołuje się na opowiadania starych ludzi, którzy wierzyli, że pochod ognia podczas pożaru zatrzymała stojąca wewnątrz figura świętej Jadwigi, która wyciągnąwszy dłoń, rozkazała płomieniom zatrzymać się, dzięki czemu nie dotarły do ołtarza, w którym do dziś widnieje jej wizerunek. Opowieść ta

potwierdza tę, żyjącą w ludzkiej pamięci i przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Istnieje więc pewność, że obecny kościół to ten sam, który wzniesiono w początkach lat 90. XVIII wieku. Znajduje się on na cmentarzu, prawdopodobnie na miejscu drewnianej kaplicy. Wątpliwości co do istnienia świątyni w Karszynie zrodziła lektura publikacji Arkadiusza Cincio pt. „Zielona Góra i powiat zielonogórski na dawnych mapach”. Autor pisze o wsiach księstwa głogowskiego w obrębie powiatu zielonogórskiego bez kościoła i siedziby szlacheckiej. Wśród nich wymienia m. in. Karszyn, Susłów, Siadczę, Bełcze, Kartno.¹⁵ Informacja powstała na podstawie analizy zawartości Atlasu Śląska wydanego w 1752 r. przez norymberski zakład kartograficzny Homanna. Pochodzić musiała jednak z czasu wcześniejszego, bowiem gromadzeniem i korektą materiałów źródłowych do owych map zajmował się w latach 1736 – 1740 inżynier Matthäus Schubarth.¹⁶ Poruszając się jednak w sferze przypuszczeń i prawdopodobieństw, można założyć, że niewykluczone, iż akurat w tym czasie, to jest podczas gromadzenia materiałów do projektowanych map, kościoła czy choćby kaplicy w Karszynie nie było, bo obiekt taki mógł przecież spłonąć lub się ze starości rozpaść.

O okolicznościach towarzyszących powstaniu istniejącej do dziś budowli sakralnej w naszej wsi można przeczytać w Kronice Parafii Klenica. Poniższy tekst jest streszczeniem wpisu we wspomnianej Kronice.

¹⁴ S. Brzezicki, Ch. Nielsen, Zabytki sztuki w Polsce. Śląsk, Krajowy Ośrodek badań i Dokumentacji Zabytków, Warszawa 2006, s. 388.

¹⁵ A. Cincio, Zielona Góra i powiat zielonogórski na dawnych mapach, [w:] Studia Zielonogórskie, red. A. Toczewski, Zielona Góra, 2006. s. 22.

¹⁶ Tamże, s. 18.

Historia kościoła w Karszynie

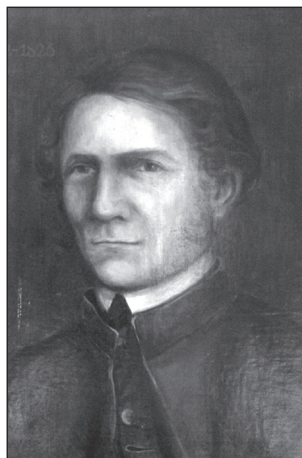
Nazwę Karszyn po raz pierwszy wymienia ksiądz Tobiasz Lisson z Klenicy. Wspomina on, że zajęcia szkolne w Karszynie, podobnie jak w innych wsiach wcześniej były prowadzone w domach miejscowych szewców i krawców. Lekcje religii natomiast odbywały się prawdopodobnie w kaplicy cmentarnej i aby nie podupadły, prowadzili je księża z Milska. Warunki panujące w tym miejscu nie były zbyt dobre, dlatego ksiądz Lisson zaczął zabiegać, aby postawić nową kaplicę przeznaczoną tylko do nauki religii. Ów kapłan bardzo się zaangażował w znalezienie darczyńcy, który pomógłby w realizacji pomysłu. Plany księdza niezbyt podobały się patronom tutejszych dóbr, którzy zamiast tego proponowali dobudowanie jednej izby do istniejącego budynku szkolnego albo wstawienie ogrzewania do kaplicy cmentarnej. W końcu jednak ulegli i 21 marca 1791 roku wyrazili zgodę na podarowanie terenu pod budowę kaplicy, ale o pomocy w budowie nie wspominali. 29 marca 1791 roku strona zainteresowana wzniesieniem kaplicy szukała wsparcia dla swego pomysłu u króla pruskiego. Ten 30 czerwca 1791 roku poparł przedsięwzięcie. Wobec takiej sytuacji patroni również zaczęli angażować się w pomysł budowy kaplicy. Wzięli na siebie obowiązek przygotowania planu, koszty kamienia budowlanego, a ponadto podarowali drewno. Za sprawą przeprowadzanych zbiórek pieniędzy oraz darowizn generalnego zarządcy Scholza z Klenicy budowa szła rześko do przodu, tak że 1 września 1793 roku dom Bożymógł być poświęcony przez archiprezbitera Kahna z Otynia. Patron podarował także drewno na wykonanie wyposażenia wnętrza. Można więc było zrobić ławki i chór. Z początku chciano się zadowolić skromnym ołtarzem, później dostarczono ze starego klenickiego kościoła ten sam, który ongiś z Otynia do Klenicy był podarowany. Można przypuszczać, że dawniej ów ołtarz stał w jakimś wysokim kościele i dlatego środkowa część musiała być usunięta. (...) Także stara chrzcielnica, o dużej artystycznej wartości, prawdopodobnie przybyła tutaj ze starego klenickiego kościoła. Później znalazł się jeszcze stary cenny obraz, którego droga wiodła do Karszyna z zamku w Otyniu przez kaplicę w Siadczy. Widnieją na nim zaślubiny świętej Katarzyny. Obraz został określony przez biegłego rzeczoznawcę jako dzieło Willmana lub jego uczniów i wyceniony na 500 marek. Kaplica sprawiała wrażenie masywnej budowli pokrytej gontem i na dachu dźwigała małą wieżyczkę wspartą na sześciu filarkach. Przed drzwiami wejściowymi znajdowała się przestronna drewniana kruchta. W 1793 roku, krótko po poświęceniu, karszynianie skierowali prośbę do biskupa, by mogli swoich zmarłych grzebać w Karszynie. Patron podarował także drewno na opłotowanie. Kaplica była pod wezwaniem świętej Jadwigi. Jej obraz znajdował się we wnętrzu świątyni. Od tej pory Karszyn był otoczony przez proboszcza Tobiasza Lissona jeszcze większą troską. (...) Krótko po jego śmierci zaszła potrzeba naprawienia wieżyczki. (...) Proboszcz Herzog zwrócił się więc o jasne stanowisko w sprawie obowiązku utrzymania karszyńskiego wikariatu do urzędu wikariusza generalnego we Wrocławiu. Niestety, żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi w tej sprawie nie otrzymał. Wszystko to było dość dziwne, bo wcześniej ze strony patrona nie było przeszkód w udzielaniu pomocy tutejszemu kościołowi. Tymczasem koniecznie należało naprawić zewnętrzną

konstrukcję dachu. Dlatego proboszcz Ehrlich ponowił wniosek, w którym prosił patrona, iż gdyby jego rozpatrzenie się przedłużało, udzielił pomocy, gdyż parafia jest bardzo biedna. Pan Wurmb, który był tak samo upelnomocniony jak pan Gögingk, to człowiek życzliwy, zatem obiecał pomoc, ale tylko za pokwitowaniem. W końcu za proboszcza Hoffmanna wieża miała być naprawiona. Proboszcz bardzo się starał, zamierzał nawet wieżyczkę całkiem usunąć i w oszczędny sposób założyć dzwony na obelkowaniu pod dachem kaplicy. W ostatnim czasie zastanawiano się także nad inną koncepcją proboszcza Ehrlicha, żeby za przyzwoleniem patrona odrestaurować wieżę po staremu, przy czym część kosztów poniósłby kościół. Patron podarowałby drewno, a parafia dałaby resztę. Jednak podczas rozpoczętych prac naprawczych umarł proboszcz Ehrlich i jego dzieło dokończył proboszcz Hoffmann. Przy okazji wykonywanych prac się okazało, że także dach musi być gruntownie naprawiony. Zwrócił się zatem z tą sprawą do patrona. W jego imieniu pan Wurmb podarował około 600 dachówek za pokwitowaniem. 11 września 1869 roku proboszcz Tietze wnioskował do patrona o powiększenie karszyńskiego cmentarza oraz o podarowanie 4000 sztuk cegieł na wzniesienie filarów. W 1870 roku patron podarował pień na zrobienie nowego krzyża cmentarnego, bo stary był zniszczony przez burzę. 26 lipca 1882 roku wybuchł naprzeciwko kaplicy pożar. Za sprawą podmuchów wiatru iskry przeniosły się na kaplicę. Spłonęły wtedy wieżyczka, kruchta i drewniany dach. Spadł także dzwon i się stopił. Z życzliwą pomocą darczyńców udało się kaplicę w Karszynie wyremontować. Dach na nowo został pokryty dachówkami. Kruchty postanowiono nie odbudowywać. Pojawił się wkrótce nowy dzwon, który w 1884 roku kupił za 370 marek Kutschner Wilhelm Funke¹⁷ i podarował go kościołowi. Zawisł on na dwóch wymurowanych filarach. W kościele od dawna była mała statua świętej Jadwigi. Jak wierzą starzy ludzie, to ona uchroniła ołtarz, zatrzymując dłonią pochod ognia w jego kierunku, jak również samą kaplicę przed całkowitym spalaniem. Archiprezbiter Günther uchronił ową statuę przed zniszczeniem, wystarał się o fisharmonię i nowe tabernakulum. Archiprezbiter Günther nosił się z zamiarem powiększenia kaplicy przez budowę prezbiterium oraz wieży z kruchtą. Odszedł jednak do Bischofswalde, zanim ten plan zdołał zrealizować. (...) rodzice proboszcza otyńskiego (Thomas) bardzo czuli się związani z kaplicą, także osobno siostra nauczyciela. Niestety, Thomas był wkrótce przez protestanckiego dzierżawcę Widenrotha usunięty z zarządzania majątkiem. Tymczasem stan karszyńskiej kaplicy był opłakany. Poczerniały, brudne ściany i sufit, powybijane okna. Podobnie źle wyglądały ławki i konfesjonał. Pozostały kościelny inwentarz był także bardzo zniszczony i nie zanosilo się na lepsze widoki. W pierwszą uroczystość świętej Jadwigi, w 1913 roku, powstało kółko różańcowe, które postawiło sobie za cel organizowania zbiórek, z których dochód miał być przeznaczony na odnowienie wnętrza kaplicy. Dzięki tego rodzaju działaniom poprawiły się relacje pomiędzy ludźmi przychodzącymi do kościoła. Już w zimie doszło do zebrania, w czasie którego duże zaangażowanie wykazali nauczyciele

¹⁷ Niewykluczone, że ów Wilhelm Funke miał polskie pochodzenie. Jak bowiem pisze A. Foerster w „Geschichtliches...” (s. 292) – „...das ein Kutschner einfach der Pohlack hiess”, co oznacza – Kutschner to po prostu miejscowy Polak.

Rogosch i Heidau. Krótko po Wielkanocy rozpoczęto remont. Zamówiono nowe okna kościelne za 381 marek, drewniane świeczniki oltarzowe zostały zastąpione przez wykonane z mosiądzu za kwotę 174 marek. Rozstrojona fisharmonia, została naprawiona za kwotę 125 marek. Karszyńscy murarze nieodpłatnie wytynkowali kościół od strony północnej. Dach również został naprawiony. Także wewnątrz kościoła odświeżono przez użycie weselszych kolorów. Farbą olejną pomalowano ławki, konfesjonał i drzwi, dzięki czemu kościółek po renowacji odzyskał przyjemny wygląd. Pierwszy raz po remoncie wykorzystano kaplicę w uroczystość Bożego Ciała w 1914 roku. Postanowiono przy tym rozstać się z dziwacznymi karykaturami świętych i zastąpić je innymi. Na jesieni 1915 roku kaplica była wizytowana przez archiprezbitera Sappelta a powstałe kościelne kółka i organizacje poświęcone. Ich powstanie zimą okazało się sukcesem. W zimie 1917 r. (27.01. – 4.02.) pierwszy raz odbyły się w Karszynie misje odprawione przez redemptorystę ojca Andris – Wartha. Dzięki częstemu udziałowi w mszach mieli się karszynianie odpowiednio uduchowić i rzeczywiście tak się stało. (Rozdano ponad 900 komunii) Życie religijne Karszyna bardzo się poprawiło (...). Miłość do Boga zaowocowała Jego błogosławieństwem.

Przedstawieni na poniższych fotografiach księża byli proboszczami Parafii Klenica, a więc jednocześnie duchownymi dla karszyńskich katolików. W czasie, kiedy proboszczem był ksiądz Wolny, powstał Wikariat Lokalny Karszyn z własnym duchownym księdzem Franzem Weckerem.¹⁸



Ksiądz proboszcz
Tobias Lisson.



Ksiądz proboszcz Herzog.



Ksiądz proboszcz Hoffmann.

¹⁸ Według Kroniki Parafii Klenica (str. 266) 1.04 1924 r. utworzono Wikariat Lokalny Karszyn jako rodzaj samodzielnej parafii pozostającej w związku z Parafią Klenica. Natomiast jak czytamy w tym samym źródle (str. 277), ks. Franz Wecker przybył do Karszyna 17 lipca 1926 r. i do czasu wybudowania plebanii, to jest do roku 1930, mieszkał u rodziny Michulitz. W budynku tym obecnie mieszka pan Marian Bajon. (Przypis autora) W dalszej części publikacji to cenne źródło będzie podawane w skrócie jako KPK.



Ksiądz proboszcz Tietze.



Archiprezbiter Günther.



Ksiądz dziekan Ludwig Wolny.

We wspomnianej Kronice znajduje się artykuł o tym kapłanie pochodzący z lokalnej prasy z datą 10 lipca 1930 r. Czytamy w nim: *W ostatnich dniach tygodnia z wielkim zapamiętaniem tutejsza parafia przystąpiła do przyozdabiania swojego kościoła. Ołtarz domu Bożego został przystrojony posrebrzonymi wieńcami i girlandami. Także drogę z plebanii do kościoła udekorowano gałązkami zielonej brzozy. Tak dziękowano księdzu Franzowi Weckerowi za jubileusz 25 -lecia ślubów kapłańskich. Na nabożeństwo dziękczynne jubilat był prowadzony w procesji z plebanii*



Ks. Franz Wecker z dziećmi przystępującymi do I Komunii Św. w Karszynie w 1930 r.

*do kościoła. Przed wejściem do świątyni jubilata udekorowano srebrnym wieńcem. Następnie ksiądz Wecker celebrował sumę w asyście ks. dziekana Thiela z Kolska i księdza Dworczaaka (może raczej Wdowczyka?) z Kargowej. Kazanie wygłosił ks. dziekan Spillmann z Milska. Po nabożeństwie jubilat, zanim go odprowadzono z powrotem w procesji na plebanie, otrzymał życzenia od przedstawiciela społeczności parafialnej Poppmanna, który oprócz innych powinszowań, życzył na ten srebrny jubileusz najlepszego zdrowia. Ksiądz dziekan Wolny w imieniu zielonogórskiego archidiecezji wręczył jubilatowi prezent. Ksiądz Wecker, dziękując za życzenia, przede wszystkim wyraził wdzięczność ks. dziekanowi Wolnemu za pomoc w odbudowie karszyńskiego kościoła oraz za nową plebanie. Wraz z jubilatem to uroczyste wydarzenie świętowało także wielu przybyłych z daleka jego krewnych.*¹⁹

W tym miejscu warto przytoczyć ciekawą informację dotyczącą duchownych w państwie pruskim. W XVIII wieku, a dokładnie od roku 1763 wszyscy nowo wyświęceni kapłani, by mogli wykonywać swe obowiązki duszpasterskie, musieli wcześniej złożyć przysięgę wierności panującemu królowi. Stawali się więc urzędnikami państwowymi, za czym w późniejszym czasie szły też pewne finansowe przywileje. Od 1898 roku „Rząd pruski ustalił najmniejsze uposażenie plebana na 1500 marek rocznie oprócz mieszkania służbowego oraz dodatki 400 lub 300 marek po każdym dziesięcioleciu pracy, przy czym godził się na podwyższenie początkowego uposażenia z 1500 na 2100 marek i wyznaczał dla niedostatecznie uposażonych dodatki państwowe (z funduszu skonfiskowanych dóbr kościelnych).”²⁰



Wnętrze kościoła, lata 30. XX w.

Po sąsiedzku z kościołem znajdował się budynek plebanii. Ciekawa jest historia powstania tego obiektu, dawniej na co dzień zamieszkiwanego przez sprawującego posługę kapłańską duchownego. Dowiadujemy się jej z przywoływanej tutaj Kroniki Parafii Klenica. W dokumencie tym czytamy, że o pozwolenie na wybudowanie plebanii w Karszynie w 1812 roku wnioskował do ówczesnego właściciela okolicznych dóbr ksiądz proboszcz Tobias Lisson²¹ z Klenicy. W owym czasie bowiem Karszyn najprawdopodobniej był częścią tamtejszej parafii. Stosowne pozwolenie na budowę zagwarantował pan Gögingk, który nakazał zarządcy karszyńskiego folwarku Westphahlowi

¹⁹ KPK, str. 311.

²⁰ J. Nowacki, tamże, s. 345.

²¹ Ten urodzony 4.09.1755 r. kapłan był pierwszym proboszczem Parafii Klenica po jej erygowaniu w 1782 r. jako samodzielnego organizmu, niezależnego od dotychczasowej jurysdykcji zakonnej. (KPK, s, 47.)

przygotować plac pod budowę plebanii. Siedzibą przyszłego księdza wikariusza było nieduże mieszkanie z większą dwuokienną izbą po lewej stronie i mniejszą jednookienną izbą obok. Ponadto wyposażone w kuchnię i komórkę. Do tego należała jeszcze stajnia na jedną krowę, świnie i kury, mała stodoła, podwórze i ogród o wymiarach 130 łokci kwadratowych. Proboszcz Lisson dołożył jeszcze sad zawierający 60 – 70 drzewek śliwek i wiśni. Powodem takich działań był – jak czytamy w Kronice – zamiar utworzenia samodzielnej parafii. Na początku posługiwał w Karszynie będący na emeryturze zakonnik – karmelita Joachim Göppert. Kapłan ten najpierw zamieszkał u gospodarzy a później w wikarówce. Po dwóch latach został jednak przeniesiony do Szprotawy.²² O karszyńskiej plebanii będzie jeszcze mowa za chwilę, ale już teraz można zaryzykować tezę, że istniejący budynek dawnego mieszkania kapłana jest innym obiektem niż ten, o którym mowa w Kronice Parafii Klenica. Prawdopodobnie dawną wikarówkę zamieszkują obecnie państwo Musiałowie. Co zaś tyczy plebanii, zamieszkiwanej przez ks. Franza Weckera, to z przywoływanej tutaj Kroniki dowiadujemy się, że teren pod jej budowę kupił w 1925 roku klenicki proboszcz Ludwig Wolny. Grunt o powierzchni 2 i ½ morgi nabył od rolnika Fuhla za kwotę 500 marek. Pieniądze na ten cel podarował sam Arcybiskup Metropolita Wrocławski Kardynał Adolf Bertram.²³ Jak to samo źródło podaje – pierwszą łopatę pod wykopy na fundamenty plebanii wbito w grunt w październiku 1928 r.

Wracając do wspomnianej Kroniki, odnajdujemy w niej kolejny wycinek prasowy z dnia 14 lipca 1930 roku, informujący o otwarciu plebanii. Oto on:

Uroczyste otwarcie plebanii w Karszynie

Gdy przed rokiem parafia Karszyn otrzymała własnego kapłana Weckera, powróciła potrzeba budowy plebanii. Projekt a także wykonanie całego przedsięwzięcia po sąsiedzku z kościołem powierzono mistrzowi murarskiemu Jozefowi Dimke z Kargowej, który wiele podobnych obiektów ku zadowoleniu zamawiających wybudował. Wznoszony obiekt powinien spełniać wszystkie oczekiwania zamawiającego, jak kolor elewacji czy położenie działki na pagórku, w celu osiągnięcia najwłaściwszego efektu. Prace stolarskie powierzono do wykonania stolarzowi Marsischke, a malarskie malarzowi Manthen z Klenicy. Plebania, oprócz funkcjonalnego mieszkania, zawiera także kancelarię oraz ładną poczekalnię z oddzielnym wejściem.

W niedzielę 14 lipca prawie cała społeczność parafialna zebrała się w kościele na mszy świętej, w czasie której przemawiali budowniczy, ksiądz Wecker oraz ks. dziekan Wolny z Klenicy. W swoim wystąpieniu przedstawił w skrócie obraz stopniowego rozwoju tutejszej parafii. Opowiedział o budowie kościoła w Karszynie w 1793 roku przez pierwszego klenickiego proboszcza Tobiasza Lissona, który już ponad 100 lat temu wybudował obok kościoła małą plebanię. Niestety,

²² Informacje pochodzą z KPK, str. 85. To cenne źródło informacji napisane jest odręcznym pismem Sütterlina, w niektórych miejscach trudnym już niestety do odczytania. (Przypis autora)

²³ KPK, s. 273.

została ona przez jego następcę sprzedana. Po drodze różne nieszczęścia dotknęły Karszyn. Pożar strawił wieżę i to samo spotkało prawie cały kościół. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu powróciło tu życie religijne. Kościół został powiększony przez dobudowanie prezbiterium i zakrystii z jednej strony i wieży z drugiej strony. Wnętrze uzyskało ładny wygląd przez pomalowanie ścian, a w ostatnich dniach położono nową posadzkę. Oprócz tego obok została wzniesiona plebania. Pomimo różnych przeciwności, dzięki wstawiennictwu Bogurodzicy u Pana Boga, dzieło się powiodło. Dzięki, serdeczne dzięki ci, księżę kardynale dr. Adolfie Bertram, za wielkie wsparcie tego dzieła. Serdeczne dzięki także Stowarzyszeniu Bonifatius z diecezji wrocławskiej i przewodniczącemu Kapituły Katedralnej dr. Piontkowi. Szczerze im za pomoc w budowie dziękuję. Na zakończenie chcę wyrazić słowa podziękowania karszyńskiemu kapłanowi za zapewnienie niezbędnego bezpieczeństwa w czasie budowy.



Plebania, widok od strony północnej, 1930 r.

Słowa podziękowania kieruję do mistrza murarskiego i innych majstrów budowlanych i darczyńców i mówię im serdeczne Bóg zapłać.

Następnie we wspólnej radosnej procesji cała społeczność parafialna udała się na plebanie, gdzie jeszcze zaśpiewano kilka krótkich piosenek pod kierownictwem kantora Seewalda i potem mistrz Dimke²⁴ przekazał klucze od plebanii inwestorowi z życzeniem: „Gottes Zegen walte in Hause und der Friede Gottes”. (Wycinek prasowy pochodzący z KPK, str. 295.)

Wzruszająca i ładna była ceremonia przekazania domu, gdzie oprócz krzyża był przyniesiony talerz z chlebem i solą. Po poświęceniu ks. dziekan Wolny w imieniu kardynała podarował parafii plebanie i przekazał duszpasterzowi i jego następcom Boże błogosławieństwo oraz życzył nieustającego zdrowia, pokoju i zadowolenia, życzył także, by to miejsce mogło być punktem wyjścia do miłości bliźniego. Po tym wystąpieniu na zakończenie zabrał głos miejscowy kapłan Wecker, który wyraził w szczególności swoje podziękowania ks. dziekanowi Wolnemu, za jego niezmordowane zaangażowanie w budowę plebanii. Na tym samym wzgórzu obok kościoła i plebanii znajduje się cmentarz. Obecność zachowanych do dziś nagrobków, pochodzących z połowy XIX wieku nie oznacza, że wcześniej nie chowano tutaj zmarłych.

Po pierwszych pochówkach, zwykle, usypywane nad mogiłami kopczyki ziemne, porastały trawą, i wraz upływem czasu ulegały stopniowemu zapomnieniu.

²⁴ Ten sam budowniczy, pochowany w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym w Kargowej, przebudował w 1905 roku pałac Radziwiłłów w Klenicy. Źródło: www.lkwz.pl/monument/show/id/461, odczyt: 8.01.2013 r.

Dawniej wśród prostego ludu, a taki pewnie dominował w Karszynie, nie było zwyczaju jak współcześnie, by zmarłym stawiać trwale nagrobki. Interesujące jest to, że karszyński cmentarz był miejscem grzebania bliskich zarówno dla tutejszych katolików, jak i ewangelików, podobnie jak kościół był miejscem modlitwy dla obu wyznań. Jak opowiada Bernard Chmiel, powtarzając za swą babcią Jadwigą, w niedzielę najpierw w świątyni mszę odprawiał ksiądz proboszcz dla wspólnoty

katolickiej, natomiast krótko potem w kościele gromadzili się ewangelicy wraz z klenickim pastorem.²⁵ Można zatem uważać, że pomiędzy obu wspólnotami wyznaniowymi istniała spora wzajemna tolerancja.

Kiedy mowa o cmentarzu, to warto zauważyć, że jeszcze przed wojną mieszkańcy Karszyna zastanawiali się nad urządzeniem nowego miejsca pochówku swych bliskich. Dotychczasowy był już prawie wypełniony, dlatego planowane nowe miejsce wiecznego spoczynku zmarłych miało się znajdować *na górach*, naprzeciwkodawnej wieży triangulacyjnej. Tam był teren będący własnością wsi.²⁶ Przeglądając Kronikę Parafii Klenica można się dowiedzieć, jakie w okresie międzywojennym obowiązywały w Karszynie stawki opłat cmentarnych. Na przykład za tzw. grób gościnny, to jest taki, w którym jest pochowany niekatolik, np. ewangelik – 3 marki. Postawienie pomnika na fundamencie – 12 m. Postawienie samej tablicy na fundamencie – 6 m. Postawienie tablicy bez fundamentu – 3 m. Za postawienie niewielkiego drewnianego krzyża z nazwiskiem zmarłego – bez opłat. Murowane obramowanie grobu lub grób murowany – 20 m. Jeśli ktoś chciał, aby grób miał opłotowanie metalowe lub drewniane, kosztowało to 30 m.²⁷



Nagrobek Liny Minetzke



Nagrobek Hedwig Kitschke.

Religijność dawnych karszyniean można dostrzec po latach także po innych oznakach, jak choćby dwóch murowanych kapliczkach. Pierwsza jest widoczna zaraz przy wjeździe do wsi od strony Kargowej, usytuowana na rozwidleniu dróg.

25 Informacja pochodzi od B. Chmiela, 19.01.2012 r.

26 Informację przekazał B. Chmiel, 30.03.2012 r.

27 KPK, s. 218.

W przeszłości cała była pomalowana na biało. W jej górnej części, będącej rodzajem latarni za szybami znajduje się figurka Najświętszej Marii Panny, natomiast w niewielkiej niszy usytuowanej poniżej znajduje się nieduży obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem. Szczyt kapliczki przykrywa daszek, który zwieńczony jest metalowym krzyżem. Nie wiadomo, kiedy wzniesiono kapliczkę, gdyż w żadnym miejscu nie widnieje data, pozwalająca to stwierdzić. Ten niewątpliwie stary obiekt sakralny niedawno został odnowiony poprzez położenie nowoczesnego tynku strukturalnego. Zachował jednak swą pierwotną bryłę architektoniczną i z pewnością jest ozdobą tej części wioski.

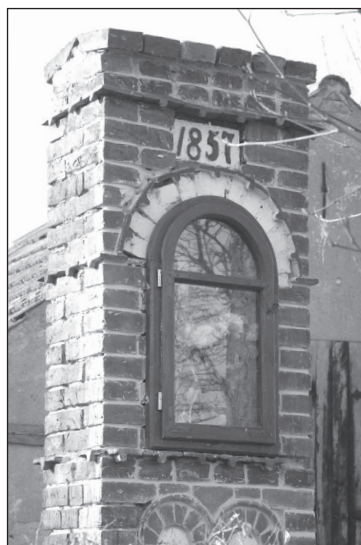
Druga kapliczka stoi po lewej stronie drogi na trzeciej posesji, wjeżdżając do Karszyna od strony Siadczy. Udało się ustalić, kto i z jakiego powodu ją ufundował, ale o tym będzie mowa później.

Została wzniesiona w 1857 roku z czerwonej cegły. Z uwagi na upływ czasu jest nieco pochylona do przodu w kierunku drogi. Stoi jednak stabilnie i dzielnie, świadcząc zarówno o budowniczych, jak i kolejnych mieszkańcach zagrody, którzy o ów obiekt kultu dbali. W górnej części budowli, podobnie jak w poprzedniej kapliczce, znajduje się latarnia, a w niej krucyfiks. Na górze widnieje też wyraźnie widoczna data wzniesienia kapliczki.

Mimo że w Karszynie mieszkali zarówno katolicy jak i ewangelicy, przeważająca część rozdziału poświęcona jest wyznaniu katolickiemu. Stało się tak, bo udało się dotrzeć do źródeł związanych z katolicką przeszłością miejscowości. Jeśli chodzi o wyznanie ewangelickie, sprawa jest bardziej skomplikowana. Miejscowi protestanci nie mieli swego kapłana na miejscu. Posługę duchową przyjeżdżał tutaj sprawować pastor z Klenicy, reprezentujący parafię ewangelicką w Trzebiechowie. Tam też znajdowały się dokumenty tej wspólnoty wyznaniowej, jak księgi chrztów, ślubów, zgonów. Niestety, najprawdopodobniej wszystkie bezpowrotnie przepadły. Nie ma bowiem na ich temat żadnych informacji w polskich archiwach państwowych. Bezowocne okazały się również ich poszukiwania w Niemczech. Dzięki uprzejmości moich znajomych ze Spreewaldu – państwa Marianny i Wolfganga Schulzów z Sellendorf – dowiedziałem się, że na początku



Biała kapliczka.



Ceglana kapliczka

lat 50. ubiegłego wieku berlińska centrala Kościoła ewangelickiego w Niemczech wysłała ankietę do wszystkich swoich duszpasterzy, którzy wcześniej pracowali w parafiach leżących po prawej stronie Odry i Nysy Łużyckiej. Jedno z pytań dotyczyło losu archiwów kościelnych tego wyznania po wojnie. Niestety, od pastora byłej ewangelickiej parafii w Trzebiechowie nie nadeszła żadna odpowiedź.²⁸ Z rozmów ze starszymi mieszkańcami dowiedziałem się, że dokumenty tutejszych ewangelików najprawdopodobniej przepadły podczas ewakuacji na drugą stronę Odry w styczniu 1945 r.

28 Korespondencja w tej sprawie jest w posiadaniu autora.

Szkoła, leśnictwo i inne ważne dla wsi instytucje i organizacje

Jedną z ważniejszych instytucji we wsi była szkoła. A. Foerster w swym opracowaniu pisze, że w Karszynie istniała powszechna szkoła katolicka dla dzieci z Karszyna, Siadczy i Dąbrówki. Pierwszy budynek szkolny w roku 1767 wspólnie zbudowały dwie społeczności - Karszyna i Siadczy. Przyczynili się do tego również zarządcy klenickich dóbr, udostępniając glinę i drewno. Do niej uczęszczały także dzieci tutejszych ewangelików. Religii tych ostatnich uczył przyjeżdżający raz w tygodniu nauczyciel z Klenicy. Dzieci ewangelików z Siadczy uczęszczały do szkoły ewangelickiej w Klenicy. Natomiast dzieci miejscowych katolików uczyli religii duchowni z Klenicy w niedzielne popołudnia. Karszyńska szkoła cieszyła się dobrą opinią w powiecie zielonogórskim. Jednym z tego powodów była od dawna prowadzona szkolna kronika, w której zapisywano także najważniejsze wydarzenia z życia wsi. Rozpoczął ją pierwszy nauczyciel Karszyna J. Weberbauer. Była więc jednocześnie kroniką szkoły i wsi. Budynek - podobnie jak większość wiejskiej zabudowy - miał ściany z gliny i był kryty słomą. Sala lekcyjna była długa na sześć metrów a szeroka $4 \frac{3}{4}$ metra. Była dość ciemna i służyła jednocześnie jako mieszkanie nauczyciela. Obok niej znajdowało się niewielkie pomieszczenie pełniące rolę komórki z glinianą podłogą. Zaraz za ścianą była obora, w której przebywała krowa. Tuż za oborą była szopa, gdzie znajdował się skład drewna. Na szkolnym podwórzu znajdowała się studnia. Do szkoły należała też niezbyt urodzajna ziemia. W roku 1798 z powodu stale powiększającej się liczby uczniów należało powiększyć obiekt. Ówczesny nauczyciel w Karszynie jako pensję otrzymywał: 10 korców żyta, 10 korców ziemniaków, 4 miary prosa, 5 kłaftrów¹ drewna i kilka talarów gotówką. Nauczyciel miał prawo do trzymania dwóch krów i jednej świni i wypasania ich w pańskim lesie. Tam mógł także zbierać runo leśne i chrust na opał. W 1805 roku spłonęła starsza część budynku szkolnego, ale jeszcze w tym samym roku na starym fundamencie go odbudowano. Ze względu na to, że liczba uczniów wzrosła do 100, zaszła potrzeba powiększenia pomieszczenia lekcyjnego, bo w dotychczasowym dzieci siedziały w pięciu ławkach i przy dwóch długich stołach. W tym czasie, to jest w 1821 roku, nauczyciel uzyskał prawo do powiększenia o jedną morgę dotychczasowej



Nowa szkoła z przełomu XIX i XX w.

1 Kłafter – jedna z dawnych pruskich jednostek miar. (1 Kłafter = 3,3389 m3).

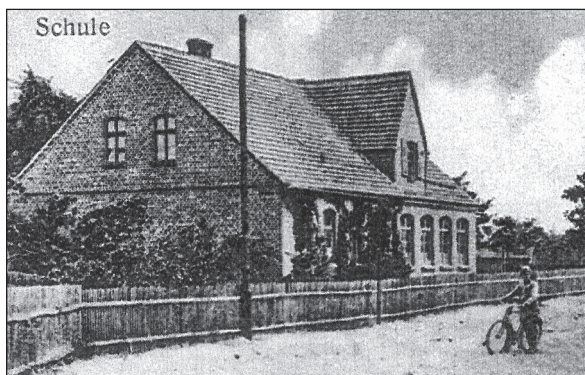


Karszyńskie dzieci na tle najstarszej szkoły ze swymi nauczycielami.
Z lewej siedzi Karl Seewald, z prawej Josef Klemt. Lata 30. XX w.

powierzchni ziemi. Ponieważ leżała w środku lasu, niewiele było z niej pożytku z powodu szkód czynionych przez zwierzynę. Działkę tę udało się jednak nauczycielowi zamienić z folwarkiem na inną, leżącą przy drodze do Dąbrówki. Poprzednią ziemię jeszcze w czasach, gdy A. Foerster opisywał karszyńską szkołę, nazywano „ogrodem nauczyciela”. W roku 1834 udało się powiększyć obiekt szkolny o pomieszczenie po stajni. Wzrósł także areal ziemi nauczycielskiej o 3 i 1/2 morgi. Nowe pole było jednak porośnięte olszyną i dość podmokłe. Należało zatem najpierw wykarczować drzewa i odwodnić teren. Do 15 maja 1845 roku nauczyciel był zobowiązany do tego, że w letniej połowie roku szkolnego miał dwa razy w tygodniu zajęcia w Siadczy. W tym czasie karszyńska młodzież była zwolniona od nauki. Owa dwuczęściowa nauka powodowała, że zimową porą dzieci z Siadczy nie miały żadnych zajęć szkolnych, natomiast karszyńskie w porze letniej miały ich za mało. Od kiedy w 1855 roku dzieci z obu wsi zaczęły uczęszczać do szkoły w Karszynie i ich liczba wzrosła do 140, dobudowane zostało nowe skrzydło. Tam znalazło się także pomieszczenie dla drugiego nauczyciela. W 1861 roku w tutejszej szkole zaczął pracować nauczyciel o nazwisku Strizel, który już w następnym roku przeniósł się do Klenicy. Jego następcą – Max Pabel niestety utonął podczas kąpieli w przepływającej niedaleko wsi rzece Obrzyce. Spośród nauczycieli, którzy mieli pozwolenie na pracę w Karszynie, na uwagę zasługuje przede wszystkim Scholz, będący tutaj od 1839 do 1876 roku. Oprócz pracy z dziećmi zajmował się uprawą szkolnej ziemi oraz dzierżawionych gruntów. Prowadził także niewielki sklepik. Mieszkał w nowym skrzydle, gdzie przydzielone pomieszczenie podzielił na dwie części. W jednej zajmował się handlem, druga była jadalnią i sypialnią. Obie izby

ogrzewał duży zielony piec kaflowy.² Wspomnianym wyżej dawnym nauczycielom pracującym w miejscowej szkole zawdzięczamy wiedzę o zanotowanych w kronice wydarzeniach. O niektórych była już mowa wcześniej, a obecnie warto wymienić jeszcze inne. Na przykład w 1829 roku szkoła musiała być zamknięta z powodu epidemii ospy. W tym czasie wszyscy mieszkańcy Siadczy i Karszyna byli zupełnie odizolowani i nie wolno im było chodzić do Klenicy. Także uczęszczanie do kościoła było zabronione. Podobna epidemia powtórzyła się w 1870/71 roku. Wiosną 1830 roku okolice Karszyna zostały podtopione przez rozlane wody Odry. Wtedy także pojawiła się epidemia choroby, następstwem czego był również zakaz kontaktowania się z mieszkańcami sąsiednich miejscowości. W marcu 1843 roku Karszyn był widownią podwójnego morderstwa na Hedwig Ludwig, mieszkającej kątem i pełniącej dożywotnią służbę w domu wdowy Herzog, jej syna oraz zamężnej córki. Po tym, jak w lesie znaleziono świeżo zakopane ciało zamordowanej, do grona podejrzanych włączeni zostali pani Herzog i jej syn. Zbrodnia została jednak popełniona przez rodzeństwo Herzog. Pozostająca poza podejrzeniami siostra, prawdopodobnie chcąc pozbyć się świadków, podjęła próbę otrucia krewnych. Zaniósła matce i bratu, zamkniętym tymczasowo w pobliskiej gospodzie, mączną polewkę „doprawioną” siarką z zapalek. Matka wskutek tego zmarła, brat natomiast zostawił zupę, bo mu nie smakowała. Przyznał się wkrótce do popełnionego czynu. Siostrę zaś oskarżono o podwójne morderstwo. Proces rodzeństwa zakończył się skazaniem. Oboje zostali straceni we Wschowie.

Wspomniany wcześniej budynek szkolny znajdował się w pobliżu centrum, o czym już kilkakrotnie tutaj była mowa, to jest w sąsiedztwie kościoła. Potrzeba spowodowała, że po czasie wznoszenia niezbyt trwałych obiektów z gliny zdecydowano o pobudowaniu na przełomie XIX i XX wieku w Karszynie kolejnego budynku szkolnego, tym



Nowa szkoła po rozbudowie.

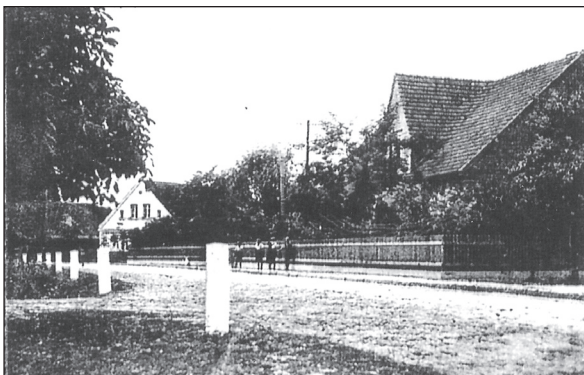
razem z czerwoną cegłą, który jeszcze dziś robi wrażenie solidnością wykonania. To w nim oraz w tym dawnym zarówno przed I wojną światową, jak i po jej zakończeniu uczyły się dzieci z Karszyna i Siadczy.

Nie od razu jednak stać było wieś na wybudowanie drugiego już budynku szkolnego w całości. Można to stwierdzić, analizując stare fotografie. Najpierw powstała południowa część, a dopiero po jakimś czasie północna wraz z pomieszczeniem na poddaszu dla kolejnego nauczyciela.

² A. Foerster, tamże, s. 257-260.



Nowa szkoła, stan obecny.



Widok na szkołę od północnego wschodu.

budynku. Funkcję ubikacji zarówno dla dzieci jak i nauczycielskiej rodziny pełnił nieduży, drewniany osobno stojący budynek w całości posadowiony na głębokim na ok. dwa metry szambie. Obiekt ten był podzielony na trzy części. W jednej znajdowała się ubikacja dla chłopców, w drugiej dla dziewcząt, natomiast w trzeciej dla nauczyciela i jego rodziny. Do każdego pomieszczenia prowadziło oddzielne wejście, każde z innej strony.



Stojak na miednicę z kąjaka sanitarnego.

Tuż za wspomnianym budynkiem sanitariatów znajdował się niewielki obiekt inwentarski nauczyciela. W nim mógł trzymać krowę i trzodę chlewną, oraz niewielką ilość drobiu. Hodowla zwierząt i uprawa gruntów miała stanowić uzupełnienie aprowizacyjnego zaopatrzenia pedagoga i jego bliskich.

W budynku szkolnym na poddaszu znajdował się dość duży pokój z oknem wychodzącym na ulicę, to jest na wschód. Pomieszczenie to wyposażone w piec kaflowy nadawało się do zamieszkania

Od tej pory połowę północnej strony budynku zajmowała wspomniana duża izba lekcyjna, z której na wschodnią stronę wychodziły trzy duże okna. Od strony zachodniej znajdowało się wejście na korytarz, na którym podczas pauzy przebywały dzieci w czasie niepogody. Stamtąd wchodziło się do klasy oraz do pomieszczenia pełniącego funkcję kancelarii. Druga połowa budynku szkolnego przeznaczona była na mieszkanie dla nauczyciela, będącego jednocześnie kierownikiem szkoły. Wejście do niego wiodło od strony zachodniej. Nauczyciel miał do dyspozycji dość dużą powierzchnię, na którą składały się dwa pokoje, kuchnia, spiżarnia oraz piwnica usytuowana pod tą połową

i pewnie było wykorzystywane jako lokum przydzielane nauczycielom praktykantom lub innym osobom oddelegowanym do czasowej pracy w karszyńskiej szkole.

Do 1945 roku szkoła w Karszynie mieściła się w dwóch budynkach, w których znajdowały się trzy izby lekcyjne. Na ich wyposażenie składały się dwumiejscowe ławki skonstruowane w ten sposób, że część służąca do siedzenia stanowiła jedną całość z pulpitem przeznaczonym do położenia na nim podręczników, zeszytów i przyborów do pisania. Pulpit był przednią częścią nieco uniesiony ku górze. W górnej części pośrodku znajdował się pojedynczy okrągły lub podwójny prostokątny otwór przeznaczony na jeden albo dwa kałamarze z atramentem. Pod blatem były półki na tornistry. Różnej wysokości ławki rozmieszczono tak, że przy tablicy stały najniższe, a na końcu sali najwyższe. Miejsca w nich zajmowali uczniowie tak, by z przodu siadali niżsi, z tyłu wyżsi. W ten sposób dzięki dostosowaniu wysokości szkolnych mebli do wzrostu dzieci uzyskiwano właściwą postawę w czasie siedzenia w ławkach, jednocześnie niżsi uczniowie nie zasłaniali widoku wyższym będącym w tyle klasy.

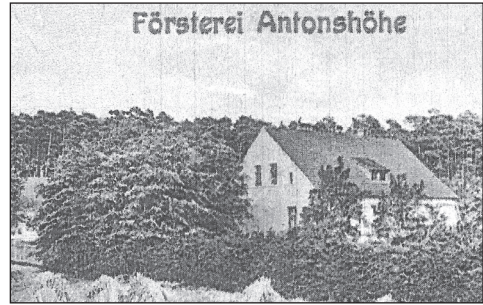
Na wyposażenie pomieszczenia klasowego oprócz ławek dwumiejscowych składały się jeszcze trzymiejscowe. Były one w zasadzie podobne do tych pierwszych, z tą różnicą, że miały odchylnie drewniane siedzenia. Dzięki temu odpowiadający uczeń, mógł stać prosto, bez potrzeby wychodzenia z miejsca. W klasie oczywiście wisiał krzyż oraz czarna tablica, na której pisało się kredą.

W przedniej części klasy po lewej stronie w narożniku znajdował się stojak wraz z niewielką miednicą. Tuż obok stało wiadro z wodą, a na wieszaku wisiał ręcznik. Taki kącik sanitarny służył do umycia rąk po używaniu kredy podczas pisania na tablicy lub zwyczajnie, kiedy np. dzieci podczas przerwy na dworze się pobrudziły. Na podstawowe wyposażenie składał się jeszcze stół i krzesło dla nauczyciela oraz piec, zwykle kaflowy lub żeliwny do ogrzewania pomieszczenia w czasie zimy. Inne sprzęty pojawiające się podczas poszczególnych zajęć lekcyjnych, przynoszone były z kancelarii. Woda potrzebna do różnych celów w szkole czerpana była ze studni usytuowanej w pobliżu wejścia do mieszkania nauczyciela. Ostatnimi do 1945 r. nauczycielami w Karszynie – Großheiden byli: Willi Scholz, Josef Klemt i Karl Seewald.³ Ten ostatni był także kantorem i organistą, grającym na fisharmonii podczas nabożeństw w miejscowym kościele.

Kolejną ważną we wsi instytucją było leśnictwo (*Försterei*).

Budynek mieszkalny i biuro leśniczego oraz obiekty zarówno inwentarskie, jak i stanowiące rodzaj magazynów, szop itp. służących do przechowywania narzędzi potrzebnych do prac leśnych, puszek, beczek na żywicę, wiklinowych koszy wraz ze szklanymi balonami zawierającymi kwas siarkowy, kiedyś przydatny przy pracach związanych z żywicowaniem drzew sosnowych, znajdowały się na końcu wsi, po lewej stronie drogi, jadąc w kierunku Siadczy i Klenicy. Do samych zabudowań leśnictwa od głównej drogi wiejskiej wiedzie aleja najpierw kasztanowa, potem lipowa, letnią porą urzekająca miodnym zapachem kwiatów. Leśniczówka, oddalona od innych wiejskich zabudowań, usytuowana jest u stóp

3 Informacja pochodzi od Pauli Kubickiej, 10.01.2012 r.



Fotografie przedstawiają leśnictwo w Karszynie przed 1914 r.

wzgórza, na które dawniej mówiono *Antonshöhe*. Z jednej strony przytulona jest do sąsiadującego z nią starego lasu mieszanego, z przewagą dębów, jesionów, olszyn, brzoź, lip i grabów, z drugiej zaś do sosnowego boru, wędrującego nieco pod górę w kierunku pól *na górach*. Z trzeciej strony dochodzi do niej wspomniana droga lipowa, obok której po prawej stronie znajdują się pola uprawne należące do leśnictwa. Kiedyś były utrzymane w dobrej kulturze rolnej, obecnie są nieużytkiem porośniętym samosiewami drzew. Uzupełnieniem otoczenia obiektów leśnictwa był ogród obsadzony przeróżnymi drzewami owocowymi, letnią porą tonący w kwiatkach, obsiany warzywami, z tętniącą życiem pasieką oraz szklarnią. Nieopodal gospodarstwa był leżący wśród lasów, w kierunku Uścia, ciąg pastwisk i łąk, na których w sezonie wegetacyjnym pasło się sporo bydła.

Bogactwem Leśnictwa Karszyn od zawsze były tutejsze lasy. Zadaniem leśniczego było dbać o nie, w odpowiednim czasie pozyskiwać określone gatunki drewna, prowadzić szkółki młodych drzewek, sadzonych potem na miejscu zrębów i obserwować, czy nie ma zagrożeń ze strony szkodliwych owadów. Do obowiązków leśniczego należała też troska o stan nawierzchni dróg śródleśnych, drożności rowów melioracyjnych i związanych z nimi mostków, przepustów i zastawek. Dlatego między innymi pozyskiwanie drewna drzew liściastych, rosnących w podmokłych częściach lasu, odbywało się tylko zimową porą, po zamrożeniu grząskich ostępów. Także drewno drzew iglastych – sosen, świerków czy modrzewi – pozyskiwane było zimą, bowiem wtedy było bardziej przydatne dla przemysłu tartacznego z uwagi na mniejszą zawartość wilgoci. Porządny leśniczy, a tylko taki mógł się ostać w tym zawodzie, nie narzekał na brak zajęcia przez cały rok. Wiosną doglądał prac związanych z przygotowaniem terenów pod nowe nasadzenia. Po upływie roku od wcześniej wykonanych prac zrębowych, wczesną wiosną powierzchnie należało poorać, tak, by zaraz potem można było posadzić młode drzewka. Lato z kolei to pora niebezpieczna dla lasu z powodu zagrożeń pożarowych. Jak więc widać, leśniczy w swoim gospodarstwie musiał stale mieć wszystko na oku. Tymczasem oprócz zwykłych zawodowych obowiązków związanych z dbaniem o uprawy trzeba było baczyć, aby okoliczna ludność nie podkradała drewna, aby różne powstałe szkody, np. połamane w wyniku wiatrów drzewa zostały możliwie szybko usunięte, żeby uszkodzone nawierzchnie dróg były wyrównane, ciekły wodne zawsze drożne. Wizerunek dobrego leśniczego

miał się koczować z osobą, która ubrana w zielony mundur, ze strzelbą na ramieniu o najmniej spodziewanej porze może być spotkana w lesie.

Karszyńskie lasy dawniej, w odróżnieniu od czasów współczesnych, stanowiły własność prywatną, a leśniczy był zatrudniony przez właściciela do pilnowania jego majątku. Składało się na niego wszystko, co było w lesie – rośliny, zwierzęta, owoce, grzyby.... Każdy, kto po cokolwiek udawał się do lasu bez wiedzy i zgody leśniczego, ryzykował spotkanie z nim, co nierzadko nienajlepiej się dla tego kogoś kończyło. Przekonał się o tym Walenty Pinecki, który kupiwszy od poprzedniego właściciela pole *pod Dąbrówką* jeździł na nie sam albo z żoną Marianną, by pielęgnować posadzone tam drzewa owocowe i warzywa. Nie spodziewał się, że skracając sobie dojazd przez *Bösen Winkel*, jeździ drogą prywatną. Pewnego razu zwrócił mu na to uwagę leśniczy i zabronił tamtędy jeździć. Kiedy Walenty po jakimś czasie znowu, nie zważając na zakaz, zmierzał na skróty na pole, zobaczył stojącą przy drodze tablicę, a na niej ostrzeżenie, że jeżdżenie tą drogą bez pozwolenia jest zabronione. Łamanie zaś zakazu będzie karane. Ciągłym dalszym tej historii była rozprawa sądowa tocząca się przed Sądem Królewskim w Konotopie oraz przed jego wyższą instancją – Królewskim Sądem Ziemskim w Głogowie. Przed obu instancjami stawał Walenty Pinecki, pozwany przez księżną Marię Dorotę Elżbietę Radziwiłł z domu von Castellane w Berlinie. Zastępcą procesowym księżnej był dyrektor generalny dóbr klienckich August Krause. Tego zaś we wszystkich sprawach prawnych wspierał pochodzący z Sulechowa adwokat dr Niemetz. Postępowanie sądowe rozpoczęło się 29 listopada 1910 roku, a jego finał był dopiero 12 lutego 1914 r.⁴ Pozwany przegrał sprawę i musiał zapłacić grzywnę. Taka rywalizacja pomiędzy leśniczym pilnującym lasu i mieszkańcami wsi istniała w Karszynie kiedyś i pozostało tak do dziś, choć te dobra natury są obecnie własnością państwową.

Karszyński las był też miejscem, gdzie tutejsi mogli dorobić do domowych budżetów. Zimą porą, kiedy trwały prace przy wyrębie drzew, potrzebne były



Sadzenie lasu, lata 30. XX w.

⁴ Sprawa jest opisana w aktach będących własnością wnuka osoby oskarżonej - Zygmunta Kubickiego. Nr sprawy: i.C.125/10



Wiosenne prace w szkółce leśnej, lata 30. XX w.



Pracownice w szkółce leśnej, lata 20. XX w.



Książę Radziwiłł z ustrzelonym łosiem.

dodatkowe ręce do pracy przy ścinie, „wyrabianiu”, to jest okrzesywaniu pni z gałęzi, paleniu zbędnego chrustu, wreszcie wywózce kłoców chłopskimi konnymi wozami do okolicznych tartaków lub na składnice kolejowe. Wiosną i latem głównie pomoc kobiet przydawała się przy sadzeniu młodych drzewek oraz do prac pielęgnacyjnych w szkółkach.

Parę groszy niekiedy mogli zarobić mężczyźni, zatrudniając się jako naganiacze zwierzyny łownej jesienią i zimą podczas polowań. A jesienne polowania w lasach otaczających Karszyn i Siadczę uchodziły w czasach, gdy były one własnością Radziwiłłów, za najszlachetniejsze w całej okolicy. Ich uczestnicy długo potem wspominali emocje towarzyszące łowom, śniadania na świeżym powietrzu oraz wyborne walory nigdzie indziej nie występującej tak smakowitej dziczyzny. Za jej właściwy stan, w tym bezpieczeństwo ze strony kłusowników, także odpowiadał leśniczy. O jednym z takich polowań donosiła lokalna prasa: *Klenica, 23 grudnia 1914 r. W ubiegłym tygodniu w znajdującym się po sąsiedzku*

obwodzie łowieckim Karszyn – Siadczą, obejmującym tamtejsze pola i lasy, rozbrzmiewały odgłosy wystrzałów. Dzierżawca terenu łowieckiego pan Rittmeister Müller z Seidenberg (Zawidów) był bardzo zadowolony z rezultatów polowania. W czasie dwunastu pędzeń ustrzelono 168 zajęcy, 172 króliki, 38 saren, 39 bażantów, które potem ułożono w dwa długie pokoty. Tym razem w karszyńskich lasach nie został ustrzelony żaden jeleni.⁵

⁵ *Neusalzer Stadtblatt*, Nr 302, 25 Dezember 1914, s. 2. (Gazeta jest w posiadaniu państwa Tomasiów.)



Kartusz herbowy Radziwiłłów na ścianie budynku leśnictwa w Siadczycy.

Książę Antoni Radziwiłł i księżna Maria Radziwiłł.

To także z tych czasów pochodzi znajdujący się w Siadczycy budynek leśnictwa, na którego południowo – wschodniej elewacji widnieje kartusz herbowy Doroty de Talleyrand - księżnej zagańskiej, której spadkobiercami byli wspomniani tutaj Radziwiłłowie.

Leśniczy zaliczany był do wiejskiej elity. Nosił mundur, otrzymywał stałe regularnie wypłacane uposażenie, mógł dzięki sporemu obszarowi pól i łąk dorobić do pensji, decydował o tym komu i kiedy na co pozwolić w związku z zarządzaniem lasem, na przykład dotyczyło to zbierania jagód lub grzybów. Poza tym widywany był w towarzystwie właściciela i innych osobistości podczas polowań, a w niedzielę podejmował obiadem księdza dobrodzieja. Jednym słowem



Lata 20. XX w. Ślub Minetzków.
Drugi w 2. rzędzie od prawej – Richard Göldner - właściciel fabryki cygar,
czwarty – Friedrich Lehmann – leśniczy i sołtys.

leśniczy mógł mieszkańcom Karszyna na coś nie pozwolić lub coś nakazać. Był więc we wsi władzą. Ową władzę w okresie przedwojennym oraz do przybycia rosyjskiego wojska w styczniu 1945 r. sprawował Friedrich Lehmann. Natomiast wspomagał go ławnik – rolnik Hermann Bratke.⁶

Z przywoływanej tutaj publikacji Augusta Foerстера dowiadujemy się, że w XIX wieku dotyczyły mieszkańców Karszyna klęski pożarów, za sprawą których spłonęło wiele zabudowań. Na przykład w 1805 roku spaliła się większa część budynku szkolnego i trzeba było go odbudować. W sierpniu 1878 roku spłonęło siedem gospodarstw oraz należąca do szkoły stajnia. Także w lipcu 1882 roku wskutek towarzyszących burzy wyładowań elektrycznych spłonęło 6 gospodarstw i znaczna część budynku kościoła.⁷ Nieszczęścia te spowodowały, że na miejscu zniszczonych przez ogień obiektów wznoszono nowe, odporne na zagrożenie ze strony ognia. Ściany nie były już z drewna lecz z gliny lub cegły, zaś słomiane pokrycia dachowe zastępowała dachówka. W tym też czasie pewnie powstała *Freiwillige Feuerwehr*.⁸

Dawni mieszkańcy wspominali, że taka organizacja we wsi istniała również w okresie międzywojennym.



Dawny budynek remizy strażackiej.

Nie wiadomo dokładnie kiedy i z czyjej inicjatywy powstała ani ilu członków liczyła. Pewne jednak jest, że remiza znajdowała się po drugiej stronie szosy, niemal naprzeciwko piekarni. Na podstawowe wyposażenie tej poważnej wiejskiej organizacji składała się sikawka, do której, gdy była taka potrzeba, zaprzęgano parę koni i można już było jechać. Ponadto w remizie znajdowały się hełmy,

toporki, łopaty, wiadra, drabiny, bosaki, tłumice i dwa rodzaje węży do wymienionej wyżej sikawki – ssawne oraz tłoczne. Ssawne umożliwiały pobieranie wody z któregoś z trzech hydrantów – studni bitych, rozmieszczonych równomiernie po terenie wsi w miejscach dostępnych i widocznych.

Gdy zaszła konieczność użycia sikawki poza wsią, wówczas wodę można było czerpać z rowu, stawu lub innego otwartego zbiornika wodnego, montując wąż ssawny zakończony sitem uplecionym z wikliny. Wężę zawsze były w gotowości. Ssawne - zwinięte na bęben, który był umocowany z boku sikawki. Tłoczne natomiast przymocowane wzdłuż pojazdu, równoległe do kierunku jazdy. Standardową załogę wozu bojowego stanowiło 6 strażaków, z których jeden

6 *Grünberger Wochenblatt*, nr 18, 5 maja 1935 r.

7 A. Foerster, tamże, s. 261.

8 *Freiwillige Feuerwehr* – Ochotnicza Straż Pożarna.

powoził końmi, drugi siedział obok niego na koźle do pomocy. Po dwóch druhów sadowiło się na bocznych ławeczkach. Sikawka była wyposażona w niezbyt duży, ale dość głośny dzwon, w który podczas jazdy na akcję gaśniczą uderzano, by z daleka ostrzegać o konieczności ustąpienia miejsca jadącym. Wytwarzanie strumienia wody dosięgającej pod ciśnieniem do celów odległych o 15 – 20 metrów zależało od krzepy mięśni owych 4 druhów. To oni wprawiali w ruch jedno albo dwutłokową pompę sikawki, powodując powstanie podciśnienia zasysającego wodę do baseniku wewnątrz strażackiego wehikułu, a następnie tłocząc ją do węża zakończonego prądownicą. W czasie akcji bojowej jeden strażak pilnował wyprężniętych koni, czterech napędzało pompę, a piąty – sikawkowy kierował strumieniem wody. Ponieważ praca przy pompie szybko męczyła druhów, toteż często się zamieniali rolami. Ponadto, pomocą chętnie służyli przybyli do pożaru gapie, którzy chwyтали za drażki i naciskając dźwignie pompy, wytwarzali ciśnienie wody.

Być strażakiem to duży zaszczyt. Po pierwsze wstępowało się do organizacji skupiającej tak zwanych prawdziwych mężczyzn, którzy w praktyce sprawdzali swoją odwagę, siłę, gotowość do niesienia pomocy innym. Strażak miał prawo w czasie ważnych dla wsi wydarzeń, na przykład podczas świąt, przywdziać mundur i w nim paradować, wzbudzając u niektórych zazdrość, a wśród dzieci podziw. Tak, straż pożarna była z pewnością jedną z pierwszych organizacji powołanych do życia w Karszynie z konkretnej potrzeby – niesienia pomocy mieszkańcom, głównie podczas częstych wówczas pożarów. Chociaż trzeba przyznać, że wysoka była przeciwpożarowa świadomość mieszkańców. Dbał o nią sołtys, który był urzędnikiem mającym prawo nakazywania określonych zachowań i strażacy, którzy co jakiś czas dokonywali przeglądów poszczególnych gospodarstw na okoliczność przestrzegania przeciwpożarowego prawa. Ostatnim niemieckim komendantem karszyńskiej OSP był August Munko.⁹ Mieszkał on tam, gdzie dziś rodzina pana Zdzisława Smalca.



Hydrant koło szkoły.



Hydrant koło Swata



Hydrant koło Misia.

⁹ Informacji udzielił Karl Poppmann, były karszyniak, obecnie mieszkaniec Berlina, 29.09.2012.



Pośrodku fotografii kolumna Związku Weteranów upamiętniająca kampanię 1866 i 1870/71.



Kolumna, stan obecny.



Strzelnica

Inną organizacją o paramilitarnym charakterze skupiającą dorosłych mężczyzn Karszyna był Związek Weteranów. Powstał on w 1878 roku z inicjatywy uczestników dwóch kolejnych wojen, które stoczyło państwo pruskie z sąsiadami w XIX wieku.¹⁰ O nim także wspomina A. Foerster i pisze, że w 1903 roku świętował jubileusz 25 – lecia istnienia. Z jego inicjatywy w Karszynie został

wzniesiony na placu przed kościołem przy głównej drodze obelisk upamiętniający – jak autor mówi – kampanie 1866 i 1870/71.¹¹

Związek Weteranów służył podtrzymaniu wojskowych przyzwyczajeń wśród tych, którzy odbyli służbę w armii, a potem przeszli do cywila. Jego członkowie mieli prawo posiadać w domu broń palną i amunicję. Kilka razy w roku, najczęściej w porze wiosenno-letniej osoba pełniąca funkcję komendanta organizowała strzelanie na strzelnicy, którą w tym celu wybudowano i która do dziś znajduje się w starym dębowym lesie po prawej stronie drogi do Siadczy.

Organizacja miała też swoją siedzibę - mówiono na nią zbrojownia lub prochownia i mieściła się na początku wsi po prawej stronie drogi jadąc z Kargowej, na skraju sosnowego lasu. W tym budynku – jak opowiadał Golla – na kilka miesięcy w roku deponowano broń i amunicję. Dlaczego? – trudno dziś stwierdzić. Być może wynikało to z jakichś przepisów dotyczących łowiectwa i ochrony zwierząt, a może po prostu dlatego, żeby nie zawsze była pod ręką, bo wtedy w razie sporów mogła być użyta.

¹⁰ Hugo Vogt pisze o tej organizacji w *Grünberger Wochenblatt*, nr 18, z maja 1935 r. Dodaje przy okazji, że w 1812 roku przez Karszyn przemieszczały się oddziały Wielkiej Armii Napoleona Bonaparte. W wojnie francusko – pruskiej 1870-71 z Karszyna i Siadczy na front poszło 32 mężczyzn, spośród których 3 zginęło. Podaje również, że napis na pomniku upamiętniał uczestników kolejnych wojen z lat: 1864, 1866 i 1870-71.

¹¹ A. Foerster, tamże, s. 261.

Warto tutaj wspomnieć, że oprócz wyżej wymienionych organizacji we wsi istniała jeszcze instytucja nocnego stróża. Podlegał on bezpośrednio sołtysowi. Jego zadaniem było pilnowanie porządku i bezpieczeństwa mieszkańców oraz ich majątku nocną porą. Do obowiązków stróża należało też obserwowanie, czy jakiś obcy nie kręci się po wsi, bo mógł to być ktoś o podejrzanych zamiarach. Nocne kradzieże czy rozboje w owym czasie wcale nie należały do rzadkości. Mógł się także zdarzyć nocny pożar, o którym śpiący gospodarze nie mieliby pojęcia. Poza tym od 1920 roku zaledwie kilka kilometrów na wschód od wsi przebiegała granica państwowa z Polską. I ten fakt o charakterze polityczno – militarnym dodatkowo czynił tę wiejską służbę porządkową ważną.

Pilnowanie w nocy spokojnego snu mieszkańców trwało w zależności od pory roku dłużej lub krócej. Stróżowanie zaczynało się po zapadnięciu zmroku i trwało aż do świtu. Z uwagi na ochronę przed warunkami atmosferycznymi – deszczem, śnieżycą lub wichurą - na potrzeby stróżującego wybudowano we wsi przy głównej drodze dwie budki, które były pomalowane w ukośne białe i czarne pasy na przemian.

Ostatnim stróżem Karszyna, który był jednocześnie drogomistrzem, dbającym o stan lokalnych nawierzchni dróg był Josef Ludwig. Mieszkał w pierwszym domu po prawej stronie, jadąc od Kargowej, to jest tam, gdzie obecnie państwo Smalcowie. Do jego obowiązków należało m. in. odprowadzanie z jezdni wody po deszczu i ze stopniałego śniegu. By nie stała w kałużach, wykopywał w poboczu drogi rowki, którymi spływała do przydrożnych rowów. On także wiosną odnawiał, malując na białą znaki milowe, czyli stojące na poboczu granitowe, a później także betonowe słupki, informujące o kategorii drogi oraz o odległości do miejsc docelowych. Odpowiedzialność drogomistrza kończyła się w lesie pod Kargową, gdzie następuje zwężenie jezdni. Tam – jak wskazują dawne mapy oraz jak zauważa Z. Kubicki - przebiegała dawniej granica pomiędzy Śląskiem i Wielkopolską.¹²

Ważnym wydarzeniem w życiu Karszyna było wybudowanie i uruchomienie tuż po zakończeniu I wojny światowej fabryki cygar (*Zigarrenfabrik*).

Właścicielem jej był Richard Göldner, którego willa znajduje się na samym końcu wsi po prawej stronie, jadąc do Siadczy. Przez wiele lat po ostatniej wojnie w budynku tym mieściła się szkoła podstawowa. Gospodarczym zapleczem dla willi były budynki znajdujące się dziś



Fabryka cygar Richarda Göldnera.

12 Informacji udzielił Zygmunt Kubicki, 18.01.2012 r.



Willa Richarda Göldnera, stan obecny.



Rzeźba głowy Göldnera na szczycie jednego z domów.

na posesji państwa Danielkiewiczów. Na górze północnej ściany szczytowej domu wspomnianych państwa można dostrzec rzeźbę przedstawiającą brodatą głowę w kapeluszu, będącą podobizną twórcy Zigarrenfabrik Richarda Göldnera. Jak opowiada Zygmunt Kubicki - ów mężczyzna zaczynał swój tytoniowy biznes jeszcze w czasie trwania I wojny światowej. Wtedy w szopie, znajdującej się na posesji będącej obecnie własnością państwa Tomiaków, produkował pierwsze, niewyszukane cygara.¹³ Miał na nie zbyt w armii, bo przecież wielu żołnierzy było palących. Po wybudowaniu fabryki sporo mieszkańek Karszyna i Siadczy miało w niej zatrudnienie. Tak było do czasu, aż firma zbankrutowała.



Junacy z obozu RAD w Susłowie na przepustce w Karszynie.

Kiedy kanclerzem Rzeszy został Adolf Hitler, uruchomiono wiele programów państwowych, mających rozkręcić koniunkturę w gospodarce. W roku 1935 powołana została Służba Pracy Rzeszy (*Reichsarbeitsdienst*).



Znaczek RAD, tj. Służby Pracy Rzeszy.

Polegała ona na obowiązkowej pracy na rzecz państwa mężczyzn od 18 do 24 roku życia, a od 4 września 1939 roku także kobiet.¹⁴

Znacionalizowana za zobowiązania wobec państwa dawna fabryka odtąd pełniła funkcję Obozu Służby Pracy dla Młodzieży Żeńskiej (*Arbeitsdienstlager für die weibliche Jugend 13/50*). Praca w zorganizowanych na wzór wojskowy formacjach trwała przez okres 6 miesięcy. Mężczyźni wykonywali na ogół roboty

¹³ Informacja pochodzi od Z. Kubickiego, 12.01.2012 r.

¹⁴ <http://pl.wikipedia.org/wiki/Reichsarbeitsdienst>, odczyt: 29.01.2013 r.

melioracyjno – ziemne, natomiast kobiety zatrudniane były zwykle w większych gospodarstwach rolnych.

W czasie półrocznej służby młodzi mężczyźni nosili brązowe uniformy przypominające wojskowe mundury polowe. Mieli też przypięte do nich charakterystyczne znaczki.¹⁵

Dzień rozpoczynali od gimnastyki. Do pracy i z powrotem udawali się w zwartej kolumnie, jak żołnierze, tylko że zamiast karabinów nosili narzędzia. Budynek byłej fabryki w czasie wojny zamieniony został na lazaret, który wprawdzie nie był wykorzystywany do leczenia rannych żołnierzy, ale był wyposażony w łóżka, szafki i inne sprzęty potrzebne w tymczasowym szpitalu wojskowym.



Kobiety zatrudnione przy wyrobie cygar, lata 20./30. XX w.

¹⁵ Znaczek RAD jest tutaj prezentowany wyłącznie dla celów edukacyjnych i nie ma na celu propagowanie symboli totalitarnych. Znalezionej został w latach 60. ub. wieku w lesie obok byłej fabryki cygar, pełniącej w latach 40. funkcję *Arbeitsdienstlager für die weibliche Jugend 13/50*.

Wielka wojna

O tym, że w Sarajewie w dniu 28 czerwca 1914 roku był zamach, w niewielkim Karszynie pewnie przeczytano w gazecie. Nikt chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że wydarzenie mające miejsce gdzieś na Bałkanach doprowadzi do wojny, nazwanej później światową. Minęło jeszcze kilka tygodni, zanim gazety doniosły o mobilizacjach żołnierzy, przeprowadzanych w kolejnych państwach opowiadających się po którejś ze stron konfliktu. Nie sposób po tylu latach dokładnie powiedzieć, ilu mężczyzn przywdziało niemieckie uniformy, dokąd zawiozły ich pociągi, w jakich bitwach brali udział. Faktem jednak jest, że na wojnie byli, uczestniczyli w bitwach i dwudziestu nigdy do domów nie powróciło.¹ Spośród tych, którzy zostali zmobilizowani, byli i tacy, o których po ponad 90 latach można przeczytać w Kronice Parafii Klenica. Katolicka społeczność Karszyna należała wtedy do tamtejszego kościoła. Z tego zabytkowego dokumentu dowiadujemy się o zaginionych w czasie działań wojennych. Oprócz wielu innych w tej księdze wymienia się także mieszkańców Karszyna i Siadczy oraz daty ich zaginięcia. Byli to:

1. Otto Rieger, 28.06.1918.
2. Johann Patschontek, 31.07.1918.
3. August Dullin, 24.08.1918.
4. August Munko, 26.08.1918.
5. Gustaw Pohl, 30.08.1918.
6. Paul Tschiersch, 2.09.1918.
7. Paul Zepke, 3.09.1918.
8. Josef Kitschke, 12.09.1918.
9. Karl Chmiel, 20.09.1918.
10. Paul Kruhl, 25.10.1918.

Dokonujący wpisu do kroniki zanotował informację, kto spośród wielu będących w armii parafian dostał się do niewoli oraz kiedy i gdzie to się stało. Spośród mieszkańców Karszyna i Siadczy byli to:

1. Stanisław Brzózka, 22.10.1914 – Rosja
2. Johann Vogt, 30.01.1915 – Rosja
3. Johann Marsiske, 25.09.1915 – Francja
4. Paul Kruhl, 4.05.1916 – Baranowicze
5. Heinrich Görtner, 5.06.1917 – Francja
6. Paul Gabler, 22.10.1917 – Francja

¹ O takiej liczbie poległych żołnierzy z Karszyna w I wojnie światowej się mówiło, kiedy jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku wisiła tablica na obelisku ofiarom tej wojny poświęconemu.

7. Franz Piontek, 23.10.1917 – Francja
8. August Redam, 23.10.1917 – Lwów
9. Otto Rieger, 28.06.1918 *
10. Paul Zepke, 3.09.1918

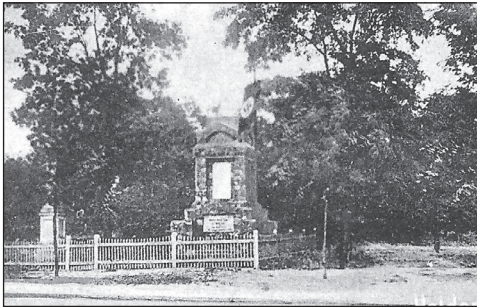
* ewangelik

Stojący do dziś na placu przed karszyńskim kościołem kamienny monument postawili mieszkańcy wsi swoim synom, ojcom i braciom poległym w wielkiej wojnie. W przywoływanym tutaj źródle – Kronice Parafii Klenica - wymieniono 20 żołnierzy z Karszyna i Siadczy, którzy z wojny nie powrócili.² To ich nazwiska znajdowały się kiedyś na kamiennej tablicy przytwierdzonej do monumentu. Obok każdego była informacja, kiedy i gdzie poległ. Byli to:

1. Karl Marsiske, zginął 09.10.1914 r. pod Lihons we Francji,
2. Johann Streu, zginął 02.12.1914 r. nad Zalewem Wiślanym w Rosji,
3. Johann Spottag, zginął 17.12.1914 r. pod Łuckiem w Rosji,
4. Otto Decker, zginął 06.03.1915 r. pod Velerenhock we Francji,
5. Hermann Kitschke, zginął 13.05.1915 r. pod Le Fay we Francji,
6. Hermann Wenzke, zginął 15.07.1915 r. nad Marną we Francji,
7. Otto Vogt, zginął 25.07.1915 r. w Rosji,
8. August Kurzmann, zginął 30.07.1915 r. nad Marną we Francji,
9. Paul Pohl, zginął 06. 08. 1915 r. w Rosji (Polsce),
10. Fritz Kuske, zginął 23.03.1916 r. w Karpatach,
11. Wilhelm Casper, zginął 06.04 1916 r. pod St. Cloi we Francji,
12. Paul Vogt, zginął 27.09.1916 r. w Rosji,
13. August Tschiersch, zginął 22.11.1916 r. pod Verdun
14. Martin Piosik, zginął 19.04.1917 r. we Francji,
15. Johann Gemsa, zginął 05. 05.1917 r. pod Ypres w Belgii,
16. Adolf Ruske, zginął 31.08.1917 r. we Flandrii,
17. Franz Platzek, zginął 16.09.1917 r. we Flandrii,
18. Karl Ludwig, zginął 03.08.1918 r. pod Gony (Cambrai) we Francji,
19. Josef Zepke, zginął 22.03.1918 r. pod Saint Quentin we Francji,
20. Stephan Lisiewicz, zginął 15.04.1918 r. pod Lory (Villers-Cadbonne) we Francji.

² Hugo Vogt w *Grünberger Wochenblatt* z 5 maja 1935 r. podaje, że z Karszyna i Siadczy karty mobilizacyjne otrzymało 73 mężczyzn. Do niewoli trafiło 16 karszynian i jeden żołnierz z Siadczy. Na wojnie zginęło 25 karszynian i 8 mieszkańców Siadczy.

Budowlę wzniesiono w jakiś czas po ustaniu działań wojennych, kiedy już było wiadomo, że ci, którzy wyruszyli na front, na pewno nie wrócą. Inni - cali i zdrowi lub ranni, kontuzjowani, albo okaleczeni na duszy i ciele byli w domu. O tych, którzy polegli lub zaginęli bez wieści, powiadomiono rodziny. Była więc w zasadzie jasna sytuacja i można było upamiętnić udział karszyniaków w wielkiej i okrutnej wojnie. O tym, że taka była, mieszkańcy dowiadawali się najpierw z gazet, a dokładniej wówczas, gdy powrócili z frontu zdemobilizowani żołnierze. Na umęczonych wojną chłopaków czekały ich dziewczyny, matki czekały na synów, żony na mężów, dzieci na ojców.



Pomniki wojenne, 2. połowa lat 30. XX w.



Pomniki, stan obecny.

Wyglądała powrotu swego męża Stanisława pani Monika Brzózka. Korespondencja z nim urwała się kilka tygodni po wysłaniu go na front. Czekala cztery długie lata. Tymczasem mijały kolejne tygodnie, po nich miesiące, a on nie wracał. Wprawdzie dostała zawiadomienie, że zaginął, ale nie oznaczało to jeszcze najgorszego. Wierzyła więc, że żyje. Modliła się, bo może się gdzieś



Krzyż Brzózkowej
spod Kargowej.

zawieruszył albo wskutek kontuzji przebywa gdzieś w lazarecie i tam go leczą. Może przyśle list lub przekaze jakąkolwiek inną wiadomość. Gdy już straciła wszelką nadzieję i pogodziła się z losem, postawiła przy drodze do Kargowej krzyż - symbol katolickiej wiary, w której z mężem wychowywali swoje dzieci, zanim zabrała go okrutna wojna. Był solidny, dębowy. Na jego ramionach przymocowany został wyrzeźbiony także z dębowego drewna Chrystus z koroną cierniową na głowie. Dobrzy ludzie pomogli domniemanej wdowie tę ciężką konstrukcję zawieźć na pole, gdzie tuż przy drodze krzyż został wkopany w ziemię. Trudno już dziś powiedzieć, kiedy i jak to się stało, że niedługo potem pan Stanisław Brzózka zjawił się w domu cały i zdrowy, tylko mocno wychudzony.

Jego powrót z wojny trwał tak długo, ponieważ w kilka tygodni po jej wybuchu dostał się do rosyjskiej niewoli i trafił do obozu jenieckiego daleko na wschodzie Rosji. Powrót zaś stamtąd, gdzie akurat trwała rewolucyjna zawierucha, musiał potrwać. Oboje małżonkowie uznali, patrząc na przydrożny krzyż, że zostanie w tym miejscu i będzie przypominał o owym niezwykłym wydarzeniu. Odtąd dla szczęśliwej rodziny był on wotum wdzięczności dla Ukrzyżowanego za uratowanie głowy rodziny.³

Przydrożny krzyż, kamienny obelisk spod kościoła, stara gazeta z 25 grudnia 1914 roku - „*Neusalzer Stadtblatt*” zawierająca sporo artykułów związanych z toczącą się wojną, jak: *Weihnachten im Weltkrieg*, *Warum Belgrad geräumt wurde?*, *Der Weihnachtsmann an der Front*, *Vorwärts in Polen!*, *Der französische Kampfbericht* i *Der amtliche Kriegsbericht*, kilka kart poczty polowej z 1915 i 1916 roku zaadresowanych na nazwisko Wilhelm Casper oraz zapiski w Kronice Parafii Klenica są dla obecnych karszynian jedynymi dowodami na to, że wojna z lat 1914 - 1918 zebrała swoje krwawe żniwo także wśród mieszkańców tej spokojnej wsi.

Kończąc, przypomnę tylko, że tuż obok kamiennego obelisku poświęconego żołnierzom poległym w I wojnie światowej stoi drugi, dużo skromniejszy, w kształcie betonowej kolumny kiedyś zwieńczony żelaznym krzyżem. O tym pomniku była mowa, gdy pisałem o Związku Weteranów.⁴ Na obu obeliskach do 1945 roku znajdowały się granitowe tablice, zawierające nazwiska poległych w walkach karszyniaków. Niestety, w okresie powojennym zostały zniszczone.

³ Historię krzyża opowiedział I. Mąkosa, który usłyszał ją od F. Golli. Tę samą wersję powtórzył B. Chmiel. Także w rodzinie prawnuka państwa Brzózaków – Krzysztofa Suszka - tę historię się pamięta. W latach 50. XX wieku przewracający się ze starości krzyż zastąpił nowy. Przygotował go i postawił w miejsce dawnego Antoni Prus. Ten krzyż także z biegiem czasu się „zestarzał” i na jego miejscu postawiono metalową konstrukcję, z dużą postacią Chrystusa. Ten stojący do dziś podkargowski krzyż wykonał w roku 2002 Grzegorz Balcerak.

⁴ Warto tu zauważyć, że w wojnie austriacko-pruskiej uczestniczyli także żołnierze z Karszyna i Siadczy. W bitwie pod Nachodem (27.06.1866 r.) ciężko ranny został – grenadier Johann Georg Pohl z Karszyna, źródło: http://www.denkmalprojekt.org/2009/vl_1_westpr_grenreg_6_2komp_1866.htm, odczyt: 9.02.2013 r., a fizylier Johann Wilhelm August Laubstein I w bitwie pod Skalitz (28.06.1866 r.) otrzymał postrzał w głowę, źródło: http://www.denkmalprojekt.org/2009/vl_1_westpr_grenreg_6_11komp_1866.html, odczyt: 8.02.2013 r. Natomiast w bitwie pod Münchengrätz (28.07.1866 r.) muszkietier Johann Georg Kitschke z Siadczy zginął od postrzału w głowę, źródło: http://www.denkmalprojekt.org/2009/vl_1866_magd_ir_26, odczyt: 8.02.2013 r. Z kolei w wojnie francusko-pruskiej wspomniany wyżej August Wilhelm Laubstein zginął podczas bitwy pod Wörth (6.08.1870 r.), źródło: http://www.denkmalprojekt.org/Verlustlisten/vl22_1870-71.htm, odczyt: 9.02.2013 r.

Czas między wojnami

Do tego okresu w historii Karszyna już parokrotnie się odnosiłem. Dlatego skoncentruję się na tym, co jeszcze udało mi się ustalić i co może stanowić uzupełnienie wcześniejszej relacji.

Trzeba przypomnieć, że tereny obecnego województwa lubuskiego i większej części wielkopolskiego do roku 1919 znajdowały się w Niemczech. Kiedy po zakończeniu wojny oraz po powstaniu wielkopolskim odrodziło się państwo polskie, dotychczasowe wsie i miasteczka od lat ze sobą sąsiadujące niemal z dnia na dzień znalazły się po dwóch stronach granicy państwowej. To pojęcie było mieszkającej tutaj od pokoleń ludności zupełnie nieznaną. Owszem, co bardziej dociekliwi uczniowie dowiadawali się, że pomiędzy Kargową a Karszynem jest granica geograficzna, bo miasteczko przynależało historycznie do Wielkopolski, zaś Karszyn był na Śląsku. Nikt jednak na co dzień nie przywiązywał do tego wagi, bo i tu, i tam w czasach pruskich w urzędach, w szkole i innych miejscach publicznych mówiło się językiem państwowym, to jest po niemiecku. Była to więc tylko granica jako abstrakcyjne pojęcie geograficzne. Kiedy wytyczono nowy przebieg granicy państwowej, wówczas przestało być abstrakcją. Nie można już było jak do tej pory pojechać pociągiem z Sulechowa do Wolsztyna, gdyż ten kończył bieg w Kargowej, ponieważ następna stacja - Kopanica znajdowała się już po polskiej stronie. Tak samo było z przekraczaniem granicy drogowej. Przejście dla ruchu pieszego i kołowego znajdowało się tuż za pierwszymi zabudowaniami Wielkiej Wsi. Tamtędy przechodzili oraz przejeżdżali mający różne sprawy do załatwienia po drugiej stronie granicy. Na przykład co jakiś czas należało pojechać na drugą stronę, by uprawić znajdujące się tam grunty rolne, by zebrać posadzone ziemniaki, posiane zboże, przywieźć wysuszone siano. Z początku taki mały i lokalny ruch na granicy nikomu specjalnie nie przeszkadzał, tym bardziej, że dotyczył on tych samych ludzi, co przed wytyczeniem granic w znaczeniu politycznym. Z biegiem czasu, kiedy polityka w obu sąsiednich państwach coraz bardziej oddalała od siebie społeczeństwa, pojawiały się nowe obostrzenia związane z ruchem na granicy. Rodziny dotychczas mieszkające niedaleko od siebie, ale już po dwóch różnych stronach, zaczęły mieć kłopoty w kontaktowaniu się. Bycie Polakiem po niemieckiej stronie, a pewnie i odwrotnie – Niemcem po polskiej, mogło powodować utrudnienia, niekoniecznie natury językowej. Stąd powód zjawiska zamiany nieruchomości pomiędzy przedstawicielami narodowości niemieckiej mieszkającej w Polsce z Polakami mieszkającymi w Niemczech. Do takiej zamiany doszło pomiędzy dotychczasowymi mieszkańcami Karszyna – rodziną Moniki i Stanisława Brzózaków i niemiecką rodziną Riegerów z Jaromierza.¹

Ten ostatni fakt do dziś wspominany jest przez wnuków rodziny Brzózaków. Pamiętają oni, że dziadkowie za zamienione nieruchomości otrzymali dopłatę w markach. Jednak w czasie przekraczania granicy państwowej pod Kopanicą

1 O tym fakcie opowiedział I. Mąkosa, który dowiedział się o owym wydarzeniu od Riegerów, którzy w latach 60. ubiegłego wieku odwiedzili swą dawną nieruchomość w Karszynie.

niemieccy strażnicy odebrali im pieniądze pochodzące z tej dopłaty. Pani Monika Brzózka niejednemu raz wypominała mężowi, że to ona powinna była przemycać pieniądze. Umiałyby je tak schować, że *Grenzschutze* nie potrafiliby ich znaleźć. Ale jej mąż Stanisław się uparł, że jemu – który walczył za *Vaterland* w czasie wielkiej wojny – niemieccy pogranicznicy nie ośmielią się zabrać nieukradzionych przecież pieniędzy. Pomylił się.



Jubileusz 60 - lecia małżeństwa Stanisława i Moniki Brzózków. Jaromierz 1955 r.

Inne, pewnie dużo bardziej doniosłe wydarzenie w życiu mieszkańców Karszyna związane było z parcelacją klenickich dóbr dworskich Radziwiłłów, po ich odkupieniu w 1922 r. od dotychczasowych właścicieli przez Śląskie Towarzystwo Ziemskie. Od niego z kolei w połowie lat 20. XX wieku część posiadłości nabył właściciel firmy handlującej drewnem – John Jacob Browinckel z Berlina². Tymi nieruchomościami władał do końca II wojny światowej. Pozostałą część rozparcelowanych dóbr nabył w pierwszej połowie lat 30. ubiegłego wieku Clemens Bussmann.³Tak zwany majątek karszyński kupił po 1928 roku, najprawdopodobniej na handel, niejaki Markwitz. Dla łatwiejszego zbycia ziemi i zabudowań folwarcznych podzielił wszystko na cztery części. Jedną w 1930 roku kupił Walenty Pinecki, drugą Willi Kala, trzecią Alois Schäfer, a czwartą Leonard Schopp.⁴ Jak przypomina sobie pani Paula Kubicka, także lasy karszyńskiego leśnictwa do końca ostatniej wojny znajdowały się w rękach prywatnych. Ich właścicielem był Karl Richtberg, wielki potentat produkujący podkłady kolejowe.

2 Najprawdopodobniej były to lasy.

3 Był on właścicielem majątku Dorothernau, to jest dzisiejszej Dąbrówki.

4 Informacji udzieliła P. Kubicka, córka Walentego Pineckiego, 5.01.2012 r.



Dolna Kargowa w czasie powodzi w lipcu 1903 r.



Powódź pod Smolem Wielkim w listopadzie 1930 r.

Z pewnością ówcześni karszynianie jako ważne wydarzenie zapamiętali powódź z listopada 1930 roku. Sprawczynią jej była płynąca tuż za Klenicą Odra, która po obfitych opadach deszczu przerwała obwałowania w okolicy niewielkiej osady Ledno za Trzebiechowem i rozlała się na dalekie okolice. Woda najróżniejszymi zagłębieniami terenu dopłynęła aż pod sam Karszyn, zalewając po drodze łąki i lasy. Do samej wsi nie wpłynęła, gdyż ta znajduje się na pewnym podwyższeniu.

Była to druga duża powódź w minionym stuleciu. Pierwsza miała miejsce w roku 1903. W latach 30. został wybudowany odcinek tzw. drugiego wału odrzańskiego w okolicy Dąbrówki. Wcześniej właśnie

właśnie tamtędy wody Odry zagłębieniami terenu podczas powodzi docierały pod Karszyn, Kargowę, Chwalim, Smolno Wielkie. Przy budowie wałów znalazło zatrudnienie wielu mieszkańców okolicznych miejscowości, w tym i Karszyna.

Dzięki zasobnym w zdjęcia rodzinnym albumom pani Pauli Kubickiej (Pineckiej) można tutaj pokazać przykład pracy związanej z żęciem zboża. W gospodarstwie jej ojca Walentego wykonywało się ją za pomocą ciągniętej przez trzy konie snopowiązałki.

Po żniwach obchodzono ważne dla mieszkańców wsi święto – dożynki. Odbywały się one w sierpniu, kiedy skoszone zboże w wysuszonych snopach znajdowało się już w stodołach, gdzie czekało na wymłócenie. Na zachowanych fotografiach widać dość liczną grupę dziewcząt idących w korowodzie dożynkowym. Przechodząc ulicą obok dzisiejszej posesji pani Jadzi Pineckiej, niosą przystrojone narzędzia służące do pracy w polu – sierpy, grabie, motyki. Tuż za wspomnianą grupą zauważamy dość okazały wieńiec żniwny. Na następnej fotografii idące wcześniej w korowodzie osoby pozowały do zdjęcia na podwórzu restauracji u Wycisków, gdzie dożynkowy korowód się rozwiązywał i gdzie później odbywała się zabawa pod umieszczonym wysoko na żerdzi dożynkowym wieńcem.



Wspólne zdjęcie pod dożynkowym wieńcem, lata 30. XX wieku.



Żęcie zboża na polu Walentego Pineckiego, lata 30. XX wieku.



Korowód dożynkowy, lata 30. XX wieku.

Na początek lat 30. minionego wieku przypada ważna inwestycja w Karszynie, to jest wybudowanie utwardzonej tłuczniem i jednostronnie okrawędziowanej granitowym obramowaniem drogi przez całą wieś. Budowana była w ramach szarwarku, w którym uczestniczyli niemal wszyscy mieszkańcy. Tłuczeń dowożono koleją na bocznice w Klenicy. Tam mężczyźni łopatami przeładowywali go na konne platformy lub przyczepy traktorowe. Następnie przywożony był do Karszyna. Tutaj z przyczep, również łopatami, tym razem głównie kobiety, zsypywały go do ręcznie wykopanego w gruncie koryta⁵.

Wzdłuż drogi wytyczony został od razu chodnik, który do dziś biegnie obok granitowego krawężnika. Wtedy był on wykonany ze żwiru zagęszczonego gliną. Ta ważna dla wsi inwestycja została zakończona w 1931 r.⁵.

5 Informacji udzielił B. Chmiel, 26.01.2012 r.



Prace przy budowie drogi w Karszynie, 1931 r.

Kolejnym istotnym wydarzeniem dla tutejszej wspólnoty było posadzenie alei jabłoniowej wzdłuż wspomnianego chodnika, w odległości dwóch metrów od krawężnika. Niestety, jedna ze srogich ówczesnych zim zniszczyła młode drzewka i dlatego na ich miejscu wiosną 1938 roku posadzono istniejące do dziś lipy.

Właśnie lipy, a nie żadne inne drzewa, bowiem już wtedy w Karszynie byli hodowcy pszczół i smakosze miodu. Taka ilość lip gwarantowała dużą podaż nektaru w czasie miodobrania. Ponadto roztropni pszczelarze zadbali, by w alei znalazły się aż trzy odmiany tych drzew, dzięki czemu czas zbierania pożytku znacznie się wydłużył. Każda z odmian rozpoczynała kwitnienie o nieco innej porze. Warto tutaj wspomnieć, że wcześniej we wsi była aleja topolowa, posadzona pewnie



Aleja jabłoniowa w 1938 r. Czwarta od lewej Paula Pinecka, piąta – jej siostra Marta.

jeszcze w XIX wieku. Jej resztki przedstawiają poniższe fotografie, kiedy główna wiejska ulica nie była jeszcze utwardzona tłuczniem. Ostatnia topola z dawnej wiejskiej alei znajdowała się nieopodal domu Rezlera, zamieszkiwanego obecnie przez pana Mariana Bajona. Była ona ogromna i w dodatku mocno pochylona w stronę wspomnianego budynku. Z obawy o to, że jakaś wichura może to duże drzewo przewrócić na dom, w latach 60. ubiegłego wieku podjęto decyzję

o wycięciu tego prawdziwego kolosa

Jeszcze przed wojną główna ulica wiejska zyskała oświetlenie uliczne. Lampy wisiały na drewnianych słupach. Po 1945 roku zostały jednak zdemontowane jako niepotrzebna wsi fanaberia i dopiero w 1983 roku Karszyn znowu doczekał się lamp ulicznych.

Pisząc o naszej wsi, nie można nie wspomnieć, że już w latach 30. mieszkańcy posyłali swe pociechy do istniejącego tutaj przedszkola, wtedy zwanego ochronką. Ile godzin dziennie w nim przebywały, tego nie udało mi się ustalić, ale pewne jest, że z początku mieściło się w nieistniejącym obecnie domu znajdującym się na dzisiejszym podwórzu pani

Jadzi Pineckiej, a następnie w przejętej przez państwo willi byłego właściciela fabryki cygar Richarda Göldnera. Tam, ucząc się w szkole pedagogicznej we Wrocławiu, odbywała praktykę pani Waleria, córka Franciszka Gollia.



Karszyn 1922 r.



Droga gruntowa i aleja topolowa przed 1914 r.



Waleria Golla wraz z dziećmi z ochronki.

W tym samym czasie Alfred Heinrich uruchomił ciekawe przedsięwzięcie dające dochód – wylęgarnię drobiu. Mieściła się ona na posesji vis a vis fabryki cygar. Drewniany budynek wylęgarni usytuowany był w tylnej części działki, tuż nad samą łąką, przez którą przepływała woda w drożnym wtedy rowie. Obiekt specjalnie był zbudowany z drewna, by zapewnić optymalne warunki hodowanym ptakom. Na przykład ściany zewnętrzne były izolowane płytami korkowymi, impregnowanymi lepikiem papowym. Hodowca do wylęgu stosował inkubatory, w których wykorzystywane było ciepło uzyskiwane ze spalanej nafty. Niewykluczone, że niektóre ptaki w tej hodowli miały także ozdobny charakter, bo w części ogrodu leżącej na łące znajdowała się sporych rozmiarów woliera. Właściciel musiał mieć duży zmysł estetyczny. Wraz z rodziną mieszkał w willi o ciekawej architekturze, a cała powierzchnia działki obsadzona była najrozmaitszą roślinnością i bardziej przypominała zadbane park niż wiejskie siedlisko.



Fotografia ślubna - Helene Radam
i Paul Zinke, 1931 r.

W okresie międzywojennym w miejscowym kościele zawarto wiele związków małżeńskich. W latach 1929 – 1939 śluby wzięło 45 par, wśród których aż 10 nosiło jakże swojsko brzmiące nazwiska: Benysek, Lisiewicz, Munko, Petruschke, Pinecki, Przybilla, Ptak, Richly, Schimanski, Skrzypczak.⁶ To w tym czasie, a dokładniej w 1937 roku pobrali się karszyniak – Franz Zepke i kargowianka - Elżbieta Kaptur.

W tym miejscu warto przytoczyć nazwiska mieszkańców Karszyna, właścicieli nieruchomości zamieszkujących wieś przed wojną oraz do czasu wysiedlenia w lecie 1945 roku. Niżej wymieniam nazwisko oraz w nawiasie liczbę rodzin je noszących.

Adam (1), Bratke (1), Casper (1), Chmiel (1), Decker (2), Drange (1), Dullin (2), Dyba (2), Golla (1), Göldner (1), Görtner (3), Heinrich (1), Kadach (1), Kala (1), Kanretzke (3), Kitschke (2), Klemt (1), Kluge (1), Kruhl (1), Kruschke (2), Kubatzki (1), Kurzman (1), Laubstein (1), Lipowicz (1), Lehmann (1), Ludwig (3), Marziske (1), Mätschke (1), Michulitz (1), Mischke (1), Munko (2), Müller (1), Neumann (1), Ochla (1), Patschontek (1), Petras (1), Pinetzki (3), Platzek (1), Pohl (3), Poppmann (3), Przybilla (1), Reinisch (1), Reschke (1), Rezler (1), Richly (1), Rieger (1), Rismann (1), Ruske (2), Schäfer (1), Schimanski (2), Scholz (1), Schopp (1), Seewald (1), Stiller (2), Tschiersch (2), Vogt (12), Wacke (1), Wecker (1), Wenske (1), Winzler (1), Wozniak (1), Wudarzak (1), Wycisk (1), Wuttke (1), Zepke (1), Zinke (2).

Wymieniam też nazwiska osób, w tym także rodzin, które również mieszkały niegdyś w Karszynie, tyle tylko, że wynajmowały mieszkania u wyżej wymienionych

6 Liber copulatorum (Księga zaślubionych) 1929 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie.

właściciele. Oto one: Bauland, Fuhl, Gmiat, Gollik, Hoffmann, Kischke, Kraemar, Moos, Nowotnik, Ploszyk, Renner, Rybitzki, Sitarz, Skrzypczak, Spychala, Rzepka, Weike, Wieze.

Czytając obie grupy nazwisk, trudno nie mieć wrażenia, że wielu ich nosiciele to tutejsi Polacy, bądź osoby, które miały polski rodowód. Być może to o nich, a raczej o ich przodkach pisał na początku XX w. A. Foerster jako o tych, dzięki którym 80 - 100 lat wcześniej słychać było we wsi powszechnie język polski.



Wesele Elżbiety Kaptur i Franza Zepke, 1937 r.

W cieniu II wojny światowej

Dla wielu osób ostatnia wojna ciągle jeszcze jest niezamkniętą księgą. Jak bardzo ów zły czas tkwi w świadomości ludzkiej, przekonałem się, sięgając po niektóre tematy. Sądziłem, że w 2012 roku nie będzie budzić żadnych kontrowersji fakt, że w państwie niemieckim nie tylko Niemcy, ale i obywatele tego kraju innej narodowości, odbywali służbę wojskową w Wehrmachcie. Okazuje się, że nie wszyscy są jeszcze gotowi do zaakceptowania tego. Zamierzałem, pisząc o kolejnych losach mieszkańców Karszyna, nie dzielić ich na przybyszów i tutejszych, Polaków i Niemców, lecz konsekwentnie wszystkich nazywałem karszyniakami. Przecież razem tworzyli historię tej wsi. Składała się na nią między innymi służba w wojsku, udział w wojnie i powroty z niewoli, śmierć w walce i odniesione rany, zarówno fizyczne jak i urazy psychiczne potem noszone do końca życia. Zajmując się tym okresem w dziejach Karszyna, trzeba postawić sobie wiele pytań, np. jak zachowywali się mieszkańcy wsi na wiadomość o wybuchu w dniu 1 września 1939 roku wojny z Polską, z którą zaledwie o kilka kilometrów na wschód od dwudziestu lat dzieliła granica. Co myślały rodziny mieszkające po jej obu stronach, w których byli młodzi, podpadający pod pobór do armii mężczyźni? Przecież oni nie mieli żadnego wyboru w rodzaju – iść czy nie iść do wojska. Ilu krewnych znalazło się wtedy we wrogich sobie armiach? Ilu do siebie strzelało? Ilu w takich skrajnych sytuacjach zginęło? Myślę, że mimo nazistowskiej polityczno – propagandowej roboty radia, prasy i kina uzasadniającej powody wojny z Polską, byli w Karszynie ludzie, którzy jej nie chcieli i bali się jej skutków.¹ Każdy normalny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co oznacza wojna. Jeśli być może w jej początkowej fazie karszyniacy nie odczuwali jej grozy, to kolejne miesiące im to uświadomiły. Najbardziej przeżywały kobiety, kiedy przyszło im żegnać się z mężczyznami odchodzącymi na front. Ile matek, czyniąc znak krzyża na głowie syna wierzyło propagandzie, że wróci z wojny żywy, w dodatku w chwale zwycięstwa? Ile żon było przekonanych, że mężowie szybko powrócą i nadal wspólnie będą wychowywać swoje dzieci? Takich pytań mieszkańcy tamtego Karszyna musieli sobie postawić wiele. Być może jednym z tak zastanawiających się był ówczesny katolicki duszpasterz tutejszej parafii ksiądz Franz Wecker. Co mógł myśleć ten kapłan, a jednocześnie czego nie wolno mu było powiedzieć o sensie wojny, kiedy w tutejszej plebanii szukały schronienia, uciekając z bombardowanych Żar i Berlina, dwie jego siostry - starsza od księdza i obłożnie chora Erna oraz druga, mająca kwalifikacje pielęgniarские – Elizabeth?²

1 Jak przypomina sobie Paula Kubicka, która powtarza za swoim ojcem Walentym, starzy karszyniacy bardzo szybko zreflektowali się, dokąd prowadzi ledwie co zaczęta wojna. Oni pamiętali ostatnią wielką wojnę, bo na niej byli. Wśród zaufanych osób przepowiadali Niemcom kolejną klęskę. Czas pokazał, że się nie mylili.

2 Siostry ks. Weckera po śmierci brata w 1946 r. jeszcze przez rok mieszkały w karszyńskiej plebanii. W 1947 roku wyjechały do Berlina, gdzie Elizabeth zaopiekowała się kolejną siostrą – Anną, która straciła wzrok.

Pamiętając, że w 1939 roku we wsi mieszkało 699 mieszkańców, można założyć, że wielu mężczyzn poszło na front. W końcowej fazie działań wojennych, kiedy armii niemieckiej brakło mężczyzn do zapewnienia minimalnych stanów etatowych poszczególnych jednostek, powoływano kolejne coraz starsze roczniki, skutkiem czego Karszyn niemal zupełnie opustoszał z mężczyzn. Ci, co pozostali, byli albo starzy, albo chorzy, albo nienadający się jeszcze do noszenia broni. Pani Paula Kubicka, zapytana o odczucia mieszkańców Karszyna dotyczące wojny odpowiedziała, że zwykli ludzie, żyjący z ciężkiej pracy nie angażowali się w politykę, bo i tak o niczym nie decydowali. Poza tym we wsi pozostały prawie tylko kobiety i dzieci, a im nie w głowie było zajmowanie się polityką. Powiedziała też, że miejscowy rzeźnik Martin Kadach należał do NSDAP, w której pełnił funkcję Ortsgruppenleiters. Na temat samej wojny dodała, że jej dwaj bracia, ilekroć przyszło im wracać z urlopu na front płakali, bo nie wiedzieli, czy z niego powrócą.³ O innym funkcjonariuszu publicznym przypomniał sobie pan Bernard Chmiel. Mówił, powtarzając za swą mamą Franciszką, że ich sąsiadem był Hugo Vogt należący do SA. Z tego powodu w domu Chmielów z ostrożności pilnowano się w sprawach wypowiadania na ryzykowne tematy, np. polityczne, wojenne, gospodarcze. Przy okazji rozmowy o Kadachu i sąsiedzie z SA pan Chmiel dodał, że jego mama, robiąc zakupy u wspomnianego rzeźnika, otrzymywała gratis kości, czasem jakieś inne niehandlowe, ale nadające się do spożycia poubojowe resztki. Bywało, że z nich gotowała zupę i wynosiła ją w metalowej kance do pobliskiego lasu. Dla kogo? Pewnie dla pracujących w nim Polaków. Spośród osób zaangażowanych politycznie inny mieszkaniec Karszyna pan Karl Poppmann wymienia także, oprócz dwu wcześniej wspomnianych osób, Friedricha Lehmana, leśniczego i zarazem sołtysa.⁴



Czas wojny. Kobiety w czasie przerwy w młocce. Pierwsza z prawej - Marta Pinecka. Obok niej w kombinezonie bratowa Erna.

3 Relacja P. Kubickiej, 22.06.2012 r.

4 Informacji udzielił Karl Poppmann, 29.09.2012.

Tymczasem z coraz odleglejszego frontu nadchodziły kolejne zawiadomienia o śmierci na polu walki, za führera i ojczyznę. Z lat młodości pamiętam, że na przykościelnym cmentarzu znajdowały się bodajże dwa nagrobki, na których były napisy w języku niemieckim informujące o poległych na wschodzie. Ojciec mi wtedy mówił, że są to symboliczne groby tych, którzy zginęli na wojnie, ale ciało w nich nie ma. Nie mogłem wtedy zrozumieć, że grób może być bez pochowanego w nim zmarłego.

Tymczasem życie płynęło dalej i należało zajmować się tym wszystkim, co niezbędne. Dzieci chodziły do szkoły, w niedzielę uczęszczano do kościoła na nabożeństwa. Większość prac polowych wykonywana była ręcznie lub z wykorzystaniem siły pociągowej krów, gdyż konie zarekwirowało wojsko. Jeśli jakieś pozostały, to chyba jedynie te, które nie przedstawiały większej wartości.

Przez niemal cały okres wojny w Karszynie przebywali robotnicy przymusowi z Polski oraz francuscy jeńcy wojenni. Kilku pracowało w miejscowym leśnictwie. W pobliżu leśniczówki znajdował się drewniany barak, w którym mieszkali i z którego codziennie wyruszali do roboty.



Tyle zostało z baraku leśnych robotników przymusowych.

Barak ten o wymiarach 16,5 x 6,5 m był podzielony na 8 pomieszczeń mieszkalnych. Betonowe fundamenty po nim do dziś są widoczne przy drodze wiodącej ze wsi do leśnictwa. Funkcję brygadzysty od czerwca 1944 roku pełnił Władysław Blum, który – pochodząc z Białostockiego – dobrze władał językiem niemieckim. Pozostali to między innymi Władysław Miś, Jan Kojas oraz mężczyzna

o nazwisku Przybyła. Jako pracownik wysłany na roboty w Niemczech pracował u miejscowego piekarza kolejny Polak Władysław Dymalski. U dwóch karszyńskich gospodarzy pracowali inni Polacy, to jest Florian Wierzbński i Władysław Baca. Jak było tutaj tym przymusowym robotnikom – trudno dziś powiedzieć. Ci, którzy zamieszkali w Karszynie po 1945 roku, raczej nie narzekali na swych pracodawców. Oczywiście musieli wykonywać swoje obowiązki, ale mogli po pracy poruszać się swobodnie po wsi. Z ich pomocy korzystali niekiedy miejscowi, gdy trzeba było wykonać jakieś cięższe, typowo męskie prace w gospodarstwach. Chociaż zgodnie z obowiązującym prawem nie wolno im było chodzić do miejscowego kościoła, to jednak uczestniczyli w niedzielnych nabożeństwach, odprawianych przez księdza Weckera. Z informacji uzyskanych od pani Kwaśnik z domu Cielebąk- ówczesnej gospodyni w karszyńskiej plebanii - wiem, że wspomniany kapłan nie robił przeszkód Polakom uczęszczającym na msze

święte. Jeśli się kogoś obawiał, to młodzieży z Hitlerjugend, która mogła o tym fakcie donieść władzom. Na szczęście młodzi ludzie z tej organizacji do kościoła nie chodzili zbyt często. Z innej relacji pani Pauli Kubickiej wiem, że robotnicy leśni, odwiedzający jej ojca Walentego Pineckiego mówili, że są zadowoleni ze swego leśniczego Lehmana. Ten rozumiał, że wykonujący ciężką pracę drwale powinni się właściwie odżywiać, żeby mieć siłę. Zatrudnił mieszkającą we wsi, ale pochodzącą z Berlina kucharkę, która przygotowywała posiłki dla około dziesięciu mężczyzn. Ponieważ żywność była na kartki, toteż żeby chociaż na czas świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy było nieco lepsze jedzenie, polował i mięsem ustrzelonej zwierzyny uzupełniał przydziałowe racje robotników. Jak opowiada Czesław Wierziński, jego ojciec - pracujący u handlującego węglem, nawozami sztucznym i innymi towarami Augusta Görtnera - przyjaźnił się z Władysławem od piekarzy i bardzo przeżył to, co z nim i dwunastoma innymi osobami, wśród których były dzieci, zrobili Rosjanie.

Polaka o imieniu Władysław polubiło starsze małżeństwo Mätzschke – właściciele piekarni. Ufali mu do tego stopnia, że gdy w styczniu 1945 roku do wsi przyjechali Rosjanie, nie zamierzali uciekać, gdyż wierzyli, że w razie czego ich obroni, choćby za dobre traktowanie w czasie pobytu u nich. Ośmioro innych karszynian o nazwisku Vogt nie ewakuowało się przed zbliżającym się frontem, gdyż oczekiwało na powrót z sulechowskiego szpitala żony Józefa Vogta, a zarazem matki i babki sześciu pozostałych osób. Niestety, los całej trzynastki zakończył się tragicznie. Z opowiadań mieszkańców Karszyna wiem, że dwóch byłych robotników, przymusowo w czasie wojny pracujących u bauerów, przez kilka kolejnych lat w rocznicę tragicznych wydarzeń z końca stycznia 1945 r. stawiało zapalone świece na pagórku usypanym nad mogiłą zamordowanych. Można sądzić, że gdyby mieli przykre wspomnienia ze swych lat spędzonych na robotach, pewnie nie czciliby pamięci Niemców.

Pomoc wspomnianego już tutaj Polaka - Władysława Bluma - okazała się bardzo przydatna po przyjeździe Rosjan do byłego majątku, zamieszkanego przez rodzinę Walentego Pineckiego. Blum, oprócz niemieckiego, znał także język rosyjski, dzięki czemu próbował przekonać przybyszów, że znajdująca się tam rodzina Pineckich to mieszkający w Niemczech Polacy.

Być może w ten sposób oszczędził tym ludziom, szczególnie kobietom, niejednej przykrości. Zresztą – jak opowiadała pani Paula Kubicka – robotnicy leśni już od dłuższego czasu po pracy przychodzili do ojca Walentego, by wraz z nim słuchać radiowych komunikatów z frontu, dzięki czemu byli zorientowani, co i gdzie się dzieje. Wspomniany wyżej Władysław Blum przyczynił się do ocalenia życia rannej kobiecie – Klarze Pohl, która postrzelona przez Rosjan, szukała pomocy u Pineckich. Pani Paula, sama wiele ryzykując, zaprowadziła raną na probostwo, gdzie przebywały siostry księdza Weckera - Erna i opiekująca się nią Elizabeth. Ta ostatnia miała przeszkolenie sanitarne i doświadczenie w udzielaniu pomocy rannym zdobyte w czasie I wojny światowej. By jednak można było zatrzymać krwotok i opatrzyć rany, pani Paula musiała pobiec po

materiały opatrunkowe do znajdującego się na poddaszu przedszkola punktu medycznego. Taka doraźna pomoc udzielona poranionej kobiecie na niewiele się zdała, dlatego pani Wecker uznała, iż potrzebna jest natychmiastowa operacja. Tutaj właśnie bardzo przydała się pomoc Władysława Bluma i ojca pani Pauli Walentego. Wozem zaprzężonym w konie zawieźli wspomnianą Klarę Pohl do Wolsztyna, gdzie w szpitalu przeprowadzono operację ratującą kobiecie życie. Kilka miesięcy później wraz z innymi mieszkańcami wsi opuściła Karszyn na zawsze. W miejscu domu rodziny Pohl stoi dziś nowy budynek, w którym mieszkają państwo Perlińscy.



Walenty Pinecki ze swymi dziećmi i końmi, 1938 r.

Z pomocy Polaków, byłych robotników przymusowych, skorzystał ksiądz Franz Wecker, decydując się na pochowanie 16 lutego, a jak twierdzi pani Paula Kubicka, dopiero pod koniec marca 1945 roku, grupy osób zamordowanych kilka tygodni wcześniej, o czym wspomniałem wyżej oraz czemu więcej miejsca poświęcam trochę później

Kończąc ten trudny dla mnie fragment z dziejów Karszyna, chcę jeszcze zauważyć, że nie wiem, jaka była rzeczywista liczba ofiar w ludziach, mieszkańcach tej wsi sprzed wojny. Z pewnością jednak spośród tych, którzy wyruszyli na front, wielu nie powróciło, bo zginęli. 13 osób zamordowali Rosjanie po wejściu do wsi w styczniu 1945 roku. Jak mówi pani Kubicka – dwoje starszych ludzi, chcąc uniknąć tułaczego losu, powiesiło się pod Smolnem w czasie wypędzania. Kolejna kobieta nazwiskiem Laubstein, mieszkająca tam, gdzie dziś pan Tadeusz Kowalik, zmarła niedaleko Berlina z powodu duru brzuszego, na który zachorowała w czasie wielu dni wędrówki w nieznanie. O innej – 33 letniej Annie Ludwig - w kwietniu 1945 roku pisze ksiądz Wecker w Księdze zgonów Parafii Karszyn. Wraciała do

Karszyna przez przeprawę na Odrze w Milsku. Tam w nocy z 3 na 4 kwietnia dostała się w ręce rosyjskich żołnierzy. Została zgwałcona i zamordowana. Dwie inne mieszkanki Karszyna, które zaginęły bez wieści w czasie wypędzania, były z domu Patschontek, (ich dom znajdował się pomiędzy gospodarstwami państwa Kasperków i Smalców) a jako mężatki nazywały się Wuttke i Pinecka. O tragicznych i jakże smutnych wydarzeniach jest też mowa w innej części przedstawianych tutaj wspomnień.

Od połowy stycznia front wielkimi krokami zbliżał się od wschodu do stron, których cywilni mieszkańcy nie wiedzieli, jak wygląda wojna z jej wielu okrutnymi obliczami. Wiadomości o barbarzyństwie rosyjskiego żołdactwa w Prusach Wschodnich budziły nieukrywaną grozę, ale i niedowierzenie. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść do spokojnych dotąd wsi, do których wojenne wiatry docierały dotychczas tylko w formie przeróżnych, niekoniecznie oficjalnych wiadomości. Czy nie chciano tak naprawdę w nie wierzyć, czy uważano, że spokojna przecież ludność wiejska, niebiorąca bezpośredniego udziału w walkach będzie pozostawiona w spokoju, czy też stopniowo narastające beznadzieja i strach sprawiały, że biernie czekano na to, co miało nadejść ze strony zwycięzców? Wojska niemieckie przemieszczały się szybko na pozycje, mające w naturalny sposób ułatwiać skuteczną obronę, to jest za linię rzeki Odry. Tuż za nimi podążały rosyjskie jednostki zwiadowcze. Od kierunku Poznania w dniu 26 stycznia pierwsi Rosjanie dotarli do Wolsztyna, a dwa dni później byli w Kargowej. Wymiana ognia, do której dochodziło pomiędzy wycofującymi się Niemcami a atakującymi Rosjanami, miała raczej charakter potyczek niż walk. Słabo broniona Kargowa została więc nie tyle zdobyta w walce, co raczej zajęta przez Rosjan bez szczególnego wysiłku. Ale zarówno ona, jak i inne miejscowości po tej stronie dawnej granicy znajdowały się w „etoj proklatoj Germanii” – jak mówili zwycięzcy - to jest w miejscu, gdzie wolno było robić wszystko. Brali więc odwet za swoje spalone przez Niemców domy, zabite dzieci, zbombardowane miasta i bliskich zamordowanych w obozach. Zaczął się czas wymierzonej ślepo sprawiedliwości. Szczególnie przykry los miał spotkać kobiety, które by uniknąć hańby i gwałtów, często decydowały się na ostateczność, to jest odebranie życia dzieciom a potem sobie. Grabieże mienia, włamania do domów i sklepów, pijaństwo, wzniesienie pożarów to tylko drobny fragment całej gamy możliwości, jaką dysponowali czerwonarmiści. Po wielu dziesiątkach lat od przejścia Rosjan przez Kargowę w centrum miasta widoczne były puste przestrzenie po wypalonych, a następnie wyburzonych kamienicach. W nie do końca jasnych okolicznościach spalona została piękna hala sportowa, wybudowana tuż przed wybuchem wojny po lewej stronie drogi w kierunku Chwalimia.

Jej los podzieliła słynąca z niezwyklej urody okazała drewniana leśniczówka będąca własnością książąt Radziwiłłów, usytuowana nad rzeczką Dźwiną od południowo – wschodniej strony miasta.

Dla mieszkańców Karszyna spotkanie z Rosjanami pozostawało już tylko kwestią godzin. W tym samym czasie, kiedy jedni czerwonarmiści wjeżdżali

do Kargowej od strony Kopanicy, do Karszyna od strony Uścia docierali inni. Opowiadała o tym pani Paula Kubicka, wtedy osiemnastoletnia dziewczyna. Była niedziela, zbliżał się akurat wieczór. W gospodarstwach to pora obrządków. Pod płytami kuchennymi w niektórych domach płonął ogień, gospodynie przygotowywały domownikom posiłki. Nieliczni pozostali we wsi mieszkańcy nie przypuszczali nawet, że to już się stało. Zdecydowana ich większość opuściła wieś w pierwszych dniach stycznia. Tak mogły uczynić tylko te rodziny, z których mężczyźni byli na froncie. W rzeczywistości jednak ociągano się z wyjazdem na drugą stronę Odry, gdzie docelowym miejscem ewakuacji karszynian była Świdnica. Prawie każdy hodował jakieś zwierzęta. Żal było je pozostawić bez opieki na zmarnowanie. Ci co wyjeżdżali, prosili pozostających, by opiekowali się ich bydłem, trzodą chlewną, drobiem. Niektórzy, decydując się na wyjazd w ostatniej chwili, pootwierali chlewy i spuścili z łańcuchów krowy, by mogły jakoś sobie radzić pod nieobecność gospodarzy. W Karszynie pozostał na plebanii ks. Wecker z dwiema siostrami oraz gospodynią, pochodzącą ze Starego Jaromierza panią Jadwigą Cielebąk i nieopodal mieszkający piekarz Hermann Mätzschke z żoną Anną. U swego ojca piekarza przebywała córka Elizabeth z mającą zaledwie 2 - 3 lata córeczką. Wsi nie opuściły panie Kubacka, Chmielowa, Muńkowa oraz 63-letni Walenty Pinecki z dwiema córkami – Martą i opowiadającą to wydarzenie Paulą, a także 15-letnia Helga Eichler z niedalekiej Dąbrówki. Jak się później okazało, we wsi zostało jeszcze kilka innych osób. Grupa kobiet i dwóch mężczyzn, w tym rodzina nazwiskiem Pohl (gospodarz, jego żona oraz córka), ich sąsiedzi – Kitschke (matka i córka), kolejni sąsiedzi – Heinrichowie (mąż z żoną oraz ich



Elizabeth Mätzschke, zastrzelona
29.01.1945 r.

dwie lokatorki z miasta) ze spakowanym na wozie dobytkiem akurat wyjeżdżali na drogę z posesji, będącej dziś własnością państwa Perlińskich. Ledwo z podwórza wyszli na drogę, kiedy niespodziewanie obstarpi ich rosyjscy żołnierze, którzy krzycząc i grożąc bronią, zabrali się za wypróżnianie zawartości walizek, paczek i tobołków.⁵ Można powiedzieć, że mieli szczęście, bo uszli z życiem. 29 stycznia 1945 r. zdarzyło się w Karszynie coś, o czym nie tylko miejscowi, ale i przybyli później, woleli nie mówić. Po wojnie dokumentowano zbrodnie niemieckie. To zupełnie zrozumiałe, bo ich skala była ogromna. Natomiast wspomnianie o zbrodniach sowieckich, z uwagi na uwarunkowania polityczne, mogło się źle skończyć. Dopiero po latach usłyszałem informację o egzekucji dokonanej przez radzieckiego żołnierza na trzynastu niewinnych ludziach. Jak już

⁵ Relacja P. Kubickiej, 12.01.2012 r. Nieco później udało się ustalić, że Rosjanie strzelali do kobiety znajdującej się w tej grupie – Klary Pohl.

wspomniałem, część karszynian w ostatnich dniach przed nadejściem frontu zdołała uciec. Niektórzy jednak zostali. Są różne próby odpowiedzi na pytanie, dlaczego zginęli ludzie. Słyszałem, że egzekucja była odwetem za śmierć rodziny żołnierza. Inna wersja jest taka, że dom i piekarnia Mätzschków, ofiar egzekucji, były łakomym kąskiem dla kogoś, kto chciał przejąć ich własność, dlatego doniósł Rosjanom, że w tym obejściu ukrywany jest esesman (co nie było prawdą).

Wersja o donosie na rodzinę Mätzschków i zamiarze zajęcia piekarni wydaje się mało prawdopodobna, bo kto w styczniu 1945 roku mógłby stać za tym faktem. Prawdą jednak jest, że 29 stycznia zostali rozstrzelani na skraju wsi, przy posesji należącej wówczas do rodziny Kruschke, a obecnie Murzicz, Anna i Hermann Mätzschke, ich córka Elizabeth z mającą 2 - 3 lata córeczką Renate, zatrudniony w piekarni Polak Władysław Dymalski oraz Josef Vogt, Marie Vogt, Lucie Vogt, Gertrud Vogt, Antonia Vogt, Irene Vogt, Christa Vogt i Reinhold Vogt.

Na fotografii znajduje się troje zastrzelonych dzieci – Irene, Christa i Reinhold oraz ich ciotka Antonia. Zdjęcie zrobiono krótko przed wojną na posesji będącej dziś własnością państwa Tomiaków. Spośród sześciu postaci na pewno Antonią jest dziewczyna najwyższa wzrostem, stojąca pośrodku.



Irena, Christa, Reinhold i ciotka Antonia Vogt, 1938 r.

O tym tragicznym wydarzeniu ze stycznia 1945 roku można przeczytać informację opublikowaną w 1998 roku w Niemczech. Czytamy w niej: „...27. März 1945 in Großheiden (Karszyn), Kreis Züllichau, erschossen Rotarmisten, angeblich als Revanche für eine ermordete Familie, 13 Zivilpersonen.“⁶ Powstała ona jednak jako nie dość dokładne - jeśli chodzi o datę zbrodni -

⁶ Osteuropa: Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens, Band 48, Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde – 1988, Verlags – Anstalt, 1998, s. 290.



Miejsce zbrodni i pochówku ze stycznia/lutego 1945, stan obecny.

Wecker. Wyprowadzony z budynku plebanii, ukląkł i modlił się, oczekując na śmierć. To, że wtedy nie zginął, oraz że nie zginęły jego siostry i służąca Cielebąkowa, zawdzięczają Władysławowi Blumowi. Trudno powiedzieć jak, ale przekonał jakoś Rosjan, by poniechali zabijania księdza.

Jeszcze kilka następnych dni i nocy leżący na uboczu Karszyn huczał od przewalającego się nieprzerwanym strumieniem rosyjskiego wojska. Zmierzało ono przez spokojną dotąd wieś w stronę Dąbrówki, potem Klenicy i dalej nad Odrę. Ponieważ główny kierunek – Sulechów był mocno zatłoczony, część owego wojskowego strumienia skierowano z Kargowej na południe, to jest w kierunku Klenicy. Ze względu na wysadzony w powietrze most na Obrzycy, owa masa sprzętu, ludzi i koni przewalała się przez Karszyn.

Czy karszynie, ale i inni mieszkańcy okolicznych miejscowości, zastanawiali się nad tym, że koniec państwa niemieckiego, rządzonego przez Adolfa Hitlera i jego partię jest nieuchronny? Czy jeszcze wierzyli w wunderwaffe, o której trąbiło radio, a która miałaby odwrócić nadciągającą klęskę? Cały dotychczasowy porządek walił się w gruzy. Wprawdzie od końca stycznia, to jest od pojawienia się pierwszych Rosjan, do maja, a więc do ustania ostatnich walk miały upłynąć jeszcze całe trzy miesiące, to jednak tylko ci, którym dane było je przeżyć, mogliby opowiedzieć, jak wiele wydarzyło się w Karszynie. Tymczasem – jak kontynuowała swą relację pani Kubicka – do domu jej ojca Walentego, do majątku boczną drogą przybiegła ranna kobieta, Klara Pohl, będąca w grupie zamierzającej opuścić wieś, z wiadomością: *Die Russen sind schon da.* (Rosjanie już są) (O ratowaniu życia tej kobiecie była mowa nieco wcześniej.) Wkrótce dołączyła Anna Kubacka, która uznała, że razem będzie raźniej. Przyszli też posłuchać radia i wiadomości z frontu mieszkający w baraku niedaleko leśniczówki robotnicy z Polski oraz młody chłopak, będący na robotach u Willego Kali. Następnego dnia rano na podwórze gospodarstwa wjechali konnymi wozami oraz wierzchem wspomniani wyżej żołnierze. Nikogo o nic nie pytając, poili konie, znosili im ze stodoły siano, a ze spichrza zboże. Rozgościli się też na podwórzu, gdzie zarżnęli barana, którego

tłumaczenie tekstu artykułu Zbigniewa Szydłowskiego z „Gazety Lubuskiej” z dnia 10 listopada 1992 r. pod tytułem „Zginęli nie za swoje winy”⁷. W tym niemieckim źródle jednak data śmierci owych mieszkańców to nie styczeń, lecz marzec 1945 roku.

Los wspomnianych wyżej miał podzielić także ksiądz – Niemiec Franz

7 Z. Szydłowski, Zginęli nie za swoje winy, [w:] *Gazeta Lubuska*, 10.11.1992., s. 1 i 3.

potem po ugotowaniu zjedli. Inni weszli do domu, gdzie w kuchni raczyli się alkoholem i zupą na baraninie. Skorzystali też z zawartości spiżarni. To, że po jakimś czasie przestali się zachowywać agresywnie, było chyba zasługą obecnych robotników – Polaków, wśród których był mówiący po rosyjsku Blum. Tłumaczył przybyszom, że pozostali tutaj mieszkańcy Karszyna są Polakami. Następnego dnia grupa Rosjan odjechała. Ale pojawiały się kolejne, których zachowanie bywało różne. Z tego względu kobiety zwykle za dnia chroniły się w niedalekim lesie. Do domu wracały jedynie, by przenocować, gdyż w tym czasie było dość mroźno. Nocną porą Rosjanie raczej nie poruszali się po wsi. Być może nie do końca pewni byli swojego bezpieczeństwa.⁸ Pani Kubicka opowiadała też, że zachodziła do niektórych gospodarstw, by tam nakarmić i napoić zwierzęta. Przy okazji, chociaż w strachu, ale z ciekawością obserwowała, co się we wsi dzieje z udziałem Rosjan. Robiła to z ukrycia, siedząc wysoko w szczytowej części stodoły należącej do Augusta Poppmanna (obecnie własność Henryka Bartocha). Stamtąd dostrzegła sytuację, kiedy Rosjanie wjechali na podwórze Karola Kubackiego. Zrobili tak, gdyż chwilę wcześniej Anna Kubacka wywiesiła pranie, zdradzając obecność ludzi w obejściu... W jakiś czas potem pani Paula postanowiła udać się do gospodarstwa swych krewnych – Augusta Vogta (obecnie mieszka tam Ryszard Zagdański), by tam także zadbać o zwierzęta. Ledwo wyszła na główną ulicę, którą było najbliżej, a krótko potem usłyszała za sobą krzyki Rosjan. Nie oglądając się, rzuciła się do ucieczki. Dopadłszy podwórza Vogtów, schroniła się w ustępie, gdzie trzęsąc się ze strachu, przez szpary w deskach obserwowała chodzących po obejściu żołnierzy. Widziała, że byli pijani i chociaż zaglądali do chlewa, stodoły, szopy i mieszkania, o drewnianym wychodku jakoś nie pomyśleli. Mocno to przeżyła i dlatego potem, wychodząc na wieś, była już dużo ostrożniejsza. Tym bardziej, że dobrze pamiętała scenę, kiedy po wjechaniu Rosjan na podwórze ojca w poniedziałek rano 29 stycznia, przystawili mu broń do głowy, podobnie jak jej siostrze Marcie i chcieli ich zastrzelić. Oboje tylko dzięki interwencji obecnych wówczas w ich domu polskich robotników, w tym głównie Bluma, ocalili.

Mniej więcej po upływie miesiąca zaczęli wracać niektórzy mieszkańcy Karszyna, rozlokowani tymczasowo w Świdnicy i innych wsiach w okolicy Zielonej Góry. Wtedy także do swego domu powróciła pani Elżbieta Zepke z dwojgiem dzieci.

Myślę, że warto tutaj przytoczyć spostrzeżenie księdza Franza Weckera, które zanotował w Księdze chrztów karszyńskiej parafii: *W ostatnim tygodniu stycznia 1945 roku Karszyn oraz Siadca zostały opuszczone z powodu niebezpieczeństwa grożącego ze strony Rosjan. 28 stycznia nadeszli Rosjanie. Ksiądz i około 50 współmieszkańców, którzy dopiero z ostatnim transportem zamierzali odjechać, zostali odcięci od świata i musieli na sobie doświadczyć całego okrucieństwa i grabieży. Uciekinierzy wracający ze Świdnicy koło Zielonej Góry ucierpieli ze strony Rosjan tak samo jak my tutaj. Stopniowo powrócili prawie wszyscy ludzie, tak że na Wielkanoc prawie wszyscy byli z powrotem.*⁹

8 Relacja P. Kubickiej, 12.01.2012 r.

9 Liber baptisatorum (Księga chrztów) od roku 1928 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie.

O przeżyciach swej mamy Anny po przybyciu Rosjan do Świdnicy opowiedziała pani Krystyna Danielkiewicz (Pinecka). Było to prawdopodobnie w lutym 1945 roku. W tej podzielonogórskiej miejscowości Anna Pinecka znalazła się wraz z dwoma synami – dziesięcioletnim Marcinem i trzyletnim Harmutem. Z kolejnym synem, który miał się dopiero urodzić w lipcu, była w czwartym miesiącu ciąży. W tym czasie na porządku dziennym były sytuacje, że rosyjscy żołnierze przychodzili do przesiedleńców i wybierali sobie kobiety, które musiały posłusznie poddawać się ich woli, jeśli chciały przeżyć. Pani Anna, chcąc uchronić się od tego losu, specjalnie ucharakteryzowała się tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy pewnego razu rosyjski żołnierz zapytał ją, ile ma lat, niewiele myśląc, podała swój prawdziwy wiek. Żołnierz, usłyszawszy odpowiedź, stwierdził, że oszukuje i że na pewno jest starsza, tylko chce się odmłodzić. Nie wiadomo, czy nieatrakcyjny wygląd, czy widoczna ciąża spowodowały, że sowiecki żołnierz nie okazał zainteresowania kobiecie, dzięki czemu uniknęła losu wielu innych wtedy gwałconych.¹⁰

Tymczasem wieś była jak wymarła, bo od tygodni było w niej niewielu mieszkańców. Czy oni wiedzieli, że krótko po przybyciu do Karszyna Rosjanie zamordowali 13 osób, w tym kobiety i dzieci? Jeśli tak, to jak wielki strach musiał towarzyszyć tym, którzy tutaj pozostali. Całe trzy miesiące ciągłego strachu, że przyjdą „ruscy” lub szabrownicy- niestety, najczęściej Polacy zza nieodległej dawnej granicy i zażądają tego, na co tylko przyjdzie im ochota. Trudno zliczyć nieprzespane noce, kiedy po zapadnięciu zmroku ktoś obcy kręcił się w obejściu i zabierał dobytek z komórki, stodoły, szopy, piwnicy. Próba wyjścia na zewnątrz, by sprawdzić, co tam się dzieje, raczej w takich okolicznościach nie była podejmowana, gdyż wiązała się z ryzykiem pobicia, a nawet utraty życia. Dlatego domownicy w ciszy, strachu i z pokorą znosili takie nocne wizyty nieproszonych gości, wiedząc, że i tak nic nie wskórają. Zresztą co mieliby zrobić? Wszcząć alarm? Wołać o pomoc? A kto miałby jej udzielić? Mężczyzn we wsi prawie nie było, bo kto tylko nadawał się do noszenia broni, dawno temu powołany był do Wehrmachtu i albo nadal walczył, albo nie żył, albo był już w rosyjskiej niewoli. Pozostali to byli albo ledwo żywi starcy, albo chłopcy a właściwie jeszcze dzieci. Zatem strach kobiet miał podwójnie wielkie oczy. W takim czasie – jak relacjonuje pani Kubicka – to jest gdzieś pod koniec marca, kiedy było już dosyć ciepło, miało być pogrzebanych owych 13 osób zamordowanych pod koniec stycznia. Chciała iść popatrzeć, ale ojciec nie pozwolił, chcąc oszczędzić córce przykrego widoku, który prześladowałby ją już zawsze. O pochówku zabitych zdecydował ksiądz Wecker, bo obecni Rosjanie nie zachowywali się już tak brutalnie, jak ci zaraz na początku. Ponadto należało się spieszyć, gdyż do leżących na obrzeżach wsi zwłok dobrały się już zwierzęta¹¹. Przy pomocy Polaków – Władysława Misia i Władysława Bluma, a także Walentego Pineckiego, Alfreda Heinricha i Franza Deckera,¹² a także

10 Historię opowiedziała Krystyna Danielkiewicz (Pinecka), 27.06.2012 r.

11 Relacja P. Kubickiej, 12.01.2012 r.

12 Na podstawie protokołu z przesłuchania świadka Marty Szałpki z domu Pinecka, sygn. akt S-13/91/NK, (IPN Po 835/213), s. 2/14

w obecności wspomnianego kapłana złożono szczątki tych nieszczęśników w dole wykopanym obok miejsca śmierci. Zginęli przed domem należącym wówczas do Kruschkego, a wcześniej do Ludwiga Malende.¹³ Przez wiele lat od tej zbrodni na elewacji budynku widoczne były ślady po pociskach. W związku z tym wydarzeniem zachowały się protokoły z przesłuchań świadków. Pierwszy - Florian Wierziński - w czasie śledztwa prowadzonego w 1991 roku przez Główną Komisję Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu IPN – Komisję Okręgową w Zielonej Górze zeznał między innymi: *...osobiście oglądałem zwłoki pomordowanych, które leżały kilkanaście dni. Wśród zastrzelonych z całą pewnością rozpoznałem Polaka, który pracował w piekarni u Mätzschkego. Był to Polak również przymusowo zesłany na roboty z Ostrowa Wielkopolskiego. Miał imię Stanisław lat około 30 – 35. Miał on żonę i dwoje dzieci, które mieszkały w Ostrowie Wielkopolskim. Polak – Stanisław leżał na ziemi i widoczny był na jego ubraniu znaczek z literką „P”. Również przy zwłokach jego leżała niemiecka książeczka pracy.*¹⁴ Następny świadek – pani Marta Szłapka z domu Pinecka zeznała: *...osobiście brałam udział w pochówku pomordowanych. Wśród zastrzelonych rozpoznałam tego Polaka, który pracował u piekarza, następnie rozpoznałam Hermanna Mätzschke, jego żonę (imienia nie pamiętam), jego córkę Elizabeth (lat około 20) oraz jej córkę (około 2-3 lata) – imienia tego dziecka nie pamiętam. Następnie leżała wśród zamordowanych Lucyna Vogt (lat około 30), jej siostra Gertruda Vogt (lat około 25), ich ojciec – Józef Vogt. Żona Józefa Vogta uniknęła rozstrzelania, gdyż w tym czasie przebywała w szpitalu w Sulechowie. Przypominam sobie, że także zastrzelona była Antonina Vogt (lat około 19). Przypominam sobie również, że wśród zastrzelonych leżały dzieci Lucyny Vogt, której mąż był w wojsku. [...] Ja osobiście uczestniczyłam w czasie zabierania zwłok z miejsca zastrzelenia do dołu, który wykopaliśmy tuż za płotem posesji Kruschkego. Zwłoki, jak przypominam sobie, były w mocnym rozkładzie. Chłopi zwłoki kładli na drabinę i nosili, wrzucając do wykopanego dołu.*¹⁵

Czas pobytu Rosjan w Karszynie od końca stycznia do momentu przybycia pierwszych Polaków w czerwcu 1945 roku, nie jest bliżej znany dzisiejszym mieszkańcom tej wsi, bo nie zachowały się na ten temat żadne zapisane informacje. Można tylko założyć, że los karszynian był podobny do tego, co przeżywali mieszkańcy odległej zaledwie o 10 kilometrów Klenicy. Gehennę kleniczian opisała najprawdopodobniej jedna z sióstr zakonnych ze Zgromadzenia Sióstr Oblatek Maryi Niepokalanej mieszkających w budynku tamtejszego Caritasu.

Ta wstrząsająca relacja zachowała się, gdyż umieszczona została jako wkładka w Kronice Parafii Klenica. Ze względu na to, iż jej treść nie była dotychczas publikowana, warto ją tutaj przytoczyć w całości.

¹³ Na podstawie Księgi Zgonów prowadzonej przez księdza Weckera ustaliłem, że ciała pogrzebano 16.02.1945 r.

¹⁴ Fragment protokołu z przesłuchania świadka Floriana Wierzińskiego, sygn. akt S-13/91/NK, (IPN Po 835/213), s. 2/5/

¹⁵ Fragmenty protokołu z przesłuchania świadka Marty Szłapki z domu Pinecka, sygn. akt S-13/91/NK, (IPN Po 835/213), s. 2/14

Klenica, 21. 01. 1945 – 6. 07. 1945 - wydarzenia wojenne

Gdy w południe 21. 01. 1945 roku pierwsi uciekinierzy z Kraju Warty tutaj dotarli, wiedzieliśmy, że Rosjanie są bardzo blisko. Drogi były mocno oblodzone i wymagały posypania piaskiem. Wieczorem 21 stycznia u Linke naradzano się, kiedy i jak przetransportować kleniczian do Ochli. Tak było przez cały tydzień, to jest od 21 do 28 stycznia. Przez Klenicę dzień i noc przemieszczały się tłumy uciekinierów. 22 stycznia w nocy, przy bardzo mroźnej pogodzie, zostały wywiezione konnymi zaprzęgami kobiety z dziećmi. 23 stycznia po południu i w nocy odeszła kolumna tych, którzy nie dysponowali zaprzęgami konnymi. 25 stycznia wieczorem około godziny 22.00 Warke przy pomocy dzwonka obwieścił, że wszyscy tak szybko, jak to tylko możliwe, powinni opuścić wieś. Dzień i noc jechały wozy z uciekinierami, tak że na przeprawie przez Odrę zrobił się zator z wozów. Nie wyglądało to dobrze, dlatego część wozów z dobytkiem należało pozostawić. Dwoje małych dzieci z naszej wsi podczas ucieczki zmarło (wnuczek krawca Krauze i dziecko Jozefa Brunke bei Zachon). Pożegnanie z tymi, którzy z powodu podeszłego wieku lub poważnej choroby postanowili zostać, było bardzo trudne. Trwało ono bardzo krótko, ale pozostający po prawej stronie Odry to rozumieli. Chleb i mięso rozdano na dwa dni, to jest na 25 i 26 stycznia. 26 stycznia zostało popędzone bydło klenickich uciekinierów. W tygodniu od 21 do 28 stycznia pod wieczór w sali Caritasu zebrali się na nabożeństwie ci, którzy postanowili pozostać. Modląc się wierzyli, że Matka Boża troskliwie osłoni ich i całą wieś swym płaszczem od złego. 28 stycznia rano o 7.15 i 9.15 odbyły się msze święte, podczas których pozostający przyjęli komunie święte i została im udzielona absolucja generalna. Nawet kierowniczką związku kobiet (Mathilde Nowottick) w tym uczestniczyła. Pan Rat w czasie drugiego nabożeństwa, które zostało odprawione w sali Caritasu, dodał jeszcze wszystkim otuchy i życzył wiary w opiekę wszystkich świętych. Coraz głośniejsze słychać było kanonadę artyleryjską. Po południu około godziny 15.00 nadjechały trzy autobusy z żołnierzami SS, którzy mieli zatrzymać Rosjan. Wieczorem około 18.30 powinien odjechać w kierunku Sulechowa ostatni pociąg z kierunku Bojadół, którym miała podróżować także pani Volkmer. 28 stycznia około 21.30 wkroczyli Rosjanie. Było dosyć jasno, bo świecił księżyc, i było bardzo zimno. Około 0.30 w nocy zaroilo się od wozów zaprzężonych w konie i Rosjan wbiegających do domów w poszukiwaniu niemieckich żołnierzy. W nocy doszło do potyczki naprzeciwko nadleśnictwa, obok Rogoscha nad stawem i obok Dimke (Schaches) Gasse i obok Klotten. Tam też Anton Hartwig (Maschee)¹⁶ i Hermann Dimke (Bartel) zostali rozstrzelani. Karl Radam (Buhne) zdołał się jakoś uratować, ale przez cztery kolejne dni i noce ukrywał się nad chlewnią i był ledwie żywy z głodu i zimna. U Klotten uratowała się przed śmiercią w pożarze pani Anna Zepke z domu Wilde (Gärtnerzawen). 29 stycznia rano około 8.00, gdy minęło pierwsze zagrożenie, powróciły zaprzęgi z ludźmi, którzy się ukrywali w gorzelni. Największe

¹⁶ Osoba pisząca kronikę prawdopodobnie umieściła w nawiasach informacje pozwalające dodatkowo zidentyfikować wymienianych ludzi, np. ich przydomki lub rodziny, u których mieszkali.

niebezpieczeństwo ze strony Rosjan czyhało na drodze, przy której znajdował się budynek Caritasu. Siostram zostały pozrzucone czepki przez uderzenie kolbami w głowy, splądrowano pomieszczenia i dokonano jeszcze wielu innych rzeczy. Wskutek tego siostry nie mogły tam dłużej pozostać. Poprosiły pana Rata, by wraz z chorymi i starcami mogły zamieszkać na plebanii. Także pani Schulz z córką i pani Dobkoncz szukały schronienia na probostwie. 30 stycznia doszły jeszcze dwie kobiety z pięcioletnim chłopcem ze Swarzynic (Augusta Pioch z zamężną córką Kadach) i opowiadały, że spędziły dwie noce w lesie. Tak więc na plebanii mieszkały teraz 22 osoby. W pierwszą noc, jak byliśmy u pana Rata, ilekroć przechodziły rosyjskie patrole, wszyscy kucaliśmy na podłodze jadalni, żeby nie było nas widać. Tak było przez 14 dni, w czasie których nocowaliśmy śpiąc na przyniesionych z Caritasu materacach rozłożonych na podłodze w jadalni i pokoju gościnnym. 30 stycznia z samego rana przyszli Rosjanie, tak że pan Rat musiał przerwać mszę świętą. Tego dnia przychodzili jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem szukając zegarków i przedmiotów ze złota. Wieczorami zjawiał się wraz z ordynansem pewien major, który okazał się bardzo miłym człowiekiem i długo z nami rozmawiał w jadalni. 31 stycznia wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani. Tego dnia na podwórze probostwa przyszła krowa i baran. Bezpańską krowę i barana należało potem w Peterhof dołączyć do innych zwierząt będących pod opieką miejscowej ludności, a potem przydzielić uciekinierom. 1 lutego po południu przyszedł słynny Mongol Pietrow, który wystawił nam przepustki i pozbawił ostatnich wartościowych rzeczy. Przez cały dzień przychodzili bardzo pijani Rosjanie, a wieczorem przyszło pięciu mężczyzn, którzy zgwałcili siostrę Teresinę. W tym dniu w swoim pokoju został znaleziony martwy Josef Nowottnick (Grutze). W nocy z 31.01. na 1. 02. nadeszła odwilż i aż do rana było burzowo. 2 lutego znowu pojawiło się wielu Rosjan, którzy odkryli kryjówkę z ukrytymi w niej Hertą i Liselottą, które zgwałcili. 3 lutego był bardzo nerwowym dniem. Przed południem powrócił oficer z ordynansem, który zabrał Hertę do kuchni. Wieczorem przyszło jeszcze dwóch całkiem bezczelnych Rosjan, którzy w jadalni dwa razy wystrzelili, ale na szczęście zadowolili się dwiema butelkami wina. W tym dniu dowiedzieliśmy się także, że w drewnitni powiesił się Bernhards oraz że znaleziono martwych małżonków Zurhantke (Krakobke). 4 lutego (niedziela) upłynął w zasadzie w spokoju. Przed południem wielkie świniobicie na podwórzu probostwa. Wieczorem rozpoczęła się wielka kanonada artyleryjska, która trwała całą noc. 5 lutego około 9.30 przyszedł patrol złożony z sześciu Rosjan. Do 5 lutego naliczono we wsi dziesięć zwłok: Alwin Bernhardt z żoną, Heinrich Tietze z Eichenbaum, Josef Nowottick (Grutze), Agnes Hartwig (Maschee), Reinhold Rogosch (Krautschneider) głuchoniemy, Gregor Irmegard (dziecko zastrzelone w łóżeczku), Karl Zuchandke (Krakobke) z żoną oraz żołnierz koło kościoła z Böhmen. Koło południa przyszedł pan Ruske (Gersache) i powiedział, że ciał nie można pochować na cmentarzu. Później nadszedł patrol złożony z dwóch Rosjan. Około 13.15 przyszła pani Helene Pietsch (Wasserpietsch) i poinformowała, że pani Höptner została przez pewnego Rosjanina zabita strzałem w twarz. Około 14.30 została ona przywieziona na tacze na plebanie przez Franza

Zawes i Hanę Rosolski, z którymi przyszła siostra zabitej oraz Alfons. Po południu odwiedziła nas jeszcze pani Dimke (Schache) z Heinzem i Karlem i opowiedziała, że u niej są zakwaterowani oficerowie oraz że ma z nimi dobrze. 29 stycznia dostarczono im do kuchni rannego essmanna, który tam zmarł i został zakopany w ogrodzie. Femar opowiedział jej, że oprócz dziesięciu ciał są jeszcze cztery: Alfons Splitt, Hedwig Grocholewski, która została zastrzelona u Splitta w kuchni, Hermann Dimke (Bartel) i Anton Hartwig (Maschee). Bernhards został odcięty z linki, na której wisiał, przez Fritza Schulza, który szukał schronienia w drewutni. Krakoskes został zastrzelony zaraz w poniedziałek 29 stycznia, kiedy wracał przez Ostrzyce z Sulechowa. Po drodze zabrano mu także konie. 6 lutego przyjechał z wojskowym lekarzem pan Ruske do pani Höptner. Po południu przyszedł patrol złożony z dwóch Rosjan. Oczywiście także postrzelali. Wieczorem przyszła Anna Nowotnick z Ireną z przedszkola oraz pan Rat z panną Paulą. 7 lutego było bardzo mgliście, około 11.00 weszło słońce. Do 14.30 Rosjanie przychodzili jeszcze dwukrotnie. Około 15.00 odwiedził nas pan Pallek i opowiedział, że dzisiaj Bernhards, Anton Hartwig, Hermann Dimke i Auguste Erhardt z Berlina (którzy mieszkali u pani Wenke, Palutze i Schneider) zostali zakopani w ogrodzie. O 16.30 przyszedł Rosjanie po trzy wiadra obranych kartofli i od tej pory przychodzili każdego dnia. Stacjonowali u Tuntke (Kaurke), gdzie gotowali grochówkę. 8 lutego zepsuła się pogoda i zrobiło się wietrznie. Przed południem pojawiło się dwóch Rosjan z żądaniem, żeby na popołudnie przygotować pięć wiader obranych kartofli. W południe pan Rat i Cichy pochowali nieznanego żołnierza z Reichenberg w Böhmen. Poza tym na placu kościelnym został zakopany jeden Rosjanin, u Klotten jeden essemann i u Muche (Steller) w ogrodzie powinno być zakopanych dwóch ludzi z SS. Wieczorem około 20.45 przyszło trzech Rosjan i dostrzegło siostrę Sigulinę, którą zabrali z sobą, ale o 21.15 powróciła. 9 lutego pogoda się jeszcze bardziej zepsuła i się ochłodziło. Przed południem pan Rat przyniósł wiadomość, że pani Anna Zepke (Gärtnerzawen) u Klotten leży martwa. 10 lutego od 8.30 do 9.30 słychać było strzały karabinowe, broń maszynową i artylerię. Około 13.00 przyszedł jeden Rosjanin i chciał jajka, a ponieważ ich nie mieliśmy, pobił pana Rata. Po południu przyszła pani Dimke z panem Gertnerem i przynieśli trochę optymistycznych wiadomości. Wieczór upłynął spokojnie. 11 lutego było bardzo zimno. Około 9.15 przyszło wielu Rosjan i wszystko przeszukali, ponieważ minionej nocy wielu niemieckich żołnierzy próbowało się tędy przedostać na zachód. Po południu pojawił się niemiecki samolot, z którego strzelano z broni maszynowej. Po południu Anna Ubares wraz z bratem odwiedziła pana Rata i opowiedziała, że jej Rosjanie nic nie zrobili, jak im opowiedziała i pokazała czego doznała podczas 2 lat pobytu w więzieniu za führera. Pod wieczór przyszło jeszcze dwóch Rosjan. Noc była bardzo niespokojna, słychać było wiele strzałów i latające samoloty. 12 lutego ponownie spadł śnieg. Przed południem żadnych Rosjan. O 14.00 przyszło czterech Rosjan i nakazali, by wszyscy, którzy mogą chodzić, udali się do komendantury znajdującej się u Nowotnika i w Willi Tietza. W czasie tego dnia w wieku 83 lat zmarł Heinrich Pietsch (Wasserpietsch). 13 lutego znowu trochę

popadał śnieg. W ciągu całego dnia nie pojawił się żaden Rosjanin. Od wieczora do drugiej godziny w nocy trwała kanonada artyleryjska po obu stronach Odry. Tego popołudnia przybyło bardzo wielu Rosjan, którzy zamierzali przeprowić się na drugi brzeg Odry promem w Pyrniku. Na podwórzu u sióstr Rosjanie przygotowywali wiele łodzi, które naprawiali przy pomocy branych ze szopy desek oraz znajdujących się tam narzędzi. Jedna łódź stoi jeszcze na pamiątkę na podwórzu u sióstr. 14 lutego (Środa Popielcowa) była brzydka i zimna pogoda. Około 8.30 pojawił się patrol złożony z dwóch żołnierzy. O wczesnym świcie obudziła nas kanonada. Pochodziła ona z około 6 działek przeciwlotniczych usytuowanych z tyłu kościoła. Około 13.00 to samo się powtórzyło tylko z miejsca za kościołem oraz koło Dimke (Batschke). Tego dnia spłonął dom Krause - Fengler. Było też w tym dniu bardzo wietrznie. Dzień 15 lutego upłynął w spokoju. 16 lutego również był spokojny i bez odwiedzin Rosjan. W obiad siostry Oberin, Sigulina i Cichy poszły do budynku Caritasu. Kiedy się rozglądały po obejściu w poszukiwaniu słomy, podbiegli do nich Rosjanie i chcieli je zastrzelić. W południe kobiety ze Swarzynic udały się do swych domów i wróciły stamtąd uradowane. 17 lutego był silny szron. Przed południem było spokojnie, po południu przyszli Rosjanie, wtedy to panna Paula potknęła się o wiadro i upadła. Później pan Rat chciał czymś rzucić w kota i trafił pannę Paulę w twarz. 18 lutego Rosjanie byli już z samego rana. Około 11.30 pan Rat, panna Paula, siostra Oberin i Herta Marsiske (Bogatz) poszli do komendantury. Przed pójściem wszyscy czuli się niczym zwierzyna łowna. Tam im powiedziano, że nasi ludzie mają zakopać wszystkie trupy oraz padłe bydło, ponadto posprzątać domy, a kto chce, może pozamykać drzwi i okna wychodzące na drogę. Pan Rat może także znowu odprawiać nabożeństwa w kościele. W tym czasie, gdy nie było gospodarzy, przyszło dwóch Rosjan na kontrolę. Powiedzieli, że wszystko wypadło dobrze, tylko że drzwi nie powinny być zamknięte, bo następnym razem je rozwalą. 19 lutego powrócił Linus Höptner i opowiedział, że 15 lutego Rosjanie byli już w Ochli. Dzień upłynął w spokoju. Wieczorem była mała uroczystość z powodu imienin siostry Plazentiny. 20 lutego przed południem pan Rat oraz panna Paula byli pierwszy raz w Swarzynicach u Mauschnes. Dzień spokojny, bez Rosjan. W nocy nadleciało bardzo dużo rosyjskich samolotów. 21 lutego wielki spokój. 22 lutego powrócił z Ochli Rogosch (Zeschke) i opowiedział, że stary Josef Lehmann tam umarł. 23 lutego umarł murarz i właściciel domu Josef Marsiske (Hünske). Przed południem podwórze Caritasu oraz plac przy kościele opustoszały. 25 lutego o 7.45 i o 9.45 w pokoju gościnnym odprawione zostały nabożeństwa.

Cały dzień był spokojny. 26 lutego było bardzo wietrznie i deszczowo. Po południu kościół został dokładnie posprzątan. Żadnych Rosjan. 27 lutego, zimna i wietrzna pogoda. Do końca dnia panował spokój. 28 lutego, wietrznie, ale jakby się wypogadzało. Około południa znowu zobaczyliśmy wielu Rosjan, którzy przechodzili przez wieś, ale i się w niej zatrzymywali. Około 15.00 pojawiło się dwóch Rosjan, którzy dopytywali się o „Paninka”, ale poszli dalej. Rosyjska komendantura zostaje przeniesiona do Trzebiechowa, a Hermann Marsiske (Bierwagen) zostaje mianowany przez rosyjskiego komendanta sołtysem. On musiał wkrótce dostarczyć

do Trzebiechowa personalia wszystkich mieszkańców oraz stan posiadanych przez nich zwierząt. Przez cały dzień dało się słyszeć silną kanonadę artyleryjską. Wieczorem powrócili Paul Pietsch (Wasserpietsch), Tuntke (Kaurkes), Rogosch (Franz Eckert i Bertel), Lehmann, Anna Stankiwitz, Schwarz, Radam (Kagen) i Rogosch (Jakubses). Kaurkes tymczasowo zamieszkał przez kilka dni na plebanii. 1 marca w południe przyszło na plebanię dwóch Rosjan. Zrobiło się bardzo nerwowo, ponieważ pan Rat, panna Paula oraz siostry Oberin i Cichy byli nieobecni. Tego dnia powrócili Paul Zinke i Hermann Dimke (Batschke). 2 marca w nocy była wielka burza i zawieja śnieżna. Po południu przyszły do nas kobiety ze Swarzynic i opowiedziały, że pastor Nehm z Podlegórza (Obraberg) podczas powrotu z pogrzebu został zastrzelony. W nocy z 2 na 3 marca znowu była burza i śnieżna zawieja. Dalej nic szczególnego. 4 marca po południu Anna Nowottnik (Ruske) chcąc skończyć z tą całą nędzą próbowała na plebanii się otruć. 5 marca chłodna i sucha pogoda. Rosjanie postanowili powrócić. 6 marca panna Paula zarządziła wielkie pranie. W południe przyszedł sołtys z przedstawicielem komendanta (pijanym) i jego kobietą. Potrzebowali akumulator samochodowy i oddali strzał na postrach. Po południu siostry Sigulina i Cichy przyniosły ze wsi odbiorniki radiowe. 7 marca wcześniej zaczął padać śnieg. 8 marca silny mróz, zamarzała nasza pompa. 9 marca, na całym probostwie spokój. 10 marca, pogoda wietrzna i deszczowa. O 10.00 u Bormana dają po 2 funty mięsa na głowę na tydzień, a o 15.00 po południu u sołtysa po 1 funcie chleba na głowę. Dla 20 osób 2 i ½ bochenka chleba i ¾ funta masła. Rozdział chleba odbywał się zawsze dwa razy w tygodniu u Marsiske (Bierwagen). Odkąd pojawił się polski sołtys, dystrybucja odbywała się u Zurhandke (Krakoske). 11 marca, piękna pogoda. Tego dnia po południu przyszedł do nas sołtys. Od tej pory pan Rat miał zapewnienie zaopatrzenia w żywność na 7 dni tygodnia. Po południu o 14.00 odprawiona została w kościele pierwsza droga krzyżowa. 12, 13 i 14 marca nie zdarzyło się nic szczególnego. 15 marca, piękny, słoneczny wiosenny dzień. Około 9.00 dotarło do nas zarządzenie, że wszyscy mężczyźni i kobiety w wieku od 17 do 55 lat mają się natychmiast stawić z łopatami i zapasem żywności na 7 dni do prac porządkowych w Świebodzinie. Było tam też powiedziane, że kto się uchyli od tego obowiązku, wówczas cała wieś będzie ukarana. Po południu nadeszło kolejne zarządzenie, że obowiązek prac porządkowych dotyczy także mężczyzn do 65 roku życia. Przez cały dzień było słyhać ciężkie bombardowania. 16 i 17 marca nie zdarzyło się nic szczególnego. 18 marca Karl Zurhandke (Krakoske) i kobieta mieszkająca u Palutze (Schneidemeister) zostali pogrzebani w ogrodzie. Ich ciała znaleziono pod stertą drewna. Dzień był bardzo wietrzny. 19 marca, Rosjanie napadli na budynek Caritasu, kiedy siostry go sprzątały. Na szczęście wszystkie się uratowały. 20 marca, nic szczególnego. 21 marca, w sali na górze została pierwszy raz odprawiona msza święta. 24 marca, piękna, ciepła pogoda. Wcześniej rano - wszyscy - od 14 roku życia począwszy - musieli się zameldować u sołtysa Marsiske i wraz z nim pod nadzorem komendantury w Konotopie uczestniczyć w budowie przeprawy mostowej w Milsku. Herta i Liselotte zostały także odkomenderowane. 25 marca Otto Ludwig

(listonosz) jako członek partii został aresztowany. 1 i 2 kwietnia (Święta Wielkanocne), piękna pogoda. Wcześniej rano msza rezurekcyjna w pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego. W drugi dzień świąt pozwolono tylko na nabożeństwo poranne, ponieważ później należało pracować. 3 kwietnia (3 dzień Wielkanocy) po południu spłonął dom i stajnia (Streibells) Franza Konetzke. Pożar powstał w wyniku ostrzału. 4 kwietnia wcześniej rano o godz. 3.45 w pobliżu przeprawy promowej w Milsku spadły trzy niemieckie bomby, od których 17 osób zginęło a 12 zostało rannych. Między innymi ranne zostały Herta Markwitz (pracownik biura parafialnego), Ursula Marsiske (Ukauske) i Dora Spsychalski. 8 kwietnia wszyscy bez żadnego ociągania musieli się stawić wraz z łopatami wcześniej rano o 6.00 godzinie u soltysa Schneidemeistra. Z tego powodu niedzielna msza święta była odprawiana o godz. 5.30. Zamiast sumy o 18.00 wieczorem odprawiona została msza święta z kazaniem. 9 kwietnia do wsi przyjechało furmankami wielu Rosjan po siano. 11 kwietnia pan Rat i siostra Cichy byli w Dąbrówce i Karszynie. 14 kwietnia Wudarczek przywiózł z Ochli Schmidta i rodzinę Ludwig (pochodzącą z Zawady). Schmidtowie na plebanii mieszkali przez trzy tygodnie i mieli tam opiekę. 15 kwietnia, Rosjanie świętują Wielkanoc i nie ma nas kto w pracy pilnować. 18 kwietnia (uroczystość świętego Józefa), znowu był to trudny dzień dla sióstr, bo były sprzątać w budynku Caritasu. Później przez czternaście dni tam nie chodziły. Od 15 kwietnia jako soltys urzęduje Polak Rybatscheck. 22 kwietnia Rosjanie zabrali młode dziewczyny do Trzebiechowa do pracy. Następnego dnia mogły powrócić pieszo. 23 kwietnia zostało obwieszzone, że mężczyźni z pełnym zarostem mają udać się do Trzebiechowa, by zastąpić dziewczyny w pracy. Później podano wiadomość, że niemieckie pieniądze należy wymienić do 25 kwietnia w banku w Świebodzinie na polskie złote po 500 marek na osobę (oszustwo!!!). Suma wymienionych pieniędzy wynosiła 26.132 marki (widziałam to, bo sama sporządzałam listę). W nocy z 25/26 kwietnia pojawiło się wiele samolotów. 29 kwietnia zostało przypędzonych do wsi około 50 krów. 3 maja poinformowano, że wszyscy ludzie muszą odtąd spać w domach. 6 maja Mathilde Nowottnik (kierowniczka związku kobiet) została pod nadzorem pewnego Polaka odprowadzona na przesłuchanie do Trzebiechowa a stamtąd zawieziona do Sulechowa. W tym czasie jej mąż leżał w domu martwy, gdyż tego samego dnia wieczorem zmarł. 7 maja mogła Mathilde z jeszcze jedną kobietą ze Swarzynic powrócić do domu. 7 maja w Ochli zmarła pani Kantschick. 8 maja znowu zostało zabranych ze wsi 19 sztuk bydła. 12 maja wieczorem zostało ogłoszone, że od jutra, to jest 13. 05. znowu odprawiane będą w kościele msze święte o godz. 7.00 i 9.15. Żeby choć trochę zmniejszyć przeciągi panujące w kościele, z powodu powybijanych w oknach szyb, polski soltys postanowił pozabijać otwory deskami. Od 11 do 18 maja dni były bardzo upalne. 16 maja pan Rat i Marsiske (Ukauskes) przywieźli z Nowej Soli Hertę Markwitz. 17 maja siostry pierwszy raz gotowały w domu Caritasu. 20 maja (Zielone Święta) był dla pana Rata i panny Pauli bardzo nieprzyjemny. 21 maja odbyły się tylko ciche msze święte a wieczorem krótkie nabożeństwo majowe. 20 maja zostało ogłoszone, że należy dostarczyć we wskazane

miejsce wszelkie posiadane maszyny rolnicze. 22 maja około 12.00 w południe od strony Sulechowa i Kargowej przybyło bardzo wielu polskich żołnierzy. Po Zielonych Świątach z powrotem rozpoczęła pracę gorzelnia. 23 maja żeński obóz Służby Pacy Rzeszy został wysprzątnany i zajęty przez polskich żołnierzy, a sztab zakwaterował się w nowym zamku. 25 i 26 maja maszyny rolnicze zostały przetransportowane do Sulechowa. Były to: snopowiązalki (5), młocarnie (1), sortownica ziemniaków (1), wiele kosiarek do trawy i zgrabiarek, 6 wozów mniejszego sprzętu rolniczego, wirówki do mleka. 27 maja maszyny rolnicze zostały przywiezione z powrotem (młocarni było więcej). 27 maja o 10.00 przejęcie kościoła przez Polaków. 28 maja zwrócenie kościoła przez Polaków. W tym dniu musiały kobiety i dziewczęta posprzątać szkołę. 31 maja (Boże Ciało) deszczowa pogoda. Wcześniej rano o 7.00 radosna suma, wieczorem o 18.00 nabożeństwo majowe a następnie pogrzeb Heinricha Lange. W tym roku procesja Bożego Ciała się nie odbyła. W nocy z 1 na 2 i z 2 na 3 czerwca przyjechało wielu Rosjan, którzy na ciężarówki załadowali wiele sprzętu szpitalnego i innego i zawieźli go do Konotopu na stację kolejową, gdzie został załadowany do wagonów. 5 czerwca po południu w godzinach od 17.00 do 19.30 przyjechało wielu Rosjan ze sprzętem artyleryjskim. W czasie noclegu u pani Schmidt z 6 na 7 czerwca zabrali jej ostatnie buty. 9 czerwca wielki powrót Rosjan. Od 6.30 rano do późna wieczór przejechało około 600 ciężarówek, samochodów osobowych i sprzętu artyleryjskiego. O godz. 7.00 rano zatrzymał się koło nas samochód z Rosjanami, którzy obrabowali cały nasz ogród z truskawek, a nawet z kwiatów. Oprócz 600 ciężarówek przez wieś przejechało także 50 zaprzęgów konnych należących do polskiego wojska. 10 czerwca przez cały dzień jechali Rosjanie na konnych wozach przykrytych brezentem i pędzili około 300 sztuk bydła. Od poniedziałku 11 do czwartku 14 czerwca przejechało jeszcze wiele wojskowych ciężarówek i konnych zaprzęgów. 14 czerwca Rosjanie splądrowali nasz ogród i ogród sąsiadów w poszukiwaniu truskawek. 14 czerwca powrócili Fengersowie z Karlsbad w Sudetach. 15 czerwca w sąsiedku powiesiła się z rozpacz i wskutek załamania nerwowego Margarethe Ludwig z domu Wilde. W ciągu tygodnia od 10 do 17 czerwca zostały odkryte pod stertą słomy ciała Alfonsa Splitt i Hedwig Grocholewski. 21 czerwca umarli pani dyrektor Krauze i Stattlermeister August Pilz. Rano około 7.30 przez wieś przechodził oddział 36 Rosjan z dwoma mężczyznami i jednym jeźdźcem. 26 czerwca w Klenicy zapanowało duże zdenerwowanie z powodu wiadomości o wypędzaniu. Z tego powodu nikomu nie chciało się pracować. 27 czerwca przed południem około 9.30 przyszło dwóch polskich żołnierzy i przyniosło rozkaz, że wszyscy mieszkańcy, oprócz niektórych rodzin, muszą opuścić Klenicę. Po południu około 14.30 była burza i padał deszcz, kiedy wychodziliśmy z domów. Miejsce zbiórki było koło kuźni Schulza. Przybyło wiele rodzin mieszkających wzdłuż pól i w kierunku Odry, ciągnąc za sobą różne wózki z dobytkiem. Pochód ludzi pod eskortą zmierzał w kierunku Swarzynic, a dalej już bez eskorty w kierunku Borku. 29 czerwca to samo dotyczyło Bojadel, skąd na początku ludność szła pod eskortą w kierunku Cigacic, a dalej już bez niej w stronę Zielonej Góry za Nysę Łużycką. W czasie wędrówki bardzo niewielu udało

się uciec. Bojadła w większej części zostały zajęte przez Polaków. 1 lipca przechodzili mieszkańcy Kolska i okolic, udając się w stronę Swarzynic. 29 czerwca przed południem u pana Rata byli Rosjanie, by mu zabrać kawalerkę, ubrania, bieliznę itd., ponadto bieliznę pani Radam, Dobkowitz i Tuntke (Karkas). Po południu wynieśli także pianino panny Pauli. 2 lipca wczesnie rano powrócili klenicycy wypędzeni z Borku. Celem wypędzenia było splądrowanie i ograbienie domów z tego, co w nich jeszcze było. Wieczorem 2 lipca ogłoszono, że z powrotem można nocować w domach. 4 lipca znaleziono 2 bomby, jedną o 13.30 a drugą o 18.00. 6 lipca przybyło do wsi wielu ukraińskich robotników, którzy zostali ulokowani w domu Jozefa Hübnera (Moder) i Gärtnera.¹⁷

Poszukując informacji o dawnych mieszkańcach naszej wsi, dzięki przypadkowi poznałem Markusa Vogta z Tübingen z kraju związkowego RFN Badenia - Wirtembergia. Ten młody absolwent wydziału filozofii miejscowego uniwersytetu któregoś dnia w lipcu 2012 roku odwiedził Karszyn. Przyjechał, a właściwie dźwigając plecak przyszedł z Kargowej, by zobaczyć wieś, w której do 1945 roku mieszkali jego pradziadkowie - Weronika i Josef Ludwigowie i skąd po wojnie wraz z innymi karszyniakami zostali wysiedleni.



Rodzina Ludwигów, 1934 r. Najwyższa w środku - Maria Ludwиг, ubrani na czarno rodzice - Weronika i Josef.

¹⁷ KPK. (17 stron tekstu najprawdopodobniej spisane przez jedną z zakonnice z miejscowego Caritasu przetłumaczone z języka niemieckiego na polski. Osoba nazywana panem Ratem to najprawdopodobniej ksiądz dziekan Ludwиг Wolny.)



Maria Vogt z d. Ludwig z synami
Norbertem i Friedhelmem,
Karszyn 1943 r.

W 2004 roku o przeżyciach tej rodziny opowiedziała mu jego babka Maria Vogt z domu Ludwig. Jej wspomnienia kiedyś zarejestrował i obecnie mi udostępnił. Dzięki nim możemy poznać przeżycia jednej z karszyńskich rodzin w ostatnich miesiącach wojny oraz po jej zakończeniu.

- „To było 24 stycznia 1945 roku, kiedy moja mama miała urodziny. Mieszkaliśmy wtedy na wsi. Nie pamiętam, która to mogła być godzina, gdy usłyszeliśmy dzwonięcie, które zwykle poprzedzało ogłaszane mieszkańcom komunikaty. Zaraz potem dotarło do nas, że to już dziś w nocy. Rzeczywiście około godz. 24.00 wraz z trojgiem malutkich dzieci, ciągnąc ręczny wózek udaliśmy się na drugą stronę Odry.

- I cała wieś wtedy szła?

- Tak, cała wieś. Tam było więcej podobnych wózków. Ciągnąc je, szliśmy w stronę

Świdnicy. Nie wiem czy to było miasto, ale było to już za Odrą. Tam przyjęli nas obcy ludzie. Oni byli przekonani, że Rosjanie za Odrę nie dotrą. A tymczasem po ośmiu dniach już byli u nas w Świdnicy, za Odrą. I pytali nas, kim jesteśmy oraz skąd się tam znaleźliśmy. Mieli z sobą tłumacza. Jedni mówili, że stąd, inni, że stamtąd, a my, że z Karszyna. Wtedy nam oznajmili, że mamy wrócić tam, skąd przyszlismy. Później musieliśmy tę samą drogę pokonać z powrotem, do naszej ojcowizny. Musieliśmy się stamtąd wynieść. Powrót do domu zajął nam trzy dni. A kiedy dotarliśmy na miejsce - wiesz co ujrzeliśmy? Koczujących Rosjan. Wokół pełno było potłuczonego szkła ze słoików po kompotach i warzywach. Były one porozbijane o ściany. Wszystko było kompletnie przemoczone, stapało się po wszechobecnych skorupach potłuczonych naczyń i...

- Oni nie mieszkali w domu? Rosjanie nie chcieli w nim mieszkać?

- To byli żołnierze. Oni czasem strzelali do ludzi, którzy powracali z wózkami, i chcieli zamieszkać w swoich domach. Później mieliśmy bardzo dużo sprzątanina. To było w marcu. W styczniu opuściliśmy nasz dom, a w marcu wróciliśmy z powrotem. Później ludzie rozmawiając stale narzekali, że nie powinni byli tam tak długo zostawać. Nie mogłam pojąć, gdzie zatem powinniśmy być. Później było jeszcze gorzej. Najpierw pobierano od nas pieniądze, co najmniej po sto marek od osoby, ale nie wiedzieliśmy, w jakim celu. Podobno żołnierze mieli wymienić marki na złote albo coś takiego. 1 lipca, tego dnia było bardzo gorąco, przyszedli do wszystkich naszych domów i powiedzieli, że mamy pół godziny na opuszczenie domu i że wolno nam zabrać ze sobą do 10 kilogramów rzeczy na osobę. W jednej chwili stałam się kłębkim nerwów. Pół godziny. Rozumiesz? Dzieci spały. Najmłodsze miało 11 miesięcy. Eberhard, później zmarł. Następnie musieliśmy

wszyscy się zebrać na początku wsi. Mieliśmy psa, był to owczarek, którego ojciec odwiązał. Ponieważ szczekał na żołnierzy, toteż kiedy przyszli, strzelili do niego. Pobiegł potem do pobliskiego lasu i już nie wrócił. Pewien mężczyzna, z którym była sparaliżowana kobieta, mieszkał zaraz naprzeciwko. On był emerytowanym urzędnikiem. Kiedy przyszli żołnierze, prosił, klękając na kolana, żeby mogli pozostać, gdyż jego żona nie może chodzić. Żołnierze jednak, popychając kolbami karabinów, poprowadzili go do pozostałych oczekujących. W tym czasie mężczyzna ów opierając się wzywał pomocy. Zza okna natomiast dochodził głos wołającej go jego żony, która krzyczała: proszę, proszę¹⁸. Później musieliśmy iść w kierunku Kargowej. Ta okolica jest ci nieznana. Kargowa należy już do Brandenburgii. Zbliżaliśmy się do granicy. Byliśmy jednak jeszcze na Śląsku.

- Było to już za Odrą?

- Nie, nie, to się nie działo za Odrą. Tam znaleźliśmy się później. Tam dopiero musieliśmy dojść. Rozumiesz? Dojść do – jak się to nazywało? – Pod Cottbus, ale ta miejscowość nazywała się inaczej. Tam także byli polscy żołnierze. Były tam też jakieś koszary. W pewnym momencie podszedł do mnie jeden żołnierz, Polak, i zapytał, czy to są moje dzieci. Odrzekłam mu, że tak. Usłyszawszy moją odpowiedź powiedział, że jeśli tam zostanę, zatroszczy się o nas, żebyśmy mieli co jeść. W tym czasie nie mieliśmy już nic do jedzenia. A ja nic nie zrobiłam. Rozumiesz? Nie zostałam u niego. Później razem z innymi wędrowałam dalej. Tak więc koło Cottbus, to była Nysa, tam przeszliśmy na drugi brzeg.

- Ile osób was było?

- Niektórzy w międzyczasie powiesili się w lesie. To byli starzy ludzie, którzy nie mogli dalej iść. Ile? Może było nas ze czterysta osób. Ale później było nas już mniej. Jednak dokładnie nie wiem ilu. A później szliśmy dalej. Po jakimś czasie znaleźliśmy się pod Berlinem, w Dabendorf, gdzie umarł Eberhardt. On umarł właściwie z głodu. Wprawdzie pewna kobieta dała mi dla niego mleko. Ona miała dojną krowę i mi powiedziała, żebym dała dziecku mleka. Kiedy to zrobiłam, dostało silnej biegunki i już nie dało się go uratować. Eberhardt miał 11 miesięcy i umarł z głodu. Później pochowaliśmy go w Dabendorf blisko Berlina. Później było nas coraz mniej. Niektórzy, co nie mieli dzieci, mogli niekiedy pozostać u okolicznych rolników. Ci bowiem potrzebowali ludzi do pomocy. Mnie jednak z trójką dzieci nikt nie chciał. A mój ojciec także był już stary. Co to znaczy stary? – 60 lat. Wtedy dla mnie był stary, bo ja miałam 24 lata. A dzisiaj 60 lat to właściwie żadna starość. Potem właściwie bez zatrzymywania się szliśmy dalej. Wędrując, spotykaliśmy życzliwych ludzi. Najczęściej musieliśmy spać w stodołach albo w stajniach. Pewnego razu spotkaliśmy bezdzietne małżeństwo. Oboje zwrócili się do mojej mamy, by pozostawiła im swoją córeczkę Lucie. Ona miała wtedy 11 lat. Będzie jej u nas dobrze – mówili. Nie powinniście mieć wyrzutów sumienia, bo chcemy dla niej dobrze. Wówczas mama spytała: Lucie, chcesz tutaj zostać? Zostaniesz z państwem czy wolisz dalej iść z nami? I się rozplakała. Po tym wszystkim nadal byliśmy razem.

18 W liście nadesłanym 14.08.2012 r. Markus Vogt napisał, że ów mężczyzna popychany karabinowymi kolbami nazywał się Michulitz. Wcześniej był poraniony przez rosyjskiego żołnierza.

Potem znowu szliśmy dalej i coraz to bardziej nas ubywało. W końcu doszliśmy do Brook w Meklemburgii. Brook w pobliżu Lyps. Nie wiem czy wiesz, gdzie to jest. Większe miasto nazywa się Lyps. Przez jakiś czas zostaliśmy tam, bo Friedhelm nie mógł dalej iść, gdyż podeszwy jego butów całkiem się przetarły. Później szedł już tylko boso. Od kiedy pozostawiliśmy Eberharda na cmentarzu, Norbert jechał na wózku. On miał dopiero dwa lata. Po drodze stale spotykaliśmy Rosjan, którzy zaglądali do wózka, by zobaczyć, co w nim mamy. Oczywiście brali z niego, co tylko chcieli, moją portmonetkę ukradli także. Byłam zupełnie bez grosza, a trzeba było zapłacić za pogrzeb. Zrobiła to za mnie moja matka. Co jeszcze powinnam opowiedzieć? Gdy dotarliśmy do Brook koło Lyps, zatrzymaliśmy się w obozie dla przesiedleńców. Tam była duża sala taneczna, do której na posprzątaną podłogę naniesiono słomy. Na niej spaliśmy. Tam razem mieszkali ludzie, którzy pochodzili z różnych stron: z Pomorza, Prus Wschodnich, tylko nie z naszej wsi. Była tam też część wydzielona dla starszych ludzi. Obok mnie jednego razu umarła kobieta, a kilka dni później w innej części sali umarł jej mąż. Z tym starszym małżeństwem była też ich córka. Później ona ...

- Jak długo przebywaliście w obozie?

- W obozie? Przebywaliśmy w nim od września do lutego. Tam ludzie, zarówno dorośli jak i dzieci, umierali jak muchy. Tam nie było nic do jedzenia. Posiłki musieliśmy sobie organizować sami. We wrześniu ojciec, a później także i inni ludzie chodzili kopać ziemniaki. Później także chodzili szukać, czy gdzieś na polach jeszcze jakieś nie pozostały. Takie właściwie było nasze życie. Kartofle mieliśmy. Ojciec wraz z jeszcze dwoma mężczyznami zbudował z cegieł piec. Odtąd było już na czym gotować ziemniaki. [...]

Wprawdzie mieliśmy jeden garnek, ale ten miała mama. Było już jednak z czego jeść. Później dorośli jedli, co tylko się dało, nawet ślimaki. Jak więc widzisz, było źle. A tu jeszcze Friedhelm sobie przypominał, że 8 września ma urodziny. I – nie pamiętam już dokładnie jak to było – postanowiłam na tę okazję ugotować budyń. Był on jednak niesmaczny, ponieważ to nie był żaden budyń. Była to raczej zwykła papka z mąki. Ponadto przypominał sobie, że to są siódme urodziny. Musisz też wiedzieć, że nie mieliśmy się jak umyć. Bez mycia jakoś się żyło. Ale potem musieliśmy oczywiście walczyć z wszami. Wszyscy potem wzajemnie się odwszawialiśmy. W tym czasie często zdarzało mi się płakać. Miałam wtedy wrażenie, że mój Eberhardt mówił wtedy do mnie: dlaczego płaczesz, ja byłem pierwszy, ale my wszyscy musimy umrzeć. Tak nie możemy żyć. Tak było. Lucie była wtedy jeszcze dzieckiem i trochę się ze mną droczyła. Możesz ty sobie wyobrazić, jak to było. Sądzę, że ludzie podczas wojny, stale przeżywają to samo. W pobliżu mieszkał piekarz, do którego ojciec często chodził żebrac o chleb. Zawsze też stamtąd przyniósł jakiś mały chlebek albo mąkę. Pewnego razu wyprosił jakąś mąkę, którą piekarz wsypał mu do małego woreczka. Pilnował go tak, że nawet spał, mając go w słomie pod głową. Rano mąki nie było. Wyobrażasz sobie, co ludzie wtedy oglądali i słyszeli. Tak było źle. Potem było Boże Narodzenie. Wysłaliśmy Lucie i Friedhelma na żebry, ponieważ dorosłym nie chciano nic dać. One poszły ze skarpetami. Rozumiesz? Tak

jak ty teraz w domu wieszasz skarpetę na prezenty. Oczywiście nie wyglądało to tak jak dzisiaj. Nie wszędzie zostały wpuszczone do domu, ale pewna kobieta dała im w małym słoiczku po musztardzie wątrobiankę. Rozumiesz, była po świniobiciu. Przykazała jednak, by nikomu o tym nie mówiły, że dostały coś do jedzenia na Wigilię. Piekarz podarował nam bochenek chleba a rzeźnik przyniósł trochę kielbasy. Rozumiesz? W ten sposób mieliśmy w Boże Narodzenie chociaż trochę jedzenia, które podarowali nam dobrzy ludzie... ”¹⁹

O swoim dzieciństwie spędzonym w Karszynie oraz o czasie wojny, na który ono przypadło, opowiedział mi Helmut Bratke mieszkaniec powiatowego miasta Herzberg w Brandenburgii. Ten dziś ponad osiemdziesięcioletni mężczyzna podzielił się wiedzą na temat jednej ze znajdujących się we wsi kapliczek. Ceglana, z datą 1857, stojącą po lewej stronie drogi na obecnie trzeciej posesji, patrząc od strony Siadczy, wybudował jego pradziadek, kiedy urodził mu się syn Hermann. Cieszył się z potomka, bo gospodarstwo, na którym pracował, miało następcę. Urodziny syna uczcił właśnie w taki sposób, gdyż – jak mówi pan Helmut – jego rodzina zawsze była katolicka. Na moje kolejne pytanie, czy słyszał o jakichś sytuacjach niebezpiecznych, dziejących się w Karszynie w czasie ostatniej wojny - mój rozmówca opowiedział o wydarzeniu, jakie jego rodziców w 1943 roku postawiło przed dylematem wyboru. Było to w czasie, kiedy ojciec Paul przyjechał z frontu na urlop. Z rana oboje rodzice jak zwykle krząkali się po obejściu. Ojciec akurat poił konie, matka zaś poszła na pobliską łąkę do stogu po siano dla krów. Po chwili jednak wróciła na podwórze, prowadząc za sobą jakiegoś mężczyznę, który nocował w sianie. Po nędznym ubiorze przypominającym wojskowy mundur i dawno niegolonej twarzy nietrudno było poznać, że jest zbiegiem z jakiegoś obozu jenieckiego. Nie był Francuzem, jak pracujący w miejscowym leśnictwie jeńcy wojenni, bo mundury tych były inne. Nie był też Polakiem, bo ten język obojgu rodzicom pana Helmuta nie był obcy, gdyż w Karszynie się go słyszało. Zapytany kim jest, odpowiedział, że jest Rosjaninem i że zaraz sobie pójdzie. Prosił tylko, pokazując gestem na usta, o coś do jedzenia. Sytuacja była niecodzienna i niebezpieczna. Za pomoc zbiegowi, w dodatku wrogowi Rzeszy, groziły surowe sankcje. O wszystkim zdecydował ojciec. Wskazał na drzwi mieszkania i dał do zrozumienia, by nieznajomy wszedł. Za nim podążyli oboje rodzice. Była to pora śniadania, więc wraz z przybyszem zjedli je w milczeniu i zaraz potem uciekinier usłyszał, że gospodarz musi powiadomić władze o jego znalezieniu. Rosjanin zrozumiał, co mówił do niego ojciec pana



Helmut Bratke.

¹⁹ Wspomnienie Marii Vogt, byłej mieszkanki Karszyna, zmarłej w 2007 roku w Tübingen (RFN). (Nagranie w posiadaniu autora.)

Helmuta. Prosił tylko o jedzenie na drogę i otrzymawszy trochę chleba i coś tam jeszcze, wyszedł. Dopiero po jakimś czasie Paul Bratke udał się do Hugo Vogta, który należał do SA i był we wsi Ortsgruppenleiterem, i powiadomił go o niecodziennym gościu. Reakcją na owo doniesienie były słowa:

- To dlaczego go nie zatrzymałeś? Jesteś przecież żołnierzem i dobrze wiesz, że to był twój obowiązek.

- A jak miałem to niby zrobić? – odrzekł gospodarz. Ja nie posiadam broni, a ty ją masz. To ty powinieneś zareagować po tym, jak cię powiadomiłem.

Powiedzawszy to zawrócił się i udał się w stronę domu. Nie wiedział, co się stanie dalej. Ale był przynajmniej pewien, że na niego nikt nie doniesie władzom, że pomagał zbiegowi, za co była przecież kara. Przyjazd Vogta do Bratków nie wiadomo czemu trwał dość długo. Kiedy się jednak już pojawił, to po przybyciu nie było już żadnego śladu. Takie zachowanie pozwoliło skutecznie oddalić się owemu Rosjaninowi od wsi.

Mój rozmówca powiedział także, iż był jeszcze jeden przypadek odkrycia zbiegów. Zdarzył się on niedaleko gospodarstwa rodziców, a dokładnie na terenie części dawnego folwarku, należącej do rodziny Schopp. Tym razem dwóch jeńców rosyjskich nocujących w stodole odkryły dzieci. Zobaczywszy obcych, pobiegły poinformować o tym rodziców. Nieproszeni goście nie czekali na dalszy rozwój wypadków, tylko czym prędzej uciekli do pobliskiego lasu. Tym razem także powiadomiono władze. Na szczęście nie udało się nikogo schwytać.

Po takim zachowaniu karszynian, zarówno zwykłych ludzi, jak i funkcjonariuszy państwowych, można sądzić, że nie byli zbyt gorliwi w przestrzeganiu obowiązującego prawa. Bo co można myśleć o księdzu, który wbrew zaleceniom władz nie zabrania przychodzić na niedzielne nabożeństwa robotnikom przymusowym z Polski albo o będącym na urlopie żołnierzem, który widząc zbiegłego jeńca wojennego, wroga, nie wykazuje gorliwości w jego schwyтaniu? Czemu wymieniany Hugo Vogt, SA-man, nie śpieszy się z wypełnieniem obowiązku zatrzymania zbiega i w ten sposób przyczynia się do jego ucieczki? Co można pomyśleć o sytuacji, kiedy pani Franciszka Chmiel nosi do pobliskiego lasu kankę z zupą dla robotników przymusowych z Polski? Czy nikt tego nie zauważa? Rzeźnik Kadach, członek NSDAP, pozwalając Chmielowej zabierać kości na zupę, nie zastanawiał się, czemu robi to tak często? I jeszcze jedna rzecz. Karszyniaci wiedzieli, że jedyny we wsi piekarz - stary Hermann Mätzschke, ewangelik, i jego rodzina, spożywają posiłki wspólnie z ich robotnikiem przymusowym z Ostrowa Wielkopolskiego – Władysławem Dymalskim. Nie wiedzieli, że prawo tego zabraniało? Tacy również byli karszyniaci w czasie ostatniej wojny. Tak podsumował tę część odpowiedzi na moje pytanie pan Helmut Bratke.

Korzystając z faktu, iż mój rozmówca chętnie dzielił się swą wiedzą na temat interesujących mnie spraw z przeszłości Karszyna, poprosiłem go, by opowiedział o tym, jak wraz z bliskimi opuszczał wieś, w której jego rodzina mieszkała od pokoleń. Pan Helmut bez wahania zaczął opowieść od tego, że oboje jego dziadkowie, rodzice oraz on wraz z dwoma młodszymi braćmi opuszczali swe gospodarstwo dwa razy. Pierwszy raz pod koniec stycznia 1945 roku wyjechali ciągniętym przez dwa konie wozem do Świdnicy koło Zielonej Góry. Tam

przebywali około sześciu tygodni. Potem rodzice wahali się, czy - podobnie jak to robili inni - wracać do Karszyna, czy jechać w głąb Niemiec. Wybrali to drugie i konnym zaprzęgiem podążyli w kierunku południowo – zachodnim, aż na dłużej zatrzymali się w pobliżu Chemnitz, w gospodarstwie prowadzonym przez jakieś bezdzietne małżeństwo. Kiedy w maju skończyła się wojna, dziadek koniecznie chciał wracać do Karszyna na swoje śmieci. Z pewnym oporem, ale w końcu się na to zgodził ojciec pana Helmuta. Ruszyli w drogę powrotną. Kiedy po kilku dniach znaleźli się nad Odrą w pobliżu Klenicy, dziadek pieszo wyruszył do Karszyna, by sprawdzić, czy jest tam bezpiecznie. Następnego dnia wrócił z wiadomością, że można spokojnie jechać dalej. Jeszcze tego samego dnia konie stały w znajomej stajni, a mama krzątała się po swojej kuchni. W tym miejscu pan Helmut przerwał na chwilę opowieść, by zaraz potem ją kontynuować. Powiedział, że przesładuje go pytanie: *Dlaczego ojciec wtedy przystał na nalegania dziadka i wrócili, zamiast pozostać pod Chemnitz lub jechać dalej na zachód? Gdyby pojechali dalej, uniknęliby wszystkich cierpień związanych z ponownym wysiedlaniem.*

Pan Helmut powiedział bowiem, że w kilka tygodni od powrotu do domu należało ponownie go opuścić, tylko że tym razem w zgoła innych okolicznościach. Stało się to ostatniego dnia czerwca albo pierwszego lipca. Jego opowieść o wypędzaniu z Karszyna podobna była do tej, którą przytoczyłem wcześniej, a dotyczyła rodziny Marii Vogt. W szczegółach się jednak różniła. Bratkowie mieli jedną przewagę nad wielu innymi karszyniakami. Opuszczali rodziną wieś w komplecie. Byli oboje rodzice. Ojciec po odniesionych na froncie kontuzjach w 1943 roku został zdemobilizowany. Oboje dziadkowie nie wymagali jeszcze opieki. Młodszy bracia byli już niemal samodzielni. Dziadek Hermann, rozumiejąc, że jest trochę winny za obecną sytuację, na wiadomość, że niewiele mogą z sobą zabrać, przygotował taczkę, którą potem pchał aż do samego Berlina. By sobie ulżyć, zrobił rodzaj puszorku, który przełożył nad karkiem i oboma końcami przywiązał do dwu rękojeści. Nie narzekał w drodze, choć miał już siedemdziesiąt lat. Koni i wozu zostali pozbawieni już wcześniej, dlatego nie mieli dylematu, kto będzie się nimi zajmował. Opuszczających wieś nikt nie żegnał. Szli pod eskortą uzbrojonych żołnierzy. W pobliżu drewnianego mostu na Obrzycy pod Kargową zdarzyło się coś, co pan Helmut zapamiętał na resztę swego życia. Nie wie dlaczego, ale trzech żołnierzy odłączyło go od całej grupy i kazało stanąć na poboczu drogi. Gdy to uczynił, oddalili się około dziesięciu kroków od niego i zaczęli przeładowywać karabiny. Kiedy to zobaczyły matka, babka i kuzynka – Antonia Munko, wybiegły z kolumny i stanęły pomiędzy żołnierzami a opowiadającym to zdarzenie. Ocaliły mu wtedy życie. Ubrani w mundury mężczyźni wszystkim czworgu kazali dołączyć do kolumny.

Mój kolejny rozmówca to Alfred Pinetzki. Miał dziesięć lat jak wraz z matką Marią z domu Patschontek oraz dwoma braćmi – 13 letnim Helmutem i 16 letnim Erwinem w trzecim tygodniu stycznia 1945 roku ewakuowali się do Świdnicy. Z tego czasu niewiele pamięta poza tym, że kiedy do miasteczka dotarli Rosjanie, wówczas wielu karszynian zdecydowało się na powrót do swych domów.



Alfred Pinetzki

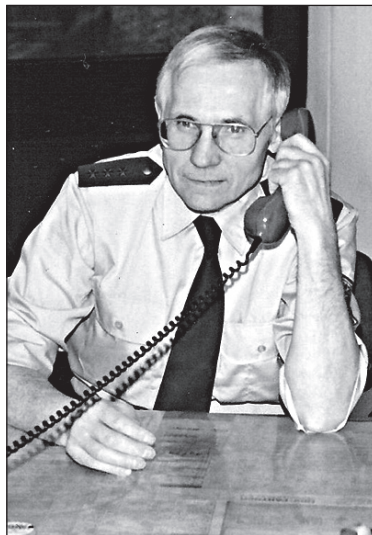
Oni natomiast postanowili wędrować dalej na zachód. Pierwszą miejscowością, w której na jakiś czas się zatrzymali, był Großröhrsdorf w pobliżu Drezna. To miejsce utkwilo mu w pamięci, gdyż tam 22 lutego obchodził swoje dziesiąte urodziny. Nie pobyli tam długo, gdyż takich jak oni było wielu, a pracy w tym czasie brakowało. Kolejnym miejscem, do którego zawędrowali, było leżące już w Bawarii Bayreuth, a następnie znajdujące się niedaleko Bindlach. To tutaj po wielu tygodniach od opuszczenia rodzinnej wsi zamieszkał mój rozmówca wraz ze swymi bliskimi. Stąd też 6 sierpnia 2012 przyjechał do swych krewnych mieszkających we wsi jego dzieciństwa – Karszynie. Na moją prośbę chętnie opowiadał o beztróskim czasie tutaj spędzonym. Szczególnie sympatycznie wspominał wspólne zabawy

z kolegami w okolicznych lasach. Zapamiętał także postać mieszkającego na plebanii księdza Weckera jako katechetę, u którego na lekcjach religii było cicho jak makiem zasiał. Ten kapłan, kiedy chciał uciszyć rozkrzyczaną dzieciarnię, potrafił głośno gwizdnąć na palcach, wskutek czego momentalnie wszyscy milkli. Przypomniawszy sobie, że za czasu jego dzieciństwa inaczej niż dziś wyglądała droga wiodąca przez wieś. Połowa jej szerokości była utwardzona tłuczniem. Druga połowa była gruntowym traktem, który służył do pędzenia bydła. Po jednej stronie drogi, tej zachodniej, znajdował się chodnik, który od jezdni oddzielał granitowy krawężnik. Wzdłuż drugiej krawędzi chodnika rósł rząd drzew jabłoniowych. Taki sam rząd jabłoni rósł po przeciwnej stronie drogi. Tam też znajdował się rów służący do odprowadzania wody z powierzchni jezdni. Wzdłuż rowu, ale od strony bruku znajdował się rząd około metrowej wysokości betonowych, pomalowanych na biało słupków. Ze spraw poważniejszych przypomniał sobie, co mówiono w jego domu, gdy w czasie wojny jednego razu u wujka Johanna Pinetzkiego odbyła się kontrola w sprawie zatrudnionego robotnika z Francji o imieniu Jacek. Nie wiadomo skąd, ale kontrolujący wiedzieli, że ów robotnik spożywa posiłki razem z rodziną go zatrudniającą. Nie podobało się to urzędnikom, którzy w bardzo stanowczy sposób upomnieli gospodarzy, że prawo wyraźnie tego zakazuje. Nie chcieli słuchać tłumaczenia, że pomoc robotnika jest bardzo potrzebna i że dzięki jego pracy wszyscy na tym zyskują, a wspólne jedzenie tylko ułatwia sprawy organizacyjne. Przypomniawszy też zdarzenie, o którym usłyszał kilka lat po wojnie od rodziny Pohl. Jego bohaterem był pewien niemiecki żołnierz, a działo się pod koniec zimy. Otóż ów wojskowy od czasu dotarcia w te strony Rosjan ukrywał się w okolicznych lasach. Miał odmrożone nogi i któregoś wieczoru z trudem przyszedł do rodziny Pohlów, mieszkającej pod lasem, nieopodal byłej fabryki cygar. Powstała kłopotliwa sytuacja, bo w połowie domu mieszkali już jacyś Polacy. Ponieważ potrzebna była pomoc medyczna, toteż Klara Pohl (ta sama, którą wcześniej postrzelili Rosjanie

w czasie wchodzenia do Karszyna) z pomocą jeszcze kogoś innego zawiozły owego żołnierza ręcznym wózkiem do lazaretu w Kargowej. Tam udzielono mu pomocy na tyle, że po jakimś czasie wrócił do Karszyna, skąd pod koniec czerwca wraz z innymi musiał opuścić tę wieś. Wspominając to zdarzenie, pan Alfred stwierdził, że Polacy mieszkający u Pohlów, wiedzieli o owym żołnierzu. Nie donieśli jednak na niego ani na pomagających mu gospodarzy obecnym we wsi Rosjanom. Być może dzięki temu przeżył i później mieszkał w NRD.

By posłuchać wspomnień innego mieszkańca Karszyna, udałem się do Charlottenburga, zachodniej dzielnicy Berlina. Moim rozmówcą był urodzony w 1928 roku pan Karl Poppmann.

Rodziną wieś wspominał z dużym sentymentem. Opowiadając o niej, powtórzył to, co usłyszałem wcześniej od innych osób. Mówił o energicznym księdzu Weckerze, przed którym zachowywali respekt służący do mszy ministranci, o nauczycielu Seewaldzie, grającym w kościele podczas nabożeństw na fisharmonii. Przypomniał, jakie uroczystości we wsi świętowano. Były to: Boże Narodzenie, Trzech Króli, Wielkanoc, Wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa, Zielone Świąta, Boże Ciało, wiejskie dożynki. Mój rozmówca powiedział, że jego ojciec zmarł w 1936 roku, dlatego wraz z bratem często bywali w gospodarstwie mieszkającego nieopodal stryja Augusta Poppmanna, który od początku lat 20. do 1933 roku pełnił we wsi funkcję sołtysa.²⁰ To za jego kadencji przy kościele zostały wybudowane wieża, prezbiterium i zakrystia. We wspomnianym wyżej roku przestał być sołtysiem, gdyż mając chadeckie poglądy, nie pasował do nowej narodowo-socjalistycznej rzeczywistości. Po nim funkcję przedstawiciela wsi przejął Friedrich Lehmann. Na moje pytanie o organizacje skupiające młodzież odpowiedział, że wtedy naturalną rzeczą było – jeśli chodzi o chłopców - należeć do Hitlerjugend, natomiast dziewczęta były zorganizowane w Bund Deutscher Mädel.²¹ W obu przypadkach członkostwo w organizacji było obowiązkowe, chociaż wymagało także zgody obojga rodziców. Co zaś tyczy się Karla Poppmanna, jako pól sieroty, wystarczyła tylko zgoda matki. Opiekunem karszyńskich chłopaków należących do tej organizacji był ktoś z Klenicy. Niestety, nazwiska tego mężczyzny już dziś nie pamięta.



Karl Poppmann jako komisarz policji w Berlinie Zachodnim

²⁰ Gospodarstwo Augusta Poppmanna obecnie jest własnością państwa Bartochów. Ciekawostką jest, że po wojnie w tej posesji także zamieszkiwał sołtys. Był nim Ignacy Śmiałek. (Przypis autora)

²¹ Sz. Wrzesiński w publikacji *Tajemnice III Rzeszy Hitlerjugend na Śląsku* na stronie 30. pisze, że kwestię przynależności do organizacji młodzieżowych rozstrzygała ustawa o Hitlerjugend z 1 grudnia 1936 roku.

Jeśli chodzi o życie codzienne w Karszynie, mój rozmówca niewiele potrafił powiedzieć poza tym, że ludzie na ogół żyli skromnie. Nie widziało się – mówił - wyraźnych oznak zamożności. W jego rodzinie pieniądze były ze sprzedaży nabiału pochodzącego od trzech krów. Masło, twaróg, śmietanę i mleko matka sprzedawała w niedalekiej Kargowej. Trochę pieniędzy przynosił do domu starszy brat, który uczył się w szkole rolniczej, ale w wolnych chwilach pomagał przy pracach murarskich. W 1942 roku Karl Poppmann rozpoczął naukę w szkole przyzakładowej w Zielonej Górze, gdzie przygotowywał się do zawodu elektryka. Jego plany zawodowe – jak mówił - przerwał rozkaz, który dotyczył młodzieńców z Hitlerjugend, urodzonych w 1928 roku. Dostał powołanie do wojska. Wtedy poraz ostatni przebywał w Karszynie, gdzie wraz z matką Martą spędził Boże Narodzenie. Od stycznia 1945 roku był już w Wehrmachcie. Kiedy spytałem go o wspomnienia z tego czasu, to jest o pobyt na froncie, nie zastanawiając się, odrzekł stanowczo, że ten czas dawno temu wymazał z pamięci i nie chce do niego wracać. Nie nalegałem więc na to. Spytałem zatem, gdzie zastał go koniec wojny i jakie towarzyszyły temu okoliczności. Powiedział, że było to w Czechach. Podobnie jak całe zgrupowanie liczące około 60 tys. żołnierzy, także jego oddział znalazł się w okrążeniu amerykańskich wojsk pancernych. Zapamiętał, że z każdej strony otaczały ich czołgi. Dostali polecenie, by odrzucili broń, jeśli chcą się poddać i wrócić do ojczyzny. Gdy to uczynili, zrozumiał, że przegrali wojnę i wtedy się rozplakał. Dodał również, że Amerykanie nie dotrzymali słowa, bo po załadowaniu ich na ciężarówkę, powieźli w kierunku Pragi. Tam przekazali Rosjanom. Potem – jak mówił – wraz z około 0,5 mln innych niemieckich jeńców wojennych przebywał w ogromnym lesie, otoczonym zasiekami z drutu kolczastego. Pilnowali ich rosyjscy żołnierze. Po około miesiącu wraz z kilkoma kolegami uciekł stamtąd. Potem w ubraniu zabranym napotkanemu w polu strachowi na wróble po wielu dniach wędrówki bezdrożami dotarł do Austrii. Dodał jeszcze, że jego brat również dostał się do rosyjskiej niewoli. Mając skończoną szkołę rolniczą, będąc jeńcem, pracował w kolchozie jako agronom.

Kiedy zapytałem go o pozostawioną w Karszynie matkę, zobaczyłem, jak najpierw zaszkliły mu się oczy, a zaraz potem powiedział, że umarła podczas ucieczki z rodzinnej wsi. Od innych byłych karszynian wie, że została pochowana w zbiorowym grobie, tylko nigdy się nie dowiedział gdzie.

Na jedno z moich ostatnich pytań – od jak dawna jego rodzina mieszkała w Karszynie? – nie potrafił odpowiedzieć. Dodał jedynie, że oprócz dwóch innych – Bratke i Petras – zaliczana była do najdłużej tu żyjących. Podobno jego przodkowie przybyli w te strony w czasie tzw. osadnictwa olenderskiego.

Pan Karl Poppmann po wojnie najpierw pracował jako robotnik. Później, w 1953 roku, kiedy miał już na utrzymaniu troje dzieci, przeniósł się do pracy w policji. W niej dosłużył się stopnia nadkomisarza. Przed przejściem na emeryturę, był wyższym inspektorem policji berlińskiej, gdzie odpowiadał za zabezpieczenie w sprzęt.

Nowi mieszkańcy

Rok 1945 był dla dawnych i dopiero przybywających mieszkańców Karszyna z wielu względów wyjątkowo trudny. Poczucie bezpieczeństwa nieco się polepszyło, kiedy we wsi pojawił się przedstawiciel władzy, to jest sołtys. Było już teraz komu się poskarżyć, a także miał kto pilnować porządku. Wspierali w tym sołtysa robotnicy przymusowi, bo znali teren, ludzi i nierzadko mieli zdobyczną broń.

W ten sposób jeszcze niedawno niewolnik, Polak Jan Kojs został pierwszym powojennym sołtysem Karszyna. Zarówno on, jak i inni nie z własnej woli przebywający w Niemczech w tym czasie, wiedząc, że odtąd tutaj będzie Polska, postanowili nie wracać do miejsc, z których przybyli. Tym bardziej, że w Karszynie były opuszczone przez dawnych właścicieli zagrody i nic nie wskazywało na to, że ktoś do nich powróci. Spośród zwykłych obywateli nikt jeszcze nie wiedział, co wielcy tego świata – przedstawiciele zwycięskich mocarstw – postanowili na konferencji w Jałcie w lutym 1945 r. oraz o czym przesądzą po zakończeniu walk podczas kolejnej konferencji. Tak więc karszynianie oraz mieszkańcy innych okolicznych wsi zdani byli na wspaniałomyślność obecnych zwycięzców i przybyszów, których z każdym dniem pojawiało się więcej.

W dużo trudniejszym położeniu znalazła się miejscowa ludność, kiedy w początkach lata już było wiadomo, że zarówno ta, jak i wiele innych wsi na pewno wejdą w skład państwa polskiego. Ilu mieszkańców Karszyna przeżywało wówczas dramat! Nie dotyczyło to wyłącznie osób narodowości niemieckiej. Równie niepewny był los Polaków żyjących we wsi od dawna. Czy będą mogli tutaj pozostać? Jakie warunki trzeba będzie spełnić, by nie wyjeżdżać? Tamten początek lata dla wielu był zapowiedzią nieszczęścia.

Tymczasem nie wszyscy mieszkańcy wsi przewidziani byli do wysiedlenia. W przypadku kilku rodzin, które funkcjonują w Karszynie do dziś, istniała możliwość udowodnienia swego polskiego pochodzenia i to kilka pokoleń wstecz. To właśnie członkowie tych rodzin w szczególny sposób musieli odczuwać skutki nowej dla nich rzeczywistości. W oczach przedstawicieli polskiej władzy uchodzili za element niepewny, mimo iż potrafili dowieść swej polskości. Dla przybyszów, czekających, kiedy wreszcie wyjadą, by zająć ich domy, byli najzwyczajniejszymi Niemcami.

Tak, niecierpliwa natura ludzka nie zawsze potrafiła w porę się pohamować i dlatego często wtedy padało dużo gorzkich, bolesnych słów i dochodziło do dramatycznych niekiedy sytuacji. Dopiero długa perspektywa czasu, który od tamtej pory upłynął, pozwala bez emocji spojrzeć na dziejące się wówczas wydarzenia.

Za inną opowieścią, nie aż tak tragiczną w skutkach jak ta dotycząca śmierci 13 osób z końca stycznia, stoi zmarła w 1969 roku, pochodząca z polskiej rodziny o nazwisku Kaptur z niedalekiej Kargowej, pani Elżbieta Zepke.

Po zakończonej wojnie jej mąż Franciszek, powołany do wojska i skierowany na front, nie wrócił do rodziny, tylko osiedlił się w Niemczech. Została więc w Karszynie sama z małymi dziećmi i starą ciotką. Tę historię w latach 60.



Elżbieta Zepke

opowiedziała mojej mamie, dlatego przytaczam ją jako przekaz pośredni. Otóż pewnego wieczoru, kiedy dzieci już spały, na podwórzu zaszczekał pies i chwilę później przez okno do pokoju wpadł kamień, wybijając szyby i raniąc głowę opowiadającej. Zaraz potem posypały się szyby we wszystkich oknach, a do drzwi altany zaczął się ktoś dobijać. Ciotka, niewiele się zastanawiając, weszła pod łóżko i ściągnęła narzutę, tak że nie było jej widać. Kiedy kilku pijanych mężczyzn mocowało się z drzwiami od altany, pani Zepke, wykorzystując zamieszanie, wyskoczyła przez okno w ciemność i dotarwszy do płotu, brzegiem pola pobiegła do rodziny przybyłych niedawno Pałamarczuków. Tam, trzęsąc się ze strachu, opowiedziała całe zdarzenie. Dopiero po jakimś czasie wraz z gospodarzem udała się do

sołtysa. Stamtąd w obstawie obu mężczyzn ostrożnie zbliżyła się do swego domu. Po bandytach nie było już śladu. Siedząca w kryjówce ciotka wszystko słyszała i tylko bała się, że odkryją jej obecność. Udało jej się przeżyć pewnie dlatego, że napastnicy byli pijani i mimo iż świecili sobie latarką, nie dostrzegli jej pod łóżkiem. Nie tylko ukradli wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, ale i wyrządzili wiele szkód. Można powiedzieć, że przyszli, jakby wiedzieli, gdzie co się znajduje. Wyłamując zamki z szaf, opróżnili ich zawartość ze wszystkiego. Zabrali nawet maszynę do szycia, mimo iż niełatwo było ją nieść. Ocalały jedynie dziecięce ubranka zdjęte przed snem. Na szczęście niczego nieświadome dzieci nadal spały, a i ciotka, choć przerażona, powoli dochodziła do siebie.¹ Tę historię przypomniła moja mama, gdy powiedziałem jej o spisywanych wydarzeniach dotyczących życia w Karszynie w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny. Kiedy 6 stycznia 2012 roku rozmawiałem z panią Jadzią Pinecką, córką bohaterki wyżej przytoczonej historii, potwierdziła ją i dodała, że jest szczęśliwa, że wtedy oboje z bratem się nie obudzili i przespali cały napad. Dodała, że pewno ich anioł stróż czuwał wtedy nad nimi.

Ta sama pani, zapytana o inne mocne przeżycia z tamtych dni, opowiedziała o wygnaniu mamy, ciotki i jej wraz z dwa lata młodszym bratem. Nie pamiętała, kto ich wygnał, ale wie, że na dworze czekały już trzy osoby, które wprowadziły się do ich domu, jak tylko mama z walizkami w rękach wyszła z altany. Później przez wiele dni mieszkali w pałacu w Bojadłach wraz z nieznanymi ludźmi, tak samo wyrzuconymi ze swoich domów. Szczególnie utrwalił się jej dzień, kiedy od rana do wieczora ona, jej brat Janek i z przerwami ich mama kłęczeli w jakimś pokoju, gdzie z karabinem w rękę pilnował ich mężczyzna w mundurze. Nie wie, czy był to policjant, czy wojskowy. Pod nieobecność mamy, ktoś inny pytał ich, gdzie

1 Opowieść Elżbiety Zepke przekazana za pośrednictwem Stanisławy Mąkosy, grudzień 2011 r.

u nich w domu jest schowany ten niemiecki żołnierz. Po wielu latach zrozumiała, że komuś zależało na ich gospodarstwie i doniósł władzom o rzekomym ukrywaniu niemieckiego żołnierza. Mniej więcej po miesiącu wrócili do domu, ale jakże innego w środku. Został niemal doszczętnie ogołocony. Zabrano nawet większość mebli.

Od rodziny z Kargowej mama pani Jadzi się dowiedziała, że w ich sprawie interweniowali krewni mieszkający w Kopanicy i Małej Wsi. Oni za pośrednictwem innego krewnego pracującego w kopanickiej milicji spowodowali uwolnienie matki z dwojgiem dzieci i uchronienie ich przed wysyłką do Niemiec.²

O tym, że miejscowi autochtoni często byli narażeni na wizyty niezapowiedzianych gości, opowiadał Bernard Chmiel.³ Mówił, że jego mama Franciszka, w obawie przed różnymi typami, szukającymi okazji, by coś ukraść, oszukać lub w inny sposób dokuczyć miejscowym, stale miała pod ręką, a raczej za szafą siekiere, której gotowa była użyć, gdyby do takiego „gościa” nie trafiły inne argumenty.

Równie przykrych dla rodowitych karszyniaków sytuacji w pierwszej połowie 1945 roku było wiele. I tylko oni mogliby powiedzieć, co naprawdę przeżyli. Dla wielu jednak pewien czerwcowy a następnie lipcowy dzień owego roku oznaczał konieczność wyjazdu i opuszczenia Karszyna na zawsze. Wtedy do wsi od strony Klenicy przyszło polskie wojsko, którym dowodził oficer w randze kapitana. Nakazał ówczesnemu sołtysowi, aby powiadomił przewidzianą do opuszczenia wsi społeczność niemiecką, by w dniu następnym do określonej godziny zgromadziła się z podręcznym bagażem przy kapliczce stojącej na początku wsi, to jest przy drodze w stronę Kargowej. Poleciał też powiedzieć, że za niepodporządkowanie się nakazowi grozić będzie kara śmierci. Zdecydowana większość nawykłej do posłuszeństwa ludności wykonała polecenie i wkrótce z różnych kierunków wioski zaczęli schodzić się ludzie. Obecni już przybysze z Polski mogli oglądać przygnębiający widok. Najczęściej kobiety z pomocą swych dzieci ciągnęły czterokołowe ręczne wózki z najniezbędniejszym dobytkiem. Zwykle była to odzież, koce, trochę żywności i to tylko tyle, ile pozwolono z sobą zabrać. Były podobno dwa przypadki, kiedy zobowiązani do wyjazdu, postanowili nie posłuchać polecenia. Jedna sytuacja dotyczyła dwóch kobiet, wobec których żołnierze zastosowali przemoc i siłą doprowadzili je do miejsca zbiórki. Drugi przypadek dotyczył rolnika Augusta Kitschke, który po znalezieniu się przy kapliczce, według jednej wersji miał powiedzieć: *Teraz my, a kiedy indziej wy*. Natomiast według wersji Helmuta Bratke, piętnastoletniego wtedy chłopaka, ten utykający i wspierający się o laskę mężczyzna miał powiedzieć: *Ten na górze patrzy na to wszystko i w stosownym czasie to rozliczy*. Słyszący to, wspomniany oficer kazał sobie przetłumaczyć po niemiecku wypowiedziane słowa. Uczynił to pełniący rolę tłumacza Józef Kostyra. Za takie zachowanie August Kitschke, pełniący we wsi funkcję ortsbauerleiters (przewodniczącego związku rolników), został zabrany

2 Relacja J. Pineckiej, z domu Zepke, 6.01.2012 r.

3 Relacja B. Chmiela, 18.12.2011 r.

między zabudowania leżącego nieopodal gospodarstwa Michulitza. Stamtąd po chwili rozległy się odgłosy wystrzałów. Na szczęście na postrach, bo niedługo potem, kuśtykając, niedoszła ofiara dołączyła do pozostałych oczekujących. Za swą hardość rolnik otrzymał 10 razów wyciorem karabinowym przez plecy.⁴



Paula Kubicka z mężem Janem,
początek lat 50. XX w.

O innym wydarzeniu związanym z przybyciem polskiego wojska do Karszyna opowiadała pani Paula Kubicka. Mówiła, że żołnierze dotarłszy do wsi, rozlokowali się w restauracji Winzlera, w której gospodarzył teraz rzeźnik Walerian Kaczmarek z niedalekiego Kielkowa. Następnie sprowadzili miejscowe kobiety i kazali sobie z produktów pochodzących z rzeźni przygotować jedzenie. Kobiety wykonały posłusznie wydane im polecenie, a nazajutrz wraz z innymi karszyniakami musiały opuścić rodzinną wieś pod eskortą owych nakarmionych żołnierzy, idąc w kierunku Kargowej, Smolna...⁵ Opowiadająca to zdarzenie kobieta, zapytana, czy słyszała o jakichś próbach ucieczki z konwoju, odpowiedziała, że może i były, ale żołnierze do nich nie dopuścili. Dodała tylko, że dwoje starych i schorowanych ludzi, którzy nie chcieli

opuszczać Karszyna, podczas postoju w okolicach Smolna odebrało sobie życie, wieszając się.⁶ Wśród wypędzonych w lipcowy dzień 1945 roku znalazła się Marta Dullin z domu Muche, babka pani Krystyny Bocheńskiej z Kargowej.

O tym trudnym dla mieszkańców Karszyna czasie ksiądz Wecker napisał w Księdze chrztów: *Kilka tygodni przed Zielonymi Świątami (20 maja) nasza wieś i okolica zostały zajęte przez Polaków, a 27 czerwca opróżniona, także z księdza. 28 czerwca wróciliśmy z powrotem do Karszyna, po przenocowaniu w Smolnie Wielkim, gdzie komendantury: polska i rosyjska, wydały pozwolenie na powrót. Ale 30 czerwca i 1 lipca nadszedł ostateczny nakaz opuszczenia wsi. Tym razem ksiądz musiał pozostać i jako duszpasterz służyć przybyłym Polakom. Chciałbym, drogi Boże, przed tym wszystkim ustrzec dobrych ludzi i ich dzieci!*⁷

Podczas poszukiwania informacji o wypędzaniu dotychczasowych mieszkańców Karszyna parokrotnie natknąłem się na nazwisko Polaka z Wielkopolski, który zajął po wojnie restaurację Winzlera. Moi rozmówcy wymieniali nazwisko Kaczmarek i wskazywali na Karnę jako miejsce, skąd przybył. Po sprawdzeniu w sąsiedniej gminie Siedlec tego faktu okazało się, że pochodził on z Kielkowa. Dotarłem do starszej kobiety, która pamiętała owego Kaczmarka, a także podała jego imię. Na moje pytanie, dlaczego tak niedługo pomieszkał w Karszynie,

4 Zdarzenie to, różniące się szczegółami, opowiedzieli i Helmut Bratke, i przybyły w 1946 r. do Karszyna Józef Marek, 3.01.2012 r.

5 Relacja P. Kubickiej, 12.01.2012 r.

6 Personalalia tragicznych ofiar opuszczania rodzinnej wsi są w posiadaniu autora.

7 Liber baptisatorum (Księga chrztów) od roku 1928 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie.



Marta Dullin z dziećmi – Gertrudą, Albertem, Reinholdem i Franciszkiem, 1914 r.

bez zastanowienia odrzekła, że *nie mógł dłużej wytrzymać z tymi zabugolami*. Przytaczam tutaj to określenie, bo ono świadczy o wówczas istniejących relacjach pomiędzy samymi przybyszami.

Próbując ustalić nazwiska nowych mieszkańców, którzy przybyli do Karszyna w 1945 roku, dotarłem do Księgi meldunkowej, którą udostępniła mi pani Krystyna Zagdańska, córka długoletniego sołtysa wsi. Z tego dokumentu wynika, że jeszcze przed wysiedleniem ludności niemieckiej w Karszynie mieszkali już osoby przybyłe z Polski. W poniższej tabeli prezentuję nazwiska, imiona oraz daty przyjazdu osób, które w tym tylko roku osiedliły się we wsi.

Data przyjazdu do Karszyna	Nazwisko i imię
14. 06. 1945	Blum Regina, Stanisław, Władysław
14. 06. 1945	Wojciechowski Ignacy, Janina
14. 06. 1945	Murzycz Wincenty
17. 06. 1945	Kostyra Józef, Anna , Irena, Kazimierz, Tadeusz
20. 06. 1945	Wierziński Florian, Wiktoria
28. 06. 1945	Śmiałek Ignacy, Franciszka
06. 07. 1945	Polaczek Michał, Anna, Józef
15. 07. 1945	Drohomirecka Helena, Rozalia
15. 07. 1945	Miś Józef, Janina
15. 07. 1945	Pokorski Stanisław, Anna
15. 07. 1945	Przybyła Antoni, Franciszka

Data przyjazdu do Karszyna	Nazwisko i imię
15. 07. 1945	Saluter Adolf, Henryka, Józefa
15. 07. 1945	Smalec Franciszka, Mieczysław, Stanisława
17. 07. 1945	Pałamarczuk Piotr, Petronela, Karolina
18. 07. 1945	Karbowski Filip, Paulina, Edward
20. 07. 1945	Polaczek Aniela, Rozalia
20. 07. 1945	Marek Zofia
20. 07. 1945	Sapron Maria
20. 07. 1945	Cielebąk Katarzyna
20. 07. 1945	Kostyra Antoni, Rozalia, Genowefa, Stanisława, Martyna
20. 07. 1945	Prus Aniela
20. 07. 1945	Twardowska Maria, Józef
20. 07. 1945	Pokorska Wiktoria
20. 07. 1945	Stępień Halina, Kazimiera, Krystyna
25. 07. 1945	Maciejewski Stanisław
25. 07. 1945	Łabuńska Karolina
25. 07. 1945	Rychlińska Józefa
25. 07. 1945	Przybyła Maria
02. 08. 1945	Bartoszek Antoni, Czesław, Danuta, Edward, Feliksa
05. 08. 1945	Lewandowski Władysław, Aleksandra, Leokadia, Zdzisław, Michał
07. 08. 1945	Błoński Jan, Mikołaj
07. 08. 1945	Król Elżbieta
08. 08. 1945	Makowski Jan, Jan, Janina, Krystyna, Wiktoria
10. 08. 1945	Baca Czesława
14. 08. 1945	Lehmann Anna
15. 08. 1945	Strawińska Paulina
15. 08. 1945	Dębicki Aleksander
01. 10. 1945	Nowak Tadeusz
02. 10. 1945	Wiziński Kajetan
10. 10. 1945	Prus Antoni
10. 10. 1945	Marek Helena
20. 10. 1945	Petzold Marta
25. 10. 1945	Blum Henryk
03. 12. 1945	Drohomirecki Bazyli

Na podstawie rozmów ze starszymi mieszkańcami naszej wsi doszedłem do wniosku, że nie wszystkie nazwiska przybyszów były odnotowane we wspomnianej Księdze. Niektórym widać chodziło o to, by ich pobyt był anonimowy. Pan Wojciech Pasterniak powiedział, że jego rodzicom, a szczególnie ojcu Aleksandrowi, zależało na tym, aby nie figurować w żadnych rejestrach. Jako były sierżant Wojska Polskiego, a w czasie wojny członek Armii Krajowej, wolał nie rzucać

się w oczu nowej władzy. Tym bardziej, że nie wiedział, jak długo Karszyn będzie miejscem zamieszkania jego rodziny. O tym, że państwo Władysława i Aleksander Pasterniakowie wraz z dwoma synami przybyli do Karszyna 9 maja 1945 roku, dowiedziałem się w czasie gromadzenia materiału do niniejszej książki.

Kiedy mowa o nowych mieszkańcach Karszyna, których do tego miejsca przywiały wiatry historii, nie sposób nie zauważyć analogii pomiędzy tym zjawiskiem z roku 1945 i innym, sprzed wieków, które zapoczątkowało byt tutejszej osady. Zarówno w schyłkowym okresie średniowiecza, jak i niewiele później do tego miejsca, które w jednym z wcześniej przytoczonych źródeł jest nazywane Wielkim Lasem, przybywali osadnicy z różnych stron. Wtedy były to mniej lub bardziej odległe księstwa, niemieckie państewka lub diecezje, natomiast współcześnie – w XX wieku, a dokładniej w 1945 roku i później, przybywali co prawda z jednego obszaru językowego, z Polski, ale jakże zróżnicowanego pod względem kulturowym. Inne podobieństwo dające się zauważyć pomiędzy obu populacjami oddalonymi przestrzenią wielu wieków to chęć ukrycia swojej tożsamości. Najlepiej się to udaje między zupełnie obcymi. Dlatego Karszyn sprzed wieków mógł być azylem dla ówczesnych banitów i różnej maści zbiegów z dóbr szlacheckich, podobnie jak ta sama wieś po II wojnie światowej dawała schronienie tym, którzy nie ufali nowej władzy albo mieli przed nią coś do ukrycia. Przykładem ilustrującym takie sytuacje są wydarzenia z życia mojego ojca Ignacego Mąkosa.

Po ucieczce latem 1943 roku wraz z matką i dwiema siostrami z Wołynia przed rzezią nacjonalistów ukraińskich znalazł się w rodzinnych stronach swego ojca a mego dziadka Antoniego w Stokach koło Zwolenia, po lewej stronie Wisły. Miał wtedy osiemnaście lat i już wcześniej kontakt z partyzantką. W nowym miejscu za sprawą kuzynów kontynuował działalność konspiracyjną, której najważniejszy moment przypadł na czas, kiedy w lecie 1944 roku front zatrzymał się na Wiśle, a oddziały partyzanckie postawione zostały w stan pogotowia. To wtedy wraz ze swym oddziałem znalazł się na koncentracji w Puszczy Kozienickiej, czekając na rozkaz, by iść na pomoc walczącym w powstaniu warszawiakom. Po wielu dniach przyszedł rozkaz, by rozformować oddział a ludzi zakonspirować po okolicznych wsiach. Nie było bowiem możliwości przebicia się do stolicy, gdyż miasto po zachodniej stronie rzeki było odizolowane przez wojsko niemieckie. W ten sposób doczekał początku 1945 roku, to jest czasu, kiedy rosyjska ofensywa ruszyła na zachód. Po oswobodzeniu lewobrzeżnych terenów nadwiślańskich jego oddział się nie ujawnił, gdyż taki był rozkaz. Dowództwo się obawiało, że Rosjanie także



Ignacy Mąkosa, 1944 r.

tym razem nie dotrzymają słowa i pozamykają uczestników nieprawomyślnej konspiracji. Ojciec był bowiem w Armii Krajowej, do której trafił za pośrednictwem kuzynów z Batalionów Chłopskich. I jedni, i drudzy obawiali się wtedy działań prowokacyjnych ze strony Rosjan i na zapas woleli się nie ujawniać. Tym bardziej, że w najlepszym przypadku można było trafić na front jako zdolny do noszenia broni. O swoich losach po zakończonej wojnie niewiele opowiadał. Dopiero w latach 80. ubiegłego wieku, kiedy powstał związek zawodowy Solidarność, a o wielu sprawach nareszcie wolno było mówić bez obaw o represje ze strony władzy, usłyszałem o jego latach spędzonych w więzieniu za wierność przysiędze. 23 lutego 1991 roku Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił ustawę o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego. Ojciec w tym czasie czuł się już źle i właściwie niewiele zależało mu na dochodzeniu sprawiedliwości po latach. Kiedy w tym samym roku na jesieni umarł, postanowiłem wystąpić do sądu o dostęp do akt sprawy z lat czterdziestych. Wtedy z Sądu Wojewódzkiego w Łodzi – następcy prawnego Wojskowego Sądu Rejonowego otrzymałem kopię aktu oskarżenia. Z niego dowiedziałem się, że : *na terenie powiatu koneckiego i kilku sąsiednich działała w roku 1945 i 1946 nielegalna organizacja mająca na celu zmianę demokratycznego ustroju Państwa Polskiego. Komendantem całości był osobnik posiadający pseudonim Zagończyk. [...] Oskarżony Mąkosa był członkiem bandy leśnej pozostającej pod dowództwem Sokola i tak jak wszyscy inni członkowie bandy posiadał broń palną.* Za wspomniane wyżej czyny został skazany na pięć lat więzienia z utratą praw publicznych na dwa lata. Ze wspomnianego wyżej sądu otrzymałem zaświadczenie, którego sentencja brzmi: *Zaświadcza się, że Ignacy Mąkosa [...] był więziony z przyczyn politycznych, w walce o suwerenność i niepodległość.* Pisząc o wspomnieniach karszynian, w tym o powojennych losach mojego ojca postanowiłem sprawdzić w Internecie hasło *Zagończyk*. Strony, jakie się otworzyły, informują o pięknej i bohaterskiej postaci majora Franciszka Jerzego Jaskulskiego *Zagończyka*. To pod jego dowództwem pozostawał mój ojciec. O tamtych ludziach mówi się dziś, że to Żołnierze Wyklęci.

Na „dziki zachód” – jak mówiono potocznie lub na Ziemi Odzyskane – jak mówiły oficjalne czynniki państwowe - jechali i żądni przygód, i szabrownicy, i tacy, którzy nie mogli pozostać w swych dotychczasowych domach. Najwięcej jednak do tej części kraju, jaka przypadła Polsce w wyniku decyzji podjętych przez Wielką Trójkę na konferencjach pokojowych,⁸ przyjechało osób ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Zamieszkali zatem w Karszynie nosiciele następujących nazwisk: z Wileńszczyzny (Kolesiński, Murzicz, Pasterniak, Żebrowski), Wołynia (Smalec, Mąkosa, Mazurkiewicz, Nasiłowski, Panasiewicz, Porczyński, Błoński, Pendyk, Marek, Szel, Maciejewski, Rudnikowski), z Polesia (Kirek, Wawrzynowicz), spod Stanisławowa (Drohomyrecki, Pałamarczuk, Polaczek, Król).

8 Mowa o Churchill, Stalinie, Rooseveltie a potem Trumanie – uczestnikach konferencji w Jałcie (luty 1945) oraz w Poczdamie (lipiec 1945).

Ponadto swego szczęścia postanowili tutaj szukać przybysze z Rzeszowskiego (Saluter, Głuski), Lubelskiego (Bartoszek, Pietruszka), Białostockiego (Blum), Kieleckiego (Swat, Zagdański), Kaliskiego (Miś) oraz Pomorza (Umerski). Najwięcej jednak i najwcześniej do Karszyna dotarło tych, którzy mieli najbliżej, to jest z Wielkopolski (Kostyra, Bajon, Nowak, Drzymała, Przybyła, Wierzbiński, Spychała, Dziamski, Lehmann, Śmiałek, Bartoch, Zboralski, Młotek), z niedalekich wsi – Starego Jaromierza i Starego Kramaska (Cielebak, Kubicki).

Dr. wizy 910,84 F 8

Główny Pełnomocnik
Polskiego Komitetu Wyzwolenia
Narodowego
Lenkijos Tautinio Išsivadavimo
Komiteto Vyriausiasis Įgaliotinis
22. luty 1945 r.

Karta ewakuacyjna 1952-1956
Evakuacijos lapas

Wydana obywatelowi Szczemirskiej Stefania c. Aleksandrowa w. 15 II 1910
Duotas piliėciui

mieszkańcowi Podbrodnia powiatu (ulicy) Klimulinka 24 gminy (miasta)
gyventojų apskrities (gatvės) valsčiaus (miesto)

jako dowód, że za pozwoleniem Głównego Pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego dla ewakuacji pażyminni, kad jis Lenkijos Tautinio Išsivadavimo Komiteto Vyriausiojo Įgaliotinio evakuacijos Lietuvos TSR te-

na teritorijam Litewskėj SRR ewakuuje się do Wanclawicki lub Pomocinski w. wa.
ritorijoje leidimu ewakuojasi į valsčių vaivadiją.

Wraz z nim ewakuuje się następujące członkowie jego rodziny:
Su juo kartu ewakuojasi še jo šeimos nariai:

Nazwisko, imię, imię ojca Pavardė, vardas ir tėvo vardas	Stosunek do głowy rodziny Santykis su šeimos galva	Miesiąc i rok urodzenia Gimimo metai ir mėnuo	Uwaga Pastaaba
<u>Szczemirska Alicja c. Piotra</u>	<u> córka</u>	<u>5. I. 1931</u>	<u>Martyna do mycia</u>
<u>Szczemirska Alicja c. Piotra</u>	<u> córka</u>	<u>8. IV. 1935</u>	<u>normal f., bingiel</u>
<u>Szczemirska Fryderyka c. Piotra</u>	<u> córka</u>	<u>14. VI. 1934</u>	
<u>Szczemirski Andrzej c. Piotra</u>	<u> syn</u>	<u>25. X. 1941</u>	

Obywatel Szczemirska Stefania c. Aleksandrowa w. 15 II 1910
Piliėtis

przewozi z sobą koni , rogacizny świń owiec kóz inwentarza: plu-
su savim vežasi arklių galvijų kailių avių ožkų inventoriuzas: pla-
gów siewników 10 knt. grabarek produktów żywnościowych 500 knt. w tym ziarna, krup,
gų sėjamy mašinų grėbiamy mašinų maisto produktų it. iš jų grūdų, kruopų,
makių t. t. 300 knt., przedmiotów użytku domowego 1500 knt.
milių ir kt. namų apyvokos daiktų.

Rejonowy Pełnomocnik dla ewakuacji
Rajoninis Įgaliotinis evakuacija

Rejonowy Przedstawiciel
Rajoninis Atstovas

rejonu
rajonui

rejonu
rajonui

(podpis) — (parašas)

(podpis) — (parašas)

Sp. „Spindulys“ 44. 2247 — V. P. T. 2497-5

Karta repatriacyjna Stefania Szczemirskiej.

Przyjechali też nosiciele takich nazwisk, jak: Wojciechowski, Wojczak, Goś, Czuliński, Kowalczyk, Olejczuk, Domagalski, Balcerak, Dziura, Anduła, Sapron, Karbowski, Kubejko, Lubiński, ale trudno dziś już stwierdzić, z których stron przedwojennej Polski.

Do Karszyna nie musieli znikąd przyjeżdżać, bo byli u siebie - Golla, Wycisk, Pinecki, Zepke, Kubacki, Muńko i Chmiel. Te rodziny mieszkały tutaj od zawsze. Ich obecny oficjalny status to – autochtoni. Tak nazywa się ludność mieszkającą gdzieś od wielu pokoleń, w dodatku potrafiącą udokumentować swoje, w tym przypadku polskie korzenie. Jak mogła wyglądać wspólna egzystencja ludzi, którzy przez czysty przypadek znaleźli się w jednym miejscu i w tym samym czasie, nie mając nawet wpływu na wybór sąsiedztwa? Z początku musiała panować jedna wielka nieufność wobec siebie. A już z całą pewnością wszyscy nowi, to jest przyjezdni pochodzący spoza Karszyna, nie darzyli zaufaniem autochtonów. Nie dość, że nazywali ich Niemcami i przy byle okazji traktowali z góry, dając w ten sposób do zrozumienia, że powinni mieć się na baczności, bo przecież przegrali wojnę, to jeszcze dodatkowo naśmiewali się z nich za ich mowę. Rodowici karszynianie mówili wprawdzie po polsku, ale jednocześnie kalecząc ten język. Kiedy zresztą mieli się go nauczyć? Za Hitlera, czy może w czasach pruskich, to jest przed I wojną światową? Żadna z tych okoliczności nauce polskiego nie sprzyjała. Mieszkali bowiem albo w Prusach, albo w Rzeszy, gdzie powszechnym i obowiązującym językiem był niemiecki. Oni tymczasem posługiwali się polszczyzną, bo używało się jej w domu, bo po sąsiedzku mieszkali inni, którzy też mieli polski rodowód. Niewykluczone więc, że owi wymienieni wyżej z nazwiska autochtoni są potomkami tych mówiących po polsku karszynian, o których wspominali w swych sprawozdaniach jezuitcy inspektorzy, wizytujący okoliczne parafie w XVII wieku, dodając przy okazji, że i duszpasterze wobec tego powinni również znać język polski i używać go.

Decyzję o osiedleniu się tu na stałe podjęli będący wcześniej na robotach przymusowych w niemieckim Karszynie: Florian Wierziński (Wielkopolska), Władysław Baca (Podhale), Przybyła (Ostrów Wielkopolski), Władysław Miś (Kaliskie), Władysław Blum (Białostockie). Kiedy zakończyła się wojna, jako pierwsi zajęli opuszczone przez zbiegłych przed frontem karszyniaków, teraz już wolne, zagrody wraz z zabudowaniami. Przy okazji wymienionych wyżej robotników przymusowych warto zauważyć, że i inni, będący w czasie ostatniej wojny na robotach w Rzeszy, postanowili tutaj zamieszkać. Oto oni: Łucja i Władysław Swatowie, Jan i Mikołaj Błońscy (Wołyń), Antoni Przybyła wraz z matką Franciszką i trzema siostrami, Antoni Kostyra, Ignacy Śmiałek (Wielkopolska), Domagalscy, Niciejewski.

Czas, w którym przyszło obok siebie żyć ludziom z różnych stron Polski oraz autochtonom, miał też jedną wspólną cechę – poczucie niepewności, tymczasowości. Powszechnie uważano, że przyjazd do Karszyna to nie jest coś trwałego, coś na zawsze. Dlatego niektóre rodziny długo siedziały na tobołkach. Wierzono, że to wszystko jest tylko na jakiś czas i że niedługo zaczną się powroty do *prawdziwej ojczyzny* - na Wileńszczyznę, w Stanisławowskie, pod Grodno, na Wołyń... Także rodowici karszyniaci pewnie myśleli, że przybysze niedługo sobie pojadą i wkrótce powrócą sąsiedzi sprzed wojny.

Tymczasem mijały tygodnie, potem miesiące, za nimi rok, potem drugi... Nowa dla wielu rzeczywistość zaczęła się utrwalać. Międzyludzkie relacje, z początku różne, z czasem stawały się zupełnie normalne. Szło to jednak powoli i raczej ostrożnie.

Sam byłem świadkiem następującej sytuacji. Jej bohaterami byli: autochton pan Karol Kubacki oraz moja mama Stanisława Mąkosa – przed przybyciem do Karszyna w 1949 r. mieszkanka wsi pod Warszawą.

Mogłem wtedy mieć z 7 lat. Było lato i po szybkim śniadaniu mama uszykowała rower, do bagażnika przymocowała worek na liście od buraków lub jakieś ziele dla gęsi, spuściła z łańcuchów dwie krowy i cielaka, otworzyła na ulicę furtkę, przez którą wyszły nasze mučki, a za nimi my. Mama prowadziła rower, ja szedłem obok aż do miejsca, gdzie zaczynało się kartoflane pole pana Kubackiego, który akurat obredlał rajki. I wszystko byłoby jak zwykle, to jest: dzień dobry, dzień doby – pozdrowiliby siebie mama i pracujący w polu, gdyby nie krowia natura. Ta kazała niecierpliwym mućkom, które do swojego pastwiska, zwanego koplem, miały jeszcze ze sto metrów skosztować, jak smakują pędy młodych ziemniaków Kubackiego. I to akurat wtedy, kiedy on był w pobliżu. A że krowia natura jest taka, że jeśli smakuje, to należy sięgać po więcej, toteż nie ograniczyły się tylko do złapania jednego czy dwóch krzaków kartoflanych z brzegu pola, ale przeciwnie, wlażyły kilka metrów w głąb pola, pomiędzy rajki i depcąc je chwytaly w biegu, ile się dało. Biegłem za nimi, by wypędzić je na drogę, w czym, porzuciwszy rower, pomagała mi mama. W tym czasie rolnik zatrzymał konia i ze złością, wskazując palcem na wschód, krzyczał mniej więcej coś takiego: *Jak nie umiesz upilnować krów, to wynoś się do Warszawy!* Ja byłem w strachu, bo pan Kubacki mówił to w złości, a w dodatku w ręce trzymał ważny argument - bat. Mama natomiast, po zrobieniu porządku z niesfornymi krowami, wróciła po porzucony rower i gdy rozgniewany chłop nadal, tym razem batem wskazywał wschód, odparowała, że jeśli ona ma wynosić się *nach Warschau*, to on ma się wynosić *nach Berlin*. Te niemiecko brzmiące zwroty i cała sytuacja pewnie by w innych okolicznościach nie zaistniały, bo wchodzenie bydła w szkodę to przecież nic niezwykłego. Ale że były to krowy przybyszów, w dodatku niepotrafiących prowadzić ich na postronkach, by był *ordnung*, zagrały emocje, w wyniku których akcja spotkała się z natychmiastową reakcją. Kiedy przy innej okazji mama opowiedziała o całym zajściu żonie pana Kubackiego, niezwykle ujmującej i życzliwej dzieciom kobiecie, ta tylko machnęła ręką, mówiąc: *Ty się nie martw, mein Alter ist dum*. Taka i inne mieszanki polskiego z niemieckim wiele jeszcze razy dało się słyszeć w kontaktach starych i nowych karszyniaków.

Nasze krowy były także powodem innej sytuacji na linii autochtonka – ja. Tylko że tym razem rzecz się działa pięć lat później w miejscu, na które mówiliśmy *w łakach*. Moi rodzice dzierżawili tam od gminy około 0,5 ha łąki, którą ojciec ogrodził podwójnymi żerdziami, żeby sprytne mučki nie wychodziły na cudze. Ale nasze żywicielki, wykorzystując siłę swych karków, tak długo próbowały, przekładając głowę pomiędzy żerdziami, tak napierały na tę górną, aż ją w końcu

złamały. A co miały zrobić, skoro trawa u sąsiada była smaczniejsza? Bydłęcia nie obchodziło to, że sąsiadami, to jest właścicielami łąki obok, byli autochtoni – Pineccy. W tym czasie po stronie sąsiadów swoje krowy uwiązane długimi łańcuchami do palików pasła pani Jadzia Pinecka, siedząc w cieniu olszyny i coś czytając. Ja natomiast miałem zajęcie o wiele ważniejsze, niż pilnowanie głupich krów, choćby nawet były naszymi żywicielkami. Miałem akurat – jak mi się wydawało – niecierpiącą zwłoki sprawę do kolegów – Cielebąków, którzy również pasli swoje krowy, tyle że w miejscu oddalonym o jakieś 150 metrów, które nazywaliśmy *za rowem*. Z Władkiem i Albinem razem dorastaliśmy, toteż znaliśmy się dobrze z najróżniejszych zabaw, w których uczestniczyło jeszcze sporo innej wiejskiej dzieciarni. Zatem do tych kolegów musiałem pójść, no bo jakże inaczej. Wprawdzie zrobiłem to, gdy pilnowane przeze mnie mučki były po tej jak najbardziej właściwej, czyli naszej stronie i – jak mi się wydawało – stan taki powinien potrwać długo. Wtedy nie myślałem, że moje podopieczne tylko czekały na to, aż się oddalę. Spojrzawszy jeszcze, czy łąciate czegoś nie knują i odczytawszy, że wszystko gra, w kilka chwil byłem tam, gdzie czekała na mnie owa sprawa. Ale gdy już byłem razem z kolegami, to towarzyszące nam zabawy były najważniejsze. Czas wtedy się nie liczył. Całkiem przypadkiem i wcale nie celowo spojrzałem w stronę naszego pastwiska i ... zdrewniałem, bo zobaczyłem, że nasze krowy, podobnie jak ja z Cielebąkami najwidoczniej zaprzyjaźniły się z krowami, których pilnowała pani Jadzia. Obydwie w najlepsze pasły się i to zupełnie spokojnie w koniczynie sąsiadów. Czym prędzej wziętem nogi za pas i jakby mnie psy pędziły pobiegłem tam, gdzie pewnie przyjdzie mi usłyszeć coś przykrego, zresztą słusznie. Żeby znaleźć się przy krowach, musiałem pokonać niezbyt głęboki, za to dość szeroki rów z wodą. Wcześniej dla zabawy wiele razy z wspomnianymi Cielebąkami przeskakiwaliśmy go, ale uprzednio biorąc odpowiedni rozbieg. Tym razem, gdy po odbiciu się z jednej strony rowu – wylądowałem po drugiej, poczułem silny ból w kostce. Skutek był taki, że upadłem i skręcałem się z bólu. Nawet nie zauważyłem, jak pani Jadzia podeszła do mnie i z troską w głosie pytała, co mi jest. Ja natomiast czułem się podle, bo i noga bolała, i wstyd mi było, że zamiast pilnować krów, o bożym świecie zapomniałem, przedkładając kolegów nad obowiązek. Choć z trudem i pokonując ból, podniosłem się, i pokuśtykałem do winowajczyń wszystkich moich nieszczęść. Pani Jadzia ani jednym słowem mnie nie zganiła, nie powiedziała też nic moim rodzicom. Takich relacji na linii przybysze – autochtoni z udziałem moich obojga rodziców było więcej. I to – co po latach muszę przyznać – na ogół pozytywnych, przy tym także niepozbawionych humoru. Oto jednego razu zdarzyło się, że mój ojciec musiał wrócić nieco wcześniej z pracy, bo miał jakiś pilny wyjazd. W tym czasie wraz z Marcinem Pineckim jako drwale wykonywali w okolicy Siadczy prace na zimowym zrębie sosnowym. Nie wracali razem z roboty, jak to zwykle bywało, gdyż pan Marcin miał jeszcze skoczyć po kwiaty, ponieważ tego dnia była rocznica ślubu jego i pani Jadzi. Widząc, że Mąkosa zbliża się rowerem do jej posesji i nie dostrzegając męża, zapytała:

- *No a gdzie się podział Marcin?*

- *Marcin? To ty nic nie wiesz? Przecież on zachodzi do tej wdówki w Siadczy, no wiesz której... zażartował sobie znany z robienia kawałów Ignacy. Nie przewidywał jednak następstw swoich nieprzemyślanych żartów. Następnego dnia, kiedy jak zwykle rano zajechał po kolegę Marcina, by razem udać się do roboty, zaraz od wejścia zauważył, że „siekiera wisi w powietrzu”. Na jego przywitanie nikt nie odpowiedział, a także nikt do nikogo się nie odzywał. Wcześniej było zupełnie inaczej. Panie - Jadzia i jej mama Elżbieta Zepke – zawsze pogodne i zapytane o cokolwiek, życzliwie odnosiły się do rozmówcy. Tym razem było kompletnie inaczej. W milczeniu obaj drwale dojechali na zrąb. Ojciec zajął się przygotowaniem „partnerki” - piły spalinowej szwedzkiej produkcji, natomiast kolega nazbierał suchego chrustu i rozpałał ogień. Jednak w powietrzu cały czas wisiało jakieś napięcie. W końcu ojciec nie wytrzymał i pyta:*

- *Marcin, czy coś się stało?*

- *To ty nic nie wiesz? Wczoraj, gdy wróciłem z lasu, przed furtką stały wystawione wszystkie moje rzeczy. Nie rozumiem, co się stało. Jadzia kazała mi wracać do Pineckich, do rodziców. Tylko dlaczego? Wtedy ojciec wszystko zrozumiał. Jego zwykle rozchodzący się po kościach dowcip, tym razem mógł być powodem rozpadu małżeństwa. I to czyjego? Ludzi, z którymi tyle razy w jakże serdecznych relacjach pozostawał. Opowiedział zaraz panu Marcinowi o swym – musiał to przyznać – głupim dowcipie, przeprosił go i podjął się zadania naprawienia swego błędu, to jest odbudowania mocno nadwątlonego zaufania w ledwo co zawartym młodym małżeństwie. Co i jak uczynił Ignacy, tego już nie wiem, dość, że państwo Jadzia i Marcin Pineccy z powrotem byli kochającą się parą, która po stosownym w takich okolicznościach czasie doczekała się kolejnego syna - Grzegorza. Na koniec tej historii muszę dodać, że był to również przykład powojennych relacji na linii przybysz skądś tam Ignacy Mąkosa i dwoje dzieci autochtonów – Jadzia i Marcin Pineccy.*

Kiedy rozmawiałem z panem Bernardem Chmielem o akurat opisywanych relacjach zachodzących pomiędzy przybyszami a miejscowymi z pierwszych miesięcy wspólnego zamieszkiwania w Karszynie, przypomniał sytuację, o której usłyszał od swej mamy Franciszki. Dotyczyła ona zjawiska stykania się zwyczajów przywiezionych przez przybyszów ze wschodniej Polski z przyzwyczajeniami panującymi tutaj, na Dolnym Śląsku. Bohaterami jednej sytuacji byli – pan Jan Żebrowski, przybysz spod Wilna, i pochodząca z Babimojszczyzny mama mego rozmówcy. Rzecz działa się *pod kanałem*, gdzie Chmielowie mieli swe pole oraz łąkę. Otóż pewnego razu pan Żebrowski



Franciszka Chmiel.

przyprował na swojĄ łĄkĘ kilka krów przywiązanych postronkami do wozu zaprzęzonego w jednego konia. Po odwiązaniu ich od furmanki i uwolnieniu konia z uprzęży przysiadł na wozie i spokojnie popalał papierosa. Krowy w tym czasie pasły się na łące i zgodnie z ich naturą poszukiwały coraz to smaczniejszych kęp trawy. To, że akurat znajdowała się na łące sąsiadki, było im zupełnie obojętne. Tymczasem pracująca w ogródku pani Chmielowa, która z początku nie reagowała na zachowanie przyprowałzonego bydła, w końcu się przemogła i podszedłszy do wozu sąsiada zwróciła mu uwagę, że powinien zawrócić swe krowy z jej łąki. Jakież było jej zdziwienie, kiedy pan Żebrowski zamiast uczynić zadość prośbie, z wielkim spokojem odrzekł: *Pani Chmielowa, toż święty Michał granice pospychał!* Usiadłszy wygodniej na wozie ze spokojem dalej popalał papierosa. Owo zdarzenie pokazuje, jakie zwyczaje w sprawie wypasu bydła po 29 września (św. Michała) panowały na Wileńszczyźnie. Nie były one znane mieszkańcom Karszyna i dlatego mogły być powodem nieporozumień.⁹

Moi rodzice, gdy była stosowna okazja, nawet po latach wspominali o bardzo podobnych powodach do trosk w pierwszych powojennych latach, przeżywanych przez nich oraz przez tzw. miejscowych. Wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałem, skąd do takich relacji mogło dojść. Bo nieufność, ba – niekiedy wrogość częściej się wtedy zdarzała pomiędzy sąsiadami z konieczności niż przejawy wzajemnej życzliwości. Jednym z tego powodów, oprócz jednostkowych trudnych przeżyć wojennych przybyszów, był stosunek władz do autochtonów. Tych mieszkańców tolerowano, ale im nie ufano. Podobnie negatywnie naznaczony był mój ojciec. W rozumieniu funkcjonariuszy aparatu partyjno – państwowego – był kryminalistą, wcześniej bowiem *...należał do nielegalnej organizacji mającej na celu obalić ustroj Państwa Polskiego przemocą.*¹⁰Jako były i potencjalny przestępca stale pozostawał pod dyskretną obserwacją ludzi nowego państwowego sytemu. Jak bardzo był on *opiekuńczy* w stosunku do niepokornych świadczy fakt, iż Prokuratura Powiatowa w Sulechowie postanowieniem z dnia 23 maja 1956 roku, tylko z powodu wejścia w tym samym czasie w życie amnestii *... po zapoznaniu się z aktami sprawy rozpowszechniania wrogich audycji radiowych... - zdecydowała - ... zaniechać wszczęcia postępowania [...] zagrożonego karą pozbawienia wolności do lat 5 więzienia lub aresztu ...*¹¹ w stosunku do Ignacego Mąkosy. Przytoczone wyżej krótkie fragmenty dokumentów sądowych sprzed ponad pół wieku są dowodami na to, jak ówczesni funkcjonariusze ludowego państwa wyczuleni byli na wszelkie przejawy myślenia innego niż nakazywała to *jedynie słuszna wówczas linia partii.*¹² By dokładnie wiedzieć, co i jak myślą obywatele, władze zadbały, aby w możliwie wszystkich środowiskach mieć swoich obserwatorów, skrzętnie notujących przejawy niezadowolenia z nowej, powojennej rzeczywistości w Polsce. Różnym rodzajom inwigilacji poddane były osoby już wcześniej karane za świadome działanie przeciw nowemu ustrojowi państwowemu. Ponieważ niebezpieczne dla

9 O wydarzeniu opowiedział B. Chmiel, 29.04.2012 r.

10 Odpis z wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu z dnia 19.01.1950. , znak akt Sr 5/50.

11 Postanowienie Prokuratury Powiatowej w Sulechowie z dnia 23.05.1956 r. , sygn. akt Ko.38/56.

12 Chodzi o utworzoną w 1948 roku Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, powstałą w wyniku połączenia Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Partii Robotniczej.

rzządzającego establishmentu mogło być samo tylko myślenie obywateli, zadbane, by wszystkie ówczesne media, to jest prasa oraz rozgłośnie radiowe były w rękach ludzi posłusznych władzom i akceptujących nową rzeczywistość. Dlatego jednostki, które nie były bezkrytyczne wobec informacji przekazywanych drogą oficjalną, słuchały stacji radiowych nadających z zagranicy po polsku.¹³ Do dziś dźwięczą mi w uszach charakterystyczne sygnały poprzedzające wiadomości nadawane przez te rozgłośnie. Ojciec bowiem codziennie wieczorem, zanim zasnął, musiał wysłuchać tego, co o Polsce donosiły media zza żelaznej kurtyny. Pewnie usłyszanych informacji nie zostawiał tylko dla siebie, skoro sulechowska prokuratura wszczęła dochodzenie w sprawie *słuchania i rozpowszechniania wiadomości pochodzących z wrogich Polsce Ludowej rozgłośni*.

Nie dziw zatem, że ludziom traktowanym z dystansem przez władze oraz nieobdarzanym zaufaniem łatwiej było znaleźć wspólny język. Moja obecnie 92 - letnia mama po 60 latach wspomina swoją sąsiadkę Franciszkę Chmiel niemal tak dobrze jak własną matkę, którą straciła, gdy miała 18 lat, w pamiętnym 1939 roku. Wskutek życiowych zawirowań, bez własnej woli znalazła się w 1949 roku w Karszynie. Krótco potem umarł jej mąż, została więc sama z kilkuletnią córką i na dodatek z dużym gospodarstwem rolnym. Nie było mowy, żeby liczyć na ulgi w sprawie obowiązkowych dostaw płodów rolnych dla państwa, bo władzom zależało na likwidacji indywidualnych gospodarstw. Nie mogąc podolać zobowiązaniom wobec państwa, zamieniła się z inną rodziną na zabudowania i pola. W najtrudniejszych chwilach, po śmierci męża, w czasie kłopotów mnożonych przez urzędników, widzących wyłącznie plany dostaw płodów rolnych bez względu na wszystko, dobre słowa słyszała tylko od owej autochtonki. Ona też przeżyła trudy wdowieństwa i ludzkiej obojętności na nagłą, niespodziewaną samotność. Dlatego rozumiała swą, niedawno przybyłą do Karszyna sąsiadkę i dobrze wiedziała, że wsparcie moralne uzyskane w takich okolicznościach jest bezcenne. We wrześniu 1955 roku mama powtórnie wyszła za mąż, za wymienianego wyżej Ignacego Mąkosę. Owoce tego małżeństwa to siostra Teresa i ja, młodszy od niej o dwa lata.¹⁴ By cokolwiek zakupić do domu, w którym były przysłowiowe gołe ściany, poza pracą na roli dorabiali oboje w lesie przy żywicowaniu. Tak więc letnią porą, mama po obrządzeniu bydła i pozostałych zwierząt, ubraniu dzieci, daniu po pajdzie chleba w garść, wsiadała na rower i jechała pomagać mężowi wybierać żywicę z puszek przytwierdzonych do dorodnych sosen, bo zbliżał się dzień odstawy. Nieraz zdarzało się, że zamiast siedzieć w domu, pod nieobecność obojga rodziców mały, ledwie stawiający nogi berbec, byłem prowadzony przez siostrę Teresę do babci Chmielowej. To ona wówczas, niekiedy do samego wieczora zastępowała nam najbliższych. Czy była to tylko zwykła litość nad pozostawionymi bez opieki cudzymi dziećmi, czy także życzliwa sąsiedzka mądrość?

13 Były to: *Radio Wolna Europa, Tu mówi Londyn (BBC), Głos Ameryki*.

14 Niedługo potem przyjechał w odwiedzin dziadek zza Warszawy. Wracając, zabrał ze sobą moją najstarszą siostrę Jadzię. Jak się okazało, zamieszkała z dziadkiem na stałe i nie wróciła do Karszyna.

O tym, jak wzajemnie się z sobą poznawali przybysze i miejscowi, opowiadała mi pani Karolina Drzymała. Było to krótko po przyjeździe do Karszyna z Żuraków pod Stanisławowem. Mama pani Karoliny Petronela Pałamarczuk niespodziewanie się rozchorowała. Najbliższy lekarz mieszkał w Wolsztynie, a tymczasem kobieta skręcała się z bólu. Jak zwykle w takich sytuacjach nieocenione okazały się sąsiadki. To nic, że obce, w dodatku autochtonki. Pani Karolina nie wie dokładnie czy za poradą pani Chmielowej, czy Zepkowej została poproszona o pomoc mieszkająca na plebanii siostra księdza Weckera - Elizabeth. Kobieta przyszła, w fachowy sposób obejrzała bolące miejsce, wysłuchała tego, co powoduje dolegliwości i zaleciła jakiś sposób leczenia. Za swą poradę niczego nie chciała, wręcz przeciwnie, była rada, że jej pomoc mogła komuś przynieść ulgę w cierpieniu.¹⁵

Z kolei o przyjeździe do Karszyna z Wileńszczyzny wspomina po latach pani Alicja Michałowska z domu Szczemirska, córka pierwszej po wojnie nauczycielki w tej podkargowskiej wsi: *Zamieszkaliśmy w budynku, w którym połowa przeznaczona była na szkołę, a połowa na mieszkanie dla nauczyciela. W budynku panował balagan. Na podłodze walały się sterty papierzyśk, ściany straszły dziurami po wyrwanych kontaktach, z każdego kąta wiało chłodem. Ale był to dom, prawdziwy dom! Przyjęto nas serdecznie. Ludzie z różnych stron Polski, głównie poznaniacy, obdarowali nas łózkami, stołami, krzesłami i tym podobnymi meblami. Przydały się bardzo, bo ze sobą przywieźliśmy tylko maszynę do szycia i zegar kominkowy. [...] Mama, prowadząc lekcje, zabierała ze sobą do klasy małego Andrzejka, siostry się uczyły, a ja pasłam krowy i pomagałam rolnikom w polu, za co otrzymywałam koszt ziemniaków.*¹⁶



Klenica, 1949 r. Pośrodku w białej bluzce Alicja Szczemirska, z prawej - w spódnicy w kratę jej mama – Stefania.

¹⁵ Informacja pochodzi od Karoliny Drzymały, z domu Pałamarczuk, 1.05.2012 r.

¹⁶ A. Michałowska, *Gdzie Żejmiana, gdzie Odra, [w:] Wypędzeni ze Wschodu, wspomnienia Polaków i Niemców, Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”, Olsztyn 2001, s. 134.*

Ze wspomnień mojej mamy dotyczących jej pierwszych miesięcy pobytu tutaj przypominam sobie zdarzenie dotyczące sceny powrotu – jak się potem okazało byłego karszyniaka z niewoli rosyjskiej. Musiało to być w 1950 roku lub nieznacznie tylko później. Było lato, krótko po żniwach, zatem wielu gospodarzy, niezależnie od wielkości posiadanego areалу podjeżdżało furami ciągniętymi przez jednego lub parę koni w pobliże młockarni, która wtedy była ustawiona na placu obok gospodarstwa państwa Wierzbińskich. By praca szła sprawnie i żeby nie trzeba było zbyt długo czekać na swoją kolej, jedni drugim pomagali w wiązaniu w duże snopy wymłóconej słomy, po czym odnosili je na pewną odległość, skąd dany gospodarz mógł ją już bez pośpiechu załadować na wóz. W pewnym momencie zrobiło się zamieszanie i cała praca ustała. Zwykle tak się działo, gdy spadł pas transmisyjny, napędzający młockarnię od silnika elektrycznego albo gdy powstał problem z podepchnięciem następnego wozu pod maszynę, gdyż konie były potrzebne do przyciągnięcia z pola kolejnej fury. Tym razem nic takiego nie zaszło, tylko oczy wszystkich skierowały się na człowieka, który zbliżył się do pracujących. Po strzępach munduru widać było, że jest żołnierzem, w dodatku niemieckim. Ktoś z obecnych po chwili nawet go rozpoznał i wymienił jego imię. Przybysz zapytał o swoich bliskich, których spodziewał się tutaj zastać, ale mu powiedziano, że wyprowadzili się do Siadczy. Widać było, że się zmartwił, bo najwidoczniej nie miał już sił tego dnia iść dalej. Po chwili praca ruszyła ponownie, wtedy ów przybysz, siedzący z początku nieco na uboczu na snopach wymłóconej słomy, widocznie postanowił pomóc pracującym, bo się podniósł, podszedł do młockarni i usiłował odnieść jeden ze związanych świeżo snopów. Chwycił za powrósło i z dużym wysiłkiem uniósł go trochę nad ziemię. Gdy próbował nieść snop, przewrócił się, taki był to dla niego ciężar. Inni natomiast bez większego wysiłku podobne snopki odnosili na stertę. Po jeszcze kilku próbach zaniechał pracy i odprowadzony przez kogoś z miejscowych, gdzieś zniknął.¹⁷

Ta przypomniana po dziesiątkach lat scena powrotu karszyniaka z wojny podobna była pewnie do wielu innych, o ile wysłanym na front, wcześniej ubranym w mundury Wehrmachtu, dane było w ogóle powrócić.

Trudno dziś powiedzieć, ilu spośród przedwojennych mieszkańców Karszyna, powołanych do wojska po wybuchu wojny przeżyło ją i potem powróciło do swoich bliskich.

Inni natomiast, którzy przeżyli działania wojenne, jak Karol Kubacki i także wcześniej wspomniany Franciszek Golla, zostali zwolnieni z niewoli dopiero w roku 1950. Ów Golla nieraz opowiadał o swoich wojennych przeżyciach, a także o pobycie w rosyjskiej niewoli. Jak w niej było, niech świadczy fakt, że jednego razu z głodu ugotował i zjadł cholewy swoich wojskowych butów!¹⁸Wcześniej powrócił do domu kolejny karszyniak Paweł Pinecki. Może dlatego, że nie służył w regularnych formacjach frontowych, lecz w batalionach zajmujących się budowaniem zaplecza socjalnego dla wojska, a potem – ze względu na utratę oka - w kuchni.

17 Relacja Stanisławy Mąkosy.

18 Informacja pochodzi od Józefa Marka, 3.01.2012 r.

Budowanie nowej społeczności

Wielka historia i losy całych narodów nie zawsze zajmowały uwagę nowej powojennej populacji karszynian. Życie jakoś się tutaj toczyło i powoli zapominano o niedawno zakończonej wojnie i jej okropnościach. Ten proces można prześledzić na przykładzie zawieranych związków małżeńskich a potem przychodzących na świat dzieci. W karszyńskim kościele miejscowy proboszcz ksiądz Franz Wecker do końca 1945 roku pobłogosławił pary nowożeńców: Pelagii i Józefa Spychałów, Wiktorii i Floriana Wierzińskich (wszyscy czworo z Wielkopolski), Czesławy i Augusta Baców, Sabiny i Jana Kirków. W kolejnym 1946 roku związki małżeńskie zawarli: Leokadia i Józef Porczyńscy, Helena i Józef Wawrzynowiczowie, Regina i Eugeniusz Panasiewiczowie, Urszula i Bolesław Czulińscy, Halina i Antoni Waśkiewiczowie, Janina i Stanisław Wicińscy, Karolina i Tomasz Łabuńscy, Janina i Michał Królowie, Władysława i Jan Niciejewscy, Helena i Marian Paprzyccy, Wiktoria i Grzegorz Paprzyccy. Natomiast w 1947 roku do miejscowej świątyni przyszli przysięgę małżeńską złożyć: Eleonora i Bronisław Sopkowie, Katarzyna i Ignacy Cielebąkowie, Agnieszka i Władysław Misiowie, Maria i Antoni Przybyłowie oraz Ludwika i Marian Pietruszkowie. Dało się wówczas zauważyć pewną prawidłowość dotyczącą pochodzenia przyszyłych małżonków. Na przykład pobierały się dzieci autochtonów – państwo Waleria Golla i Henryk Wycisk, Jadwiga Zepke i Marcin Pinecki, przybysze z Wielkopolski – państwo Nowakowie, Bajonowie, Bartochowie, Zboralscy, Śmiałkowie. Z biegiem czasu to się zmieniło i zawiązały się małżeństwa Gollów – Alberta, syna wspomnianego tutaj Franciszka i Czesławy Nawracałówny (on z Karszyna, ona z wielkopolskiego



Korowód weselny Walerii i Henryka Wycisków, 1948 r.

Kielkowa), Cielebąków – Ignacego i Katarzyny (on ze Starego Jaromierza, ona z wielkopolskiej Karny), Kolesińskich – Jana i Genowefy (on z Wileńszczyzny, ona z wielkopolskiej Tuchorzy), Drzymałów – Alojzego i Karoliny (on z Wielkopolski, ona spod Stanisławowa), Mąkosów – Ignacego i Stanisławy (Wołyń i Mazowsze), Swatów – Władysława i Łucji (Kielecczyzna i Wołyń).¹

Jeśli chodzi o urodzenia dzieci, to do końca 1945 roku na świat przyszli i w miejscowym kościele zostali ochrzczeni: w lipcu Antoni Pinecki, zaś we wrześniu Franciszek Pinecki. W kolejnym 1946 roku: Andrzej Bartoszek (styczeń), Tadeusz Cieślak (luty), Krystyna Sitarz (marzec), Teresa Urbańska, Janusz Starzyk (maj), Helena Król, Henryk Nienartowicz, Joanna Polaczek, Zbigniew Olesiak, Krystyna Baca (czerwiec), Róża Kostyra, Jadwiga Kaczmarek (sierpień), Władysław Lewandowski (wrzesień), Karin Luka, Zbigniew Popek (październik), Antoni Glinda (listopad), Barbara Spychała, Alojzy Kirek (grudzień).²

Przytoczone wyżej przykłady ze sfery matrymonialno - demograficznej pokazały, że początkową w stosunku do siebie nieufność szybko zweryfikowało życie. Przyszli młodzi małżonkowie, poznając się na wspólnych zabawach, uczęszczając razem do szkół lub zwyczajnie razem dorastając, nie kierowali się już uprzedzeniami wynikającymi z szeroko rozumianego pochodzenia.

Warte także zwrócenia uwagi jest zjawisko rywalizacji, jakie w tamtych czasach na pewno miało miejsce. Było to zupełnie naturalne, że nieznający się wcześniej ludzie, którym w następstwie wojny przyszło mieszkać obok siebie i tworzyć wspólnotę wiejską, próbowali przedstawiać się od jak najlepszej strony. Uchodzić za kogoś innego, wcale nie gorszego. W czym się to przejawiało? Oto przykłady: Po żniwach wysuszone snopy zboża zwożono do stodół, by przy stosownym czasie wymłócić ziarno. Chodziło zatem o to, kto pierwszy sprzątnie wszystkie żniwne plony z pól, by po takim wysiłku móc usiąść w cieniu na ławeczce i obserwować, jak inni jeszcze pracują. Nie zauważało się spoglądania z góry na jeszcze zajętych zwózką zboża, ale satysfakcja jakaś była. Inny przykład dotyczył sianokosów. Po skoszeniu trawy, a zwykle - gdy była ładna pogoda - robiła to niemal cała wieś, przychodził czas jej suszenia tak, by siano było i pozbawione wilgoci, i możliwie zielone, i oczywiście pachnące. Od tego zależała przecież jakość dawanego przez krowy zimową porą mleka. Zatem rywalizowano, kto pierwszy wysuszy siano ze swojej łąki. Kto w czasie tych prac ułoży najwyższe i najrówniej ustawione kopy, no i kto pierwszy zwiezie je do stodół przed deszczem. Kolejny przykład dotyczył gospodyń i pokazywał wysiłek związany z utrzymaniem upraw wolnych od chwastów. Zatem czyje pole buraków czy ziemniaków było pod tym względem najładniejsze? Czyje krowy po zimowym pobycie w oborach i pierwszym pójściu wiosną na pastwiska wyglądały na najbardziej zadbane, to jest bez pozapadanych boków, no i które były najczystsze? Moja mama lubiła mieć na parapetach okiennych kwiaty w doniczkach. Ich ilość i gęstość powodowały, że w mieszkaniu panował półmrok, bo nie przepuszczały promieni słonecznych do wnętrza domu. Ale za to przed sąsiadkami mogła pokazać, że ma całe okna w kwiatkach. Kolejna rzecz warta

1 Liber copulatorum (Księga zaślubionych) od roku 1928 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie.

2 Liber baptisatorum (Księga chrztów) od roku 1928 – 1948. Wikariat Lokalny w Karszynie.

jest przypomnienia i choć może nie dotyczyła sąsiedzkich rywalizacji, świadczyła jednak o chęci zaimponowania. Chodziło o domowy ołtarzyk, to jest takie miejsce w którymś z pomieszczeń mieszkalnych, gdzie zwykle stała figura czy to Matki Boskiej, Jezusa, czy też świętych. Owo miejsce koniecznie było przystrojone kwiatami – żywymi lub własnoręcznie wykonanymi z kolorowej krepy. Taka szafka lub komódka z zadbanym ołtarzykiem była niewątpliwie powodem do dumy dla gospodyni.

Domową religijność mieszkańców naszej wsi poznać można było także po obrazach świętych postaci wiszących na ścianach we wnętrzu mieszkania. Najważniejszym i tradycyjnym miejscem dla portretów zwykle Matki Bożej Maryi oraz Jej Syna Jezusa była tak zwana biała izba. W moim domu rodzinnym taki pokój gościnny się znajdował, ale zamiast oddzielnych obrazów świętych nad podwójnym łóżkiem wisiał dużych rozmiarów ok. 70 x 140 cm obraz Świętej Rodziny z postaciami Józefa i Maryi pochylonymi nad Dzieciątkiem w bydłym żłóbku. Pokój ów rzadko był używany i raczej tylko wtedy, gdy nocowali w nim goście. Z kolei u naszych sąsiadów – Chmielów portrety Maryi i Jezusa wisiały w pokoju mieszkalnym. Ponieważ zimą izba ta była ogrzewana ciepłem z pieca kaflowego, toteż tam przy dużym stole przyjmowani byli goście. Ich uwagę musiały zwracać wówczas wspomniane wizerunki. Widać, że były stare i duże, a wzrok przyciągały dłonie owych postaci skierowane ku centralnemu miejscu – poranionym sercom, z których spływały krople krwi.

Spoglądając na Karszyn i jego mieszkańców z perspektywy kilkudziesięciu lat, dostrzega się także inne relacje i to może nawet bardziej interesujące. Zachodziły one pomiędzy nowymi mieszkańcami przybyłymi z najróżniejszych stron Polski. Tutaj dochodziło do zabawnych niekiedy sytuacji na tle podkreślania swojej wartości, życiowej mądrości, zaradności. Opowiadała kiedyś pani Anna Kowalik o przybylszu z Mazowsza, który zanim osiadł w Karszynie, przez kilka pierwszych powojennych lat mieszkał w niedalekiej Siadczy.

Ponieważ w tamtym czasie obie wsie wchodziły w skład gminy Bojadła, toteż mieszkańcy tych miejscowości spotykali się raz po raz ze sobą i przy tej okazji wymieniali uwagi na rozmaite tematy. Pewnego razu – jak relacjonowała



Anna Kowalik w otoczeniu swego drobiu.

Kowalikowa – przedmiotem żartów był niejaki Jan M. Któryś z sąsiadów przypadkiem wypatrzył przez uchylone wierzaje od stodoły, że wspomniany gospodarz na wcześniej wymiecionym klepisku poustawiał snopki z niewymłóconym zbożem kłosami do góry. Uczynił to tak, że stanowiły kilka regularnych rzędów. Następnie

przed owymi rzędami umieścił skrzynię, w której trzymał obrok dla koni. Jakież było zdziwienie sąsiada, kiedy zobaczył, że chłop wszedł na skrzynię, odchrząknął, po czym wyciągnął prawą rękę do przodu i ... przemówił mniej więcej tak: ... *Towarzysze, podnośma fundamenta*.... Tyle tylko zdążył usłyszeć podglądający całą scenę mieszkaniec Siadczy, bo ze śmiechu, jaki go ogarnął, zdradził swą obecność i w ten sposób przerwał całe przedstawienie. Po kilku dniach wyjaśniło się, czemu ten rolnik przemawiał do ... snopków. Otóż jako wiejski aktywista wprawiał się w sztuce oratorskiej. Ponieważ nie miał w tym doświadczenia, a i o publiczność do prób pewnie było trudno, toteż ustawione snopy zboża udawały słuchaczy.³ By dokuczyć temu aktywiście, krzyczano czasem za nim: *Towarzysze, podnośma fundamenta!*

Inne zdarzenie, opowiadane nie tylko w Karszynie, dotyczyło naszego sąsiada pana Śmiałka. Pan Władysław, podobnie jak wielu mężczyzn z Karszyna, znany był we wsi z tego, iż nie wylewał za kołnierz. Poza tym był niezwykle uczynnym człowiekiem, o którym się mówi, że własną koszulę z siebie zdejmie i odda ją bardziej potrzebującemu. Kiedy sąsiad był lekko *pod wpływem* i wracał do domu po załatwieniu jakiejś sprawy pieszo czy furmanką, śpiewał. Miał przy tym ładny i donośny głos. W jego stałym repertuarze były „Czerwone maki na Monte Cassino”. Celowo, chociaż krótko przedstawiam sylwetkę sąsiada, bo to postać nietuzinkowa w powojennej historii Karszyna. Dodam jeszcze tylko, że zanim przybył do naszej wsi - jako syn kułaka spod Nowego Tomyśla



Władysław Śmiałek

- trafił do Wojskowego Korpusu Górniczego, w którym, pracując pod ziemią na Śląsku i rąbiąc węgiel kamienny, odbywał obowiązkową służbę wojskową. Otóż nasz sąsiad oprócz wspomnianych cech znany był jeszcze z jednej. Jak mało kto znał się na koniach. A i zwierzęta te szybko na panu Władysławie się poznawały i zachowywały stosowny respekt. O pociągu do koni i zdarzających się okazjach handlu nimi dowiedzieli się kiedyś przejeżdżający z taborem Cyganie. Akurat w tym czasie sąsiad miał konia niezbyt mu pasującego, wręcz zepsutego, gdy idzie o współpracę z człowiekiem. Był jednak ładny i – co trzeba tu podkreślić – posłuszny swemu właścicielowi, który nie pozwoliłby na to, aby to zwierzę nim rządziło. Właśnie w takim czasie zjawili się u pana Władysława wspomniani cygańscy handlarze. Koniecznym zależało im na tym, aby zamienić się na konie i to jeszcze tego samego dnia. Ze swej strony dawali lekko podrasowanego siedmioletniego gniadosza. Sąsiadowi wystarczyło, że spojrzął na przyproawdzone zwierzę i od razu

3 Opowieść przytoczona przez Annę Kowalik.

dostrzegł zarówno jego zalety, jak i kosmetyczne zabiegi wykonane na potrzeby transakcji. Dla pozorów odgarnął chrapy, zajrzał w zęby, potem lewą ręką ująwszy postronek – prawą klepnął konia w zad i puścił go w stronę ogrodu. Następnie odwrócił się do przybyszów i rzekł:

- *Biorę go w zamian za mojego konia, ale pod warunkiem, że nie będzie odwrotu od zawartej umowy pomieniania. Umowa stoi?* – zapytał.

- *Stoi* – jednocześnie odrzekli obaj Cyganie. Na znak zawartej transakcji handlujący przybili poślinione dłonie, po czym przybysze wzięli Śmiałkową kobyłę za postronek i zadowoleni odeszli. Jakież było zdziwienie sąsiadów zza drogi, Przybyłów, kiedy po kilku dniach ujrzeli tych samych cygańskich handlarzy, wykrzykujących coś po swojemu i po polsku na podwórzu pana Władysława i żądających cofnięcia transakcji zamiany. Gotowi byli nawet nieco dopłacić, byle tylko odzyskać swego gniadosza i pozbyć się niefortunnego nabytku. Ale źle trafili, bo tego dnia sąsiad był *lekko w stanie*, co zwykle wyostrzało jego talent. Zapytał tylko, czy wcześniej była mowa o nieodwracalności transakcji i czy koniarskim zwyczajem została przybita. - *Tak, ale ...* zaczął jeden z przybyłych i nie zdążył dokończyć, bo niemal niesiony za kołnierz w kierunku bramy, poznawał drogę do wyjścia. W ten oto sposób nasz sąsiad stał się tematem historii, w której – mając stać się ofiarą handlu koniem z Cyganami – sam ich ocyganił.



Józef Marek

Moim ojcem chrzestnym jest Józef Marek. Kolega mojego taty z lat wspólnej pracy w lesie w początkowych latach po przybyciu do Karzyna. Jeszcze w czasie wojny, mieszkając na Wołyniu, nauczył się szewskiego fachu. Umiejętność ta przydała się w nowym miejscu, bo wtedy o buty było bardzo trudno. Przemysł jeszcze ich nie produkował a i szewcy też ich nie szyli z braku odpowiednich materiałów. Tymczasem sąsiad zza drogi – Ryszard Rychliński - zamierzał się żenić i miał już ustaloną z księdzem datę ślubu. Był jednak pewien szkopał – nie miał odpowiednich butów. Prosił chrzestnego, żeby coś wykombinował, bo przecież nie pójdzie do kościoła w starych, dziurawych człapach. Co było robić – opowiadał szewc Marek. Trzeba było chłopca ratować. Zgodził się i po dwóch

popołudniach – każde poświęcone uszyciu jednego buta – pantofle były gotowe. Wyglansowana powierzchnia obuwia połyskiwała optymistycznie. Można było zasuwąć do kościoła, a potem biesiadować do rana, przy tańcach i muzyce w wykonaniu orkiestry pod batutą Edwarda Bartoszkza. Było już nad samym ranem i panu młodemu tańczyło się jakoś dziwnie lekko, jakby nie miał na nogach obuwia. Spojrzał na stopy – wszystko było w porządku. Bawił się więc dalej. Po jakimś

czasie jednak zauważył, że oba buty ma prawie na wysokości łydek, a poniżej widać było przetarte skarpetki. Co się stało? Chrzestny poratował kolegę w potrzebie i uszył mu buty, tyle że z materiału jedynie dostępnego – tektury, pomalowanej farbą, wyglansowanej do połysku. W innych okolicznościach, gdyby nie były tak intensywnie eksploatowane, wytrzymałyby może nawet i kilka dni.

Jedną z bardziej charakterystycznych postaci Karszyna przełomu lat 50. i 60. był Filip Karbowski. Z wyglądu dość niepozorny, ale rozpoznawalny po niezbyt wysokim wzroście, nieco pochylonej do przodu postawie i niewielkim garbie dodatkowo go deformującym. Miał przy tym dość dużą głowę jak na swój wzrost. Kiedy nie mówił, lecz akurat słuchał swego współrozmówcy, opadała mu dolna warga, wysuwając się nieco do przodu. Był człowiekiem o pogodnym usposobieniu. Osoby go pamiętające na pewno kojarzą tę postać, jak powozi niedużym wozem, zaprzężonym w siwego konika. Para była dość nierozłączna, wóz bowiem był dla pana Karbowskiego jedynym środkiem lokomocji. Obok jego domu rosła stara rozłożysta lipa, a nad całym podwórzem górowała pozbawiona czuba okazała topola. Brak głównego pędu na drzewie spowodował, że w tym dogodnym miejscu uwiły sobie gniazdo bociany. Sympatyczne ptaki spośród wielu – wydawałoby się równie dogodnych miejsc w Karszynie - wybrały właśnie to podwórze. Karbowski był z tego bardzo dumny i często podkreślał, że bociania mądrość każe im zakładać domy dla swoich dzieci po sąsiedzku z ludźmi, że strony których nic im nie grozi, wręcz przeciwnie – jak dodawał – cechuje ich życiowa mądrość. Przytoczony tutaj bociani przyjaciel zwykł w rozmowach z mieszkańcami wsi powoływać się na łączącą go z ptakami zażyłość, dzięki której miał posiadać wiedzę na temat tego, która mieszkanka Karszyna jest przy nadziei, chociaż sama jeszcze o tym nie wiedziała. W rozmowach z dziećmi, które często przysiadły na wozie powożonym przez pana Filipa, dopytywał, czy nie chciałyby braciszka albo siostrzyczki. On jest bowiem w stanie załatwić tę sprawę ze swymi bocianami, bo go słuchają. Po takiej rozmowie dzieciaki często w domu obwieszczały swoim rodzicom o spodziewanym nowym członku rodziny albo pytały, czy nie wybierają się do Karbowskiego zamówić u bocianów braciszka lub siostrzyczki. Bohater tej historii znany był we wsi jeszcze z jednego, to jest ze strzyżenia głów. Miał starą maszynkę, która była wprawiana w ruch przez ściskanie w dłoni metalowych rękojeści. Fryzjerski sprzęt miał jedną bardzo charakterystyczną cechę – nigdy nie był ostrzony, skutkiem czego powodował nie tyle ścinanie, co raczej wyrwanie włosów. Było to bolesne i osoba decydująca się na kosmetyczny zabieg w wykonaniu majstra spod bocianiego gniazda musiała być wytrzymała na ból. Z tego względu zarówno ja, jak i moi koledzy woleliśmy użyć najróżniejszych forteli, żeby tylko nie trafić w jego ręce. Drugi powód, by unikać Karbowskiego jako fryzjera to opinia, niekoniecznie zresztą prawdziwa, że dla uzyskania równego ścięcia włosów z tyłu głowy, zakładał na nią garnek. Następnie nożyczkami strzygł wzdłuż krawędzi naczynia, uzyskując poziom. Taki nieszczęśnik, który wyszedł spod nożyczek albo co gorsza spod maszynki Karbowskiego, nieraz był przedmiotem żartów ze strony bezwzględnych w tych sprawach kolegów.

Był też w Karszynie i inny mężczyzna, z którego sobie w tamtych czasach żartowano, pewnie z uwagi na jego nieco flegmatyczne usposobienie i jąkanie. Przy tym podczas wypowiedzi dało się słyszeć charakterystyczny zaśpiew, który dodatkowo jeszcze czynił tę postać godną żartów. Jeden z dowcipów na jego temat opowiedział, powtarzając pewnie za którymś z dorosłych, mój szkolny kolega Aleksander Marek. Otóż niedługo po zamieszkaniu na stałe w Karszynie, owego mężczyznę zastał sołtys przy pieńku do rąbania drewna. W prawej ręce trzymał niewielką siekiere i właśnie przymierzał się do uderzenia jej obuchem w metalowy przedmiot oparty o pniak i przytrzymany w lewej ręce. Reakcja wiejskiego urzędnika była błyskawiczna – krzyknął tylko – *Nie!!!* I w tej samej chwili wyrwał siekiere z dłoni chłopca. Przedmiotem, który miał otrzymać uderzenie, był niemiecki granat. Co mogłoby z tego wyniknąć – nietrudno sobie wyobrazić. Od tamtej pory żartowano z niego, że za pomocą siekiery zamierzał zrobić z granatu oliwiarkę.

W czasie rozmów z osobami przybyłymi do Karszyna dowiedziałem się o innym zjawisku. Dotyczyło ono sfery języka, którym się posługiwano. Na przykład niektóre słowa używane przez przybyszów z różnych stron Polski stosowane były w odmiennych znaczeniach. Opowiadała pani Karolina Drzymała, z domu Pałamarczuk, Stanisławowianka, że kiedyś ich sąsiadka Urbańska sądziła, że sobie z niej żartują, kiedy pytając, gdzie jest ojciec pani Karoliny – usłyszała odpowiedź, że w patyku. Nie wiedziała, że w Stanisławowskim słowo patyk może mieć i inne znaczenie niż tylko potoczne i odnosić się do kojca, chlewika.⁴ O kolejnym przypadku ze sfery znaczeń wspominała z kolei moja koleżanka Terenia Suwała. Dotyczyło to jej babci Józefy Golli, która pochodziła z Wielkopolski, a dokładniej spod Wolsztyna. Wtedy chodziło o zdziwienie, jakie okazywały rozmówczynie pani Goliny, kiedy się dowiedziały, że ona swoje zrobione w wekach zaprawy odnosi do sklepu. Pytały nawet, czy za przechowanie biorą tam od niej jakąś opłatę. Owe rozmówczynie nie wiedziały widocznie, że w niektórych częściach Wielkopolski słowo sklep oznacza piwnicę.⁵

Na inną jeszcze, równie ciekawą stronę zachodzących wtedy sytuacji zwróciła uwagę pani Karolina Drzymała, a mianowicie na sferę kulturową. Opowiedziała, jak w 1946 roku jej mama, udając się rano do kościoła na rozpoczynającą Święta Wielkanocne mszę rezurekcyjną, dogoniwszy sąsiadkę Franciszkę Przybyłą, pozdrowiła ją słowami: *Chrystus zmartwychwstał!* Była zdziwiona, gdy Przybyłowa odpowiedziała: *Tak, tak.* Pałamarczukowa, Stanisławowianka, spodziewała się innego odzewu, takiego, jak w jej stronach się używało w takim wielkanocnym czasie, to jest: *Prawdziwie zmartwychwstał* lub *Prawdziwie powstał.*⁶ Ze swego dzieciństwa pamiętam, jak wspomniana pani Przybyłowa zapalała gromnicę i stawiała ją w oknie, kiedy nadciągała burza. Pałaca się poświęcona świeca oraz odmawiane modlitwy miały chronić dom i jego mieszkańców przed uderzeniem pioruna. Od pani Zofii Anduły usłyszałem o innym zwyczaju przywiezionym do Karszyna, to jest o wysypywaniu soli świętej Agaty wzdłuż granic własnej posesji.

4 Relacja K. Drzymały, 7.01.2012 r.

5 Relacja T. Suwały, 21.12.2011 r.

6 Relacja K. Drzymały, 7.01.2012 r.

Ludzie praktykujący taki zwyczaj wierzyli, że sól poświęcona w kościele w dniu 5 lutego, to jest gdy przypada uroczystość świętej Agaty, patronki chroniącej domostwa przed jednym z żywiołów, ma cudowną moc zapobiegania pożarom.⁷

Za sprawą pani Krystyny Zagdańskiej miałem okazję zapoznać się z Księgą meldunkową Karszyna. Ocalała ona po ojcu pani Krystyny, Ignacym Śmiałku, który od 1945 roku był tutaj sołtysem. Mój sąsiad, a zarazem nieoceniony druh w podróżowaniu po dawnym Karszynie, pan Bernard Chmiel, potrafił niejedno przypomnieć o zapisanych w Księdze osobach, których od dawna już we wsi nie ma, bo wyjechały albo nie żyją. Mój rozmówca, gdy zobaczył w spisie dawnych karszynian nazwisko Kajetan Wiziński, przypomniał sobie w związku z nim pewną historię. Mężczyzna ten krótko po śmierci księdza Weckera zamieszkał na plebanii. Zgodę na to wyraził następca proboszcza ksiądz Walter. Wiziński, w zamian za możliwość mieszkania, miał opiekować się budynkiem plebanii i całym obejściem. Tymczasem piękny obiekt budził zainteresowanie nowych mieszkańców Karszyna a szczególnie ciekawych różnych tajemnic chłopców. Wiziński, by mieć spokój ze strony ciekawskich podrostków, tu i ówdzie rozpowiadał, że na plebanii są duchy. Sam ich się nie boi, bo pozostaje z nimi w dobrych relacjach. Swe niezwykle umiejętności podkreślał zapalaniem papierosa za pomocą noszonego w tym celu dużego szkła powiększającego i huby. Demonstracja takiej czynności robiła wrażenie na młodych słuchaczach i pozwalała trzymać ich na dystans od nawiedzonego obejścia.⁸

Sądzę, że w moim pisaniu o dawnym Karszynie jest też miejsce na przypomnienie zdarzenia związanego z samobójstwem z miłości. Jak starsi mieszkańcy wspominają, w pierwszych latach po wojnie przybył do wsi samotny mężczyzna o imieniu Iwan. Ponieważ nie chciał wieść życia w pojedynkę, upatrzył sobie pewną samotną kobietę i na różne sposoby okazywał, że mu na niej zależy. Pomagał w pracach gospodarskich, zaopatrywał w drewno na opał, jednym słowem mocno o nią zabiegał. Któregoś razu usłyszawszy, że obdarzana względami pani nie wyjdzie za niego, bo ma na imię Iwan, więc pewnie jest Rosjaninem, postanowił zakończyć swój ziemski żywot. Udał się – jak mówią karszyniacy – *nad kanał*, to jest nad Obrzycę, i się w niej utopił. Był to drugi przypadek, kiedy w tej rzece ktoś utonął.

Chciałbym napisać też o ludziach, którzy tworzyli powojenną historię Karszyna, nie uświadamiając sobie tego. Jednak, ponieważ nieśli pomoc innym, zasługują, by o nich pamiętać. Wiejska akuszerka pani Władysława Pasterniakowa była pierwszą osobą udzielającą porad w sprawach pielęgnacji niemowląt. Także i piszący te słowa po przyjściu na boży świat, najpierw znalazł się z życzliwych dłoniach pani Pasterniakowej. Po latach od tego wydarzenia, to jest od dnia 1 lutego 1956 roku, opowiadała, że rano mój ojciec, kiedy udawał się do roboty w lesie, zajechał rowerem do Pasterniaków, z którymi pozostawał w dobrych relacjach, i zapytał, czy by pani Władysława nie zajrzała do Stachy – jak mówił o mamie – bo mu się wydaje, że to może być dziś. Potem wsiadł na rower

7 Relacja Zofii Anduły, 25.02.2012 r.

8 Historię przypomniał B. Chmiel, 14.04.2012 r.



Władysława i Aleksander
Pasterniakowie.



Władysław Miś.

Eleonrze Zboralskiej. Przecież to ona przez wiele lat spieszyła we wsi z pierwszą pomocą medyczną, pod nieobecność lekarza lub dyplomowanej pielęgniarki. Ilekroć trzeba było zrobić komuś zleczone przez kargowską lekarkę, panią Krompniewską, zastrzyki, niezastąpiona wówczas była pani Zboralska. Dysponowała odpowiednimi, wtedy wielokrotnego użytku strzykawkami, płynami do odkażania i czym tam jeszcze. Dorosłym czy dzieciom, w ramię, czy w pośladek, zabieg wykonywała szybko i sprawnie. A co najważniejsze, nie trzeba było jechać z tym do

i pojechał. Gdy po południu wrócił z lasu, w domu czekałem już na swego ojca tak samo łysy jak wówczas on. Podobno cieszył się z syna, a jego koledzy przez wzgląd na leśną przeszłość ojca szybko wymyślili dla mnie przydomkiem Partyzant i nie mogę do dziś zrozumieć czemu także drugie - Drobnny Major. Gdy byłem całkiem mały, było mi to zupełnie obojętne, ale kiedy podroستم, miałem pewne powody do dumy. Wydawało mi się wtedy, że w czymś jestem podobny do ojca.

Oprócz wspomnianej wyżej pani Pasterniakowej pomocy rodzącym mieszkankom Karszyna udzielała też pani Katarzyna Zdyb.

Pod pewnym względem do opisanych wyżej niewiast podobny był nasz sąsiad Władysław Miś. Człowiek o pogodnym usposobieniu, a przez to łatwo nawiązujący kontakty z innymi ludźmi. Z kimkolwiek by się nie mijał, jadąc wozem czy rowerem, z pewnością zamienił choćby jedno zdanie. Nieważne, czy to dorosły, czy mały brzdąc. Był niezastąpiony, ilekroć potrzebna była fachowa pomoc podczas przychodzenia na świat potomstwa niejednej we wsi krasuli. Po takiej pracy, kiedy krowia mama wylizła już dokładnie swoje małe ciele, trzeba było koniecznie wychylić kielicha, to jest „pępkowe”. Jak przypominam sobie nasze cieleta, przy których narodzinach asystował sąsiad, były widocznie dobrze na tym świecie za sprawą wychylonych kieliszków przyjęte.

Jakże byłoby w tym miejscu nie wspomnieć o pani



Eleonora Zboralska

miasta. Nie słyszało się, aby którejs z osób pomoc udzielona przez tę wiejską pielęgniarkę zaszkodziła. Jak sama mówi – nie było we wsi domu, w którym nie robiłaby komuś zaleconych przez lekarza zastrzyków.

Niesieniem pomocy w stanach przeziębieniowych zajmowała się pani Józefa Murzicz. Każdemu, kto ją poprosił, stawiała bańki i radziła, jak postępować, by możliwie szybko pozbyć się choroby.

Jedną z ciekawszych postaci powojennego Karszyna był Antoni Kostyra. Z zawodu murarz, po godzinach dla przyjemności grywający na trąbce, także wspólnie z karszyńskim quintetem muzycznym. Ów mężczyzna, często muzykujący na zabawach czy weselach, był obdarzony sporym poczuciem humoru. Niekiedy dla polepszenia nastroju wychylał bombkę i wtedy szukał kogoś, by się z nim założyć, że wyjmie swoje oko. Tym kimś musiał być obcy, gdyż miejscowi nie dawali się już nabierać na sztuczkę. Polegała ona na tym, że w zamian za setkę - wiadomo czego - wyjmie swoje własne oko. Jeśli ów ktoś nie wierzył, stawka rosła do dwóch setek. Wtedy siadano przy stoliku, na którym stały już szklane naczynia z płynem, sięgał po łyżeczkę od herbaty i z całym ceremoniałem wyjmował gałkę oczną, którą następnie rzucał do przysuniętego talerzyka. Oko przez chwilę podskakiwało w naczyniu, by w końcu się zatrzymać, spoglądając na *zbaraniałego* ze zdumienia gościa. W tym czasie pan Antoni wychylał obie setki jedna po drugiej, po czym brał w palce swoje oko i umieszczał je na powrót w oczodole. Mógł tak nabierać naiwnych, ponieważ owa gałka oczna była wykonana ze szkła i zastępowała prawdziwe oko, które stracił w jakimś wypadku⁹



Antoni Kostyra (w kapeluszu)
w czasie pobytu na robotach
w Niemczech.

⁹ Opowieść powtarzana w Karszynie jeszcze długo po tym, jak jej bohater wyprowadził się z rodziną do niedalekiego Żodynia.

Wspomnienia osób przybyłych do Karszyna

Nie sposób dokładnie opowiedzieć o wcześniejszych przeżyciach mieszkańców Karszyna, w dodatku wszystkich, którzy tutaj przyjechali po zakończeniu II wojny światowej. Wspomnień tych ludzi nikt nie zarejestrował, a ich samych w przeważającej większości nie ma już wśród żywych. Można zatem jedynie próbować przywołać niektóre zdarzenia, ale już niestety przetworzone, bo przekazane pośrednio. Tę część mojego pisania rozpocznę od mojej 93 - letniej mamy Stanisławy.

W Karszynie znalazła się nie do końca z własnej woli w roku 1949. Tutaj razem ze swoimi rodzicami podążającymi na zachód za frontem wyjechał jej mąż S. Makowski. Na Zachodzie bowiem czekała – jak głosiła propaganda - ziemia, budynki i wszelkie inne dobro po zbiegłych przed Rosjanami Niemcach. Tymczasem mama nie chciała opuszczać ojca oraz braci, z którymi łączyło ją tyle wspólnych, tragicznych przeżyć. Dziadek, wówczas już wdowiec, był zamożnym gospodarzem



Stanisława i Ignacy Mąkosowie,
1955 r.

i może by i nie miał nic przeciwko pozostaniu córki, ale ona była już wtedy matką czteroletniej Jadzi i żoną Stanisława, szukającego szczęścia na Ziemiach Odzyskanych. Zatem rada nie rada wraz z córeczką wyjechała spod warszawskiej wsi do Karszyna. Los jednak chciał, że obie z córką niedługo nacieszyły się mężem i ojcem, ten bowiem w 1952 roku zmarł. Po kilku latach, to jest w 1955 roku wyszła powtórnie za mąż za mojego ojca Ignacego Mąkosę. W rodzinne strony, na Mazowsze, pojechała w odwiedziny może ze 2 albo 3 razy. Ale to właśnie spośród przeżyć w czasie jej długiego życia te najsilniejsze związane jest ze stronami rodzinnymi i wsią Nowy Jadów. Jak opowiada, było to we wrześniu 1939 roku. Pod koniec pierwszego tygodnia działań wojennych wojska niemieckie podeszły pod Warszawę i otoczyły ją ze wszystkich stron.

Front walk przebiegał w poprzek wsi, z której mieszkańcy nie zdążyli uciec i się gdzieś ukryć. Część drewnianych, krytych słomą zabudowań płonęła, nad głowami świstały kule, ogłuszał huk wystrzałów rozstawionych po polach armat, w powietrzu wyły silniki wszechobecnych niemieckich samolotów. Jednym słowem koszmar, jakiego spokojna dotąd wieś nie знаła. Ojca od kilku dni nie było, bo wszyscy mężczyźni musieli udać się na wschód. Nie wiedzieli wprawdzie po co, ale taki był rozkaz. W gospodarstwie pozostała mama, wówczas 18 - letnia dziewczyna, jej 12 - i 8 - letni bracia oraz półroczna siostrzyczka, która podobnie jak wymieniona trójka od Wielkanocy nie miała matki. Matka bowiem całej czwórki zmarła w kwietniu 1939 roku w wyniku

powikłań poporodowych. Dla obu chłopców i maleńkiego dziecka starsza siostra była wówczas drugą matką. Rozumiejąc grozę sytuacji, to że ich drewniany dom również może spłonąć jak pochodnia, postanowiła, że cała czwórka schroni się w bunkrze. Tak nazywała zagłębienie w ziemi, nad którym z belek, desek i słomy przykrytej ziemią zrobiony jest daszek. Zimową porą pomieszczenie to służyło do przechowywania ziemniaków. Teraz w dzień i w nocy pełniło rolę mieszkania. Stamtąd, kiedy ostrzał nieco zelżał, biegła do sadu, żeby wydoić którąś z krów, aby było co wziąć do ust. Tym mlekiem, nieprzegotowanym, bo nie było warunków, karmiła również niemowlę. Pewnie dlatego oraz z braku innych niezbędnych dla życia warunków maleństwo zmarło. Zanim jednak do tego doszło, zdarzyło się to, co ta prosta, ale tyle jeszcze razy doświadczona przez życie kobieta uznała za cud. I to cud, za którym stały – jak mówi – ich od pół roku nieżyjąca matka i Matka Boża, której gipsową figurkę zabrała do bunkra, a którą przed wojną przywiozła z pielgrzymki do Częstochowy. Zdarzyło się bowiem, że w pewnym momencie coś grzmotnęło, w poszyciu dachu zrobił się otwór, a w zabranych z sobą rzeczach coś się zakotłowało. Kiedy podniosła brzeg swetra, w który była zawinięta owa figurka, ujrzała dymiący jeszcze pocisk. On to sprawił całe zamieszanie, ale nie wybuchł. I właśnie to wydarzenie do dziś mama uważa za cud. Kiedy wyjeżdżała na Zachód, nie wiedząc, co los tam dla niej szykuje, oprócz córeczki Jadzi zabrała z sobą figurkę Tej, która – jak wierzy – wtedy ich ocaliła. Gipsowa figurka Matki Bożej była z nami przez wszystkie szczęśliwie spędzone lata w Karszynie.¹

Skoro to ja nadaję ton owemu pisaniu, to jako drugie przytoczę wspomnienie mojego od 21 lat nieżyjącego ojca Ignacego. Urodzony w 1925 roku w osadzie Gaj koło Maniewicz w powiecie kowelskim na Wołyniu jako przedostatnie z siedmiorga dzieci, wcześniej, bo mając 3 albo 4 lata został osierocony przez ojca, który po krótkiej chorobie zmarł. Dorastał zatem w otoczeniu matki oraz sióstr. Mówił, że aby jakoś przeżyć, gdy tylko któraś siostra podrosła, udawała się na służbę a to do dworu, a to do leśniczego, byle tylko miała tam utrzymanie i dach nad głową. Ale w domu, wtedy już wynajmowanym w Maniewiczach pokoiku, i tak były do wykarmienia gęby czworga dzieci. Tymczasem Wielki Kryzys przełomu lat 20. i 30. szalał w najlepsze. Jakimś cudem jednak babka pracująca w miejscowej fabryce parkietu nie pozwoliła losowi na najgorsze. Tak dotrwali do wybuchu wojny oraz do zajęcia Wołynia przez Sowieców. Chyba tylko wzorcowej wręcz biedzie panującej w rodzinie ojca zawdzięcza ona, że podobnie jak inne rodziny osadników wojskowych, którym za udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku przydzielono grunty, nie została wywieziona w 1940 roku do Kazachstanu albo – jak mawiano – na Sybir. Przeżyła jednak inne emocje ze strony współmieszkańców, Ukraińców, a właściwie nacjonalistów, chcących oczyścić teren Ukrainy z obcych, by – jak mówili - budować Samostijnu Ukrainu. Gdy tylko niemieckie wojska znalazły się daleko na wschodzie, walcząc z Armią Czerwoną, wtedy nacjonałisci

1 Opowieść S. Mąkosy, 5.01.2012 r.

rozpoczęli pogrom obcych – Polaków, Żydów, Czechów, Ormian. Najbardziej jednak ucierpieli Polacy. Jak pisze książd Tadeusz Isakowicz-Zaleski w ciągu ośmiu lat (1939-1947) zginęło około 150 tysięcy bezbronnych Polaków.² Stało się tak dlatego tylko, że byli Polakami. To właśnie wtedy babka podjęła desperacką decyzję o ucieczce stamtąd. Jak opowiadał ojciec, pociągi jadące ze wschodu na zachód lub odwrotnie, były dokładnie pilnowane przez bahnschutzów, czyli przez straż kolejową. Było tak niezależnie od tego, co było przewożone w wagonach. Nie powiedział mi jak, ale wraz z matką i wtedy dwiema siostrami dostali się do odkrytego wagonu, tzw. węglarki w $\frac{3}{4}$ napełnionej zbożem. Zakopali się w nim po szyje, a gdy skład zbliżał się do mostu na Bugu, nawet głowy schowali pod ziarnem. Dopiero po drugiej stronie rzeki, na pierwszym dłuższym postoju opuścili wagon i dotarli do Chełma Lubelskiego, gdzie od kilku lat mieszkała i pracowała najstarsza ojca siostra Józefa. Od niej, po wyrobieniu dokumentów, udali się za Wisłę do miejscowości Stoki, skąd dwadzieścia kilka lat wcześniej na wojnę z Sowietami wyruszył dziadek Antoni. Tam u krewnych dziadka dotrwali czasu, kiedy w styczniu 1945 roku ruszyła ofensywa radziecka w kierunku Odry i dalej na Berlin. Za przesuającym się frontem, nie mając dokąd wrócić na Wołyń, podążyła babka Mąkosowa, a wraz z nią syn i dwie córki. W ten sposób cała czwórka znalazła się w Karszynie, gdzie zajęła opuszczoną dwuizbową chatkę po sąsiedzku z nieczynną fabryką.³

Zdarzało mi się widzieć płaczących dorosłych, ale łzy, które zobaczyłem na twarzy pani Marii Kolesińskiej, sześćdziesięciokilkuletniej kobiety na zawsze pozostały w mojej pamięci. Było to jesienią 1968 lub 1969 roku. Istniał taki zwyczaj, że po zebraniu drugiego pokosu trawy na siano można było wypuszczać bydło na łąki, bez obawy, że ich właściciele nie pozwolą na wypas obcym. Wówczas któreś z rodziców, po ustąpieniu porannych mgieł, na ogół około godziny 10.00 wypędzało nasze dwie krasule na leśne łąki *pod kanał*. Tak robiło wielu drobnych gospodarzy, dysponujących jedną, dwiema, czasem trzema krowami. Moim zadaniem było pójść po nasze żywicielki po powrocie ze szkoły. Ponieważ tego dnia zajęcia wcześniej się skończyły, wcześniej też mogłem udać się na łąki. Szedłem chętnie, gdyż wiedziałem, że tego dnia będzie tam pani Anna Kowalik, mama mojego kolegi Olka. Liczyłem, że może i on tam będzie. Olka, niestety, nie było, ale przy ognisku pod lasem zastałem trzy starsze panie: Kostyrową, Kowalikową i Kolesińską. Podszedłem do ogniska, przywitałem się z nimi i zamierzałem iść nad pobliską rzekę, bo o czym miałem rozmawiać ze starszymi kobietami. Zaproponowały jednak, abym poczęstował się ziemniakami, które tylko patrzeć, jak można będzie wyjmować z popiołu żarzącego się ogniska. Przysiadłem więc na chwilę i wtedy usłyszałem, jak znana mi z innych okoliczności pani Kolesińska zaczęła opowiadać swoją historię. By jej za mocno nie rozwlekać, powiem, że dotyczyła 1940 roku i wywózki polskich panów na Syberię spod Lidy na Grodzieńszczyźnie. W środku nocy do majątku teściów, u których mieszkała, (maż po zawierusze wojennej

2 T. Isakowicz-Zaleski, *Przemilczane ludobójstwo na Kresach*, Kraków 2010, s. 13.

3 *Opowieść Ignacego Mąkosy*.

1939 r. jeszcze nie wrócił i nie wiadomo było, co się z nim dzieło) podjechały chyba sanie – dokładnie nie pamiętam – i wysiadło z nich kilku żołdatów z karabinami. Podeszli jednocześnie do drzwi i okien i zaczęli w nie łomotać. Drzwi otworzył teść, którego odepchnęli na bok i obecny najstarszy stopniem wojskowy powiedział, że wszyscy mają pół godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i wyjście na zewnątrz, gdyż jako polskie pany zostaną stąd ewakuowani. Nie wyglądało to dobrze. Dlatego przy chwili zamieszania, kiedy jedno z okien nie było pilnowane, opowiadająca te słowa wyskoczyła na zewnątrz i czym prędzej pobiegła w stronę niedalekiego lasu. Nikt za nią nie wołał ani nie strzelał. Dotarła więc bez przeszkód do wsi, w której mieszkał jej ojciec. Opowiedziała o całym zdarzeniu i zapytała, co ma teraz dalej robić. Od ojca usłyszała tylko tyle: *Gdzie są twoje dzieci, córko? Zostały w domu* – odrzekła. *A gdzie jest miejsce matki?* Nie musiała odpowiadać. Zabrała się więc z powrotem i po jakimś czasie była na miejscu. Wszyscy na nią czekali, jakby wiedzieli, że wróci. Dwaj kilkuletni synowie Janek i Ziułek siedzieli już na saniach, ktoś trzymał zawinięte w poduszki jej kilkumiesięczne dziecko. Nikt nic nie mówił, tylko ów starszyna zwracając się do Kolesińskiej rzekł: *My znali, szto ty wierniosz, job twaju mać, suka*. Uczyłem się już kilka lat języka rosyjskiego, toteż ani mnie, ani słuchającym wspomnień kobietom tego zdania nie trzeba było tłumaczyć. Chyba Kostyrowa zapytała, co było dalej. Po chwili Kolesińska powiedziała łamiącym się głosem: *No cóż dalej? Dalej tak jechali my trzy tygodnie w bydłęcym wagonie, w mrozie, który wciskał się przez każdą szparę w deskach i nic nie pomagało palenie w żelaznej kozie. To z tego mrozu umarła moja dziecinka najmniejsza. Na postoju wykopała ja jamkę w śniegu*



Na fotografii: pierwsza z lewej Maria Kolesińska, Jan Żebrowski, Władysława i Aleksander Pasterniakowie. Na górze od prawej: Wojciech i Andrzej Pasterniakowie, Jan i Józef Kolesińscy.

*i zostawiła biedaczka w stepie.*⁴ Żadne z nas się nie odezwało, nikt już o nic nie pytał. Ja, który z początku chciałem iść nad rzekę, siedziałem teraz jak zamurowany, patrząc, jak po poczerniałych i pooranych bruzdami czasu policzkach Kolesińskiej raz po raz spływają wielkie łzy. Na dziś miałem dosyć. Poszedłem więc sobie niby to po drewno, ale wciąż brzmiało mi uszach owo bezradne pochlipywanie starej kobiety. Od mojego ojca, który kolegował się ze starszym synem Kolesińskiej – Janem – znam dalszy ciąg historii tej rodziny. Po wielu dniach i nocach jazdy, pociąg wreszcie się zatrzymał w środku tajgi. Nakazano wszystkim wysiąść i dźwigając nędzny dobytek udać się w stronę przygotowanych na ich przyjazd drewnianych baraków. W nich zarówno Kolesińska, jak i innych przywiezionych towarowym pociągiem Polaków czekał dalszy ciąg walki o przeżycie. Było to zmaganie się z zimnem i głodem, bo skromne przydziały żywności należały się tylko pracującym przy wycięciu lasu. *Kto nie rabotjejet, nie kuszajet!* – słyszeli często. Dlatego bardzo szybko po wyczerpaniu niewielkich przywiezionych ze sobą zapasów w wielu rodzinach głód był stałym gościem. Bohaterce opowieści i jej dwóm synom udało się przetrwać piekło syberyjskiej tajgi. W strony rodzinne już nie powrócili. Przyjechali do Polski jesienią 1945 r. Jeden z synów – Janek – nieplanowaną podróż na wschód przyplacił później ciężką chorobą, a w jej następstwie przedwczesną śmiercią.

Pani Rozalia Drohomirecka miała 12 lat, jak razem z mamą Heleną oraz spokrewnionymi rodzinami Pałamarczuków i Polaczków przyjechała do Karszyna.



Rozalia Drohomirecka.

Było to 14 lipca 1945 roku. Zapytana przeze mnie, dlaczego wraz z mamą opuściły rodzinne Żuraki pod Stanisławowem odpowiedziała, że nie mogli tam zostać po tym, czego w stosunku do miejscowych Polaków dopuścili się banderowcy w samą Wielkanoc tego roku. Otóż w Święto Zmartwychwstania Pańskiego podpalili zabudowania sześciu zagród należących do Polaków. Od tej pory jej ojciec i ojciec pani Karoliny Pałamarczuk nocowali wśród krzewów jałowca porastających okoliczne wzgórza. Opowiadająca tę historię wraz z matką znalazły schronienie u ukraińskiej rodziny. Którejś nocy do ich drzwi zaczęli dobijać się banderowcy, podejrzewając, że tam mogą się ukrywać Polacy. Tylko błaganiem ukraińskiej gospodyni, matki czworga małych dzieci i jej starej matki obie Polki zawdzięczają życie. Bandydzi bowiem

odeszli, grożąc, że jeszcze tam wrócą. Właśnie wtedy mama pani Rozalii, wskutek silnego stresu nabawiła się przypadłości, objawiającej się nerwowym trzęsieniem

4 Opowieść Marii Kolesińskiej, zapamiętana i przytoczona przez autora.

głowy, jakby miała zaawansowaną chorobę Parkinsona. Tymczasem była to jeszcze młoda, 34 - letnia kobieta. Kolejne noce spędzały u odważnej ukraińskiej rodziny, która ratując Polki, sama ryzykowała życiem. Ojciec w tym czasie nocował u innych Ukraińców. Na początku lata do wsi wraz z frontem przybyło polskie wojsko, które zmobilizowało ojca - Bazylego Drohomireckiego. Wraz z nim przeszedł szlak aż do Berlina. Kobiety w tym czasie zdane były na siebie, na krewnych oraz na pomoc sąsiadów – Ukraińców. Pod nieobecność wziętych do armii mężczyzn, zdarzyła się kolejna straszna rzecz z udziałem banderowców. W okrutny sposób została zamordowana ciotka pani Rozalii, której oprawcy poobcinali obie piersi, połamali ręce i nogi, i w takim stanie pozostawili, by cierpiąc, powoli umierała. Jej mężowi zaś zarzucili sznur z pętlą na szyję i ciągnęli za koniem. Również zginął, tylko pewnie szybciej niż żona i nie w takich męczarniach. Kiedy w czerwcu 1945 roku spokrewnione rodziny Pałamarczuków, Polacków i Drohomireckich dowiedziały się, że Polacy mają wyjeżdżać do Polski, miały prawdziwy dylemat: pozostać na ojcowiznie nie było można, a wyjechać do Polski, to znaczy dokąd? Podjęły jednak decyzję ze strachu przed tym, co już przeżyły. W połowie czerwca otwartymi wagonami służącymi do przewozu węgla wyjechały w nieznane. Podróż koleją, w towarowych wagonach trwała ponad pięć tygodni i składała się z trzech etapów. Najpierw jechali przez dwa tygodnie. Potem gdzieś w Wielkopolsce musieli wysiąść i tam na stacji kolejowej koczować przez kolejne prawie dwa tygodnie. Następnie znów w podobnych warunkach pojechali do Stargardu Szczecińskiego, gdzie znowu na stacji kolejowej czekali tydzień. Dopiero stamtąd dotarli koleją do Kargowej, skąd konnym wozem do Karszyna przywiózł wszystkich Antoni Przybyła. Pani Drohomirecka powiedziała jeszcze, że przed wyjazdem z Żuraków w nieznane wszyscy ukłękli i swój los powierzyli Matce Bożej, odmawiając modlitwę – „*Pod Twoją obronę...*”. Przypomniała też słowa wiersza, który towarzyszył im w drodze:



Z lewej były robotnik
przymusowy Mikołaj Błoński
i Bazyli Drohomirecki. 1946 r.

*Jedziemy do Polski,
Ale już nie wszyscy.
Dużo nas zginęło
Z ręki ukraińskiej.
Domy popalone
A w nich nasze dzieci.
Niechże nasza pomsta
Do nieba polecie.*

Ojciec pani Rozalii dołączył do swoich bliskich w Karszynie po demobilizacji krótko przed świętami Bożego Narodzenia 1945 roku. W swych frontowych wspomnieniach najmocniej przeżywał bezsilność zwykłych żołnierzy, patrzących zza Wisły na płonącą Warszawę, w której ginęli walczący powstańcy w sierpniu i wrześniu 1944 roku.

Pani Rozalia z pierwszych trudnych dni w obcym wówczas Karszynie z rozrzewnieniem wspomina jakże znamienity gest ze strony autochtonek pań Kubackiej i Wyciskowej, które widząc mizериę umęczonych przybyszów, przyniosły chleb, by się nim podzielić z obcymi ludźmi.

Niewykluczone, że któraś z wymienionych wyżej rodowitych karszynianek wspomniana jest po niemal 70 latach przez dzisiejszą mieszkankę Lublina panią Alicję Michałowską, córkę pierwszej po wojnie nauczycielki w Karszynie – Stefanii Szczemirskiej. Jej opowieść cytuję dosłownie, przytaczając fragmenty listu: *Cieszyłam się ogromnie, że trudna, długa droga się skończyła. Zaczynało się nowe życie na rampie kolejowej w Kargowej. Czekaliśmy – dzieciaki – Alina – 1935, Krysia – 1937, Andrzej – 1940, ja Alicja – 1931 i nasze 2 żywioły (krowy) Perelka i Gwiazdka na powrót mamy Stefanii (1910 r.) z poszukiwań pracy nauczycielskiej. W żadnym z miast – Wolsztynie, Kargowej nie było wolnych etatów. Na szczęście we wsi Karszyna czekali na nauczyciela. Mama ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Wilnie. Radość ogromna. Nareszcie mamy dom. Miejscowa ludność przyjęła nas życzliwie, otoczyła opieką. Nazwisk nie pamiętam. Jakaś starsza gospodyni ledwo mówiąca po polsku przynosiła nam warzywa, owoce, a czasem i kawałek kurczaka. Natomiast bogaci gospodarze (chyba ci z Poznańskiego) patrzyli z pogardą na tych przyjezdnych – biedaków. Chętnie natomiast przyjmowali do pracy przy wykopkach ziemniaków. Tam rozkoszowałam się kawą z mlekiem, kromkami chleba z omastą. Mama rozpoczęła pracę w szkole, ja pasłam nasze krowy na łące należącej do kierownika szkoły – czyli mamy.⁵ Kończąc swój list pani Michałowska pisze: *Karszyna to słońce i dobrzy ludzie! Nasze I-sze miejsce zamieszkania na Ziemiach Odzyskanych – nareszcie dach nad głową!*⁶ W innej korespondencji raz jeszcze nawiązała do pobytu w Karszynie i dodała: „... miło wspominać ten rok pobytu dzięki ludności miejscowej – która zamieszkiwała tam przed wojną.”⁷*

Pani Genowefa Kolesińska z domu Kostyra do Karszyna przyjechała wraz z rodzicami – mamą Rozalią i ojcem Antonim w 1946 roku. Początki pobytu w tej wsi wspomina z sentymentem, natomiast czas, kiedy trzeba było uczęszczać do starszych klas szkoły w Kargowej już niekoniecznie. Nie było wówczas komunikacji publicznej i nikt nie dowoził dzieci na lekcje. Należało wcześniej rano wstać, by na godz. 8.00 zdążyć na zajęcia. Niezależnie od pogody i pory roku, niekiedy

5 Fragment listu Alicji Michałowskiej z domu Szczemirska, Lublin, 19.01.2012. (W posiadaniu autora)

6 Tamże.

7 Fragment innego listu A. Michałowskiej, niedatowanego. (W posiadaniu autora)

wychodząc z domu przed świtem i wracając już po zmierzchu. Dobrze było, gdy szła grupa dzieci, wtedy było raźniej. Czasami nawet, szczególnie wiosną, do szkoły szło się tanecznym krokiem, bowiem w ten sposób ćwiczyło się poznane na zajęciach tańce lub układało swoje kompozycje ruchów nóg. Pani Genowefa zapytana o czas poprzedzający przyjazd do Karszyna najpierw się zamyśliła, a w chwilę później dodała, że jej wczesne dzieciństwo nie należało do pogodnych, bo spędziła je bez matki i ojca. Ją oraz dwa lata starszą siostrę Stenię wychowywała mama ojca. Gdy miała pół roku, to mamę Rozalię wiosną 1940 roku aresztowała niemiecka policja. Było to wtedy, gdy rodzice mieszkali w Żodyniu u mamy ojca. Mama pani Genowefy - Rozalia, babcia i jej dwaj bracia zostali oskarżeni



Rozalia Kostyra

o szpiegostwo na rzecz Polski w czasie poprzedzającym wybuch II wojny światowej. Po rozprawach toczących się przed sądami w Konotopie, Legnicy i w Berlinie wszyscy otrzymali długoletnie wyroki. Mama Rozalia wyrok 15 lat więzienia odsiadywała w bydgoskim Fordonie. W tym czasie ojciec Antoni Kostyra wysłany został na roboty przymusowe do Niemiec. Z późniejszych opowieści mamy pamięta, że przebywając w więzieniu, zajmowała się reperowaniem mundurów niemieckich żołnierzy. Całego wyroku nie odsiedziała, bo w styczniu 1945 roku więzienny nadzór, zanim uciekł przed zbliżającym się rosyjskim frontem, wypuścił więźniów na wolność. Powrót do domu trwał jednak kilka miesięcy. Rozalia Kostyra zobaczyła swoje dwie córki, w tym opowiadającą tę historię, dopiero w maju, kiedy zakończyły się działania wojenne. Wkrótce też szczęśliwie powrócił z robót jej mąż Antoni. Niestety, mama pani Rozalii zmarła w więzieniu, a z jej dwóch braci jeden został ścięty w Berlinie, a drugi zaginął bez wieści.⁸

Przystanią, a może i miejscem ukrycia, stał się Karszyn dla Józefy i Wincentego Murziczów. Czemu Murziczowie mieliby się ukrywać w 1945 roku - mój rozmówca – ich syn Tadeusz Murzicz - nie wiedział dokładnie, ale przypuszczał, że mogło to mieć związek z wydarzeniami dotyczącymi wielu Polaków, których spotkało nieszczęście wywózki na Syberię w 1940 roku. Z jakichś powodów rodzina Murziczów nie została wywieziona, chociaż jako polskie pany powinna podzielić los tysięcy rodaków mieszkających na Kresach Wschodnich. Po dotarciu Armii Czerwonej w 1944 roku na Wileńszczyznę, a wraz z nią polskiego wojska, Wincenty został zmobilizowany. Jako żołnierz armii Berlinga dotarł pod Warszawę, gdzie wybuchający granat poważnie go poranił.

8 Historię Rozalii Kostyry przytoczyła jej córka Genowefa Kolesińska, 13.02.2012 r.



Wincenty Murzicz

Przebywając w szpitalu, dowiedział się o oswobodzeniu stolicy i o zdemobilizowaniu na skutek odniesionych obrażeń. Nie wolno mu było jednak powrócić do wsi Rakowce w powiecie głębockim w województwie wileńskim, bo tam nie miało już być Polski. Ruszył więc za frontem na zachód i w ten sposób znalazł się w Karszynie. Było to w marcu 1945 roku. Za pośrednictwem funkcjonującej już poczty skontaktował się z żoną Józefą, której przedstawił obecną sytuację oraz to, że nie może ryzykować powrotu. Ta, naradziwszy się z teściami, u których mieszkała, postanowiła wyruszyć wraz z dwuletnim Tadzikiem do czekającego w Karszynie męża. Wolę wyjazdu wyraziły także zaprzyjaźnione rodziny Radulskich, Radziuków i siostra pani Murziczowej Maria Ławrynowicz.

Mój rozmówca wraz z mamą dotarł do Karszyna na jesieni. Z późniejszych rozmów z ojcem pamięta, że w domu były żołnierz miał karabin, który czasem przydawał się, gdy trzeba było przepędzić ze wsi szabrowników. Przyjeżdżali oni zza niedalekiej byłej granicy i próbowali wywieźć co cenniejsze rzeczy pozostawione przez zbiegłych przed frontem Niemców. W czasie jednej z takich nocnych potyczek ojciec pana Tadeusza został ranny. Opowiadający dodał również, że jego rodzice przez pierwsze lata pobytu w nowym miejscu stale byli przekonani, że niedługo powrócą do siebie na Wileńszczyznę, że zmieni się coś w polityce i będzie to możliwe. Ze swym losem ostatecznie się pogodzili prawdopodobnie w 1956 roku, kiedy na czele partii rządzącej wtedy Polską stanął Władysław Gomułka. Polityk ten, jak można to było wywnioskować, chciał doprowadzić do uniezależnienia się naszego kraju od dotychczasowego całkowitego podporządkowania Związkowi Radzieckiemu. To wtedy Wincenty Murzicz uznał, że ze strony Ruskich nic mu więcej nie grozi, i że za pańską przeszłość nie dosięgną już jego rodziny ich długie ręce. Postanowił nawet sprowadzić do Karszyna swoich rodziców.

Jakie przywoływane wspomnienia dotyczące wydarzeń sprzed wielu dziesiątków lat mogą powodować emocje, przekonałem się, słuchając pani Zofii Anduły.

O tym, że miała niełatwe dzieciństwo, mówili czasem moi rodzice, którzy przyjaźnili się z rodziną pani Zofii. Ale dopiero moje pisanie o Karszynie i rozmowa z obecnie ponad osiemdziesięcioletnią osobą ukazała mi dokładniej jej niełatwy zyciorys. Urodziła się w 1928 roku jako jedno z sześciorga dzieci w chłopskiej rodzinie mieszkającej we wsi Długi Kąt koło Zamościa. Właśnie fakt zamieszkiwania w tym regionie Polski, tak bardzo doświadczonym w czasie

ostatniej wojny, był powodem owych przeżyć. Złożyły się na nie i przykre wydarzenia rodzinne, i dramatyczne przeżycia spowodowane wojną. Jak smutne musiało być dzieciństwo pani Zofii niech świadczy fakt, że powojennego spokoju spośród licznych rodzeństwa doczekała tylko ona i jej starszy brat. Jak sama mówi - wojna zabrała jej oboje rodziców. W 1942 roku umarła matka, a w 1945, krótko po powrocie z *niemieckich łagrów* umarł ojciec. W okolicach Zamościa znajdują się Lasy Janowskie, słynne z działających w nich w czasie wojny oddziałów partyzanckich. Przez ten teren przebiegał główny szlak komunikacyjny, którym Niemcy wozili zaopatrzenie dla wojska walczącego na wschodzie z Armią Czerwoną. Za pomoc udzielaną partyzantom mieszkańcy wsi karani byli w różny sposób. W 1944 roku rodzinna



Zofia Anduła

wieś pani Zofii została spacyfikowana, a ona wraz z wszystkimi mieszkańcami trafiła do obozu w Zamościu. Ludziom tam transportowanym nie dano czasu na zabranie z sobą czegokolwiek. Mająca wtedy szesnaście lat dziewczyna, popychana kolbą karabinu, nie miała pojęcia, co powinna chwycić w garść. Nie wiedziała, co ją czeka, dokąd popędzona zostanie ludność wsi. Po ośmiokilometrowym marszu wszystkich załadowano do towarowych wagonów, którymi dojechali do otoczonego drutem kolczastym obozu. Z pobytu w nim pamięta barak numer 1, w którym mieszkała, i trwające całe noce stanie na placu apelowym. W tym czasie byli wyczytywani tam zgromadzeni. Niektórzy wymienieni występowali przed szereg i byli wyprowadzani do czekających za bramą ciężarówek, które potem dokądś ich wiozły. W czasie pobytu w obozie zachorowała na tyfus. Jak mówi – to cud, że przeżyła, bo codziennie rano z baraków wynoszono ciała zmarłych na tę i inne choroby. Pamięta również, że na całodzienny posiłek składał się bochenek chleba na osiem osób oraz kubek zupy z buraków.

Do Karszyna przyjechała w 1948 roku wraz ze swymi ciotkami – Zofią Marek i Marią Sapon, którym także wspomniana wojna dostarczyła wielu przykrych przeżyć.

Pani Regina Blum miała 9 lat, jak z mamą Janiną, siostrą Heleną i braćmi Władysławem i kilkumiesięcznym Stanisławem na jesieni 1944 roku zostali wywiezieni na roboty do Johannesbergu koło Cottbus. Tam przebywali krótko, bo mieszkający od czerwca w Karszynie wujek Władysław w jakiś sposób załatwił u władz przeniesienie bratowej z dziećmi do wsi, w której pracował w miejscowym leśnictwie. Pani Regina pamięta, że do nowego miejsca zamieszkania przywieźli ich wujek Władek i Walenty Pinecki, z którego bratanicą Jadwigą się ożenił. Wieś wyglądała na bardzo zadbaną. Wrażenie na przybyłych zrobiły znajdujące się we wsi

pełne towaru sklepy – z obuwiem, spożywczy, masarniczy, piekarnia. Zamieszkali razem z wujostwem w tzw. Wehrmachthaus ⁹. Mama pracowała u miejscowych gospodarzy, a w tym czasie ona na zmianę z siostrą opiekowały się młodszymi braćmi. Pamięta też, że niekiedy wraz z mamą szły na pole, by zbierać ziemniaki i wtedy bracia także tam byli zabierani. Po ustaniu prac polowych, kiedy mama miała zajęcie w gospodarstwach, wraz z dziećmi karszynian chodziła do miejscowej ochronki, w której wtedy pracowała pani Waleria Golla oraz ciotka Jadwiga. Ze swych relacji z miejscowymi dziećmi zapamiętała, że ona i rodzeństwo z początku byli przezywani jako polskie świnie. Potem się to zmieniło i nawet się zaprzyjaźniła z dziewczynką – Ingą Mischke. Z czasu przybycia Rosjan do Karszyna pamięta, że przez kilka dni był duży ruch na drodze. Pamięta także, że jednego razu wprowadzili i jak się później okazało przez wiele dni przetrzymywali gdzieś w Świątynie starszą siostrę Helenę. Dziewczynie oraz innej porwanej przez Sowietów Polce udało się któregoś wieczoru uciec z miejsca przetrzymywania. Przez całą noc ukrywały się w wieży ciśnień, skąd następnego dnia z zachowaniem ostrożności lasami wróciła do Karszyna, do swych bliskich.

Kiedy we wrześniu 1945 roku poszła do szkoły, wówczas wraz z nią w klasie byli: Marysia Kloze, Rózia Drohomirecka, Rózia, Kazik i Józek Polaczkowie. W kolejnym roku nauki, kiedy nauczycielami byli Józef Moskwa i Wygachewicz, zdarzyła się pewna historia, która mogła mieć nieciekawe następstwa. Otóż obdarzone temperamentem Marysia i Regina z jakiegoś powodu zostały ukarane przez Wygachewicza. Nie mogąc przeboleć napiętnowania przed resztą klasy, postanowiły się zemścić na nauczycielu. W czasie długiej przerwy przystawiły krzesło do ściany, na której w centralnym miejscu wisiał portret ojca narodów – jak wówczas nazywano Józefa Stalina – i za pomocą wsuwki do włosów wydłubały mu oczy. Wspomniany nauczyciel krótko potem przestał pracować w karszyńskiej szkole. Niewykluczone, że jego odejście miało jakiś związek z wydłubanymi oczami Stalina.

Moja ostatnia rozmówczyni, spośród wielu osób przybyłych do Karszyna po wojnie, pani Anna Błońska pochodzi z Majdanu Średniego w powiecie Nadwórna, w województwie stanisławowskim. Do Polski przyjechała w 1957 roku, w czasie ostatniej repatriacji z dawnych Kresów Wschodnich. Dotarła tutaj w ramach łączenia rodzin, bowiem w Karszynie od zakończenia wojny, a dokładnie od 7 sierpnia 1945 roku mieszkał jej mąż Mikołaj. We wspomnianej wsi znalazł się, kiedy wracał z przymusowych robót, na które został zesłany wraz ze sowim kuzynem Janem Błońskim. Obaj pracowali u bauerów w południowo – zachodnich Niemczech, nad granicą z Czechami. Karszyn spodobał się im i w nim postanowili pozostać. Pani Anna, zanim wyjechała do męża, po nastaniu władzy radzieckiej musiała pójść do pracy w kolchozie. Nowe rosyjskie rządy zakładały, że *kto nie robotajet, nie kuszajet* (Kto nie pracuje, ten nie je). Podobnie jak inni mieszkańcy,

⁹ Tak część mieszkańców Karszyna po 1945 roku nazywała solidny murowany budynek na skraju wsi, który wcześniej służył jakimś celom militarnym.

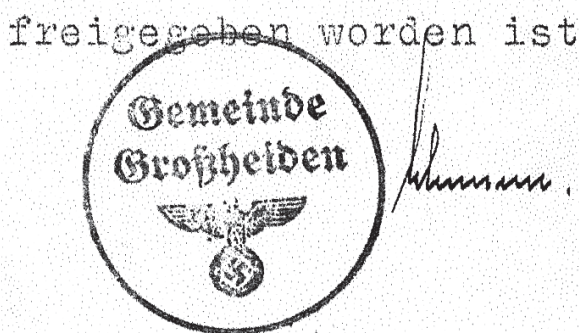
pracując w gospodarstwie rolnym, widziała, na czym polegał ten socjalistyczny fenomen. Bywało też, że zimową porą pracowała w lesie jako drwal. Jak obecnie wspomina ta 92 - letnia kobieta, dawała radę tym męskim zajęciom, bo jest jak ruska stal, która *gniotsia, no nie łamiotsia* (zegnie się, ale się nie złamie). Żałuje, że w młodości nie nauczyła się jeździć na rowerze, przez co przez całe długie życie wszędzie musiała docierać na swoich nogach, które teraz często odmawiają posłuszeństwa.



Na fotografii pierwsza z lewej – Anna Błońska, obok niej Mikołaj Błoński

Władze wiejskie, kolejni sołtysi

Najwyższą władzą we wsi, zgodnie z polskim prawem, są wszyscy jej mieszkańcy. Tak jest w normalnym czasie, innym niż wojna, kiedy wiele praw zapisanych w konstytucji jest zawieszonych. Zatem w Karszynie od początku 1945 roku, do czasu wyłonienia w jakiś sposób sołtysa nie było ciągłości władzy wiejskiej. Niemiecki sołtys, którym był miejscowy leśniczy Friedrich Lehmann, opuścił wieś pewnie w czasie ucieczki jeszcze w styczniu albo został wysiedlony wraz z innymi mieszkańcami w lipcu. Tenże wiejski urzędnik używał charakterystycznej dla tamtych czasów pieczęci. Jej odcisk prezentuje się tutaj dzięki ks. Markowi Pietkiewiczowi proboszczowi Parafii Kargowa, który udostępnił jeden z dokumentów opatrzonej taką pieczęcią.



Odcisk pieczęci Sołectwa Karszyn z lat 1936 – 1945
i podpis sołtysa Lehmana.

O sołtysie - Polaku mówi się po raz pierwszy przy okazji pani Elżbiety Zepke, która w czasie napadu na jej dom szukała pomocy u Pałamarczuków. Było to wtedy, gdy w okolicy mieszkali już Polacy, w tym także szabrownicy, napadający na bezbronnych.

Sądzę, że w połowie lutego mógł Karszyn jeszcze nie mieć sołtysa. Gdyby taki był, pewnie zadbałby o pochówek ludzi zamordowanych w styczniu, choćby z powodów sanitarnych. O obecności sołtysa we wsi mówi się także w czerwcu - lipcu 1945 roku, kiedy dostał polecenie od polskiego oficera, by powiadomił ludność o obowiązku zgromadzenia się następnego dnia na początku wsi i przygotowaniu się do jej opuszczenia. Pozostają więc cztery miesiące, w czasie których we wsi pojawiła się nowa władza. Osobiście skłaniam się ku terminowi majowemu lub czerwcowemu. Wtedy było już po zakończeniu działań wojennych, a więc przyszła pora na jakąś normalizację. To wówczas pewnie sołtysem został były robotnik przymusowy Jan Kojs.¹ W jakich okolicznościach zaczął tę funkcję piastować – nie wiadomo. W normalnym czasie gospodarza wsi wybierają uprawnieni do tego mieszkańcy. Czy w maju był już ów normalny czas? Czy też może pierwszy polski

¹ Informację przekazał J. Marek, 27. 03. 2012 r.

sołtys został wskazany jeszcze przez wojskową komendanturę rosyjską mieszczącą się w niedalekiej Kargowej, Klenicy albo w Bojadłach? Może jakiś wpływ na wskazanie właśnie tej osoby miała umiejętność dogadywania się z wojskowymi. Był więc Kojs pierwszym wiejskim urzędnikiem, odkąd na tym terenie przestała funkcjonować niemiecka administracja. Oznaką władzy sołectkiej była noszona na rękawie białą – czerwoną opaską i przewieszony przez plecy karabin. Starsi karszyniacy wspominają, że inny Polak - przybyły do Karszyna na rok przed końcem wojny, to jest 1 czerwca 1944 roku² – Władysław Blum, po ustaniu działań wojennych, został wójtem gminy Bojadła, bowiem wówczas Karszyn do tej gminy należał. Prawdopodobnie jeszcze w roku 1945 nastąpiła zmiana na funkcji sołtysa, bowiem opierając się na informacji pochodzącej z „Planu odnowy wsi Karszyn”³ wnioskuję, że we wspomnianym wyżej roku gospodarzem tworzącego się nowego wiejskiego organizmu został Ignacy Śmiałek. Ten mężczyzna, przybyły do Karszyna 28 czerwca 1945 roku⁴, pełnił funkcję sołtysa z pewną przerwą do 1970 roku. O Ignacym Śmiałku warto w tym miejscu powiedzieć, że w czasie wojny najpierw przebywał w obozie jenieckim pod Magdeburgiem, a następnie na robotach przymusowych w gospodarstwie rolnym. Fotografia obok pochodzi z dokumentu, potwierdzającego status robotnika Polaka w Niemczech.



Sołtys Ignacy Śmiałek.

Przerwa w pełnieniu funkcji dotyczyła czasu, kiedy w Polsce na początku lat 50. ograniczona została wiejska samorządność i zniknęła instytucja sołtysa oraz sołectwa. W ich miejsce w 1954 roku powołane zostały gromady. Tworzyło je zwykle kilka wsi, zamieszkiwanych przez około 3 tys. mieszkańców. Władzę w gromadzie sprawowała gromadzka rada narodowa. W jej skład wchodziłi przedstawiciele zwani pełnomocnikami gromad. W Karszynie takimi przedstawicielami mieszkańców byli Władysław Lewandowski i Józef Miś. W 1958 r. przywrócono we wsiach instytucje sołtysów.⁵ W Karszynie mieszkańcy funkcję tę ponownie powierzyli Ignacemu Śmiałkowi. Pełnił ją do 1970 roku, to jest do wyboru Henryka Wyciska na gospodarza wsi.

Na czym w pierwszych miesiącach polskich rządów w Karszynie polegały obowiązki sołtysa? Między innymi na przydzielaniu przybyszom wolnych zagród, zwierząt inwentarskich pozostałych po dawnych właścicielach, prowadzeniu księgi meldunkowej. Sołtys był zatem we wsi władzą, bo to z nim najpierw kontaktowali się przedstawiciele administracji państwowej szczebla gminnego, powiatowego

2 Informacja pochodzi z Księgi meldunkowej prowadzonej przez sołtysa Karszyna, s. 136.

3 Plan odnowy miejscowości Karszyn ..., s. 13.

4 Informacja pochodzi z Księgi meldunkowej prowadzonej przez sołtysa Karszyna, s. 54.

5 Sprawę tę regulował art. 72, ust. 2 ustawy z dnia 25 stycznia 1958 r. o radach narodowych. (Dz. U. nr 5, poz. 16)

czy wojewódzkiego lub milicja mająca jakieś sprawy do mieszkańców wsi. On bywał na naradach w różnych sprawach najczęściej w urzędzie gromadzkiej rady narodowej lub urzędzie gminy. Wszystkie kontrole dotyczące porządku czy spraw bezpieczeństwa przeciwpożarowego, którym poddawane były zagrody, odbywały się w asyście sołtysa, milicjanta i w zależności od jeszcze innego charakteru lustracji – strażaka, melioranta, agronoma, weterynarza a nawet komornika. Na polecenie z góry zwoływał zebrania wiejskie, roznosił nakazy podatkowe, inkasował pieniądze z tytułu nałożonych podatków, wystawiał zaświadczenia. Sołtys był jakby urzędnikiem w swojej wsi. On także egzekwował obowiązek prac na rzecz wspólnoty wiejskiej, na przykład w czasie budowania dróg lub ich odkopywania, gdy były nieprzejezdne z powodu zasp śnieżnych. Gdy w latach 50. ubiegłego wieku była słynna akcja zbierania stonki, za jej sprawne przeprowadzenie też odpowiedzialny był sołtys. On jako pierwszy odbierał słowa krytyki, jeśli z jakichś powodów wieś podpadła władzy. Jak opowiada pani Krystyna Zagdańska, jej ojciec Ignacy Śmiałek na przełomie lat 40. i 50. nieraz był wzywany jako sołtys do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sulechowie, by się wytłumaczył z niepobieranych wśród mieszkańców podatków. Wtedy obie z mamą szykowały ojcu bieliznę na zmianę oraz zapas żywności na tydzień. Wyjazd na rozmowę do tej instytucji nigdy nie gwarantował szybkiego powrotu do domu. Pani Krystyna przypominała też o innych obowiązkach, które musiał wykonywać jej ojciec na polecenie władzy w pierwszych latach swego sołtysowania. Otóż w Karszynie mieszkali wtedy znani ze swobodniejszego trybu życia bracia R. Za ich sprawą niejedna zabawa w okolicy skończyła się przed czasem. Po takich wyczynach następnego dnia u wspomnianych karszyniaków zjawiali się funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i wręczali im wezwania do stawienia się na posterunku w Bojadłach. Obowiązek zawiezienia ich furmanką spadał oczywiście na sołtysa. Interesujący był ciąg dalszy tych wydarzeń, bowiem w lesie między Karszynom a Siadczą sołtys miał krępowane ręce, koń z wozem był zawracany, zaś aresztanci umykali w las. Taka sytuacja powtarzała się kilka razy. Wszyscy wiedzieli, że cała sprawa jest mało poważna, ale nikt zbytnio się tym nie przejmował, bo uczestnicy tych wydarzeń dobrze się ze sobą znali. Bywało też, że niedoszli zatrzymani wpadali przy okazji do swego sołtysa na ćwiarteczkę, by podziękować mu za okazowaną wyrozumiałość. Pani Krystyna przypominała, że ojciec pełnił we wsi także funkcję sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, co wcale mu nie przeszkadzało w czasie uroczystości religijnych, takich jak Boże Ciało, podtrzymywać ramię księdza niosącego w czasie procesji monstrancję z Najświętszym Sakramentem. Z zabawniejszych momentów z ojcowego sołtysowania wspomina chwile, kiedy chciał się wyrwać choć na trochę spod rządów swej małżonki. Wtedy urzędowym tonem zwykł mawiać: *Idę sprawdzić, czy z meldunkami wszystko się zgadza*. Brał ze sobą Książkę meldunkową Karszyna i udawał się na obchód wsi. Najczęściej w czasie takich ważnych urzędowych czynności odwiedzał zagrodę pani Franciszki Chmiel, u której w tamtym czasie wynajmowali kwatery pracujący w miejscowym leśnictwie leśnicy. Sołtys – jak kontynuowała pani Krystyna – miał inny powód,

by się wyrwać z domu. On wiedział, że pani Franciszka robi najlepsze we wsi wino z czerwonych porzeczek i że powinno już się nadawać do spożycia. Musiał zatem jako osoba urzędowa sprawdzić, czy tak istotnie jest. Po takich ważnych czynnościach służbowych wracał do domu z lekkim odchyleniem od pionu.⁶ O tym, że porzeczkowe wino pani Chmielowej musiało być wyśmienite świadczy fakt, że także ksiądz Meger odwiedzający swych parafian po świętach Bożego Narodzenia chętnie wychylał lampkę tego trunku.

To za Henryka Wyciska, który w 1970 roku zastąpił Ignacego Śmiałka na funkcji gospodarza wsi, w Karszynie rozpoczęły się przygotowania do zainstalowania oświetlenia ulicznego, które kiedyś, jeszcze przed wojną, było w tej miejscowości czymś normalnym.

Gdy w 1990 roku złożył swój urząd i postanowił nie kandydować na kolejną kadencję, mieszkańcy na zebraniu wiejskim wybrali Irenę Kasperek (Blum) na swoją sołtyskę. Irka, moja koleżanka z podstawówki, bratanica pierwszego powojennego wójta Bojadeł, rządziła wsią przez dwie kolejne kadencje. Była jak dotychczas jedynym sołtysiem – kobietą w historii tej miejscowości. Z ważniejszych zrealizowanych wtedy inwestycji na uwagę zasługuje rozbudowa sieci telefonicznej, dzięki czemu zainteresowane osoby mogły odtąd korzystać z tej zdobyczy techniki. W 1998 roku zawiadywanie wspólnotą mieszkańców objął Ireneusz Skorupiński, który sołtysował do 2006 roku.

Za jego kadencji na obrzeżach wsi zostało wytyczone boisko sportowe, a obok niego powstała muszla koncertowa, która jest wykorzystywana w czasie odbywających się na świeżym powietrzu wiejskich imprez. Po Ireneuszu Skorupińskim zdecydował się pełnić funkcję gospodarza wsi przybyły do Karszyna Wiesław Okrzos.

Ten był wojskowy za swoją dewizę jako gospodarz wsi przyjął, że będzie wszędzie tam, gdzie decydować się będzie o sprawach ważnych dla tutejszych mieszkańców. Dzięki jego staraniom miejscowa sala wiejska poddana została gruntownemu remontowi. Od tej pory



Sołtys Henryk Wycisk.



Sołtys Ireneusz Skorupiński.

6 Informacji udzieliła Krystyna Zagdańska, 30.03.2012.



Sołtys Wiesław Okrzos.

są też z prawdziwego zdarzenia klimatyzowane pomieszczenia, a w nich wyposażenie, z pomocą którego miejscowe panie z koła gospodyń wiejskich mogą przygotować potrawy na różne wiejskie lub rodzinne uroczystości. Obok sali został urządzony plac zabaw dla dzieci a w pobliżu kościoła postawiono ławki. Do wszystkich chętnych został poprowadzony wodociąg, w tym na miejscowy cmentarz i boisko sportowe. Pan Okrzos był pomysłodawcą powołania do życia Stowarzyszenia Wsi Karszyn – Dąbrówka, które ma na celu rozwój kulturalny obu miejscowości. Z jego inicjatywy w maju 2010 roku reaktywowane zostało kółko rolnicze.

**Sołtys Sołectwa
Karszyn**

Odcisk pieczęci sołectwa z podpisem sołtysa W. Okrzosa.

Trzeba z czegoś żyć

Z czego w tej powojennej zawierusze żyli mieszkańcy wsi? Nietrudno się domyślić, że panował powszechny niedostatek. Jak czytamy w opracowaniu, powstałym na podstawie sprawozdań pełnomocników rządu, wysyłanych na Ziemię Zachodnie w celu inicjowania zaczątków polskiej administracji w tym czasie ...*luk w zaopatrzeniu [...] nie był w stanie zapłacić handel. Wiosną 1945 roku dopiero się organizował. Brakowało środków transportu. Niektórzy pełnomocnicy rządu obserwowali, iż kupcy raczej przyjeżdżają na ziemie zachodnie po towary niż przywożą coś do sprzedania.*¹ Na tym terenie wraz z upadkiem państwa niemieckiego przestała obowiązywać jego waluta. Najpewniejszym pieniądzem stał się towar. Tymczasem - jak dalej czytamy - ...*handel nie mógł sprostać oczekiwaniom z uwagi na brak pieniądza w obiegu. Pełnomocnicy [...] wielokrotnie domagali się wprowadzenia do obiegu waluty, gdyż to umożliwiłoby rozwój handlu i życia gospodarczego w ogóle.*² Tak więc jeśli z braku pieniędzy miało się towar, można było liczyć na wymianę za inny, akurat potrzebny. Żyli więc względnie nieźle cwaniacy i kombinatorzy, ludzie bez skrupułów. Liczył się zysk za wszelką cenę. Takiemu stanowi rzeczy sprzyjała korupcja i znajomości. Podejście to zaowocowało określeniem używanym w odniesieniu do ziem nad Odrą i Bałtykiem, przyłączonych do Polski po ostatniej wojnie – *Dziki Zachód*. To również dlatego najróżniejszej maści osobnicy zrobili sobie źródło dochodu z ograbiania z czego się dało nie tylko mieszkających tutaj autochtonów, ale i ludności dopiero co przybyłej. Z czego zatem żyli dotychczasowi karszyniaczy, którzy byli i u siebie, i już jakby niezupełnie? Kto miał jakieś zapasy, mógł je wymienić za coś innego. Chodliwym towarem była odzież i obuwie. Także żywność, bowiem ...*brakowało szczególnie cukru, mięsa, tłuszczów, nabiału, jarzyn, a nawet soli.*³ W czasie wojny istniejące wytwórnie i fabryki przestawione były na produkcję militarną i potrzeba było czasu na ich normalne funkcjonowanie. Ponieważ dopiero co przez te tereny przetoczył się front z wielomilionową rzeszą żołnierzy, opustoszały magazyny z zapasami żywności. To zaś, co nie uległo zniszczeniu w czasie działań wojennych, przejęli Rosjanie jako łupy, którymi nie zamierzali się dzielić. Produkty żywnościowe z nowych zbiorów dopiero rosły na polach, i to nie na wszystkich. Gdzie zatem najczęściej można było się zaopatrzyć w to, co niezbędne? – na bazarze, na targu, u handlarza, za którym często stał niejeden szabrownik. Pewnym umownym rodzajem waluty był też alkohol, to jest spirytus, a także jego odpowiednik - produkowany domowym sposobem - bimber. Za alkohol można było na przykład kupić to, czym dysponowało wojsko, w tym szczególnie Rosjanie. Kto więc miał czym zahandlować, ten jakoś funkcjonował. Kto inny zaś, mniej przedsiębiorczy, cienko prządl. Tak było również z ludnością autochtoniczną, nawykłą do porządku i dyscypliny. Kto miał gospodarstwo rolne, większe czy mniejsze, mógł liczyć

1 D. Rymar, Ukształtowanie się Ziemi Lubuskiej jako jednostki administracyjnej w świetle sprawozdań pełnomocników rządu (lutym – lipiec 1945), [w:] Rocznik Lubuski, t. 31, cz. 2., s. 24.

2 Tamże.

3 Tamże, s. 23.

przynajmniej na wyhodowane w zagrodzie czy na polu produkty spożywcze. Ich nadwyżkę można było sprzedać, wymienić na coś innego. Kto nie dysponował gospodarstwem, szukał zarobku z początku u gospodarzy zarówno miejscowych, jak i w sąsiednich wsiach. Zapłata na ogół była w naturze – ziemniakami, mlekiem, ziarnem zbóż, czasem mięsem ze świniobicia. Składał się na nią otrzymywany podczas pracy posiłek. Zarówno przedwojenny Karszyn, jak i ten powojenny był zapleczem pracowniczym dla dużych gospodarstw rolnych w Dąbrówce, Kargowej a nawet w Bojadłach. Rosnące zapotrzebowanie na węgiel wydobywany na Śląsku, powodowało z kolei zapotrzebowanie na drewno do kopalń.

Lokalne władze, zabiegając o swój dobry wizerunek, wiele robiły, by pracy było coraz więcej. W 1949 roku w Kargowej ruszyła fabryka cukierków, dawna Wytwórnia Czekolady Carla Lichtensteina, po wojnie zakład państwowy. To był i do dziś jest, oczywiście pod innym szyldem, zakład pracy dla wielu mieszkańców Karszyna. Wraz z ruszeniem robót w lasach i w państwowych gospodarstwach rolnych gospodarzących na obszarach zmeliorowanych zaszła potrzeba przeprowadzania prac pielęgnacyjno – konserwacyjnych na wielu kilometrach wówczas jeszcze dobrze utrzymanych obiektów hydrologicznych. Większość robót była wykonywana ręcznie.

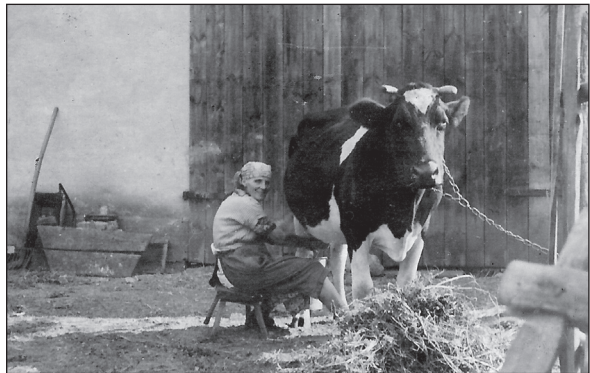
Tego okresu dotyczy opowieść mojego ojca o pracy w melioracji razem z Franciszkiem Gollą. Otóż wykonywane późnowiosenną porą roboty na rowach melioracyjnych polegały na wykaszaniu wyrosłej na dnie wodnej roślinności, którą potem należało grabiami wydobyć na koronę skarpy tak, by woda mogła swobodnie płynąć. Towarzysz ojca, jako pozostałość po służbie w Wehrmachcie we Francji, wyniósł nawyk gaszenia pragnienia winem, do czego skutecznie udało mu się przekonać także innych. Praca była ciężka, na dworze gorąco, toteż brygada gasząca pragnienie winem już niekiedy około południa była nieco zmęczona. Postanowiono więc największy południowy upał przeczekać w cieniu rosnących nad rowem olszyn. Niezadługo wszyscy posnęli. Po jakimś czasie któryś się obudził i zauważył brak Franciszka. Zawołał więc na pozostałych, czy nie wiedzą, gdzie się podział Golla? Po chwili wszystko się wydało. Bohater całego zamieszania drzemał sobie... w rowie, unosząc się na powierzchni wody! Obecni nie mogli się nadziwić temu, co ujrzeli. Dopiero sam Franciszek całą rzecz objaśnił we właściwy sobie sposób mówiąc ze śląska: *A co, wy pioruny! Myślıta, żem miał jak wy się myńczyć? Włoz żym do wody i było mi richtig.* Następnie opowiedział, jak owa sztuczka z unoszeniem się na wodzie swego czasu uratowała mu życie. Było to podczas wojny, nie pamiętam dokładnie, ale gdzieś chyba we Francji. Jego kompania dostała rozkaz, by z pomocą nadmuchiwanych pontonów przepłynąć na drugi brzeg rzeki i tam zająć pozycje, by z kolei następne jednostki mogły do nich dołączyć. Zaledwie spuścili pontony na wodę i do nich wskoczyli, z drugiej strony odezwały się karabiny maszynowe, które strzelały do nich jak do kaczek. Wielu trafionych kamratów szybko poszło na dno lub bezwładnie płynęło z prądem rzeki, który za zakrętem znosił ich ku wrogiej stronie. Powrót do swoich oznaczał niewykonanie rozkazu, za co groziła kulka. Zdał się więc na los i, udając zabitego, pozwolił nieść

się rzece. Gdy nurt rzucił go na drugi brzeg, do końca dnia przesiedział po szyję w chłodnej wodzie, ukryty pod liśćmi wodnej roślinności. Wyszedł ledwie żywy z zimna dopiero wieczorem, gdy w wyniku powtórnego ataku drugi brzeg został zdobyty. Woda i sztuka utrzymania się na niej w bezruchu uratowały mu wtedy życie.⁴

Jak już zauważyłem pojawiła się praca, może nie dla wszystkich na miejscu w Karszynie, ale ona była, co oznaczało, że wraz z nią będą środki do życia. Gdzie zatem jeszcze oprócz wymienionych wyżej miejsc podejmowano zatrudnienie? W samej Kargowej na składnicy drewna, zlokalizowanej w pobliżu bocznic kolejowej, skąd odpowiednio posortowane wagonami, jechało do fabryk przemysłu drzewnego, do śląskich kopalń, wytwórni papieru. Po kilka osób pracowało na kolei, ale już nie tylko w samej Kargowej. Pracę zapewniał także tamtejszy młyn, gazownia miejska, Gminna Spółdzielnia, a w jej ramach rzeźnia i piekarnia. Niektórzy, przedkładający profesję urzędniczą nad fizyczną znaleźli miejsca pracy w urzędzie gminy lub na poczcie. Sporymi pracodawcami okazały się także Państwowy Ośrodek Maszynowy i Spółdzielnia Kółek Rolniczych. Natomiast wykonawcy zawodów budowlanych, jak murarz, zdun, stolarz, elektryk czy hydraulik pracowali w Zakładzie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Niektórzy karszyniaci przez wiele lat dojeżdżali do Fabryki Mebli w Wolsztynie lub do Sulechowa, gdzie szczególnie ślusarze i mechanicy pracowali w PROWODROL - u. Przez pierwszych kilka powojennych lat pracodawcą dla robotników był klenicki tartak.

Istotna grupa mieszkańców Karszyna nigdzie nie wyjeżdżała w poszukiwaniu pracy. Prowadząc niewielkie gospodarstwa rolne, a w ich ramach także utrzymując jedną czy dwie sztuki bydła mlecznego, próbowali sprzedawać na targu lub dostarczając bezpośrednio do domu odbiorców świeży nabiał: mleko, śmietanę, twaróg, masło. Te w sumie niewielkie dochody były często jedynymi pieniędzmi, jakimi dysponowali.

We wsi była też grupa tzw. chłoporobotników. Zaliczano do niej ludzi z rodzin, w których jedno z małżonków zajmowało się zwykle niewielkim gospodarstwem rolnym, drugie było gdzieś zatrudnione. Po swojej pracy, na ogół w porze od wiosny do jesieni, ów ktoś pomagał w pracach rolnych. Do tej kategorii mieszkańców zliczała się moja rodzina. Niewielkie, bo niespełna pięciohektarowe gospodarstwo figurowało na moją mamę, jako rolniczkę. Ojciec zaś był zatrudniony jako drwal w miejscowym leśnictwie. Po powrocie z lasu,



Józefa Golla w czasie południowego udoju.

4 Opowieść Franciszka Golli za pośrednictwem I. Mąkosy.

z wyjątkiem zimy, czekała go dalsza praca w polu. Tam niemal zawsze było coś do roboty. O co chodzi, na pewno dobrze rozumieją mieszkańcy wsi. Wiosną należało wywieźć z obory gnój na pole, następnie przy pomocy widel ręcznie rozrzucić, by można go było przyorać. Później na części gruntów trzeba było posadzić ziemniaki, oczywiście ręcznie i z dźwiganej płachty, wrzucając każdą bulwę do dołka i ją przydeptując. Na użytki zielone należało wysiać nawozy, żeby w czasie sianokosów było co grabić, po skoszeniu trawy. Nawozy sztuczne wysiewało się ze specjalnej opalki dźwiganej na szerokim pasie, przewieszonym przez bark lub z wiadra, przytrzymywanego jedną ręką lub zawieszonego na pasku również przez bark. Drugą sięgało się po nawóz i tak, jak kiedyś siało się zboże, przez lekko rozwarpte palce rzucało się go z rozmachem od prawej strony ku lewej. Kiedy nadszedł czas sianokosów, kto tylko mógł, spieszył się, żeby – gdy siano już się nadawało – zwieźć je do stodoły przed deszczem. Bywały takie lata, że pogoda sprzyjała i nie trzeba było się wiele narobić przy suszeniu trawy, ale jeśli padały deszcze, wówczas praca taka stawała się prawdziwą mordegą. Może trochę łatwiej było przy sianokosach u rolników, bo mieli siłę pociągową – konie, z pomocą których maszyną można było zgrabić siano najpierw na wały i dopiero potem ręcznie przy pomocy widel poznosić na niewielkie kopy. W naszym przypadku, kiedy nie mieliśmy konia ani zgrabiarki, całą pracę wykonywaliśmy ręcznie. Najpierw przy pomocy grabi należało, sięgając po jeden albo dwa pokosy, zgrabić na mniejszy wałek,



Mąkosowie przy żniwach.

a następnie ten wraz z będącym pod nim pokosem oraz tym obok na kolejny pokos. Potem, zachodząc z drugiego końca już nieco większego wału albo przekładając grabie do drugiej ręki, dograbić pokos z drugiej strony. Siano będące w takim wale można już było kupkować, to jest z pomocą widel składać w niewielkie kopy, pograbiając za sobą pozostałe resztki. Po tak wykonanej ręcznie

pracy na łące nie było tyle strat, jak w przypadku zgrabiania maszynowego. Jeśli kolejny dzień był pogodny i najlepiej trochę wietrzny, wówczas po ustąpieniu porannej rosy należało siano z kupek rozrzucić, by mogło przesychnąć. Po kilku godzinach trzeba było je odwrócić, by i spodnia część także przeschła. Po takim zabiegu niekiedy już siano nadawało się do wywiezienia z łąki do stodoły. Ale jeśli było jeszcze wilgotne, wówczas należało ułożyć je w kopy i to możliwie duże. W kolejnym dniu, o ile pozwalała na to pogoda, trzeba było operację powtórzyć, z przewracaniem rozrzuconego siana włącznie. Wtedy dopiero, gdy była pewność, że już można je zwozić, bo na pewno jest suche, potrzebny był wóz i konie. Wiedząc, że o pojazd w czasie, gdy wszyscy robią siano, jest trudniej jak o konia,

obdarzony wielu talentami ojciec własnoręcznie zrobił wóz, na gumowych kołach. Przydał się potem we wszystkich pracach wymagających transportu. Swojego konia nie mieliśmy jednak nigdy, gdyż ojciec uważał, że nasze gospodarstwo jest za małe, by go wyżywić. Wróć jeszcze do owego składania siana w kopy w czasie suszenia. Robiło się to po to, żeby nocą, kiedy w powietrzu jest zwykle więcej wilgoci niż za dnia, nie wnikała ona z powrotem w suszone siano. Gdy było w kupkach albo w dużych kopach, wówczas tylko z zewnątrz było z rana lekko wilgotne. Poza tym w nocy mógł spaść deszcz i jeśli siano było w kopach, nie przemoczył go tak szybko, jak wtedy, gdy było niezgrabione czy pozostało w wałach. Tak, praca przy suszeniu siana była żmudnym zajęciem, a szczególnie, gdy była wykonywana ręcznie. Tu warto dodać, że karszyniaczy mający bydło pracowali przy sianokosach dwukrotnie. Pierwsze siano robili zwykle w czerwcu, najlepiej przed kwitnieniem traw, a drugie w sierpniu. Nie było reguły, kiedy praca była lżejsza, bo to zależało od warunków pogodowych. Zwykle jednak siana z drugiego pokosu było nieco mniej.

Kolejna ważna praca, jaką należało wykonać, mieszkając w Karszynie i mając ziemię, to żniwa. Taki czas od zawsze dla mieszkańców wsi był najradośniejszą porą roku, bo wtedy gromadziło się w zagrodach plony zbóż, z których był chleb na cały rok. Dlatego żniwa powinny były przebiegać sprawnie. By tak było, należało się do nich przygotować. Również chłoporobotnik Ignacy, to jest mój ojciec, gdy widział, że żyto już nadaje się do koszenia, wyznaczał dzień, kiedy kto żyw, a więc cała nasza czwórka uda się w pole. Przedtem jednak, po powrocie z pracy w lesie, wynosił niewysoki drewniany pieńek, wbijał w niego babkę, przynosił rozkładane wędkarskie krzeselko i z pomocą młotka zaczynał klepać kosę, żeby – jak mówił – miała jad. Po tej czynności oprawiał ostrze na kosisku, do którego przymocowywał kabłąk, pełniący rolę odkładnicy w czasie sieczenia. W domu już wiedzieliśmy, że następnego dnia, jeśli tylko będzie pogoda, Mąkosowie będą żniwować. Na czym owo żniwowanie polegało? Jak się zaczynało? A no zwyczajnie - od splunięcia w dłoń, zatarcia ich i powiedzenia – w imię Boże. Potem był zamach i szu, szu, szu... Słuchać było powtarzające się, miarowe odgłosy cięcia kosą źdźbeł słomy, układanej w równy pokos. W pewnej odległości za ojcem podążała mama, która schylając się, z pomocą sierpa albo bez niego podbierała skoszone zboże w wiązki i odkładała je na pewną odległość. Za mamą szliśmy oboje z siostrą i na zmianę źdźbłami zboża wiązaliśmy w snopki odłożone wiązki. Po przejściu 1/3 długości półhektarowego pola ojciec sięgał po podłużny kamień, będący w przymocowanym z tyłu paska od spodni blaszanym pokrowcu z odrobiną wody. Następnie pociągał nim kilkakrotnie i na przemian po obu stronach ostrza, poczynając od strony kosiska i na czubku kosy kończąc. Potem przecierał chusteczką spocone czoło i kontynuował pracę. Nie pamiętam, ile czasu potrzebował ojciec na zżęcie owej powierzchni, ale gdy już żyto było pokoszone, wszyscy razem ustawialiśmy snopki w kopy, zwane też mendlami. Oczywiście ustawianie zaczynał ojciec, biorąc dwa snopki w ręce i uniósłszy je do góry, wbijał knowiami w ziemię, po czym przygarniał kłosa ku środkowi. Do tak ustawionych snopków dostawialiśmy następne, tak że w jednej kopie było ich osiem.

Podobnie jak u nas, wyglądała praca u innych małorolnych lub chłoporobotników podczas sianokosów, żniw czy innych prac polowych. Z tą różnicą, że rolnicy gospodarzący na większych powierzchniach gruntów wykorzystywali siłę pociagową zwierząt oraz maszyny. Musieli jednak także porządnie się napracować, by ze swego wysiłku mieć jakieś korzyści. Chłoporobotnicy to chyba była druga po rolnikach najliczniejsza kategoria osób w ten sposób zarabiających na byt swoich rodzin.

Rolników powojennego Karszyna było kilkunastu. Gospodarzyli na nie najlepszych, bo piaszczystych gruntach i prowadzili niewielkie hodowle. Z wyjątkiem jednego, to jest Jana Kubickiego, też przybysza, ale z gospodarnego



Florian Wierzbiński na zetorze w czasie pobytu na wystawie rolniczej.

z nałożonych podatków i państwowych kontyngentów w naturze, rolnicy korzystali z pomocy chłoporobotników. Na czym ta pomoc polegała? Zwykle na odrobku, to jest odpracowywaniu wcześniej świadczonych usług. Małorolni albo chłoporobotnicy nie dysponowali końmi jako siłą pociagową. Tą natomiast posiadali rolnicy. Zatem wykonując niektóre prace w polu u małorolnych, liczyli na ich pomoc w czasie większych prac w swoich gospodarstwach, np. podczas żniw, wykopków ziemniaków czy młocki. W ten sposób mieszkańcy naszej wsi wzajemnie sobie pomagali w pracach związanych z rolnictwem.

Pisząc o rolnikach, chcę zauważyć, że podczas niektórych prac polowych, kiedy gospodarzom zależało na ich pilnym wykonaniu, a tak było w przypadku żniw czy wykopków, w porze obiadowej gospodyni przywoziła posiłek dla pracujących na pole. Wtedy w czasie przerwy spożywano zwykle mięsny, na ogół jednodaniowy obiad, po którym nierzadko częstowano szklaneczką wina.

Po pracach przy zbiorze siana późną wiosną i latem oraz po żniwach wszystkich mających grunty orne czekały jesienne prace polowe. Należało wykopać ziemniaki i buraki, a także pozbierać z założonych na polach ogródków warzywa. Już wcześniej pisałem, jak wyglądały wykopki ziemniaków u Gollów w latach 20. albo 30. ubiegłego wieku. Nie inaczej przebiegały one u małorolnych lub chłoporobotników dysponujących niewielkimi zagonami ziemniaków w okresie powojennym. Z tą różnicą, że nie trzeba było ich zbierać przy świetle księżyca. U rolników zaś

Starego Kramaska, wszyscy inni nie prowadzili dużych gospodarstw. Część ich rolniczej produkcji szła na zaspokojenie potrzeb rodzin, inna w postaci obowiązkowych dostaw trafiała do państwa i tylko nieznaczna ilość stanowiła dochód. Dlatego zamożność karszyńskich rolników była często pozorna i zdarzało się, że aby wywiązać się

prace, choć wcale nielekkie, bo odbywające się na dużych z reguły arealach, były wykonywane przy pomocy ciągniętej przez konie maszyny – kopaczki. Rozrzucone ziemniaki wystarczyło wtedy tylko pozbierać do koszy i z nich powysypywać na wóz. Potem pozostało je zwieźć do gospodarstwa i zakopcować lub – jeśli ktoś dysponował odpowiednimi piwnicami – tam je uchronić przed nadciągającymi mrozami.

Dwóch mieszkańców Karszyna – Ignacy Śmiałek oraz Antoni Dziura już w latach 60. mieli *pod Kargową, w wiśniach* niewielkie powierzchnie szparagów. Odpowiednio uprawione około półhektarowe powierzchnie po przypadających na przełom maja i czerwca zbiorach przyozdabiał później aż do samej jesieni las zielonych choinek. Tuż przed nadejściem przymrozków ich delikatne igielki przebarwiały się na kolor żółtawo-pomarańczowy, czyniąc te miejsca bardzo malowniczymi.

W powojennym Karszynie nigdy nie powstała bardzo preferowana przez władze państwowe spółdzielnia produkcyjna. Próby zachęty na nic się zdały, gdyż spora część nowych karszynian to przybysze zza Buga, to jest wschodnich terenów przedwojennej Polski. Oni, przebywając przez pięć lat pod rządami Sowietów, z bliska naoglądali się wątpliwych efektów gospodarki socjalistycznej. Do tworzenia spółdzielni nie dali się przekonać.



Około 1960 roku powstało w Karszynie Kółko Rolnicze. Jego zarządcy tworzyli: Władysław Śmiałek

Od lewej: Ignacy Śmiałek, Antoni Przybyła sieją trawę na leśnych łąkach. Pracę nadzoruje gajowy Józef Kostyra.

– prezes, Waclaw Zagdański – z-ca prezesa, Tadeusz Zagdański – skarbnik i Antoni Dziura – przewodniczący komisji rewizyjnej. Do świadczenia usług miejscowym rolnikom miało ciągnik Ursus C 328 oraz podstawowe do niego maszyny: pług, brony, siewnik, kosiarkę do trawy a także młocarnię z silnikiem elektrycznym. Z usług tej instytucji chętnie korzystano, bo wykonywane prace były dotowane przez państwo. Kółko funkcjonowało ponad dziesięć lat, zanim zostało przeorganizowane poprzez połączenie poszczególnych wiejskich kółek w Spółdzielnię Kółek Rolniczych z siedzibą w Chwalimiu.⁵

Chciałbym tu też napisać o chlebie pieczonym w domowych piecach chlebowych. Pamiętam, że zwykle nabywany był w sklepie GS – u, to jest u Dawidziuka. Bardzo smakował, szczególnie gdy się go kupiło jeszcze ciepły, a więc prosto z piekarni. Nie umywał się jednak do chleba, który dane mi było

5 Informacji udzielił J. Marek, 25.06.2012 r.

kosztować w trzech karszyńskich domach. Było to u Misiów, gdzie za świętość przygotowania ciasta chlebowego odpowiadała babka Prusowa. Drugi niezwykle smaczny chleb piekła nasza sąsiadka - babka Przybyłowa. I trzeci tak samo z wielkim sentymentem wspomniany chleb pieczony przez mamę mojego kolegi Olka panią Kowalikową. W swoim późniejszym życiu dane mi było jeszcze z niejednego pieca chleb jeść, ale żaden, choć do każdego mam taki sam szacunek, bo jest darem nieba i ciężkiego trudu rolnika, nigdy już nie smakował mi tak, jak owe chleby z karszyńskiego dzieciństwa.



Bernard Chmiel przy swojej pasiece.

Od podstaw zbudowali swe pszczelarskie hobby B. Chmiel i H. Wycisk. Ten ostatni z powodów zdrowotnych później przekazał swe ule Stanisławowi Kliksowi. Chociaż miejscowi hodowcy pszczoł nie mieli wielkich pasiek, owady te przynosiły satysfakcję ich właścicielom, ponieważ okolica obfitowała w miododajne drzewa, to jest lipę, akację oraz rośliny kwitnące na łąkach, ugorach czy miedzach.

Warto tu wspomnieć o jeszcze jednym zajęciu, wykonywanym głównie przez mężczyzn, choć niekiedy i kobiety się go imały. Chodzi o gromadzenie opału na zimę i do palenia pod kuchnią w celu przygotowywania posiłków. W Karszynie od wieków opałem było drewno z okolicznych lasów. Jeśli się chciało zaoszczędzić pieniądze i nie kupować gotowego, trzeba było opał samemu sobie zrobić w miejscu wskazanym przez leśniczego lub gajowego. Najczęściej było to drewno pochodzące z wycinki zbędnych sztuk w przeredzanych młodnikach lub gałęziówka, wyrobiona na prowadzonych przeważnie zimą zrębach. Drewno takie, zwykle niegrube, przywiezione do zagród, potem popiłowane w nieduże klocki, nadawało się bez potrzeby rąbania do palenia w kuchni pod płytą, jak i w piecach kaflowych, którymi ogrzewano pomieszczenia mieszkalne.

Rolnicy, dysponujący parą koni i mocnym wozem albo mający jednego konia, ale potrafiący się dogadać i zrobić sprzężaj, mogli sobie dorobić, wywożąc zimą drewno z lasów na składnicę do Kargowej lub do tartaku w Klenicy. Ich praca polegała na tym, że rozbierali wóz ze skrzyni i pozostawiali tylko przedni i tylni wózek, połączony długą, mocną żerdzią, dodatkowo wzmocnioną łańcuchem, czyli tworzyli tzw. dłużycę. Takim zestawem jechali na zrąb, gdzie na mygłach

leżały kłoc drewna drzew iglastych lub liściastych. Po załadowaniu 3, niekiedy 5 lub 7 kłód ruszali w drogę. Z drewnem liściastym zwykle do Klenicy, gdzie tamtejszy tartak je przecierał, zaś z iglastym do Kargowej. Stamtąd wagonami – dłużycami jechało dalej w Polskę. Wtedy zimową porą drogi nie były odśnieżane ani posypywane przeciw oblodzeniom, dlatego żeby kopyta koni się nie ślizgały na ujeżdżonym i śliskim śniegu, były podkuwane i wyposażane w hacele. W ciągu krótkiego zimowego dnia konny zaprzęg mógł wykonać zaledwie jeden kurs z drewnem. By zwierzęta nie osłabły, gospodarze zabierali do lasu paszę dla nich, to jest w jednym worku siano a w drugim trochę owsa. Przy tylnym wózku było uwieszone wiadro, którym pojono wodą z rowu spragnione konie. W ten sposób zimą dorabiali do domowych budżetów: Antoni Przybyła, Władysław Baca, Władysław Lewandowski, Henryk Blum, Władysław i Józef Misiowie, Władysław Śmiałek, Florian Wierziński, Jan Goś i Henryk Wycisk. Córka tego ostatniego – Teresa – opowiadała, że w czasie tej ciężkiej zimowej pracy ojciec niejedną noc spędził na zszywaniu pozrywanych przez konie skórzanych elementów uprzęży tak, by następnego dnia nadawały się do wciągania ciężkich kłoców na wóz a potem do wiezienia ich do tartaku lub na składnicę. Nieprzyjechanie do lasu wiązało się z utratą tak potrzebnego zarobku. Przez jakiś czas chłopci wozili swymi zaprzęgami okorowane kłody sosnowe do portu rzecznoego w Cigacicach, skąd dalej barkami były transportowane do impregnacji. Te kłoc następnie były wykorzystywane w czasie elektryfikacji jako słupy energetyczne. Oprócz wymienionych rolników wywozem drewna z lasu zajmowali się zawodowo Antoni Lubiński, Zdzisław i Mieczysław Smalcowie i Antoni Pietruszka. Oni jednak byli pracownikami zatrudnionymi w Lasach Państwowych i konie także były własnością tej instytucji. Były to jednak zwierzęta specjalnej rasy, ogromne i znacznie mocniejsze niż chłopskie koniki. Także ciągnięte przez nie wozy były specjalnie zbudowane. Jeden pagieciarz – jak nazywano owych państwowych woźniców – przewoził swoim zestawem na raz tyle, ile dwie chłopskie furmanki.

Po pracach związanych z wywozem drewna, wiosną pojawiały się także okazje do dorobienia. Wyczyszczone z gałęzi, choiny i drobnego chrustu zręby trzeba było poorać. Następnie, przeważnie kobiety z okolicznych wiosek pod nadzorem gajowych i leśniczych, sadiły młode drzewka, z których po latach wyrastały dorodne, karszyńskie lasy.

Pora letnia dla miejscowego leśnictwa, bogatego w różne rodzaje drzewostanów, była czasem intensywnych prac, które wykonywali stali pracownicy leśni i osoby zatrudniające się dorywczo. W wiekowych borach sosnowych Karszyna pozyskiwano latem żywicę, cenny surowiec, wykorzystywany przez przemysł chemiczny.

Moja mama wspomina, że po wykonaniu niezbędnych prac w gospodarstwie, po ubraniu i nakarmieniu dzieci – siostry i mnie – jechała pomagać Ignacowi wybierać żywicę z puszek, bo następnego dnia miała być odstawa. Dzięki takiej pracy obojga rodziców, po roku odkładania pieniędzy, ojciec mógł imponować pięknym nowiutkim motorem – jawą 175, rocznik 1959.



Ojciec Ignacy Mąkosa na jawie.

Karszyńskie lasy słynęły w okolicy z dobrze utrzymanych drzewostanów, w dodatku będących w tzw. wieku rębnym. Dlatego każdej zimy w miejscowym leśnictwie prowadzonych było kilka zrębów zupełnych, przy których nie tylko zatrudnieni na stałe robotnicy leśni mieli zajęcie, ale przyjeżdżały też do pracy ekipy drwali nawet z Podhala. Ze zrębów codziennie wywożone były kłody drewna iglastego lub

liściastego bezpośrednio do klenickiego tartaku albo na plac składowy przy boczniczy kolejowej w Kargowej. Duże ilości okorowanych kopalniaków wiezionych było koleją do kopalń Śląska. Przez cały rok wyrabiana też była tzw. papierówka, to jest pozbawione kory drewno, popiłowane na metrowej długości odcinki ułożone w pryzmy o objętości jednego metra sześciennego lub jego wielokrotności. Ten materiał trafiał do fabryk zajmujących się wytwarzaniem papieru z celulozy.

Jak widać karszyński las, od początku, to jest osiedlenia się w nim lub w jego sąsiedztwie pierwszych przybyszów, był bardzo ważny. Dawał schronienie, żywił i na pewno tak, jak do dziś, cieszył swym różnorodnym pięknem. Wato tutaj wymienić, kto i w jakim czasie w okresie powojennym był leśniczym Leśnictwa Karszyn.

- 1945 – 1947 - Stanisław Tomaszewski
- 1948 - 1981 - Tadeusz Nowak
- 1982 - 1995 - Bronisław Rusewicz
- 1997 - 2004 - Dariusz Szadkowski
- 2006 - 2008 - Marcin Żurawiecki
- 2008 – 2010 - Jerzy Kołpowski
- 1. 09. 2010 - Paweł Rusewicz

Funkcje gajowych pełnili - najpierw Tadeusz Nowak, gdy leśniczym był Stanisław Tomaszewski. Potem Ignacy Śmiałek, gdy podzielono karszyńskie leśnictwo i jego wschodnią częścią zarządzał z Leśnictwa Szarki pod Uściem Karol Lichocki. Natomiast gdy leśniczym został Tadeusz Nowak, wówczas miał podleśniczego - Józefa Mańkowskiego, a funkcje gajowych po kolei pełnili: Aleksander Pasterniak, Józef Marek, Waclaw Balcerak, Sylwester Osiecki, Władysław Piątek oraz Tadeusz Kowalik.

Zatrudnionymi na stałe drwalami w karszyńskim leśnictwie byli: Franciszek Golla, Paweł Pinecki, Henryk Wycisk, Józef Marek, Jan Błoński, Władysław Swat,



Leśniczy
Bronisław Rusewicz..



Leśniczy
Dariusz Szadkowski



Leśniczy
Marcin Żurawiecki



Leśniczy
Jerzy Kołpowski



Obecny leśniczy
Paweł Rusewicz..

Ignacy Mąkosa, Ryszard Rychliński, Jan Zboralski, Antoni Lubiński, Józef Miś, Lucjan Lewosiński, Stefan Anduła, Czesław Anduła. Z przerwami pracowali: Jan Zepke, Władysław Śmiałek, Jan Zagdański, Ryszard Zagdański, Henryk Bajon, Stanisław Kliks, Władysław Blum, Marcin Pinecki.

Spośród wymienionych wyżej ludzi lasu na osobną uwagę zasługuje pierwszy po wojnie leśniczy Karszyna Stanisław Tomaszewski. Był to jeszcze przedwojenny leśniczy, pochodzący spod Mszany Dolnej na Sądecczyźnie. Tam w czasie ostatniej wojny dowodził oddziałem partyzanckim. Dlatego, gdy ustały działania wojenne, musiał zmienić klimat, to jest zgubić ubecki ogon na Ziemiach Odzyskanych. Pewnie dlatego mój ojciec, mający wojenną przeszłość leśną cieszył się zrozumieniem u leśniczego Tomaszewskiego i nadleśniczego Kowalczyka z Klenicy. Ich trzech łączyło podobieństwo wojennych losów. Do dziś pamięta się także w Karszynie



Leśniczy T. Nowak objaśnia M. Pineckiemu zasady
żywicowania.

starszego gajowego
Aleksandra Pasterniaka.
O jego sumienności w pracy
jak anegdotę przytacza się
historię, kiedy podczas narady
w Okręgowym Zarządzie
Lasów Państwowych w Żarach
tutejszy nadleśniczy został
zapytany czy wie, jakiego
ma u siebie pracownika
i padło nazwisko gajowego
Pasterniaka. Nadleśniczy
Kowalczyk nie od razu

skojarzył przyczynę takiego właśnie pytania. W pamięci szybko jednak ją odnalazł. Dobra znajomość rachunkowości i sporządzania kosztorysów wspomnianego gajowego, niezwiązana bezpośrednio z pracą w lesie, przysporzyła firmie dużych oszczędności finansowych. I właśnie to było powodem pytania zadanego klenickiemu nadleśniczemu na naradzie w Żarach.

Z pewnością ciekawą postacią leśnika – pasjonata był Dariusz Szadkowski. To z jego inicjatywy w miejscowych lasach powstała ścieżka dydaktyczna „Zakątki Karszyna”.



Z lewej leśniczy S. Tomaszewski, z prawej H. Wycisk i P. Pinecki

Przy okazji pisania o źródłach dochodu mieszkańców koniecznie muszę wspomnieć o drobnych wpływach do domowych budżetów, jakie osiągały karszyńskie gospodynie ze sprzedaży kurzych jaj. Ich skupem zajmował się sklep kargowskiej Gminnej Spółdzielni, mieszczący się w wynajmowanych od państwa Kostyrów pomieszczeniach po byłej piekarni Anny i Hermana Mätzschke. Długoletnim ekspedientem w sklepie był Stefan Dawidziuk, który codziennie rano rowerem przyjeżdżał z Kargowej i handlował artykułami podstawowej potrzeby, jak chleb, mąka, cukier, przyprawy, wino, piwo i inne. Skupował też – jak już była mowa – kurze jaja, ale nie tyle dawał za nie pieniądze, co raczej należało za wycenioną wartość jaj wziąć inny towar ze sklepu. W tamtych czasach było to duże udogodnienie, bo w razie braku chleba, cukru czy soli, wystarczyło z kurnika wziąć kilka jaj, zanieść je do sklepu i po sprawdzeniu, czy są świeże, otrzymać niewielką ilość towaru. W miejscowym sklepie można też było sprzedać butelki po winie, z którymi najczęściej pojawiały się dzieci. Może dlatego, że już za jedną butelkę pan Dawidziuk dawał dropa. Skąd dzieci miały butelki? Nie tylko z domu po spożytym tam winie marki *Wino* (patykiem pisane), ale także znalezione na poboczu drogi albo na skraju lasu, to jest w miejscach, gdzie latem dość często było towarzysko spożywane. Kiedy pan Dawidziuk odszedł na emeryturę, w tym samym miejscu działalność kontynuował znany z przedsiębiorczości miejscowy kierownik szkoły pan Jan Sułkowski. W sklepie sprzedawała towar jego żona Irena, on zaś przy okazji różnych spraw załatwianych w powiecie przywoził nowości. To wówczas dzieci mogły w miejscowym sklepie po raz pierwszy kupić lody. Później kierownik Sułkowski wraz z rodziną wyprowadził się z naszej wsi i wtedy kargowska GS wybudowała nowy punkt handlowy. Nie pamiętam, jak długo on funkcjonował na spółdzielczych zasadach, bo nie mieszkałem już w Karszynie. Wiem tylko, że niedługo potem miejscowy handel przejął i zmonopolizował pan Leon Dębicki. Było to krótko po 1989 roku. Po jakimś czasie pojawiła się mu konkurencja w branży i to zupełnie niedaleko, bo u państwa Balceraków. Jak długo ona trwała – nie powiem, ale w rywalizacji o miejscowego klienta zwycięstwo odniósł Dębicki.

Spoglądając na współczesny karszyński handel, przyznać trzeba, że różni się on od tego zapamiętanego z dzieciństwa. Nikt dziś już nie sprzedaje bochenka chleba czy kilograma mąki za przyniesione jajka ani nie zaferuje słodyczy za dostarczone butelki.

Na koniec mojego pisania o pracy przynoszącej dochód chcę trochę miejsca poświęcić działalności tutejszych rzemieślników. W przeszłości całkowicie legalnie działalność usługową prowadził chyba tylko pan Alojzy Drzymała, wykonując usługi instalacyjno – elektryczne. Pozostałe wymienione niżej osoby właściwie dorabiały sobie trochę grosza do dochodów uzyskiwanych z innych źródeł.

Moja mama była jedną z czterech wiejskich krawcowych. Umiała uszyć wszystko, czego przychodzące do niej osoby sobie zażyczyły. Były to najczęściej niezbyt wyszukane kreacje, przygotowywane z powierzonego materiału. Krawieckiemu rzemiosłu mogła poświęcić czas tylko wtedy, gdy nie było zajęć w polu, a więc

najczęściej zimą. Sądzę, że o jednej sprawie w związku z jej krawcowaniem warto tutaj opowiedzieć. Otóż któraś z miejscowych elegantek obdarzona przez naturę dużym biustem zamówiła u mamy biustonosz. Miał być pojemny, wygodny, jednym słowem taki w sam raz. Jak w przypadku każdej szytej garderoby, tak i również w przypadku tej, należało zdjąć miarę. Przy pomocy centymetra krawieckiego mama sprawdziła niektóre potrzebne wymiary i obiecała, że nazajutrz ta część bielizny będzie gotowa. Kiedy wieczorem zabrała się za szycie, powstał problem, bo zapomniała obmierzyć wielkość owych okazałych damskich walorów. Rozglądając się po kuchni, zwróciła uwagę na aluminiowy durszlak, używany do odcedzania makaronu. Pomyślała, że wielkość i kształt powinny się zgadzać. Użyła go więc za model i *rug cug* – jak zwykła mawiać – wykonała zamówienie. Następnego dnia klientka, po ubraniu stanika, nie mogła się nadziwić, że tak dobrze jej wszędzie pasuje. Oprócz mamy szyły jeszcze panie: Zofia Anduła, Jadwiga Głuska i Krystyna Balcerak.

We wsi było dwóch szewców. Jeden to mój chrzestny – Józef Marek oraz starszy od niego Paweł Muńko. Gospodarczym ubojem zwierząt i wyrobem wędlin zajmowało się trzech mężczyzn. Pierwszy to Walerian Kaczmarek. Swe usługi świadczył w ubojni zajętej po Adolfie Winzlerze. U niego uczył się rzeźnickiego fachu Alojzy Lehmann. Kiedy Kaczmarek wyprowadził się z Karszyna, wtedy jego były uczeń kontynuował ten potrzebny zawód. Usługi rzeźnicze w gospodarstwach oprócz wspomnianego Lehmana wykonywał także Piotr Bajon. Zdunami byli Paweł Pinecki oraz jego syn Marcin. Pracami murarskimi zajmowali się - Franciszek Golla, Antoni Kostyra i Jan Młotek. Kiedy trzeba było zrobić drzwi albo okno, wówczas przydawał się Włodzimierz Szel, a później mój ojciec Ignacy ze swym zamiłowaniem do pracy w drewnie. No i oczywiście rzemieślnikami co się zowie byli dwaj fryzjerzy. O jednym – Filipie Karbowski – pisałem wcześniej. Drugim, strzygącym głównie męskie i chłopięce głowy, był Józef Miś. W Karszynie naprzeciwko piekarni znajdowała się kuźnia, dawniej należąca do Alberta Dyby. W 1945 roku usługi kowalskie kontynuował kowal Józef Porczyński. Jeśli ktoś chciał mieć fachowo pomalowane mieszkanie, mógł skorzystać z usług jednego z malarzy – Józefa Twardowskiego albo Zbigniewa Krzaczkowskiego.

Kościół w Karszynie

Powojenna wspólnota mieszkańców Karszyna, chociaż początkowo niezbyt stabilna, pod jednym względem wykazywała niezmienność. Zarówno przybywający z różnych stron Polski, jak i miejscowi byli katolikami. Mieli nieco odmienne przyzwyczajenia związane z życiem religijnym, ale z czasem te różnice się zatarły. Znajdujący się na miejscu kościół oraz mieszkający tuż obok w plebanii proboszcz znacznie ułatwiały docieranie się ludzkiej zbiorowości. Udział w niedzielnych nabożeństwach był nie tylko oznaką religijności, był także okazją do spotkań przed albo po mszy świętej. Pieśni śpiewane podczas uroczystości nie zawsze z początku najlepiej wychodziły, bo bywało, że owi z różnych stron pochodzący przybysze na inną melodię je wykonywali albo tonacja, lub tempo były nie takie. Po jakimś czasie, dzięki wysiłkom organisty Mikołaja Mazurkiewicza – było z tą sprawą zupełnie dobrze. Niezłe też przedstawiała się kwestia języka liturgii, bo chociaż sprawował ją Niemiec – ksiądz Franz Wecker – mszę i tak odprawiał po łacinie. Kazań albo nie głosił, albo czytał je z kartki, na której pani Cielebąkowa umieszczała tłumaczenie z niemieckiego na polski. Słuchał spowiedzi, a ponieważ niezbyt rozumiał język penitentów, toteż zawsze udzielał rozgrzeszenia. Mówiło się, że ówczesni grzesznicy byli z tego zadowoleni.



Ks. Franz Wecker w altanie karszyńskiej plebanii.

Pieśni intonował wspomniany organista po polsku, a podchwytywali je wierni. Ewangelię czytał Tomasz Łabuński, na co - chociaż to niezgodne z prawem kościelnym – wyraził zgodę proboszcz, ale dlatego, że sam prawie nie znał polskiego. Nie robił też problemów z chrztaami, bo wypowiedane podczas tej ceremonii formuły również były w języku Kościoła, to jest po łacinie, a nadawane imiona wymieniali rodzice chrzczonych dzieci. Podobnie było podczas ślubów i pogrzebów. Tego kapłana po 66 latach wspomina profesor Wojciech Pasterniak, który wraz z bratem Andrzejem oraz z Marcinem Pineckim służył do mszy jako ministrant. Codzienne nabożeństwa poranne rozpoczynały się o godz. 5.00, toteż chłopcy, żeby na nie zdążyć, musieli wstać po godz. 4.00 i przy świetle księżycy dotrzeć do kościoła. Kapłan był bardzo zadowolony z posługi ministrantów, o czym informował kolegów, tłumaczący słowa księdza z języka niemieckiego na polski, Marcin Pinecki. W nagrodę za sumiennosc, co sobotę po nabożeństwie czekał na nich placek drożdżowy upieczony przez panią Cielebąkową. Ksiądz Franz Wecker zmarł nagle 19 czerwca 1946 roku, a na jego miejsce przysłany został inny kapłan. I to inny w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nowy duszpasterz nazywał

się Jan Walter i pochodził z archidiecezji lwowskiej. Wiadomo o nim, że przybył z Wicynia koło Lwowa, gdzie w parafii Kościoła rzymskokatolickiego od 1931 roku był proboszczem. W czasie ostatniej wojny oprócz posługi kapłańskiej pełnił także funkcję oficera miejscowej placówki Armii Krajowej o pseudonimie „Wilk”. Był



Ks. Jan Walter jeszcze w Wicyniu koło Lwowa.

jednym z organizatorów oddziałów samoobrony mających chronić Polaków przed zbrodniami ukraińskich nacjonalistów. To on w swych płomiennych kazaniach dodawał odwagi ludności polskiej ocalałej z pogromów w okolicznych wsiach a szukającej schronienia w Wicyniu. W okresie okupacji hitlerowskiej był dwukrotnie aresztowany przez gestapo i przesłuchiwany w Pomorzanach i Złoczowie. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego i umiejętności pertraktacji z Niemcami uratował życie wielu wicynian podczas pacyfikacji dokonanej przez pododdziały dywizji SS Galizien. Za aktywną działalność w ruchu oporu został odznaczony Krzyżem Walcznych i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Wspomniany nowy proboszcz jako były kapelan wojskowy szybko określił swoją służbę duszpasterską i relacje z wiernymi. Sprawowana

wcześniej posługa duchowa wśród mężczyzn w dodatku w warunkach frontowych sprawiła, że był człowiekiem twardym i prostolinijnym. *Kapłanem to ja jestem przy ołtarzu, kiedy indziej jestem jednym z was* – mawiał czasami, rozmawiając z parafianami. Chętnie przy tym wypalał papierosa, gawędząc o zwykłych sprawach nurtujących ludzi. Duchowny ten nie stronił także od czegoś mocniejszego. Do dziś pamiętane jest w Karszynie pewne zdarzenie, przez starszych mieszkańców przypominane jak anegdota. Akurat zbliżały się święta Wielkanocne i jak zwykle przed nimi w parafii miała odbyć się spowiedź. Wierni czekali w kościele na przybycie kapłana. Kiedy wreszcie przyjechał z Kargowej na rowerze, był jakiś *osłabiony*. Nie rozmawiając wiele, usiadł w przepastnym zabytkowym konfesjonale, wywiesił stułę na zewnątrz i słuchał ziemskich przypadłości trapiących grzeszne dusze. Spowiadającymi się były najczęściej kobiety i dzieci. Z początku oznaką reakcji spowiednika na odchodzących od konfesjonau było pukanie, sygnalizujące udzielenie rozgrzeszenia. Z czasem jednak ono ustało. Ponieważ oczekującymi do spowiedzi były już w zasadzie tylko dzieci, żadne nie zwróciło uwagi na brak pukania. Podchodziły zatem kolejne, zostawiały przy słuchance swoje grzechy, całowały zwisającą za drzwiczkami konfesjonau stułę i zadowolone oddalały się. W tym czasie obecne w świątyni niewiasty sprzątały ołtarz, ścierały kurze, zamiatały podłogę. Zrobiło się już późne popołudnie i kościelny Lewandowski zamierzał zamykać kościół, wszyscy bowiem już wyszli. Coś go jednak tknęło

i podszedł w pobliże konfesjonatu, z którego dochodziło miarowe pochrapywanie. Gdy zajrzał do środka, ujrzał smacznie śpiącego księdza Waltera z głową opartą o kratkę, jakby nadal słuchał spowiedzi.¹ Po tym wydarzeniu wielu penitentów miało dylemat, czy ksiądz proboszcz wysłuchał ich spowiedzi, czy udzielił im rozgrzeszenia oraz – jeśli to uczynił, czy było ono ważne. Jedno starzy karszyniaci pamiętają księdzu Walterowi – był człowiekiem, który znał życie i może dlatego miał zrozumienie dla ludzkich słabości, które czasem zwyczajnie po męsku potrafił nazwać, nie owijając niczego w bawełnę.

Na miejsce wspomnianego kapłana w roku 1948 przybył ksiądz kanonik Jan Meger. To za tego duszpasterza w 1961 roku karszyńska wspólnota wiernych przyporządkowana została do Parafii Kargowa. Do tej pory wszystkie ważne dokumenty opatrywane były pieczęcią Parafii Karszyn, nazywanej także Wikariatem Lokalnym Karszyn. Na obu pieczętkach jest napis, który można rozwinąć w następujący sposób: Sigill. (sigillum) Eccles. (ecclesiae) Cath. (catholicae) St. (sanctae) Hedwig. (Hedvigis) Co się tłumaczy: pieczęć Katolickiego Kościoła (w domyśle parafii) św. Jadwigi.²

Jan Meger urodzony w Berlinie w 1915 roku kierował kargowską parafią do 1967 roku. Należały do niej m.in. społeczności Karszyna, Siadczy i Susłowa skupione wokół obecnie najstarszej świątyni w parafii - filialnego kościoła pod wezwaniem świętej Jadwigi Śląskiej. Był średniego wzrostu mężczyzną, ze starannie zaczesanymi pod górę szpakowatymi włosami, z przedziałkiem po boku. Na niedzielne nabożeństwa przyjeżdżał z Kargowej, gdzie mieszkał w plebanii, tuż obok kościoła pod wezwaniem świętego Wojciecha. Budynek kargowskiego probostwa to piętrowa willa o elewacji w kolorze ciemnoróżowym, kiedyś otoczona pięknym ogrodem, którego był zresztą twórcą, zawsze pełnym kwiatów, krzewów ozdobnych i drzew. Wśród nich wytyczone były wyłożone betonowymi płytkami estetyczne chodniki, przy których stały ławki. W pogodne letnie dni można było niekiedy zauważyć siedzącego na ławeczce w cieniu drzew księdza Megera, czytającego brewiarz lub gazetę. Ów ogród był jedną z pasji wspomnianego proboszcza. Jego coraz ładniejszemu wyglądowi poświęcał sporo czasu.



Pieczęć Parafii Karschin w latach 1928 - 1946.



Pieczęć Parafii Karszyn w latach 1947-1961.

1 Relacja J. Marka, 3.01.2012 r.

2 W publikacji: „Kościoły dekanatów zielonogórskich” autorstwa ks. R. R. Kufela i K. Garbacza na str. 12 w latach 1946 i 1949 wymienia się Karszyn jako jedną z parafii dekanatu zielonogórskiego.

Msze święte w Karszynie odprawiane były raz w tygodniu w niedzielę, zwykle o tej samej godzinie, to jest o 9.30. Z początku przywożeniem księdza Megera z Kargowej zajmowali się karszyńscy rolnicy, dysponujący parą koni. Niekiedy czynność tę wykonywał ktoś inny – jednokonny, kto na tę okoliczność pożyczał drugiego konia. W tym też celu wieś zakupiła bryczkę na kołach z metalowymi obręczami. Proboszcz lubił podróżować bryczką, czasami prosił, by mógł samemu powozić. Nieco później, gdy karszyński pojazd się rozleciał, przywożeniem kapłana zajmował się pan Michał Woźny z Kargowej. Po jakimś czasie przesiadł się w pojazd mechaniczny, to jest samochód P70, pierwowzór późniejszego trabanta. Z dzieciństwa pamiętam, że zajechawszy w pobliże cmentarnej bramy, przez którą wiodła droga do kościoła, wysiadał z pojazdu, po czym podchodził do zwykle stojącej w pobliżu grupy mężczyzn, wyjmował srebrną papierośnicę i częstował znajdującymi się w niej papierosami. Po takim geście często zostawała mu połowa zawartości. W tym czasie któryś z mężczyzn usłużnie zapalał zapalniczkę i zaczynając od księdza podawał ogień kolejnym palącym papierosy. Te natomiast miały pewien walor. Nie były to popularne sporty, ale zaopatrzone w połyskujący – jak mawiano – złoty pasek na ustniku papierosy z Niemiec. Po takim, powtarzającym się co niedzielę rytuale, zapraszał na nabożeństwo. Odprawiało się ono wówczas tyłem do wiernych i oczywiście po łacinie. Dla przychodzących na msze nie był to żaden problem, gdyż taka była wielowiekowa tradycja. To wtedy przybyli na nabożeństwo słyszeli, jak ksiądz zwracając się do wiernych mówił: *Dominus wobiscum*³, a organista z chóru w imieniu wszystkich wiernych odpowiadał: *Et cum spiritu tuo*⁴. Kazanie było oczywiście po polsku, a więc inaczej jak za księdza Weckera, który nie mówiąc dobrze w tym języku, osobiście go nie głosił. Po skończonym nabożeństwie, zanim odjechał do Kargowej, gdzie czekała go następna msza święta, powtarzał rytuał wypalenia po papierosku z mężczyznami przy cmentarnej bramie i dopiero wtedy, z pustą papierośnicą odjeżdżał, machając na pożegnanie swym parafianom. Był to dobrze odbierany przez wiernych duszpasterz z *klasą*. Mówiło się, że ma w sobie coś z panów, a jednocześnie był lubiany za zainteresowanie sprawami ludzi. Proboszcz miał zwyczaj, że po wejściu na ambonę coraz to bardziej się zapalał w głoszonym kazaniu, tak że rozwijając coraz to nowe wątki, nie wiedział, kiedy ma je kończyć. Ponadto im głośniej mówił, tym częściej i mocniej uderzał ręką w poręcz, a ludzie kurczyli się w sobie, jakby malejąc ze strachu. Pewnego jednak razu zdarzyło się, że w czasie kazania, dla podkreślenia wagi coraz to głośniej wypowiedzianych kwestii, jak zwykle uderzył ręką w przykrytą obrusem półokrągłą poręcz ambony. Zaraz potem krzyknął, chwytając się za dłoń. Okazało się, że powodem okrzyku były pineski, które ministranci, włożyli pod obrus. Posługujący do mszy św. chłopcy, znani z niejednego dowcipu i tym razem postanowili wziąć sprawę – dosłownie – w swoje ręce. Od tej pory ksiądz Meger, unosząc rękę do podkreślenia swych argumentów, wstrzymywał ją, gdyż nie był pewien, co tym razem *Ignacowe choposzki* – tak kościelny Cielebąk nazywał swych synów – którzy byli głównymi podejrzanymi, wymyśliły. Kazania tego kapłana wygłaszane podczas nabożeństw były głęboko metafizyczne i patriotyczne. Księdzu do dziś we wsi

3 *Pan z wami*

4 *I z duchem twoim*

pamięta się gest, jaki okazał kiedyś podczas kolędy. Akurat ministranci zaprowadzili proboszcza Megera do jednej z wielodzietnych, wtedy liczącej ośmioro pociech, rodzin. Po wejściu i przywitaniu się z gospodarzem i jego dziatwą, zaczął coś pisać w noszonym z sobą zeszytce. Przy okazji spytał, gdzie się podziewa małżonka. Usłyszawszy odpowiedź, że jest w szopie, kontynuował rozmowę: *To może jest niewierząca? Wierząca* – odrzekł pytany małżonek. Nie ciągnął dalej delikatnego, jak się okazało tematu rozmowy, tylko sięgnął po portfel i wyjmując z niego jeden po drugim stużłotowe banknoty, odliczył ich osiem i kładąc na stole powiedział: *To dla dzieci na buty*.⁵ Ten uczyniony wówczas gest kapłana tłumaczył wiele w jego postępowaniu. Może także dlatego religijne życie skoncentrowane wokół malutkiego karszyńskiego kościółka toczyło się jakoś szczególnie. Stał za nim, a może raczej na jego początku kapłan człowiek, który – choć o wyszukanych manierach – dał się lubić i szanować. W 1960 roku podczas kargowskich uroczystości pogrzebowych 41 żydowskich kobiet zamordowanych przez hitlerowców w styczniu 1945 roku w lesie koło Nowego Jaromierza przypomniał obecnym władzom o innych ofiarach wojny - o zamordowanych w tym samym czasie 13 cywilach z Karszyna. Z oczywistych powodów nie mógł wtedy powiedzieć, że zbrodni dokonali Rosjanie, ale sugerował, że ciała tych osób zagrzebane gdzieś pod płotem na obrzeżach wsi także godne są ekshumacji i chrześcijańskiego pochówku na karszyńskim cmentarzu.⁶ Kargowski kościół pod wezwaniem świętego Wojciecha zawdzięcza księdzu Janowi Megerowi dwa ważne elementy wyposażenia. Rzeźbioną w dębowym drewnie ambonę oraz boczny ołtarz z tak wiele mówiącym napisem *Polonia semper Fidelis*.⁷

Z dużym żalem w roku 1991 odebrali parafianie wiadomość o śmierci swego dawnego proboszcza. Pochowany został na cmentarzu w Głębczynie koło Złotowa, a na nagrobku tamtejsza społeczność umieściła jakże pasującą do tego kapłana sentencję: *Potykanie dobrym, potykałem się. Wiary dochowałem. Zawodu swego dokonałem. A na koniec niechże Pan Sędzia Sprawiedliwy odda mi wieniec żywota*. (fr. II listu św. Pawła do Tymoteusza 4; 6-8).

Nie sposób przytoczyć wszystkich przykładów toczącego się wokół zabytkowego kościółka religijnego życia. Ale jego pewne przejawy warte są przypomnienia. Za sprawą dawnych karszynian we wsi powstała straż pożarna, dysponująca stosownym sprzętem. Chociaż już inni ludzie, ale przyodziani w mundury i zabytkowe hełmy, trzymając w ręku toporki oparte o ramiona, pełnili dzień i noc wartę przy Grobie Pańskim od Wielkiego Piątku aż do mszy rezurekcyjnej w święto Zmartwychwstania Pańskiego.



Szopka wykonana i подарowana przez brata ks. F. Weckera

5 Relacja J. Marka, 3.01.2012 r.

6 Relacja Krystyny Bocheńskiej, 9.03.2012 r.

7 *Polska zawsze wierna*

Wielkie wrażenie robił na wiernych moment, kiedy podczas tej uroczystości stojący na baczność w pobliżu pustego już grobu strażacy, na słowa kapłana: *Pan zmartwychwstał!* – z łoskotem uderzających o kamienną posadzkę żelaznych toporków padali i nieruchomieli. A kiedy rozległa się tryumfalna pieśń: *Wesoły nam dzień dziś nastał...* i wyruszyła procesja wokół świątyni, wspomniani strażacy maszerowali parami tuż za niesioną figurą Chrystusa tryumfującego, trzymając skrzyżowane toporki. Pieśń śpiewana była z nadzwyczajną radością. Oznaczała przecież tryumf życia nad śmiercią, dobra nad złem. A także coś bardziej prozaicznego – koniec surowego postu. Jakże było zatem nie śpiewać jej z całej duszy! Pewnie to właśnie stan ducha owej wiejskiej wspólnoty, obserwującej przedstawienie w wykonaniu strażaków osiągał apogeum w momencie łoskotu spadających na posadzkę toporków. Kiedy wspominał przeżyte w dzieciństwie rezurekcje, czuję tamte ciarki przechodzące po plecach.

Równie uroczysto obchodzono Boże Ciało. Tego dnia cała parafialna wspólnota gromadziła się w kościele lub z braku miejsca w jego pobliżu. Stamtąd wyruszała procesja przez wieś do czterech ołtarzy. Pierwszy był na murze kościoła, za prezbiterium, drugi przy budynku byłej piekarni, następny przy białej figurze na początku wsi w kierunku Kargowej i czwarty przy płocie, obok ceglanej kapliczki w kierunku Siadczy. Wszystkie oczywiście pięknie przystrojone kwiatami oraz obsadzone drzewkami brzeziny. W nabożnej atmosferze, śpiewając pieśni, kroczyli w procesji parafianie tuż za księdzem, niosącym w monstrancji Najświętszy Sakrament. Kapłana z obu stron podtrzymywało za ramiona dwóch najbardziej tego godnych mężczyzn, a kolejnych czterech nad księdzem i Panem Jezusem w monstrancji niosło baldachim.⁸ Przed kapłanem dumnie kroczyło kilkanaście, czasem kilkadziesiąt



Procesja w święto Bożego Ciała w Karszynie w latach 60. XX w. Na pierwszym planie od prawej: z chorągwią J. Makowski, T. Saluter z krzyżem i J. Gęborys z chorągwią.

⁸ Baldachim jako dar dla kościoła w podziękowaniu za wielokrotnie otrzymane łaski przekazał 20 maja 1863 r. mieszkaniec Klenicy restaurator Josef Brunke.

dziewczynek w białych sukniach sypiących kwiaty.

Przed nimi szły osoby, niosące kościelne chorągwie. Procesję otwierał mężczyzna z radosnym krzyżem procesyjnym. Raz po raz rozbrzmiewała muzyka, grana przez orkiestrę strażacką pod batutą Stanisława Budy z Siadczy. To nic, że czasem



Procesja w Boże Ciało, 2012 r.

któremuś muzykowi uciekały nuty, to nic, że coraz to któryś gubił rytm lub grał nie do taktu, najważniejsze jednak, że procesję prowadziła orkiestra na tę okazję przyodziana w strażackie uniformy. Na czele kroczył sam kapelmistrz w mundurze przyozdobionym odznaczeniami i medalami najróżniejszego pochodzenia.

Chyba najsympatyczniej wspomina się z dzieciństwa święta Bożego Narodzenia. W Karszynie miały one dodatkowy walor, gdyż wieś zawsze leżała na skraju dużego kompleksu leśnego. Śnieżna i mroźna zima pozwalała odkryć niezwykle piękno i bajkowość tej krainy. To stamtąd, z przysypanych śniegiem gęstwin przynoszona była do domu choinka, którą najczęściej w wigilijny wieczór przystrajało się różnymi ozdobami, także własnoręcznie wykonanymi. Świerkowe drzewka dekorowały też wnętrze naszego kościółka, co czyniło go jeszcze piękniejszym. A już najbardziej dzieci lubiły po zakończonym nabożeństwie pasterkowym oraz po wszystkich świątecznych mszach podchodzić do niewielkiej szopki i z bliska oglądać figurki Świętej Rodziny w otoczeniu zwierząt. Szopka, choć co roku ta sama, a w innych porach schowana na kościelnym poddaszu, wystawiana na pasterkę zawsze była chętnie odwiedzana przez dzieci. Przy niej, ale także w domu po wigilijnej wieczerzy śpiewało się kolędy. Nie jedną czy dwie zwrotki, ale tyle, ile mama zdołała swe dzieci nauczyć.

Zaraz po Nowym Roku mieszkańcy parafii byli odwiedzani przez proboszcza, który chodził po kolędzie. Mogłem wówczas mieć 4 - 5 lat, kiedy do naszego domu przyszedł ksiądz Meger. Ponieważ wcześniej moja siostra Teresa poinformowała mnie, że przynosi on cukierki, toteż nie omieszkałem z tej wiedzy zrobić użytku. Ksiądz owszem przyszedł, porozmawiał z mamą, pokropił wodą święconą pokój, w którym był podejmowany, zostawił dwa obrazki – jeden dla mnie, drugi dla siostry i pożegnawszy się wyszedł. Mama była jeszcze zajęta gaszeniem świeczek, kiedy ja wybiegłem przed dom i na cały głos zawołałem: *A gdzie są moje cukierki?* Ksiądz, czy nie dosłyszał, bo był już po drugiej stronie podwórza, czy akurat nie miał przy sobie słodyczy, dość, że się nie odwrócił i poszedł do sąsiadów. Byłem bardzo rozczarowany, bo przez cały czas wizyty cierpliwie czekałem, kiedy

mi w końcu da cukierki. A tu taki zawód! To był mój drugi, prywatny kontakt z księdzem Janem Megerem, bo pierwszy dotyczył mego chrztu, którego udzielił mi wspomniany duchowny w lutym 1956 roku. Kolejne moje ważne religijne przeżycie, w którego tle znajdował się ksiądz Meger, to I Komunia Święta, którą przyjąłem w karszyńskim kościele w 1966 r.

To za duszpasterskiej posługi tego księdza podobno doszło do wypicia przez ministrantów mszalnego wina i to na krótko przed podaniem go kapłanowi podczas mszy świętej. Ministrantami byli wówczas bracia Pasterniakowie – Andrzej i starszy od niego Wojciech, ich kuzynowie, Kolesińscy – Józef oraz starszy Jan, a także Jan Kowalik, od którego tę historię usłyszałem. Kto miałby być sprawcą owego czynu - trudno powiedzieć, ale talentów do dowcipów nie brakło żadnemu



Ks. kan. Jan Meger i ks. wikary Alojzy Mochalski oraz dzieci z klasy II i III w czasie I Komunii Św. w roku 1966.

z wyżej wymienionych. Kiedy oba płyny wlane do kielicha dziwnie jakoś w smaku przypominały wodę, ksiądz Meger groźnie tylko popatrzył w stronę chłopaków. Ci akurat wtedy zajęci byli oglądaniem bardzo ważnych rzeczy a to na suficie, a to pod stojącym nieopodal krzesłem.⁹ I kto by pomyślał, że w przyszłości jeden z nich wykieruje się na profesora zwyczajnego! Ciekawe, czy po latach przypominają sobie tę historię?

Z pewnością ważnym wydarzeniem w życiu mieszkańców tutejszych wsi było nawiedzenie parafii przez kopię Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Było to prawdopodobnie niedługo po uwolnieniu jej przez komunistów, to jest po 1972 roku, gdy proboszczem kargowskiej parafii, a więc i naszego kościoła był ksiądz Piotr Olender.¹⁰

⁹ Relacja Jana Kowalika, 3.01.2012 r.

¹⁰ <http://dziedzictwo.ekai.pl/text.show?id=4645>, odczyt : 29.01.2013 r.

Po specjalnie na tę okazję odprawionym nabożeństwie w uroczysty sposób do jednego z domów zaniósł go głowa rodziny, to jest mąż, ojciec. Tam przebywał przez całą dobę. W tym czasie przed wizerunkiem Czarnej Madonny modlono się, odmawiano różaniec, śpiewano pieśni maryjne, jednym słowem okazywano szacunek wobec Matki Bożej, która poprzez przyjście pod tą postacią chociaż przez kilka godzin była blisko każdej z karszyńskich rodzin. Po przewędrowaniu przez całą wieś, ostatnia podejmująca obraz rodzina przynosiła go do kościoła, skąd przekazywany był do kolejnej miejscowości w parafii.

W powojennej historii karszyńskiego kościoła najdłuższą posługę kapłańską na rzecz tutejszej wspólnoty sprawował ksiądz Jan Zdziarski. Trwała ona aż 29 lat! Temu kapłanowi mieszkańcy pamiętają, że po odprawionym nabożeństwie,



Ks. Piotr Olender z dziećmi przystępującymi do I Komunii Św. w roku 1968.

po zdjęciu ornatu wychodził z zakrystii i rozmawiał z wiernymi. Był to zwyczajny dialog, w czasie którego parafianie bez obaw mogli wyrazić swe zdanie, nawet jeśli było odmienne od stanowiska księdza.

Na religijne życie mieszkańców Karszyna oprócz radosnych momentów w życiu, kiedy udawali się do swojej świątyni, by tam zgodnie ze swą wiarą rozpoczynać świętowanie, jak chrzciny, I Komunia Święta, śluby, jubileusze składały się niestety chwile smutne. Do takich należały pogrzeby bliskich osób. Zanim jednak przyniesiono trumnę z ciałem do kościoła, część obrzędu odbywała się w domu zmarłego. Na czym to polegało? Zaraz po śmierci któregoś z domowników, zatrzymywano zegar, który do niedawna jeszcze odmierzał chwile z jego życia. Zaslaniało też lustro, w których wcześniej się przeglądał, uchylano okna domu, w którym mieszkał. Taki stan trwał do dnia, kiedy ciało zostało złożone w grobie. Mieszkańcy dowiadywali się, że ktoś z miejscowych zmarł po



Ks. Jan Zdziarski z dziećmi przystępującymi do I Komunii Św. w roku 1985.

biciu dzwonu kościelnego rano, w południe i wieczorem. Był to sygnał, by zapytać sąsiadów, kto zszedł z tego świata. Uderzenia w dzwonek odbywały się codziennie, aż do dnia pogrzebu. Najczęściej jeszcze tego samego dnia wieczorem w domu zmarłego zbierała się rodzina i znajomi na modlitwie różańcowej za jego duszę. Kiedyś modlono się w pomieszczeniu, w którym w trumnie znajdowało się umyte i ubrane ciało. Kobiety, które potrafiły upleść ze świerkowych gałązek wieńce czy wiązanek i ozdobić je własnoręcznie wykonanymi kwiatami, przygotowywały wszystko na dzień pogrzebu. Niewiasty wykonując swą pracę, śpiewały żałobne pieśni i odmawiały modlitwy. Istniał też zwyczaj, że dla spokoju duszy zmarłego przed upływem roku nie stawiało się mu trwałego nagrobka. Wypada też dodać, że w tym smutnym dla rodziny czasie było w zwyczaju odwiedzanie jej i pocieszenie w nieszczęściu.

Kiedyś był też i taki zwyczaj, że jeśli osoba zmarła pochodziła z Siadczy czy Susłowa, to kondukt żałobny wraz z księdzem i ministrantami zawiązywał się na wysokości ceglanej kapliczki w Karszynie od strony Siadczy. Stamtąd poprzedzony smutnym krzyżem pogrzebowym z pieśniami i modlitwami docierał do kościoła.

Niewątpliwie ważnym wydarzeniem w życiu młodych mieszkańców Karszyna było przystąpienie do I Komunii Świętej. Każde z dzieci, które to przeżyło, zapamiętało na całe życie przygotowania poprzedzające ów uroczysty moment. Nauka ważnych modlitw i całej duchowej sfery mającej uczynić niespełna dziesięcioletnie dziecko gotowym do uczestnictwa w ważnym we wspólnocie wierzących akcie, była czymś bardzo wyjątkowym. Wtedy jeszcze to wydarzenie nie było tak zepsute jak obecnie oczekiwaniem na prezenty i organizowaniem przyjęcia na kilkadziesiąt osób, bo wszystkim wokół żyło się bardzo podobnie, to jest skromnie. Lekcje religii, w tym dla dzieci przygotowujących się do przyjęcia

I Komunii Świętej, odbywały się w małej salce katechetycznej, znajdującej się w suterenie budynku byłej plebanii. Budynek ten, podobnie jak i inne nieruchomości z wyjątkiem świątyni i cmentarza, należał teraz do państwa. Zimą, by dzieciom było ciepło, należało napalić w żeliwnym piecu. Opał oczywiście dostarczali rodzice uczęszczających na religię. Katechezę wszystkich dzieci z karszyńskiej podstawówki prowadził przyjeżdżający z Kargowej ksiądz. Był to najczęściej wikary, czasem sam proboszcz. Zajęcia odbywały się w grupach łączonych, to jest z reguły po dwa roczniki uczniów.

Inne doniosłe z punktu widzenia pojedynczego człowieka wydarzenia dziejące się w parafialnej wspólnoty, to z pewnością wizytacje z udziałem biskupów. Wówczas taka ważna osoba była eskortowana od rogatki wsi przez miejscowych motocyklistów. Ostatni odcinek drogi pokonywanej przez znakomitego gościa przystrojony był wkopanymi w ziemię zielonymi brzoźkami oraz rozciągniętym między nimi sznurkiem z przytwierdzonymi do niego różnokolorowymi ozdobami z krepki czy ścinkami kolorowych tkanin. Przed samym wejściem na teren cmentarza zwykle znajdowała się udekorowana brama z napisem witającym gościa.

Postępowanie zgodne z zasadami wiary katolickiej nakazywało w piątki, a już na pewno w Wigilię Bożego Narodzenia, Popielec oraz w Wielki Piątek poprzedzający Wielkanoc, powściągliwość od spożywania pokarmów mięsnych. Słyszałem, że szczególnie starsi ludzie praktykowali zwyczaj czterdziestodniowego postu, zaczynającego się od Środy Popielcowej. W takich rodzinach na czas ów zapominano o dobrym, tłustym, obfitym w mięsniwa jedzeniu. Częstym gościem na domowym stole w czasie obiadu był solony śledź lub inne ryby. Dietę uzupełniał nabiał, ziemniaki i cienkie zupki na zakwasie z żytniej mąki.

Pisząc o czasie, jakim w roku liturgicznym jest Wielki Post, koniecznie muszę wspomnieć o wyjątkowej w powojennej historii Karszyna drodze krzyżowej. 1 kwietnia 2012 roku poprowadził ją ulicami naszej wsi obecny wikary kargowskiej parafii ksiądz Marcin Bobowicz.

Od 1 sierpnia 2011 r. proboszczem Parafii Kargowa, w której funkcję kościoła filialnego pełni karszyńska świątynia, jest ks. kanonik Marek Pietkiewicz. Duszpasterz ten od samego początku energicznie zabrał się za różnego rodzaju prace w tym szczególnym gospodarstwie. W lipcu 2012 roku mieszkańcy Karszyna rozpoczęli remont wewnątrz nawy, a w sierpniu i wrześniu trwała renowacja ławek, drzwi, balustrady chóru



Droga krzyżowa, 2012 r. Krzyż niosą: Z. Miś, T. Kowalik i B. Chmiel.



Ks. kan. Marek Pietkiewicz w czasie renowacji ołtarza kościoła w Karszynie.

oraz ołtarza, w czym osobiście uczestniczył ks. proboszcz.

Na zakończenie tej części rozważań warto przytoczyć zestawienie ilustrujące posługę duszpasterską w kościele pod wezwaniem świętej Jadwigi Śląskiej w Karszynie:

do 19 czerwca 1946ks. Franz Wecker
Parafia Karszyn

01.02.1946 – 01.02.1948.....ks. Jan Walter
Parafia Kargowa¹¹

13.02.1948 – 25.07.1967..ks. kan. Jan Meger
Parafia Kargowa

28.07.1967 – 16.09.1975.....ks. Piotr Olender
Parafia Kargowa

11.11.1975 – 09.08.2004.....ks. Jan Zdziarski
Parafia Kargowa

10.08.2004 – 31.07.2011....ks. dr Jan Szulc
Parafia Kargowa

01.08.2011 – do dziś.....ks. kan. Marek Pietkiewicz Parafia Kargowa

Uczęszczający do naszego karszyńskiego kościółka mają z pewnością powody do wdzięczności za całą sferę porządkowo – organizacyjną osobom, które pełniły rolę kościelnych. To one przez wiele lat za symboliczne *Bóg zapłać* zawsze były na miejscu i o określonej porze. Na czas otworzyły kościół. Zadbaly o jego zamknięcie. Dopilnowały posprzątania. Pomogły przy dekorowaniu wnętrza na czas świąt. Funkcję tę pełnili od roku 1945 po kolei:

Władysław Lewandowski
Ignacy Cielebąk
Katarzyna Cielebąk
Eleonora Zboralska
Zdzisław Lewandowski
Zofia Anduła

Na kościelnych organach z początku grywał Mikołaj Mazurkiewicz, a potem przez wiele lat przyjeżdżający razem z proboszczem Megerem Maksymilian Reiner z Kargowej.

Pisząc o mieszkańcach parafii pochodzących z Karszyna, zaangażowanych w sprawy swej świątyni, muszę koniecznie wspomnieć o darczyńcach ofiarujących coś więcej niż symboliczną składkę na tacę. Państwo Maria i Bernard Chmielowie ofiarowali dwa nowe ornaty, welon na monstrancję,

¹¹ Ks. Jan Walter zastąpił w Parafii Kargowa niemieckiego ks. proboszcza Johanna Scherera. Ten kapłan natomiast od końca kwietnia 1946 r. zastępował w Karszynie chorego ks. F. Weckera. Ks. Johann Scherer przewodniczył uroczystościom, kiedy 22 czerwca 1946 r. odbywał się pogrzeb ks. Franza Weckera.

połączony kielich i puszkę na komunikanty oraz patenę. Ponadto siedem lamp oliwnych imitujących tradycyjne świece. Cztery na ołtarz przed tabernakulum i trzy na Stół Pański. Pan Czesław Wierzbiński przeprowadził renowację wiecznej lampki i wszystkich ośmiu mosiężnych lichtarzy, czyszcząc je z nie wiadomo jak grubej patyny czasu. Ponadto wymienił instalację elektryczną w całej świątyni. Dotychczasowa pochodziła z lat 20. ubiegłego wieku. Zajął się także sprawą schodków przy ołtarzu, dzięki czemu zarówno kapłan jak i ministranci mogą swobodniej się poruszać podczas nabożeństwa. Słowa podziękowania należą się także pani Zofii Andułowej za to, że zadbała o nowe chorągwie procesyjne do kościoła. Pięć miejscowych pań - Agnieszka Dziamska, Mariola Smalec, Mariola Tomasz, Wanda Wojtas oraz Zofia Anduła bezinteresownie troszczyły się o to, by w świątyni było zawsze estetycznie i czysto. Natomiast pani Maria Pinecka od dawna pilnowała, by bielizna ołtarzowa była wyprana i ładnie wyprasowana.

Wspominając o zaangażowaniu mieszkańców na rzecz swojej świątyni należy powiedzieć o pracach remontowych, przeprowadzonych w lipcu i sierpniu 2012 roku. Podczas ich trwania skuto odpadające i niestabilne tynki wewnątrz nawy i na chórze. Następnie położono nowe i przygotowano całe wnętrze świątyni do pomalowania. Przedtem wzmocniono stalowymi kotwami dwie narożne ściany prezbiterium. Poprowadzona została także dodatkowa instalacja elektryczna, dzięki której możliwa jest iluminacja czterech nisz znajdujących się w ścianach. Usunięto farbę kredową, pokrywającą belki stropowe i sam strop chóru od strony nawy, odkrywając walory drewna, z którego przed ponad wiekiem zostały wykonane. Wyremontowane zostały ławki, a następnie pomalowano je na ładny beżowy kolor. Te wszystkie prace wykonywali, w miarę posiadanego wolnego czasu, mieszkańcy. Wcześniej parafianie z Karszyna, Siadczy i Susłowa zebrali pieniądze potrzebne na zakup farb i innych materiałów. W czasie remontu kościół zwyczajnie funkcjonował. W niedziele odbywały się nabożeństwa. W dni powszednie także odprawiane były msze święte, jeśli tylko zaszła taka potrzeba. By to było możliwe, o czystość w świątyni dbały miejscowe panie. Warto tutaj wymienić osoby, które nie licząc swego czasu, remontowały swój kościół. Byli to: Czesław Wierzbiński; Czesław Danielkiewicz; Eugeniusz Wycisk; Antoni Pinecki; Bogdan Miś; Zbigniew Miś; Jarosław Nagadowski; Stanisław Kliks; Franciszek Musiał; Miłosz Swat; Wanda, Andrzej, Sławomir, Julia i Eryka Wojtasowie; Aleksandra i Daniel Kędziorowie;



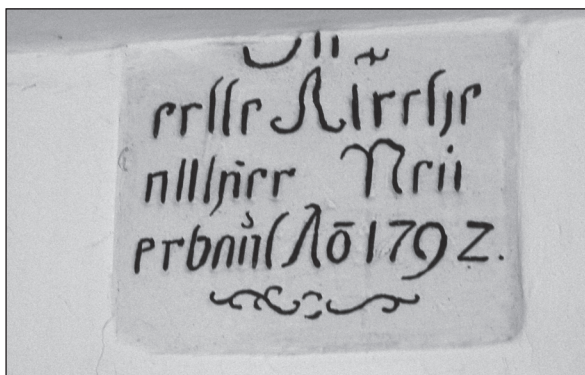
Obraz patronki karszyńskiej świątyni z kościoła w Klenicy.

Maria i Bernard Chmielowie; Mariola, Mariusz i Dawid Tomasiowie; Bożena, Mirela i Eliza Budzyn; Mariola, Marek, Rafał, Arkadiusz, Jakub i Dominik Smalcowie; Martyna i Marzena Łukaszewskie; Sylwia Maligłówna; Agnieszka Dziamska; Szymon Przybylski; Stanisław Tomiak; Tadeusz Wilk z Siadczy, a także ksiądz proboszcz Marek Pietkiewicz, jego brat Ryszard oraz kościelny z Kargowej - Dariusz Grzelecki. Spośród wymienionych wyżej osób zaangażowanych w odnawianie swojej świątyni na szczególne uznanie zasługuje pan Czesław Wierziński. To dzięki jego nieznanym dotąd talentom zabytkowe wyposażenie wnętrza kościoła odzyskało swe dawne piękno. On również poddał renowacji wszystkie drzwi wiodące do wnętrza budowli, przywracając im funkcjonalność i odkrywając fakturę drewna ukrytą pod wielu warstwami olejnej farby.

Wielokrotnie w czasie pisania tego tekstu pojawiał się karszyński kościółek pod wezwaniem św. Jadwigi. Nie sposób bowiem mówić o wsi i jej mieszkańcach, nie pozostając stale w cieniu tej budowli i jej przeszłości. Jest na pewno zabytkiem, choć może nie najwyższej klasy artystycznej, ale ze względu na stosunek nieanonimowych ludzi skupionych wokół niego, bezcenny dla tutejszej małej wspólnoty parafialnej. Tworzyli ją od dawna mieszkańcy Karszyna, Siadczy oraz Susłowa. Trzy społeczności zamieszkujące osady leżące w lesie albo na jego skraju były do siebie podobne poprzez charakter wykonywanych prac pozwalających na przeżycie. Te trzy małe organizmy społeczne w przeszłości połączone w jeden większy – parafię karszyńską przetrwały wieki i nadal ciążyą ku jednemu wspólnemu miejscu – swojej świątyni.

Po wejściu do kruchty, można zauważyć kamienną tabliczkę umieszczoną nad drzwiami prowadzącymi do wnętrza świątyni. Napis na niej głosi: *Erste Kirche hier neu erbut 1792*, co tłumaczymy: *Pierwszy kościół tutaj nowo zbudowany – 1792*.

Spoglądając od strony zachodniej na wejście do wnętrza, zauważyć można nad drzwiami kolejną datę 1922.¹² Oznacza ona rok wybudowania wieży. Utwierdza



Tabliczka znad drzwi do kościoła.

w takim przekonaniu fakt, iż w styczniu 1915 roku kościół składał się tylko z nawy. Nie miał natomiast prezbiterium, zakrystii i dzisiejszej wieży dzwoniczej. Stan taki potwierdza fotografia umieszczona na karcie pocztowej ze znajdującą się na odwrocie korespondencją zawierającą datę – 11. 01. 1915. Kościół będący w obecnym kształcie powstał w stylu klasycystycznym

¹² Wg KPK, str. 258, w tym samym, to jest 1922 roku miała miejsce uroczystość poświęcenia wieży, prezbiterium i zakrystii.

i jest budowlą jednonawową na rzucie prostokąta z wyodrębnionym kwadratowym prezbiterium. W nawie znajdują się trzy przęsła oraz żeglaste sklepienia, natomiast nad prezbiterium jest sklepienie kolebkowe¹³.

W pobliżu ołtarza usytuowana jest chrzcielnica.

Obok niej stoją ławki dla tych dzieci, które są na tyle duże, że nie potrzebują siedzieć z rodzicami. Odkąd pamiętam, po lewej stronie nawy siadają dziewczynki, młodsze z przodu, nieco starsze z tyłu.

Prawa strona jest przeznaczona dla chłopców, którzy podobnie jak ich koleżanki zajmują miejsca stosowne do wieku. Tuż za przenośnymi ławkami dla dzieci stoją dwa rzędy ławek stałych po 11 w każdym. Ławki dorosłych mają pulpity, do których jeszcze nie tak dawno były przykręcone szklane tabliczki służące do umieszczenia pod nimi karteczek z nazwiskami osób na tych miejscach siadających.

W dolnej części znajdują się podnóżki do klęknięcia. W każdej ławce mogą usiąść cztery dorosłe osoby. Ponieważ nawa jest niezbyt duża – 5,75 m szeroka i 14 m długa, toteż ławki wyposażono w przyczepki. Są to pojedyncze rozkładane siedzenia, podtrzymywane z dołu i z góry przez dwa stalowe płaskowniki. Kiedy jest na przykład pogrzeb albo procesja, albo gdy odbywa się droga krzyżowa, wtedy przyczepki są składane i umożliwiają swobodniejsze przemieszczanie się wiernych. Na początku obu rzędów dużych ławek, patrząc od strony prezbiterium, stoją dwa umocowane na drzewcach krzyże. Po lewej stronie jest *radosny*, połyskujący w słońcu krzyż procesyjny, po prawej *smutny*, pomalowany na czarno krzyż pogrzebowy.

Przy samym chórze znajdują się dwie chorągwie, wynoszone na zewnątrz świątyni podczas uroczystych procesji. Na jednej widnieje wizerunek patronki kościoła św. Jadwigi, zaś na drugiej obraz Jezusa Miłosiernego. Tło pierwszej jest w odcieniu błękitnym, a druga ma barwę kości słoniowej. Owe chorągwie są całkiem nowe i zastąpiły oryginalne o trudnym do określenia wieku.



Kościół bez wieży, sprzed 1915 r.



Barokowa chrzcielnica

¹³ S. Brzezicki, Ch. Nielsen, Zabytki sztuki w Polsce. Śląsk, Krajowy Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków, Warszawa 2006, s. 388.



Krzyż procesyjny *radosny*.

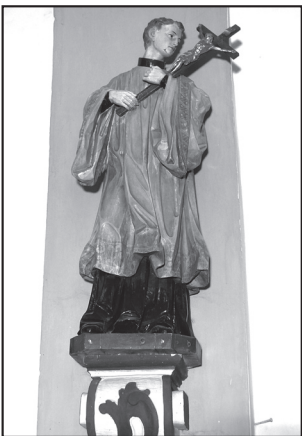


Krzyż pogrzebowy *smutny*.

We wnętrzu kościoła znajduje się galeria figur wyrzeźbionych w drewnie albo wykonanych w innym materiale, być może gipsie. Stoją one na przytwierdzonych do ściany konsolach znajdujących się na wysokości głów wiernych. Patrząc od strony drzwi, pierwsza po prawej stronie przedstawia Alojzego Gonzagę – patrona młodzieży,

zaś druga św. Józefa. Po stronie lewej galerię rozpoczyna św. Antoni Padewski, a potem jest Matka Boska z Dzieciątkiem. Przed prezbiterium po lewej stronie tuż przy ławkach zajmowanych przez dziewczęta na podwyższeniu stoi figura Chrystusa błogosławiącego. U Jęgosłopa stoją dwa mosiężne lichtarze, dar siostry księdza Weckera – Luize z Bytomia. W tym miejscu w czasie świąt Bożego Narodzenia stawiana jest niewielka szopka. Znajdujące się w niej figurki, jak i samą budowlę wykonał brat księdza Franza Weckera i podarował do karszyńskiego kościoła.

Analogicznie po przeciwnej stronie świątyni stoi niepotrzebna od Soboru Watykańskiego II, to jest od roku 1965 niewysoka ambona. Dziś jest już tylko meblem przypominającym czas upływający w Kościele oraz zachodzące w nim zmiany.



Rzeźba jezuitę
Alojzego Gonzagi,
patrona młodzieży



Rzeźba św. Józefa.



Rzeźba św. Antoniego
z Padwy.

Służy także jako podstawa ołtarzyka poświęconego obrazowi Matki Boskiej Częstochowskiej, swego czasu peregrynującemu po naszej parafii. Nad nim zaś wisi na ścianie inny obraz przedstawiający Matkę Bożą z małym Jezusem.

Kiedyś prezbiterium wraz z ołtarzem oddzielone było od pozostałej części świątyni balaskami, otwieranymi na środku i

zamykanymi na czas udzielania komunii świętej. Przed tym uroczystym momentem dwaj ministranci jednocześnie podchodzili do otwartych balasek i je zamykali, odgradzając nawę od prezbiterium. Następnie wywijali na stronę wiernych rodzaj podłużnego, obszytego koronką obrusa. Po skończonym komunikowaniu ci sami ministranci najpierw odwijali obrus, a potem już jakby mniej uroczyście otwierali balaski.

Będąc w prezbiterium i patrząc w lewą stronę, na ścianie zauważa się jakby framugę drzwi, a nad nią popiersie unoszące się na obłoku Boga Ojca.

Jest to rzeźba będąca kolejnym elementem podkreślającym przedśoborowe wyposażenie świątyni. Po przeciwnej stronie w stosunku do wspomnianej framugi znajduje się podobna, tylko tym razem z drzwiami wiodącymi do małej zakrystii. Co ciekawe – znajduje się nad nią element dekoracyjny przypominający lilie, nad którą jeszcze jakiś czas temu unosiła się w postaci niewielkiej drewnianej rzeźby gołębica wyobrażająca Ducha Świętego. Nieco wyżej od owych drzwi i trochę w prawo wisi obraz przedstawiający postacie dwóch niewiast pochylonych nad Dzieciątkiem – św. Annę i Marię matkę Jezusa.

Centralną częścią zarówno całej świątyni jak i prezbiterium jest ołtarz. Uwagę przyciąga w nim kilka ważnych elementów, spośród których najistotniejszy to namalowany na płótnie obraz świętej Jadwigi patronki tej świątyni oraz przez wieki Kościoła na Śląsku. Przedstawiona jest jak na księżną przystało w purpurowej szacie z twarzą częściowo zwróconą ku wiernym a częściowo ku wiszącemu na krzyżu Chrystusowi. Patrząc na ów obraz ma się wrażenie, że uczestniczy się w niemy dialogu, w którym jakże



Rzeźba Marii z Dzieciątkiem.

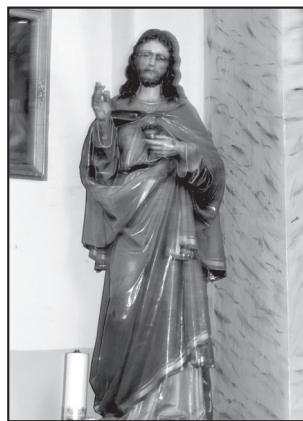


Figura Chrystusa błogosławiącego.



Postać Boga Ojca.



Ołtarz po renowacji.

znamienną rolę pośredniczki pomiędzy Zbawicielem, a zbawianymi pełni Ona – święta Jadwiga. Tu nie sposób oprzeć się pewnej refleksji. Ile modlitw płynęło w kierunku tego obrazu – najpierw po niemiecku i po polsku zapewne z niemieckim akcentem, później w śpiewnej wschodniej mowie i w wielkopolskiej, mazowieckiej, i jeszcze innej gwarze. I zawsze były to jednakże prośby: o zdrowie, rodzinne szczęście, pomyślne powroty z podróży albo o ulżenie w jakiejś niedoli. Bo ludzie niezależnie od pochodzenia modlą się o to samo.

Wznosząc wzrok wyżej, z pewnością dostrzeże się oko Stwórcy spoglądające na zgromadzoną wspólnotę spomiędzy obłoków, gwiazd i innych ciał niebieskich.

Od owego znajdującego się w trójkącie oka odchodzą w trzy strony promienie. Wspomniane zdobienie to także pozostałość po przedsoborowym wyposażeniu tego miejsca.

Wymienione wyżej dwa ważne elementy ołtarza, choć może zauważane najwcześniej, są jednak raczej tylko tłem dla Stołu Pańskiego i znajdującego się na nim tabernakulum.¹⁴ To ów stół był do czasu Soboru Watykańskiego II miejscem dokonywania się najświętszej tajemnicy podczas mszy świętej. Kapłan stał wtedy twarzą do ołtarza i tylko w określonych momentach liturgii odwracał się do wiernych. W centralnym miejscu stołu, pod wizerunkiem patronki znajduje się pomalowane na złoty kolor tabernakulum, na którym stoi podobnej barwy krzyż.

Wcześniej towarzyszyły mu srebrne, wysadzone bursztynami subtelnej roboty świeczniki. Po prawej stronie znajdował się niewysoki pulpit, na którym spoczywał wiekowy mszał. Napisany był oczywiście po łacinie i miał przepiękne zdobienia, ustylizowane na te pochodzące ze średniowiecznych inkunabułów. Na lewo i prawo od tabernakulum do dziś stoją po trzy około 60 centymetrowej wysokości mosiężne lichtarze, a na nich zapalane na czas nabożeństwa świece. Podobne dwa, tylko trochę niższe znajdują się przed figurą Chrystusa. Na obu widnieje napis o treści: *Geschenk von Fräulein Lehrerin Luise Wecker, Beuthen 1929*. Tekst informuje, że lichtarze są darem nauczycielki panny Luizy Wecker z Bytomia, z 1929 roku. Fundatorka była siostrą księdza Franza, pochowanego na karszyńskim cmentarzu w 1946 roku. Stół Pański zawsze był przykryty białym obrusem z pięknie wyhaftowanymi sentencjami o religijnym charakterze.

W czasie remontu świątyni, przeprowadzanego latem 2012 roku, w Stole Pańskim, tym przedsoborowym, odkryto opieczętowany portatył¹⁵ z widniejącą na nim łacińską inskrypcją o treści: *Anno Domini MDCCCVI die undevicesima*

¹⁴ Jak czytamy w KPK, str. 272, metalową szkatułę znajdującą się we wnętrzu tabernakulum zakupiono w 1924 r. w firmie Staketta za kwotę 240 marek. W tym samym roku położono instalację elektryczną za kwotę 198 marek i 20 pfennigów.

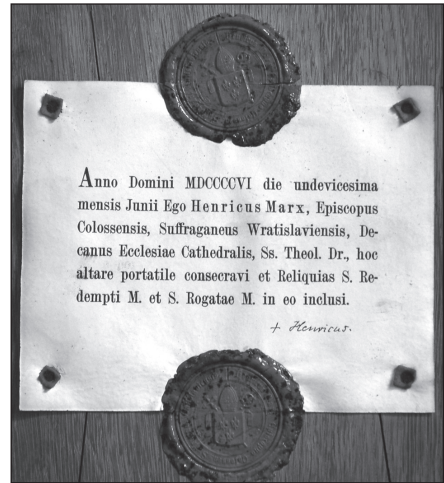
¹⁵ Portatył, ołtarzyk tablicowy (łac. *altare portatile*) – wykonywane od VII wieku małe, przenośne ołtarzyki, głównie metalowe lub z kości słoniowej, używane w czasie podróży, źródło: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Portatył>, odczyt: 29.01. 2013 r.

mensis Junii Ego Henricus Marx, Episcopus Colossensis, Suffraganeus Wratislaviensis, Decanus Ecclesiae Cathedralis, Ss. Theol. Dr., hoc altare portatile consecravi et Reliquias S. Redempti M. et S. Rogatae M. in eo inclusi.
 Pod drukowaną inskrypcją widnieje też odręczny podpis: *+Henricus*. Przytoczony wyżej łaciński tekst przetłumaczony na język polski brzmi: *Roku Pańskiego 1906 dnia 21 miesiąca czerwca, ja Henryk Marx, biskup Kolosu, sufragan wrocławski, dziekan kościoła katedralnego, doktor świętej teologii, ten portatył konsekrowałem i umieściłem w nim relikwie św. Redempcjusza męczennika i św. Rogaty męczennicy.*



Świecznik - dar Luizy Wecker.

Cała bielizna ołtarzowa, to jest ta ze Stołu Pańskiego, sprzed figury Jezusa błogosławiącego, przed którym w czasie nabożeństwa paliły się świece, z ambony oraz z zamykanych balasek zawsze lśniła czystością i była starannie wyprasowana. O bieliznę oraz szaty liturgiczne kapłana dbała kiedyś pani Cielebąkowa, a później inne kobiety tę potrzebną i szlachetną posługę kontynuujące. Warto dodać, że autorkami ozdobnych, wyhaftowanych sentencji i koronek były siostry księdza Weckera.



Fotografia portatyłu.

W prezbiterium uwagę zwrócą jeszcze dwie pomalowane na złoty kolor figury stojące po obu stronach ołtarza, ale nieco w tyle na konsolach przytwierdzonych do ściany mniej więcej na wysokości półtora metra od posadzki. Ta po prawej stronie przedstawia postać Katarzyny Aleksandryjskiej, patronki m. in. młynarzy, kołodziejów, adwokatów, literatów, zaś po lewej Katarzyny ze Sieny, patronki tych, którzy cierpią na mentalne i emocjonalne zaburzenia.

Nad Stołem Pańskim na suficie widnieje piękne stare malowidło, przedstawiające scenę wieczerzy w Emaus.

Dopełnieniem tego niezwykłego miejsca jest wieczna lampka zwisająca na długim przewodzie spod sufitu.



Katarzyna ze Sieny.



Katarzyna Aleksandryjska..

Patrząc od strony ołtarza ku drzwiom po obu stronach widzimy okna. W pierwszym od lewej, będącym jeszcze na wysokości prezbiterium, zamontowany jest kolorowy witraż przedstawiający św. Annę i jej córkę Marię. W pozostałych oknach znajdują się także witraże, ale raczej niewyszukane i wszystkie takie same. Po



Plafon *Wieczera w Emaus*.

obu stronach nawy w ścianach są po trzy nisze, których obecność sprawia wrażenie, jakby wcześniej stały w nich jakieś rzeźby. Kolejna rzecz, która musi zwrócić uwagę, to zabytkowy konfesjonał, wewnątrz którego widnieje data - 23 maja 1668 r. Pod nią jeszcze dwie – 1853 i 1927. Te ostatnie poprzedzone są słowem *Reno*, co może sugerować lata renowacji. Ten



Witraż przedstawiający św. Annę.

ważny dla kościoła barokowy element wyposażenia najprawdopodobniej pochodzi z kościoła w Klenicy, skąd trafił do Karszyna jako dar dla odbudowanej świątyni po pożarze w 1882 roku. Patrząc na ten wiekowy mebel trudno nie zadać sobie pytania – Ilu penitentów kłękało przy kratce słuchanki, by tutaj zostawić brzemień swych grzechów?

Wchodząc do kościoła, można zauważyć 14 stacji drogi krzyżowej, na którą składają się skromne, jak zresztą całe wyposażenie tego miejsca, oprawione w ramy oleodruki.

Ważnym miejscem w naszym kościółku jest chór. To pomieszczenie na piętrze częściowo usytuowane jest w wieży oraz nad tylną częścią nawy. Wchodzi się do niego schodami z zewnątrz budynku od strony północno – zachodniej. Kiedy się spogląda od

prezbiterium w stronę chóru, można zauważyć rzeźby dwóch pomalowanych na biało aniołków, które przysiadły na balustradzie, dmą w trzymane w dłoniach trąbki. Na chórze – jak się zawsze mówiło – są miejsca do siedzenia. Do niedawna stała tam zabytkowa fisharmonia, przy której zasiadał organista pan Maksymilian Reiner.¹⁶ By instrument mógł wydawać z siebie dźwięki towarzyszące śpiewowi organisty oraz wiernych, trzeba było kalikować, to jest dmuchać w miechy, z których powietrze trafiało do poszczególnych piszczałek po naciśnięciu na klawisze. Kalikującym był zwykle któryś z ministrantów. Instrument i siedzący przy nim muzyk znajdowali się na podwyższeniu, tak by było widać kapłana, bo dawniej, za czasu liturgii sprawowanej po łacinie, organista musiał współgrać z księdzem odprawiającym mszę świętą. Pan Reiner dał się zapamiętać jeszcze z jednej strony, mianowicie w czasie nabożeństwa potrafił odejść od instrumentu i skutecznie przywołać do porządku tego czy innego młokosa, któremu się wydawało, że na chórze, z dala od rodziców, wolno mu pozwolić sobie na większą swobodę.

Z chóru można się dostać na wieżę kościoła, gdzie jest powieszony dzwon. U podstawy mierzy on w obwodzie 180 cm i ma 60 cm średnicy, wysoki zaś jest na 50 cm. Od strony północnej zawiera inskrypcję o treści *W. Geittner 1884 Breslau*, owalnie otoczoną motywami roślinnymi, zaś od strony południowej znajduje się jedno słowo *Salve*, także obwiedzione liśćmi i gronami winorośli. Choć instrument nie imponuje rozmiarami, uwagę przyciąga sześć rzędów reliefów go przyozdabiających. Według wspomnianej wyżej inskrypcji powstał w Ludwisarni Geitners'a we Wrocławiu w 1884 r. Firma była znana na całym Dolnym Śląsku. Pochodzące z niej dzwony wiszą m. in. w Bolesławcu, Grodźcu, Świdnicy.

Nie jest to więc dzwon zakupiony w 1842 roku w Trzcielu, o czym wspomina Marcei Tureczek w swej publikacji.¹⁷ Tamten uległ zniszczeniu w czasie pożaru w pamiętnym 1882 roku. Od tego tragicznego dla miejscowej wspólnoty religijnej wydarzenia, to jest od 1882 roku do 1922 roku świątynia nie miała wieży dzwoniczej oraz prezbiterium, obecnie stanowiących integralną część budowli, co ilustruje wcześniej zamieszczona fotografia. Tak więc przez 40 lat obecny kościół nie miał wieży dzwoniczej, a na chór wchodziło się po schodkach usytuowanych zaraz za drzwiami po lewej stronie, co potwierdza inna fotografia znajdująca się w Kronice klenickiej parafii.

Na niej widać także, iż obraz ze św. Anną, małym Jezusem i Jego matką Marią wisi na balustradzie chóru. Oznaczać to mogło, że w tym czasie nie było jeszcze obecnego prezbiterium i zakrystii.



Dzwon z napisem *Salve*.

¹⁶ Fisharmonia została podobno oddana do konserwacji przez ks. J. Szulca. Nieznany jest jej dalszy los. (Przypis autora)

¹⁷ M. Tureczek, Najstarsze dzwony ziemi międzyrzeckiej do 1915 roku, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra 2005, s. 145.

Ciekawostką poddasza kościelnego jest znajdująca się tam od dziesięcioleci cynowa postać Chrystusa ukrzyżowanego, który kiedyś wisiał na krzyżu po lewej stronie bramy cmentarnej. Postać Ukrzyżowanego jest zbliżona wielkością do wzrostu dorosłego człowieka. Na dzwonnicy znalazł również schronienie baldachim z przepięknie wyhaftowaną gołębicą, który był kiedyś wykorzystywany w czasie procesji. Są tam także stanowiące komplet z baldachimem cztery podobnie stare drzewce.

Jak wcześniej była mowa, do prezbiterium można wejść także z zakrystii. Jest to małe pomieszczenie od strony północno – wschodniej, w którym znajdują się niewielkie szafki na to, co niezbędne do odprawiania nabożeństwa. Jedne z małych drzwiczek mają szczególną cechę – są wykonane z drewna, które wydziela woń olejku różanego.



Konfesjonał z 1668 r.

Zaglądamy za drewniany ołtarz, na poczeriałych ze starości deskach można zauważyć kilka napisów. Pierwszy wykonany farbą olejną głosi: *P. Fabis, Kopnitz 1914*. I drugi, tuż nad poprzednim, także sporządzony farbą olejną: *1989*. O ile nie bardzo wiadomo, co oznacza informacja pierwsza – być może renowację ołtarza, a może malowanie wnętrza świątyni, o tyle drugi napis jest na pewno datą ostatniego malowania kościoła. Przyglądamy się uważniej, można dostrzec jeszcze inne napisy sporządzone ołówkiem. Jeden z tekstów, ten wyraźniejszy, wymienia imiona i nazwiska pięciu ministrantów służących do mszy przed i w czasie ostatniej wojny. Byli to: *Johan Schmiel, Lothar Munko, Erhard Zepke, Horst Munko i Herbert Vogt*. Tuż obok inni, już powojenni ministranci umieścili swoje imiona i nazwiska. Byli to: *Józef i Kazimierz Polackowie* oraz *Wojciech Pasterniak*. Na zapleczu ołtarza przechowywana jest też rzeźba Chrystusa w grobie. Jest ona wystawiana przed ołtarz w czasie Wielkiego Tygodnia. To przy tej figurze, symbolizującej czas poprzedzający zmartwychwstanie Jezusa, dawni karszyńscy strażacy w pełnym oporządzeniu dzień i noc pełnili honorową wartę.



Dawne wejście na chór.

Jednym z najmłodszych elementów wyposażenia kościoła jest obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Podarował go swej matce Józefie Tadeusz Murzicz, kiedy była już ciężko chora. Wiedział, że wizerunkiem Wileńskiej Mateńki – jak zawsze pani Murziczowa nazywała opiekunkę Polaków na Litwie – sprawi swej matce radość, bo patrząc na Nią, będzie mogła powierzać Jej swe troski, tak jak kiedyś w dzieciństwie.

Gdy umarła, przekazała tę serdeczną pamiątkę do kościoła, do którego zawsze, gdy mogła jeszcze chodzić, udawała się na nabożeństwa.

Kończąc ten wątek, chcę powtórzyć, że karszyński kościółek, choć nie jest budowlą dorównującą pięknem i wyposażeniem zabytkowym świątyniom katolickim, dla mieszkańców wsi jest jedyny i wyjątkowy.



Wnętrze kościoła w Karszynie w 2012 r, jeszcze przed remontem.

Wiejska edukacja

Jak zwykle we wrześniu, tak i w owym 1945 roku, rozpoczął się nowy rok szkolny. Dzieci bowiem powinny chodzić do szkoły i się uczyć. Szkoła we wsi była, dzieci także, ale brakowało nauczyciela. Przez przypadek i on wkrótce się znalazł. Wprawdzie nie on, lecz ona, ale najważniejsze, że szkoła mogła ruszyć. Tak córka owej pierwszej karszyńskiej nauczycielki wspominała przyjazd do wsi: *We wrześniu 1945 roku przyjechałyśmy w towarowym wagonie z Podbrodzia na Wileńszczyźnie do Kargowej. Podróż była długa (14 dni) i męcząca. Było nas razem sześć osób, w tym mama Stefania Szczemirska z czwórką dzieci (Alina – 10 lat, Krystyna (8), Andrzej (5) i ja Alicja (14) oraz moja cioteczna siostra Halina Pułłjanówna (16)¹. Udało jej się zdobyć papiery repatriacyjne, zaś jej rodziców i resztę rodzeństwa (razem 8 osób) po kilku latach wywieziono na Syberię, skąd wrócili do Polski dopiero w 1957 r. Wagon odczepiono od składu i po rozmowie z kolejarzami mama udała się pociągiem do Wolsztyna, my zaś zostaliśmy na miejscu. Po kilku godzinach mama wróciła z dobrą wiadomością, że władze oświatowe zaproponowały jej pracę w szkole podstawowej w pobliskiej Karszynie. Propozycję mama oczywiście natychmiast przyjęła. Po dwóch dniach pobytu na stacji zjawił się sołtys Karszyna, pomógł nam wyładować skromny dobytek i ruszyliśmy furmanką do tej wsi. Budynek szkolny składał się z dwóch części. W jednej było mieszkanie dla nas, zaś w drugiej jedna klasa lekcyjna. Przyznane*



S. Szczemirska ze swymi dziećmi, 1943 r.

¹ Halina Pułłjanówna, po mężu Łysiak, także krótko, zastępując chorą nauczycielkę, uczyła w Karszynie w latach 80 –tych. Owa pani w 1980 r. została moją teściową. (Przypis autora).

nam mieszkanie było kompletnie wyszabrowane. Mieszkańcy wsi przynieśli nam sprzęty domowe i po kilku dniach szkoła rozpoczęła działalność.²

Jak wspominają ówcześni uczniowie, rok szkolny zaczął się w drugim tygodniu września. Do czteroklasowej szkoły przyszły niemal wszystkie dzieci, które miały pójść do klasy I, by rozpocząć edukację, to jest urodzone w 1938 r. Przyszły również dzieci z wcześniejszych roczników, które z powodu wojny do szkoły nie chodziły lub bardzo krótko. Na początku utworzono dwa oddziały łączone, to jest klasy I i II oraz III i IV. Do oddziału pierwszego zaczęli wtedy uczęszczać: (kl. I) Blum Władysław, Golla Rudolf (Uli), Kielak Barbara, Kostyra Genowefa, Kostyra Janusz, Kostyra Stanisława (Stenia), Lewandowska Leokadia, Makowski Jan, Muńko Karol, Smalec Mieczysław, Szawelko Katarzyna, Twardowski Józef i Zepke Jadwiga oraz (kl. II) Nasiłowska Danuta, Pałamarczuk Karolina, Pasterniak Andrzej, Smalec Teresa. Natomiast do oddziału drugiego poszli: (kl. III) Kolesiński Jan, Pasterniak Wojciech, Polaczek Kazimierz, Szczemirska Alina, a także (kl. IV) Drohomirecka Rozalia, Polaczek Rozalia, Blum Regina, Kloze Maria, Lewandowski Zdzisław, Polaczek Józef. Lekcje z klasami łączonymi prowadziła wspomniana wyżej Stefania Szczemirska. Pani Stefania, absolwentka Seminarium Nauczycielskiego w Wilnie, była wdową po Piotrze Szczemirskim rozstrzelanym w podwileńskich Ponarach za działalność konspiracyjną. Nauczycielka ta po roku przeniosła się wraz ze swymi dziećmi do Klenicy, gdzie szkoła była wyżej zorganizowana oraz gdzie zaproponowano jej lepsze warunki mieszkaniowe. Po 67 latach wspomina ją profesor Wojciech Pasterniak, wtedy uczeń klasy III, jako wyjątkowego pedagoga. Pamięta, że swoje lekcje prowadziła, stawiając problemowe pytania i pozwalając dzieciom szukać na nie odpowiedzi. To pani Szczemirska zauważyła, że uczeń o imieniu Wojtek jest obdarzony nieprzeciętnym talentem i że marnuje się w trzeciej klasie. Po dokładnym sprawdzeniu stanu jego wiedzy przeniosła go do klasy czwartej. W ten sposób uczeń Wojciech Pasterniak w ciągu roku szkolnego 1945/46 ukończył klasę trzecią i czwartą. A w kolejnym roku szkolnym kontynuował naukę w klasie piątej w Szkole Podstawowej w Kargowej.

Po Stefani Szczemirskiej przez rok w karszyńskiej szkole uczył i kierował nią Józef Moskwa, a nauczycielem był Wygachewicz.

W 1947 roku jako nauczycielka w Karszynie zaczęła pracować pani Maria Grabowska. To z nią, jej mężem Franciszkiem oraz panią Aleksandrą Lewandowską w 1948 roku grupa dzieci z III i IV klasy pojechała na wycieczkę do Poznania.

Na fotografii stoją od lewej strony: pan Grabowski Franciszek, Kostyra Stanisława, Zepke Jadwiga, Cieślak Wiesława, Blum Władysław, Pałamarczuk Karolina, Petzold Paweł, Radulski Witold, Smalec Teresa, Polaczek Kazimierz, Lewandowski Michał, Sobińska Ludwika, Kolesiński Jan, Saluter Tadeusz, Pinecki Marcin, Muńko Karol, Pasterniak Andrzej i pani Aleksandra Lewandowska. Z przodu stoi nauczycielka pani Maria Grabowska.

² A. Michałowska z d. Szczemirska, Uplywa szybko życie, jak ..., [w:] Biuletyn informacyjny miasta i gminy Sulechów, nr 51/2007, s. 8.



Wycieczka do Poznania, 1948 r.

Przez kilka pierwszych lat po wojnie nauka odbywała się w bardzo skromnych warunkach, bo szkoła dysponowała najpierw jedną, a później dwiema salami lekcyjnymi. Obie znajdowały się w budynkach dawnych szkół usytuowanych w pobliżu kościoła.



Dzieci i nauczycielki - Sawczukowa, Skrzypczakówna i Piechota.



Publiczna Szkoła Podstawowa w Kargowej, 1951 r.



Początek roku szkolnego 1953/54. Na fotografii m. in. Józef Kostyra w mundurze komendanta OSP.



Wycieczka w góry i do Wieliczki, rok 1957.



Z.Skrzypczak z dziećmi wystawiającymi „Księżniczkę na ziarnku grochu”, 1958 r.



H. Piechota i młodzież z kl. VII, 1959/60.

Do roku 1950 w Karszynie uczyły się dzieci do IV klasy włącznie. Wszyscy starsi uczniowie, pobierający naukę w klasach V, VI i VII, chodzili do szkoły w Kargowej. Z tego okresu zachowała się fotografia, na której oprócz młodzieży znajduje się ówczesne kargowskie grono pedagogiczne.

W roku szkolnym 1951/52 do klasy pierwszej poszedł Bernard Chmiel a wraz z nim Renata Muńko, Stanisław Blum, Czesław Lubiński, Zdzisław Spychała i Wiesława Gościcka. Wychowawcą tej klasy był pan Zygmunt Bobkowski. Pierwszy z wymienionych wyżej uczniów, zapytany o swe wspomnienia związane ze szkołą w Karszynie odpowiedział, że swemu dawnemu nauczycielowi, panu Wojciechowi Pasterniakowi (owemu utalentowanemu Wojtkowi) zawdzięcza gruntowne podstawy języka polskiego. Dzięki niemu nigdy w swej późniejszej edukacji nie miał trudności z tym przedmiotem szkolnym.

Z okresu uczęszczania do szkoły w Kargowej pochodzi opowieść Jana Kowalika dotycząca niebezpiecznych zabaw amunicją strzelecką i granatami moździerzowymi zgromadzonymi po wojnie w jednej ze stodół w pobliżu miasta. Zabawy te skończyły się tragicznie



H. Piechota i m. in. uczennice: B. Marek, L. Przybyła, U. Wycisk (1955 – 1962).



Dzieci przed najstarszą szkołą w Karszynie, 1959 r. Na murku siedzi z bosymi nogami E. Wycisk.



A. Pasterniak i dzieci z kl.V, 1961 r.

trudniejszy materiał. W ich pamięci utkwiała także scena, kiedy podczas lekcji poślinionym palcem odruchowo zbierała pozostałe ze śniadania kruszynki chleba

dla dwóch miejskich chłopaków, którzy jednego razu doprowadzili do eksplozji granatu. Obaj na skutek odniesionych ran zginęli.³

Wraz ze wzrostem liczby dzieci zaszła potrzeba powiększenia szkolnej bazy lokalowej. W tym celu Wydział Oświaty w Sulechowie w porozumieniu z Gminną Radą Narodową w Kargowej podjęły decyzję o przeprowadzeniu remontu budynku byłego przedszkola tak, by powstały w nim trzy izby lekcyjne, hol, szatnia, pokój nauczycielski i gabinet na pomoce naukowe wraz z kancelarią kierownika szkoły. Na piętrze budynku przewidziano urządzenie dwu mieszkań dla nauczycieli.

Z tego czasu, to jest z 1956 roku, zachowała się korespondencja pomiędzy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sulechowie a Gminną Radą Narodową w Kargowej, z której wynika, że karszynieanie podjęli na zebraniu wiejskim uchwałę o samoopodatkowaniu się na rzecz wyremontowania pomieszczenia z przeznaczeniem go na kolejną izbę lekcyjną. W związku z tym władze gromadzkie proszą o przydzielenie dodatkowej siły nauczycielskiej do szkoły w Karszynie. W tej samej korespondencji powiatowe władze oświatowe wyrażają podziękowanie mieszkańcom naszej wsi za zaangażowanie w remont szkoły.

Karszyńską szkołą najdłużej kierowała pani Celestyna Sawczuk. Jej dawni uczniowie zapamiętali tę nauczycielkę jako osobę bardzo wymagającą. Nieraz zdarzało się, że ci mniej sumienni musieli pozostać po lekcjach, by z jej pomocą opanować

3 Opowieść J. Kowalika, 5.01.2012 r.

rozsypane na stole, po czym je zjadała. Takie zachowanie nauczycielki było później przedmiotem uczniowskich żartów. Nie wiedzieli jednak, że nawyk zbierania chleba i zjadania go do ostatniej okruszyny wynikał z wielkiego głodu, jaki pani Sawczukowa przeżyła, przebywając na Syberii w czasie ostatniej wojny.

Niżej przedstawiam, jak w niektórych latach wyglądała liczba uczniów, stopień organizacji szkoły, ilość oddziałów, nauczycieli oraz liczba sal lekcyjnych.

Rok szkolny	Stopień organizacji	Liczba dzieci	Liczba oddziałów	Liczba nauczycieli	Liczba izb lekcyjnych
1945/46	I – IV	25	2	1	1
1950/51	I – IV	20	2	2	2
1955/56	I – VII	50	4	4	2
1960/61	I – VII	68	5	5	5
1970/71	I - VIII	106	7	6	5

Z ważniejszych wydarzeń dotyczących oświaty wymienić należy tymczasowe orzeczenie Gminnej Rady Narodowej w Kargowej z dnia 1 września 1957 roku w sprawie organizacji szkoły ogólnokształcącej stopnia podstawowego w Karszynie. Do obwodu tej szkoły włączono miejscowość Siadczę oraz dzieci z Dąbrówki z klas V, VI i VII.

W szkole, chociaż wzrosła w niej ilość pomieszczeń dydaktycznych, nadal brakowało izb lekcyjnych, dlatego niektóre zajęcia odbywały się na zmiany. Stale bowiem rosła liczba dzieci. Przedstawia to poniższe zestawienie dotyczące lat 50.

Rok szk.	I	II	III	IV	V	VI	VII	Razem
1954/55	11	10	9	4	10	4	-	48
1955/56	12	10	10	6	3	8	-	49
1956/57	14	12	9	9	6	4	10	64
1957/58	14	14	14	11	12	7	6	78
1958/59	14	16	18	16	13	15	4	96

Kolejna nowość dotyczyła wydłużenia czasu nauki w szkole podstawowej o jeden rok. Do roku szkolnego 1965/66 nauka trwała siedem lat. W tym roku edukację ukończyli tylko uczniowie urodzeni do 1 lipca 1952 r. Pozostali rozpoczynali realizację ośmioletniego obowiązku szkolnego. W kronice szkolnej z tamtego czasu zapisano nazwiska uczniów pierwszego rocznika, który kończył dłuższą o jeden rok szkołę podstawową. Byli to: Marian Bajon, Stanisław Bieńkowski, Jan Giertych, Jadwiga Głogowska, Ryszard Pietruszka, Julia Stukin, Wiesława Umerska, Jadwiga Utrata, Antoni Wegner, Józef Zalewski.⁴ Tego dnia odchodzący uczniowie sfotografowali się ze swymi ulubionymi nauczycielkami – dziewczynami z panią Janiną Polaczek, zaś chłopcy z panią Krystyną Rabcewicz.

4 Kronika znajduje się w archiwum Szkoły Podstawowej w Kargowej.



J. Polaczek i dziewczęta z kl. VIII, 1968 r.



K. Rabcewicz i chłopcy z kl. VIII, 1968 r.

W październiku 1973 r. szkoły zlokalizowane w siedzibach władz gminy zostały uchwałą sejmową przekształcone w zbiorcze szkoły gminne. Odtąd wszystkie placówki przedszkolne oraz szkoły podstawowe wchodziły w skład tych nowych organizmów oświatowych. Szkoła Podstawowa w Karszynie jako samodzielna placówka oświatowa została zlikwidowana i stała się punktem

filialnym Szkoły Podstawowej w Kargowej. Na miejscu pozostały dwa oddziały, do których w roku szkolnym 1975/76 uczęszczało 30 uczniów z klas I – IV, zaś do ogniska przedszkolnego chodziło 12 dzieci. W roku szkolnym 1977/78 na miejscu nadal funkcjonują dwa oddziały, a zajęcia odbywają się w klasach łączonych. Do poszczególnych klas uczęszcza niewiele dzieci: I – 5, II – 6, III – 12 i IV – 2. W następnym roku szkolnym, to jest 1978/79 do szkoły w Kargowej dojeżdża z Karszyna 52 dzieci.

15 marca 1983 roku wydane zostaje orzeczenie, na mocy którego od września wszystkie dzieci z klas IV – VIII będą się uczyć w szkole w Kargowej. W kolejnych dwóch latach - 1984/85 i 1985/86 baza lokalowa szkoły w Karszynie była wykorzystywana do nauki dzieci miejscowych oraz dowożonych, a pracowało z nimi najpierw pięciu, potem czterech nauczycieli.

W następnych latach ilość miejscowych dzieci nadal spadała, co przedstawia poniższe zestawienie.

Rok szkolny	Klasa I	Klasa II	Klasa III	Oddział przedszkolny
1984/85	48	24	21	25
1985/86	25	45	23	-
1986/87	8	8	16	-
1987/88	10	8	6	-
1988/89	6	10	8	-
1990/91	5	6	6	-
1992/93	-	3	4	-

25 lutego 1993 roku w Karszynie odbyło się zebranie rodziców miejscowych dzieci, z kierownikiem punktu filialnego w Karszynie panią Stanisławą Cieślukowską oraz panią Brygidą Wróblewską – dyrektorem Szkoły Podstawowej w Kargowej. W czasie spotkania pani dyrektor Wróblewska zapoznała przybyłych rodziców z zamiarem likwidacji punktu filialnego w Karszynie ze względu na małą ilość dzieci.

Wspomniany wyżej rok szkolny 1992/93 był ostatnim w 226 - letniej historii istnienia szkoły w Karszynie! Od tej pory wszystkie karszyńskie dzieci pobierają naukę w Kargowej.

Co można powiedzieć o ostatnich 48 latach tutejszej placówki oświatowej, to jest o uruchomionej w 1945 roku Szkole Podstawowej w Karszynie? Cokolwiek by to było i jakkolwiek instytucja ta byłaby oceniona, jedno jest pewne bezsprzeczne – była ona potrzebna. Kilka dziesiątków kolejnych roczników dzieci z Karszyna, Siadczy oraz Dąbrówki pobierało w niej naukę, która dla wielu była przepustką do dalszej edukacji i w późniejsze życie zawodowe. O tych, którzy dzięki kolejnym latom nauki osiągnęli życiowy sukces, jest mowa w innej części opracowania.

Obecnie chciałbym z perspektywy czasu spojrzeć na tę dawną szkołę i trochę o niej opowiedzieć. Myślę, że moje spojrzenie na karszyńską podstawówkę

choć w części przypomni to, co było udziałem wielu jej dawnych uczniów i nauczycieli. Pierwszą zapamiętaną osobą była pani Zofia Makowska, która miała zajęcia z najmłodszymi dziećmi. Ta nauczycielka uczyła stawiania pierwszych liter, czytania oraz prostych rachunków. Wyrabiała też nawyk dyscypliny, który miał się przydać później na innych zajęciach. Kolejnym dobrze zapamiętanym pedagogiem była pani Krystyna Rabcewicz, polonistka a zarazem wychowawczyni. Jej między innymi zawdzięczałam zamiłowanie do czytania książek.



Krystyna Rabcewicz i klasa autora, 1966 r.

Spośród nauczycielek dobrze wspominam też panią Teresę Rawską, której lekcje geografii były nie tylko czasem szkolnej nauki, ale także wypraw z pomocą mapy i czytanych dodatkowo lektur w różne zakątki świata. Bardzo dobrze wspominam lekcje fizyki i chemii z panem Harmutem Pineckim. Obu przedmiotów uczył, stosując interesujące doświadczenia, dzięki którym z ciekawości chciało się iść na każde następne zajęcia. Z kolei kierownik szkoły pan Jan Sułkowski w czasie lekcji z pracy – techniki uczył dbania o wygląd miejsca pracy i troski o używane narzędzia. Do dziś pamiętam, jak po pracy w szkolnym ogródku należało oczyścić z ziemi, a następnie umyć łopaty i grabie, by nadawały się do następnego użycia.

Uczęszczanie do szkoły dawało też okazję do wyjazdów rowerowych w celu powiązania wiadomości zdobytych na lekcjach geografii, przyrody, fizyki czy chemii z praktyką. Pamiętam wyjazd do Głuszycy, gdzie firma poszukująca złóż ropy naftowej wykonywała odwiert. Można było zobaczyć, jak pracują górnicy – poszukiwacze wspomnianego wyżej surowca. Były też wycieczki do tartaku w Klenicy, cegielni w Radowicach, gazowni w Kargowej czy wytwórni słoðu i spirytusu w gorzelnii także w Kargowej. Czas uczęszczania do podstawówki to także

wyjazdy jesienią na wykopki ziemniaków do Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Dąbrówce czy wiosną do lasu, by sadzić drzewka.

Z rowerowych wypraw warto wspomnieć wycieczki do szkół znajdujących się w sąsiednich miejscowościach, gdzie odbywały się zawody sportowe. W Trzebiechowie – gra w piłkę ręczną, w Głuchowie i Klenicy –

w piłkę nożną, w Bojadłach – biegi przelajowe, w Nowym Jaromierzu – skoki wzwyż i w dal, oraz bieg na 60 m. W czasie pobytu w tej wsi odwiedziliśmy też miejsce śmierci 41 kobiet zamordowanych przez hitlerowców w styczniu 1945 roku.

Z przyjemniejszych momentów wspomnieć wypada szkolne zawody sportowe. Odbywały się one w wielu dyscyplinach. Królowała lekkoatletyka z biegami, skokami, rzucaniem dyskiem i oszczepem, a także gry zespołowe. Najczęściej była to piłka ręczna lub nożna, rzadziej siatkowa. Grywaliśmy także w palanta. Starsi koledzy, których uczył wychowania fizycznego pan Andrzej Pasterniak, zdobyli nawet mistrzostwo powiatu sulechowskiego w tej dyscyplinie. W czasie, gdy przedmiotu tego uczył pan Harmut Pinecki, w szkole odbywał się Dzień Sportu Szkolnego. Wtedy, oprócz udziału w wielu wspomnianych wyżej dyscyplinach sportowych, można było pojechać w wyścigu kolarskim. Odbywał się on na dystansie około 4 kilometrów. Start był w lesie *pod Kargową*, meta przy *nowej szkole* – jak nazywano obiekt dawnego przedszkola.

Z czasu mojego uczęszczania do szkoły pamiętam, że istniały zajęcia pozalekcyjne, na których można było rozwijać swoje zainteresowania. Niektórzy koledzy chodzili na kółko fotograficzne, które prowadził pan Sułkowski. Zajęcia sportowe organizował pan Pinecki. To z jego inicjatywy zimą na boisku szkolnym urządzone było lodowisko, na którym dzieciarnia miała gdzie się poślizgać, a nawet pograć w hokeja.

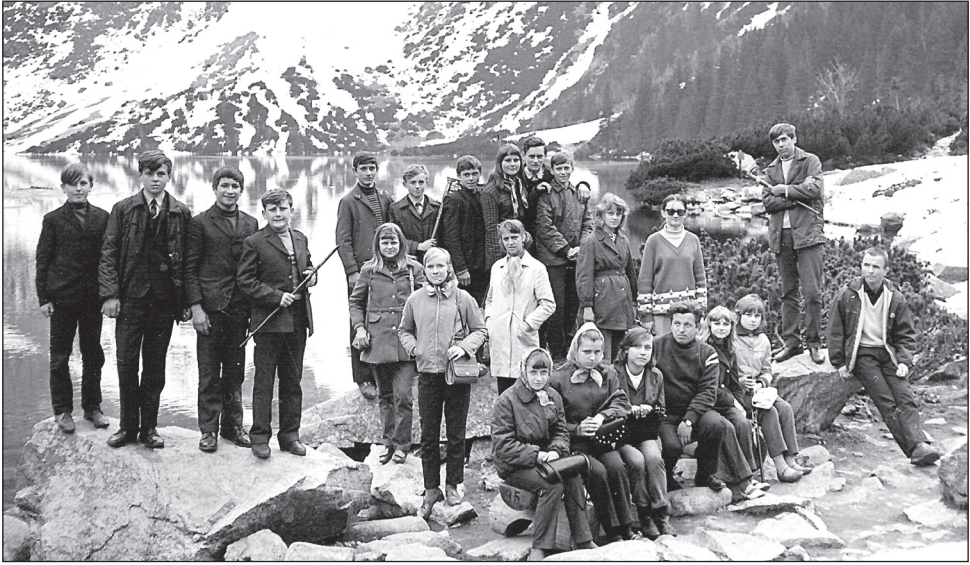
Można też było realizować się artystycznie, uczęszczając na zajęcia chóru, kółka poetyckiego lub tanecznego. Potem było czym się pochwalić podczas występów z okazji Dnia Matki,



Na wykopkach ziemniaków w PGR Dąbrówka, 1969 r.



Wyścig kolarski w czasie Dnia Sportu Szkolnego. Na pierwszym planie Stanisław Jankowski z Dąbrówki.



Harmut Pinecki na wycieczce z młodzieżą w górach. Rok szkolny 1969/70.

1 maja, choinki noworocznej. W przygotowywanie dzieci do takich uroczystości bardzo się angażowała pani Rabcewicz. Programy artystyczne prezentowane były w sali wiejskiej, tj. w dawnej restauracji Winzlera, gdzie znajdowała się scena i odpowiednia widownia. Na przedstawienia chętnie przychodzili rodzice, by popatrzeć na swe występujące pociechy.

W szkole można też było realizować swe zainteresowania w ramach Związku Harcerstwa Polskiego, Polskiego Czerwonego Krzyża, Ligi Ochrony Przyrody i Ligi Obrony Kraju. Opiekunowie wspomnianych organizacji razem z nauczycielem sportu raz w roku, najczęściej na początku czerwca, przygotowywali ciekawe zajęcia z biegu na orientację, połączone z wykonywaniem czynności z zakresu udzielania pierwszej pomocy, posługiwania się w terenie mapą i kompasem itp. Uczestnictwo w nich było pouczające a poza tym wszystko odbywało się w atrakcyjnej okolicy, to jest w miejscowych lasach. Uczniowie interesujący się bronią mieli możliwość sprawdzić swe umiejętności w trafianiu do tarczy, podczas zawodów w strzelaniu z wiatrówki a także z kbks-u na miejscowej strzelnicy (dawniejszej strzelnicy Związku Weteranów).

Dwa razy w roku dzieci z karszyńskiej podstawówki udawały się na zbieranie runa leśnego do okolicznych lasów. Pod koniec roku szkolnego szło się na jagody, natomiast jesienią było wielkie grzybobranie. Zarówno pierwsza, jak i druga wyprawa były poprzedzone instruktażem w sprawie zachowania w lesie. Wchodząc do miejscowych borów, wiedzieliśmy, że nie należy w nich krzyżeć, żeby nie płoszyć żyjących tam zwierząt. Nie wolno też było niszczyć grzybów, łamać krzewów i zostawiać żadnych śmieci. Członkowie LOP w czasie śnieżnych i mroźnych zim w towarzystwie miejscowego leśniczego – pana Nowaka - udawali się do lasu, gdzie we wskazanych miejscach wysypywali karmę dla zwierząt.

Były to wyprawy bardzo pouczające, bo leśniczy całą drogę ciekawie opowiadał o zwierzętach zamieszkujących okoliczne lasy.

Kiedy po latach próbuję przypominać sobie moją edukację w karszyńskiej podstawówce, to nie zauważam w niej jakiegś nachalnej propagandy, gloryfikującej ówczesny ustrój polityczny państwa. Owszem, pamiętam, że w latach 60. ubiegłego wieku w klasach wisiały portrety Józefa Cyrankiewicza, Władysława Gomułki i Mariana Spychalskiego, ale nie było jakichś specjalnych okazji, w czasie których tłumaczono by nam powód znajdowania się tych portretów. Jako dzieci nie miałyśmy też wyrobionego stosunku do obchodzenia w dniu 1 maja święta ludzi pracy czy kolejnej rocznicy rewolucji październikowej. Ze względu na nie odbywały się szkolne akademie, w czasie których były śpiewane piosenki i recytowane wiersze. Kiedy kierownikiem szkoły był Jan Sułkowski, we wsi odbył się pierwszomajowy pochód. Uczestniczyły w nim dzieci w wieku szkolnym i polegał na przemaszku z *nowej szkoły* do wiejskiej świetlicy. Był to bodajże jedyny pochód z tej okazji w historii Karszyna. W inne lata bywało, że konnymi wozami dzieci ze starszych klas były wiezione na pochód do Kargowej. Pamiętam, że w czasie jednego takiego wyjazdu trzeba było długo stać w tłumie zgromadzonym w pobliżu ratusza i słuchać kolejno przemawiających osób, których nie znałem. Potem zgromadzeni przemaszerowali kilku ulicami w takt muzyki marszowej, granej przez prowadzącą pochód orkiestrę. Najciekawszy z tego wyjazdu był moment, kiedy po przemaszku można było kupić lody w małym sklepiku przy rynku.



Karszyńska młodzież w oczekiwaniu na pierwszomajowy pochód w Kargowej, 1970 r.

W sprawy dotyczące miejscowej szkoły chętnie angażowali się rodzice w ramach komitetu rodzicielskiego. Co roku był on organizatorem kilku zabaw tanecznych, z których dochód przeznaczany był na finansowanie zakupów pomocy naukowych, książek do szkolnej biblioteki i drobnych remontów w szkole. Z jego pieniędzy urządzone też były zabawy noworoczne dla dzieci. Miejscowe mamy przychodziły zimą, by przygotować gorące mleko lub kawę zbożową z mlekiem w czasie długiej przerwy śniadaniowej. Przy okazji wcześniej wspomnianej biblioteki warto zauważyć, że w roku szkolnym 1954/55 znajdowały się w niej 243 woluminy i korzystało z niej 43 czytelników, natomiast w 1958/59 księgozbiór liczył 655 woluminów, z których korzystało 96 czytelników.

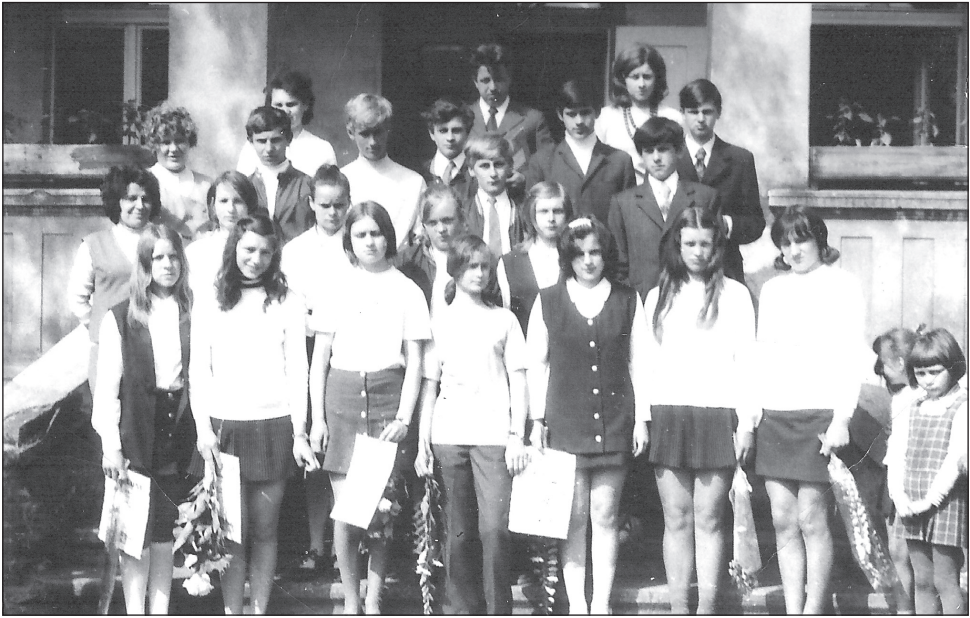
Chociaż nasza szkoła nie dysponowała salą gimnastyczną, to jednak dzięki sporemu terenowi, na którym było boisko do gry w piłkę ręczną, skocznia do skoków w dal i inne jeszcze urządzenia i sportowe sprzęty, stałe coś się na nich działo. A zimą królowały zabawy na śniegu i lodzie.

Pod koniec lat 60. miejscowi nauczyciele, prowadząc zajęcia lekcyjne wieczorową porą, umożliwili wielu dorosłym uzupełnienie wiedzy i zdobycie pełnego wykształcenia w zakresie siedmioklasowej szkoły podstawowej.

Kiedy w 1971 roku ukończyłem naukę w karszyńskiej podstawówce, niejednemu raz tęskniłem do niej, uczęszczając do szkoły średniej w mieście. Nie miałem możliwości śledzenia losów młodszych koleżanek i kolegów, którzy zdobywali wiedzę w naszej wiejskiej szkole, mającą dać im „przepustkę” w przyszłość. Nie orientuję się też, co działo się przez kolejnych dwadzieścia kilka lat z tą placówką oświatową. Zanim jednak z braku dzieci w Karszynie przestała ona istnieć, nadal sporo się w niej działo. Mogę o tym opowiedzieć dzięki uprzejmości pani Stanisławy Cieślikowskiej, która do samego końca istnienia karszyńskiej szkoły w niej pracowała. Z przyjemnością wspominała pracę na wsi z miejscowymi dziećmi oraz dobre relacje z ich rodzicami, a także owocną współpracę z Klubem Prasy i Książki RUCH, którym kierowała pani Karolina Drzymała. Pani Cieślikowska, jako długoletni doświadczony pedagog, doceniała bezpieczeństwo, jakie dzieciom zapewniała ta prowincjonalna szkoła, oraz to, iż dzięki nielicznym zespołom klasowym zatrudnieni tutaj nauczyciele mieli dużo lepsze warunki do pracy z pojedynczymi uczniami.

Może dlatego wówczas miejscowe dzieci, dzięki zaangażowaniu ich nauczycieli i rodziców, miały tak wiele różnych osiągnięć w rozmaitych konkursach. Jednym z powodów do dumy były występy w szkolnych teatrykach „Poziomki” i „Biedronki”. Ten ostatni został zapamiętany między innymi dzięki spektaklowi pt. *Czerwony kapturek*.

Dzieci z karszyńskiej szkoły chętnie przygotowywały się do rywalizacji w konkursach plastyczno-literackich. W 1985 roku, uczestnicząc w konkursie „Moi rodzice”, ogłoszonym przez Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, w kategorii wieku 9-10 lat III miejsce zajął Piotr Lisiewicz. W innym konkursie, ogłoszonym przez tego samego organizatora – „Dzieci przyjaciółmi zwierząt” – III miejsce zajął Andrzej Wojtas. Przyznano także nagrody pieniężne placówkom



L. Poźniak i uczniowie kończący szkołę w roku szkolnym 1972/73.



Zakończenie roku szkolnego 1985/86. Na górze od prawej Stanisława Cieślukowska i praktykantka Elżbieta Budzianowska.

oświatowym za masowy udział wychowanków w artystycznej rywalizacji. Szkoła Podstawowa w Karszynie wzbogaciła się wtedy o kwotę 10 tysięcy złotych. Organizator nie zapomniał także o nauczycielach przygotowujących dzieci do konkursu. Pani Stanisława Cieślikowska otrzymała wtedy nagrodę w wysokości 2 tysięcy złotych. W jednym – „Gdybym był malarzem i pisarzem” - mającym ogólnopolski zasięg, kilka lat z rzędu uczniowie zajmowali czołowe lokaty. W 1985 roku, w kategorii *prace nagrodzone* w grupie pierwszej (dzieci w wieku 6-9 lat) znalazł się Łukasz Eckert. Był jednym spośród 25 nagrodzonych. W grupie drugiej (dzieci w wieku 10-12 lat) znalazł się Robert Lampart, będąc jednym z 12 nagrodzonych. W następnym, 1986 roku w kategorii *prace nagrodzone* w grupie (dzieci w wieku 10-12 lat) sukces odniósł Andrzej Kaim i znalazł się wśród 24 nagrodzonych. Natomiast w kategorii *prace wyróżnione* w grupie (dzieci w wieku 6-9 lat) sukces odniosły Katarzyna Szczepaniak i Emilia Suchińska, będąc wśród 68 wyróżnionych. Z kolei w grupie (dzieci w wieku 10-12 lat) tryumfował Rafał Krzaczkowski jako jeden spośród 35 w tej kategorii. Także następny, 1987 rok był szczęśliwy dla dzieci z karszyńskiej podstawówki w tym konkursie. W kategorii *prace wyróżnione* w przedziale wiekowym 6-9 lat znaleźli się: – Tomasz Chosiński, Karolina Dynak i Joanna Pietruszka, znajdując się w licznej, 81- osobowej grupie dzieci z całej Polski. Dwa lata później, w 1989 roku w tym samym konkursie w kategorii *prace wyróżnione* w grupie (dzieci w wieku 6-9 lat) sukces odnieśli: Arleta Muńko, Michał Czarnuszkiewicz i Piotr Miś.

W tym samym roku kulturalny sukces odniosły dwie młode mieszkanki Karszyna – Emilia i Katarzyna Suchińskie. Zdobyły laury, uczestnicząc w konkursie pod tytułem „Spotkanie z poezją”, ogłoszonym przez Wojewódzką i Miejską



Rok szkolny 1986/87. Krystyna Korsak i jej uczniowie.

Bibliotekę Publiczną w Zielonej Górze. Natomiast rok wcześniej w innym, również ogólnopolskim konkursie plastycznym - „Młodzież polska w walce o wolność Ojczyzny w czasie II wojny światowej”, zorganizowanym z okazji 45-lecia LWP oraz 20-lecia ustanowienia pamiątkowej Odznaki „Syn Pułku”- w kategorii *prace nagrodzone*, w grupie dzieci do 12 lat sukces odniósł Tomek Rusak. Był jednym spośród 26 nagrodzonych.

Dzięki pomocy pani Katarzyny Makowskiej, jednej z ostatnich nauczycielek pracujących w Karszynie, udało się ustalić składy osobowe dwóch klas, złożonych z miejscowych dzieci, które jako ostatnie uczęszczały do miejscowej szkoły w pierwszym semestrze roku szkolnego 1992/1993. Były to:

Kl. II: Nagadowska Sylwia, Rusewicz Paweł, Żygalska Dominika,

Kl. III: Bartoch Małgorzata, Lepka Ewa, Nagadowska Monika, Szydłowski Andrzej.

W drugim semestrze wymienione wyżej dzieci uczyły się już w kargowskiej podstawówce.

Na koniec muszę stwierdzić, że lubiliśmy naszą szkołę, bo była nam przyjazna. Nauczyciele mieszkali wśród nas i dobrze znali każde dziecko, dzięki czemu żadne nie było anonimowe. W jej życie angażowali się rodzice i w ten sposób byli na bieżąco zorientowani w problemach swych pociech. Szkoła i miejscowi nauczyciele inicjowali różne formy życia kulturalnego, jak przygotowywanie przedstawień teatralnych, chodzenie „Herodów”, organizowanie zabaw noworocznych dla dzieci.



Rok szkolny 1991/92. Na fotografii oprócz pań Cieślikowskiej, Rusewicz i Germaniuk znajduje się siedmioro dzieci uczęszczających jako ostatnie do karszyńskiej podstawówki.

W czasie niemal pięćdziesięciu lat istnienia szkoły w Karszynie w okresie powojennym kierowali nią po kolei:

1945 – 1946 – Szczemirska Stefania

1946 – 1947 – Moskwa Józef

1947 – 1951 – Grabowska Maria

1951 – 1953 – Bobkowski Zygmunt

1953 – 1955 - Pasterniak Wojciech

1955 – 1966 – Sawczuk Celestyna

1966 – 1971 – Sułkowski Jan

1971 – 1974 – Pinecki Harmut

Nauczyciele pracujący w karszyńskiej szkole w latach 1945 – 1993

1. Szczemirska Stefania 1945 - 1946
2. Moskwa Józef 1946 – 1947
3. Wygachewicz 1946 - 1947
4. Brzeziński Leon 1956 - 1957
5. Pasterniak Andrzej 1956 - 1963
6. Pasterniak Wojciech 1953 – 1959⁵
7. Pasterniak Lilli 1965 - 1966
8. Makowska Zofia (Skrzypczak) 1956 - 1974
9. Sawczuk Celestyna 1955 - 1970
10. Makutra Stanisława 1947 - 1951
11. Grabowska Maria 1947 – 1951
12. Grabowski Franciszek 1947 - 1951
13. Bobkowski Zygmunt – 1951 - 1953
14. Piechota Helena 1958 - 1960
15. Pinecki Harmut 1967 – 1974
16. Herbiak Bolesław 1958 – 1965
17. Cielebąk Teresa (Rawska) 1971 - 1974
18. Bajon Leokadia (Poźniak) 1969 - 1974
19. Sobczak Janina 1970 – 1971
20. Dziura Krystyna (Rabcewicz) 1965 - 1970
21. Sułkowski Jan 1966 - 1973
22. Fafuła Halina 1970 - 1973
23. Dziewiątek Krystyna 1972 – 1974, 1984 - 1986
24. Juckiewicz Janina (Polaczek) 1967 - 1969
25. Janicki 1967 – 1968
26. Drażba 1966 - 1967
27. Smak Halina 1965 - 1966
28. Żak Pelagia 1962 – 1966
29. Kaczmarek Urszula 1961 – 1962
30. Łysiak Halina 1988 – 1989

⁵ W. Pasterniak pracował w karszyńskiej szkole z roczną przerwą na służbę wojskową w Wojskowym Korpusie Górniczym i Wojskach Ochrony Pogranicza. (Przypis autora)

31. Cieślikowska Stanisława 1983 - 1993
32. Rusewicz Genowefa 1983 - 1993
33. Germaniuk Katarzyna (Makowska) 1986 - 1992
34. Makowiak Teresa 1988 - 1992
35. Jaworska Jolanta 1989 - 1990
36. Korsak Krystyna 1982 – 1987
37. Małycha Maria 1984 - 1987
38. Pietek Elżbieta (Franc) 1984 - 1987
39. Jóźwikowska Krystyna 1986 - 1987
40. Młyńczak Maria 1986 - 1987

Pracownicy administracyjno – obsługowi pracujący w karszyńskiej szkole w latach 1945 – 1993

1. Karbowski Filip
2. Smalec Franciszka
3. Lewosińska Teresa
4. Błońska Anna
5. Swat Lucyna
6. Wojtas Wanda

Życie kulturalne

To, co współcześnie rozumie się pod pojęciem życie kulturalne, nie bardzo pasuje do tego, co było udziałem mieszkańców wsi zaraz po zakończeniu działań wojennych. Obecnie za sferę kultury w gminach odpowiadają specjalnie w tym kierunku wykształceni animatorzy oraz instytucje gotowe niemal wszystko przygotować, byle tylko miały z tego zysk.

Zupełnie inaczej rzecz wyglądała kiedyś. Możliwości materialne ludzi były zdecydowanie inne. Wielu z nich dopiero co do Karszyna przybyło. Mało kto się ze sobą znał. Wolnych środków finansowych na rozrywkę także nie było zbyt dużo. Jedno na pewno motywowało mieszkańców – zarówno tych, którzy tutaj przywędrowali, jak i tych, którzy tutaj wyrosli – radość, że wojna się skończyła i udało się ją przeżyć. We wsi znajdowały się dwa miejsca, gdzie można było potańczyć. Jedno – restauracja u Wycisków - już w 1945 roku otworzyło swe podwoje dla spragnionych tańca i zakrapianej zabawy. Lokal ten, jak niegdyś, co jakiś czas rozbrzmiewał muzyką i z pewnością był, obok kościoła, miejscem, w którym przybysze i miejscowi się integrowali. To tutaj flirtowali młodzi. Tutaj też nad kuflem piwa czy przy setce wódki toczyły się rozmowy, kto w czasie wojny więcej przeżył, kto był z „lepszych” stron, kto był większym zuchem, itp. Zabawy trwały oczywiście do białego rana, a powroty do domów często jeszcze dłużej.

Uzupełnieniem dla rozrywkowej działalności oferowanej przez wspomniany lokal był domorosły akordeonista Edward Bartoszek. Ten przybyły z Lubelszczyzny mężczyzna bardzo szybko opanował wiejski rynek muzyczny. Nie wiadomo skąd, ale pierwszy wiedział, kto i kiedy ma urodziny lub imieniny. Wtedy z samego rana, gdy domownicy jeszcze spali, zjawiał się pod oknem solenizanta lub jubilata i „męcząc swoją harmonię” – jak nazywał instrument, wycinał oberki, poleczki, walczki i wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Muzykowi często towarzyszył syn Czesław, raz po raz walący w bęben. Było wtedy wiadomo, że tak wczesnie zaczęta zabawa potrwa na pewno do wieczora. A bawić się będzie nie tylko rodzina adresata muzyki, ale i inni. Mówiło się, że Bartoszkowa harmonia potrafi wszystko. Chociaż mocno nadwerężona na skutek różnych okoliczności, w których przyszło jej występować, dzielnie dawała radę stawianym przed nią wyzwaniom. A jeśli czasem zabrakło w niej basów, wówczas mistrz Bartoszek dogrywał je własnymi ustami. Ponieważ takie imieniny koniecznie musiały być zakropione modnym wówczas trunkiem – bimberkiem, toteż można sobie wyobrazić, jak wyglądał późniejszy powrót do domu i samych muzyków, i okolicznych gości. Jak wspomina pani Karolina Drzymała jej ojciec Piotr Pałamarczuk wiedząc, że zbliżają się jego imieniny, mawiał, że zawczasu trzeba kupić wódeczkę, bo przyjdzie Bartoszek z harmonią.¹ W związku z opisywanym tutaj muzykiem opowiedziała mi pewną historię pani Krystyna Zagdańska. Otóż jednego razu jej ojciec Ignacy, pełniący we wsi funkcję sołtysa, miał jakąś sprawę u Kubackich. Wybrał się więc do nich rowerem. Mogła być godzina 17.00 po południu, gdy zbliżając się do zagrody

1 Relacja K. Drzymały, 7.01.2012 r.

należącej do wspomnianych mieszkańców, usłyszał jakoś dziwnie brzmiące wołania o pomoc. Dochodziły one z sąsiedniego gospodarstwa, które kilka dni wcześniej zajęła grupa Cyganów. Wiedziony ciekawością oraz z urzędniczego obowiązku postanowił sprawdzić, co tam się dzieje. Znalazłszy się na miejscu, ponownie usłyszał dochodzące jakby spod ziemi wołanie: *Ludzie, pomóżcie! Ratunku!* Głosy dochodziły ze studni stojącej pośrodku podwórza. Zbliżył się więc do niej i zajrzał do środka. W połowie jej głębokości, stojąc nogami w wiadrze, ze związanymi rękoma znajdował się mistrz Bartoszek. Pan Ignacy odblokował kołowrót i kręcąc nim powoli wydobył nieszczęśnika na powierzchnię. Kiedy muzyk był już wolny i doszedł do siebie, opowiedział, co zaszło. Otóż poprzedniego wieczoru zgodził się urozmaicić swą muzyką jakąś okazję, którą świętowali przybyli niedawno do wsi Cyganie. Zabawa przeciągnęła się do rana i kiedy za swą usługę zażądał zapłaty, wydała się ona przybyszom zbyt wygórowana. Ponieważ muzyk nie zamierzał ustąpić z ceną, toteż kilku mężczyzn postanowiło dać mu czas do namysłu, spuszczać go do studni. Znajdował się w niej prawie cały dzień i nie wiadomo, jak sprawy potoczyłyby się dalej, gdyby nie pomoc ze strony sołtysa.²

Takich i innych okazji do świętowania w Karszynie było więcej, bo na świat zaczęły przychodzić dzieci, a więc należało hucznie obchodzić chrzciny, udany interesik albo odwiedziny krewnych przybyłych z daleka. Czym płacono muzykowi za jego artystyczny wysiłek? Jeśli były pieniądze, wówczas nimi, najczęściej jednak zapłata była w naturze, to jest pochodzącą z szabru odzieżą, przedmiotami dającymi się dalej odsprzedać, jednym słowem tym, co mistrz uznał za warte przebierania palcami po klawiaturze.



Edward Bartoszek z harmonią na chrzcinach Mariana Lewandowskiego, 1946 r.

2 Wydarzenie opowiedziała Krystyna Zagdańska, 4.04.2012 r.

Aby czytelnik nie pozostał w przeświadczeniu, że w tym niezwykłym pod wielu względami powojennym Karszynie słychać było tylko muzykę popularną, to gwoli prawdy należy dodać, iż istniał tutaj także kwartet a niekiedy quintet, grający bardziej ambitną muzykę. Ów zespół tworzyli: Antoni Kostyra – trąbka, Józef Miś - skrzypce, Edward Bartoszek – harmonia, Czesław Bartoszek – bęben i perkusja. Niekiedy karszyniaków wspomagał przyjeżdżający z Bygoszczy Stanisław Prus, grający na akordeonie. By ćwiczyć, spotykali się po kolei u każdego z muzyków. W ich występach niezwykle było to, że ci mężczyźni, na co dzień drwale, murarze, rolnicy grywali dla własnej przyjemności, i niekiedy na zabawach tanecznych albo weselach. Jedno i drugie świadczyło o ich zamiłowaniu do muzyki i piękna. Do dziś krąży po Karszynie jak anegdota opowieść, jak to zaradni muzycy – Bartoszkowie - wykorzystywali przestrzeń dużego bębna do gromadzenia w nim wódeczki oraz kielbasy. Po jednej z takich wyjazdowych usług muzycznych, zwykle lekki bęben musiało nieść aż dwóch muzyków.



Karszyńscy muzycy – Edward i Czesław Bartoszkowie, Józef Miś i Antoni Kostyra na dożynkach w Dąbrówce w 1946 r.

Powojenne lata to dobry czas dla amatorskiego teatru. Zaczął się on wtedy, gdy w 1953 roku w miejscowej szkole rozpoczął pracę nauczycielską pan Wojciech Pasterniak. Bez trudu znalazł grupę młodzieży, która grając wyreżyserowane przez niego przedstawienia, świetnie się przy okazji bawiła. W pierwszej wystawionej sztuce pt. „Plotka” wg Francisca Vebera zagrały siostry Kostyrówny – Gienia i Stenia, wzbudzając powszechny aplauz. Przy tej okazji warto dodać, że pan Aleksander Pasterniak, ojciec Wojciecha, przebrany w kostium jednej z występujących w sztuce postaci, chodził po wsi i zachęcał do przyścia na przedstawienie.

Po tym scenicznym sukcesie pojawił się apetyt na kolejne. Wspomniany wyżej reżyser przygotował jeszcze dwie sztuki, które podobnie jak pierwsza zrobiły furorę. Były to: „Rewizor” wg Mikołaja Gogola i „Grube ryby” autorstwa Michała Bałuckiego. Zanim pan Wojciech Pasterniak odszedł z pracy w karszyńskiej szkole, by odbyć służbę wojskową w Wojskach Ochrony Pogranicza i Górniczym Korpusie Wojskowym, a potem studiować polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, przygotował następcę, który kontynuował jego dzieło. Był nim Jan Kolesiński. Pierwszą wyćwiczoną i wystawioną przez niego sztuką była „Panna rekrutem” wg Bolesława Kazimierza Stefańskiego. W kolejnej pod tytułem „Zemsta Cygana” zagrała cała grupa miejscowej młodzieży, to jest: sam reżyser, a także Jan Kowalik, Jan Swat, Danuta Bartoszek, Józef Kolesiński, Genowefa Kostyra i Stanisława Smalec.³ Jak przypomina sobie pani Genowefa Kolesińska, z domu Kostyra, wymieniony wyżej zespół przygotował sześć przedstawień, z którymi występował nie tylko na scenie w karszyńskiej świetlicy, ale także gościnnie w wielu okolicznych miejscowościach.



„Zemsta Cygana” Na fotografii od prawej:
Genowefa Kostyra, Jan Kowalik, Józef Kolesiński,
Stanisława Smalec

Tytuły owych przedstawień to: *Rewizor*, *Grube ryby*, *Ożenek*, *Plotka*, *Zemsta Cygana* i *Panna rekrutem*. Prezentowaną tutaj fotografię wykonał towarzyszący artystom nauczyciel – Zygmunt Bobkowski. Było to podczas występu w Bełczu w 1957 roku.

Pewnie pod wpływem trochę starszych kolegów „kulturalnie spędzających czas”, także młodszy karszyniancy zapragnęli zaistnieć na artystycznym rynku wsi. Taką okazją był zwyczaj wystawiania „Herodów”. Nawiązywał on do wydarzeń religijnych, to jest do historii narodzin Jezusa i jego prześladowania przez króla Heroda. Centrum przygotowawcze obrzędu znajdowało się nieopodal kościoła u państwa Kostyrów, których synowie brali udział w przedstawieniu. Organizacją występu zajmowali się bracia Kolesińscy oraz Andrzej Pasterniak. Do dziś pamięta się w Karszynie, że poszczególne role grali: król Herod – Józef Kolesiński, Bernard Chmiel, żołnierze – Kazimierz Kostyra i Stanisław Kowalik, śmierć - Władysław Blum, żyd - Tadeusz Murzicz. To wtedy, po próbie generalnej, kiedy artyści poszli do pokoju na piętrze się przebrać i ucharakteryzować, piszący te słowa – aktywny obserwator, z ciekawością oczekiwał ich powrotu. W tym czasie na dużym kuchennym stole stało porozlewane w szklanki wino, które dla dodania sobie odwagi mieli wypić przed wyjściem na wieś. Gospodyni, pani Kostyrowa,

3 Kronika Klubu Prasy i Książki RUCH w Karszynie, własność K. Drzymały.

krzątała się przy piecu kuchennym, a ja niecierpliwiłem się, nie mogąc doczekać się zejścia artystów. Chcąc tylko spróbować, co będą pić przebierańcy, sięgnąłem po szklanke. Widocznie było dobre, bo obszedłem stół dookoła i opróżniłem wszystkie naczynia. Potem usiadłem na krześle i ... zasnąłem. Co było dalej, wiem tylko z opowiadań. Gdy bowiem aktorzy zeszli na dół, jeden z nich zapytał gospodynię, gdzie jest ich wino. I wtedy wszystko się wydało - powód zniknięcia trunku spał smacznie na krześle. Gdyby zabrali go z sobą na górę, pewnie wszystko byłoby w porządku, a tak... Z opowiadań wiem także, że do domu przyniosła mnie moja jak zwykle niezawodna siostra, którą rodzice posłali po mnie, wiedząc, że ja tylko obserwuję, jak starsi koledzy uczą się występów. Najciekawsze jest to, że mogłem wtedy mieć może z pięć, może z sześć lat. Pewne jest jedno, już wtedy ciągnęło mnie do sztuki i artystów. Oczywiście najistotniejsze były same występy przygotowane przez ówczesną młodzież. Prezentowane były w odwiedzanych przez nią domach tuż po świętach Bożego Narodzenia. Za swój artystyczny wysiłek gospodarze obdarowywali grupę słodyczami, ciastem, wędlinami, jajkami, niewielkimi sumami pieniędzy, czasem co starszych młodzieńców szklaneczką domowego wina. Zebrane produkty posłużyły potem na przygotowanie, z pomocą niezawodnej pani Kostyrowej, prawdziwej artystycznej uczty.

Kiedy w Karszynie nikt jeszcze nie miał pojęcia o telewizji, a radio mówiło na jeden temat, to jest o tym, co akurat jedynie słuszna wówczas partia uchwałała, miejscowym zwyczajem było spotykanie się w wolnym czasie na ławeczkach przy niektórych zagrodach. Słynne były szczególnie dwie. Pierwsza stała pod dębem pomiędzy gospodarstwami państwa Baców i Dziamskich. Była to *męska* ławka, bo na niej zasiadali mężczyźni, co to musieli przedyskutować najważniejsze sprawy akurat dziejące się we wsi, gminie oraz w państwie. To na tej ławce, zasiadający wiele lat temu mężczyźni, opowiadali sobie o przygodzie, jaką przeżył Julian T. w czasie powrotu do swego domu po pogrzebie kolegi – Janka Swata. Było to mniej więcej tak: Wspomnianemu wyżej Jankowi zdarzyło się zejść z tego świata. Za życia był bardzo pogodnym i uczynnym człowiekiem, który z każdym umiał znaleźć wspólny język. Jego ujmujące usposobienie było bardzo pamiętane, szczególnie przez kolegów, którzy tak bardzo przeżyli śmierć druha, że postanowili jego pamięć uczcić przy pomocy czegoś mocniejszego, dobrze go wspominając właśnie na owej ławce. Wspominki przeciągnęły się do późnego wieczora i zapadł już zmrok. Uczestnicy zaczęli się powoli rozchodzić do domów. Jeden, nie chcąc iść dookoła, postanowił skrócić sobie drogę, przechodząc przez cmentarz. Od zakrystii wiodła ścieżka do byłej plebanii, w owym czasie zamieszkiwanej przez rodzinę Młotków. Nasz bohater wybrał więc skrót i, kiedy mijał będący po lewej stronie ogrodzony metalowym płotkiem przedwojenny nagrobek, poczuł, że coś go przytrzymuje za połę kurtki. Obejrzał się nieco zalekniony, bo choć miejsce było w środku wsi, to jednak znajdował się na cmentarzu, w dodatku nocą. Szarpnął się z lekka, ale to coś nie zamierzało puszczać. Nagle wyobraził sobie, że przytrzymującym jest niedawno zmarły Janek, którego świeży grób znajdował się nieopodal. Pomyślał, że złapał go właśnie teraz i w takim miejscu, gdyż za życia nie doczekał się zwrotu

długo. Zaczął więc głośno obiecywać, że jutro odda należność. Potem szarpnął się raz jeszcze, urywając kawał kurtki. Uwolniony, pobiegł czym prędzej przez podwórze plebanii do swego domu. Później długo omijał ów skrót, sądząc, że na karszyńskim cmentarzu straszy. Całą sytuację opowiadano sobie nieraz, podczas spotkań na słynnej *męskiej* ławce, usytuowanej koło posesji należącej do państwa Dziamskich.

Druga z ważnych ławek znajdowała się obok domu państwa Zboralskich. Była to *damska* ławka, bo na niej omawiane były najróżniejsze, oczywiście również ważne sprawy, ale z żeńskiego punktu widzenia. Czy dochodziło do konfrontacji zdań bądź opinii wypracowywanych przez obie opcje ławkowe, nie wiadomo. Mniejsze znaczenie miały ławki służące do wymiany wiejskich poglądów usytuowane przy posesjach Józefa Misia, Ignacego Śmiałka, Józefa Kolesińskiego, Alojzego Lehmana, Harmuta Pineckiego i Jana Skorupińskiego. Wymieniłem tylko te miejsca posiedzeń, które znajdowały się przy głównej ulicy, a pominąłem zlokalizowane przy zagrodach leżących przy bocznych uliczkach. Ranga spraw omawianych na tych ostatnich była zdecydowanie niższa od wymienionych na wstępie. Znaczenie przytoczonych tutaj miejsc posiedzeń zmalało z chwilą pojawienia się we wsi świetlicy, a szczególnie wynalazku techniki, jakim była telewizja. Ta na początku gromadziła karszyniaków w świetlicy wiejskiej oraz w niektórych domach, w tym także w mieszkaniu moich rodziców. Kiedy stała się dobrem powszechnie dostępnym, niemal zupełnie zanikł zwyczaj siadywania i rozmawiania na ławeczkach. Telewizja zamknęła ludzi w domach i oddaliła ich od siebie.

Podczas długich jesiennych czy zimowych wieczorów w niektórych domach odbywało się darcie pierza. Zwykle organizowały je gospodynie, które miały córki i – według dawnego zwyczaju - powinny zadbać o uszykowanie im ślubnej wyprawy, na którą składały się między innymi poduchy i pierzyny z gęsiego pierza. Właśnie je należało odpowiednio podrzeć czyli oddzielić puch od pypci. Sama czynność nie była niczym niezwykłym i można ją było wykonać siłami własnej rodziny. Chodziło jednak o to, by się spotkać a przy okazji poplotkować, pośpiewać, posłuchać podkolorowanych opowieści. W poszczególnych zagrodach zgromadzonego pierza na ogół starczało na jeden wieczór pracy. Na koniec gospodyni częstowała przybyłe panie i dziewczyny ciastem, kawąno i oczywiście czymś mocniejszym. Po pierzówce u jednej, umawiano się u kolejnej. Takie spotkania przy pierzu jednoczyły żeńską część wsi i pełniły również funkcję edukacyjną. Kobiety dzieliły się wtedy swymi doświadczeniami w różnych sprawach, a poza tym były zorientowane, co się we wsi dzieje. Do dziś wspomina się panią Walerię Wycisk, którą chętnie zapraszano na pierzaki, bo ceniono jej życiową zaradność i wrażliwość na ludzkie sprawy.

Pisząc o życiu kulturalnym, trudno nie wspomnieć o hobby, któremu poświęcało sporo wolnego czasu kilku karszynian. Mam na myśli wędkarstwo. Warunki do jego uprawiania były wymarzone, bo niedaleko od wsi przepływa Obrzyca. W opinii znawców uchodziła kiedyś za rybną rzekę, toteż fani „moczenia kija”, oprócz czasu spędzonego w otoczeniu pięknej przyrody, miewali satysfakcję

ze złowionych „taaakich okazów” szczupaków, kleni, leszczy... Za prawdziwych koneserów tej szczególnej odmiany „sztuki” uważani byli Aleksander Pasterniak, Waław Balcerak i mój ojciec Ignacy. Po wielu latach inny zapalony wędkarz – Wojciech Pasterniak, którego radziłem się w pewnej sprawie związanej z niniejszym pisaniem, przypominał, że mój ojciec miał talent do łowienia dorodnych okazów kleni.

W 1963 roku zainicjowała swój żywot świetlica wiejska. Prowadziła ją wieczorami nauczycielka pani Celestyna Sawczuk. To miejsce, służące kulturalnemu spędzaniu czasu przez mieszkańców wsi, z początku odwiedzały głównie dzieci, szczególnie jesienią i zimą. W pomieszczeniu było ciepło, stały stoliki i krzesła. Pamiętam, że jednego razu siostra zabrała mnie na słuchanie bajek. Nie chodziłem jeszcze do szkoły. Tymczasem w świetlicy tego wieczoru bajki miała czytać sama kierowniczką pani Sawczuk. Chyba nie było wtedy w karszyńskiej szkole ucznia, który by się jej nie bał. Również ja, choć jak dotąd nie miałem okazji spotkania się z tą panią. Jakież było moje zdziwienie, kiedy Kierownica – takie miała przezwisko – zaczęła czytać bajkę Puszkina „O rybaku i złotej rybce”, raz po raz podchodząc do poszczególnych stolików, przy których siedziały dzieci, i pokazując barwne ilustracje w książce. Nigdy później nikt tak nie zainteresował mnie literaturą, jak ta, mająca opinię surowej, nauczycielka.

Po roku w Karszynie został otwarty Klub Prasy i Książki RUCH. Znajdował się on w mniejszym pomieszczeniu niegdysiejszego Winzlers Gasthaus, to jest w nieczynnej restauracji Winzlera, w miejscu niedawnej świetlicy. Jakby integralną częścią klubu była sala taneczna wraz ze sceną. Tam od czasu do czasu rozbrzmiewała muzyka, przy której można było się zabawić, tam też miejscowa szkoła przy różnych okazjach wystawiała przedstawienia, przygotowane przez nauczycieli, ale z udziałem dzieci. W pomieszczeniu obok, przy ścianie, za którą była wspomniana sala, na podwyższeniu stał telewizor rubin. Czarno – biały, z często niestabilnym obrazem, regulowanym ręcznie i nadający tylko jeden program. Ale ów szczyt techniki audiowizualnej pozwalał odtąd słuchać wiadomości z kraju i zagranicy i jednocześnie oglądać to, co komentowano. Telewizorem „władawa”, podobnie jak całym klubem i salą taneczną pani Karolina Drzymała. Ona otwierała ów przybytek, uzupełniała prasę w przeznaczonym do tego kąciuku, przygotowała kawę, sprzedawała słodczyce albo lemoniadę oraz organizowała całą gamę innych kulturalnych spraw. Na początku, to jest zaraz po uruchomieniu klubu, dzieci przychodziły, by pograć w warcaby, pobawić się grami planszowymi, a o godz. 19.15 obejrzeć jedyny dla nich program, to jest „Dobranockę”. Wtedy pani Karolina – tak wszyscy mówili na panią Drzymałową – włączała telewizor, gasiła światło i wreszcie była... bajka na dobranoc pod tytułem „Jacek i Agatka”. Kiedy o godz. 19.30 rozpoczynał się „Dziennik Telewizyjny”, dzieci w klubie już nie było. Zmierzwały prosto do domów i lepiej, żeby nie spotkały się o późniejszej porze na wsi z któryś z nauczycieli. Nie do pomyslenia też było, aby po „Dobranocce” jakaś niepełnoletnia osoba pozostała w świetlicy *na telewizji*. Nie trzeba było specjalnych uprawnień, by komuś takim gestem głowy pokazać drzwi i już osoby nieletniej w świetlicy nie było. W tym

lokalu spotykali się także wieczorami miłośnicy partyjki szachów. Zamiłowanymi szachistami byli Henryk Wycisk, Alojzy Drzymała i mój ojciec Ignacy. Bywało, że słynne „tempo szachisty” kazało pani Karolinie zamykać lokal znacznie później niż zwykle.

Głośnym wydarzeniem kulturalnym we wsi był przyjazd kina objazdowego, zapowiadany przez afisz wywieszony na wiejskiej tablicy ogłoszeń. A jeśli ktoś zapomniał, że przyjeżdża kino, przypominała o tym wcześniej muzyka puszczana przez potężne głośniki wystawione na zewnątrz budynku klubu. Stałymi punktami wieczornego programu były filmy, najpierw przygodowy dla dzieci, a około godz. 19.00 inny dla dorosłych (dozwolony od lat szesnastu). Obie projekcje były poprzedzone wyświetleniem Polskiej Kroniki Filmowej. Ponieważ wielu z nas interesowało to, co zabronione, któryś z kolegów wpadł na pomysł, żeby oglądać *zakazane* filmy zza ekranu. Białe płótno, pełniące rolę ekranu kinowego, było przed projekcją wieszane na scenie w sali tanecznej. Można tam było niezauważenie wejść przez okno mieszczące się z tyłu sali. Należało potem siedzieć cicho na podłodze, by nie zdradzić swej obecności i oglądać film od tyłu ekranu. Ileś razy się to udało, ale kiedyś samodyscyplina zanadto się rozluźniła i zdradziliśmy swą zaekranową obecność. Ktoś niespodziewanie odsłonił ekran i wszystko się wydało. Z trudem mieściliśmy się w oknie, uciekając wszyscy na raz. Niestety, od tej pory skończyły się zaekranowe projekcje ciekawych, bo przeznaczonych dla dorosłych filmów. Okna przed projekcją były dokładnie sprawdzane i nie dało się ich nijak otworzyć. A takie ciekawe były niektóre filmy...

Gdy po wielu latach przeglądam skrzętnie sporządzane i przechowywane przez panią Karolinę kroniki z działalności karszyńskiego klubu, z sentymentem wspominam ów czas, kiedy było dokąd w naszej wsi pójść wieczorową porą, szczególnie jesienią i zimą. Klub Ruchu - choć nie był jakiś niezwykły, to jednak przede wszystkim był miejscem, w którym społeczność wiejska miała się gdzie spotkać, posiedzieć, porozmawiać, wspólnie obejrzeć program telewizyjny. Było w nim ciepło a instytucją kierowała życzliwa wszystkim osoba. Jakże takich miejsc brakuje na wsi w dzisiejszych czasach!

Kiedy na wsi nastąpiła era telewizji, wówczas owo cudo techniki – telewizor - pojawiło się w Klubie Ruchu, u państwa Kubackich i w naszym domu. Odtąd, szczególnie podczas ferii i przerw świątecznych, a także w porze, gdy klub był jeszcze zamknięty, gwarnie bywało w naszym domu. Nie brakowało mi wtedy kolegów, z którymi wspólnie oglądałem seriale dla dzieci: „Robinson Kruzo”, „Czterej pancerni i pies”, „Stawiam na Tolka Banana” i jeszcze inne. Z kolei wieczorem przed ekranem telewizora zasiadali dorośli, to jest sąsiedzi, znajomi, koledzy z pracy rodziców. Frekwencja powoli malała, bo we wsi przybywało odbiorników telewizyjnych.

Od roku 1966 podniesiony został stopień organizacyjny Szkoły Podstawowej w Karszynie z 7 do 8 klas. Od tej pory za sprawą komitetu rodzicielskiego rozszerzyła się gama imprez o charakterze kulturalnym tak dla dzieci, jak i dorosłych. To szkoła za sprawą pracujących w niej nauczycieli przygotowywała

akademii na różne okazje. Były więc m.in. przedstawienia z okazji święta pracy czy rewolucji październikowej. Szkoła i działający przy niej komitet rodzicielski stały za przygotowaniem zabawy – jak się ją określało – choinkowej. By to ważne w życiu całej wsi wydarzenie mogło się odbyć, należało najpierw nagrzać salę wiejską. Trzeba było rozpalić ogień w dwóch dużych żeliwnych piecach stojących po obu stronach sceny i utrzymywać żar spalanego węgla przez minimum jeden dzień, a jeśli pora była mroźna, to nawet przez dwa dni. Czynność tę miałem okazję wykonywać wraz z dwoma kolegami z klasy, to jest Z. Pietruszką i W. Cielebąkiem. Zabawa zaczynała się około godz. 16.00 przygotowanymi na tę okazję występami dzieci, po nich przychodził czas na przybycie gwiazdora, jak wówczas - nazywano św. mikołaja. Po wręczeniu dzieciom prezentów do godz. 20.00 była zabawa taneczna dla dzieci. Do tańca przygrywał wówczas na akordeonie Józef Kolesiński, zwany potocznie Ziukiem. Kiedy indziej zastępował go nauczyciel Harmut Pinecki. Może raz albo dwa dane było dzieciom bawić się, tańcząc przy prawdziwej orkiestrze, bo ta przyjechała wcześniej i zdążyła rozstawić instrumenty. Po zabawie dzieci około 20.30 rozpoczynała się zabawa taneczna dla dorosłych. W czasie tej części imprezy organizowanej przez rodziców dzieci szkolnych działał bufet z napojami, sprzedawane były kotyliony, w czasie białego walczyka czekolady, a cały dochód z organizacji imprezy przeznaczony był na uzupełnienie potrzeb miejscowej szkoły.

Czas wolny dzieci i młodzieży

Czym się zajmowały dzieci i nieco starsza młodzież, kiedy powróciły ze szkoły? Ciąg dalszy dnia zależał od tego, czy to byli chłopcy, czy dziewczęta, czy było to latem, czy zimą oraz czy były to dzieci rolników, czy też rodzice nie mieli ziemi. Jeśli rodzina żyła z dochodów uzyskiwanych z gospodarstwa rolnego, wówczas po południu zwykle było coś do zrobienia i to na ogół o każdej porze roku. Trzeba było pomóc w stodole i w oborze albo znalazła się jakaś pilna praca w ogródku, na podwórzu lub w mieszkaniu. Do obowiązków dziewcząt należały sprawy związane z kuchnią, to jest pozmywanie naczyń, pozamiatanie podłóg, poodkurzanie półek i regałów, zadbanie o kwiaty w doniczkach czy ogrodzie. No i oczywiście, jeśli w domu było młodsze rodzeństwo, pilnowanie, by nic mu się nie stało. Chyba że akurat plany młodszych latorośli i starszej siostry były podobne. Tak było ze mną i moją siostrą Teresą, która pod częstą nieobecność rodziców opiekowała się mną. Otóż jednego razu poszliśmy oboje za naszym czarnym kotem do stodoły. Wołaliśmy, by na nas poczekał, ale nasze „kicanie” na niewiele się zdało, bo czarny kot najpierw wskoczył na siano do sąsiedka, stamtąd na drągi leżące nad klepiskiem i po nich przeszedłszy czmychnął nad oborę będącą po drugiej stronie stodoły. Mogłem wtedy mieć nie więcej niż trzy lata, ale po drabinie potrafiłem się już gramolić. Siostra pokazała mi, że drabiną można wejść na drągi i dalej tak, jak kot – nad oborę. Drągi były wysoko, gdzieś z pięć metrów nad betonową posadzką klepiska. Ale jak się wchodziło, mając wzrok cały czas skierowany w górę, nie widziało się, że do dołu jest tak daleko. Poza tym za mną wchodziła siostra. Gdy byłem już na górze, to jest na owych drągach lekko przyprószonych sianem, dopiero zobaczyłem, jak jestem wysoko. Bałem się ruszyć, myśląc, że spadnę. Dołączyła do mnie Teresa i zdecydowała, że nie ma wyjścia, trzeba iść za kotem. Ruszyłem przodem i... po chwili wygrzebywałem się z plew leżących na klepisku, a nade mną stała Teresa. Okazało się, że rozsypane na drągach siano przykrywało przestrzeń powstałą po ich rozsunięciu. Akurat w nią wszedłem i wraz z garstką siana wylądowałem kilka metrów niżej, na szczęście na plewach. Nic mi się nie stało. Nawet się nie zadrapałem. Mogłem wtedy jednak zginać lub w najlepszym razie poważnie się połamać. Nad obojgiem z nas – małymi dziećmi bez opieki – musiał wtedy czuwać nasz anioł stróż.

Gdy siostra zaczęła chodzić do szkoły, zazdrościłem jej, że idzie do dzieci, gdzie byli także moi koledzy. Wprawdzie trochę starsi, ale po lekcjach bawiłem się z nimi, więc nie mogłem zrozumieć, dlaczego muszę siedzieć w domu. W tym czasie byłem bardzo zainteresowany, co z tego chodzenia do szkoły wynika. Nigdy nie widziałem klasy, nauczycielki, tablicy i kredy. Prosiłem, żeby siostra mi opowiadała o szkole oraz o tym, co w niej robią moi koledzy. Niekiedy na odczepnego coś mi tam powiedziała, ale ja nie bardzo jej wierzyłem, bo ona zawsze po lekcjach coś miała do zrobienia na jutro. Kiedy rysowała jakieś szlaczki w zeszytcie, koniecznie chciałem jej pomagać. Dawała mi więc niekiedy kredkę i mówiła, że najpierw muszę poćwiczyć na kartce, a dopiero potem w jej zeszytcie. No tak, ale gdy tylko

zaczynałem coś robić kredką, zaraz mi się łamała. Była chyba jakaś „felerna” – jak mówił ojciec – gdy go prosiłem o jej naostrzenie. Kiedyś tak bardzo prosiłem Terenię, że w końcu uległa i zabrała mnie na lekcje. Niektóre siostry również w tamtych czasach niekiedy przyprowadzały swe młodsze rodzeństwo do szkoły, gdy rodzice nie mieli co z nim zrobić, bo sami akurat szli do pracy. Nauczycielki to rozumiały i pozwalały przychodzić maluchom. Lekcję prowadziła pani Zofia Makowska. Akurat coś tłumaczyła dzieciom, kiedy ja zacząłem marudzić, żeby mi siostra dała kredki do rysowania. Pamiętam, że zacząłem się z nią droczyć, bo kazała mi być cicho. Nauczycielka usłyszała hałas i kazała przyjść siostrze do swego stolika. Zwykle nic dobrego to nie wróżyło. Wracało się potem na miejsce z czerwoną dłonią za nieposłuszeństwo. Teresa podeszła, a gdy nauczycielka chciała zrobić użytek z różgi, wówczas siostra zabrała dłoń. I zaczęła uciekać. Wtedy pani Makowska pobiegła za nią. Od razu zrobiło się bardziej interesująco, nie tak nudno jak dotychczas. Wcześniej bowiem dzieci coś powtarzały za panią chórem albo pojedynczo, rysowały dziesiątki takich samych znaków w linijce i stale musiały siedzieć w ławce, najlepiej się nic nie ruszać. A gdy czegoś chciały, to miały podnosić do góry rękę z dwoma palcami. Nie mogłem tego zrozumieć, że nie można też było rozmawiać. Z wielkim trudem wytrzymałem tę szkołę, która tego dnia trwała trzy godziny, z których najciekawsze były przerwy. Tego też nie mogłem pojąć, że to, co najlepsze w szkole, było najkrótsze. Niekiedy podczas spotkań rodzinnych siostra przypomina początki mojej kariery wokalnej. Mogłem wtedy mieć ze cztery lata, ale już rozumiałem, że pieniądze to takie metalowe krążki, za które można mieć cukierki. Nie pamiętam, skąd przyszedł mi do głowy pomysł, pewnie znowu za nim stała moja nieodłączna siostra, aby pójść na główną ulicę we wsi, gdzie akurat było dużo dzieciaków i młodzieży ślizgających się na oblodzonej nawierzchni jezdni. Była bowiem zima, spadło dużo śniegu i konne zaprzęgi wywożące z lasu drewno mocno ów śnieg ubiły. Można się zatem było na nim ślizgać na całej długości, to jest od pierwszych do ostatnich zabudowań wsi. Ojciec jak zwykle od rana był w pracy w lesie. Mama natomiast, nie chcąc, żebym wychodził na dwór, bo byłem przeziębiony, schowała moją wierzchnią odzież i buty. Widać nauczona doświadczeniem z „Herodami” u Kostyrów wołała dmuchać na zimne. Było chyba po południu, bo siostra wróciła już ze szkoły i zajęła się odrabianiem lekcji. Mama poszła do obory napić krowy. Ja, wiedząc od Teresy, że na wsi jest publiczność, założyłem gumowe buty ojca, które sięgały mi niemal po pachwinę, długi płaszcz mamy i bez czapki dobiegłem do kolegów. Widocznie wiedzieli po co przyszedłem, bo nie pamiętam już który, ale zaproponował, żebym zaśpiewał piosenkę. To, iż śpiewałem, i tego się nie wstydziłem, było we wsi znane, dlatego powiedziałem, że owszem, zaśpiewam, ale za pieniądze. Nie znałem wtedy wartości monet, ale wiem, że obstał mi wianek słuchaczy, spośród których raz po raz ktoś zamawiał u mnie piosenkę, a ja śpiewałem. Pamiętam, że furorę wśród słuchaczy robiła szczególnie jedna, o którą co rusz ktoś prosił, to jest: *Ja stojałem pod lasem z fujareczką za pasem, jak zaczęły psy szczekać, tom ja musiał uciekać* Śmiali się przy tym moim śpiewaniu, że aż trzymali się za boki. Do kieszeni

plynęły drobniaki, a ja nawet nie zauważyłem, że zmarłem do tego stopnia, iż podczas śpiewu trząsałem się cały. Pech chciał, że na tę scenę nadjechał rowerem ojciec. Usłyszałem tylko z daleka groźne pytanie: *Co ty tutaj robisz?* Nie czekając na ciąg dalszy i nie odebrawszy reszty zapłaty za usługę wokalną, pognałem przez wysoki śnieg w stronę domu, mało przy tym butów nie pogubiwszy. Zanim ojciec dotarł do domu, zdjął z bagażnika piłę i przygotował ją do pracy w następnym dniu, ja już byłem w łóżku pod pierzyną, a mą obroną zajęła się siostra. Wiem z opowiadań, że mój pierwszy publiczny występ, w dodatku płatny, okupiłem chorobą, w czasie której przez kilka dni byłem przywiązany do łóżka. Przepadły też moje gaże artystyczne, którymi oczywiście zaopiekowała się Teresa, rekompensując sobie udzieloną mi asekurację po powrocie rozżłoszczonego ojca. Bez „lejtów” się wtedy obeszło, ale cóż z tego - tak dobrze zapowiadająca się kariera wokalna, w dodatku dochodowa, ledwo się zaczęła, a już się skończyła. Muszę tu jeszcze dodać, że lubiłem śpiewać dzięki mamie, która często nuciła piosenki podczas różnych domowych prac. Niekiedy stojąc przy kuchni podczas gotowania obiadu, śpiewała półgłosem pieśni kościelne, akurat takie, jakie w danej porze roku liturgicznego śpiewać należało. Wieczorami, gdy w domu nie było jeszcze telewizji, a ojciec poszedł gdzieś na wieś na męskie plotki, siadała wraz ze mną i siostrą i śpiewała.

Kiedy byłem trochę starszy, musiałem pomagać w domu. Najczęściej po szkole pasłem krowy na pastwisku w *łakach*. Do moich obowiązków należało też uprzątanie do szopy drewna z przymy leżącej na podwórzu. Było tego dużo, bo gdy ojciec popiłował całą gałęziówkę, wówczas taki malec miał co robić popołudniami przez kilka tygodni. Tymczasem poza podwórzem tyle ciekawych rzeczy się działo. Moi koledzy grali w palanta na boisku *koło Pietruszki* albo *koło Lehmana*. Można też było pójść na szkolne boisko, ale to było dość daleko. Gra w tę niewielką piłkę odbijaną palantem – jak mówiono na kij – w pewnym czasie była ulubioną rozrywką dzieciarni, szczególnie wczesną wiosną. Gdy już było względnie ciepło, tak że można było przebywać na dworze bez kurtek, płaszczy i innych ciepłych okryć, niekiedy po kilkanaścioro dziewcząt i chłopców zbierało się na wspomnianych placach. Któreś wcześniej rysowało linie wyznaczające prostokąt boiska, gdzie było „niebo” i „piekło”. Później dwie najważniejsze osoby chwyciły się za dłonie, zakręcały, potem się puszczały i zaczynały, stawiając na przemian stopy, zbliżać się ku sobie. Kto, jako ostatni nie mógł postawić całej stopy, wybierał jako drugi kolegę lub koleżankę spośród pozostałych dzieci do swej drużyny. Spośród przybyłych na plac dzieci wybierane były wszystkie i każde mogło się w tę grę bawić. Jako ostatnie trafiały do drużyn, na czele których stały „matki”, tak zwane „lebiegi”, czyli dzieci, które były mniej sprawne. Później było losowanie „nieba” albo „piekła”. Kto trafił do tego pierwszego, odbijał piłkę, potem biegł na pierwszą linię, gdzie mógł się zatrzymać i nie być skuty, to jest uderzony przechwyconą przez przeciwną drużyną piłką. Mógł też biec do drugiej linii albo nawet zdążyć powrócić do „nieba”. Jeśli drużyna będąca w niebie była mocna, mogła w nim tkwić przez całą grę, chyba że ktoś z będących w „piekle” chwycił

„kampe”, to jest przechwycił w jedną rękę lejącą piłeczkę, co wcale nie było takie proste. By umożliwić będącym w „piekle” wcześniejsze dostanie się do „nieba”, drużyny umawiały się na początku w sprawie zasad obowiązujących podczas gry. Była na przykład taka, że złapawszy trzy razy piłkę w dwie ręce albo poprzez „skucie” biegnącego zawodnika drużyna przechodziła do „nieba”.

Czas trwania takiej zabawy nie był odmierzany i przeciągał się niekiedy do wieczora. Bieganie kończyło się, gdy już nie było widać szybującej piłki. To ulubione zajęcie sportowe dzieci przeniosło się także na szkolne podwórze w czasie lekcji wychowania fizycznego. Po obowiązkowej gimnastyce, nauczyciel, a był nim wtedy pan Andrzej Pasterniak, pozwalał pograć w palanta.

Podobną popularnością cieszyła się gra w dwa ognie. Tutaj także składy drużyn mogły być mieszane i wystarczyła pewna przestrzeń, skórzana albo gumowa piłka i ochota do zabawy. Obu przytoczonym wyżej zabawom zespołowym, także koedukacyjnym, skupiającym młodszych i starszych, często towarzyszyło dużo emocji w związku z interpretacją zasad, według których się odbywały. Wprawdzie przed rozpoczęciem gier były ustalane warunki i strony się na nie godziły, ale gdy przychodziło do momentów spornych, wówczas najmocniejszym argumentem była siła głosu dowodzących swych racji.

Popularną zabawą wśród dziewcząt, było odbijanie gumowej piłki o ścianę. Nie bardzo rozumiałem, o co w tym odbijaniu chodziło, ale pamiętam, że koleżanki potrafiły taką piłką na różne sposoby żonglować. Jedne umiały odbijać ją oburącz, potem głową, a właściwie czołem, inne potrafiły nawet po odbiciu obrócić się wokół własnej osi. Ponadto dziewczyny chętnie bawiły się skakanką, no i oczywiście grały w klasy. Niektóre zabawy jak berek czy chowany były koedukacyjne – było w nich miejsce zarówno dla dziewcząt jak i chłopców. Kiedy do zabawy pozostawały cztery osoby, wówczas można było zagrać w państwa. Zabawa polegała na narysowaniu okręgu o średnicy 10 lub 15 metrów i podzieleniu go na mniej więcej cztery równe części. W miejscu przecięcia się średnic rysowany był mniejszy okrąg o średnicy około jednego metra. Każdy z uczestników wybierał państwo, które reprezentował i wpisywał pierwszą literę, oznaczającą nazwę stolicy. Potrzebny był jeszcze patyk. Jedna z osób rzucała go w górę tak, by spadł na któreś z czterech pól. Wtedy jego właściciel brał ów patyk, stawał jak najbliżej linii – granicy któregoś z dwóch sąsiadów i zakreślał jak tylko mógł najdalej owym kijem linię i w ten sposób przyłączał zabraną ziemię do swojej. Dotychczasowy odcinek granicy zmazywał. Później wyrzucał kij w górę i sprawa się powtarzała. Zabawę wygrywał ten, kto zagarnął najwięcej ziem sąsiadów.

Dość szczególna akurat dla dzieci z Karszyna była zabawa w leśniczego. Dlatego szczególna, gdyż polegała najkrócej mówiąc na tym, iż jedna grupa dzieci, przeważnie chłopców, ścigała drugą i wsadzała ich po kolei do „więzienia”. Uwięzieni mogli być uwolnieni przez tych na wolności, o ile nie byli przy próbie dobiegnięcia do więźniów i klepnięcia ich sami klepnięci przez leśniczych. Przy tej zabawie było dużo biegania i stosowania uników. Szczególny karszyński charakter tej zabawy brał się stąd, że tutejsi mieszkańcy stale rywalizowali z prawdziwym leśniczym o to, kto kogo przechytry w sprawach związanych z lasem, a raczej drewnem z niego pochodzącym.

Do ulubionej zabawy chłopców należała gra w noża. Potrzebny był do niej scyzoryk lub inny szpicem zakończony przedmiot, na przykład nieduży pilnik. Polegała ona na tym, że należało wykonać szereg figur związanych z podrzuceniem tego przedmiotu tak, żeby spadając wbijał się w podłoże, najczęściej trawnik do niska wyskubany przez gęsi. Nóż, spadając, nie mógł się pochylać na mniej niż dwa, trzy złożone palce. Jedna osoba grała, wykonując poszczególne ewolucje nożem od pierwszej figury aż do końca, czyli trzech „pikutów”, chyba że skuła, wówczas nóż przejmował kolega. Ostatni, który kończył grę, za karę musiał „ciągnąć kołek”, czyli wystrugany patyk długości ostrza użytego do gry wbity w jeden z trzech otworów zrobionych w trawniku. Otwory były wykonane wspomnianym ostrzem, ale w czasie ich wykonywania ów kolega był odwrócony. Jeden otwór miał długość wspomnianego ostrza, drugi połowę długości, trzeci był całkiem płytki. Po zrobieniu otworów, kolega patrząc z pewnej odległości, wybierał jeden, w który zwycięzca wstawiał kołek i trzymając za czubek noża za pomocą trzech uderzeń musiał na jakąś głębokość wbić kołek. Jeśli otwór był najgłębszy, wtedy nawet za pierwszym uderzeniem kołek lądował w otworze. Kolejne uderzenia owo wbicie tylko poprawiały. Dopiero wtedy przychodziła kolej na przegranego, który przy użyciu zębów musiał ów kołek wyciągnąć. Nie mógł sobie pomagać rękoma. Zmaganiom nieszczęśnika towarzyszył śmiech kolegów, ale takie naigrywanie było wkalkulowane w zabawę. Nie było bowiem wiadomo, kto wygra, a kto przegra. Nieszczęśnik musiał się namęczyć, wygryzając niekiedy trawę, darń lub piasek, zanim wyciągnął kołek.

W Karszynie, podobnie jak w innych wsiach, grano w piłkę nożną. Z początku nie było takiego boiska do gry, które spełniałoby wymogi pod względem wymiarów, ale za piłką się biegano i ją kopało. Jak wspomina profesor Wojciech Pasterniak, gdzieś w początkach lat 50. trzon karszyńskiej drużyny futbolowej tworzyli: Eugeniusz Nasiłowski, Jan i Józef Kolesińscy, Jan Kowalik, Jan Makowski, Józef Twardowski, Tadeusz Murzicz, Jerzy i Ryszard Rychlińscy, bracia Gościccy z Siadczy i oczywiście Andrzej i Wojciech Pasterniakowie. Patronat nad drużyną piłkarską sprawowało Powiatowe Zrzeszenie Ludowych Zespołów Sportowych w Sulechowie. Ono między innymi pomogło wyposażyć zespół w jednakowe koszulki sportowe. Karszyńscy futboliści wyjeżdżali grać mecze towarzyskie do Uścia, Jaromierza, Belcza. Raz nawet zagrali z należąca do A klasy piłkarską drużyną z Sulechowa. Wspomniane wyżej Powiatowe Zrzeszenie LZS patronowało także karszyńskim sportowcom uprawiającym lekką atletykę. Dzięki mojemu rozmówcy – profesorowi Pasterniakowi – po wielu latach mogę przypomnieć, że Jan Kolesiński trenował biegi sprinterskie na dystansie 100 i 200 metrów oraz skok w dal. Andrzej Pasterniak z sukcesami ćwiczył skok wzwyż i bieg na 400 metrów. Ulubioną dyscypliną lekkoatletyczną Wojciecha Pasternaka był bieg na 1500 metrów i trójskok. W drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku grało się w piłkę nożną bardziej rekreacyjnie. Boisko znajdowało się za wiejskim lasem po zachodniej stronie wsi. Natomiast w niedzielne popołudnia na placu położonym w centrum miejscowości (dziś stoi tam sklep państwa Dębickich) nieco starsza

młodzież grywała w piłkę siatkową. Pamiętam, że wśród grających byli Stanisław i Tadeusz Kowalikowie, Wiktor Głuski, Marcin i Antoni Pineccy, Edward Karbowski, Janusz Kostyra, Tadeusz Murzicz, Jerzy Młotek, Stanisław Dziura, Jan Swat, Stanisław Wierzbiński, Stanisław i Bernard Zagdańscy. Do grających czasami dołączała moja nauczycielka pani Krystyna Rabcewicz.

Nie mogę także nie wspomnieć o ulubionej zabawie chłopców pochodzących spod każdej szerokości geograficznej, to jest o zabawie w strzelanego albo w wojnę. Na czym ona polegała, zależało od inwencji uczestników i za każdym razem miała inny przebieg. Jedno zawsze było stałe – należało mieć broń, to jest najczęściej wystrugany z deski pistolet albo karabin. Podobno jednym z lepszych pod tym względem „rusznikarzy” byłem ja, bo potrafiłem na potrzeby zabawy uruchomić narzędzia ojca i szybko „uzbroić” bezbronnych. W moim oddziale czasem bywali obaj chłopcy pani Jadzi Pineckiej – Marek i Grzesiu. Po skończonej zabawie wracali do domu oczywiście „uzbrojeni”. Swoje zabawki przed snem z początku zostawiali gdzieś na widoku i rano byli bardzo rozżaleni, bo gdy spali, ich *oma* – jak nazywali siostrę babci – paliła je w piecu mówiąc, że ona nie chce wojny i nie chce też, aby dzieci się w nią bawiły. I w ten sposób „rusznikarz” znów miał zajęcie, jeśli zabawa miała mieć militarny charakter.

Z zabaw, w czasie których słychać było raz po raz huk wystrzałów, przypominam sobie strzelanie siarką od zapalek z rurek, a właściwie metalowych kołków mocowanych w ścianie, do których potem były przykręcane przewody elektryczne. Taką rurkę z głębokim na 1,5 cm otworem wbijało się w kawałek pasującego do dłoni okrągłego drewnianka. Do otworka zdrapywało się siarkę z 3 – 4 łebków zapalek, ubijało, potem wkładało gwóźdź papiak i urządzenie było gotowe do odpalenia. Wystarczyło tylko energicznie owym gwoździem uderzyć o coś twardego i rozleżał się huk.

Nieco inaczej, ale też z głośnym hukiem strzelało się przy użyciu puszek po farbie i karbidu. Ta „huczna” zabawa była jednak trochę niebezpieczna, gdyż dopuszczenie do nazbierania się w puszcze zbyt dużej ilości acetylenu mogło skończyć się poparzeniem dłoni lub twarzy. Takiemu strzelaniu z rurek lub przy pomocy karbidu z puszek towarzyszyło bieganie po atrakcyjnych do zabawy miejscach. Były nimi tzw. Wehrmachthaus lub inaczej prochownia oraz prawdziwy labirynt pomieszczeń znajdujących się na różnych kondygnacjach, dawnej fabryki cygar. Ten piękny budynek nie został zniszczony w wyniku działań wojennych. Stał kompletnie wyszabrowany na skraju wsi pod lasem. Można tam było zajrzeć wszędzie, z wyjątkiem pomieszczeń na parterze. W nich niektórzy karszyniaczy trzymali siano dla swego inwentarza. Bez żadnych przeszkód, ze względu na brak drzwi i okien, jako dzieciaki buszowaliśmy po pomieszczeniach pierwszego piętra, obszernego poddasza, wieży z klatką schodową i piwnicach.

Podobnie jak latem, tak i w porze zimowej karszyńska dzieciarnia potrafiła się dobrze bawić. Bezdyskusyjnie palmę pierwszeństwa, gdy idzie o miejsce zabaw na śniegu, miała *góra Kubickiego* – jak nazywaliśmy dość wysokie wzniesienie położone w pobliżu gospodarstwa wymienionego gospodarza. Z niej, gdy tylko

spadł śnieg i już nie topniał, zjeżdżało się na sankach, nartach a czasem, kiedy stok był już bardzo wyślizgany, na butach albo łyżwach. Miejsce to było okupowane przez amatorów ślizgania od zakończenia lekcji w szkole aż do zmierzchu i to do czasu, aż słońce wiosenne roztopiło tę niesamowitą ślizgawkę.

Byłem w tej szczęśliwej sytuacji, że wraz z siostrą mieliśmy sanki. Ja zaś do własnego użytku miałem także łyżwy przytwierdzone do butów oraz narty zrobione przez ojca z jesionowego drewna. Lubiłem zjeżdżanie na sankach z górki. Chętnie ślizgałem się po zamarzniętych rozlewiskach – *u Pendyka*, w lesie *za Smalcem*, na rowie *za Bajonem*, na łąkach *za drugim mostkiem*. Najbardziej jednak uwielbiałem przytwierdzić narty i niczym kanadyjski traper przemierzać przestrzenie pól i lasów przysypanych śniegiem *na górach*, *za Nowakiem*, *pod kanałem*. Duża ilość napadanego śniegu pozwalała obserwować pozostawione na nim przez zwierzynę ślady. Najczęściej były to tropy zajęcy przychodzących w pobliże wsi w poszukiwaniu pożywienia. Ale zdarzało się też widzieć ślady saren w postaci poobgryzanych z kory sosnowych gałązek. Niekiedy można było zauważyć na białej przestrzeni pola rudą plamę przemykającego lisa. Najfantastyczniej jednak wyglądał las z gałęziami sosen i świerków uginającymi się pod ciężarem puszystego śniegu. Dookoła panowała absolutna cisza, wszechobecna biel śniegu, a nad wszystkim powoli zaczynał zapadać zmierzch. Już wtedy podziwiałem karszyński las za jego tajemnicze piękno.

Spośród do dziś pamiętanych „animatorów sportu” na uwagę zasługuje Leon Dębicki. Na swoim dość dużym podwórzu urządził mały, wielofunkcyjny stadion sportowy. Znajdowały się tam skocznie do skoków w dal i wzwyż, karuzela i „basen” kąpielowy urządzony w nieczynnych klatkach po nutriach. Organizował wyścigi rowerowe. Udział we wszystkich dyscyplinach był, a jakże - jak na przyszłego biznesmena przystało – odpłatny i co ciekawe byli chętni do korzystania z Leonowych sportów.

Myślę, że warto tu także powiedzieć, iż wielu młodych mieszkańców naszej wsi, szczególnie chłopców, czas wolny od nauki oraz od domowych obowiązków przeznaczano na zarabianie pieniędzy tak bardzo każdemu na różne cele potrzebnych. Gdzie i jak można było trochę grosza zarobić? No oczywiście jak zawsze w lesie. Letnią porą, zbierając w nim rośliny skupowane przez poznański Herbapol. Najczęściej były to liście brzozy. Z przeznaczonych do wycięcia młodych drzewek zgarniało się je do garści, a potem wkładało do worka. Następnie należało je luźno rozsypać gdzieś na strychu, żeby wyschły. Czas schnięcia wynosił około tygodnia. Inne zbierane do suszenia a potem wiezione do punktu skupu zioła to kwiat lipy, ziele dziurawca, ziele żywokostu, kora kruszyny oraz dębu. Zimą, kiedy odbywały się zręby drzew iglastych – sosny i świerku, wielu chłopców buszowało w ich gałęziach i obrywało szyszki, które potem można było sprzedać leśniczemu. Podobnie jesienią, można było pozbierać spod dębów żołądźcie i również sprzedać w leśnictwie.

Najciekawszym zajęciem, ze względu na bliską obecność myśliwych mających przy sobie broń, był udział w nagonce. W tamtych czasach angażowanie

dzieci do naganiania zwierzyny nie było widocznie zabronione. Huk wystrzałów z prawdziwej broni na wielu z nas robił wielkie wrażenie. Praca nie była trudna, gdyż należało tylko iść w tyralierze i krzyczeć albo gwizdać, jednym słowem - płoszyć zwierzynę. Po całym dniu chodzenia bolały nogi, ale organizator płacił 25 złotych! Czy w 1969 roku to było dużo?

Na koniec muszę wymienić jeszcze jedno zajęcie, które raczej nie powinno być tak kontrowersyjne, jak to związane z udziałem w nagonce. Było to czytanie książek. W dobie dzieciństwa bez komputerów, z telewizją czarno – białą, nadającą tylko jeden program i to na ogół z „gadającymi głowami”, czytanie książek sprzyjało podrójom za darmo w niezwykle strony. Wraz z niektórymi kolegami próbowaliśmy potem odtwarzać świat z przeczytanych powieści w czasie najprzeróżniejszych zabaw. Ich uczestnikami byli moi rówieśnicy lub trochę tylko starsi albo młodszy ode mnie koledzy: Broniek Blum, Zbyszek Pietruszka, Zyga Kubicki, Janek Lehmann, Kazik Lewosiński, Gienek Swat, Maryś Bajon, Gienek Miś, Władek i Albin Cielebąkowie, Jerzyk i Pietrek Rychlińscy, Janusz Zboralski, Boguś Balcerak, Józek Muńko, Maniek i Czesiek Polaczkowie, Olek Marek, Franek Domagalski, Heniu Bartoch oraz Marek i Grzesiu Pineccy.

Za dowód zaufania do mnie poczytywałem sobie koleżeństwo z o kilka lat starszymi – Bogdanem i Wieśkiem Misiami, Heniem Bajonem, Robertem Rychlińskim, Cześkiem, Ryśkiem, Jankiem i Tadkiem Zagdańskimi, Heńkiem Cielebąkiem, Zbychem Misiem, Januszem Murziczem, Kaziem Kostyrą, Gienkiem Wyciskiem, Rysiem i Kaziem Pietruszkami, Andrzejem Głuskim, Jerzykiem Bacą. Z niektórymi z nich podczas jesiennego pasania krów wypaliłem niejedną fajkę, stąd pewnie była ta zażyłość.

Z należnym szacunkiem dla starszeństwa wieku zdarzało mi się przebywać w towarzystwie jeszcze doroślejszych karszyńskich chłopaków. Wprawdzie dużo rzadziej, jak w przypadku moich rówieśników, ale ci starsi także byli mi bliscy, bo wszyscy stanowiliśmy rodzaj jednej wiejskiej rodziny, która wtedy żyła na podobnym – to jest skromnym poziomie.

Studnie Karszyna

Jeszcze do niedawna nie wszyscy karszyniacy mogli się cieszyć z wody dobrej jakości. Do konsumpcji niezbyt nadawała się ta czerpana ze studni usytuowanych w południowo – zachodniej części wsi. Tam bowiem występuje pod ziemią pokład, dający wodę mocno żałelazoną, niezbyt smaczną, o lekko brązowym zabarwieniu. Kiedy powstała przez jakiś czas w szklanym naczyniu, na dnie wytrącał się pomarańczowo – brązowy osad zawierający związki żelaza i manganu. O studniach Karszyna postanowiłem napisać dlatego, że i w moim życiu wiele z nich odegrało ważną rolę. Jaką, rozumieją ci, którzy choć raz odczuwali prawdziwe pragnienie i to właśnie woda prosto ze studni, zimna i smaczna, owo pragnienie ugasiła. A moje pragnienie woda z niejednej karszyńskiej studni gasiła wiele razy! Muszę bowiem się przyznać, że od najwcześniejszych lat ciągle gdzieś coś gnało mnie na wieś, gdzie byli moi koledzy. To nic, że starsi, niektórzy nawet o 10 lat. Skoro to byli moi koledzy, to jakże ja miałem siedzieć bez celu w domu, podczas gdy oni mieli tyle interesujących zajęć, których i ja też byłem ciekaw. Najczęściej latem, kiedy nie trzeba było zanadto się ubierać, gdzieś się zapodziawałem na całe dnie. Wystarczyły jakieś gatki i koszulka, i boso, za to z pajdą chleba w garści gdzieś znikalem. Siostra szukała mnie pewno w różnych miejscach, bo to był jeden z jej uciążliwych obowiązków, ale ja nie po to się oddalałem, żebym dał się tak łatwo znaleźć. I właśnie to przepadanie na wiele letnich godzin było okazją do zapoznawania się ze studniami oraz ze smakami ich wód.

Z tamtych czasów zapamiętałem, że studnie dzieliło się na kopane i bite. Te pierwsze, to głębokie na wiele, niekiedy 20 metrów, dziury w ziemi, ocembrowane betonowymi kręgami lub na okrągło wymurowane ceglami. Takie fabryczne kominy, które ktoś wpuścił do głębokich w ziemi dziur. Tak przynajmniej sobie tłumaczyłem wtedy sposób, w jaki musiały owe ziemne dziury być ceglami obłożone. Z jedną byłem nawet niezłe zaznajomiony, bo znajdowała się u państwa Pałamarczuków, do których wraz z ich córką, panią Karoliną Drzymałową, jedną z mojej i siostry „ciotek” dość często zachodziłem. Niemal zawsze, gdy tylko do rodziców owej pani doszliśmy, od razu chciało mi się pić. I to nie wody z wiadra, stojącego w kuchni, tylko ze studni, bo tam lepsza. Jej wyjątkowość brała się stąd, że była świeżo wyciągnięta prawie z samego dna, to jest z około 20 metrów. Była zawsze zimna i na pewno dobra. To nic, że nalewana z pogiętego nieco wiadra do stojącego w pobliżu kubka. Bardzo bałem się zaglądać do tej studni, a jednocześnie pociągała mnie swą tajemnicą, bo na samym dnie mieszkalo echo, które tylko czekało na takich jak ja, co chcieli je zobaczyć albo na nie krzyknąć. Dziś wiem, że tę bajkę wymyśliła pani Karolina, bym nie zbliżał się do studni. Tym bardziej, że betonowy krąg, który wieńczył od góry tę budowlę, był z jednej strony trochę wyłamany, a w dodatku niewysoki, bo miał około 80 centymetrów. Zatem ktoś nieostrożny mógł wpaść do środka, tym bardziej, że studnia była odkryta. To chyba wtedy zaszczepiono we mnie lęk wysokości, a właściwie to lęk głębokości. Wysokości to raczej się nie bałem, bo będąc niewiele tylko starszy, wlażyłem na płot, gdzie na

wysokim dwumetrowym słupku potrafiłem udawać Szymona Słupnika. Musiałem także osobiście sprawdzić, czy ptaki wylatujące z budki zawieszanej wysoko na naszym kasztanie to rzeczywiście szpaki. Wlazłem pewnego razu na dach naszego domu, właściwie to na sam jego szczyt. Przestraszyłem się jednak, ale nie tyle wysokości, co raczej krzyku, jakiego narobiła babka Przybyłowa, to jest mama naszego sąsiada. Myślałem, że jej się coś stało, bo patrząc na mnie krzyczała, obu rękoma trzymając się za głowę. Nie planowałem na razie schodzenia z dachu, bo tam było ciekawie. Jakie interesujące widoki! Ale że babka nadal krzyczała, więc zszedłem z dachu, by zapytać, co jej się stało. Wnet się dowiedziałem, kiedy przyłożyła mi laską używaną do podpierania się i dodała z poznańska : *A bydziesz ty grzeczny, huncwocie jedyn. Chtu to widziol tak wysoko na dach wlazić!* No, teraz to pojąłem, że to nie był jej ból głowy, tylko mojego tyłka. No ale, miało być przecież o studniach. We wsi było jeszcze kilka takich kopanych budowli. Jedna znajdowała się u mojego kolegi, Henia Bartocha, koło stodoły. Ta była jednak płytka, bo ktoś ją zasypał i do dna było najwyżej ze dwa metry. Poza tym była nieciekawa, bo nie mieszkano w niej echo, dla którego potrzebna jest głęboka studnia i to w dodatku z wodą. Kolejna znajdowała się na podwórzu u mojego następnego kolegi Zygmunta Kubickiego. Ta była jakaś dziwna, bo jak mówił Zyga, stała na studni. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby studnia stała na studni. Wiadro to rozumiem, ale żeby studnia na studni? Dopiero Jan Kubicki - ojciec kolegi - objaśnił całą zagadkę, mówiąc po swojemu : *Sa, pioruny, popaczta* i pokazał na żeliwną wysoką pompę z długą i ciężką dźwignią, którą rozbijał. Dopiero wtedy z gardzieli w kształcie lwiego pyska popłynęła woda. Następnie pochylił się i odsunął nieco jedną połowę betonowej okrągłej płyty, pod którą głęboko w dole połyskiwała woda. *I co, sa pioruna, jest studnia na studni?* – zapytał – po czym zasunął płytę na miejsce. Z taką samą studnią na studni zetknąłem się jeszcze raz, u naszych sąsiadów – Misiów - ale tutaj już mi nie zależało na odsuwaniu płyty, bo i tak wiedziałem, co się pod nią znajduje. Wszystkie inne studnie, z których często gasiłem pragnienie, to już według mnie nie były studnie tylko pompy. I to z nich pijałem orzeźwiający w upalne lata płyn. Z jednych smakował trochę lepiej, z innych trochę mniej, ale wiedziałem, że pompy różnią się wysokością, ciężarem podnoszonej dźwigni, ilością wypływającej po jednym „pompnięciu” wody. Przy jednych stały koryta do pojenia bydła albo koni, przy innych był betonowy rynsztok, który odprowadzał nadmiar wody na pobliski trawnik, a na przykład u Drzymałów był niewielki betonowy basen z wodą tyle, że brudną, bo korzystały z niego kaczki. Zawsze, gdy któraś wzięła trochę paszy w dziób, zaraz udawała się do basenu, by popłukać go wodą.

Tak, znałem smak wody niemal z wszystkich studni, a właściwie pomp w naszej części wsi. Ale była we wsi też jedna taka, której wodę omijało się z daleka, chociaż, gdy pragnienie było silniejsze niż głoszona wśród kolegów wiedza, wtedy i z tamtej dawało się napić. Mam tu na myśli wodę z podwórza plebanii. To źródło gaszenia pragnienia poznałem, kiedy już chodziłem do szkoły. W pomieszczeniach budynku odbywały się lekcje religii. W przerwach biegaliśmy z kolegami po okolicy i dopiero kiedy nas zwoływano na kolejną godzinę zajęć,

najpierw udawaliśmy się do pompy. To wtedy co odważniejsi przełamywali opory przed pić wody – jak mówiono - spod cmentarza.

Po sąsiedzku z naszym podwórkiem było też źródło życiodajnego, chłodnego płynu, z którego nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek pił. Była to studnia u Dębickich. Pewnie dlatego, że tam nie miałem kolegów. Był wprawdzie Leon Dębicki i wiekowo nadawałby się na kolegę, bo był tylko o 10 lat starszy. A takich kolegów przecież we wsi miałem, tylko że... Pewnego letniego wieczoru wracałem do domu. Przechodziłem akurat koło sąsiadów. Zza bramy, wyprowadzając rower, wyszedł Leon i, popatrzawszy na mnie, rzekł: *Ty, ale szybko pędź do domu, bo cię wszędzie szukają. Jesteś taki brudny, a ojciec dopiero co przywiózł z Przybyłą pralkę. Matka chyba będzie cię musiała w niej wyprać, żebyś był podobny do ludzi.* W jednej chwili zbaraniałem, bo wyobraziłem sobie, co mnie czeka. Że być może „lejty” za włączenie się po wsi, to żadna nowość, ale że mam być myty i to w pralce, którą widziałem u Drzymałów, tego nie zakładałem. Za wieczornym myciem nigdy nie przepadałem, bo wiedziałem, co ono oznacza – tarcie, szorowanie i drapanie przez mamę, żeby ślady trudów mojego całego dnia usunąć. To nawet rozumiałem, bo – przyznaję - taki wyszorowany do czysta znacznie smaczniej zasypiałem. Ale żeby do pralki, tego nie mogłem pojąć. Zatem gdy tylko wszedłem na podwórze, z daleka wołałem, że ja nie chcę do pralki, że ja już będę się trzymał podwórza, byle tylko nie do pralki. Udało się. Tego wieczoru powtórzyło się zwyczajne tarcie, szorowanie i drapanie.

O niektórych ludziach mówi się, że z niejednego pieca chleb jedli. Ja mogę o sobie też powiedzieć, że z niejednej studni albo karszyńskiej pompy wodę piłem. Do dziś jednak z największym smakiem piję wodę z naszej studni spod kasztana.

Nazwy nadane miejscom w okolicy wsi

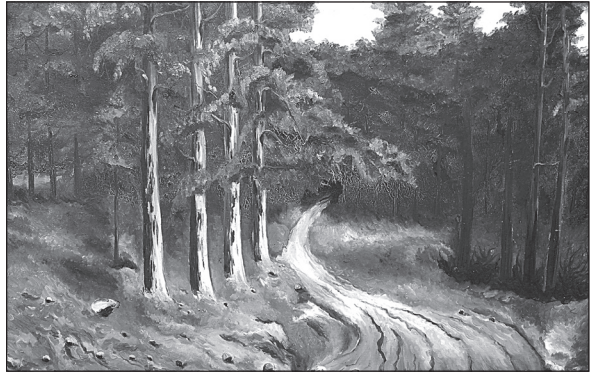
Z powodów praktycznych mieszkańcy Karszyna nazywali różne miejsca znajdujące się w okolicy swej wsi. Najczęściej nazwy miały związek z położeniem pól, łąk i lasów. Niektóre były wytworem rodowitych karszyniaków. Przykładem jest *zły kąt* - nazwa istniejąca już na przełomie XIX i XX wieku. Wtedy brzmiała ona *Büze Ecke* i służyła do nazwania części pól w pobliżu Dąbrówki.¹ Kolejnym określeniem sprzed lat były *glinianki*. Tak nazywano miejsce leżące *na górach*, gdzie kopano glinę, służącą jako materiał budowlany używany do wznoszenia murów szachulcowych. Kolejna stara, jeszcze przedwojenna nazwa miejscowa – *Pferde – końskie* była w użyciu karszyniaków, stosujących mieszaninę słów pochodzących z dwu funkcjonujących tutaj języków – niemieckiego i polskiego. Na mapie pochodzącej z roku 1938 dotyczącej Kargowej i przy okazji Karszyna znajdujemy jeszcze inne określenia miejsc występujących w okolicy naszej wsi. Są to: *Saubucht, Trescave, Vordere, Hintere, Saffer - Tannen, Antonshöhe, Faule Lache, Mühl Berg*², *Predigtstuhl, Schriem-Berge, Kauplache, Böcks Berg, Winkel-Tannen, Dürrhorst Berg, Dürrhorst Lache, Dickhörste, Gatsche, Großheide, Schefferhöhe, Großhorst Berg, Frauhorst, Brand-Heide, Pilz-Tannen, Rehfelder Erlenbruch, Sau Berge*. Mieszkający tutaj od pokoleń przekazali przybyszom wcześniej będące w użyciu określenia, związane z położeniem miejsc w pobliżu lub w kierunku sąsiednich miejscowości. Są to: *pod Kargową, pod Dąbrówką, pod Żecinem* (tak potocznie nazywana była Siadca), *pod Susłowem i pod Ujściem* (tak zwyczajowo wymawiano nazwę wsi Uście). Można założyć, że kilka innych nazw też wywodzi się jeszcze sprzed wojny. Uważam, że do nich można zaliczyć: *pod kanałem, na starym kanale, za pierwszym i drugim mostkiem*. Na pewno tworem powojennym są te określenia, które pochodzą od nazwisk osób, przybyłych do Karszyna w roku 1945 lub nieco później. Do tych zaliczyłbym: *za Nowakiem, za Nowaka koplami, za Kostyrą, za Salutrem, za Trymbułą, koło Bajona*. Interesujące pochodzenie mają nazwy: *na 17-ce i na czarnych bocianach*. Obie dotyczą miejsc usytuowanych z dala od ludzkich siedzib, w leśnej głuszy. Pierwsza odnosi się do wyrażonego cyframi i zaznaczonego na planach karszyńskiego leśnictwa symbolu powierzchni leśnej. Druga natomiast związana jest z miejscem gniazdowania występującego do dziś w tej okolicy – czarnego bociana. Twórcami obu określeń najprawdopodobniej byli ludzie związani z pracą w lesie. Kolejne nazwy, to jest: *pod brzoźami, w wiśniach, w dąbkach i koło pniaka* pewnie tylko niektórym, i to zapewne już nieco starszym mieszkańcom Karszyna, coś jeszcze mówią. Wszystkie wiążą się z topografią roślinną, a dokładniej z miejscami porośniętymi przez drzewa albo jak w przypadku ostatniej, pozostałości po nich. Następną grupą nazw ma związek z przynależeniem do kogoś. Zaliczymy do nich: *kramskie łąki, pegerowskie pola, Wyciska las*. Jeszcze inne określenia powstały w celu uzmysłowienia lokalizacji zwykle pól

1 Informacja pochodzi z dokumentów sądowych dotyczących sprawy toczącej się przed Królewskim Sądem w Konotopie w latach 1910 -1914 pomiędzy Walentym Pineckim a księżną Anną Marią Elżbietą Radziwiłł o prawo korzystania z drogi do pól. (Własność Zygmunta Kubickiego)

2 Na mapie Prus południowych z 1802-1803 roku w tym miejscu znajduje się wiatrak.

i łąk albo pastwisk za jakąś powszechnie identyfikowaną budowlą, rozpoznawanym kształtem, występowaniem czegoś w dużej ilości, na znacznej powierzchni. Są to: *na kwadracie, za rowem, w łąkach, w koplach, na górach.*

Zanim napiszę coś więcej o przytoczonych i trochę pogrupowanych nazwach, chcę zaryzykować tezę, że obecnie niewielu



Droga na góry. Obraz państwa Chmielów.

mieszkańców Karszyna potrafi powiedzieć, z którymi miejscami w okolicy należy owo nazewnictwo kojarzyć, a już z pewnością młodzi mieszkańcy wsi nie wiedzą, czemu większość określeń jest akurat taka.

Ze swego dzieciństwa pamiętam, że wyjeżdżając ze wsi w kierunku Kargowej, należało przejechać przez dwa mostki nad przebiegającymi w poprzek drogi rowami. Pierwszy, szerszy i głębszy niż obecnie, zwykle pełen wody, pokonywało się, przejeżdżając po solidnej drewnianej konstrukcji, zbudowanej z sosnowych bali, nasączonych środkiem konserwującym. Niejeden raz wspólnie z kolegami wchodziłem pod niego, by posłuchać turkotu kół przejeżdżających wozów oraz stukotu końskich kopyt. Drugi mostek, przerzucony przez znacznie węższy i tylko niekiedy zawierający wodę rów, był betonowy. Nie dawało się pod niego wejść, gdyż pod jezdnią była położona cementowa rura o średnicy około 60 cm, w dodatku zawsze do połowy wypełniona wodą. Mimo to był ciekawy, bo w czasie letniej, suchszej pory roku w wodzie pod nim szukały schronienia traszki, które tylko w tym miejscu można było spotkać. Na drodze do Kargowej był jeszcze jeden most – duży, także wykonany z drewna i przerzucony nad Obrzycą. Był on w bliskiej odległości od miasta i z Karszynem raczej go nie kojarzono.

Dwie pierwsze założone przeze mnie kategorie nazw topograficznych Karszyna mogły funkcjonować, zanim po II wojnie światowej nastąpiła znaczna wymiana ludności. Określanie miejsc ze względu na kierunek ich znajdowania się w pobliżu sąsiedniej miejscowości występuje dość pospolicie i to nie tylko w Polsce. Można też uważać, że tak samo jest z następną grupą terminów, które są kojarzone z obiektami dość powszechnie identyfikowanymi ze względu na ich wielkość lub odgrywaną rolę. *Kanał* jako droga wodna czy *stary kanał* jako nieczynny tego typu obiekt, albo obiekt już wiekowy, to miejsce również raczej powszechnie znane. Nie wymagają chyba objaśnień nazwy z trzeciej grupy, zawierające nazwiska mieszkańców. Akurat wszyscy trzej nosiciele nazwisk – Nowak, Saluter i Kostyra to powojenni przybysze. Tadeusz Nowak to długoletni leśniczy mieszkający w budynkach należących do Leśnictwa Karszyn, położonych w pewnym oddaleniu od wsi, ale i w kierunku, w którym wielu karszynian się udawało. *Za Nowaka* się

jeździło po drewno do lasu. Tam również znajdował się obszar łąk otrzymywanych przez robotników leśnych w ramach deputatów. Część tych łąk wykorzystywał leśniczy na pastwiska dla swojego bydła. Pasło się ono w ogrodzonych żerdziami zagrodach, zwanych tutaj koplami. Zatem lasy, w których latem zbierało się jagody a jesienią grzyby, znajdowały się *za Nowaka koplami*. Czwartą kategorię, to jest – *na 17-ce* i *na czarnych bocianach* objaśniałem wcześniej. Piątą, nazwałem roślinno – drzewną. *Dąbki* z pewnością należy kojarzyć z miejscem występowania młodej dąbrowy. Ale gdzie to jest *pod brzożami* albo *w wiśniach*? Jeśli nawet by wskazać, które to miejsca, to już odpowiedzieć – dlaczego tak je nazwano – potrafią jedynie pamiętający, że dziesiątki lat wcześniej takie drzewa tam właśnie rosły. Aleją wiśniową pokonywało się 1/3 drogi od wsi do lasu, jadąc w stronę Kargowej. A pod grupą drzew, wśród których większość stanowiły brzozy, odpoczywało się w upalne lato, jadąc rowerem *nad kanał*, w którym można było popływać. Dziś już nie ma ani owych brzoż, ani wiśniowej alei, a po nich zostały jedynie nazwy. Konia z rzędem temu, kto dziś jeszcze wie, gdzie jest miejsce zwane *koło pniaka*. Pniak to inaczej korzeń albo karcz pozostały po ogromnym drzewie, które rosło w pobliżu łąk położonych wśród lasów niedaleko Uścia. W czasie jednej z wichur przewróciło się wraz z korzeniami, tworząc dużą wyrwę w leśnym podłożu. Pień oraz gałęzie zostały zabrane, a korzeń, odtąd zwany pniakiem, służył długo jako znak topograficzny. Z biegiem czasu spróchniał i nie pozostał po nim nawet ślad materialny. Żyje natomiast nadal w świadomości mieszkańców, w ich języku.

Skąd nazwy – *kramskie łąki* i *pegerowskie pola*? Otóż obwód geodezyjny Karszyn sąsiaduje z obwodem Kargowa. Po kargowskiej stronie znajduje się obszar łąk, będących własnością kramszczan. Tuż po sąsiedzku z *kramskimi łąkami* znajdują się *pegerowskie pola*, czyli obszar gruntów rolnych, należących po wojnie do PGR Dąbrówka. Ostatnia nazwa z tej grupy – *Wyciska las* wzięła się stąd, że ów zalesiony obszar przed wojną był własnością prywatną. Należał właśnie do rodziny Wycisków. Przedwojenni mieszkańcy Karszyna pamiętali o tym fakcie, mimo iż zgodnie z Dekretem PKWN z 12 grudnia 1945 r.³ dawni właściciele utracili swą własność.

Ostatnia grupa nazw miejscowych okolic Karszyna jest również interesująca. Skąd wzięło się pojęcie *kwadrat*? Tak zaczęli powojenni karszyniaci określać łąki leżące w niedalekiej odległości od tych będących *koło pniaka*, ponieważ kształtem powierzchni i długością boków przypominały właśnie kwadrat. Inne użytki zielone, wykorzystywane właściwie tylko do uzyskiwania z nich siana i położone niezbyt daleko od wsi, ale za to za dość szerokim i na ogół pełnym wody rowem, nazwano *za rowem*. *W łąkach* i *w koplach* to dwie powierzchnie pastwisk, na których właściciele bydła wypasali swoje krowy. Pierwsza nazwa odnosiła się do pastwisk nieogrodzonych, na których należało zwierzęta uwiązywać na długim łańcuchu do białego w ziemię palika. Druga określa pastwiska ogrodzone zwykle podwójnymi, a czasem i potrójnymi żerdziami. Ostatnia z przytoczonych wyżej nazw – *na górach* – oznacza pola uprawne, zlokalizowane na południowy wschód od wsi, leżące na niewielkim wzniesieniu.

3 Plan urządzania lasu Nadleśnictwa Sulechów, s. 54.

Kiedy wraz z Bernardem Chmielem rozmawialiśmy o sporym bogactwie określeń, jakie ta niewielka karszyńska społeczność wytworzyła, mój rozmówca przypomniał sobie jeszcze jedno, które powstało w okresie powojennym i długo funkcjonowało głównie w języku ówczesnej młodzieży. *Tam, gdzie Wojtek złamał nogę* – takim mianem okrzyknięto miejsce, zlokalizowane w pobliżu *góry Kubickiego*, ale nieco dalej w kierunku leśniczówki. Właśnie tam podczas zjeżdżania na sankach z górki – jeden z jej uczestników – Wojtek – doznał urazu nogi. Jak się potem okazało, było to złamanie, które unieruchomiło go do końca zimy.⁴

Nazwy topograficzne i kulturowe okolic Karszyna, chociaż niezbyt wyszukane i oryginalne, świadczą o pomysłowości mieszkańców wsi. Za sprawą tych określeń przez dziesiątki lat świetnie się rozumieli. I choć wraz z upływem czasu niektóre używane kiedyś pojęcia zaginęły, na przykład *koło fabryki*, *pod wieżą*, *przy prochowni*, to jednak są świadectwem praktyczności żyjącej tutaj populacji.

4 Owym Wojtkiem, od imienia którego powstała nazwa, był dzisiejszy profesor zwyczajny Wojciech Pasterniak. (Przypis autora)

Przyroda

Myślę, że jednym z powodów, dla których ludzie obrali tutejsze okolice za miejsce swego zamieszkania, była przyroda. Pisałem już, czym zajmowali się tutejsi mieszkańcy, by się utrzymać. Obecnie chciałbym skierować uwagę Czytelnika na to, co otacza wieś i jest niezwykle przez swą oryginalność, naturalność, co można jeszcze tutaj spotkać, przemierzając dawno zarośnięte ścieżki, często nieprzejezdne już dziś leśne dróżki.

Opis piękna natury tutejszych okolic rozpocznę od świata roślinnego i jego największych przedstawicieli – drzew. W leśnych ostępach do dziś można spotkać majestatyczne okazy flory. W czasie wędrówek po zakątkach miejscowego leśnictwa można podziwiać aleje, którymi w przeszłości obsadzono pobocza dróg. W innych miejscach wspominam o alei wiśniowej wzdłuż drogi wiodącej do Kargowej oraz o stanowiącej latem ozdobę wsi - alei lipowej. Te same miododajne drzewa w czerwcu tworzą niezwykłą słodko - złotą perspektywę na prostym, liczącym ponad kilometr



Konwalijka dwulistna z okolic *Trescave*.

odcinku wiodącej przez las drogi w kierunku Siadczy. Chcąc odwiedzić miejscowe leśnictwo, zbaczamy z głównej drogi i wjeżdżamy w aleję z początku kasztanową, która przechodzi w lipową. Dziś już pewnie mało kto pamięta, że w kierunku Uścia zaraz za opłotkami Karszyna zaczynała się aleja brzozowa. Jakże pięknie wyglądała jesienią, kiedy pierwsze przymrozki pomalowały na złoty kolor jej liście. Trakt po kilkuset metrach z brzozowego przechodził w lipowy, również niezwykle jak ten wiodący do Siadczy. Z dzieciństwa pamiętam modrzewie, których uschnięte czuby dostrzec można było z daleka, jadąc do Karszyna od strony Kargowej. Rosły one na południowym stoku *Antonshöhe*, to jest *Wzgórza Antoniego*, u stóp którego znajduje się miejscowa leśniczówka. Wspominam je, gdyż być może z powodu wieku, miały pousychane czuby, które z daleka, to jest od strony północnej sugerowały, że całe drzewa są martwe. Trzeba było dopiero popatrzeć na nie od przeciwnej strony, żeby zauważyć, iż żyją i cieszą oczy delikatną zielenią igieł latem i intensywną żółcią jesienią. Po ich opadnięciu, pod drzewami powstawał gruby, brązowy, miękki dywan. Wspomniane wyżej *Wzgórze Antoniego* jest właściwie ciągnącym się ponad kilometr morenowym pagórem o różnicy poziomów rzędu kilkunastu metrów. Jest on usytuowany na kierunku wschód – zachód. Od strony wschodniej rozpoczyna się przy skrzyżowaniu drogi Karszyn – Uście z drogą wiodącą do karszyńskiego leśnictwa. Południowy stok

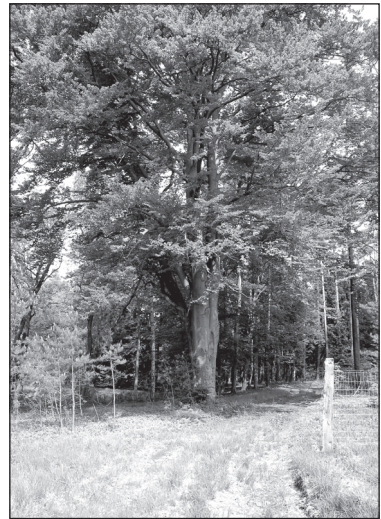
niemal na całej długości porośnięty jest borem sosnowym. Jedynie na wysokości *Nowaka kopli* nad sosnami górują posadzone kilkadziesiąt lat temu modrzewie i świerki. Podążając w kierunku wspomnianego leśnictwa, nie sposób nie zauważyć buczyny, która posadzona w okresie międzywojennym, obecnie jest już starym lasem, takim, jaki zwykle spotyka się gdzieś w terenach podgórszych. Opisywany pagór dochodzi do samej wsi, gdzie na wysokości dawnej *willi Göldnera* ulega obniżeniu. Niemiecką nazwę *Antonshöhe* zawdzięcza dawnemu właścicielowi karszyńskiego folwarku, leśniczówki oraz okolicznych pól i lasów – księciu Antoniemu Radziwiłłowi.

Dawniej, gdy dokuczał upał, przyjemniej było przemieszczać się w cieniu drzew innej alei – jesionowej, która rosła wzdłuż podmokłego lasu w kierunku kanału – jak nazywaliśmy – Obrzycę. Tam jeździliśmy, by bawić się w wodzie podczas letniej kanikuły. Oczywiście gdy nie było innych zajęć.

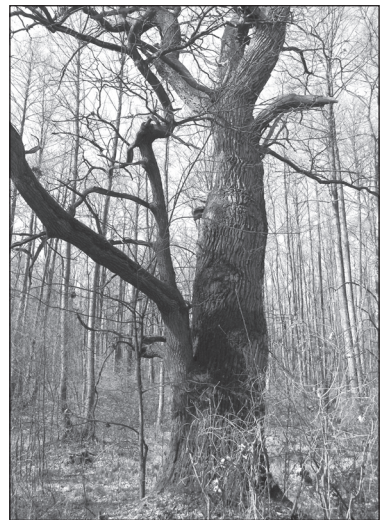
W miejscach oddalonych na wschód od wsi, wzdłuż dróg wiodących przez śródleśne łąki, spotkać można dwa gatunki dębów – szypułkowy i czerwony. Drzewa te, podobnie jak wspomniane wcześniej lipy, nie tylko miały przyozdabiać okolicę. Żołędzie były pokarmem zwierząt leśnych, szczególnie dzików, na które w tutejszych lasach polowano i których mięso uchodziło za wyjątkowo smaczne.

Przemierzając leśne ostępy, warto podejść w pobliże świadków minionych czasów, jakimi są pojedynczo rosnące niedaleko drogi do Uścia, w pobliżu *Draszkowego Ostrowu* stare dęby. Te lokalne olbrzymy ocalały, bo ich majestatyczność uszanowali jeszcze poprzedni gospodarze tej ziemi. Z racji wieku i swej urody, powinny być otoczone opieką, by następne pokolenia karszynian cieszyły się ich widokiem. Ten przedstawiony na fotografii w obwodzie mierzy 490 centymetrów!

Oryginalnością wśród dominujących tutaj drzewostanów sosnowych wyróżniają się pojedynczo rosnące buki. Stojąc w otoczeniu dębów lub sosen, połyskują ciemną zielenią liści, które jesienią przebarwiają się na kolor brązowo – purpurowy. Choć dojrzałe osobniki rzadko, bo co około siedem lat owocują,



Samotny buk za *Nowaka koplami*.



Okazały dąb szypułkowy w okolicach *Trescave*.

dostarczają zwierzynie niezwykle smacznego pokarmu – bukwi. Młode drzewa tego gatunku na zimę się „nie rozbierają” z liści. Mroźną porą szeleszczą one pod byle podmuchem wiatru. Dopiero młode pąki – zaczątek nowych liści, powodują zrzucanie starej, ubiegłorocznej szaty.

Oprócz wspomnianych przed chwilą zdominowanych przez sosnę pospolitą powierzchni leśnych, tutejszy drzewostan urozmaicają lasy liściaste, często podmokłe, w których występują olszyna i jesion, rzadziej grab i wiąz. Na wywyższeniach terenu nierzadko gości brzoza, dąb szypułkowy, czasem posadzone ręką człowieka dęby czerwone, lipy, klony, akacje, rzadziej topole i osiki.

Dość powszechnym gatunkiem jest świerk pospolity. Stanowi on zwykle rodzaj podszytu, mającego urozmaicić sosnowe monokultury. Niewiele jest już w okolicy miejsc, które w przeszłości ten gatunek wybrał sobie samodzielnie. Świerk nie lubi stanowisk ubogich, jeśli chodzi o warunki glebowe, chociaż nie gardzi pagórami znajdującymi się w okolicach zasobnych w wodę. Dlatego pewnie w przeszłości tak chętnie gościł w terenie biegnącym wzdłuż Obrzycy od strony Uścia aż do karszyńskiego *kapieliska*. Obecnie w tym pasie nadrzecznym jest w wyraźnym zaniku.

Drzewem na pewno posadzonym przez człowieka jest sosna Banksa. Pojedyncze sztuki tego raczej rzadkiego w Polsce gatunku można jeszcze oglądać przy rozwidleniu trzech dróg na wysokości *kwadratu*, jadąc w kierunku Uścia.



Konwalia majowa obok nieistniejącej już, leżącej pod Uściami leśniczówki *Schefferhöhe* zamieszkiwanej przez Stanisława Tomaszewskiego, a wcześniej Franza Obieglo.

Przebogaty jest świat roślinny okolic Karszyna i z pewnością nie jestem w stanie wyczerpujący sposób go opisać. Ograniczę się zatem do wymienienia poszczególnych grup roślin. Świat krzewów tutaj reprezentują: czeremcha, kruszyna, dziki bez, jarzębina, leszczyna, głóg, tarnina, dzika róża, trzmielina, kalina, jeżyna, ostreżyna i malina.

Kiedy zakwita czeremcha, wówczas jej zapach jest wszechobecny. Wprost odurza intensywnością każdego, kto wtedy odwiedza okoliczne lasy.

Jeśli zaś chodzi o runo leśne, to zaczęną od roślin przyozdabiających swym kwieciami obrzeża lasów. Wiosną, w kwietniu w wielu miejscach, niedługo po stopnieniu śniegu, można podziwiać delikatne białe kwiaty zawilców. W kolejnym miesiącu kwitnie konwalia majowa i konwalijka dwulistna.

Tutejsze bory od zawsze służyły z dostatku borówki czarnej, zwanej potocznie czarną jagodą. Pamiętam, że mama zabierała mnie i siostrę na jagody do lasu za

Kostyrą. Tam było najbliżej. Gdy byłem nieco starszy, wówczas w grupie dzieci sąsiadów, głównie Jadzi i Zosi Przybyłowien, wraz z siostrą chodziliśmy we wspomniane miejsce wydeptaną przez lata ścieżką przez las. Nazbierawszy jagód, zapuszczaliśmy się niekiedy aż na granicę boru, gdzie zaczynał się podmokły las dębowo - olchowy. Tam rosły dojrzewające poziomki. Nie było ich tak dużo jak jagód, ale za to jakie były smaczne i pachnące! W tym samym miejscu, ale później można było zbierać maliny. W niektórych lasach sosnowych rosły krzewinki borówki brusznicy, którą także zbieraliśmy na potrzeby domowej kuchni. Po co gromadziliśmy jagody i maliny? Na sok, który mama robiła, wsypując na przemian owoce i cukier do dużego szklanego słoja. Stawiała go w oknie od południowej strony. Po kilku dniach owoce wyraźnie oddzielały się, a sok świetnie nadawał się jako dodatek do wody gaszącej pragnienie w upalne dni. Leśne owoce były także wekowane w słoikach i stanowiły zimową porą doskonały deser do obiadu. Mówiło się również, że jedzenie czarnych jagód dobrze wpływa na wzrok. Podobnie jak sporządzanie naparu – herbaty z suszonych owoców dzikiej róży miało pozytywnie oddziaływać na serce.

Skoro już zacząłem o aptekarsko – leczniczej stronie darów lasów, łąk i pól, a także ugorów, miedz i poboczy dróg Karszyna, to wypada wspomnieć coś o tutejszych roślinach zielarskich. Najpowszechniej gromadzonym na potrzeby domowej apteki był suszony kwiat lipy. Przydawał się on do robienia naparu pomocnego w czasie przeziębień i stanów grypowych. W takim samym celu suszone były liście malin i kwiatostany dzikiego bzu. Na dolegliwości żołądkowe nadawał się napar z ziela mięty. Inne lecznicze rośliny w okolicy to: skrzyp polny, bratek, glistnik jaskółcze ziele, kocanka, krwawnik, dziurawiec, serdecznik, ptasi rdest, mniszek lekarski, piołun i czarcie zebro. To ostatnie, zwane też strachopłochem lub naukowo ostrożeniem warzywnym ma w medycynie ludowej niezwykle wprost właściwości. I pomyśleć tylko, że rośnie ono na skraju zacienionych łąk i na brzegach podmokłych lasów w okolicy nieistniejącej już leśniczówki Stanisława Tomaszewskiego *pod Ujściem!*

Sadzę, że nie mniej imponujący od świata ziół jest świat grzybów. Jak na króla grzybów przystało, galerię otwiera borowik szlachetny, potocznie zwany prawdziwkiem. W okolicy zbiera się dwa rodzaje tego gatunku – te rosnące w lasach dębowych oraz w sosnowych borach. Za grzybową szlachtę uchodzą kozłaki, które lubią środowisko mieszaniny drzew sosny i brzozy. Najczęściej też rosną na obrzeżach takich lasów. Wśród tego gatunku można spotkać osobniki o brązowych i tzw. czerwono,



Borowik szlachetny.

a raczej mocno pomarańczowo ubarwionych kapeluszach. Najpowszechniej spotykanym owocnikiem grzyba konsumpcyjnego jest czarny łebek, zwany podgrzybkim brunatnym. Zbiera się go w borach sosnowych i to zarówno w młodnikach jak i wśród starodrzewu. W tym samym środowisku występuje pieprznik jadalny, zwany kurką. Przy sprzyjających warunkach pogodowych można go spotkać już w czerwcu. W młodych lasach sosnowych, a szczególnie wyrosłych na gruntach porolnych chętnie występuje całymi koloniami maślak zwyczajny. Spotkać go można również na poboczach śródleśnych dróg, podobnie jak smaczny, ale dziś już rzadki rydz. No i oczywiście grzyb pojawiający się zwykle po pierwszych niewielkich przymrozkach – gąska czyli zielonka. Lubi stanowiska lasów sosnowych, szczególnie lekkie, piaszczyste, nasłonecznione pagórki. Za smaczny grzyb uchodzi także czubajka kania. Na łąkach zasilanych nawozem organicznym lub kompostem albo na których jest wypasane bydło, czy konie spotkać można pieczarkę szlachetną. Spośród niezbyt powszechnie zbieranych grzybów w karszyńskich lasach występują: podgrzybek zajączek, maślak ziarnisty, maślak sitarz, opieńka miodowa. W tutejszych sosnowych borach czasem natknąć się można na oryginalny i będący pod ochroną szmaciak gałęzisty, potocznie nazywany kozią brodą.



Potomek dębu Chrobry.



Widłak.

Na terenie ścieżki dydaktycznej urządzonej przez Nadleśnictwo Sulechów, a nazwanej „Zakątka Karszyna”, znajduje się między innymi powierzchniowy pomnik przyrody, paproć – długosz królewski. Nieopodal użytku ekologicznego ze wspomnianą paprocią jest kolejną atrakcją przyrodniczą – dąb szypułkowy, potomek dębu „Chrobry”, jednego z najstarszych drzew tego gatunku w Polsce. W karszyńskich lasach posadzili go członkowie Koła Łowieckiego „Dzik” w 2002 roku z okazji 50 - lecia istnienia. To niewielkie na razie drzewko jest nazywane Dębem Papieskim, bowiem wyrosło z żołędzia, który pobłogosławił papież Jan Paweł II.

Spośród roślin chronionych, rzadko już występujących, na uwagę zasługują rosnące tutaj dwa gatunki widłaków.

Ciekawą rośliną dąbrowy znajdującej się *pod Ujściem* jest kokoryczka. Natomiast jednym z gatunków oryginalnych traw porastających pastwiska *w łąkach* jest drżączka. Na



Długosz królewski.

południowych skrajach sosnowych borów często można spotkać macierzankę, to jest delikatną, niewysoką krzewinkę o malutkich, fioletowych, ale także niekiedy białych kwiatach. Jest to choć niepozorna, jednak bardzo pożyteczna roślina, chętnie odwiedzana przez pszczoły.

I na koniec pora na świat zwierząt żyjących w naturze. Niektóre dość powszechnie występują także w innych częściach Polski. Są, a przynajmniej w moim dzieciństwie byli w tej okolicy przedstawiciele fauny, zasługujący na uwagę.

Czarny bocian – ptak objęty dziś ścisłą ochroną gatunkową – od niego swego czasu nadano nazwę miejscu. Mówiło się, że jedzie się *na czarne bociany*. W tej oddalonej od siedzib ludzkich okolicy nadal ma swe miejsce lęgowe co najmniej jedna para. Czarny bocian w odróżnieniu od swego kuzyna – bociana białego nie przepada za sąsiedztwem ludzi. Wiosenną porą można zobaczyć na okolicznych łąkach zwiastuny tej pory roku – żurawie. Pojawiają się zwykle w początkach marca, gdy na łąkach leży jeszcze śnieg, ale lód powoli zaczyna topnieć. Wtedy pojedyncze pary szaro upierzonych ptaków majestatycznie przechadzają się po płowych o tej porze roku łąkach.



Czarny bocian, sfotografowany w 2011 roku.



Żurawie spod Karszyna.

Znalazłszy dogodne miejsca, decydują się na zakładanie gniazd i wylęg młodych. Na przełomie maja i czerwca obecność żurawi na okolicznych łąkach poznać można po charakterystycznym klangorze. Coś szczególnego muszą mieć tutejsze okolice, skoro obrały je za swe miejsce lęgowe ptaki, które przywiązawszy się do nich, są im wiernie niekiedy i przez kilkaset lat.

Pospolitym zwierzęciem jest dzik, który dał nazwę kołu łowieckiemu, dzierzwiącemu lasy karszyńskiego leśnictwa. Pewnie ze względu na liczebność oraz wielkość spotykanych okazów jeszcze w XIX wieku nazwano pewne



Dziki na łąkach za *Nowakiem*.

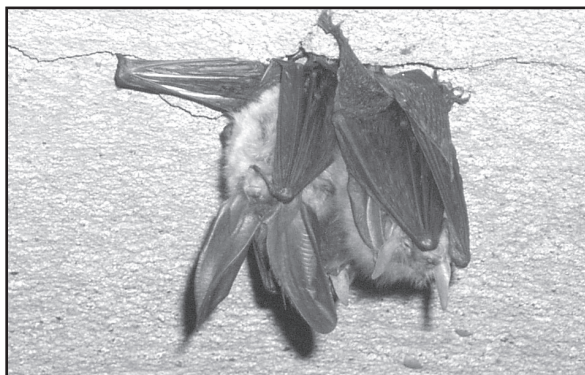
miejsce w tutejszych lasach *Saubucht*, to jest buchtowisko lochy albo dzicze bagno. Środowisko myśliwych pewnie mogłoby coś więcej powiedzieć o medalowych okazach jelenich byków pojawiających się jesienią na tutejszych rykowiskach. A że bywają, można się przekonać, słuchając na przełomie września i października ich godowych odgłosów.

Inne zwierzę, to tym razem gad – żmija zygzakowata, występujący w okolicach Karszyna. Chociaż uważane za groźne, o ile pamiętam tylko raz pokąsało jednego z mieszkańców. W miejscowych lasach spotykałem dawniej tego gada we wszystkich możliwych ubarwieniach. Na miedziankę, to jest węża w brązowym odcieniu skóry natknąłem się na zrębie za *Trymbułą*. Wygrzewał się na olchowym pniu, otoczonym wianuszkami kilkumetrowych odrostów, które miałem wyciąć, pozostawiając najwyżej trzy. Inną, niemal czarnoskórą żmiję zauważyłem wraz z Józkiem Muńką w spróchniałym korzeniu olszyny znajdującym się na skraju lasu, tuż obok pola wspomnianego kolegi. Zaś spotykaną najczęściej, to jest o popielatym odcieniu, widziałem jako dziecko, kiedy wraz z siostrą paśliśmy krowy pod *Dąbrówką*. Wtedy pani Cielebąkowa, mająca pole niedaleko, zawołała nas i pokazała dość dużych rozmiarów węża – typową żmiję zygzakowatą, zwiniętą pod krzakiem tuż przy wale przeciwpowodziowym.

Kolejny, raczej nietypowy przedstawiciel fauny to nietoperz, coroczny, a dokładniej cozimowy lokator naszej piwnicy, znajdującej się pod sąsiedkiem stodoły. Jednego roku zimowało ich tam aż cztery sztuki jeden obok drugiego, oczywiście wisząc głowami w dół.

O pracowitym ptaku Filipa Karbowskiego – bocianie białym - wspominałem wprawdzie w innym miejscu, jednakże jednego z dorosłych boćków, karmiącego młode bocianięta zapamiętałem za sprawą pewnego zdarzenia. Otóż któregoś razu jedno z dorosłych przyfrunęło do gniazda i akurat karmiło młode, kiedy

przyleciało drugie, trzymając coś ruszającego się w dziobie. Ten ptak nie zmieściłby się w gnieździe, więc wylądował na szczyście słupa energetycznego, obok którego stałem wraz z kilku kolegami. Z niedalekiej odległości dostrzegliśmy, że w bocianim dziobie wije się zaskroniec. Po chwili ptak wzniósł się w górę i wylądował w wolnym już gnieździe.



Nietoperze zimujące w naszej piwnicy.

Mrówka jest nieodłącznym i niezwykle pożytecznym mieszkańcem głównie południowych obrzeży lasów sosnowych. Ten będący pod ochroną owad pełni niezwykle ważną rolę w ekosystemie. Najlepiej rozumieją to leśnicy, którzy widząc kopce mrowisk w swoich lasach, są spokojniejsi o ich zdrowotność. Na szczęście w karszyńskich borach mrówka rudnica była od zawsze.



Drzewa spiłowane przez bobry nad Obrzycą.

I wreszcie pozostający pod ochroną bóbr. Pojawił się on nad przepływającą nieopodal Karszyna Obrzycą kilkanaście lat temu. Ten sympatyczny gryzoń w ostatnich latach rozprzestrzenił się w takim stopniu, że poruszanie się w okolicy rzeki na niektórych odcinkach bywa ryzykowne. Zwierzęta porobiły w wałach niezliczoną ilość nor, wskutek czego łatwo zapaść się w nich po szyję. Obecność swą bobry zdradzają spiłowanymi pokaźnej grubości drzewami, w tym również takimi, które zwykle nie zaliczają się do ich ulubionego menu.

O niektórych karszyniakach słów kilka

W tym rozdziale postanowiłem wspomnieć o tych, którym udało się skończyć wyższe studia i legitymują się przynajmniej tytułem inżyniera lub magistra, i innych, którzy sami zorganizowali sobie warsztat pracy przynoszący dochód rodzinie. Jednak zanim zacznę przedstawiać ich sylwetki, chcę wspomnieć o tym, jak trudno było kontynuować naukę, ukończywszy szkołę podstawową. Jeśli ktoś się na to zdecydował, przez kilka lat musiał dzień w dzień, niezależnie od pogody dwukrotnie pokonać pieszo lub rowerem przestrzeń 4 km dzielącą Karszyn od Kargowej. Wstawało się bardzo wcześnie rano, by w Kargowej zdążyć na pociąg albo autobus do Sulechowa lub Wolsztyna. Niektórzy mieszkali w internacie. Ci mogli wybierać dalej położone szkoły. Jednak to oznaczało wyrwanie z bezpiecznego środowiska, rzadkie odwiedzanie domu i idącą za tym tęsknotę, spory wydatek dla rodziców i brak w domu tak potrzebnych rąk do pracy. Przypuszczam, że z tego powodu niejedno zdolne karszyńskie dziecko zrezygnowało z marzeń, zderzając się z rzeczywistością. Piszę o czasie minionym, ale od podwożonych autostopowiczów wiem, że i teraz kontynuowanie nauki po gimnazjum wymaga wielu poświęceń od młodych karszyniaków.



Franz Vogt

W jednym z wcześniejszych rozdziałów wspominałem o przypadku, za sprawą którego poznałem Markusa Vogta z Tübingen. Od tego młodego Niemca, poszukującego w Karszynie śladów swoich przodków, dowiedziałem się, że z naszej wsi pochodził znany w Niemczech w okresie międzywojennym działacz związkowy Franz Vogt.

Urodzony 9 października 1899 roku w Karszynie, w 1917 wysłany zostaje na front wschodni I wojny światowej. Po ustaniu działań wojennych i powrocie z rosyjskiej niewoli na krótko zostaje członkiem organizacji paramilitarnej Grenzschutz – Freikorps. W 1920 roku podejmuje studia w seminarium nauczycielskim i jednocześnie pracuje w Düsseldorfie. W 1932 jest parlamentarzystą z ramienia SPD do pruskiego Landtagu. W 1933 roku, po zwycięstwie w wyborach partii Adolfa Hitlera, wyjeżdża najpierw do Zagłębia Saary a stamtąd do Holandii. Po zajęciu tego państwa wiosną 1940 roku przez niemiecką armię, na znak protestu przeciwko łamaniu praw suwerenności państwowej, popełnia samobójstwo. Jego imieniem nazwana została jedna z ulic w mieście Bochum.¹

¹ [http://de.wikipedia.org/wiki/Franz_Vogt\(Gewerkschafter\)](http://de.wikipedia.org/wiki/Franz_Vogt(Gewerkschafter)), odczyt: 29.01.2013 r.

Powojenną galerię ludzi, którzy przynieśli splendor naszemu Karszynowi, otwiera pan Wojciech Pasterniak, mający za sobą długą drogę akademicko – uniwersytecką, bogatą w dorobek naukowy, na którym między innymi wzorują się absolwenci i studenci, chcący pracować w pięknym i jakże odpowiedzialnym zawodzie pedagoga. Opracował on między innymi teorię systemowego nauczania i uczenia się literatury i koncepcję pedagogiki teonomicznej.

Obecnie profesor wykłada w Łużyckiej Wyższej Szkole Humanistycznej w Żarach i Wyższej Szkole Pedagogiki i Administracji w Poznaniu filia w Nowym Tomysłu oraz prowadzi seminarium magisterskie na Uniwersytecie Zielonogórskim. Człowiek niezwykle wymagający od siebie i innych, przy tym pełen humoru. Nauczyciel wielu pokoleń uczniów i studentów, w tym szczególnie nauczycieli – humanistów. Promotor 17 prac doktorskich, autor i współautor 27 monografii i ponad 300 artykułów z pedagogiki, filozofii, dydaktyki ogólnej, metodyki nauczania języka polskiego i innych nauk humanistycznych. Profesor Pasterniak od 1976 roku jest naczelnym

redaktorem rocznika „Dydaktyka Literatury”. Wydawnictwo to w 2010 roku rozszerzyło tytuł, który obecnie brzmi „Dydaktyka Literatury i Konteksty”. Zajmuje się energicznie muzykoterapią i komponuje (słowa i melodie) drobne utwory muzyczne, głównie tanga i pieśni.² Obok wielu odznaczeń otrzymał srebrny Medal XX-lecia działalności



Prof. Wojciech Pasterniak na deptaku w Świnoujściu, sierpień 2012 r.

edukacyjnej, sportowej i naukowej przyznany przez Stowarzyszenie Idąkan Polska. Jego dorobek odnotowało wiele encyklopedii i słowników, m. in. Złota Księga Nauk Humanistycznych.³ Na uwagę zasługuje brat Wojciecha Andrzej, magister historii, znakomity sportowiec, reprezentujący województwo zielonogórskie między innymi w skoku wzwyż na arenie ogólnopolskiej, mający w swych osiągnięciach zwycięstwo nad mistrzem Polski w tej dyscyplinie Edwardem Czernikiem. Poza tym karierę na miarę własnych możliwości zrobiły inne osoby z Karszyna. Wśród nich były dzieci państwa Anny i Michała Polaczków – Kazimierz, Janina i Józef. Pierwszy - z wykształcenia lekarz psychiatra, następnie pani Janina - nauczycielka języka polskiego i wreszcie Józef - długoletni leśniczy, najpierw w Klenicy, później w Konotopie. W zawodzie nauczycielskim, wcześniej ukończywszy studia wyższe, realizował się kuzyn obu braci Pasterniaków – Jan Kolesiński. Inżynierów

² Na autorze, który miał okazję ich wysłuchać, zrobiły duże wrażenie ze względu na wysokie walory artystyczne.

³ Pikoń K. (red.), Złota Księga Nauk Humanistycznych, Polski Instytut Biograficzny, Gliwice 2004, s. 294.

reprezentuje Tadeusz Murzicz, który swój dyplom zdobył w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze na kierunku – budownictwo. W latach 1998 - 2002 był wicestarostą powiatu zielonogórskiego. Za nim jest mój sąsiad, który pod wielu względami był mi wzorem – Bernard Chmiel. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu i długoletnim pracownikiem administracji gminnej, powiatowej oraz bankowości spółdzielczej. Karierę inżynierską zrobił także Eugeniusz Nasiłowski. Po pewnej przerwie czasowej wprost „rozwiązał się worek” z magistrami. Są nimi: Mirosława Golla – polonistka, Małgorzata Drzymała – absolwentka bibliotekoznawstwa, Genowefa Rusewicz – absolwentka Wydziału Pedagogicznego zielonogórskiej WSP, Emilia Krzaczkowska – matematyczka, Marcin Przybyła i Leszek Zagdański – historycy, Mariola Pasterniak – absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego na kierunku wychowanie fizyczne, Jacek Kolesiński – magister wychowania technicznego. Studia informatyczne na Uniwersytecie Zielonogórskim ukończył Marek Chmiel. Wyższe wykształcenie zdobyły wnuczki pani Rozalii Drohomireckiej - Emilia i Katarzyna Suchińskie. Pierwsza jest magistrem inżynierem ochrony środowiska, zaś druga marketingu i zarządzania. Kolejna z karszyńskich dziewcząt, Anna Pinecka, jest magistrem pedagogiki specjalnej, natomiast córka państwa Dębickich Agnieszka ukończyła studia na kierunku inżynieria środowiska na Uniwersytecie Zielonogórskim. Absolwentką tej samej uczelni jest też Kamila Wierzińska, która napisała pracę magisterską na kierunku marketing i zarządzanie. Sądzę, że mogę też powiedzieć, iż stąd wywodzą się dwaj księża. Pierwszy to Wiesław Rzepecki, wypełniający posługę kapłańską we Włoszech oraz mój siostrzeniec – Łukasz Przybyła, na co dzień wikariusz w Sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu, który ilekroć znajdzie trochę czasu wpada do Karszyna na chwilę, by odwiedzić babcię Mąkosową, a w Boże Narodzenie odprawić w tutejszym kościele nabożeństwo pasterkowe.



Czesław Wierziński.

Niestety, niemal wszyscy wyżej wymienieni nie są już mieszkańcami Karszyna. Na co dzień mieszkają tam, gdzie znaleźli pracę. Czasem tylko odwiedzają dawną wieś, w której pozostały ich rodziny i groby bliskich.

Na uznanie zasługują karszyniacy, którzy zostali na miejscu i postanowili z pasją zająć się rolnictwem. Niemal od podstaw stworzyli nowoczesne gospodarstwa, które dają utrzymanie ich rodzinom. Są to między innymi państwo Maria i Henryk Bartochowie, specjalizujący się w hodowli bydła mięsnego oraz państwo Dziamscy także hodujący bydło mięsne.

Na szczególne słowa uznania zasługuje też pan Czesław Wierziński. Wcale nie za naukowe tytuły. Wart jest przedstawienia za wyjątkową pasję, z jaką przez wiele tygodni niczym wysokiej klasy

specjalista od historii sztuki pieczołowicie i z benedyktyńską cierpliwością zajmował się renowacją wyposażenia wnętrza kościoła pod wezwaniem św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie. To jego dłonie przywróciły dawną świetność, ukrytą pod z górą sto lat liczącą patyną czasu, obrazom, rzeźbom, barokowym zdobieniom chóru i innemu wyposażeniu tego starego obiektu sakralnego.

Sadzę też, że pozytywnym przykładem realizowania się w miejscowym biznesie są państwo Dębiccy, którzy ponad dwadzieścia lat temu zdecydowali się na prowadzenie działalności handlowej w tutejszym sklepie.

Jak powyższe przykłady wskazują, z tej małej wsi można wyruszyć gdzieś dalej i robić coś ważnego, ale można też zostać i w pracy na miejscu także znaleźć sens życia.

Co pozostało z dawnego Karszyna?

Kiedy przebiegam myślami po tematach wyżej poruszanych, zastanawiam się czasem, jak wyglądałby Karszyn i okolica, w której się znajduje, gdyby nie ostatnia wielka wojna, która tyle zmieniła w ludzkich planach, marzeniach i losach. Jak potoczyłoby się życie karszyniaków – tych mieszkających tutaj od zawsze i tych, których w 1945 roku i później przywiał wiatr historii? Wśród różnych przypuszczeń dominuje refleksja, że miejscowość tę i jej mieszkańców trzeba darzyć szacunkiem ze względu na ogromny wysiłek poniesiony w ciągu wielu wieków wytrwałego budowania i udoskonalania osady oraz otaczających ją pól, lasów i łąk.

Wieś Karschin, a od 1936 roku Großheiden według stanu na 1939 rok liczyła 699 mieszkańców,¹ a więc ponad 100% więcej jak obecnie, to jest w 2012 roku². Skoro teraz wszystkie domy i znajdujące się w nich mieszkania są zajęte, to ta niemała populacja musiała albo żyć w dwukrotnie większym zagęszczeniu w mieszkaniach w stosunku do stanu obecnego, albo musiało być więcej obiektów nadających się do zamieszkania.

Przechadzając się po wsi, coraz trudniej zaobserwować ślady świadczące, że tu i ówdzie znajdowało się siedlisko ludzkie. Nie widać już tak wyraźnie, jak jeszcze 30 lat temu, fundamentów wynurzających się z ziemi czy charakterystycznych dla terenów zamieszkiwanych przez ludzi drzew owocowych. Ale wystarczy tylko popytać tych, którzy pamiętają Karszyn z pierwszych lat po II wojnie światowej, wówczas bezbłędnie wskażą gdzie, a nawet jakie budowle tu się znajdowały, dodając może przy okazji dokąd trafił materiał budowlany pozyskany z rozbiórki tych obiektów. Korzystając zatem z takiego źródła informacji, stwierdzić można, że samych tylko budynków mieszkalnych po 1945 roku rozebrano w Karszynie około 30. Nie dlatego, że Rosjanie je wcześniej podpalili, tylko że ówczesne władze gminne przychylnie były dla kupców z niedalekiej Wielkopolski. Zatem cegła rozbiórkowa zwykle jechała na wschód. Jedynym bodajże wyjątkiem jest przykład dawnej fabryki cygar, z której materiał budowlany posłużył do wybudowania w roku 1968 szkoły w Smolnie Wielkim. Występujące jeszcze dziś w naszej wsi budynki o ścianach szachulcowych ocalały przed dość powszechnym krótko po wojnie zjawiskiem rozbierania obiektów poniemieckich. Można powiedzieć o ich szczęściu, że nie były zbudowane z cegły i nie przedstawiały większej wartości jako potencjalny budulec. Dlatego choć mocno nadgryzione zębem czasu zaświadczają o powszechnym niegdyś w Karszynie stylu budownictwa oraz o stosowanym materiale budowlanym – drewnie i glinie.

Tak więc, Szanowny Czytelniku, przechadzając się po dzisiejszym Karszynie, nie zobaczysz fabryki cygar Richarda Göldnera z początku lat 20. ubiegłego wieku. Nie wiem, czy znajdzie się jeszcze ktoś, kto wskaże Ci, gdzie była prochownia, gdzie waga wiejska, gdzie Albert Dyba podkuwał konie, gdzie u rzeźnika Kadacha można było kupić *wurst* czy nadać lub odebrać przesyłkę pocztową. Nie dowiesz się,

1 www.genealogienetz.de/reg/sci/ortsliste/deu_K-d.html, odczyt: 30.01.2013 r.

2 W dniu 24 maja 2012 r. w Karszynie było zameldowanych 305 mieszkańców. (Inf. pochodzi z Urzędu Miejskiego w Kargowej)

co symbolizują obeliski sprzed kościoła, gdyż dawno temu czyjeś ręce zniszczyły tablice z tekstami informującymi o powodach zbudowania tych obiektów. Dziś po nich pozostały jedynie wstydliwe puste miejsca. Gdzie się podziały zabytkowe nagrobki z miejscowego cmentarza, mówiące o żyjących tutaj przed ponad stu laty ludziach? Nie zatańczysz już na prawdziwym dębowym parkiecie w byłej gospodzie Winzlera, bo „coś się z nim stało” w czasie remontu wiejskiej sali. Od dawna nikt już z mieszkańców Karszyna nie jeździ latem na nieformalne kąpielisko *na kanale*, bo publiczna droga do niego wiodąca jest teraz prywatnym stawem rybnym. Potrzebujący piasku do celów remontowo – budowlanych nie ukopią go już na miejscu w *piaskowni* od zawsze znajdującej się w kiedyś należącym do wsi lesie. Podobnie jest z gliną – dawniej powszechnie wykorzystywaną w budownictwie czy przy remontach pieców grzewczych. Teren wiejskich *glinianek* w majestacie prawa przestał być własnością tutejszej wspólnoty mieszkańców. A co się stało z ziemią rolną, będącą od wielu dziesiątków lat integralną częścią miejscowej szkoły i kościoła? Dotknięci ubóstwem mieszkańcy nie zaopatrzą się bezpłatnie w drewno na opał w niegdyś wiejskim lesie. Obecny administrator tutejszych nieruchomości kościelnych już nie wspomże biednych wdów prawem do bezpłatnego używania pastwiska lub łąki dawniej stanowiącej własność miejscowej wspólnoty parafialnej. Na próżno także pytać, gdzie się podziała karszyńska sikawka konna, ważny niegdyś oręż w walce z pożarami, bo przekazana przez władze zwierzchnie do OSP w Trzebiechowie, podobno około dwadzieścia lat temu trafiła na złom. To ludowa władza po 1945 roku, wiedząca lepiej jak powinni żyć obywatele spowodowała, że odtąd mogli się „samorządzić”, tylko nie bardzo już mieli czym.

Zastanawiając się nad przyczyną obecnego stanu tej niegdyś prężnie rozwijającej się wsi, doszedłem do wniosku, że bierze się on także z braku ludzi – instytucji, których dziś już nie ma. Jeśli zaś są, to już nie znaczą tyle, co kiedyś. Zauważmy, że we wsi od niemal dwudziestu lat nie ma szkoły i nauczycieli, którzy w przeszłości byli animatorami życia kulturalnego, sportowego i towarzyskiego. Nie ma wiejskiej świetlicy, w której było gdzie wieczorami się spotkać, zagrać w szachy czy wspólnie obejrzeć telewizję. Istnieje leśnictwo, ale kierująca nim osoba nie ma już takiego autorytetu jak jego dawni poprzednicy. Co cztery lata mieszkańcy wybierają sołtysa, jednakże jego znaczenie niewiele ma związku z byciem taką osobą urzędową, jak przed dziesiątkami lat. I kolejna rzecz – w Karszynie jest plebania, ale nie mieszka w niej przewodzący miejscowej wspólnotie kapłan, jak było to za księdza Franza Weckera. Wymienione przeze mnie osoby – instytucje pod wielu względami świeciły przykładem i stanowiły wzór do naśladowania. Ich brak we wsi skutkuje tym, że nie bardzo jest się na kogo oglądać i z kogo brać przykład. Przed wielu laty obejścia tych wspomnianych ludzi – instytucji były wizytówkami gospodarności. Tak było w przypadku podwórza, ogrodu a nawet drogi dojazdowej do karszyńskiego leśnictwa, gdzie mieszkał i urzędował Friedrich Lehmann, pełniący jednocześnie funkcję sołtysa. Jakże inaczej wygląda dzisiaj ta część Karszyna! Wprost sielankowo prezentowała się leśniczówka *Schefferhöhe*, do czasu wysiedlenia zamieszkiwana przez rodzinę leśniczego Franza Obieglo.

Otoczona z trzech stron lasami – od południa olszyną, od zachodu świerkowym borem, od północy starą dąbrową a od wschodu z rozległym widokiem na łąki, za którymi, już za rzeką Obrzycą, widoczne były zabudowania Uścia. Tak samo piękną wizytówką wsi było obejście miejscowego probostwa. Od wiosny po jesień tonęło w kwiatkach i przyozdobione było wypielęgnowanymi krzewami. Całość otaczało estetycznie wykonane opłotowanie, za którym znajdowało się zawsze uporządkowane podwórze oraz przylegający do niego ogród owocowo-warzywny. Nie inaczej było w przypadku podwórza szkolnego, o którego wygląd pod kierunkiem nauczyciela dbały uczęszczające do szkoły dzieci. Z pewnością jednak największy wpływ na gospodarczo – estetyczną świadomość karszynian miał miejscowy folwark. Jego zarządca dysponował najnowszą wiedzą w wielu dziedzinach i wprowadzał ją w życie w całym gospodarstwie, to jest w obiektach inwentarskich, ale i na należących do niego polach. Mieli więc mieszkańcy przykłady, z których mogli czerpać wzorce.

Nie chciałbym tylko w smutnej i mentorskiej tonacji kończyć pisanie o wsi mojego dzieciństwa, o z takim mozołem przez całe wieki cywilizowanym - położonym pod Wielkim Lasem - Karszynie. Pewną nadzieję na jaśniejszą przyszłość tej miejscowości dają ludzie chcący tutaj mieszkać. Pojawiają się też nowi mieszkańcy, którzy dostrzegli walory czystego, pachnącego żywicą powietrza, niebo rozgwieżdżone nocną porą i ciszę niezakłóconą szumem dochodzącym z fabryk i przejeżdżających pojazdów. Na miłośników przyrody czekają przepastne lasy, miejscami przypominające dawną puszcę i cały przebogaty świat roślin i zwierząt.

Zakończenie

Kończę moją momentami sentymentalną podróż w przeszłość, ku temu, co jeszcze jako dziecko usłyszałem i zapamiętałem o mojej wsi – Karszynie oraz co po latach opowiedzieli mi mieszkańcy tej miejscowości. Wraz z zapisywaniem kolejnych stron, przybываło gromadzonych wspomnień, bo do moich własnych dołączałem historie usłyszane od ludzi, którym nasza wieś była i jest bliska. Niektóre wydarzenia tutaj opowiedziane miałem okazję usłyszeć od moich rodziców – ojca Ignacego, matki Stanisławy, sąsiadów – babci Chmielowej, ciotki Drzymałowej, znajomych i zaprzyjaźnionych z rodzicami osób. W tym miejscu muszę przyznać, że pierwotny zamiar zanotowania różnych historii dotyczących mieszkańców Karszyna z przeszłości rozszerzyłem o informacje dotyczące dziejów wsi na przestrzeni ostatnich pięciu wieków. Uczyniłem tak, gdyż uznałem, że skoro istnieją źródła pisane informujące o Karszynie sprzed setek lat, powinienem przybliżyć je dzisiejszemu Czytelnikowi. Ponadto powodowała mną zwyczajna duma ze słusznego wieku mojej miejscowości i kazała mi jej historię zanotować.

W książce są również wspomnienia niektórych karszynian dziś już w tej wsi niemieszkających, bo zostali z niej wysiedleni w 1945 roku. Uznałem, że powinni się tutaj znaleźć, by obraz przedstawianej miejscowości był wiarygodny i możliwie pełny.

Pisanie o wsi mego dzieciństwa jest powodem do satysfakcji, bo przy tej okazji dokonałem wielu odkryć. Pierwsze i chyba najważniejsze – uświadomiłem sobie, że jestem Ślązakiem, gdyż Karszyn, miejsce mojego urodzenia, leży na Dolnym Śląsku. Choć obecnie znajduje się w województwie lubuskim, tuż przy samej granicy z Wielkopolską, jednak od zawsze leżał na Śląsku.

Kolejna rzecz, która sprawiła mi wiele radości, to reakcje ludzi na moje pisanie. To dzięki nim, Drogi Czytelniku, czytając tę publikację, możesz oglądać towarzyszące tekstowi fotografie. Niektóre mają prawie sto lat. Są na nich ludzie, których już nie ma i obiekty, które już nie istnieją. Fotografie, a właściwie ich bardzo niewielka zachowana ilość, zdradzają też jeszcze jedną smutną prawdę dotyczącą czasu zastąpienia dawnych karszynian przez obecnych mieszkańców tej miejscowości. Pozostawione przez poprzednich mieszkańców albumy z fotografiami nie były już nikomu potrzebne. Traktowane jak śmieci w większości bezpowrotnie przepadły. Te znajdujące się w niniejszej książce w niewielkim stopniu pokazują obrazy z życia dawnego Karszyna i jego mieszkańców. Fotografia dzieci szkolnych wraz z dwoma nauczycielami (z udartym rogiem) ocalała, bo kiedy leżała na ulicy przed szkołą, została wyjęta z potłuczonej ramki i przechowana przez panią Paulę Pinecką. Dzięki temu możemy zobaczyć chociaż część szkolnej dziatwy sprzed wojny wraz ze swymi nauczycielami.

Dwa razy zdarzyło się, że miałem zamiar przerwać pracę i zniszczyć cały zgromadzony materiał. Przemilczę dlaczego, dodam tylko, że odwiedli mnie od niego cały czas dopingujący mnie do dalszej pracy państwo Maria i Bernard Chmielowie. Oni też od samego początku byli recenzentami, doradcami

i życzliwymi krytykami mojego pisania. Pan Bernard, przypominając opowieści swej mamy Franciszki i babci Jadwigi, dostarczył wiele jakże cennych szczegółów z życia dawnych mieszkańców tej wsi. Od początku mogłem też liczyć na pomoc ze strony sprawdzonych przyjaciół ze szkolnej ławy – Tereni Suwały z domu Wycisk i Zygmunta Kubickiego. Pragnę bardzo podziękować moim rozmówczyniom, pani Pauli Kubickiej, Jadzi Pineckiej, Rozalii Drohomireckiej i Zofii Anduła za przełamanie oporu i opowiedzenie dramatycznych przeżyć z dzieciństwa i młodości, które przypadły na okrutny czas wojny. Dziękuję byłym mieszkańcom Karszyna – rodzinom Ludwigów, Bratków, Pinetzkich i Poppmannów – mieszkającym w Republice Federalnej Niemiec za podzielenie się swoimi, niekiedy bardzo dramatycznymi wspomnieniami z czasu opuszczania ojcowizny. Dziękuję też wszystkim innym osobom, których opowieści starałem się tutaj zebrać, a także tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania tej książki.

Osobne podziękowanie kieruję do pana Tadeusza Wojtera z Klenicy, za sprawą którego dotarłem do niemieckich źródeł pisanych. To dzięki nim dawna karszyńska szkoła i kościół przestały być anonimowe.

Dziękuję moim przyjaciołom z Achim koło Bremy w Dolnej Saksonii – Urszuli i Manfredowi Rabom, którzy służyli mi pomocą, tłumacząc teksty sporządzone dawnym niemieckim odręcznym pismem Sütterlina¹ na współczesną niemiecką, z którą próbowałem sobie radzić, przekładając ją na język polski.

Ważne miejsce w moich poszukiwaniach wiarygodnych źródeł na temat historii Karszyna odegrali księża. Dziękuję zatem księdzu Grzegorzowi Kniaziowi, proboszczowi Parafii Klenica za udostępnienie bezcennej kroniki, w której między innymi znajduje się historia karszyńskiego kościoła. Słowa wdzięczności kieruję do księdza kanonika Marka Pietkiewicza, proboszcza Parafii Kargowa za możliwość lektury dawnych ksiąg parafialnych Karszyna. Dziękuję także memu siostrzeńcowi, księdzu Łukaszowi Przybyle z Sanktuarium Św. Józefa w Kaliszu za pomoc w tłumaczeniu tekstów łacińskich o Karszynie.

By tę książkę urozmaiciły odpowiednio opracowane fotografie, zadbał mój sprawdzony kolega w nauczycielskim zawodzie - informatyk – Zbigniew Wąsik z Siedlca. W tym miejscu bardzo mu za okazaną pomoc dziękuję. Dziękuję również mojej córce Gosi za projekt okładki, grafikę na stronie tytułowej oraz obróbkę niektórych fotografii.

Mój zbiór wspomnień o Karszynie i jego mieszkańcach prawdopodobnie byłby tylko napisanym do szuflady sentymentalnym pamiętnikiem z czasów minionych. Pozostałby nieznanym szerszemu ogółowi, gdyby nie duża życzliwość ze strony Pana Sebastiana Ciemnoczołowskiego Burmistrza Miasta i Gminy Kargowa. To jego przekonanie o potrzebie dokumentowania ciekawych, choć niekiedy tragicznych, przeżyć ludzi spowodowało, że Gminna Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszty, kierowana przez Panią Małgorzatę Kwiecień, stała się oprócz pełnienia swej zwyczajnej funkcji wydawnictwem. Dziękuję zatem obu

¹ Pismo Sütterlina (*Sütterlinschrift*) - pismo stworzone do początkowej nauki pisania w szkołach niemieckich nazwane od nazwiska jego twórcy Ludwiga Sütterlina, źródło: http://pl.wikipedia.org/wiki/Pismo_Sütterlina, odczyt: 30.01.2013 r.

wspomnianym wyżej osobom – instytucjom za to, że ta obecnie tak niewielka miejscowość – Karszyn - doczekała się o sobie książki.

Na samym końcu pragnę wyrazić wdzięczność mojej żonie Zosi, bo to ona jakiś czas temu podsunęła mi pomysł zgromadzenia opowieści o Karszynie, a zanim się do tego zabrałem, ponaglała mnie, mówiąc, bym nie trwonił czasu. Na jej wsparcie, zdrowy rozsądek i sprawność w posługiwaniu się językiem polskim mogłem zawsze liczyć, ilekroć nachodziły mnie różnorakie wątpliwości.

Ufam, że pozbierane w tym opracowaniu wspomnienia mieszkańców Karszyna sprawią, że wszyscy, którzy się z tą wsią identyfikują, będą jeszcze mocniej ów związek odczuwać.

Siedlec, 9 października 2012 r.

Posłowie

Treść mego życia po przyjeździe do Karszyna w maju 1945 roku wyznaczały między innymi nieustanne oddalenia i powroty do tej miejscowości. Ostatni raz powróciłem tam – tym razem pamięcią i wspomnieniem – dzięki monografii Tadeusza Mąkosy, do której piszę niniejsze posłowie. Był to powrót olśniewający nie tylko ze względów osobistych, które trudno mi przecenić, ale także z powodów obiektywnych, bo dzieło o Karszynie posiada wiele walorów, o czym w tym miejscu z radością wspominam.

Rzeczona książka wykorzystuje bardzo bogate, a dotąd zupełnie nieznanne źródła historyczne o miejscowości, jak też autentyczne wspomnienia, fakty oraz opisy, w tym również przeżycia i bogate doświadczenie subiektywne, zasłyszane przez autora i opowiedziane przez mieszkańców. Z perspektywy mojej wiedzy są to komunikaty i obrazy autentyczne, przedstawione często z artystycznym wdziękiem, humorem, radością przywiązania, dramatycznością, a niekiedy tragizmem.

Monografia Tadeusza Mąkosy łączy szczęśliwie dwie wizje przedstawionego świata: naukową – i nie wahać się powiedzieć – artystyczną, co jest przypadkiem wyjątkowym i dotąd mi nieznanym, chociaż teoretycznie i metodologicznie usprawiedliwionym. Metodologia nauk społecznych nie tylko korzysta z wypowiedzi osób badanych, lecz określa te komunikaty jako cenne źródło. „Możemy wnioskować o stanach psychicznych mówiących – pisze Stefan Nowak – z ich wypowiedzi relacjonujących nam te stany i przeżycia. Oczywiście – dodaje – że ze źródła tego możemy korzystać tylko przy założeniu, iż ludzie chcą i są w stanie powiedzieć nam, co myślą i czują ...”¹.

Tadeusz Mąkosa większość rozmówców znał i zna osobiście, a wszystkie informacje porównuje i konfrontuje – o ile to możliwe - by narracja była najbardziej dokładna i prawdziwa. W ten sposób narracja staje się żywa i bliska czytelnikom, zwłaszcza tym – jak niżej podpisany – którzy tam mieszkali i posiadają pewną wiedzę o miejscowości. Mogą też sobie pozwolić na odejście od ujęć obiektywnych i treści uniwersalnych w przestrzeń doświadczenia indywidualnego.

Duchowe piękno, wdzięk Karszyna wyznaczają między innymi – tak to ja odczuwam – przydrożny krzyż znajdujący się tu dotąd, już odrestaurowany, prawie w połowie drogi do Kargowej i miejscowy kościół na wzgórzu. Wspomniany krzyż był moim przyjacielem i przewodnikiem w mnogich podróżach z Karszyna w świat i z powrotem, bliższych i dalszych, ale zawsze – poza jednym wyjątkiem, szczęśliwych.

Karszyn postrzegam po latach głównie emocjonalnie – powiedziałbym poetycko, lirycznie. To miejsce, które można nazwać przestrzenią piękną. Urozmaicony teren, wspaniałe lasy, rzeka, a przede wszystkim jakieś jakości estetyczne i metafizyczne tam wyczuwalne czynią tę krainę bliską i wręcz niepowtarzalną. Tam też powstały, gdy miałem lat dwanaście pierwsze moje wiersze. W nawiązaniu do tej wciąż aktywnej i przeżywanej głęboko przestrzeni powstała także współczesna moja kompozycja liryczno-muzyczna. Każdy dawny, a może i dzisiejszy

1 S. Nowak, *Metodologia nauk społecznych*, PWN, Warszawa 1985, s. 85.

Karszyniak odnajdzie bliskie nawiązania do przyrody tej wsi na przykład w takich słowach piosenki:

*Wrócisz tu do mnie na skrzydłach myśli
Kwiatami wiśni
Zapachem lip
Wrócisz tu do mnie a może przysniesz
Kolory marzeń
Spełnione już
Wrócisz tu do mnie jak słońca błyski
Jak szelest liści
Jak barwy bzów
Wrócisz tu do mnie
Z przyrody wdziękiem
Duchowym pięknem
Na wieczny ślub.*

Niemniejszą inspirującą siłą duchową, jak karszyńska przyroda były również inne – ogromnie dla mnie ważne – fenomeny mające wielki wpływ na kształtowanie mojej świadomości i podświadomości. Na pierwszym miejscu wymienię Panią Szczemirską, pierwszą moją nauczycielkę w klasie IV szkoły podstawowej, od klasy piątej uczęszczałem już do Szkoły Podstawowej w Kargowej. Po dwu tygodniach nauki w klasie III zostałem przesunięty do klasy IV. A potem przeżyłem prawdziwą ucztę edukacyjną. Pani Szczemirska nie była związana jakąś „podstawą programową” czy granicami przedmiotów nauczania, o treściach kształcenia decydowała aktualna sytuacja dydaktyczna, a głównie potrzeby i zainteresowania uczniów umiejętnie i dyskretnie ukierunkowane.

Były to rozmowy oraz dyskusje, w których uczestniczyła także, bardzo zdolna córka mojej nauczycielki. Przenosiły się one również do jej mieszkania. Głównie byłem zapraszany na obiad. Ubóstwo mojej rodziny i moje niedożywienie były widoczne. Wszystkie metody Pani Szczemirskiej wspierały się na miłości i troskliwości wobec uczniów. Nigdy ich nie potępiała, ze zrozumieniem przyjmowała odmienne poglądy, tolerowała ostry krytycyzm swoich podopiecznych, nie zawsze słuszny. Wyjaśniała i przekonywała... Była współczesnym Sokratesem. Nauczyła mnie odważnego myślenia i pokornego niezadowolenia z siebie.

Karszyn kryje jeszcze wiele tajemnic, które czekają na odkrycie. Jednak – co muszę podkreślić – wiele skarbów zniszczono. Przykładem niech będzie piękno pobliskiej Obrzycy. Jakież tam były ryby! Wspaniałe klenie, zdarzały się okazy 4 kilogramowe, duże leszcze, okonie, szczupaki i liny padły ofiarą bezmyślnego odłowu elektrycznego. Smutne drzewa przypominające minione czasy obfitości, patrzą teraz na coraz bardziej zanieczyszczonej rzekę. Kto jej pomoże?

prof. zw. dr hab. Wojciech Pasterniak

Zusammenfassung

Das Buch „Karschin in Erinnerungen und historischen Quellen“ enthält die Geschichte einer kleinen Ortschaft, die im 3-Ländereck Brandenburg, Großpolen und Niederschlesien liegt. Bisher hat sich niemand zuvor mit der Geschichte dieses Ortes beschäftigt, es liegt also eine Pionierarbeit vor.

Die ersten Kapitel schildern die Anfänge dieses Ortes, woher der Ortsname kommt und womit sich die ersten Einwohner beschäftigt haben. Dann werden Leben und Wohlstand einer Bevölkerung dargestellt, die sich bis 1945 aus zwei Völkern, dem deutschen und dem polnischen, und aus zwei Konfessionen, der katholischen und der evangelischen, zusammensetzte.

Der Leser erfährt von Ereignissen, die mit den beiden großen Kriegen verbunden sind, aus der Sicht der Polen und aus der Sicht der Deutschen, beide deutsche Staatsbürger. Die folgenden Kapitel zeigen die großen Veränderungen, die eingetreten sind, als die deutsch-sowjetische Front diesen Ort im Januar 1945 erreichte.

Das Buch enthält Erinnerungs-Unikate von Einwohnern Karschins aus dieser Zeit – sowohl von vertriebenen Deutschen als auch von polnischen Autochthonen, die damals am schmerzlichsten die Grausamkeiten des Krieges erlebten. Der Autor hat Schilderungen von Menschen aufgeschrieben, die nach dem Krieg in diese kleine Ortschaft kamen. So erfährt der Leser vom tragischen Schicksal der Neubürger Karschins. Die meisten wurden gezwungen, ihre Heimat in den Vorkriegs-Ostgebieten Polens zu verlassen und ein neues Leben in einer fremden Umgebung zu beginnen. Viele sind in letzter Minute dem Tod durch die Hand ukrainischer Nationalisten entkommen. Einige der Neuankömmlinge haben die deutschen Konzentrationslager überlebt oder waren Zwangsarbeiter im 3. Reich. Der Autor zeigt die schwierigen Anfänge dieser Gesellschaft: Konflikte, die Integration und das langsame Zusammenwachsen zu einer Gemeinschaft.

Dem religiösen Leben und der Kirche der Heiligen Hedwig von Schlesien ist in diesem Buch ein besonderer Platz eingeräumt.

Eine große Rolle in diesem Buch spielt die Natur, besonders der Wald von Karschin, die Welt seiner Pflanzen und Tiere, ein wahrer Reichtum dieser Gegend.

Ebenso fanden Platz in diesem Buch verdiente Personen aus verschiedenen Gebieten des Lebens, sowie örtliche Originale, Musiker, Scherzbolde und Schwätzer.

Wertvoll wird dieses Buch durch eine reiche fotografische Dokumentation.

Bibliografia

- Andrzejewski T., *Miejscowości powiatu nowosolskiego*, Muzeum Miejskie w Nowej Soli, Nowa Sól 2004.
- Andrzejewski T., *Rechenbergowie w życiu społeczno-gospodarczym księstwa głogowskiego w XVI–XVII w.*, Oficyna Wydawnicza UZ 2007.
- Brzezicki S., Nielsen Ch., *Zabytki sztuki w Polsce. Śląsk*, Krajowy Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków, 2006.
- Cincio A., *Zielona Góra i powiat zielonogórski na dawnych mapach*, [w:] Studia Zielonogórskie, t. 12, Zielona Góra 2006.
- Domińczak H., *Proces zasiedlania województwa zielonogórskiego w latach 1945-1950*, Zielona Góra 1975.
- Dzwonkowski T., *Emancypacja szlachty weichbildu sulechowskiego w XVI w.* [w:] Rocznik Lubuski, Tom XXVII cz. I, LTN, Z. Góra 2001.
- Foerster A., *Geschichtliches von den Dörfern des Grünberger Kreises*, Verlag von Eduard Weller, Grünberg 1905.
- Grunberg R., *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, PIW, Warszawa 1987.
- *Grünberger Wochenblatt*, Nr 18, Sonntag den 5. Mai 1935.
- Homa E., *Gwary i nazewnictwo na Ziemiach Zachodnich i Północnych*, WSP im. T. Kotarbińskiego w Zielonej Górze, 1998.
- Isakowicz-Zaleski T., *Przemilczane ludobójstwo na Kresach*, Kraków 2010.
- Jungvitz J., *Visitationsberichte der Diözese Breslau, Archidiakonats Glogau*, erster teil, G.P. Aderholz Buchhandlung, Breslau 1907.
- Kacprzak P., *Działania organów administracji państwowej w akcji wysiedlania i wyjazdów ludności niemieckiej z Polski w 1945 r.* [w:] Studia Lubuskie, tom VI, Sulechów 2010.
- Konopnicka-Szatarska M., *Kontrreformacja w księstwie głogowskim (XVI–XVIII w.)*, Uniwersytet Zielonogórski 2002.
- Kowalski S., *Zabytki województwa zielonogórskiego*, Zielona Góra 1987.
- *Kronika Klubu Prasy i Książki RUCH w Karszynie*.
- *Kronika Parafii Kargowa*.
- *Kronika Parafii Klenica*.
- *Księga meldunkowa* prowadzona przez sołtysa Karszyna.
- *Księga uczniów Szkoły Podstawowej w Karszynie*.
- Kuczer J., *Szlachta w życiu społeczno-gospodarczym księstwa głogowskiego w epoce habsburskiej 1526–1740*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2007.
- Kufel R.R., Garbacz K., *Kościół dekanatów zielonogórskich*, Agencja Wydawnicza „PDN”, Zielona Góra 2012.

- Michałowska A., *Gdzie Żejmiana, gdzie Odra*, [w:] Wypędzeni ze Wschodu, wspomnienia Polaków i Niemców, Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”, Olsztyn 2001.
- Michałowska A., *Uplywa szybko życie, jak ...*, [w:] Biuletyn informacyjny miasta i gminy Sulechów, nr 51/2007.
- Nowacki J., *Dzieje Archidiecezji poznańskiej*, t. II, Księgarnia Św. Wojciecha 1964.
- *Neusalzer Stadtblatt*, Nr 302, 25 Dezember 1914, s. 2.
- Osteuropa: *Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens*. Tom 48, Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde – 1988.
- Pasterniak W., Szczegóła H., *Słownik nazw geograficznych Ziemi Lubuskiej*, LTK, Zielona Góra 1963.
- Petriuk S., *Unruhstadt und Karge*, Uście-Kargowa-Langballingholz 2005.
- *Plan odnowy wsi Karszyn na lata 2008 – 2015*, Urząd Miejski w Kargowej 2008.
- *Plan zarządzania lasu Nadleśnictwa Sulechów na okres od 1 stycznia 2010 do 31 grudnia 2019 r.*, RDLP w Zielonej Górze, Poznań 2010.
- Strzyżewski W. (red.), *Rola szlachty w kształtowaniu oblicza społ. – gospodarczego Nowej Marchii (XVI – XVIII w.)*, [w:] Rocznik Lubuski, Tom XXVII, cz. I, Zielona Góra 2001.
- Rospond S., *Słownik etymologiczny nazw miast i gmin PRL*, Ossolineum 1984.
- Rymar D., *Ukształtowanie się Ziemi Lubuskiej jako jednostki administracyjnej w świetle sprawozdań pełnomocników rządu (luty – lipiec 1945)*, [w:] Rocznik Lubuski, t. 31, cz. 2.
- Jurek T. (red.), *Słownik historyczno-geograficzny ziem polskich w średniowieczu*, Instytut Historii PAN 2010.
- Szydłowski Z., *Zginęli nie za swoje winy*, [w:] Gazeta Lubuska, 10.11.1992., s. 1 i 3.
- Tureczek M., *Najstarsze dzwony ziemi międzyrzeckiej do 1815 r.*, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra 2005.
- Wrześniński Sz., *Tajemnice III Rzeszy Hitlerjugend na Śląsku*, Replika, Zakrzewo 2011.
- *Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce*, Wydawnictwo Ministerstwa Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, GUS 1982.
- Pikoń K. (red.), *Złota Księga Nauk Humanistycznych*, Wydawnictwo „Helion”, Gliwice 2004.
- Żuraszek-Ryś I., *Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego*, Zielona Góra 2009.

Indeks nazwisk

- Adam 80,
Anduła 119,
Anduła Czesław 165,
Anduła Stefan 165,
Anduła Zofia 134, 135, 146, 168, 181, 252,
Andrzejewski T. 18,
Andrzejewski Tomasz 42,
Baca 128, 216,
Baca Czesława 116,
Baca Jerzy 228,
Baca Krystyna 129,
Baca Władysław 84, 120, 163,
Bajon 119, 128,
Bajon 227, 232,
Bajon Henryk 165, 228,
Bajon Leokadia 210,
Bajon Marian 47, 78, 199, 228,
Bajon Piotr 168,
Balcerak 119, 167,
Balcerak Bogusław 228,
Balcerak Grzegorz 73,
Balcerak Krystyna 168,
Balcerak Waclaw 164, 218,
Bałucki Michał 215,
Bartel 98,
Bartoch 109, 119, 128, 246,
Bartoch Henryk 91, 228, 230,
Bartoch Małgorzata 209,
Bartoszek 119, 213, 214,
Bartoszek Andrzej 129,
Bartoszek Antoni 116,
Bartoszek Czesław 214,
Bartoszek Danuta 215,
Bartoszek Edward 116, 132, 212, 213, 214,
Bauland 81,
Benysek 80,
Berling 145,
Bernhardt Alwin 95,
Bernhards 95, 96
Bertram Adolf 50,
Bertram Adolf 51,
Bieńkowski Stanisław 199,
Blum 91, 119, 153,
Blum Bronisław 228,
Blum H. 162,
Blum Henryk 116, 163,
Blum Regina 115, 147, 193,
Blum Stanisław 197,
Blum Władysław (wójt) 84, 85, 86, 90, 92, 120, 151,
Blum Władysław (drwal) 165, 193, 215,
Błońska Anna 148, 211,
Błoński 118,
Błoński Jan 115, 116, 148, 164,
Błoński Mikołaj 120, 143,
Bobkowski Zygmunt 197, 210, 215,
Bobowicz Marcin 180,
Bocheńska Krystyna 114, 173,
Borman 98,
Bratke 80, 107, 110, 252,
Bratke Helmut 105, 106, 113, 114,
Bratke Hermann 64, 107,
Bratke Paul 106,
Browinckel John Jacob 75,
Brunke Josef 94, 175
Brzeziński Sławomir 44,
Brzeziński Leon 210,
Brzózka 73,
Brzózka Monika 28, 72, 75,
Brzózka Stanisław 70, 72, 74,
Buda Stanisław 175,
Budzianowska Elżbieta 207,
Budzyn Bożena 182,
Bugaj Józefa 23,
Bussmann Clemens 75,
Casper 80,
Casper Wilhelm 71, 73,
Castellane Paulina markiza 37,
Chmiel 31, 36, 80, 83, 120, 123, 130, 233, 251,
Chmiel B. 52, 73, 77, 113, 124, 162, 173, 179,
Chmiel Bernard 28, 42, 43, 52, 83, 113, 123, 124, 135, 162, 197, 215, 235, 246,
Chmiel Franciszka 27, 40, 106, 123, 125, 152,
Chmiel Jadwiga 44,
Chmiel Karl 70,
Chmiel Marek 246,
Chmiel Maria 181, 182,
Chmielowa 9, 36, 88, 106, 124, 125, 153, 251,
Chosiński Tomasz 208,
Churchill 118,
Cichy (siostra) 96, 97, 98, 99,
Ciemnoczołowski Sebastian 252,
Cielebąk 39, 119, 122, 128, 129, 169, 172, 242,
Cielebąk Albin 228,
Cielebąk Henryk 228,
Cielebąk Ignacy 128, 180,
Cielebąk Jadwiga 84, 88, 90, 169, 187,
Cielebąk Katarzyna 116, 181,
Cielebąk Teresa 210,
Cielebąk W. 220,
Cielebąk Władysław 228,
Cieślak Tadeusz 129,
Cieślak Wiesława 193,
Cieślakowska 209,
Cieślakowska Stanisława 201, 206, 207, 208, 211,
Cincio Arkadiusz 44,
Cyrankiewicz Józef 205,
Czarnuskiewicz Michał 208,
Czernik Edward 245,
Czuliński 119, 128,
Danielkiewicz 68,

Danielkiewicz Czesław 182,
 Danielkiewicz Krystyna 92,
 Dawidziuk 161,
 Dawidziuk Stefan 167,
 Decker 80,
 Decker Franz 93,
 Decker Otto 71,
 Dębicka Agnieszka 246,
 Dębicki 42, 167, 225, 231, 247,
 Dębicki Aleksander 116,
 Dębicki Leon 167, 227, 231,
Dimke 94, 96, 97,
Dimke Hermann 94, 96, 98,
Dimke Josef 50, 51,
Dobkoncz 95,
Dobkowitz 101,
 Domagalski 119, 120,
 Domagalski Franciszek 228,
 Drange 80,
 Drażba 210,
 Drohomirecka Helena 115,
 Drohomirecka Rozalia 142, 148, 193, 246, 252,
 Drohomirecki 118, 143,
 Drohomirecki Bazyli 116, 143,
 Drzymała 119, 129, 230, 231,
 Drzymała Alojzy 120, 167, 219,
 Drzymała K. 134, 212, 215,
 Drzymała Karolina 126, 134, 206, 212, 218, 229,
 Drzymała Małgorzata 246,
 Drzymałowa 9, 218, 251,
 Dullin 80,
 Dullin August 70,
 Dullin Marta 114, 115,
Dworczak 49,
 Dyba 80,
 Dyba Albert 21, 22, 168, 248,
 Dymalski Władysław 84, 89, 106,
 Dynak Karolina 208,
 Dziamska Agnieszka 181, 182,
 Dziamska T. 21,
 Dziamski 119, 216, 217, 246,
 Dziewiątek Krystyna 210,
 Dziura 119,
 Dziura Antoni 161,
 Dziura Krystyna 210,
 Dziura Stanisław 226,
Eckert Franz 98,
 Eckert Łukasz 208,
Ehrlich (proboszcz) 46,
 Eichler Helga 88,
Erhardt Auguste 96,
Fabis P. 190,
 Fafuła Halina 210,
Femar 96,
Fengler 97, 100,
 Foerster A. 14, 28, 43, 55, 56, 66, 81,
 Foerster August 16, 18, 33, 64,
 Flöck Fritz 24,
 Fuhl 50, 81,
Funke Wilhelm 46,
 Gabler Paul 70,
Gasse 94,
Gärtner 101,
Geittner W. 189,
 Gemza Johann 71,
 Germaniuk 209,
 Germaniuk Katarzyna 211,
Gertner 96,
 Gęborys J. 174,
 Giertych Jan 199,
 Glinda Antoni 129,
 Głogowska Jadwiga 199,
 Głuska Jadwiga 168,
 Głuski 119,
 Głuski Andrzej 228,
 Głuski Wiktor 226,
 Gmiat 81,
 Gogol Mikołaj 215,
 Golla 24, 31, 66, 80, 120, 127, 128, 160,
 Golla Franciszek 23, 24, 30, 73, 79, 127, 156, 157, 164,
 168,
 Golla Józefa 134, 157,
 Golla Mirosława 246,
 Golla Rudolf 193,
 Golla Waleria 34, 79, 128, 148,
 Gollik 81,
 Gomułka Władysław 146, 205,
 Gościcki 225,
 Gościcka Wiesława 197,
 Goś 119,
 Goś Jan 163,
Gögingk 46,
Gögingk 50,
 Göldner 80,
Göldner 237,
 Göldner Richard 63, 67, 68, 79, 248,
 Göppert Joachim 50,
 Görtner 80,
 Görtner August 85,
 Görtner Heinrich 70,
 Grabowska Maria 193, 210,
 Grabowski Franciszek 193, 210,
 Gries Peter 24,
Grocholewski Hedwig 96, 100,
 Grzelecki Dariusz 182,
Günther (archiprezbiter) 46,
 Günther 47,
Hartwig Agnes 95,
Hartwig Anton 94, 96,
Heidau 47,
 Heinrich 80, 88,
 Heinrich Alfred 43, 80, 93,

Herbig Bolesław 210,
Herta (siostra) 95, 99,
Herzog (proboszcz) 45,
 Herzog (proboszcz) 47,
 Herzog (wdowa) 57,
 Hitler 120,
 Hitler Adolf 42, 68, 90, 244,
 Hoffmann 81,
Hoffmann (proboszcz) 46,
 Hoffmann (proboszcz) 48,
 Homann 44,
Höptner 96, 96,
Höptner Linus 97,
Hübner Josef 10,
Irmegard Gregor 95,
 Isakowicz-Zaleski Tadeusz 140,
 Janicki 210,
 Jankowski Stanisław 203,
 Jaskuski Jerzy 118,
 Jaworska Jolanta 211,
 Józwickowska Krystyna 211,
 Juckiewicz Janina 210,
 Kaczmarek 114, 168,
 Kaczmarek Jadwiga 129,
 Kaczmarek Urszula 210,
 Kaczmarek Walerian 114, 168,
 Kadach 80, 83, 106, 248,
Kadach 95,
 Kadach Martin 32, 43, 83,
Kahn (archiprezbiter) 45,
 Kaim Andrzej 208,
 Kala 80,
 Kala Willi 75, 90,
 Kanretzke 80,
Kantschick 99,
 Kaptur 111,
 Kaptur Elżbieta 80, 81,
 Karbowski 119, 133,
 Karbowski Edward 226,
 Karbowski Filip 116, 133, 168, 211, 242,
Karkoskes 96,
 Kasperek 87,
 Kasperek Irena 153,
 Kędziora Daniel 182,
 Kielak Barbara 193,
 Kischke 81,
 Kirek 118, 128,
 Kirek Alojzy 129,
 Kirschke Helmut 25,
 Kirschke Wilhelm 25,
 Kitschke 80, 88,
 Kitschke August 113,
 Kitschke Hedwig 52,
 Kitschke Hermann 71,
 Kitschke Josef 70,
 Klemt 80,
 Klempt Josef 25,
 Klemt Josef (nauczyciel) 56, 59,
 Kliks Stanisław 162, 165, 182,
Klotten 94, 95, 96,
 Kloze Maria 148, 193,
 Kluge 80,
 Książ Grzegorz 252,
 Knobelsdorf Anna 15,
 Knobelsdorf Casper von 22,
 Kohnz Alois 24,
 Kojs 151,
 Kojs Jan 84, 111, 150,
 Kolesińska 140, 141, 142,
 Kolesińska Genowefa 144, 145,
 Kolesińska Maria 140, 141, 142,
 Kolesiński 118, 129, 141, 176, 215,
 Kolesiński Jacek 246,
 Kolesiński Jan 193, 215, 225, 245,
 Kolesiński Józef 215, 217, 220,
 Kołpowski Jerzy 164, 165,
Konetzke Franz 99,
 Korsak Krystyna 208, 211,
 Kostyra 119, 144, 167, 222, 233,
Kostyra 232, 239,
 Kostyra Anna 115,
 Kostyra Antoni 116, 120, 137, 145, 162, 168, 214,
 Kostyra Genowefa 193, 214, 215,
 Kostyra Janusz 193, 226,
 Kostyra Józef 113, 115, 161, 195,
 Kostyra Kazimierz 215, 228,
 Kostyra Rozalia 145,
 Kostyra Róża 129,
 Kostyra Stanisława 193,
 Kostyrowa 9, 140, 141, 215, 216,
 Kowalczyk 119, 165, 166,
 Kowalik Anna 130, 131, 140,
 Kowalik J. 176, 198,
 Kowalik Jan 176, 197, 215, 225,
 Kowalikowa 9, 130, 140, 162,
 Kowalik Stanisław 215, 226,
 Kowalik T. 179,
 Kowalik Tadeusz 86, 164, 226,
 Kraemer 81,
Krause 94, 97, 100,
 Krause August 61,
 Krämer Ernst 24,
 Krämer Johann 24,
 Krämer Josef 24,
 Krämer Joseph 24,
 Krompniewska 136,
 Król 118, 128,
 Król Elżbieta 116,
 Król Helena 129,
 Kruhl 80,
 Kruhl Paul 70,
 Kruschke 80, 89, 93,

Kruschke 93,
 Krzaczkowska Emilia 246,
 Krzaczkowski Rafał 208,
 Krzaczkowski Zbigniew 168,
 Kubacka 88, 144,
 Kubacka Anna 90, 91,
 Kubacki 120, 121, 212, 219,
 Kubacki Karol 91, 121, 127,
 Kubatzki 80,
 Kubejko 119,
 Kubicka Paula (Pinecka) 59, 75, 76, 82, 83, 85, 86, 88,
 90, 91, 92, 114, 252,
Kubicki 226, 235,
 Kubicki 119,
 Kubicki Jan 160, 230,
 Kubicki Zygmunt 24, 61, 67, 68, 228, 230, 232, 252,
 Kurzmann 80,
 Kurzmann August 71,
 Kuske Fritz 71,
 Kwaśnik 84,
 Kwiecień Małgorzata 252,
 Lampart Robert 208,
Lange Heinrich 100,
 Laubstein 80, 86,
 Lehmann 80, 85, 119, 168,
Lehmann 223,
 Lehmann Alojzy 168, 217,
 Lehmann Anna 116,
 Lehmann Friedrich 40, 43, 63, 64, 83, 109, 150, 249,
 Lehmann Jan 228,
Lehmann Josef 97, 98,
 Lepka Ewa 209,
 Lewandowska Aleksandra 193,
 Lewandowska Leokadia 193,
 Lewandowski 170,
 Lewandowski Marian 213,
 Lewandowski Michał 193,
 Lewandowski Władysław 116, 129, 151, 163, 180,
 Lewandowski Zdzisław 181, 193,
 Lewosińska Teresa 211,
 Lewosiński Kazimierz 228,
 Lewosiński Lucjan 165,
 Lichocki Karol 164,
 Lichtenstein Carl 156,
Linke 94
 Lipowicz 80,
Liselotte (siostra) 95, 99,
 Lisiewicz 80,
 Lisiewicz Piotr 206,
 Lisiewicz Stephan 71,
Lisson Tobias 45, 51,
 Lisson Tobias 49,
 Löeben Jeris Melchior 22,
 Lubig Wilhelm 32, 40, 43,
 Lubiński 119,
 Lubiński Antoni 163, 165,
 Lubiński Czesław 197,
 Ludwig 33, 80, 252,
Ludwig 99,
 Ludwig Anna 86,
 Ludwig Hedwig 57,
 Ludwig Josef 67, 101,
 Ludwig Karl 71,
Ludwig Margarethe 100,
 Ludwig Maria 101,
Ludwig Otto 9,
 Luka Karin 129,
 Luter Marcin 41,
 Luter Martin 14,
 Łabuńska Karolina 115,
 Łabuński 128, 169,
 Ławrynowicz Maria 146,
 Łukaszewska Martyna 182,
 Łysiak 192,
 Łysiak Halina 210,
 Maciejewski 118,
 Maciejewski Stanisław 115,
 Makowiak Teresa 211,
 Makowska 222,
 Makowska Katarzyna 209,
 Makowska Zofia 202, 210, 222,
 Makowski J. 174,
 Makowski Jan 116, 193, 225,
 Makowski S. 138,
 Makutra Stanisława 210,
 Malende Ludwig 93,
 Maligłowska Sylwia 182,
 Małycha Maria 211,
Manthen 50,
 Mańkowski Józef 164,
 Marek 118, 132,
 Marek Aleksander 134, 228,
 Marek B. 197,
 Marek Helena 116,
 Marek J. 150, 161, 171, 173,
 Marek Józef 114, 127, 132, 164, 168,
 Marek Zofia 116, 147,
Marx Henricus 186,
 Marx Henryk 186,
 Markwitz 75,
Markwitz Herta 99,
Marsische 50,
Marsiske 98, 99,
Marsiske Hermann 98,
Marsiske Herta 97,
 Marsiske Johann 70,
Marsiske Josef 97,
 Marsiske Karl 71,
Marsiske Ursula 99,
 Marziske 80,
Mauschnes 97,
 Mazurkiewicz 118,

Mazurkiewicz Mikołaj 169, 181,
 Mąkosa 118, 122, 129, 138, 140, 158, 159, 246,
 Mąkosa I. 24, 30, 31, 73, 74,
Mąkosa Ignacy 118,
 Mąkosa Ignacy 117, 123, 124, 125, 138, 140, 157, 164,
 165,
 Mąkosa Małgorzata 252,
 Mąkosa S. 139,
 Mąkosa Stanisława 112, 121, 127,
 Mąkosa Zofia 253,
 Mätzschke 80, 85, 89, 167,
Mätzschke 93,
 Mätzschke Hermann 32, 33, 43, 88, 89, 106,
Mätzschke Hermann 93,
 Meger 153, 171, 172, 173, 176, 181,
 Meger Jan 171, 173, 176, 180,
 Michałowska Alicja 17, 126, 144, 193,
 Michulitz 47, 80, 103, 114,
 Minetzke Lina 52,
 Minetzke Paul 33, 34, 63,
 Mischke 80,
 Mischke Inga 148,
 Miś 65, 119, 128, 162, 230,
 Miś Bogdan 182, 228,
 Miś Eugeniusz 228,
 Miś Józef, 115, 151, 165, 168, 214, 217,
 Miś Piotr 208,
 Miś Wiesław 228,
 Miś Władysław 84, 92, 120, 136, 163,
 Miś Z. 179,
 Miś Zbigniew 182, 228,
 Młotek 119, 216,
 Młotek Jan 168,
 Młotek Jerzy 226,
 Młyńczak Maria 211,
 Mochalski Alojzy 176,
 Moos 81,
 Moskwa Jan 148, 193, 210,
Muche 96,
 Muche 114,
 Muche Wilhelm 23,
 Munko 80,
 Munko Antonia 107,
 Munko August 65, 70,
Munko Horst 190,
Nunko Lothar 190,
 Muńko 120,
 Muńko Arleta 208,
 Muńko Józef 228, 242,
 Muńko Karol 193,
 Muńko Paweł 168,
 Muńko Renata 197,
 Muńkowa 88,
 Murzicz 89, 118,
 Murzicz Janusz 228,
 Murzicz Józefa 137,
 Murziczowa 9, 191,
 Murzicz Tadeusz 145, 191, 215, 225, 226, 245,
 Murzicz Wincenty 115, 145, 146,
 Musiał 50,
 Musiał Franciszek 182,
 Müller 80,
 Müller Eugen 24,
Müller Ritmeister 62,
 Nagadowska Monika 209,
 Nagadowska Sylwia 209,
 Nagadowski Jarosław 182,
 Napoleon Bonaparte 66,
 Nasiłowska Danuta 193,
 Nasiłowski 118,
 Nasiłowski Eugeniusz 225, 246,
 Nawracała Czesława 128,
Nehm(pastor) 98,
 Neumann 80,
 Niciejewski 120, 128,
 Niemetz dr 61,
 Nienartowicz Henryk 129,
 Nowak 119, 128, 204, 233,
Nowak 227, 232, 233, 234, 237,
 Nowak T. 162, 166,
 Nowak Tadeusz 116, 164, 233,
 Nowotnik 81,
Nowotnick Josef 95,
Nowotnick Mathilde 94, 99,
Nowotnick Anna 96, 98,
Nowotnick 97,
Oberin (siostra) 97, 98,
 Obiegło Franz 40, 238, 250,
 Ochła 80,
 Okrzos Wiesław 153, 154,
 Olejczuk 119,
 Olender Piotr 177, 180,
 Olesiak Zbigniew 129,
 Osiecki Sylwester 164,
 Pabel Max 56,
Pallek 96,
Palutze 96, 98,
 Pałamarczuk 112, 118, 126, 134, 142, 143, 150, 229,
 Pałamarczuk Karolina 142, 193,
 Pałamarczuk Petronela 126,
 Pałamarczuk Piotr 116, 212,
 Panasiewicz 118, 128,
 Parkinson 143,
 Paprzycki Grzegorz 128,
 Paprzycki Marian 128,
 Pasterniak 118, 141, 166, 176, 225, 245,
 Pasterniak A. 198,
 Pasterniak Aleksander 117, 164, 166, 214, 218,
 Pasterniak Andrzej 176, 193, 203, 210, 215, 224, 225,
 245,
 Pasterniak Lilli 210,
 Pasterniak Mariola 246,

Pasterniakowa 9, 135, 136,
 Pasterniak W. 210,
 Pasterniak Wojciech 116, 169, 193, 197, 210, 214, 215,
 218, 225, 235, 245,
Pasterniak Wojciech 190,
 Patschontek 80, 87,
 Patschontek Johann 70,
 Patschontek Maria 107,
 Paukszta Eugeniusz 252,
 Pendyk 118,
Pendyk 227,
 Perliński 86, 88,
 Petras 80, 110,
 Petriuk S. 40,
 Petruschke 80,
 Petzold Marta 116,
 Petzold Paweł 193,
 Piątek Władysław 164,
 Piechota 194,
 Piechota H. 196, 197,
 Piechota Helena 210,
 Pietek Elżbieta 211,
 Pietkiewicz Marek 150, 180, 182, 252,
 Pietkiewicz Ryszard 182,
Pietrof Mongol 95,
 Pietruszka 119, 128,
Pietruszka 223,
 Pietruszka Antoni 163,
 Pietruszka Joanna 208,
 Pietruszka Kazimierz 228,
 Pietruszka Marian 128,
 Pietruszka Ryszard 199, 228,
 Pietruszka Z. 220,
 Pietruszka Zbigniew 228,
Pietsch Heinrich 97,
Pietsch Helene 96,
Pietsch Paul 98,
Pilz August 100,
 Pinecka Anna 92,
 Pinecka Anna, c. Marcina 246,
 Pinecka J. 113,
 Pinecka Jadwiga 18, 35, 76, 79, 112, 122, 123, 226,
 252,
 Pinecka Maria 181,
 Pinecka Marta 83,
 Pinecka Paula 35, 78, 251,
 Pinecki 80, 87, 120, 122, 203,
Pinecki 123,
 Pinecki Antoni 129, 182, 226,
 Pinecki Franciszek 129,
 Pinecki Grzegorz 228,
 Pinecki Harmut 202, 203, 204, 210, 217, 220,
 Pinecki M. 166,
 Pinecki Marcin 122, 123, 128, 165, 169, 193, 226,
 Pinecki Marek 228,
 Pinecki P. 166,
 Pinecki Paweł 127, 164, 168,
 Pinecki Walenty 61, 75, 77, 85, 86, 88, 93, 147, 232,
 Pinetzki 80, 252,
 Pinetzki Alfred 107,
 Pinetzki Johann 108,
Pioch Augusta 95,
Piontek dr 51,
 Piontek Franz 70,
 Piosik Martin 71,
 Platzek 80,
 Platzek Franz 71,
Plazentina (siostra) 97,
 Ploszyk 81,
 Pohl 80, 88, 108, 109,
 Pohl Gustaw 70,
 Pohl Klara 85, 86, 88, 90, 108,
 Pohl Paul 71,
 Pokorska Wiktoria 116,
 Pokorski Stanisław 115,
 Polaczek 118, 142, 143, 228, 245,
 Polaczek Aniela 116,
 Polaczek Czesław 228,
 Polaczek J. (nauczycielka) 199, 200,
 Polaczek Joanna 129,
 Polaczek Józef 148, 193,
Polaczek Józef 190,
 Polaczek Kazimierz 193,
 Polaczek Marian 228,
 Polaczek Michał 115, 245,
 Polaczek Rozalia 193,
 Popek Zbigniew 129,
Poppmann 49,
 Poppmann 80, 252,
 Poppmann August 91, 109,
 Poppmann Karl 65, 83, 109, 110,
 Porczyński 118, 128,
 Porczyński Józef 168,
 Poźniak L. 207,
 Prus Aniela 116, 162,
 Prus Antoni 73, 116,
 Prus Stanisław 214,
 Przybylla 80,
 Przybylski Szymon 182,
 Przybyła 84, 119, 120, 128, 132,
Przybyła 231,
 Przybyła Antoni 115, 120, 134, 143, 163,
 Przybyła Franciszka 134,
 Przybyła L. 197,
 Przybyła Łukasz 246, 252,
 Przybyła Marcin 246,
 Przybyła Maria 115,
 Przybyłowa 9, 134, 162, 230,
 Przybyłówny 239,
 Ptak 80,
Pułłjanówna Halina 192,
 Pułłjanówna Halina 192,

Puszkin 218,
 Raba Manfred 252,
 Rabcewicz 204,
 Rabcewicz K. 200,
 Rabcewicz Krystyna 199, 202, 226,
 Radam Helene 80,
Radam 98, 100,
Radam Karl 94,
 Radulski 146,
 Radulski Witold 193,
 Radziuk 146,
 Radziwiłł 22, 23, 51, 62, 75, 87,
 Radziwiłł Antoni Wilhelm książę 37, 63, 237,
 Radziwiłł Elżbieta Maria Dorota 61, 63, 232,
Rat pan (ksiądz) 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101,
 Rawska Teresa 202,
 Rechenberg 18,
 Rechenberg Hans von 14, 15, 19, 21,
 Redam August 71,
 Reiner Maksymilian 181, 189,
 Reinisch 80,
 Renner 81,
 Reschke 80,
 Rezler 78, 80,
 Richly 80,
 Richtberg Karl 75,
 Rieger 74, 80,
 Rieger Otto 32, 43, 70, 71,
 Rismann 80
Rogosch 47, 94, 97, 98,
Rogosch Reinhold 95,
 Roosevelt 118,
Rosolski Hanna 96,
 Rudnikowski 118,
 Rusak Tomasz 209,
 Rusewicz 209,
 Rusewicz Bronisław 164, 165,
 Rusewicz Genowefa 211, 246,
 Rusewicz Paweł 164, 165, 209,
 Ruske 80,
Ruske 95, 96,
 Ruske Adolf 71,
Rybatscheck 99,
 Rybitzki 81,
 Rychlińska Józefa 115,
 Rychliński Jerzy 225,
 Rychliński Piotr 228,
 Rychliński Robert 228,
 Rychliński Ryszard 132, 165,
 Rzepecki Wiesław 246,
 Rzepka 81,
 Saluter 119, 233,
Saluter 232,
 Saluter Adolf 116,
 Saluter T. 174,
 Saluter Tadeusz 193,
Sappelt (archiprezbiter) 47,
 Sapron 119,
 Sapron Maria 116, 147,
 Sawczuk 218,
 Sawczuk Celestyna 198, 210, 218,
 Sawczukowa 194,
 Schäfer 80,
 Schäfer Alois 25, 75,
 Scherer Johann 180,
 Schimanski 80,
Schmidt 99, 100,
Schmiel Johan 190,
Schneidemeister 99,
Schneider 96,
 Scholz 80,
 Scholz (zarządca dóbr klenickich) 43,
Scholz (zarządca dóbr klenickich) 45,
 Scholz (nauczyciel) 56,
 Scholz Willi (nauczyciel) 59,
 Schopp 80, 106,
 Schopp Leonard 25, 75,
 Schubarth Matthäus 44,
 Schuh Jörg 24, 25,
Schulz 95, 100,
Schulz Fritz 96,
 Schulz Wolfgang 54,
 Schuh Jörg 25,
Schwarz 98,
 Seewald 80, 109,
Seewald 51,
 Seewald Karl 56, 59,
Stigulina (siostra) 96, 97, 98,
 Sitarz 81,
 Sitarz Krystyna 129,
 Skorupiński Ireneusz 153,
 Skorupiński Jan 217,
 Skrzypczak 80, 81,
 Skrzypczakówna 194,
 Skrzypczak Z. 196,
 Smak Halina 210,
 Smalec 67, 87, 118, 163,
Smalec 227,
 Smalec Franciszka 116, 211,
 Smalec Marek 182,
 Smalec Mariola 181, 182,
 Smalec Mieczysław 193,
 Smalec Stanisława 215,
 Smalec Teresa 193,
 Smalec Zdzisław 65, 163,
 Sobczak Janina 210,
 Sobińska Ludwika 193,
Sokół 118,
 Sopek 128,
Spillmann (dziekan) 49,
Splitt Alfons 96, 100,
 Spottag Johann 71,

Spychala 81,
Spychalski Dora 99,
 Spychalski Marian 205,
 Spychala 119, 128,
 Spychala Barbara 129,
 Spychala Zdzislaw 197,
 Stalin 118,
 Stalin Józef 148,
Stankiwitz Anna 98,
 Starzyk Janusz 129,
 Stein Bartłomiej 18,
 Stępień Halina 116,
 Stefański Bolesław 215,
 Stiller 80,
 Strawińska Paulina 116,
 Streu Johann 71,
 Striezel 56,
 Strzyżewski W. 22,
 Stukin Julia 199,
 Suchińska Emilia 208, 246,
 Suchińska Katarzyna 208, 246,
 Sułkowski 203,
 Sułkowski Jan 167, 202, 205, 210,
 Suszek Krzysztof 73,
 Suwała T. 35, 134,
 Suwała Teresa 34, 35, 134, 252,
 Sütterlin 50, 252,
 Swat 65, 119, 129,
 Swat Eugeniusz 228,
 Swat Jan 215, 216, 226,
 Swat Lucyna 211,
 Swat Miłosz 182,
 Swat Władysław 120, 164,
 Szadkowski Dariusz 164, 165, 166,
 Szawelko Katarzyna 193,
 Szczemirska 17, 126, 193,
 Szczemirska Alicja 126,
 Szczemirska Alina 193,
 Szczemirska S. 192,
 Szczemirska Stefania 119, 144, 193, 210,
Szczemirska Stefania 192
 Szczemirski Piotr 193,
 Szczepaniak Katarzyna 208,
 Szel 118,
 Szel Włodzimierz 168,
 Szłapka Marta 93,
Szłapka Marta (Pinecka) 93,
 Szulc J. 189,
 Szydłowski Andrzej 209,
 Szydłowski Zbigniew 90,
 Śmiałek 119, 128,
 Śmiałek Ignacy 109, 115, 120, 135, 151, 152, 153, 161,
 164, 217,
 Śmiałek Władysław 131, 161, 163, 165,
 Talleyrand Dorota de 37, 63,
Teresina (siostra) 95,
Thiel (dziekan) 49,
 Thomas 46,
 Tietz 97,
Tietze (proboszcz) 46,
Tietze (proboszcz) 47,
Tietze Heinrich 95,
 Tomaszewski 165,
 Tomaszewski S. 166,
 Tomaszewski Stanisław 164, 165, 238, 239,
 Tomasz Mariola 181, 182,
 Tomiak 68, 89,
 Tomiak Stanisław 182,
 Truman 118,
Trymbula 232, 242,
 Tschiersch 80,
 Tschiersch August 71,
 Tschiersch Paul 70,
Tuntke 96, 98, 101,
 Tureczek Marceli 189,
 Twardowska Maria 116,
 Twardowski Józef 168, 193, 225,
Ubarek Anna 96,
 Umerska Wiesława 199,
 Umerski 119,
 Unruh Heinrich von 22,
 Unruh Sebastian von 15, 21, 22,
 Urbańska 134,
 Urbańska Teresa 129,
 Urbański 162,
 Utrata Jadwiga 199,
 Veber Francis 214,
 Vogt 33, 80, 85, 91,
 Vogt Antonia 89,
Vogt Antonina 93,
 Vogt August 91,
 Vogt Christa 89,
 Vogt Franz 242,
 Vogt Gertrud 89,
Vogt Gertruda 93,
Vogt Herbert 190,
 Vogt Hugo 66, 71, 83, 106,
 Vogt Irene 89,
 Vogt Johann 70,
 Vogt Josef 85, 89,
Vogt Józef 93,
 Vogt Lucie 89,
Vogt Lucyna 93,
 Vogt Maria 89,
 Vogt Maria (z d. Ludwig) 101, 102, 105, 107,
 Vogt Markus 101, 103, 244,
 Vogt Otto 71,
 Vogt Paul 71,
 Vogt Reinhold 89,
Volkmer 94,
 Wacke 80,
 Walter 135, 171,

Walter Jan 170, 180,
Warke 94,
Warth-Andris 47,
 Waškiewicz 128,
 Wawrzynowicz 118, 128,
 Wąsik Zbigniew 252,
 Wdowczyk 49,
 Weberbauer J. 55.
 Wecker 80, 84, 85, 86, 88, 92, 108, 109, 114, 126, 135,
 172, 185, 187,
 Wecker Franz 17, 34, 40, 47, 48, 50, 82, 86, 90, 91,
 128, 169, 173, 180, 185, 249,
Wecker Franz 48, 50, 51,
Wecker Luize 186,
 Wecker Luize 187,
 Wegner Antoni 199,
 Weike 81,
Wenke 96,
 Wenske 80,
 Wenzke Hermann 71,
 Westphahl 50,
 Wiciński 128,
Widenroth 46,
 Wierzińska Kamila 246,
 Wierziński 119, 127, 128,
 Wierziński Czesław 85, 181, 182, 246,
 Wierziński Florian 84, 93, 115, 120, 160, 163,
 Wierziński Stanisław 226,
 Wierzowiecka H. 21,
 Wieze 81,
Wilde 95, 100,
 Wilk Tadeusz 182,
Willman 45,
 Winzler 34, 80, 114, 204, 218, 249,
 Winzler Adolf 33, 43, 168,
 Wiziński Kajetan 116, 135,
 Wojciechowski 119,
 Wojciechowski Ignacy 115,
 Wojczak 119,
 Wojtas Andrzej 206,
 Wojtas Wanda 181, 182, 211,
 Wojter Tadeusz 41, 252,
Wolny (proboszcz) 47, 49, 51,
 Wolny Ludwig (dziekan) 48, 50, 51, 101,
 Wozniak 80,
 Woźny Michał 172,
 Wróblewska Brygida 201,
Wudarczek 99,
 Wudarak 80,
Wurmb, 46,
 Wuttke 80, 87,
 Wuttke Maria 23,
 Wycisk 33, 76, 80, 120, 144, 212, 234, 252,
Wycisk 232, 234,
 Wycisk E. 198,
 Wycisk Eugeniusz 182, 228,
 Wycisk H. 162, 166,
 Wycisk Henryk 128, 151, 153, 163, 164, 212, 219,
 Wycisk Joachim 34,
 Wycisk U. 197,
 Wycisk Waleria 217,
 Wygachewicz 148, 193, 210,
 Zabeltitz Zygmunt von 14,
 Zagdańska Krystyna 115, 135, 152, 153, 212, 213,
 Zagdański 119,
 Zagdański Bernard 226,
 Zagdański Czesław 228,
 Zagdański Jan 165, 228,
 Zagdański Leszek 246,
 Zagdański Ryszard 91, 165, 228,
 Zagdański Stanisław 226,
 Zagdański Tadeusz 161, 228,
 Zagdański Wacław 161,
Zagończyk 118,
 Zalewski Józef 199,
Zawes Franz 96
 Zboralska Eleonora 136, 181,
 Zboralska T. 21,
 Zboralski 119, 128, 217,
 Zboralski Jan 165,
 Zboralski Janusz 228,
 Zdyb Katarzyna 136,
 Zdziarski Jan 177, 178, 180,
 Zepke 80, 112, 113, 120, 126,
Zepke Anna 95, 96,
 Zepke Elżbieta 35, 91, 111, 112, 123, 150,
Zepke Erhard 190,
 Zepke Franz 80, 81,
 Zepke Jadwiga 128, 193,
 Zepke Jan 165,
 Zepke Josef 71,
 Zepke Paul 70, 71,
 Zinke 80,
 Zinke Paul 80,
Zinke Paul 98,
Zurhandke 98,
Zurhantke 95,
Zuchantke Karl 95, 98,
 Żak Pelagia 210,
 Żebrowski 118, 124,
 Żebrowski Jan 123, 141,
 Żurawiecki Marcin 164, 165,
 Żychliński Stanisław 19,
 Żygalska Dominika 209,

Rozwinięcia skrótów i znaczenie niektórych wyrazów

- BDM** - Bund Deutscher Mädel, Związek Niemieckich Dziewcząt,
FF - Freiwillige Feuerwehr, Ochotnicza Straż Pożarna,
HJ - Hitler Jugend, pol. dosł. „Młodzież Hitlera“,
NRD - Niemiecka Republika Demokratyczna,
NSDAP – Nationalsozialistische Deutsche Arbeitspartei, Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników,
PZPR - Polska Zjednoczona Partia Robotnicza,
RAD - Reichsarbeitsdienst, Służba Pracy Rzeszy,
RFN - Republika Federalna Niemiec,
SA - Die Sturmabteilungen der NSDAP, Oddziały Szturmowe NSDAP,
SPD - Sozialdemokratische Partei Deutschlands, Socjaldemokratyczna Partia Niemiec,
SS - Die Schutzstaffel der NSDAP, Eskadra Ochronna NSDAP,
banderowcy – potoczna nazwa stosowana przez Polaków i Żydów na określenie Ukraińców, którzy brali udział w ludobójstwie Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej oraz dokonywali pogromów ludności żydowskiej (źródło: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Banderowcy>), odczyt: 29.01.2013 r.
hacele – haki, zębce u końców podków, zapobiegające ślizganiu się konia (źródło: Mały słownik języka polskiego pod red. S. Skorupki. H. Auderskiej, Z. Łempickiej, PWN, Warszawa 1974),
haczka - gwarowe - motyka (źródło: www.sjp.pl/motyka), odczyt: 29.01.2013 r.
knowie – dolna część w snopie zboża (źródło: Mały słownik języka polskiego),
kopalniak – okrągłak z drewna używany w górnictwie do obudowy wyrobisk (źródło: Mały słownik języka polskiego),
kopel – gwarowe – pastwisko (źródło: www.sjp.pl/kopel), odczyt: 21.01.2013 r.
lejty - gwarowe - lanie, bicie (źródło: www.godka.pl/slaskopolski.html), odczyt: 29.01.2013 r.
papierówka – drewno przemysłowe stosowane w produkcji papieru (źródło: Mały słownik języka polskiego),
puszorek – gwarowe - uprzęż na jednego konia (źródło: www.legendybrodnicy.tnb.pl/readarticle.php?article_id=17), odczyt: 29.01.2013 r.
saksy – okresowa praca zarobkowa za granicą, często podejmowana nielegalnie (źródło: www.sjp.pl/saksy), odczyt: 29.01.2013 r.
sklep kolonialny – sklep spożywczy zaopatrzone w towary kolonialne, to jest pochodzące z krajów pozaeuropejskich, jak kawa, pieprz (źródło: Mały słownik języka polskiego),
szarwark – świadczenie ludności wiejskiej na cele publiczne, głównie na rzecz budowy dróg, mostów, wałów przeciwpowodziowych, urządzeń wodnych (źródło: <http://wikipedia.org/wiki/Szarwark>), odczyt: 29.01.2013 r.
szporać - gwarowe - ciuć, oszczędzać (źródło: www.poznan.pl/sloownik/szporac), odczyt: 29.01.2013 r.
Wehrmacht – całość sił zbrojnych III Rzeszy Niemieckiej z wyłączeniem zbrojnych oddziałów nazistowskiej formacji paramilitarnej SS.

Załączniki

14 października 2012 roku w przeddzień święta patronki karszyńskiego kościoła – św. Jadwigi Śląskiej w przedsionku budowli zawisła tablica zawierająca daty, wydarzenia i osoby związane z miejscową świątynią oraz z toczącym się tutaj życiem religijnym.

Historia kościoła p.w. św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie

- 1767 – Mieszkańcy Karszyna i Siadczy przy materialnej pomocy właścicieli dóbr klenickich (podarowali glinę i drewno) budują w Karszynie szkołę katolicką. Wcześniej nauka odbywała się w kaplicy cmentarnej.
- 1790 – Generalny zarządca dóbr klenickich **Scholz** przekazuje drewno i kamień budowlany na nowy kościół, który ma stać na miejscu dotychczasowej kaplicy cmentarnej.
- 1791 – 1792 – Budowa kościoła
- 1793 (1 września) – Archiprezbiter **Kahn** z Olynia poświęca kościół. Patroni ofiarowują drewno na ławki oraz chór. We wnętrzu zostaje ustawiony ołtarz pochodzący z kościoła w Klenicy, dokąd trafił z Olynia. Przybywa także ze starego kościoła w Klenicy zabytkowa chrzcielnica oraz konfesjonal.
- 1812 – Proboszcz klenicki **Tobias Lisson** wnosiuke do patronów o pozwolenie i pomoc w budowie wikarówki naprzeciwko kościoła. Pierwszym kapłanem mieszkającym w karszyńskiej wikarówce jest ksiądz zakonny karmelita **Joachim Anton Göppert**.
- 1842 – Kupno za 260 talarów pruskich dla kościoła w Karszynie dzwonu z Trzciana, odlanego ok. 1780 r.
- 1869 – Proboszcz klenicki **Tietze** wnosiuke do patrona o powiększenie karszyńskiego cmentarza oraz o 400 ogryz na filary opłotowania.
- 1870 – Patron podarowuje pien na zrobienie krzyża cmentarnego, gdyż poprzedni uległ zniszczeniu w czasie burzy.
- 1882 (26 lipca) – Wielki pożar, w wyniku którego spłonęło sześć zagrod gospodarskich oraz drewniana kruchta z dzwonnica, dach oraz wyposażenie kościoła. Stopieniu ulega dzwon.
- 1884 – **Wilhelm Funke** kupuje za 370 marek dzwon i przekazuje go kościółowi. Dzwon zostaje zawieszony na niewysokiej ceglanej dzwonnicy. (W tym miejscu obecnie znajduje się prezbiterium.) W kolejnych latach archiprezbiter **Günther** postanawia zaopiekować się figurą św. Jadwigi, która – jak wierzą ludzie – uchroniła „swoją” kościół przed całkowitym spłonieniem oraz zatrzymała pochod ognia w kierunku ołtarza. Wystarał się także o fisharmonie i nowe tabernakulum. Nosi się także z zamiarem powiększenia kościoła przez dobudowanie prezbiterium oraz wieży z kruchtą. Swego planu nie zdążył zrealizować, gdyż został przeniesiony do Bischofswalde.
- 1913 (15 października) – Powstaje kółko różańcowe, które stawia sobie za cel organizowanie zbiorów pieniężnych, z których dochód ma być przeznaczony na odnowienie wnętrza kościoła.
- 1913/1914 – Z inicjatywy miejscowych nauczycieli o nazwiskach **Rogosch** i **Heidau** rusza remont i odnowa wnętrza kościoła. Rozpoczyna się on po Wielkanocy. Zamówiono nowe okna do kościoła za kwotę 381 m. drewniane świeczniki ołtarzowe zastąpiono przez wykonane z mosiądzu za kwotę 174 m. Fisharmonie poddano remontowi za kwotę 125 m. Karszyński murarz tymkują niewspłatnie kościół od strony północnej. Dach również naprawiono. Odświeżono także wnętrze kościoła, m.in. pomalowano farbą olejną ławki, konfesjonal i drzwi, dzięki czemu kościółek po renowacji odzyskał przyjemny wygląd. (Niewykluczone, że wykonawcą prac malarskich wewnątrz świątyni albo prac renowacyjnych przy ołtarzu był **P. Fabiś z Kopanicy**, którego podpis widnieje na zapleczu ołtarza z datą 1914.)
- 1914 (święto Bożego Ciała) – Uroczyste nabożeństwo w wyremontowanym kościele.
- 1915 (jesień) – Kościół wizytuje archiprezbiter **Sappelt**, który poświęca kościelne kółka i organizacje.
- 1917 (27 stycznia – 4 lutego) – Po raz pierwszy w Karszynie odbywają się Misje Święte. Nabożeństwa ołtarzowe odbywają się pod przewodnictwem ojciec **Andrie – Warth**.
- Podczas misji świętych misyjnych rozdane zostało ponad 900 komuni. Życie religijne Karszyna bardzo się podniosło i rzeczywiście wymagało ofiary, aby w tym małym, ale uroczym domu Bożym być zauważone. Miłość do Boga zaowocowała Jego błogosławieństwem.
- 1922 – Budowa dzwonnicy, prezbiterium i zakrystii.
- 1929 – Nauczycielka **Luiza Wecker z Bytomia** (siostra księdza Franza Weckera) ofiarowuje dwa mosiężne lichtarze do kościoła. Odąg stoją wraz ze świecami przed figurą Chrystusa błogosławiającego.
- 1930 (27 kwietnia) – 29 dzieci po raz pierwszy przystępują do I Komunii świętej, której udzielił ksiądz **Franz Wecker**.
- 1930 (10 lipca) – Jubileusz 25 lecia ślubów kapłańskich ks. **Franza Weckera**
- 1930 (14 lipca) – Poświęcenie i otwarcie nowej plebanii.
- 1946 (19 czerwca) – Umiera ksiądz **Franz Wecker** i 22 czerwca zostaje pochowany na cmentarzu w Karszynie. Wraz ze śmiercią tego kapłana kończy się związek kościoła karszyńskiego z parafią klenicką. Od tej pory wierni związani z kościołem w Karszynie, to jest mieszkańcy Siadczy, Susłowa części Uścia i Karszyna będą należeć do parafii kargowskiej.
- 1946 – 1948 – Funkcje proboszcza parafii kargowskiej sprawuje przybyły z Archidiecezji Iłwowskiej ks. **Jan Walter**.
- 1948 – Misje Święte, w czasie których nauki głoszają o.o. Oblaci z Poznania.
- 1953 (9 października) – Jego Eksceleńca Ks. Biskup Ordynariusz Gorzowski **Zygmunt Szelażek** wraz z ks. kanonikiem **Janem Megerem**, proboszczem parafii kargowskiej, odwiedzają kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 1959 – Misje Święte, w czasie których nauki głoszają o.o. Redemptoryści z Wrocławia.
- 1960 – W czasie Wizytacji Kanonicznej odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie J.E. Ks. Bp Ordynariusz Gorzowski **Wilhelm Pluta**.
- 1968 (19 marca) – ks. dziekan **Michał Kaczmarek** z Sulechowa wraz z ks. proboszczem **Piotrem Olenrem** podczas wizytacji parafii odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 1969 (25 maja) – Na zakończenie Misji Świętych, w czasie których nauki głoszają o.o. Redemptoryści z Barda Śląskiego, w kościele św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie odbywa się uroczystość I Komunii świętej.
- 1969 (21 września) – W czasie Wizytacji Kanonicznej odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie J. E. Ks. Bp Sufragan Gorzowski dr **Jerzy Stroba**.
- 1972 – Kopia Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej nawiedza tujejsze rodziny, w tym uczęszczające do karszyńskiego kościoła z Siadczy, Susłowa i Karszyna. 24. 04.1972 r. parafia otrzymuje decyzję PWRN w Zielonej Górze potwierdzającą pełnię praw m. in. do działki nr 103/1, na której stoi kościół w Karszynie.
- 1975 (11 VIII – 22 IX) – ks. **Edward Dajczak** pełni funkcję wikariusza w parafii kargowskiej.
- 1976 (kwiecień) – Malowanie wnętrza kościoła i wykonanie elewacji w kolorach białe – niebieskich.
- 1976 (14 – 16 maja) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J.E. Ks. Bp **Paweł Socha** Sufragan Gorzowski odwiedza kościół filialny św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 1978 (8 grudnia) – Początek peregrynacji Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, poprzedzającej 600 lecie Obrazu na Jasnej Górze.
- 1980 (13 – 19 czerwca) – Misje Święte, w czasie których nauki głoszają Księża Misjonarze CM.
- 1981 (24 czerwca) – Jubileusz 25 lecia kapłaństwa ks. proboszcza **Jana Zdziarskiego**.
- 1982 (5 czerwca) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp dr **Wilhelm Pluta** Ordynariusz Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 1983 (28 czerwca) – Ks. dziekan **Michał Kaczmarek** wizytuje parafię kargowską, w tym karszyński kościół.
- 1989 – Malowanie wnętrza kościoła w Karszynie.
- 1989 (29 października) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp **Józef Michalik** Ordynariusz Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 1990 (11 – 17 marca) – Misje Święte, w czasie których nauki głoszają Księża Misjonarze CM. Wylanie betonowego chodnika wokół kościoła.
- 1991 – Zakup nowego wznacznacza do nagłośnienia kościoła.
- 1992 (21 – 28 marca) – Misje Święte poprzedzające peregrynację Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.
- 1993 – Remont prezbiterium. Zabezpieczono stalowymi klamrami pęknięcia narożnych ścian. Wylano betonową ławę wokół ścian i zamocowano nowe ryny.
- 1995 (5 czerwca) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp dr **Paweł Socha** odwiedza kościół filialny św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie. W tym roku parafia odzyskuje od państwa nieruchomości z budynkiem plebanii.
- 1996 (29 października) – Ks. proboszcz **Jan Zdziarski** obchodzi 40 lecie kapłaństwa.
- 1998 (24 maja) – Świecena kapłańska w Bazylece katedrałnej św. Panfilo Vesovo w Sulmona- Valva we Włoszech otrzymuje **Wiesław Rzepecki** z Karszyna.
- 1999 – Remont zewnętrznej elewacji kościoła. Skuto stare odpadające tynki, „rzucono baranek”, pomalowano okna, drzwi i wieżę oraz wykonano remont na plebanii.
- 2000 (7 – 14 maja) – Misje Święte, w czasie których nauki głoszają księża Antoni Cholewa i Tadeusz Juśpiński, reprezentujący Księżę Misjonarzy Świętej Rodziny z Ciecichonka.
- 2002 (21 kwietnia) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp **Edward Dajczak** odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.
- 2002 (20 września) – Ks. proboszcz **Jan Zdziarski** w obecności 25 karszynian poświęca odnowiony krzyż przy drodze Karszyn – Kargowa.
- 2004 – 2011 – Funkcje proboszcza kargowskiej parafii sprawuje ks. dr **Jan Szulc**.
- 2012 (lipiec – sierpień) – Nowy proboszcz kargowskiej parafii ks. kan. **Marek Pietkiewicz** rozpoczyna gruntowny remont kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

Historia kościoła pw. św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie

1767 – Mieszkańcy Karszyna i Siadczy przy materialnej pomocy właścicieli dóbr klenickich (podarowali glinę i drewno) budują w Karszynie szkołę katolicką. Wcześniej nauka odbywała się w kaplicy cmentarnej.

1790 – W wyniku starań ks. proboszcza **Tobiasa Lissona** generalny zarządca dóbr klenickich **Scholz** przekazuje drewno i kamień na nowy kościół, który ma stanąć na miejscu dotychczasowej kaplicy cmentarnej w Karszynie.

1791 – 1792 – Budowa kościoła.

1793 (1 września) - Archiprezbiter **Kahn** z Otynia poświęca kościół. Patroni ofiarowują drewno na ławki oraz chór. We wnętrzu zostaje ustawiony ołtarz pochodzący z kościoła w Klenicy, dokąd trafił z Otynia. Przybywa także ze starego kościoła w Klenicy zabytkowa chrzcielnica oraz konfesjonał.

1812 - Proboszcz klenicki **Tobias Lisson** wnioskuje do patronów o pozwolenie i pomoc w budowie wikařówki naprzeciwko kościoła. Pierwszym kapłanem mieszkającym w karszyńskiej wikařówce jest ksiądz zakonny karmelita **Joachim Anton Göppert**.

1842 – Kupno za 269 talarów pruskich dla kościoła w Karszynie dzwonu z Trziela, odlanego ok. 1780 r.

1869 – Proboszcz klenicki **Tietze** wnioskuje do patrona o powiększenie karszyńskiego cmentarza oraz o 4000 cegieł na filary opłotowania.

1870 – Patron podarowuje pień na zrobienie krzyża cmentarnego, gdyż poprzedni uległ zniszczeniu w czasie burzy.

1882 (26 lipca) - Wielki pożar, w wyniku którego spłonęło sześć zagród gospodarskich oraz drewniana kruchta z dzwonnica, dach oraz wyposażenie kościoła. Stopieniu ulega dzwon.

1884 – **Wilhelm Funke** kupuje za 370 marek dzwon i przekazuje go kościołowi. Dzwon zostaje zawieszony na niewysokiej ceglanej dzwonnicy. (W tym miejscu obecnie znajduje się prezbiterium.) W kolejnych latach archiprezbiter **Günther** postanawia zaopiekować się figurą św. Jadwigi, która – jak wierzą ludzie – uchroniła „swój” kościół przed całkowitym spłonięciem oraz zatrzymała pochód ognia w kierunku ołtarza. Wystarał się także o fisharmonię i nowe tabernakulum. Nosi się także z zamiarem powiększenia kościoła przez dobudowanie prezbiterium oraz wieży z kruchtą. Swego planu nie zdążył zrealizować, gdyż został przeniesiony do Bischofswalde.

1913 (2 października) - Kierowanie klenicką parafią, w tym także kościołem w Karszynie, obejmuje ks. proboszcz **Ludwig Wolny**.

1913 (15 października) – Powstaje kółko różańcowe, które stawia sobie za cel organizowanie zbiorów pieniężnych, z których dochód ma być przeznaczony na odnowienie wnętrza kościoła.

1913/1914 – Z inicjatywy ks. proboszcza **Ludwiga Wolnego** z Klenicy oraz miejscowych nauczycieli o nazwiskach **Rogosch** i **Heidau** rusza remont i odnowa wnętrza kościoła. Rozpoczyna się on po Wielkanocy. Zamówiono nowe okna do kościoła za kwotę 381 m, drewniane świeczniki ołtarzowe zastąpiono przez wykonane z mosiądzu za kwotę 174 m. Fisharmonię poddano remontowi za kwotę 125 m. Karszyńscy murarze tynkują nieodpłatnie kościół od strony północnej. Dach również naprawiono. Odświeżono także wnętrze kościoła, m.in. pomalowano farbą olejną ławki, konfesjonał i drzwi, dzięki czemu kościółek po renowacji odzyskał przyjemny wygląd. (Niewykluczone, że wykonawcą prac malarskich wewnątrz świątyni albo prac renowacyjnych przy ołtarzu był **P. Fabiś z Kapanicy**, którego podpis widnieje na zapleczu ołtarza z datą 1914.)

1914 (święto Bożego Ciała) – Uroczyste nabożeństwo w wyremontowanym kościele.

1915 (jesień) – Kościół wizytuje archiprezbiter **Sappelt**, który poświęca kościelne kółka i organizacje.

1917 (27 stycznia – 4 lutego) – Po raz pierwszy w Karszynie odbywają się Misje Święte. Nabożeństwa misyjne odprawia redemptorysta ojciec **Andris – Warth**. Podczas mszy świętych misyjnych rozdane zostało ponad 900 komunii. „Życie religijne Karszyna bardzo się podniosło i rzeczywiście wymagało ofiary, aby w tym małym, ale uroczym domu Bożym było zauważone. Miłość do Boga zaowocowała Jego błogosławieństwem.”

1922 – Budowa dzwonnicy, prezbiterium i zakrystii.

1925 - Klenicki proboszcz **Ludwig Wolny** kupuje w Karszynie od rolnika Fuhla 2 i ½ morgi gruntu z przeznaczeniem na budowę plebanii.

1928 (październik) - Początek prac przy budowie plebanii.

1929 – Nauczycielka **Luiza Wecker z Bytomia** (siostra księdza Franza Weckera) ofiarowuje dwa mosiężne lichtarze do kościoła. Odtąd stoją wraz ze świecami przed figurą Chrystusa błogosławiącego.

1930 (27 kwietnia) – 29 dzieci po raz pierwszy przystępuje do I Komunii Świętej, której udziela ksiądz **Franz Wecker**.

1930 (10 lipca) – Jubileusz 25-lecia ślubów kapłańskich ks. **Franza Weckera**.

1930 (14 lipca) – Poświęcenie i otwarcie nowej plebanii.

1946 (19 czerwca) – Umiera ksiądz **Franz Wecker** i 22 czerwca zostaje pochowany na cmentarzu w Karszynie. Wraz ze śmiercią tego kapłana kończy się związek karszyńskiego kościoła z klenicką parafią. Od tej pory wierni związani z kościołem w Karszynie, to jest mieszkańcy Siadczy, Susłowa, części Uścia i Karszyna będą należeć do kargowskiej parafii.

1946 – 1948 – Funkcję proboszcza parafii kargowskiej sprawuje przybyły z archidiecezji lwowskiej ks. **Jan Walter**.

1948 - Misje Święte, w czasie których nauki głoszą o.o. oblaci z Poznania.

1953 (9 października) – Jego Ekszelencja Ks. Biskup **Zygmunt Szczęsny** Ordynariusz Gorzowski wraz z ks. kanonikiem **Janem Megerem**, proboszczem parafii kargowskiej, odwiedzają kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1954 (30 maja) - W szpitalu św. Józefa w Berlinie (Weisensee) umiera ks. **Ludwig Wolny** długoletni proboszcz parafii Klenica. 3 lipca 1954 r. został pochowany na cmentarzu miejskim w Görlitz obok kościoła św. Mikołaja.

1959 – Misje Święte, w czasie których nauki głoszą o.o. redemptoryści z Wrocławia.

1960 – W czasie Wizytacji Kanonicznej J.E. Ks. Bp **Wilhelm Pluta** Ordynariusz Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1968 (19 marca) – ks. dziekan **Michał Kaczmarek** z Sulechowa wraz z ks. proboszczem **Piotrem Olendrem** podczas wizytacji parafii odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1969 (25 maja) – Na zakończenie Misji Świętych, w czasie których nauki głoszą o.o. redemptoryści z Barda Śląskiego, w kościele św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie odbywa się uroczystość I Komunii Świętej.

1969 (21 września) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp dr **Jerzy Stroba** Sufragan Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1972 – Kopia Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej nawiedza tutejsze rodziny, w tym uczęszczające do karszyńskiego kościoła z Siadczy, Susłowa i Karszyna. 24.04.1972 r. parafia

otrzymuje decyzję PWRN w Zielonej Górze potwierdzającą pełnię praw m. in. do działki nr 103/1, na której stoi kościół w Karszynie.

1975 (11 VIII – 22 IX) – ks. **Edward Dajczak** pełni funkcję wikariusza w parafii kargowskiej.

1976 (kwiecień) - Malowanie wnętrza kościoła i wykonanie elewacji w kolorach biało – niebieskich.

1976 (14 – 16 maja) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J.E. Ks. Bp **Paweł Socha** Sufragan Gorzowski odwiedza kościół filialny św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1978 (8 grudnia) – Początek peregrynacji Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, poprzedzającej 600-lecie Obrazu na Jasnej Górze.

1980 (13 – 19 czerwca) - Misje Święte, w czasie których nauki głoszą księża misjonarze CM.

1981 (24 czerwca) – Jubileusz 25-lecia kapłaństwa ks. proboszcza **Jana Zdziarskiego**.

1982 (5 czerwca) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp dr **Wilhelm Pluta** Ordynariusz Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1983 (28 czerwca) – Ks. dziekan **Michał Kaczmarek** wizytuje parafię kargowską, w tym karszyński kościół.

1989 – Malowanie wnętrza kościoła w Karszynie.

1989 (29 października) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp **Józef Michalik** Ordynariusz Gorzowski odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

1990 (11 – 17 marca) – Misje Święte, w czasie których nauki głoszą księża misjonarze CM. Wylanie betonowego chodnika wokół kościoła.

1991 - Zakup nowego wzmacniacza do nagłośnienia kościoła.

1992 (21 – 28 marca) – Misje Święte poprzedzające peregrynację Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

1993 – Remont prezbiterium. Zabezpieczono stalowymi klamrami pęknięcia narożnych ścian. Wylano betonową ławę wokół ścian i zamocowano nowe rynny.

1995 (5 czerwca) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp dr **Paweł Socha** odwiedza kościół filialny św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie. W tym roku parafia odzyskuje od państwa nieruchomość z budynkiem plebanii.

1996 (24 czerwca) – Ks. proboszcz **Jan Zdziarski** obchodzi 40-lecie kapłaństwa.

1998 (24 maja) – Święcenia kapłańskie w Bazylice katedralnej św. Panfilo Vescovo w Sulmona-Valva we Włoszech otrzymuje **Wiesław Rzepecki** z Karszyna.

1999 – Remont zewnętrznej elewacji kościoła. Skuto stare odpadające tynki, „rzucono baranek”, pomalowano okna, drzwi i wieżę oraz wykonano remont plebanii.

2000 (7 – 14 maja) – Misje Święte, w czasie których nauki głoszą księża Antoni Cholewa i Tadeusz Juśpiński, reprezentujący Księży Misjonarzy Świętej Rodziny z Ciechocinka.

2002 (21 kwietnia) – W czasie Wizytacji Kanonicznej J. E. Ks. Bp **Edward Dajczak** odwiedza kościół św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

2002 (20 września) – Ks. proboszcz **Jan Zdziarski** w obecności 25 karszynian poświęca odnowiony krzyż przy drodze Karszyn – Kargowa.

2004 – 2011 – Funkcję proboszcza kargowskiej parafii sprawuje ks. dr **Jan Szulc**.

2012 (lipiec – wrzesień) – Nowy proboszcz kargowskiej parafii ks. kan. **Marek Pietkiewicz** przeprowadza gruntowny remont wnętrza kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie.

Karszyn na dawnych kartach pocztowych



Karta pocztowa z Karszyna sprzed 1914 r.



Kolumna Związku Weteranów, Karszyn 1903 r.



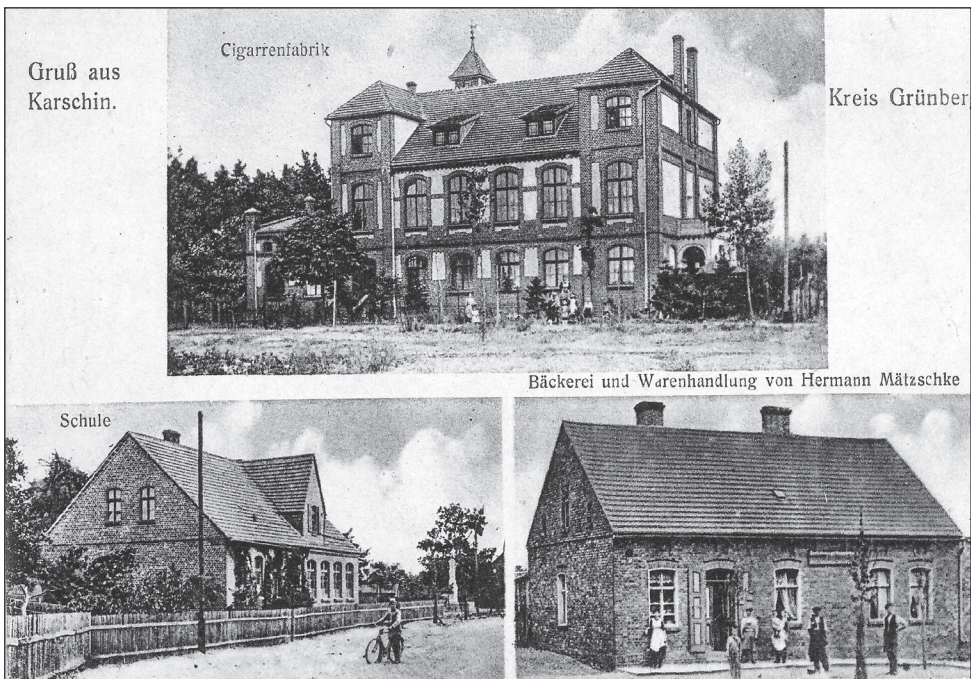
Kościół w Karszynie w 1915 r.



Restauracja Paula Minetzke w Karszynie w 1917 r.



Karszyn w 1922 r.



Pocztówka z widokami dawnego Karszyna



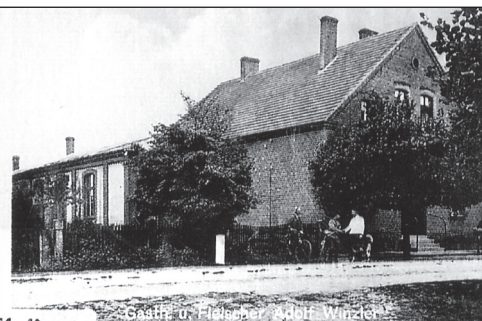
Pocztówka z Karszyna po 1936 r.



Größ aus Karschin, Krs. Grünberg



Karta pocztowa z Karszyna sprzed 1936 r.



Größ Heiden



Karta pocztowa z Karszyna po 1936 r.



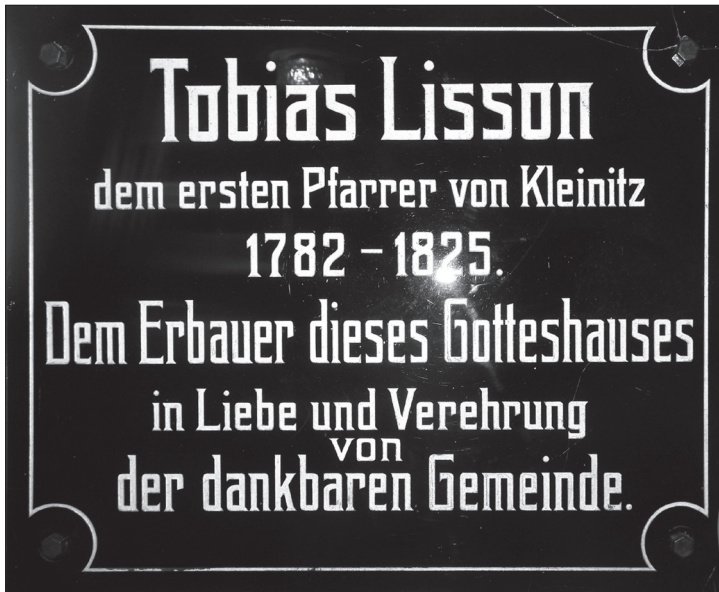
Pocztówka z widokami dawnego Karszyna



Obiekty w okolicy Karszyna należące do Radziwiłłów



Fotografia kościoła w Karszynie sprzed 1945 r.



Tablica poświęcona pierwszemu proboszczowi Parafii Klenica, w tym budowniczemu kościoła i pierwszej plebanii w Karszynie – ks. Tobiasowi Lissonowi.

Treść napisu: *Tobiasowi Lissonowi pierwszemu proboszczowi Klenicy 1782-1825 Budowniczemu tej świątyni w miłości i szacunku wdzięczni parafianie*



**PAMIĘCI
ZAMORDOWANYCH 13 MIESZKAŃCÓW KARSZYNA,
KTÓRZY
29 STYCZNIA 1945r.
ZOSTALI ZASTRZELENI PRZEZ SOWIECKIEGO ŻOŁNIERZA**

**Zum Gedenken an die 13 ermordeten Einwohner von Karschin,
die am 29. Januar 1945 von einem sowjetischen Soldaten
erschossen wurden:**

**WŁADYSŁAW DYMALSKI lat 41, MARIE VOGT lat 65,
JOSEF VOGT lat 63, LUCIE VOGT lat 35, GERTRUD VOGT lat 27,
ANTONIA VOGT lat 19, IRENE VOGT lat 14, CHRISTA VOGT lat 10,
REINHOLD VOGT lat 9, HERMANN MÄTZSCHKE lat 65,
ANNA MÄTZSCHKE lat 63, ELIZABETH MÄTZSCHKE lat 24,
RENATE MÄTZSCHKE lat 3**

REQUIESCANT IN PACE

**Mieszkańcy Karszyna
styczeń 2013**

27 stycznia 2013 r. w przeddzień 68. rocznicy zastrzelenia 13 mieszkańców Karszyna przez sowieckiego żołnierza w kościele pw. św. Jadwigi Śląskiej w Karszynie odbyło się nabożeństwo ekumeniczne. Odprawili je ks. kan. Marek Pietkiewicz i ks. wikariusz Marcin Bobowicz z parafii kargowskiej, a także ks. Dariusz Lik proboszcz Parafii Ewangelicko Augsburgskiej w Zielonej Górze. Na uroczystość przybyło wielu mieszkańców Karszyna, Kargowej, Sulechowa i Zielonej Góry a także małżeństwo pastorów Kościoła ewangelicko-augsburskiego – Dorothea i Dietrich Hallmann z Cottbus. Podczas uroczystości dokonano odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej tamto tragiczne wydarzenie.

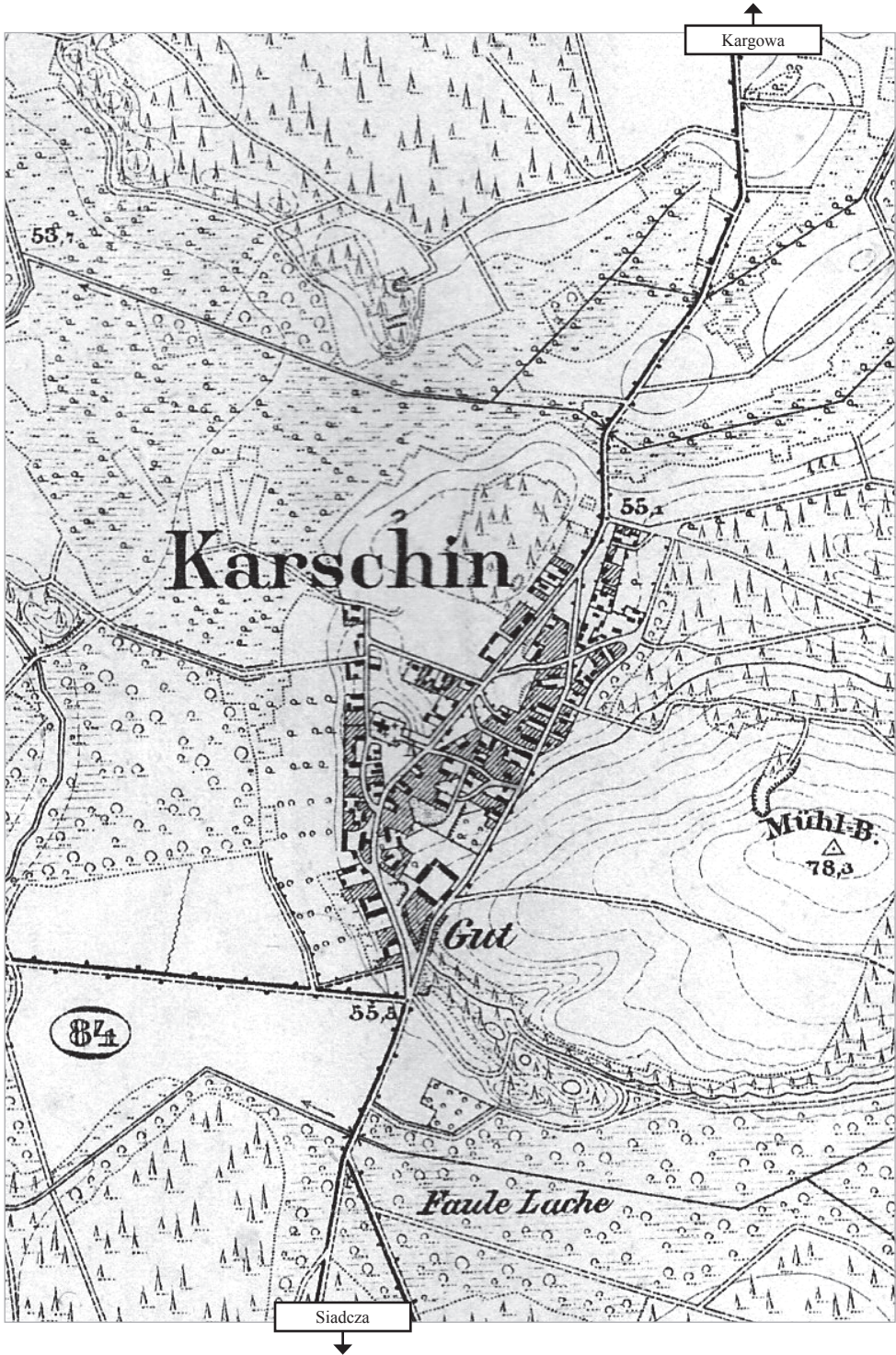


Charßin (Karszyn) na fragmencie mapy pogranicza Śląska i Wielkopolski z lat 1640-1650.
 Źródło: S. Petriuk, *Unruhstadt und Karge*, s. 224.



Fragment mapy Prus południowych z 1802-1803 r. z zaznaczonym najkrótszym szlakiem z Głogowa przez Konotop, Karszyn, Kargow, Babimost do Międzyrzecza.

Źródło: https://www.sggee.org/research/gilly_maps/A2.jpg, odczyt: 19.03.2013 r.

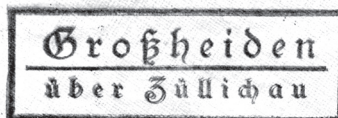


Karszyn na fragmencie mapy Kargowej i okolic z 1891 r.

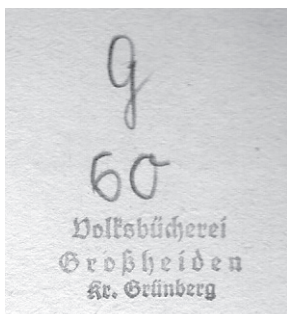
Pieczenie dawnego Karszyna



Gemeinde Großheiden
Gmina Großheiden (Karszyn)
Takiej pieczęci w latach 1936 – 1945
używał sołtysa Karszyna Friedrich Lehmann



Großheiden über Züllichau
Großheiden koło Sulechowa
Takiej pieczęci używała
placówka pocztowa
w Karszynie



Volksbücherei Großheiden Kr. Grünberg
Biblioteka Publiczna w Großheiden
Kr. Grünberg
Biblioteka Publiczna w Karszynie
pow. Zielona Góra



Sigill. Eccles. Cath. St. Hedvigis Karschin
Katolicki Kościół (Parafia) św. Jadwigi
w Karszynie
Takiej pieczęci używał
proboszcz Parafii Karszyn
Franz Wecker



Kathol. Volksbücherei, Karschin,
Kr. Grünberg i. Schles.
Katolicka Biblioteka Publiczna w Karszynie
pow. Zielona Góra na Śląsku



Szkoła Podstawowa w Karszynie
Pieczęć używana przez Szkołę Podstawową
w Karszynie po 1945 r.

